

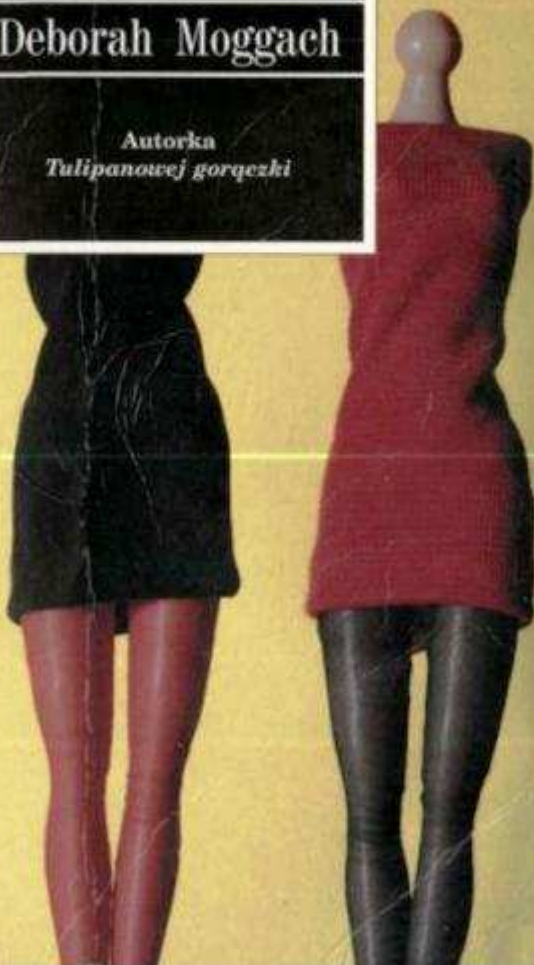


SALAMANDRA

DUBLERKA

Deborah Moggach

Autorka
Tulipanowej gorączki





DUBLERKA

Deborah Moggach

Deborah Moggach jest autorką powieści, opowiadań i scenariuszy telewizyjnych. REBIS wydał jej bestsellerową *Tulipanową gorączkę*. Obecnie przygotowywany jest scenariusz filmu, który powstanie na podstawie tej książki - zainteresował się nią sam Steven Spielberg.

Dublerka to powieść o bezwzględny świat filmu. O karierze będącej udziałem tych, którzy nie mają ani talentu, ani umiejętności, ale mają to coś, co sprawia, że się wybijają. Nieznana angielska aktorka, Jules, niespodziewanie otrzymuje swoją życiową szansę - pracę dublerki gwiazdy filmowej. Jej świat, jej życie wywraca się do góry nogami. Skażona miłość, chorobliwa zazdrość i niezwykła zemsta - wszystko to staje się jej udziałem.

ISBN 83-7301-179-X



0-7883764011795



REBIS

Cena 33 zł

Deborah Moggach
DUBLERKA

Przełożyła Marta Jabłońska-Majchrzak

DOM WYDAWNICZY REBIS

POZNAŃ 2002

Tytuł oryginału *The Stand-In*

Copyright © 1991 by Deborah Moggach All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2002

Redaktor

Katarzyna Raźniewska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki

Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Fotografia na okładce

Piotr Chojnacki

Wydanie I ISBN 83-7301-179-X

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Fotoskład: Z.P. *Akapit*, Poznań, ul. Czernichowska 50B, tel. 87-93-888

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca S.A. Kraków. Zam. 372/02

Dla Mela

Podziękowania

Dziękuję Mercedes Burleigh, królowej dublerek, oraz dublerowi Tomu Hanksa w *Dużym* (uroczemu człowiekowi, którego nazwisko, całkiem stosownie, zapomniałam). Dziękuję Johnowi Guare'owi za opowieść o Mary Pickford oraz Stephenowi Frearsowi za to, że zaprosił mnie na plan. Za udzieloną mi pomoc wdzięczna jestem Debbie Stead i Mike'owi Shusterowi, Dickowi Hessowi, Ivanowi i Susi Sharrockom oraz matee Stevena Spielberga, Leah Adler - właścicielce „Milky Way”; Rickowi Finkelsteinowi, Fredi Friedman, Nadii Lawrence, Mike'owi Shallowi i Peterowi Ginsbergowi. Serdeczne podziękowania dla Joan M. Devereaux z Zakładu Karnego w Bedford Hills za jej uprzejmość. Dzięki dla Mela, jak zwykle. A nade wszystko jestem wdzięczna Susannah York, która skrzesała iskrę tego pomysłu, oraz Maurice'owi Hattonowi, który nas sobie przedstawił.

Deborah Moggach

1991

LONDYN

Jeden

Piszę te słowa na północy stanu Nowy Jork. Na zewnątrz niebo jest litym błękitem i wydaje się, że mogłabym go dotknąć. Natomiast tutaj, w środku, panuje nieznośny upał; odnoszę wrażenie, że włosy mam ciężkie jak hełm. Tam, w końcu korytarza, oglądają jakiś popołudniowy film. Słyszę okrzyki oraz pojedyncze wystrzały z broni palnej.

Kiedy Mark Chapman zastrzelił Johna Lennona, oświadczył, że było to jak film. Powiedział: „Myślałem, że on po prostu upadnie. Myślałem, że upadnie, tak jak to robią na filmach, że padnie martwy. Przecież miał w sobie pięć kul”.

Słowa godne aktora! Kiedy się bowiem gra, człowiek znajduje się jednocześnie wewnątrz danej osoby i na zewnątrz, jako obserwator. Wślizgujemy się w jakąś postać niczym dłoń w rękawiczkę; osoba, którą się staliśmy, zarówno ukrywa nas, jak i odsłania. Obserwujemy, jak poruszają się nasze palce i mięśnie twarzy; obserwujemy, jak słowa opuszczają nasze usta. Kiedyś miałam zwyczaj zapalać zapalki i przyglądać się, jak płoną, dopóki nie zaskowytałam z bólu.

Nieludzkie, prawda? W chwili śmierci ludzie oddzielają się od swojego ciała, jak gdyby nad nim zawisają. Ze spokojem spoglądają w dół, na własną agonię. Aktorzy robią to nieustannie.

Jak przytrzymane szczypcami podsuwają nam i ukazują swoje trzepoczące się jestestwo. Innych ludzi również.

Trzepoczący się Trev.

Trzepocząca się Lila.

Czasami śmiertelnie mnie to przeraża. Założę się, że przy najbliższej

okazji, kiedy będziecie obserwować jakąś aktorkę, też się przerazicie.

Gdybym się zastrzeliła, czyby bolało? Czy może prowadziłabym obserwację siebie samej i notowała, jak przekonywująco umieram?

Patrzę na siebie sprzed niemal dwóch lat, zupełnie jak gdyby tamta nie była mną. Właśnie gra w jakimś filmie. Zaczyna się on sceną na którejś ulicy północnego Londynu, w szary, sierpniowy dzień. Ma trzydzieści osiem lat. Zazwyczaj chodzi w T-shirtach i dżinsach, ale dzisiaj, jako aktorka, ubrana jest w srebro. Mysia blondynka. Dość szczupła. Całkiem ładna. Nie na tyle jednak, żeby zatrzymywały się auta, kiedy stoi przy przejściu dla pieszych; to nie ten typ. Nie przypomina Lili.

Postrzegam to jak film; to pewnie jest częściowo powodem wszystkich kłopotów. I jedynie ja wiem, jak ten film się skończy.

Przeżyłam wtedy upokarzającą noc z Trevem i byłam obolała. Obolała od trwających całą noc starań, żeby wykazać się jak najlepiej. Gdzieś na ulicy zawył nagle alarm samochodowy; odpadliśmy od siebie, ostudzeni, jak dwie przeciwne drużyny na dźwięk gwizdka sędziego.

Trev był moją gorączką; był moją chorobą. On i ten jego filisterski uśmiešek. Wypytywałam go o przeszłość.

- Znałem kiedyś taką jedną - powiedział.

- Nie nazywa się jakoś? - naciskałam, nagle, niedorzecznie, w imieniu jakiejś kobiety sprzed lat, domagając się dla niej sprawiedliwego traktowania.

Był taki próżny i zarozumiały. On i ten jego filisterski fiut, który ronił łzy, kiedy go dotykałam. Co mnie samą przywodziło do płaczu.

Byliśmy ze sobą od osiemnastu miesięcy, a mnie się pogarszało. Byłam zazdrosna o wszystko, czego dotknęła jego dłoń. Potrafiłam być zazdrosna o stary czajnik, którego już zresztą nie miał; czy daleko stąd do niepoczytalności? Oczywiście nie mówiłam mu o tym. W każdym razie o rozmiarach, jakie to osiągnęło. Kiedy byłam sama, doprowadzałam się do takiego rozgorączkowania, że byłam zazdrosna o przyszłość, o

wszystkie kobiety, z którymi mógłby spać kiedyś, po mnie. Miał zaledwie dwadzieścia siedem lat; któregóż dnia wyślizgnie mi się przecież z rąk.

On i ta jego szczecina na brodzie. Twarz miałam obolałą; w lustrze moje usta robiły wrażenie rozmazanych. Zzymając się, zwilżyłam sobie podbródek Chanel numer pięć. Występowałam w *Gertie i gigantach*, w przedstawieniu dla dzieci o ginących lasach tropikalnych. Większość grających stanowili studenci ze szkoły aktorskiej. Przebrani byliśmy za wielonarodowe firmy - nieruchomości, budulec, McDonald'sy, wszystkie one wycinały lasy, w których miejsce powstawały pastwiska. Martin, nieszczęśliwie zakochany w Adrianie, wchodził do odpowiednio przygotowanej metalowej beczki; grał Toksyczne Odpady.

Nazywano nas Teatrem Pierwszej Pomocy, ponieważ jeździliśmy starym ambulansem. Kiedyś, po jakimś przyjęciu, nakryłam w nim Treva całującego Natalie, ale on oznajmił, że robił jej sztuczne oddychanie metodą usta-usta.

Wszyscy oni byli w podobnym wieku jak Trev. Ja miałam trzydzieści osiem lat; byłam najstarsza. Grałam Dobrą Wróżkę, która prowadzi Gertie przez las. Spełniam jej trzy życzenia i wspólnie ratujemy drzewa. Było to wszystko dość pocziwe, ale wtedy wierzyłam w tego rodzaju rzeczy.

Na zewnątrz było szaro, nadal trwał ranek. Przez okno widziałam amputowane ramiona płątana; przycięła go lokalna rada. Zaciągnęłam zamek mojej srebrnej sukienki wróżki, kupionej w sklepie Oxfamu*. Gdybym tylko mogła przyznać sobie samej spełnienie trzech życzeń, to wszystkie trzy zachowałabym w tajemnicy.

* Oksfordzki Komitet na Rzecz Głodujących; organizacja zbierająca fundusze na pomoc zagraniczną; prowadzi sklepy z używaną odzieżą (i nie tylko) (wszystkie przypisy od tłumacza).

Tam, za drzwiami, w sali dzielnicowego ośrodka, czekały dzieci. Powinnam była się skupić i wejść powoli w rolę. Wciągając rajstopy, skakałam na jednej nodze i uderzyłam się o umywalkę. W moim wieku powinnam występować w jakimś telewizyjnym serialu, w całości nakręconym na taśmie filmowej, z jęklwym obojem na ścieżce dźwiękowej.

Adaptacja jakiejś zapomnianej feministycznej powieści z lat trzydziestych; miałyby ujmujące kostiumy z epoki, gołębie szarości oraz pióra i cały rząd nagród BAFTA*. Powinnam występować na West Endzie, w nowej sztuce Toma Stopparda napisanej specjalnie dla mnie, a nie dla Felicity Kendal. Powinnam zagrać Violę, nim będzie za późno. Powinnam mieć dziecko.

- Widziałas moje liście? - spytało drzewo.

- Widziałeś moje warkocze? - spytała Gertie.

Rob, który grał Big Maca, zamilkł, po czym powiedział:

- Zachowują się dziwnie cicho.

Wyjrzelismy za drzwi. Dzieci nie było.

* Brytyjskiej Akademii Sztuki Filmowej i Telewizyjnej.

Wcześniej nie zauważyłam niczego niezwykłego. Była to ulica szeregowców w północnym Londynie, jedna z tysięcy. Nie miałam pojęcia, dlaczego wybrano właśnie tę. Wiele miesięcy później przypomniałam sobie tamtą chwilę, kiedy stanęłam na chodniku w tej swojej srebrnej sukience. Panował nienaturalny spokój; powietrze ani drgnęło, jak wtedy, kiedy jest się dzieckiem i wszyscy kryją się przed nami.

Ulicę zamknęto. Spojrzałam w górę. Domy miały oczy; widziałam twarze w oknach. Ludzie wychylali się z nich, obserwowali. Ulica na samym końcu zablokowana była furgonetkami, a na kilku ostatnich domach jarzyły się światła. Domy te wyglądały na świeżo odmalowane i przez moment sądziłam, że pewnie zostały odnowione przez lokalną administrację.

Potem uświadomiłam sobie, że podretuszowano je tylko na użytek filmu. Po jezdni ciągnęły się grube, czarne kable; przeszłam nad nimi. Tłum ludzi obserwował ujęcie; wśród nich była moja utracona publiczność - tamte dzieci.

Kręcenie filmu jest czymś niedorzecznie ponętym. Ludzi przyciągnął magnes tamtych błyszczących fasad. Ich ulica zyskała tymczasowo nową tożsamość, zupełnie jak gdyby sobie to wyśnili. Wczoraj sklepik na rogu był zwyczajnym miejscem, gdzie sprzedawano gazety, czasopisma i tym podobne, z jednym oknem zabitym deskami, drugim wypełnionym

kartonami pełnymi jednorazowych pieluszek. Teraz przeobraził się w sklepik narożny z prawdziwego zdarzenia - taki, jakich obecnie się już nie widuje. Miał świeżo wymalowany napis i słoje ze słodyczami na wystawie. Wyglądał ponuro i jednocześnie wywoływał uczucie nostalgii, jak wspomnienie trunkowego wuja.

Mała dziewczynka stojąca obok mnie dłubała w nosie. Jakiś mężczyzna przegonił nas do tyłu, jakbyśmy byli stadem bydła.

- Co kręcicie? - spytałam. Miałam ochotę dodać: Ja też jestem z branży.

Jednak mężczyzna mamrotał coś do walkie-talkie. Kobieta z wózkiem szepnęła do mnie:

- To się nazywa *Okowy ciała*. - Spojrzała na zegarek. - A ja wsadziłam kurczaka do piekarnika.

Mijały minuty. Ktoś wpadł na mnie; dzieci kręciły się niespokojnie, ale ja wiedziałam, że dla mnie one są już stracone. W końcu trwały przecież letnie wakacje. Nikt ich nie zmuszał, żeby oglądały *Gertie i gigantów*. Pomyślałam o Robie ściśniętym połówkami buły; w tej chwili pewnie wyzwala się ze swojego kostiumu Big Maca. Żegnajcie lasy tropikalne.

A potem ktoś kazał nam być cicho.

- Możemy zaczynać! - dobiegł nas głos z daleka.

Zapanowała kompletna cisza.

Drzwi sklepiku na rogu otworzyły się, odezwał się dzwonek i na zewnątrz wyszła jakaś para, kobieta i mężczyzna.

Skąpało ich światło. W jego blasku śmiali się bezgłośnie. Mężczyzna trzymał na patyku jabłko w polewie z toffi. Zatrzymali się. On z czułością podał jabłko kobiecie. Ugryzła kęs. A potem poszli chodnikiem, ramię w ramię, poza zasięg kamery.

- Jest mniejsza, niż myślałam - powiedział ktoś szeptem.

- A kto to taki? - spytał ktoś inny.

- Lila Dune, ciemnoto! Mówiłam ci już.

Minęło kilka minut. Ze stołówki ekipy płynęła ku nam woń curry; zbliżała się pora lunchu.

Następne ujęcie zostało zmarnowane przez przelatujący nad naszymi głowami samolot. Jeszcze następne przez tumult, jaki wybuchł w grupie chłopców.

- Zabierzcie stąd te dzieciaki! - wrzasnął mężczyzna z walkie-talkie.

Nieco znudzona przeniosłam ciężar ciała na drugą nogę. Uda nadal mnie bolały; taki sam ból odczuwałam w dzieciństwie, za każdym razem, kiedy wiele godzin spędziłam na koniu.

Nie rozpoznałam aktora, ale Lila Dune była osobą sławną. Cóż, w każdym razie rozpoznawalną. Specjalizowała się w rolach głupiutkich, nieco szmirowatych blondynek. Widziałam ją w kilku zaledwie filmach; jeden był romantyczną komedią z Nickiem Nolte, inny czymś tam z Burtem Reynoldsem i z mnóstwem samochodów. Grała w nim rolę drugoplanową. Wszystkie z gatunku tych, które natychmiast się zapomina. Takie filmy oglądałam tylko wtedy, gdy powtarzają je w telewizji.

Później wielokrotnie robiłam powtórkę tej chwili, to było takie moje prywatne drugie ujęcie, powtarzane w kółko w głowie. Była to bowiem chwila, w której pierwszy raz zobaczyłam Lilę Dune. Blondynka, bardzo ładna kobieta, ubrana w biały kostium, wyszła ze sklepiku na rogu. Zgrabna. Zaskakująco niska, ale czyż nie tacy są oni wszyscy? Dreszcz podniecenia, owszem. Choć to wszyscy, nawet inna aktorka, odczuwają coś podobnego, kiedy widzą kogoś sławnego, we własnej osobie, na ulicy odgródzonej sznurem, jakby doszło tam do jakiegoś wypadku. Poza tym Lila Dune była Amerykanką, a to jeszcze bardziej czyniło ją gwiazdą.

Niczego innego nie odczuwałam, jestem tego pewna. I nic innego by się nie wydarzyło, gdybym nie zauważyła Erica.

Ekipa akurat robiła sobie przerwę na lunch, a ja szykowałam się do odejścia. Właśnie wówczas krępy mężczyzna ubrany w białą bluzę wyszedł z tamtego sklepiku i zapalił krótkie cygaro. Grał sklepikarza, a ja poznałam go dlatego, że lata temu grał dentystę w sitcomie dla Anglia TV, w którym ja również miałam maleńką rolę. Poza tym mieliśmy tę samą agentkę i raz czy dwa spotkaliśmy się u niej na bożonarodzeniowym drinku.

Gawędził właśnie z tym gościem od walkie-talkie, kiedy mnie zobaczył; pomachał do mnie. Przepisnęłam się przez tłum w jego kierunku.

Palcem wskazał na moją sukienkę.

- Gdzie się odbywa ten bal, Kopciuszk?

Opowiedziałam mu o Gertie, po czym zwróciłam się do tamtego drugiego mężczyzny.

- Ukradliście mi publiczność.

- To Jules Sampson - powiedział Eric. - Świetna aktorka. Mamy tę samą agentkę, Maggie Fitch.

Mężczyzna uściśnął mi rękę i przeprosił za kradzież dzieciaków.

- Nieważne - powiedziałam. - To i tak było ostatecznie przedstawienie.

Lokalna władza musiała ograniczyć wydatki i cofnęła nam subwencję.

- No i po brytyjskim teatrze - oznajmił Eric. - To co zamierzasz teraz robić, skarbie?

Wzruszyłam ramionami.

- Odmalować mieszkanie. - Kłopot w tym, że właśnie je odmalowałam.

- Po czym się poznaje, że ktoś jest aktorem? - spytał Eric. - Kiedy idzie do kibla, to zdejmuje słuchawkę z widełek.

- Na wszelki wypadek, gdyby akurat zadzwonili z Columbia Pictures - dodałam.

- Albo chociaż producenci reklamy żarcia dla psów... - Albo chociaż producenci reklamy dywanów...

- Albo chociaż ci od podkładu głosu do reklamy psiego żarcia - powiedziałam.

Eric zarechotał. Potem spowaźniał.

- Nie poniżajmy skromnych podkładaczy głosów. Powtórki-powtórki-powtórki...

Mężczyzna, którego nazwiska nie chwyciłam, przypatrywał mi się z uwagą.

- Ktoś to kiedyś pani powiedział? - zapytał.

Cóż mogłam na to odrzec?

- Co mianowicie?

- Że jest pani zadziwiająco podobna do Lili.

Uniosłam brwi.

- A więc też mogłabym zostać gwiazdą?

- Ta sama budowa - mówił. Obejrzał mnie z góry na dół i z dołu do góry, zupełnie jakby badał fragment jakiejś budowli. - Podobny układ kostny.

Powinno mi to być bardziej pochlebić. W końcu Lila Dune była cudowna. W zaciemnionych salach kinowych całego świata mężczyznom rwały się do niej serca. Była archetypową tlenioną blondynką, wyglądała, jakby dopiero co wstała z łóżka. Miała perkaty nosek i kocią twarzyczkę, jednocześnie bezbronną i uwodzicielską.

Jednakże wszelkie porównania są pewną formą kradzieży. Z jakiegoś powodu poczułam się jakby rozcieńczona, jak gdyby on skradł mi moje myślenie, moje grubsze rysy, ową Julesność, która nie przystawała do Lili Dune.

Może jednak pochlebilo mi to bardziej. Być może. Teraz nie potrafię już tego powiedzieć; takie przewidywanie po fakcie miesza nieco we wspomnieniach dotyczących tamtej chwili. Kiedy bowiem tamtego parnego, sierpniowego dnia stałam tak w stroju wróżki, nie miałam najmniejszego pojęcia o przyszłym spełnieniu życzeń i to nie Gertie, ale moich, ani o własnej bezsilności, która nie pozwoli mi się im oprzeć. Nie zdawałam sobie też sprawy z tego, że owo spełnienie będzie pewną formą kradzieży, jako że zawsze kiedy coś otrzymujemy, coś innego jest nam odbierane. Wszystkie istoty ludzkie zajmują się mniej lub bardziej zakamuflowaną wymianą i jedynie wówczas, kiedy okradną nas z czegoś najcenniejszego, uświadamiamy sobie, że jesteśmy jednocześnie i rabusiami, i obrabowanymi.

Wtedy nie myślałam o niczym takim. Dwa lata temu nie byłam prymitywniejszym stworzeniem, a jedynie stworzeniem mniej świadomym. Poszłam z trupą Teatru Pierwszej Pomocy do pubu, kobieta z wózkiem zapewne udała się do domu, do swojego pieczonego kurczaka, a wszystkie dzieci się rozproszyły i już nigdy więcej ich nie zobaczyłam. Tamtego wieczoru w stu domach ktoś mówił komuś, że widział Lilę Dune, a nikt nie powiedział nikomu, że widział mnie.

Brzmi to egocentrycznie. Bo takie jest. Kiedy jednak mówię m n i e, mam na myśli również w a s.

Dwa

To oczywiście, że nigdy nie powinnam się była zadawać z Trevem. Ani zresztą, jak się okazało, on nie powinien był zadawać się ze mną. Zabawne, że teraz potrafię przywołać w myślach dokładny wizerunek Treva, chociaż przez całe miesiące jego twarz była w mojej pamięci zamazaną plamą, tak żeby nasze spojrzenia nie mogły się spotkać. Ta metoda nadal mi pomaga, trochę.

Był absolutnie, powalająco czarujący. Takie to było proste. Założę się, że oczarowałby i ciebie, chyba że akurat sypiałby z twoją żoną, a i wówczas możliwe, że ostatecznie byś mu wybaczył, bo gdzieś, pod tym wszystkim, obaj byście wiedzieli, że on jest jednym ze swoich. Kumplem. Jednym z tych zuchów.

Każdemu był w stanie sprzedać wszystko. W istocie tak właśnie się poznaliśmy: sprzedał mi kilka nadstawek kominowych. Wystawiłam je na balkon jako donice na roślinki. Później odkryłam, że miały dwa razy wyższą cenę niż takie same nadstawki w jakimkolwiek sklepie, ale wtedy było już za późno.

Nie był wysoki... minimalnie wyższy ode mnie. Szczupły i krzepki, i miał w sobie dwa razy więcej życia niż wszyscy inni, których znałam. Może się to wydawać dość dziwnym określeniem, ale jest ono najbliższe tego, co chciałabym wyrazić. Zupełnie jak gdyby gdzieś w jego wnętrzu istniały mocno naciągnięte stalowe struny, nieustannie podzwaniające. Ciemne włosy, błyszczące oczy, figlarny uśmiech. Szelmowski. I zawsze był niespokojny... podzwaniał kluczykami od swojej furgonetki, był

nerwowo i czujny. Jak w przypadku wielu innych atrakcyjnych osób, nietrudno było zgadnąć, jakim był dzieckiem. Pełen wdzięku, nieuchwytny, śmiały. A kiedy nagle skupiał na tobie wzrok, zwyczajnie topniałaś od tego żaru w jego oczach.

Naprawdę, nie wiem; to chyba nie oddaje tego, jaki był. Mogłabym po prostu powiedzieć, że gdziekolwiek się znajdował, tam zawsze coś się działo. Kiedyś na autostradzie jechałam za pięknym sportowym autem tylko dlatego, że chciałam być blisko. Czułam, że to auto lepiej niż my wszyscy wie, dokąd zdąży.

Pod wieloma względami zupełnie do siebie nie pasowaliśmy. Daleko mu było do intelektualisty. Mój ojciec był wicedyrektorem szkoły. Jego - budowańcem. Pracował dla władz lokalnych: modernizował stare nieruchomości w północnym Londynie. Likwidował wiktoriańskie kominki i instalował centralne ogrzewanie. Trev, wówczas nastolatek, uświadomił sobie, że o pół mili dalej klasy średnie uszlachetniają swoje domy, wobec czego łądował tamte kominki do ojcowej furgonetki i wciskał je zwolennikom wzornictwa Laury Ashley. Zrywał boazerię ze ścian, a garderobę z cudzych żon; znał ulice i śmietniki. Kiedyś sprzedał jakiejś kobiecie boazerię, którą sąsiad wyrzucił do pojemnika na śmieci stojącego przed jej domem. I, jak to czarująco ujął, wszedł w tę transakcję całym ciałem.

Kiedy go poznałam, miał dwadzieścia sześć lat i poruszał się w świecie nędznych antykwariatów, facetów z furgonetkami, facetów z psami, facetów z kumplami, którzy potrafili zdobyć dla ciebie wszystko. Dilerów, pośredników, gości, którzy kierowali się lisim instynktem. Znikał na całe dni w jakichś megainteresach. Dla mnie, wychowanej na *Blue Peter** i lekcjach gry na fortepianie, wszystko to było porywająco szachrajskie.

* Cotygodniowy program brytyjskiej telewizji dla dzieci; uczy, jak wykorzystać beużyteczne już rzeczy (kartony, butelki plastikowe itd.) do zbudowania zabawek i modeli.

Byłam od niego o jedenaście lat starsza, a on lubił wytykać mi charakterystyczne dla mojego wieku cechy. Ale przecież każdy romans jest

pewną formą dwustronnej wymiany; jak ujęła to moja znajoma: „Chcesz go dla jego ciała, a on chce ciebie dla twojej głowy”. Powiedział, że mam klasę. Zrobił na nim wrażenie mój zbiór książek oraz fakt, że widział mnie kiedyś w telewizji; był to krótko emitowany na Channel 4 serial, w którym grałam kuratorkę. Podejrzewam, że w jakiś sposób musiało mu się to wydać wspaniałe. Nie byłam zbyt znana i na ogół znajdowałam zatrudnienie w małych, alternatywnych teatrach, które wystawiały nieodkrytych europejskich klasyków, recenzowanych jedynie w „City Limits”. Z powodu mojego wyglądu obsadzano mnie często w rolach gnębionych, inteligentnych żon - grałam na przykład Dorothee Casaubon w adaptacji *Middlemarch*, którą pewna, rozwiązana już obecnie, trupa wystawiła nad tureckim barem w Tufnell Park. W *Namocz to*, przedpołudniowym serialu BBC o prowadzeniu domu. W tego rodzaju rzeczach. Jak większości pracujących aktorek, mnie również nie przydarzył się nigdy ów wielki, szczęśliwy traf, ale jakoś tam zarabiałam na życie, chwytając się niemalże wszystkiego - podkładania głosu, warsztatów szkolnych, wideo zatytułowanego *Zapomniane kobiety historii* dla Uniwersytetu Otwartego. I chociaż nie miałam wielu bliskich przyjaciół, znałam sporo osób z branży. To osobny, zamknięty świat i wcale nie taki zawistny i straszny, jak sądzą ludzie. W istocie jest on lojalny, ponieważ nikt na świecie nie jest równie niepewny swojej sytuacji jak aktor i nikt oprócz drugiego aktora nie zna jego odczuć.

I nie ma nikogo tak niepewnego własnego losu jak aktorka około czterdziestki, która widzi, jak dobre role przechodzą jej koło nosa i przypadają kobietom młodszym i jak nieuchronnie pojawiają się świadczące o jej wieku cechy.

Od chwili, w której mnie poznał, Trev chciał być pisarzem. Nie „pisać”, ale „być pisarzem”, co dla niego oznaczało transakcje dotyczące czegoś bardziej interesującego niż meble. Wyobrażał sobie lunche w piwiarniach Soho z dziennikarkami o chrapliwych głosach, które wypytują go o jego pisarskie techniki. Wyobrażał sobie, jak podpisuje własne książki, niczym jakaś gwiazda rockowa, całej kolejce groupies. Wyobrażał sobie swój status społeczny. Naturalnie, pieniądze. A przede

wszystkim - możliwości. Uważał, że jego życie mogłoby się zmienić w jeden dzień. Zgłosił się z Columbia Pictures... nie do mnie, ale do niego.

Miał kawalerkę w Islington. Zaczął tam pisać, nocami. Ja mieszkałam o kilka mil stamtąd, w Belsize Park, w dzielnicy kremowostrukcyjnych domów, typowych dla klasy średniej. Wieczorami, niczym jego niewolnica, wkładałam pas z podwiązkami i pończochy, bo on uwielbiał tam właśnie dotykać mojej skóry. Wydałam u Fenwicka fortunę; odbywałam tam samotne, zmysłowe pielgrzymki i pod surowym okiem austriackiej sprzedawczyni tak ciasno sznurowałam gorset, że z trudem łapałam oddech. Czułam się jak jakaś gwiazdka. Moje ciało starzało się, on jednak pobudzał mnie w sposób, jakiego wcześniej nie znałam, i dlatego chciałam poświęcać się dla tych rozkoszy. Pod wprowadzającym w błąd ubraniem byłam jego ladacnicą. Żalotne, nieprawda?

Moją podróż do Islington przerywała sygnalizacja świetlna. Przy jednych światłach przechylałam ku sobie lusterko wsteczne i nakładałam pomadkę; pod następnymi, przy Caledonian Road, czesałam włosy. Z biciem serca przygotowywałam się dla niego w tej mojej widocznej dla wszystkich, małej garderobie. Odwlekałam owe przygotowania aż do momentu, w którym znalazłam się w samochodzie. Fakt, że przechodnie dzielili ze mną ostatnie poprawki, czynił całą tę sprawę jeszcze bardziej zmysłową. Zawsze lubiłam być oglądana.

Naturalnie, pasożytował na mnie. To ja przynosiłam jedzenie i wino, pożyczalam mu pieniądze i to ja zostawałam z pustą paczką po papierosach. Jednak nie przyznawałam nawet przed sobą, że to zauważam. Po prostu gotowałam mu kolację, a kiedy on był blisko mnie, zasychało mi w ustach. Miesiącami, jak jakaś studentka, nie wiedziałam nawet, co pokazują w telewizji. W jego obrzydliwej kuchence, gdzie farba oblażyła ze ścian, dotykał mnie, a ja otwierałam się dla niego niczym kwiat. Najpierw jedliśmy, bo był taki głodny; potem nastawiał taśmę Rya Coodera i pociągał mnie na łóżko. Lubił powolny seks, w rytm gitary.

Nad ranem wracałam do domu, spocona, zgrzana, z piekącą skórą i w krzywo zapiętej bluzce. Ilekroć zaczerpnęłam głębszy haust powietrza,

czułam na twarzy jego zapach. Mijałam te same światła w odwrotnej kolejności. Te nędzne skrzyżowania były mi w jakiś sposób drogie. Odczuwając intymną bliskość z nieoświetlonymi domami po obu stronach ulicy, wyjmowałam szczotkę i przez krótką chwilę cesałam skłębione włosy. Zawsze marzyłam, żeby jakiś mężczyzna naprawdę mnie sponiewierał. Kiedy docierałam do Belsize Park, włosy wciąż miałam splecione.

Czułam się poturbowana, posiniaczona, ociężała. Wyzwolona. Czułam się cudownie. Trev należał do tego rodzaju szajbusów, którzy na widok rozsierdzonej feministki powiadają, że jedyne, czego jej potrzeba, to solidne pieprzenie. Powiedziałam wam już wcześniej, że gardziłam sobą.

Po powrocie do domu brałam długą kąpiel i dołączałam do mojej drugiej ja. On tymczasem, tam, w swoim mieszkaniu, zabierał się do pracy. Kiedy już zaczął, pisał szybko, i wkrótce napisał kilka raczej wtórnych, mało oryginalnych opowiadań oraz jedną sztukę teatralną. Nosiła tytuł *Wykorzystaj mnie* i mówiła o należącej do klasy średniej kobiecie, masochistycznie wręcz uzależnionej od swojego hydraulika. Nie było tam żadnego owijania w bawełnę i duża część akcji rozgrywała się na kuchennym stole. Naturalnie, z nagich, sosnowych desek.

Spróbuję być obiektywna. Nie można powiedzieć, że była to dobra sztuka - fabuła była beznadziejna, poza tym uważałam, że ta kobieta jest nieprzekonująca. Nie miałam ochoty zbyt wiele się nad nią zastanawiać. Niemniej Trev miał dwa talenty, których brak większości lepszych pisarzy. Pisał dokładnie tak, jak mówił - językiem bezpośrednim, slangowym, niewybrednym. A co ważniejsze - choć takie być nie powinno - wiedział, jak to sprzedać.

Korzystał ze mnie, naturalnie, tak jak korzystał z mojego auta i mojej pralki, i z mojego niewolniczo oddanego, starszawego ciała. Korzystał z moich kontaktów w teatrze i po ciągnących się mniej więcej rok prześróbkach, telefonicznych rozmowach, zakrapianych alkoholem lunchach i nieodpartym czarowaniu doprowadził do tego, że pewien mój znajomy, producent-radykał, sam zresztą sympatyczny młodzieniec, zajął się jej

produkcją w lokalu mieszczącym się nad pewnym pubem w Tottenham.

Premiera odbyła się w sierpniu. Myślałam, że zaproponują mi główną rolę, jednak dostała ją była żona reżysera, który w ten sposób próbował ją zmiękczyć, żeby przestała mu utrudniać kontakty z dziećmi. Naturalnie, zachowywałam się, jakbym nie miała nic przeciwko temu. Trev ani domyślał się prawdy. Ale on nie miał pojęcia, jaka wspaniała ze mnie aktorka. Nikt nie miał.

Mieszkanie Treva było obrzydliwe, on jednak nigdy nie zaproponował, że je zostawi i wprowadzi się do mnie. Mieściło się na parterze domu przy ruchliwej, jednokierunkowej ulicy. Sąsiadów widywało się jedynie wtedy, gdy pojawiali się funkcjonariusze zakładający blokady na koła samochodów. Wówczas z mieszkania do mieszkania szedł okrzyk „Blokownicy, blokownicy!”, zupełnie jakby pojawili się przeprowadzający rekrutację oficerowie. Naprzeciwko mieścił się wielki sklep meblowy. Przez calutki dzień szczęśliwe pary parkowały tam auto w auto, a po zakupach wynurzały się z jego wnętrza z przeróżnym sprzętem domowym. Trev jęczał na widok dziecięcych fotelików na tylnych kanapach samochodów i mówił: „Wyobraź mnie sobie przy zmienianiu pieluszek”. Głaszcząc go po wewnętrznej stronie uda, szeptałam: „Wyobraź sobie mnie”.

Materac leżał na podłodze. Kiedy się z niego podniosłam, poczułam ból w krzyżu. Jestem na to za stara, pomyślałam sobie. Naga napełniłam czajnik wodą z kurka przy zlewie. Trzymałam się plecami do Treva, żeby nie widział mojego sflaczałego brzucha. Było sobotnie popołudnie. Na zewnątrz dwaj chłopcy jeździli czymś metalowym po ogrodzeniu.

Jeden odezwał się:

- A ja potrafię powstrzymać czkawkę.
- No i co, kurwa, z tego? - rzucił ten drugi.

Ulica przymglona była siatkową firanką poprzedniego lokatora; Trev nie należał do tych, którzy lubią uwić sobie przytulne gniazdko. Włączyłam czajnik. Powinna już być na lekcji tańca. Znow będę musiała kłamać, kiedy się z nimi spotkam.

No, ale w łganiu byłam dobra. Poprzedniego wieczoru powiedziałam Trevowi, że nie mogę się z nim spotkać, bo mam wyjście. W rzeczywistości jadłam sobie grzanki z serem i oglądałam *Bergeraca*. Chciałam jednak, żeby myślał, iż mam jeszcze inne życie; nawet więcej, chciałam przekonać samą siebie, że wciąż mam w sobie jakieś życie i że potrafię przetrwać samotny wieczór. Bo i przetrwałam, czyż nie?

Trev podszedł do mnie z tyłu. Czasami lizał mnie po kręgosłupie. Czasami układał alfabetycznie wszystkie fragmenty mojego ciała. Czasami pisał mazakiem na moich pośladkach słowa, których nie mogłam zobaczyć, chyba że w lustrze. Raz było to coś czulego, innym razem przepis na słodkie bułeczki. Naturalnie, sam go wymyślił; jeśli chodzi o gotowanie, był zupełnie beznadziejny. Tego dnia był niewidomym, który usiłuje odkryć, kim jestem.

- Mmm... kobieta - powiedział, zanurzając twarz w moich włosach. Zsunął dłonie z moich ramion na piersi. - Tak właśnie myślałem. Zgadłem za pierwszym razem. Inteligentne sutki. Jest pani adwokatem. - Jęknął. - Czarne szpilki, stateczna spódniczka... - Pokręciłam głową. Opuścił dłonie na moje biodra. - Hmmm... rodzące prozę biodra. Jest pani jedną z tych powieściopisarek. Pisze pani o cudzołóstwie amatorów quiche i pragnie, żeby przeleciał ją Melvyn Bragg.

- Nie ma takiego niebezpieczeństwa. A quiche jest passé.

- Nie? Czyżby pomyłka? - Opuścił dłoń niżej. Napięłam mięśnie. Znieruchomiał, palce miał wilgotne. - Aha - wymamrotał. - Teraz już wiem. - Szeptał do mnie, jego oddech parzył mi ucho. Kiedy szeptał, moje ciało otwierało się niczym usta. Odwróciłam się do niego na słabnących nogach. Zamknął znajdujące się za mną drzwi do łazienki i przycisnął mnie do nich. Nadal byłam wilgotna, jeszcze od poprzedniego razu. Z jękiem przywarłam do niego, kiedy wślizgiwał się we mnie.

- Hayley! - Głos kobiecy, blisko. - Wyrzuć to!

Zapłakało jakieś dziecko. Zawył silnik samochodu na wysokich obrotach, a ja poczułam zapach spalin. Kilka stóp od nas toczyło się sobotnie życie. Drzwi zagrzechotały, kiedy w nie uderzyłam.

Podłożył dłoń pod moją głowę, żeby ją ochronić, i uśmiechnął się. Jako kochanek potrafił być zaskakująco, choć na krótko, delikatny.

A ja przez cały ten czas obserwowałam swoje ruchy i słuchałam swoich krzyków. Nieludzkie to dźwięki, prawda? Odgrywałam je dla niego i dla całej tej publiczności, do której nigdy nie udało mi się dotrzeć. Ludzie aż wychylali się do przodu ze swoich foteli.

Przyklejeni do siebie osunęliśmy się na podłogę, by ostatecznie znaleźć się w łóżku. Czajnik bluzgał parą na tapetę. Potem on się śmiał, gładził palcem mój policzek. Wstałam i od nowa zaczęłam robić herbatę.

- Zgadnij, kogo wczoraj widziałam? - spytałam, otwierając lodówkę. Wyjęłam mleko i powąchałam. - Lilę Dune.

Jęknął.

- Lilę Dune!

- Jest w Londynie, kręci film. - Zamilkłam na chwilę. - Pewnie zarabia tyle, ile wynosi przeznaczony na sztukę roczny budżet rady miejskiej. - Odwróciłam się. Leżał na materacu, oczy miał zamknięte. - O co chodzi?

- O Lilę Dune - mruknął. - Znów mam erekcję.

- Dlaczego? - Spojrzałam na niego z góry. - Nie widać, żebyś miał.

- Pamiętasz ją w *Berku*?

Skinęłam głową.

- Beznadziejny film. W tym czasie musiałeś jeszcze nosić pieluszki.

- Byłem napalonym nastolatkiem. Pamiętasz, jak wychodzi z basenu, cała mokra i...

- No już dobrze! - Zaczęłam szukać pudełka z herbatą ekspresową, którą dla niego kupiłam. - W każdym razie teraz to już wapniaczka.

- Jest w twoim wieku.

- Jest starsza! - Zamilkłam. Pewnie nie jest. Czasami mnie samą

zaskakiwał własny wiek. Trzydzieści osiem lat to coś, co miały inne kobiety, kobiety, które widywałam na zakupach.

- Powinnaś być wdzięczna losowi, że lubię dojrzałe kobiety. Z moim nienasyconym popędem płciowym i z ich doświadczeniem... - Ponownie zamknął oczy. - Miałem jej zdjęcie na ścianie, z „Time Out”, wypełniała sobą sukienkę, jakby ją do niej wiano. Kładłem się do łóżka i...

- Oszczędź mi swoich nieciekawych masturbacyjnych fantazji...

- Ona i Angie Dickinson w tym policyjnym kawałku...

- Angie Dickinson! Rzeczywiście jesteś gerontofilem.

- Kim?

Szorowałam jego kubki. Zajrzałam do środka.

- Wyglądają koszmarnie.

Chciałam go mieć przy sobie, we własnym domu, pijącego z moich czystych filiżanek. Chciałam, żeby chciał ze mną zamieszkać. Chciałam mieć jego skarpetki i slipy we własnej komodzie, pod moim szczelnym dachem. Chciałam, żeby nie znał przede mną żadnej kobiety. Byłam upokarzająco zazdrosna i zaczynało mi się to wymykać spod kontroli. Zazwyczaj jakoś się maskowałam. Kiedy, na przykład, wspomniał jakies dawne wakacje w Hiszpanii, usiłowałam, za pomocą zawołowanych założeń udowodnić, że towarzysząca mu tam osoba była kobietą. Tak zresztą oczywiście było - odkryłam to, kiedy pojawił się temat plaży dla pań w toplessie. Odczuwałam jakąś cierpką satysfakcję, jakby gorzki osad na dnie żołądka. Niemalże rozkoszowałam się własną niedolą. Na sposób wręcz pornograficzny podniecałam się wizjami tych dwojga w setce hotelowych pokoi. Byłam szalona; wiedziałam o tym. Nieważne, jacy są młodzi, każdy przecież posiada jakąś przeszłość - ja miałam przeszłość, na miłość boską, i to o jedenaście lat dłuższą od niego, ale on jakoś nigdy nie wykazał zainteresowania nią. Moje wysiłki, by go tym rozdrażnić, rozbawiały go jedynie, a ja czułam się szczeniacko wzburzona.

Trev nie zastanawiał się nad przeszłością i nie snuł rozważań o przeszłości. Przypuszczam, że po części to właśnie czyniło go atrakcyjnym

dla kogoś takiego jak ja, kogoś, kto planował i przemyśliwał. On żył prosto, w teraźniejszości, niczym zwierzę.

Kiedyś poszłam do winiarni, gdzie pracowała jego była dziewczyna. Miała na imię Dawn. Złapałam się na tym, że niczym zakochana uczennica zapisuję jej imię na marginesie tekstu, którego się właśnie uczyłam. Dawn. DAWN. Winiarnia znajdowała się w Battersea, po drugiej stronie Londynu. Dla zachowania równowagi sama siebie przekonałam, że i tak muszę się udać w tamtą okolicę, żeby obejrzeć wyposażenie łazienek. Niemalże dałam się przekonać własnej grze, po tym jak spędziłam cały ranek, oglądając bidety. Potem kręciłam się przed winiarnią, tak od niechcienia, jak ktoś, kto umówił się tam na pierwszą randkę. Ona była ciemnowłosa i bardzo ładna. Weszłam do środka i usiadłam; kiedy przechodziła obok, przyglądałam się jej ustom i piersiom z taką uwagą, że mnie samą mocno to zaniepokoiło. Obsesja, jak sądzę, jest pewną formą pożądania; kiedy płaciłam, trzęsły mi się ręce. Wróciłam wieczorem i znów ją obserwowałam. Kiedy spojrzałam na zegarek, okazało się, że spędziłam tam już czterdzieści minut. Czułam się jak skrytobójca czekający na kogoś bardzo znanego. Przesiadywałam tam wieczór w wieczór.

Opowiadałam wam to, bo a nuż zrozumiecie. Teraz już nie potrafię powiedzieć, czy byłam normalna - w pewnym sensie, wiecie to lepiej ode mnie. Bo widzicie, w świetle tego, co zaszło, musiałam przemodelować swoją przeszłość. To jedyny sposób, bym ją rozumiała, jednak czyniąc to, utraciłam ową precyzyjnie ścisłą rzeczywistość. To tak, jak gdyby w mojej kuchni doszło do eksplozji; wracam i stwierdzam, że garnki są pogięte. Wybuch na zawsze odmienił te przedmioty; nie potrafię stukaniem przywrócić im poprzedniego kształtu... nie do końca.

Dziewczyna, z którą byłam w jednej klasie, zginęła później w katastrofie lotniczej. Kiedy o niej myślę, nie jest Anną-uczennicą, lecz Anną-mającą-wkrótce-zginąć. Kiedy zdarza się tragedia, traci się nie tylko tę osobę, traci się również dokładną, niczym nieprzytępioną pamięć o niej. Jest to podwójnie smutne, bo ponosi się stratę nie raz, ale dwa razy.

Trzy

W poniedziałek odebrałam telefon od swojej agentki. Na początku nie chwyciłam, o co chodzi. Jakiś mężczyzna, o którym wcześniej nie słyszałam, zadzwonił do niej z wytwórni filmowej.

- Chodziło o mnie? - Ścisnęło mnie w żołądku.
- Widzieliście się w piątek - oznajmiła Maggie. - Nie pamiętasz?
- W piątek?

Maggie, moja agentka, nie wydawała się tym wszystkim zbyt podekscytowana. W istocie zachowywała się tak jakoś niepewnie... a nie było to określenie, które przychodziło do głowy jej klientom, kiedy ją opisywali.

Chodziło o tamten film, *Okowy ciała*. Nie, nie była to ściśle mówiąc rola. Z drugiej wszakże strony, była to praca. Dublerkę Lili Dune pobił dotkliwie jej były mąż.

- Czyj były mąż?
- Przecież nie Lili, kochana. Dublerki. Tak czy owak, wyładowała w szpitalu i potrzebna jest im natychmiast inna dublerka. Mniej więcej od jutra. Mają jeszcze trzy tygodnie zdjęć, no i tyle, kochana.

No i tyle, kochana, oznaczało no i tyle, kochana, nie mamy nic więcej na tapecie, prawda? Cóż, kochana, biedacy nie mogą być zbyt wybredni. Czterystoma funtami tygodniowo pogardzić nie można, kochana, a poza tym właśnie dzwoni mój drugi telefon.

Powiedziałam, że to przemyślę, kochana, i oddzwonię.

* * *

Znalazłam wreszcie Treva w Look Back in Ongar. Był to sklep z używanymi meblami, na końcu Essex Road, należący do jednego z jego kolesiów. Trev korzystał właśnie z telefonu; zawsze korzystał z czyjegós telefonu. Uwielbiał telefon, jakby był Amerykaninem.

Look Back in Ongar specjalizował się w meblach owego zgrzebnego, podmiejskiego rodzaju, należących niegdyś do czyichś ciotek, a teraz uważanych za bardzo wytworne. Usiadłam. Nie zawsze wyjścia z Trevem wywoływały u mnie poczucie, że jestem stara. Pod wieloma względami miały na mnie wpływ odmładzający. Poza tym, kiedy byliśmy sami, mogliśmy po prostu być parą - ustami, ciałami, kłótniami. Kiedy jesteśmy z kimś sam na sam, dostosowujemy się do tej osoby, a ona dostosowuje się do nas; nie ma trzeciej osoby, w której niczym w lustrze dostrzegałoby się istniejące niezgodności.

Dopiero jego przyjaciele przypominali mi o moim wieku. W ich obecności zdawałam sobie sprawę, że Trev, praktycznie rzecz biorąc, należy do innego pokolenia. Byli pewni siebie, a jednocześnie niedoświadczeni; wydawali się tacy młodzi. W ich obecności przybierał ich barwy, zupełnie jak kameleon, i sprawiał wrażenie, jakby zawsze taki właśnie był. Niepokoilo mnie to do tego stopnia, że udawałam, iż tego w ogóle nie zauważam.

Odnawiali takie meble, jakie moi rodzice wyrzuciliby z domu. Ubierali się niczym gogusie; smarowali żelem włosy. Słuchali muzyki z szaf grających w otwartych na nowo dawnych barach Soho i odkrywali dla siebie piosenki Buddy'ego Holly'ego, które ja znałam od dzieciństwa. Jeden z nich, pełen szacunku, spytał mnie nawet, jak to było w latach sześćdziesiątych, zupełnie jak gdybym była eksponatem muzealnym. Odpowiedziałam cierpko, że w epoce Dzieci Kwiatów, w roku 1967, miałam zaledwie siedemnaście lat. Trev posłał kciuk i rzucił: „A ja ledwie sześć”. Poczulałam się wtedy, jakbym siedziała w pociągu, a on raptownie by się cofnął. Czy też raczej ruszył naprzód. Jeśli idzie o Treva i o mnie, to takie rzeczy zdarzały się dość często. W zależności od nastroju miały w sobie coś pikantnego, irytującego albo niepokojącego. Czasami uważałam je za dość przyjemne.

Poczekalam, az Max, wlasciciel, wyjdzie ze sklepu. Jakaś stacja telewizyjna wypożyczala trzyczęściowy garnitur mebli i pomagal ładować je na furgonetkę. Przynęłam się do Treva, żeby poinformować go o propozycji, którą otrzymałam. Chciałam, żeby to było jak w przypadku prawdziwej pary i żeby on też wziął udział w podejmowaniu decyzji. Poza tym byłam ciekawa jego reakcji. Z bólem serca uświadomiłam sobie, że nie znam go na tyle, by odgadnąć, jaka będzie jego odpowiedź.

Później, tego samego dnia, miał się spotkać ze swoim agentem i w związku z tym ostrzygł sobie włosy. Miał na sobie szeroką koszulę w pawim błękitcie i czerwony, skórzany krawat. Wyglądał jak żywa reklama coca-coli. Patrzyłam na jego szeroko rozstawione nogi. Patrzeć wywoływało ból; przeniosłam zatem wzrok na półki wypełnione ohydnyymi gipsowymi odaliskami. Bo widzisz, nie miałam żadnego zdecydowanego stosunku do tej pracy dublerki. W tej chwili odczuwałam jedynie to bolesne pragnienie, by mieć z nim dziecko.

- Pomyśl o kontaktach! - mówił tymczasem on. - Kiedy już znajdziesz się w tym towarzystwie. - Sięgnął po jeden z moich papierosów.

- Wiesz, na czym to polega? - spytałam. - Stoi się tam po prostu, a oni przygotowują ujęcie. Oświetlają cię. Jesteś zwykłym manekinem.

- Posłuchaj, manekinie. To tylko pierwszy krok. Gdzie masz zapalniczki?

- Nawet nie byłabym prawdziwą dublerką, tylko jakąś figurantką. Chryste, nawet nie s t a t y s t k ą !

- Posłuchaj, będziesz na planie filmowym. Tam, gdzie ważniaki z cygarami. A poza tym ja chcę zobaczyć, jaka ona jest. Hej, poznam ją osobiście!

- Trev, ja jestem aktorką! Grałam Heddę Gabler. - Fakt, że nad pubem. W Cardiff.

- Posłuchaj, słoneczko. - Przesunął palcem po moim policzku. - Rozegraj właściwie karty, a twoim następnym przystankiem będzie Hollywood. Może przejedzie ją samochód i ty zagrasz tę główną rolę. - Odchylił się do tyłu, wydmuchiwał papierosowy dym. - Mnie w zupełności zadowoli Laurel Canyon.

- O, Laurel. Ta biuściasta gwiazdka, która tak podziwia twoją pracę. Otworzył jedno oko, popatrzył na mnie i powtórnie je zamknął.

- Tylko to sobie wyobraź. Ogromny basen. Głupawy fagas w uniformie przynoszący nam koktajle z bacardi. Zewsząd wylażą napalone ślicznotki. - Westchnął. - Leżysz tam sobie niczym Faye Dunaway, kartka scenariusza zwisa z twoich polakierowanych paznokci.

- Nie chcę jechać do Kalifornii. Chcę pracować w Teatrze Narodowym. - Zaczęłam dłubać w dziurce, którą znalazłam w obiciu kanapy. - Neil Simon powiedział, że to jest raj po zabiegu lobotomii.

- Teatr Narodowy?

Dałam mu łokciem kuksańca.

- Nie interesuje cię moja kariera. Nie interesuje cię nawet ten cholerny teatr. - To była prawda. Wolał chodzić do kina; prawdę mówiąc, jedyną sztuką, jaką obejrzał, była jego sztuka. - Chcesz być po prostu bogaty i sławny?

- A ty nie?

- Ja chcę zagrać Kleopatę, u Petera Brooka.

Tyle że nie grałam Kleopatry, prawda? A potem musiałam wyjaśniać, kim jest Peter Brook, bo Trev nigdy o nim nie słyszał.

W drodze do domu kupiłam trochę owoców. Dzień był słoneczny i miałam na sobie dopiero co uszytą sukienkę odsłaniającą ramiona, trzymającą się na zawiązywanej na karku taśmie. Pierwszy raz w życiu sprzedawca nie nazwał mnie „skarbem” czy „złociutką”. Zwracał się do mnie „pszepani”.

Z jakiegoś powodu to właśnie pozwoliło mi podjąć decyzję.

I tak naprawdę w tym miejscu zaczyna się moja historia. Choć można by rzec, iż zaczęła się ona osiemnaście miesięcy wcześniej, kiedy to pierwszy raz zobaczyłam Trevora na tym budowlanym śmietnisku, Trevora otoczonego priapicznymi nadstawkami kominowymi.

Cztery

Pochodzę z cichego domu. Może właśnie dlatego to podniecenie związane z kręceniem filmu stanowi dla mnie taką atrakcję. Mój ojciec był wicedyrektorem liceum humanistycznego, które włączono do średniej szkoły ogólnokształcącej. Fakt ten złamał mu serce. Był człowiekiem książki, głębokiego namysłu, człowiekiem nie najlepszym w tym, co nazywają relacjami międzyludzkimi - do którego to określenia odnosił się z nieukrywaną odrazą. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek dotknął mnie z czułością, podobnie zresztą jak moją matkę. Jego zadowolenie ze mnie, na przykład, kiedy otrzymywałam najwyższe oceny, przejawiało się tym, że brał z gabinetu aparat fotograficzny i robił mi zdjęcie. Kiedy lata później umarł, przejrzałam jego rzeczy. Trzymał moje listy w osobnych plastikowych koszulkach, każdy z nich datowany jego staranym pismem. Powinnam się była wzruszyć - nawet byłam wzruszona, przez chwilę - ale jednocześnie nienawidziłam go za tę skrytość i za zmarnowanie całego ogromu uczuć.

Byłam też przejęta, bo odnalazłam w tym wszystkim siebie. Moje dawne wysiłki, by przyciągnąć jego uwagę, spotykały się z tak mizerną reakcją, że wracałam wtedy do mojej sypialni, siadałam przed lustrem i obserwowałam swoją smętną, zaszępiłą twarz, szarpana spazmami litości nad samą sobą. Szeptalam do lustra starannie przygotowane własne przemowy oraz jego odpowiedzi, które sobie wymarzyłam. Po dłuższej praktyce naśladowałam go w sposób doskonały - ten nerwowy kaszel, celowe przerwy, sposób, w jaki gładził wąż, dotykając jednocześnie warg. Stałam się dzieckiem zamkniętym, skrytym, żyjącym we własnym

świecie fantazji, gdzie mogłam odtwarzać wszystko tak długo, aż stawało się takie, jak trzeba. Kiedy byłam sama, to oczywiście zawsze działało. Od dwunastego roku życia chciałam zostać aktorką.

Moja matka była ładną, niewykorzystującą swoich możliwości, niedocenianą kobietą, która w jakimś momencie musiała sobie uświadomić, że nie może oczekiwać po swoim małżeństwie niczego wielkiego i po prostu się poddała. Należała do ostatniego pokolenia niepracujących przedstawicielek klasy średniej. W towarzystwie swojego nieustannie buczącego partnera, odkurzacza, każdego ranka przemierzała nasz dom w Arundel, a po południu kładła się do łóżka z całą serią dolegliwości, stanowiących jej ostatnie i w zasadzie nieudane wysiłki, by zwrócić na siebie uwagę mojego ojca. Bo on uważał chorobę za coś wstydliwego i nudnego. Byłam inteligentniejsza od matki i dlatego zdawałam sobie z tego sprawę. Jedynie doskonałość sprawiała mu przyjemność. Zdecydowany liberał, w swoim dawnym liceum wychowywał dzieciaki ku doskonałości, a kiedy poszłam do szkoły dramatycznej, miałam w pamięci jego wizerunek, niczym oprawny w ramy obraz dyrektora, którym nigdy nie został, mówiący mi, bym się starała jeszcze bardziej. Jeśli mi się nie udawało, nie był rozgniewany, a jedynie rozczarowany, co, oczywiście, tylko sytuację pogarszało.

Miałam go wyłącznie dla siebie jedynie wtedy, kiedy znajdowałam się na scenie. Przychodził na wszystkie moje przedstawienia, nawet te okropne, amatorskie, w lodowatych salach komunalnych. Kiedy go przeproszałam, twierdził, że nauczyciele najlepiej funkcjonują w przeciągach. Po spektaklach rozmawialiśmy. Szliśmy do jakiegoś pubu i on stawał mi drinka - zawsze piłam szkocką, bo on ją pijał. Uwielbiał analizować moje teksty - uczył kiedyś angielskiego i wiedział mnóstwo na temat sztuk teatralnych, także współczesnych. Nawet się wtedy ożywił; uświadamiałam sobie wówczas, jakim musiał być znakomitym nauczycielem. Nauczanie, co oczywiste, jest łatwiejsze od ojcostwa, bo można się bardziej zdystansować. W istocie jest to niezbędne. A kiedy już wyrobi się ten dystans, to można, o dziwo, lepiej się porozumieć — to tak jak

mówić przez telefon rzeczy, których nieśmiałość nie pozwalała nam powiedzieć prosto w oczy.

Matka miała zwyczaj świergotać o tym, jak to ja ślicznie wyglądam. On po prostu milkł wówczas - nawet nie wysiłał się, żeby westchnąć - i czekał, aż skończy. A wtedy wracaliśmy do tego, co absorbowało nas bardziej niż cokolwiek na świecie: do słów.

Każdy aktor gra dla kogoś. Musi. Może to być reżyser albo - co rzadsze - producent. Może to być nauczyciel sztuki dramatycznej, jeśli taka osoba była dla niego kimś znaczącym. Może to być jakiś mityczny łowca filmowych talentów, którego, aby poczuć się lepiej, wyobraża sobie siedzącego na widowni. Mogą to być recenzenci, a na ogół jeden konkretny, ten, którego podziwia - pokłosisie tego może sięgać daleko poza premierę. Może to być osoba ukochana, której ukazuje swoją zmysłowość. Może to być również dramaturg, choć to już może być nieco onieśmielające. Może to być po prostu jakiś wymaginowany widz, ktoś przypominający jego samego, pokrewna dusza, która rozumie i docenia to, czego on usiłuje dokonać i czego by dokonał, gdyby tylko posiadał talent. Może to być kilka tych osób po kolei, szczególnie na dłuższą metę, kiedy aktor musi powstrzymać się od zaśnięcia. Może też to być ktoś zupełnie inny.

W swoim środowisku słyszałam już ludzi wspominających wszystkie te osoby. Ja jednak nigdy nie opisywałam tej jednej twarzy spośród mojej siedzącej w półmroku publiczności. Ta twarz należy bowiem do mojego ojca. Zawsze grałam dla niego; w pewnym sensie wciąż dla niego gram.

Dołączenie do ekipy filmowej, która nakręciła już połowę ujęć, jest jak przyjscie do nowej szkoły w połowie semestru. W moim przypadku było jeszcze gorzej. Jak podejrzewałam, dublerka na pewno nie była członkiem ekipy - grupy odzianych w kurtki facetów, którzy, jak zawsze, sami stanowili wszelkie prawa. Albo wyglądali zaskakująco młodo, w obcisłych dzinsach i z pasemkami rozjaśnionych włosów, albo robili wrażenie nieustannie czymś zaabsorbowanych, ogorzałych twardzieli. Nie czułam się też członkiem obsady aktorskiej, której zresztą nigdzie

nie widziałam, choć zakładałam, że przebywa w przyczepie służącej za charakteryzatorkę. Obok mnie przebiegali różni ludzie; kręciłam się zatem w miejscu, z przedziwnym uczuciem, że jestem jakąś niewidzialną zawalidroga. Był chłodny poranek; trzęsłam się z zimna w moim cienkim sweterku. Przygotowywali ujęcie na otwartym powietrzu, na jednej z eleganckich ulic Kensington, przed domem pewnego uczonego. Jakiego uczonego?

W końcu znalazłam przedstawicielkę najniższej z niskich kast: statystkę. Była to kobieta z pudłem, w jakiś dziwny sposób przypominająca moją matkę, choć odziana jak przystało osobie robiącej zakupy w Kensington.

- Ma problemy jelitowe - oświadczyła, przyglądając się psu. - Może nie powinnam była zabierać go do strzyżenia.

Opierając się o murek ogródka, piłyśmy kawę z plastikowych kubków.

- To jest remake starego filmu z lat czterdziestych, którego już nikt nie pamięta - oznajmiła statystka. Miała wysoki głos dystygowanej osoby. - Komedia o starym, ekscentrycznym uczonym, który wynalazł pigułkę zmieniającą płęć. - Grał go pewien trunkowy aktor teatralny, któremu na sam zmierzch kariery przypadł w udziale sukces filmowy. Młodszą od niego amerykańską żonę grała Lila Dune. - Poza tym już nic nie wiem, nie licząc pogłosek, że pannę Dune łączy coś z reżyserem. - Statystka zerknęła na zegarek. - Fachowiec z Hot-point przychodzi po południu, żeby naprawić mi pralkę. Jak sądzisz, popołudnie zaczyna się o pierwszej czy o drugiej?

- O dwunastej - odparłam. - W południe.

Kobieta przyglądała mi się chwilę ze zmarszczonymi brwiami, po czym odeszła.

Nagle pojawił się asystent reżysera, tamten gość z walkie-talkie. Objął mnie ramieniem niczym dawno nie widzianą siostrzenicę i powiedział, żębym z nim poszła.

Filmy kręci się w tak nie powiązanych ze sobą chronologicznie ujęciach, że trudno z nich złożyć fabułę. Zupełnie jakby człowieka popychano w kierunku różnych mebli - stół, bufet - a nigdy nie pozwolono mu zobaczyć, jak wygląda cały pokój. Ja właściwie nie brałam jeszcze udziału w kręceniu prawdziwego filmu; wystąpiłam jedynie w studenckich

etiudach i niskobudżetowych sztukach telewizyjnych, nagrywanych w studiu. *Okowy ciała* były filmem całą gębą - pełnometrażowym, fabularnym, z dziesiątkami techników, którzy zajęli tę ulicę, odcięli ją od reszty miasta i ustawili swój sprzęt, zupełnie jak gdyby wkrótce mieli dokonać poważnego zabiegu chirurgicznego.

Jakaś dziewczyna zaprowadziła mnie do przyczepy służącej za garderobę. Dała mi niebieski płaszcz i perukę. Była to peruka z długimi blond włosami; nie mysimi jak moje, ale z miedzianożółtymi jak u Lili. Była za ciasna.

- Sandy miała mniejszą głowę niż ty - powiedziała dziewczyna. Jej oddech pachniał miętą.

Spojrzałam w lustro. W tej peruce wyglądałam sztucznie i niedorzecznie, jakbym obrobiła czyjąś garderobę.

- Muszę to wkładać? - spytałam.

- Jock jest dość drobiazgowy - oznajmiła dziewczyna. Wskazała na taksówkę. Parkowała na ulicy, przed domem uczonego. - A ty siedzisz... o tam, Joyce.

- Jules.

Dziewczyna spojrzała na zegarek i zawołała do kogoś. Włożyłam płaszcz i wsiałam do taksówki. Na tylnej kanapie poniewierało się mnóstwo toreb od Harrodsa. Z przodu siedział taksówkarz, żydowski aktor w średnim wieku, który wydawał mi się znajomy. Grał Mojżesza w serialu dla dzieci, do którego mnie też przesłuchiowano, ale roli nie dostałam.

- Co jest grane? - spytał. - Rex jest w bardzo nędznym humorze.

- A kim jest Rex?

- Reżyserem.

- Nie mam pojęcia. Dopiero co się zjawiłam. I co niby mam teraz robić?

- Nie wiem - odparł taksówkarz. - Wydaje mi się, że byłeś na zakupach, a teraz wracasz do domu.

Asystent reżysera opuścił szybę. Wyjaśnił, że jak już ustawią scenę, to mam wysiąść z auta i ponieść te torby chodnikiem do drzwi frontowych. Tam odbierze je ode mnie pokojówka.

Zrobiłam, co kazano. Wydawało mi się, że siedzę bez ruchu całe wieki. Miałam uczucie, że peruka ściska mi głowę jak szeroka, gumowa taśma.

Kiedy dano mi znak, wysiadłam z taksówki i poszłam chodnikiem do wejścia. Dziwnie się czułam; jakbym była niewidzialna. Wyszło słońce. Oświetleniowcy nie patrzyli na moją twarz, podawali tylko jakieś liczby i dostosowywali światła do sytuacji. Ja byłam jedynie niebieskim płaszczem z nogami; byłam bryłą rzucającą cień. Stałam na frontowych schodkach; oczy wszystkich skierowane były na mnie, a przecież nikt mnie nie widział. Było to dziwnie męczące. Ktoś przesunął w bok skrzynkę z pelargoniami. Ktoś zapytał: „Gdzie, do diabła, jest Russel?” Zza białych jak lukier, wznoszących się przede mną domów, dochodził szum ulicznego ruchu na Knightsbridge.

Mijały minuty. Wyglądało na to, że o mnie zapomnieli. Wszyscy zdawali się być w kiepskim nastroju. Każda ekipa filmowa ma własny charakter, który kształtuje się podczas kilku pierwszych dni zdjęć. Jest on wynikiem wymieszania poszczególnych osobowości, pogody i stu innych rzeczy. Jednak czynnikiem decydującym jest reżyser, który niczym dyrektor szkoły, ustanawia morale całej grupy; a morale w *Okowach ciała* było niskie.

Odkryłam to znacznie później. Teraz zauważyłam jedynie, że aktorka, która grała pokojówkę, podchodząc do drzwi podczas próbnego ujęcia, westchnęła na mój widok i błysnęła ku niebu białkami oczu. I wtedy kazano mi zejść z planu. Próbowałam odnaleźć tamtą statystkę, ale ustawiono ją już na samym końcu ulicy; teraz to ona pracowała i nie miałam do niej dostępu.

Gwiazdy filmowe, podobnie jak członkowie rodzin królewskich, mają zwyczaj pojawiać się nagle dosłownie znikąd. Kiedy się odwróciłam, ujrzałam Lilę. Wyszła z tego domu; wyglądało na to, że sprzeczca się z opalonym, muskularnym mężczyzną, w czapeczce drwała na głowie. To, pomyślałam, musi być reżyser, Rex Benson. Uśmiechał się. Lila stanęła na schodku i wydmuchała nos. Rex poklepał ją po ramieniu; ona słodko się do niego uśmiechnęła. Podeszła do niej charakteryzatorka ze szczotką do włosów; do niej też uśmiechnęła się słodko. Potem zeszła do taksówki. Miała na sobie drogi, niebieski płaszcz oraz szpilki. Wyglądała rewelacyjnie.

Poznałam ją dopiero po lunchu. Tego dnia kręcili wszystkie ujęcia przed domem. Z powodu opóźnienia, któremu winna była Lila, scena z taksówką przeciągała się i teraz wszyscy biegali jak szaleni. Nie miałam szansy, żeby się przedstawić.

Zajadałam więc jagnięce kotleciki w piętrowym autobusie. Siedziałam obok aktorki grającej pokojówkę. Przed nami rozlokowała się grupa statystów, którzy jak wszyscy statyści, jedli dwa razy więcej od innych, zupełnie jak gdyby przygotowywali się do oblężenia.

- Rex to kutafon - oznajmiła aktorka.

- Czemu?

- Skacze na wszystko, co się tylko rusza. Każe mi się niżej pochylać, kiedy odkurzam.

- Aha - powiedziałam - jeden z tych typów uznających *droit de seigneur*.

- Źe jak? - Zapaliła silk cuta i wydmuchała dym ponad głowami siedzących przed nami osób. - Nie dziwota, że ona się załamuje.

- Kto?

- Lila. Pieprzy tę Lorraine pod jej nosem.

- A kto to taki ta Lorraine?

Aktorka pociągnęła nosem.

- Już tutaj nie przychodzi. - Machnęła ręką, wskazując wewnątrz autobusu. - Pewnie za dobra dla nas. A ma przecież tylko tę maciupenką rolę opiekunki skoczków pustynnych.

- Skoczków?

- W laboratorium. - Objaśniała fabułę. - To zbikowana komedia - powiedziała, znów przewracając oczyma. - Ten stary dziad, ten naukowiec, wynalazł tę pigułkę, co to zmienia płęć. Do jego żony, grają Lila, zaleca się ten przystojny, rywalizujący z jej mężem uczoney. Kiedy jednak ona odkrywa, że tamten wykorzystuje ją tylko, żeby uzyskać sekretną formułę, wścieka się i mści, podając mu pigułkę, która zamienia go w kobietę. - Zgasiła papierosa w swojej szarlotce. - A więc on jest teraz kobietą, zgadza się? I on, z kolei, mści się, zakochując w Rorym.

- Kto to jest Rory?

- Syn tego uczonego, z pierwszego małżeństwa. Więc Adelaide - to znaczy Lila - zamienia go na powrót w mężczyznę.

Nastąpiła chwila milczenia.

- Bo niby czemu nie - odezwałam się.

Statystka, która była umówiona w sprawie pralki, zerknęła na zegarek i wstała. Zastanawiałam się, co też zrobiła ze swoim pudłem. *Dama z pieskiem...* ogarnęła mnie raptownie fala nostalgii za Czechowem. Dlaczego siedzę tutaj i duszę się dymem papierosowym, wydmuchiwany przez ludzi, których nie znam? Gdzie jest Trev i czy o mnie myśli? Przypomniałam sobie poprzedni wieczór, kiedy chuchał mi w ucho i lizał łokcie. Ponad domami przesunął się cień; na cichej ulicy nagle rozległy się jakieś krzyki. Ubiegłej nocy śniło mi się, że stoję naga na scenie. Grałam Hermionę w *Zimowej opowieści* i zapomniałam tekstu. Nagle z sykiem rozpuściłam się.

Obudziłam się zrana potem.

Po lunchu atmosfera się poprawiła. A może to ja po zjedzeniu tu posiłku poczułam się jak w domu. Asystent reżysera, który miał na imię Malcolm, zatrzymał się nawet na chwilę przy mnie i nakreślił z grubsza popołudniowe ujęcia. Dodał, że trzy sceny muszą być zapięte na ostatni guzik, włącznie z tą, kiedy ten uczony-rywal pojawia się w czterokonnym powozie. Grający go aktor, Tony Chandler, spędził całe przedpołudnie w garderobie i charakteryzatorni.

Poza tym nie byłam już nowa. Poranni statyści odeszli, przybyli inni, a z nimi furgonetka pralni Słońce, która miała dokonać dostawy do domu. Pojawiło się jeszcze dwóch członków obsady aktorskiej - ekscentryczny uczony i jego filmowy syn Rory. Widziałam, jak reżyser obejmuje obydwu ramionami i śmieje się serdecznie.

- To nie potrwa długo - szepnęła do mnie aktorka grająca pokojówkę. Skończyła już zdjęcia na ten dzień i czekała na taksówkę. - To tylko oznacza, że pogodził się z Lilą.

- Rex?

Skinęła głową.

- On chodzi do jej przyczepy, a ona obciąża mu łaskę.

- Naprawdę?

- Najwyraźniej ona jest na diecie, a to jest bardzo niskokaloryczne.

Potrzebna byłam tylko do jednej z tych scen. Musiałam stać na balkonie

i obserwować, jak mój były kochanek, będący teraz kobietą, przybywa na randkę z moim pasierbem. Słońce ostro przygrzewało. Wciągnęłam perukę i patrzyłam na zwrócone w górę twarze. Wyobrażałam sobie, że jestem Julią, której nigdy nie zagrałam i już nigdy nie zagram. *Gdzie jesteś, Trevorze? Myśliszże ty o mnie, omdlewającej, widocznej, a przecież niewidzialnej, tym istnym wizerunku innej?* Zamknęłam oczy i wyobraziłam go sobie, obładowanego nadstawkami kominowymi, wdrapującego się po rynnie na mój balkon.

Tony Chandler był kimś nowym. Najwyraźniej rozpoczął kiedyś karierę jako model, występował w reklamach piwa, a teraz wciskał się do filmu. Przedstawiono nas sobie już wcześniej; był przystojny w delikatna sposób, niczym akwaforta. Teraz obserwowałam z balkonu, jak zajeżdża w swoim morganiu i próbuje wysiadanie, wymachując przy tym nogami w sandałkach na wysokich obcasach. Miał kędzierzawą, rudą perukę i suknię z szeroką, marszczoną spódnicą. Jeden z kamerzystów zagwizdał z aprobatą.

Później poza planem przyglądałam się, jak Lila gra tę rolę już naprawdę. Poczułam, jak ogarnia mnie złość. Ten balkon był już teraz tak mi bliski - jego ciepła barierka, pnąca się wisteria - że Lila wydawała się tam uzurpatorem. Stałam na nim przecież przez godzinę, a teraz już nie istniałam; byłam po prostu służącą, która ogrzewała tron aż do przybycia królowej, witanej promiennymi uśmiechami i błyskami fleszów.

Z daleka przyglądałam się pierwszemu ujęciu. Lila wychyliła się z balkonu, jej włosy błyskały złościście w słońcu.

- Rory'ego nie ma w domu - zawołała w dół. - A w zielonym ci nie do twarzy, skarbie.

Wzięłam czyjś gazetę i usiadłam na ogrodowym murku. Kosmyki z mojej blond fryzury Lili opadły mi na oczy, odgarnęłam je więc do tyłu. Zamknięto jeszcze jeden oddział nowotworowy, przeczytałam, z powodu braków w budżecie rządu. Poseł laburzystowski powiedział, że Brytania staje się krajem dwóch narodów: bogaci się bogacą, a biedni wykrwawiają.

Poczułam jakiś zapach. Przez chwilę myślałam, że to kwiaty w ogrodku za moimi plecami; potem jednak podniosłam wzrok i ujrzałam Lilę.

Stała zaledwie o kilka stóp ode mnie. Z asystentem reżysera, Malcolmem. Zatrzymali się. Malcolm zwrócił się do mnie.

- Czy wy się już poznałyście? To jest Julia Sampson.

- Cześć. Jak się masz? - Lila uściśniła moją dłoń. Malcolm aż cały promieniał.

- Lila mi właśnie mówiła, jak to dobrze, że mogłaś tak od razu do nas dołączyć.

Teraz to ja zwróciłam promienne oblicze ku Lili. Naszła mnie nagle absurdalna ochota, żeby jej sprawić przyjemność.

- Świetna fabuła, prawda? - powiedziałam.

- Tak sądzisz? - spytała Lila. - Myślę, że jest nieco głupawa.

Zarumieniłam się.

- Cóż... w każdym razie jest zabawna. - Minał nas Tony w tej swojej sukni; patrzyliśmy, jak zdejmuje sandalek na wysokim obcasie, wydaje jęk i masuje stopę. - Zupełnie jak *Tootsie* - powiedziałam.

Lila nagle odwróciła się do mnie pełna zapału.

- Wiesz, gdzie mogłabym je dostać?

- Co takiego?

- Roladki *Tootsie*.

- Proszę?

- Szukałam ich wszędzie - powiedziała Lila. - Jestem uzależniona od takiego śmiecia.

Malcolm ujął ją za ramię.

- Jestem pewien, że uda nam się kilka dla pani znaleźć, panno Dune. Przyślemy je do hotelu. Proszę to zostawić nam. - I poprowadził ją dalej.

Czy wiecie, że serce tłukło mi w piersi jak oszalałe? Kiedy rozprostowałam palce, wnętrza dłoni miałam wilgotne. To niedorzeczne. Przecież to tylko kobieta. A jednak, kiedy ponownie podniosłam gazetę, drżały mi ręce.

Oczywiście, była prześliczna. Ścisłej mówiąc, piękna. Nie byłam przygotowana na wrażenie, jakie na mnie wywrze z bliska. Trudno ją opisać - jak to, mniej więcej, ujął Tolstoj, wszyscy piękni ludzie są tacy sami, podczas gdy reszta z nas jest niezbyt piękna na wiele różnych sposobów.

Pomimo grubo nałożonego makijażu widać było subtelny strukturę kości jej twarzy, delikatniejszą, niż się spodziewałam. Ramiona miała szczuplutkie i opalone na miodowo; oczy szeroko osadzone oraz cudowne usta - pełne i ponętne. Makijaż był nieco rozmazany, przez co jej twarz wyglądała trochę niesymetrycznie. Na policzku, dokładnie tam gdzie trzeba, widniał uroczy pieprzyk.

I chociaż miała kruchą, dziewczęcą buzię, to jednocześnie wyglądała na swój wiek; co, byłam przekonana, jeszcze pomagało, bo nadawało twarzy więcej charakteru i czyniło ją bardziej interesującą. Wokół oczu i w kąciakach ust można było dostrzec wywołane uśmiechami cieniutkie linie zmarszczek mimicznych.

Przy niej czułam się niepozorna i bezbarwna - nedorzeczną mistyfikatorka w tej peruce à la Lila. Czułam się jak jakaś liściasta roślina obok połyskliwego, intensywnie pachnącego cieplarnianego kwiatu. Było w niej coś delikatnie szmatławego i nazbyt dojrzałego, coś bardzo seksownego.

Jednak było też coś więcej. Była sławna.

Spotkałam już wcześniej znane aktorki, jednak Lila to było zupełnie co innego. Była gwiazdą. Może i drugiej kategorii, ale niewątpliwie gwiazdą. To doskonałe słowo: gwiazda. Sugeruje, że istnieją one gdzieś ponad nami, że oddychają innym powietrzem. Nawet zresztą nie sugeruje... uznaje za rzecz oczywistą.

Och, nie ma to nic wspólnego z rozsądkiem. Chcę przez to powiedzieć, że nawet nie podziwiałam szczególnie jej osiągnięć - weźmy taką Vanesse Redgrave, mogłabym ją oglądać na okrągło. W scenach, które widziałam, Lila była taka sobie; brakowało jej skali. Zresztą nie pojawiała się w filmach, które mi się podobały.

Nie potrafiłabym tego wyjaśnić. Czułam się nieswojo, jakbym w jakimś sensie nie dochowała wierności samej sobie. Po co się jej podlizywałam, mówiąc, jaka to świetna fabuła? Byłam zapewne dwa razy od niej inteligentniejsza, a przecież czułam się taka niemądra. Podejrzewam, że przez moment po prostu oślepiła mnie gwiazda. Jakie to banalne. Dotyczy to zresztą również tej mojej charakterystyki, która brzmi jak

banal - miodowa opalenizna, szeroko rozstawione oczy. Jeszcze chwila i zacznę opowiadać o jej utkanych ze złota włosach.

Kiedy jest się zakochanym, mówi się wyświechtanymi frazami. „Zauroczył mnie”. „Nasze serca stanowiły jedność”. „Czułam, jakbym go znała całutkie życie”. Zużyte, stare powiedzonka, którymi pogardzało się od lat, nagle stają się naszymi, przyjmujemy je niczym utraconą własność.

Mój ojciec nie znosił komunalów. Nienawidził niedbałości i rozmawiania. Podziwiał precyzję; wyszukiwał słowa, które iskrzyły przy zderzeniu ze sobą. Ba, ale mój ojciec nigdy nie utracił kontroli nad sobą; nigdy nie odważył się pokochać.

Tej nocy w łóżku powiedziałam Trevowi, że uściśniłam dłoń Lili Dune.

- Teraz ja dotknę ciebie - powiedział - i nigdy więcej się nie umyję.
Ujął moją dłoń i wcisnął sobie pomiędzy uda.

Śniło mi się, że usiłuję zwrócić na siebie uwagę ojca, ale on mnie nie słyszy, ponieważ jestem uwięziona pomiędzy dwójgiem drzwi. Potem uświadomiłam sobie, że to nie są drzwi, że to dwie połówki bułki. „Te wszystkie chrząstki”, powiedział ojciec. „Istna obrzydliwość”. I odwrócił się ode mnie.

Kiedy się obudziłam, próbowałam opowiedzieć ten sen Trevowi. Tak naprawdę jednak moje słowa nie były skierowane do niego. Opowiadanie snu jest całkowicie egoistyczne; człowiek próbuje po prostu utrwalić go sobie we własnym umyśle, jakby zanurzał fotografię w chemikaliach mowy i czekał, aż ukaże się obraz.

Teraz jestem zadowolona tylko z tego, że mój ojciec zmarł, zanim to wszystko się wydarzyło. Był jedyną osobą, której nie potrafiłabym spojrzeć prosto w oczy.

Pięć

Przez kilka następných dni niemal nie zamieniłam słowa z Lilą. Z natury mojego zajęcia wynikało, że współpracowałam bliżej raczej z ekipą zdjęciową niż z innymi aktorami. Zaprzyjaźniłam się z Nobbym; był jednym z techników, miał rumiane policzki i duży brzuch od nadmiaru piwa. Chyba tylko on wiedział, że jestem aktorką.

- Widziałem cię w *Grange Hill* - powiedział. - Oglądały to moje dzieciaki. Nie grałaś przypadkiem szkolnego inspektora?

Skinęłam głowę.

- Dwadzieścia wierszy tekstu, a i tak obcięli go do pięciu.

Potargał mi włosy.

- Nie przejmuj się, rybuś, któregoś dnia to się może zdarzyć. - Ściszył głos. - Tak czy owak, w porównaniu z tym *Grange Hill* to prawdziwy von Stroheim.

- Rzeczywiście, nieco głupawe - zgodziłam się, po czym uświadomiłam sobie, że podobnie wyraziła się Lila.

Musiałam stać w sklepie. Kręciliśmy w Pasażu Burlington. Była to scena, w której Adelaide, żona uczonego, kupuje kochankowi płaszcz Burberry. Teraz miałam już egzemplarz scenariusza; domyślałam się, że Adelaide powinno się grać jako osobę kokieteryjną i poddającą się emocjom, czyli taką, jaka była tydzień wcześniej w tamtym sklepiku na rogu. Jednakże tego typu rozważania nie należały do moich obowiązków. Ja, podobnie jak wieszaki z płaszczami, byłam po prostu elementem wyposażenia sklepu, który to element Jock, operator, miał wstawić w kompozycję

i ująć w ramy kadru. To on był tym drobiazgowym facetem, który żądał peruki.

Czułam się równie bierna jak banan na obrazie przedstawiającym martwą naturę. Powinnam była odczuwać to jako formę odpoczynku, ale mnie aż skręcało z frustracji. Byłam w pracy, a przecież w ogóle nie pracowałam. Stałam tam tylko, a mój umysł błędził... czy muszę dokupić worki na śmieci? Co powinnam wieczorem nagrać na wideo? Było to wbrew mojemu aktorskiemu instynktowi, który nakazywał mi zapomnieć o wszystkim innym i wczuć się w Adelaide: jestem winna; moim mężem jest starszy pan, którego bardzo lubię; wydają zbyt dużo jego pieniędzy na płaszcz dla kochanka. Gram w bardzo niemądrym filmie.

- OK. Dziękuję, Jules. Wezwijcie pannę Dune.

W tłumie zapanowało poruszenie. Z jakiegoś powodu nie miałam ochoty oglądać Lili. Pocąc się pod silnym oświetleniem, wyszłam ze sklepu. Kiedy szłam pasażem, pot wyparował, a ja stałam się jeszcze jedną klientką. Ściągnęłam perukę i zatrzymałam się przed sklepem Fortnum & Mason. Na wystawie stały ustawione w piramidę słoiki z kawiozem. *Okowy ciała* kręcono w Londynie dla większości londyńczyków nie znanym. Ze względu na rynek amerykański ich sceny rozgrywały się w staromodnych okolicach turystycznych - Bond Street, St James's Park. Tak się złożyło, że ten niezyciowy, stary uczoney mieszkał w wartej milion funtów rezydencji, z kamerdynerem i z pokojówką. Jego żona miała schadzki w sklepiku na rogu wyjętym wprost z Dickensa, włącznie z tymi jabłkami w polewie z toffi. Cóż za bzdury! Popatrzyłam na kostium ze skóry na wystawie. Kosztował sześć razy tyle, ile wynosiła moja calutka gaża za *Middlemarch*, przedstawienie, którego nikt nie chciał oglądać.

Natomiast połowa Londynu chciała oglądać Lilę Dune. Bo najwyraźniej dopiero co pokazywano ją w jakimś koszmarnym amerykańskim miniseriale. Kiedy my już skończyliśmy, otoczył ją tłum łowców autografów. Jej blond włosy miały barwę peruki zwisającej z mojej ręki jak jakiś martwy ssak. Limuzyna czekała z włączonym silnikiem. Wypełniała ulicę spalinami. Lila, ciągle rozdając autografy, szła do auta w asyście sekretarki

- kanciastej, groźnie wyglądającej Węgierki o imieniu Irma. Limuzyna odjechała. Szepty na chodniku milkły powoli, niczym zanikające fale na brzegu jeziora po przepłynięciu żaglowca.

Kiedy się odwróciłam, żeby odejść, poczułam na ramieniu czyjaś dłoń.

- Czy pani przypadkiem też nie była w tym filmie? - spytała mnie jakaś kobieta.

Zatrzymałam się.

- Tak jakby.

- Jaka ona jest?

- Kto?

- Lila Dune - odparła kobieta. - Czy zdarza się pani z nią rozmawiać?

Zamilkłam na moment. Potem wzruszyłam ramionami.

- Oczywiście.

- Naprawdę? - spytała podekscytowana.

- Jesteśmy ze sobą dość blisko - powiedziałam. - To normalne, że ludzie, którzy pracują razem, zbliżają się do siebie.

- Ojej - jęknęła kobieta z błyskiem w oku. Zawahała się, po czym wyjęła kartkę papieru z podpisem Lili. Oderwała pasek u dołu i podała go mnie.

- Proszę nam zrobić tę uprzejmość.

- Niby jaką?

- Dać nam swój autograf.

Znieruchomiałam. Zarumieniłam się niemądrze.

- Ależ oczywiście - powiedziałam łaskawie i złożyłam swój podpis.

- Kamera ją kocha - oznajmił Nobby. - To takie proste. Niektóre kobiety to mają, jak na przykład Marilyn Monroe, a inne nie. To jest coś na kształt wewnętrznego rozświetlenia, i nie ma nic wspólnego z wyglądem. Nic wspólnego z umiejętnościami aktorskimi. Wystarczy ją postawić przed kamerą i... prask!

- Uważasz, że jest atrakcyjna? - spytałam.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Troszeczkę nie w moim guście.

- Chodzi ci o to, że zbyt olśniewająca? Zbyt zepsuta?

Pokręcił głową.

- Jest zadziwiająco nie zepsuta, zważywszy na to, kim jest. Ja mam na myśli raczej to, że jest pokręcona.

- A jest?

- Nie czytujesz czasopism?

- Nie tego rodzaju.

Tego dnia wszyscy byli nerwowi. Malcolm, asystent reżysera, robił przygotowania do popołudniowych zdjęć. Rexa, reżysera, nigdzie nie było widać. Oficjalnie był na spotkaniu z producentami, którym nie spodobały się sceny nakręcone wczorajszego dnia. Tyle że Lorraine, tej młodej aktorki, też nigdzie nie było widać. Lila wściekała się, rzekomo z powodu źle dopasowanej sukienki; Natasha, jej garderobiana, tonęła we łzach. A może to Lila płakała. Wydawało się, że nikt nie ma pojęcia, co się dzieje. Irma przetaczała się ciężko i domagała świeżego soku pomarańczowego dla swojej chlebodawczyni. Nieustannie powtarzała, że w Nowym Jorku można go dostać absolutnie wszędzie, w dzień i w nocy.

Kręciliśmy wnętrza domu kochanka, luksusowej, przerobionej ze starej stajni rezydencji tuż obok Belgrave Square. Malcolm był rozgorączkowany. A przy tym dziwnie niezgrabny i aseksualny. Brakowało mu charyzmy Rexa. Miał na sobie przepocony T-shirt, z wymalowanym na przodzie tytułem innego filmu, przy którym kiedyś pracował: *Pakt z diabłem*. Mieliśmy kręcić scenę konfrontacji, podczas której Adelaide oskarża kochanka o zdradę.

Pojawiła się aktorka grająca byłą dziewczynę kochanka. Siedziała na zewnątrz, na brukowanej ulicy, robiąc na drutach jakiś długi i zupełnie nieodpowiedni na tę porę roku szal. Wydawało mi się, że tkwią tam już od wielu godzin. Kręcenie filmu, co uświadomiłam sobie już dawno temu, jest otępiająco nudnym procesem, wstrząsanym sporadycznymi atakami jakiejś dziwacznej paniki. Orson Welles powiedział kiedyś: „Każdy może być reżyserem filmowym, jeśli tylko potrafi powstrzymać się od zaśnięcia”. Było gorąco. Siedziałam, opierając plecy o ciepłą ścianę

budynku. Słyszałam mechaniczne dźwięki rozmów dochodzących z walkie-talkie. W pobliżu kamerzysta wymieniał przepisy kulinarne z inspicjentką. Podczas zdjęć ludzie nieustannie gadają o jedzeniu.

- Ja ją wsuwam na surowo - mówiła dziewczyna. - Ale wpieryw wyciągam ości.

- Kumpel, z którym wynajmuję mieszkanie, zapieka ją z mozzarellą.

- Mozzarellą?

A potem wezwali mnie do środka, gdzie miałam siedzieć na zamszowej kanapce. Zastanawiałam się, co też się dzieje pomiędzy Lila i Rexem. Podobnie jak Lila, ja też nie ufałam reżyserowi. Nie można polegać na mężczyźnie w średnim wieku, który nosi tak opięte dżinsy, że wybrzuszają mu się w kroku. I ta czapeczka drwała! Lila była gwiazdą; chyba stać ją było na coś lepszego?

Dubler Tony'ego Chandlera przysiadł obok mnie. Mijały minuty; wszyscy byli niespokojni. To był duży, otwarty pokój, wystawnie umeblowany, ze skórąmi zebr i stolikami o szklanych blatach.

- Więc to jest jego mieszkanko? - szepnęłam. - Wygląda raczej na siedzibę jakiegoś króla porno.

- Posłuchaj, mała, jeśli domagasz się jakichś pozorów prawdopodobieństwa, to znalazłaś się w niewłaściwym filmie. - Miał na imię Rod, mówił z charakterystycznym amerykańskim akcentem jak disc jockey. Podał mi gumę do żucia. - Jak i my wszyscy.

- Jak Tony'emu idzie z Lilą?

- Ona go nienawidzi.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Bo on woli chłopców.

Pożulałam chwilę.

- Rozumiem.

- Wydaje się, że traktuje to jako coś osobistego. - Poruszał szczękami. - Jest całkowicie pozbawiona pewności siebie.

- Jak to możliwe? Ma przecież wszystko.

- A co to zmienia?

- Nie pomaga jej to?

Odwrócił się do mnie.

- Lila ma obsesję. Chce, żeby absolutnie każdy mężczyzna się w niej zakochał. I jeszcze paru dodatkowo.

- Pewnie się zakochują.

- Ale kiedy już to zrobią, ona uważa, że mają fiola. - Wydmuchał gumowy balon i z trzaskiem wciągnął go z powrotem do ust. - Potrafi zabawiać się tylko z autentycznymi świrusami, takimi jak Rex.

- Aha.

- Jeśli chodzi o mężczyzn, to jest szajbnięta do granic możliwości. - Uśmiechnął się słabo. - Ale ja sam też pewnie jestem.

Minęło jeszcze kilka minut. Potem usłyszeliśmy zatrzymujący się samochód. Trzasnęły drzwi; na lakierowanych deskach podłogi rozległ się stukot wysokich obcasów. To była Lila, w towarzystwie Irmy i Malcolma. Ubrana była w obcisłą, żółtą sukienkę, z falbanką przy kołnierzyku. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyłam, że oczy ma zaczerwienione, a twarz grubo pokrytą makijażem.

- Skarbie, nosisz ten sam rozmiar co ja.

Podskoczyłam. Lila patrzyła na mnie.

- Włożyłabyś coś takiego? - spytała. Odwróciła się do mnie plecami. - Mój tyłek wygląda jak u rzeźnika z Minnesoty.

Pokręciłam głową.

- Wyglądasz wspaniale.

- Wyobraź sobie... chcieli, żebym włożyła żółte rajstopy!

Roześmiałam się.

- Jak Malwolio.

- Hm? Chcą, żebym wyglądała jak jajecznica? - Zamknęła oczy i usiadła w fotelu. Trzęsły jej się dłonie. - Jezu, ależ mnie boli głowa.

- Kochanie... - Irma przysunęła się bliżej.

- Och, odczep się!

Irma się cofnęła. Urażona odwróciła się i wpatrzyła złym wzrokiem w kłapsaera.

Malcolm zasugerował nieśmiało, że może by tak wzięli się do pracy. Wysłałam na zewnątrz i usiadłam na bruku. Tym razem słońce wydawało

się gorętsze od tamtych światel w środku. Ściągnęłam perukę.

Robiąca na drutach aktorka poszła do charakteryzatorki; zamknięta uliczka była cicha, w tej przynajmniej chwili. Dobiało do mnie jedynie buczenie generatora z przyczepy oświetleniowców. Oparłszy się o ścianę, obmacywałam żółty szal, który położyli mi na ramionach, żeby przetestować kolory. W delikatny sposób łączył mnie z Lilą; był świadectwem naszej rzekomej bliskości.

Kiedyś zadurzyłam się w pewnej dziewczynie z mojej szkoły, nazywanej przez koleżanki Jo-Jo. Pewnego popołudnia ukradłam Jo-Jo sportową spódniczkę i zabrałam do domu. Tamtej nocy położyłam ją na poduszce. Kiedy się obudziłam, stwierdziłam, że wsadziłam sobie jej rożek do ust. Materiał był wilgotny. Odczuwałam wstyd, jakbym była chłopcem, który po przebudzeniu stwierdził, że miał mokry sen.

„Nosisz ten sam rozmiar”. Lila, podchodząca do mnie, nagle serdeczna. Tak naprawdę jedyną osobą, która wspomniała coś na temat naszego podobieństwa, był Nobby.

- Rzeczywiście jesteście podobne - powiedział, przechylając głowę. - Bardziej niż ona i Sandy. Tak... wyglądasz, jakbyś była jej dawno nie widzianą kuzynką, rodzinnym kujonem.

- Wielkie dzięki! - odparłam wtedy.

Na bruku leżały ciężkie wiązki kabli. Przymykałam oczy i wyobrażałam sobie, jak pulsują. W ustach poczułam Treva i rozbolały mnie szczęki. „To jest bardzo niskokaloryczne”. Pomyślałam sobie: Nienawidzę go. Odbiło mi.

Pomyślałam o Lili, chwilowo bliźniaczej za sprawą żółtego koloru. Lila była zirytowana, kiedy wcisnęła ją w tę sukienkę; w rozpaczy wyżywała się na Irmie. „Potrafi zabawiać się tylko z autentycznymi świrusami”. Może miałyśmy z Lilą o wiele więcej wspólnego, niż przypuszczałyśmy.

Sześć

Zbliżyły nas do siebie Cotswoldy. Wcześniejsze zdjęcia w tamtym rejonie przerwał deszcz. Teraz, kiedy już nadeszła długo obiecywana fala upałów, zmieniono harmonogram *Okowów ciała*. Aktorzy oraz cała ekipa techniczna udawali się do wioski o nazwie Much Wallop na dwa dni zdjęć.

- Much Wallop? - roześmiał się Trev. - A więc to film o wielkim ujeżdżaniu?

Była środa, wieczór poprzedzający mój wyjazd w plener. Odebrałam Treva po przedstawieniu *Wykorzystaj mnie*, granym już drugi tydzień przy niezbyt pełnej widowni. Żeby go jakoś pocieszyć, obarczyłam pogodę winą za kiepską frekwencję. Ludzie teatru zawsze winią za złą frekwencję pogodę - jest za gorąco, jest za zimno, zbyt deszczowo, mamy lato, mamy zimę. Kiedy sztuka przyciąga widzów, pogoda jakoś nikomu nie przychodzi na myśl.

Otworzył drzwi swojego mieszkanka i weszliśmy do środka. Miałam nadzieję, że poprosi, żebym została na noc; nawet włożyłam już swoje rzeczy do bagażnika, bo wyjeżdżałam wcześniej rano. Kiedy weszliśmy do pokoju, zerknęłam na jego automatyczną sekretarkę. Ustawiona była na czwórcę. On jednak nigdy jej nie przesłuchiwał, kiedy ja tam byłam. Nic nie powiedziałam; nie wolno mi być nachalną, nie wolno mi być zaborczą. Na ogół nie miałam pojęcia, gdzie on się podziewa całymi dniami. Kroczyliśmy tak od nocy do nocy, czasami łącząca nas nić pękała i musiałam poznawać go od nowa. Nawet w mojej obecności potrafił być nieobecny, klepać się po kieszeniach, spoglądać na zegarek, szukać zgubionego numeru telefonu. Czasami miałam wrażenie, jakbym przygarnęła

bezdomnego psa, ślicznego jak chart. W jednej chwili lizał mnie swoim językiem, w następnej drapał w drzwi.

Tego wieczoru był najwyraźniej czymś zaabsorbowany. Usiłowałam zwrócić na siebie jego uwagę.

- Masz rację - powiedziałam. - To rzeczywiście film rozbierany. Nie chciałam, żebyś o tym wiedział. Ze mną w głównej roli. - Podeszłam do niego od tyłu i wsunęłam dłoń pomiędzy guziki jego koszuli. - Kręciliśmy dzisiaj scenę w domu pełnym dywanów, żebrowych skór, a ja miałam takie wysokie buty... długie, czarne, błyszczące, do samych ud... - Otarłam się o niego, chuchnęłam mu w ucho. Gładziłam jego skórę pod koszulą. - Ubrana byłam w obcisłą, skórzaną sukienkę, bardzo kosztowną, z Bond Street... no, ale ja jestem kosztowna, jestem gwiazdą tego filmu, ponieważ nikt nie potrafi robić tego tak jak ja... wiesz o tym... nikt na świecie... - Ponownie otarłam się o niego, ściągając mu koszulę.

W roztertowaniu, w takim stylu „no już dobrze”, poklepał mnie po pośladkach.

- Nie rozmawiałaś jeszcze z producentami? - spytał.

- Nawet ich jeszcze nie widziałam. Nie mam pojęcia, kim są.

- Nie możesz załatwić, żeby ktoś przyszedł i obejrzał tę moją pierzoną sztukę?

Urażona odsunęłam się od niego. Podeszedł do lodówki, wyjął puszkę piwa, otworzył ją i zaczął pić.

- Pomyśl o ich budżecie! - powiedział. Sam musiał sprzedać swoją furgonetkę, żeby sfinansować własną sztukę. - To wręcz diaboliczne. - Podał mi puszkę. - To niemoralne.

Roześmiałam się.

- Ludzie zawsze mówią, że pieniądze są niemoralne, kiedy sami ich nie dostają. - Podeszłam do niego. - Przykro mi. - Poglądziłam go po plecach. Miał najpiękniejsze plecy, jakie widziałam u mężczyzny, gładkie i twarde jak drewno.

- Moja sztuka warta jest dziesięć razy więcej od twojego eskapistycznego łąjna.

- Nie mojego. Ich. I jasne, że tak jest.

- Załatw, żeby ktoś przyszedł i ją obejrzał, Jules. Pozostał nam tylko tydzień.

- Nawet gdybym miała zrobić reżyserowi laskę w przyczepie?
Podszedł do okna.

- Owszem.

Było jednak zbyt ciemno, żeby dostrzec, czy żartuje.

Filmowcy ogromnie cenili Much Wallop. Była to bowiem malownicza, zbudowana ze starego kamienia wioska ciągnąca się pod górę jednym zboczem wzgórza, a potem w dół drugim.

- Nie zmieniona od stuleci, została zakonserwowana, by służyć telewizyjnym dramatom kostiumowym, historycznym romansom i reklamom ciemnego pieczywa - recytowała Effie, inspicjentka. - Mieszkańcy są cholernie zblazowani. Zarabiają fortunę jako statyści. W rzeczywistości są albo na zasiłku, albo zatrudnieni w fabryce wykładziny hamulcowej, ale tak się przyzwyczaili do odgrywania profesjonalnych kmiotów, że prenumerują „Screen International”, żeby wiedzieć, jakie filmy wchodzi do produkcji. Te urocze, niezwykle, stare sklepiki tak często zmieniały nazwy, że już nikt nie pamięta, jak się kiedyś faktycznie nazywały. - Siedzieliśmy przed pubem, w słońcu. - Czy to nie zabawne? - spytała. - Kiedy agent firmy handlującej nieruchomościami sprzedaje jeden z tych domków, to po prostu pokazuje jego fotos z jakiegoś starego filmu.

Effie była niezbyt urodziwą, pełną animuszu dziewczyną z klasy wyższej, tego rodzaju osobą, która mówi „proszę o wypaczenie” oraz „pilnuj swojego bossa”. Lubila ją, bo znała sekrety wszystkich.

Z dala od Londynu atmosfera uległa zmianie. Przede wszystkim ekipa techniczna wydawała się mniejsza, a większość obsady aktorskiej nie była przez najbliższe dwa dni potrzebna i w związku z tym dostała wolne. Reszta zbliżyła się do siebie; zatrzymaliśmy się bowiem w jednym pubie. I chociaż tam pracowaliśmy, w powietrzu unosiła się atmosfera wagarów; wydostanie się z Londynu podczas tej fali upałów już czyniło całe to przedsięwzięcie czymś w rodzaju wycieczki.

Była pierwsza po południu. Na przeciwnym skraju trawnika stały

kasztanowce, ocieźlałe i zmatowiałe w tym słonecznym świetle. Dzień był złocisty, późnoletni; osy, przyciągnięte wilgotnymi plamami piwa, kręciły się leniwie wokół stołu.

- Czy mogę dołączyć do czarujących młodych dam? - spytał Sir Joshua Broome, siadając i ocierając czoło z potu. Przyniósł ze sobą dużą szkocką. Wyjmując paczkę playersów, spytał: - Ktoś chce się podtruć?

Sir Joshua był starym aktorem teatralnym, który grał tutaj wiadomego uczonego. Po kilku drinkach stawał się istną kopalnią anegdot o dawnych, dobrych czasach, o Wolficie i o Larrym, o sekretach nie żyjących od lat aktorek, o ekscentrycznych, rozmiłowanych w teatrze ziemiankach, w których domach się zatrzymywał podczas artystycznych tournée, kiedy grywał Szekspira i Shawa, w czasach, zanim telewizor, jak to ujmował, zaczął migotać w każdym salonie. Choć się powtarzał, ekipa wysłuchiwała jego słów z pewnym szacunkiem. Dla ludzi filmu, zbyt dobrze opłacanych i godzących się na wszelkie kompromisy, teatr jest czymś godnym podziwu. Oznacza on dla nich prawość. Wysiłek. Sztukę. Nawet ja sama tak to odczuwałam; „Jak sobie radzisz?” - pytano mnie już dwukrotnie, kiedy odkryto, że pracuję głównie w teatrze.

Broome wskazał głową na pub.

- Kochani, atmosfera tam jest taka, że można by ciąć powietrze nożem. Nasz przyjaciel Rex przeprowadza sekcję na pannie Dune w związku z jej porannym występem.

- W łóżku? - spytała Effie.

- Moje drogie dziewczę, bez wątpienia jest to coś, co w dzisiejszych czasach zwą podtekstem. Młodzi mężczyźni w džinsach z Channel Four. Ja natomiast mówię o jej aktorskich możliwościach. Bo ona nie jest obecnie, że się tak wyrażę, skupiona.

- Rex nieustannie ją krytykuje - odparła Effie. - A ona opiera się na instynkcie. On ją zupełnie niewłaściwie prowadzi. Przy tym upokarza.

- Byle tylko nie dopadła butelki.

- Bo co by było? - spytałam.

- Tego nie wiadomo. Na razie jest na odwyku. Zalecenie lekarza. - Zapalił papierosa. - Czekają nas kłopoty, zapamiętajcie sobie moje słowa.

- Spojrzał na błękitne niebo. - Wiejcie wiatry, nadymajcie wasze policzki! Wy, katarakty i huragany, bluzgajcie wodą, aż pogrążycie nasze wieże, zatopicie kurki! - Zaczął pokasływać. - Zatopicie kurki!*

* Ang. *cock* oznacza m.in. zarówno koguta, kurka na dachu, kurek strzelby itd., jak i wulgarnie penis.

- Niech utoną przy narodzinach - powiedziałam. - Są jedynie źródłem kłopotów.

Tego wieczoru odbyłam pierwszą prawdziwą rozmowę z Lilą. Ci, których Effie nazywała notablami, jedli kolację gdzieś indziej, goszczeni przez jednego z przyjaciół producenta, który miał tytuł szlachecki oraz ogromną posiadłość nieopodal. Zjadłam kolację w pubie, w towarzystwie kilku członków ekipy. Potem poszłam na górę. Ku swemu zdumieniu na korytarzu spotkałam Lilę. Było wpół do dziesiątej; wyglądała, jakby właśnie wyszła z wanny. Miała na sobie czarno-złoty płaszcz kąpielowy i turban z ręcznika na głowie.

- Skarbie - odezwała się - masz coś na oparzenia słoneczne?

- Myślałam, że wyszłaś.

Pokręciła głową.

- Potrzebuję snu.

- Mam tylko Niveę.

- Niveę to ja też mam. A Irma ma coś innego. - Westchnęła. - Przydałaby mi się dzisiaj.

Irma, jej sekretarka, uległa zmiennemu angielskiemu klimatowi i z powodu grypy została w Londynie.

- Jestem naprawdę zestresowana; czuję się taka samotna, kiedy jej nie mam w pobliżu. - Zamilkła. Twarz miała dokładnie wyszorowaną. Bez makijażu jej cera była blada i zaskakująco piegowata. Lila wyglądała nago i bezbronne, i jeszcze bardziej uroczo niż zwykle. - Popatrz na moje ręce. - Uniosła je do góry; trzęsły się.

Zatrzymałyśmy się na chwilę w różowym korytarzu. Czuałam się jak nastoletni chłopak. Czy powinnam ją zaprosić do swojego pokoju?

- Irma jest ze mną od piętnastu lat. Była moją masażystką, zawsze miałam ten problem z kręgosłupem, tak to się zaczęło. No i ma tylko mnie. - Nagle spojrzała na mnie; jej oczy się zwięzły. - Masz coś w swoim pokoju?

- Tylko Niveę.

Roześmiała się.

- Mam na myśli alkohol.

- Aha. Nie. Przykro mi. - Czułam się jak szkolna lizuska w internacie.

Lila przysiadła na wyściełanym parapecie. Ponownie popatrzyła na swoje dłonie, zupełnie jakby należały do kogoś innego.

- Moja babcia była wiekowa. Naprawdę wiekowa. Była Polką. Miała taką luźną skórę na rękach i pozwalała, żebym ją przesuwała. Zupełnie jej to nie przeszkadzało.

Spojrzałam na własne dłonie.

- Nasze takie nie są. - Uśmiechnęłam się. - Jeszcze nie.

Zapadło milczenie. Może byłam nazbyt arogancka, tak łącząc swój wiek z jej wiekiem; w ogóle tworząc coś wspólnego. Z dołu dochodził do nas stłumiony śmiech oraz dźwięki gry wideo.

- Zawsze chciałam przyjechać do Wielkiej Brytanii - powiedziała Lila. - Wiesz, że to jest pierwszy film, jaki tutaj kręczę? Ona jest taka... historyczna, prawda?

- Wszystko, co widziałas, to zabytki.

- Pomyślałam sobie: mam trzydzieści osiem lat i nadal grywam głu-pawę blondynki.

- Ja też mam trzydzieści osiem lat! - oznajmiłam. - To nic takiego!

- Mój agent, on mi powiedział: Lila, nie możesz w nieskończoność grać głupich panienek, musisz rozwinąć się w prawdziwą aktorkę. Będziesz grywała kobietę w kwiecie wieku, uczciwą, dowcipną, wrażliwą, odważną. Powiedział: Będziesz pracować z Rexem Bensonem. Jest jednym z najlepszych, nakręcił *Hula-hoop* i *Wielki dreszcz...* - Westchnęła, a potem się uśmiechnęła. - Przekręcił też *Suzy* i *Annie*, i *Lorraine*... To gnój, przydałyby mu się drzwi obrotowe w sypialni. - Wstała. - Świetnie się z tobą rozmawiało. — Rzuciła mi uśmiech i po chwili zniknęła na końcu korytarza.

Usiadłam na parapecie, był nadal ciepły od jej ciała. Poruszył mnie mój niespodziewany status powierniczki. A potem pomyślałam: Pewnie nazywa mnie skarbem, bo nie pamięta mojego imienia.

Stosunki Lili z jej reżyserem w sposób widoczny ulegały pogorszeniu. Kiedy nie było w pobliżu chroniącej ją Army, wydawała się zupełnie bezbronna. Następnego dnia właściwie nie miałam okazji zamienić z nią słowa. Z samego charakteru mojego zajęcia wynikało, że na planie prawie nigdy jej nie spotykałam. Po prostu wymienialiśmy się miejscami - kiedy ja tam byłam, podczas ustawiania sceny, Lila była nieobecna, a kiedy przychodził czas na wejście Lili, mnie odsyłano. W istocie uswiadamałam sobie, że należę raczej do ekipy zdjęciowej niż do obsady aktorskiej. Nie byłam artystką; byłam pracownikiem technicznym.

Poza tym gwiazdy filmowe rzadko bywają same. Lili zawsze towarzyszyła charakteryzatorka lub fryzjerka, a jeśli nie one, to Joshua Broome - jej dobroduszny towarzysz; wyrażał swoje współczucie, a ponieważ nie stronił od alkoholu, raczył ją anegdotami o swoich popijawach z Richardem Burtonem. Jeśli nie Broome, to Malcolm, asystent reżysera, który był coraz bardziej zaniepokojony i nadskakujący. A jeśli nie Malcolm, to fotograf od reklamy, który chciał jej robić zdjęcia w malowniczej wiejskiej scenerii, albo jakiś lokalny dziennikarz, który pragnął przeprowadzić z nią wywiad. Nie wiedziałam, gdzie Lila jada; kiedy zaczynała się przerwa na lunch, ona po prostu zniknęła. Dźwiękowiec powiedział, że objada się czekoladkami, Effie, że pigułkami. Objadała się, przestrzegała diety, nakładała sobie maseczki, kładła się do łóżka i czytała stare wycinki prasowe. Sugerowano, że pieprzy się z Rexem, ale ktoś odkrył, że Rex przesiaduje w mercedesie i słucha wyników rozgrywek w krykieta. Kiedy znikają znani ludzie, wygląda to, jakby przepaliła się żarówka; w pomieszczeniu robi się ciemniej. Pomyślałam sobie: Gdybym to ja zniknęła, nikt by tego w ogóle nie zauważył.

W rzeczywistości zaś Lila telefonowała. Po lunchu poszłam do swojego

pokoju po książkę i spotkałam ją w połowie schodów.

- Ten wasz British Telecom - powiedziała. - Wiesz, ile razy próbowałam się dodzwonić do Nowego Jorku?

- Przykro mi.

Roześmiała się.

- To nie twoja wina, skarbie. - Westchnęła. - Jezu, ale ty jesteś miła. Dlaczego nigdy nie mogę spotkać mężczyzny, który byłby tak miły jak jakakolwiek kobieta?

Zarumieniłam się.

- To tylko dlatego, że my zawsze mówimy, jak nam przykro.

- Masz absolutną rację!

- Jesteśmy masochistkami. - Nagle spłynęła na mnie wizja kobiety z *Wykorzystaj mnie*, objanej przez własnego hydraulika.

- Właśnie pytałam swojego terapeuty, tylko ta cholerna telefonistka z centrali nieustannie nam przerywała, pytałam go, dlaczego zawsze muszę się zadawać z dupkami.

- A dlaczego?

- Ja wiem, dlaczego - odparła. - To jest tak, jakbym chciała się zbliżyć do niego.

- Do kogo?

Lila spojrzała na mnie zakłopotana. Ludzie od tylu lat słuchali tego, co mówi, że już nie wiedziała, co o niej wiedzą, a czego nie. Jej życie toczyło się na oczach wszystkich i nie potrafiła już powiedzieć, która jego część należy do sfery prywatności. Tego dnia, na schodach, pierwszy raz przyszło mi to do głowy.

- Mój ojciec zostawił mnie, kiedy byłam malutka - powiedziała Lila. - Potrafię się wiązać jedynie ze starszymi mężczyznami, którzy też mnie rzucają. To się dzieje dlatego, że straciłam ojca. Mój terapeuta twierdzi, że to jedyny sposób, żebym mogła być blisko niego.

- Ojca czy terapeuty?

Lila roześmiała się.

- Niezłe pytanie. Wiesz co? Pracujesz w niewłaściwym zawodzie. Poczulałam, jak pogłębia się mój rumieniec.

- Mam te swoje słabości - powiedziała Lila. - Usiłuję się przez nie przekopać. Ty robisz wrażenie osoby postępującej według zasad.

- Naprawdę?

- Och, ja z całą pewnością taka nie jestem. - Uśmiechnęła się. - Martin Luther King, wiesz kto to?

- Jasne.

- On powiedział: „Mam taki sen”. Wiesz, jaki ja mam?

- Jaki?

- Facet, który kocha mnie dla mnie samej, który nie poleci na całe to gówno - to jest mój sen. - Machnęła od niechcenia ręką. - Pieniądze, całe to gówno. Facet, który nie powie, że zaliczył Lilę Dune. A ja nie będę się bała, że mną gardzi. - Zamknęła oczy. - I kiedy już go znajdę, osiadziemy sobie gdzieś i będziemy mieli dziecko. Naprawdę chciałabym mieć dziecko. Dzieci są wspaniałe, prawda?

Skinęłam głową.

- Masz dzieci?

Pokręciłam przecząco głową. Stojący na półpiętrze stary zegar wybił dwa razy.

- Ja też nie - powiedziała Lila.

Następnego dnia, w piątek, wracaliśmy do Londynu. Żał mi było wyjeżdżać; już odczuwałam coś na kształt nostalgii za tymi złotymi dniami. Szłam żwirową ścieżką do auta zaparkowanego za pubem. Była 10.30. Zerknęłam za żywoplot. Róże odczepiono już od werandy sąsiedniej rezydencji; jej senny żywot podlegał rozbiórce. Właściciel posesji mył swoje bmw; życie wracało do normy. Nim przyjdzie pora podwieczorku, będzie tak, jak gdybyśmy nigdy się w tej wiosce nie pojawili, i pozostaną tu tylko dwa podpisane fotosy z Broome'em i z Lilą, dołączone do kolekcji znakomitości na ścianie Baru Oracza.

Mieliśmy tylko jeszcze jeden tydzień zdjęć, we wnętrzach, w hali zdjęciowej. Przed następnym weekendem wszystko się skończy. Także sztuka Treva będzie schodziła z afisza. Dekoracje rozbiorą, pozbędą się mebli, ten tak długo cierpiący stół kuchenny wróci do właścicieli.

Nie pozostanie nic oprócz kilku recenzji, z których jedna („Blitz”) nazwie ją „obietującą”.

Trev i ja wrócimy do punktu wyjścia. I tyle zostanie z wielkiej szansy. Nawet nie poznałam producentów *Okowów ciała*, nie mówiąc już o jakiegokolwiek rozmowie z nimi; reżyser ledwie pamiętał moje nazwisko. Lila mi się zwierzyła, ale też robiła wrażenie, jakby zwierzenie przychodziło jej z łatwością. Wydawało się, że każdy, od jej fryzjerki do szofera, wie o jej problemach z bezsennością, o zatrzymywaniu płynów, o jej szaleńczym zamiłowaniu do słodczy oraz o bolesnych i nieregularnych miesiączkach. W zależności od tego, czy ją lubili czy też nie, ludzie traktowali to albo jako dowód bezmiernego egoizmu, albo wzruszającej wręcz niedyskrecji.

Wsiadłam do samochodu i przekręciłam kluczyk. Silnik zajęczał. Spróbowałam ponownie. Szybkimi ruchami raz po razie wciskałam ssanie - stara sztuczka. Samochód nie chciał zapalić. Po dziesięciu minutach wyczerpał się akumulator.

Wysiadłam, kopnęłam drzwi, otworzyłam maskę i zajrzałam do środka. Silnik, jak zwykle, był masą pokrytych nalotem rur.

- Masz problem?

Odwróciłam się. Widziałam już wcześniej limuzynę Lili - długą i błyszczącą - ustawioną na drugim końcu parkingu. Teraz zobaczyłam, że Lila zbliża się do mnie. Była w tym swoim przeznaczonym dla publiki przebraniu - ciemne okulary, włosy owinięte apaszką.

- I to nie pierwszy raz. - Ponownie go kopnęłam. Przeniosłam wzrok z mojego samochodu, renault 5, na limuzynę.

- Jedziesz do Londynu?

Skinęłam głową.

- Chcesz się zabrać z nami?

Czy chcę? Cóż za pytanie!

Wiecie, co zrobiłam? Po prostu poszłam z kluczykami do pubu i dałam je facetowi zza baru. Powiedziałam, żeby zadzwonił do warsztatu. Zrobiłam to, bo miałam obok siebie Lilę. Widzicie, czułam się taka odważna. Wiedziałam, że właściciel pubu zgodzi się z tego prostego powodu,

że stoję obok gwiazdy filmowej. Ona dawała mi taką moc.

I zgodził się, na dodatek z uśmiechem. Przez krótką chwilę czułam się kimś wyjątkowym.

Szofer Lili włożył tymczasem moją walizkę do bagażnika daimlera. Wiedziałam, że powinnam zostać we wsi i dopilnować własnego auta; przecież któregoś dnia i tak będę musiała po nie przyjechać. A co mi tam.

To było jak zakochanie. Owa nagła brawura i lekkomyślność; pół-prawdy. Czy to nie śmieszne?

Usiadłam z Lilą z tyłu. Drzwi się zamknęły. Poczulałam woń perfum i rozgrzanych skórzanych pokryć. Przemknęliśmy przez wioskę. Lila wyprostowała nogi. Miała na sobie białe spodnie, różową bluzkę i jak zwykle, o jedną za wiele z tych swoich złotych bransolet. Kiedy się poruszała, podzwaniał jej naszyjnik. Pomyślałam sobie: Ona jest jak pole rozkwitłego rzepaku. Tak oślepiająca, że aż oczy bołą. Reszta krajobrazu, my, pozostali ludzie, jesteśmy przyćmieni aż do stanu niewidoczności.

- Ten sukinsyn twierdzi, że musi odwiedzić matkę w Cheltenham. Myślisz, że kłamie?

- Wielu ludzi ma tam matki - odparłam. - Po to właśnie jest Cheltenham.

Dotknęła mojego kolana.

- Jesteś taka miła. - Odsunęła dłoń, dzwoniąc bransoletkami, i wyjrzała przez okno. Rząd kamiennych domków uciekał do tyłu, a potem także pochyłe zbocze pola upstrzone krowami. - To takie ładniutkie. Takie małe! Ma się odczucie, że to dlatego, że jest się na wyspie. Trzeba to wszystko zmieścić. Oglądałam kiedyś mapę i myślałam sobie: Oni wszyscy mówią tam jak ktoś ze sztuki Szekspira. Tam znajdę sobie prawdziwego dżentelmena.

- Już nie.

- Masz absolutną rację. - Roześmiała się. Potem mi się przyjrzała. - Niezłe spodnie. Gdzie je kupiłaś?

- Sama uszyłam. Szyję większość swoich ubrań.

Ona jednak już nie słuchała. Powiedziała:

- Wiesz, co ten gnój powiedział? Powiedział, że miała operację i dlatego on musi zostać tam na noc. I że jutro musi przez cały dzień siedzieć w studiu ze scenografem. Co on sobie wyobraża, niby co ja mam w tym czasie robić?

- Musisz znać mnóstwo ludzi w Londynie.

- Dlaczego?

- No cóż... - Wzruszyłam ramionami. - Po prostu musisz.

- Skarbie, kiedy mam następnego dnia zdjęcia, to idę wcześniej do łóżka. Bo widzisz, mam ten problem ze spaniem i dlatego biorę pigułki. Najsilniejsze, jakie można dostać, uspiłyby pewnie całą drużynę koszykówki. A kiedy nie muszę grać, tak jak dzisiaj... - Znów wzruszyła ramionami. - Jesteście tacy cholernie uprzejmi, wy, Brytyjczycy.

- Masz na myśli, że tacy sztywni?

- Chodzi mi o to, że nie lubicie się wtrącać.

- Katherine Hepburn mieszkała w Londynie przez dwa lata i czuła się samotna. Nikt nie chciał z nią rozmawiać, żeby nie narazić się na podejrzenie o podlizywanie.

- Podlizywanie! Świetne słowo.

Poczułam się nagle jak kaloryfer. Żar rozlał się z mojego karku na całą twarz. Odwróciłam się do okna.

- Może byśmy gdzieś wyszły wieczorem?

- Hę?

- Mogłabym ci pokazać Londyn. - Odchrząknęłam. - Mogłoby być zabawnie.

- Hej, mogłybyśmy odwiedzić Covent Garden, wszyscy mówią, że jest wspaniała, mają tam te malutkie sklepiki.

- Nie taki Londyn. - Zaczerpnęłam tchu. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Serce waliło mi jak oszalałe. Umknęło jakieś pole; było pochyle i zielone. Na jego szczycie stały dwa konie, jeden pyskiem zwrócony do ogona drugiego. - Chodzi mi o to, bez urazy, że tego prawdziwego w ogóle nie widziałas. Prawdziwej wsi, prawdziwego Londynu. Widziałaś jedynie to, co oglądają turyści. Kaszmirowe sweterki i kruche ciasto. Widziałaś po prostu zbiór widokówek. - Zamilkłam, łapiąc powietrze. - Anglia już taka nie jest. W istocie nigdy taka nie była.

- No to dokąd pójdziemy?
- Właśnie słyszałam o tej kapitalnej, nowej sztuce. Nie o jednej z tych wysadzanych gwiazdami nowych wersji, nie o jednym z tych bezpiecznych spektakli z West Endu. Ale o prawdziwej sztuce, bez Japończyków na widowni. Chodźmy ją obejrzeć.
- Ojej. A jaki ma tytuł?
Zamilkłam na chwilkę, jakby usiłując to sobie przypomnieć.
- A tak. Zatytułowana jest *Wykorzystaj mnie*.

Siedem

Tego dnia były urodziny Treva. Uświadomiłam to sobie, kiedy przyszedł fachowiec, żeby zreperować kran. Mężczyzna! Zapomniałam ich zapachy. Ich rozmiary. Szczecinę. Cóż za niespodzianka! Powiedział, czy uwierzysz: „Miłego dnia”. Odparłam: „Dziękuję bardzo i nawzajem”. Wypowiedziałam to jednak z akcentem amerykańskim. W przeciwnym bowiem razie zaczęłyby zadawać te wszystkie wiadome pytania.

Wyszłam na zewnątrz. Tam, oświetlone rozmytym, słonecznym światłem siedziały trzy kobiety; dwie czarne, jedna biała. Wszystkie miały nadwagę... szczerze mówiąc, były po prostu grube. Wydaje się, że to prawdziwy amerykański problem. To ciągle dogadzanie sobie. To gargantuiczne łaknienie. A ja z e s z c z u p l a ł a m .

Nic nie robiły, po prostu sobie siedziały. Nie wiedziały, że nadszedł dzień urodzin Treva i że teraz już niemal minął.

O moich ostatnich urodzinach też nikt nie wiedział, podobnie jak o przedostatnich. Całutki dzień spędziłam wtedy w hotelu w Los Angeles. Z Los Angeles nie da się wyjechać, miasto zdaje się nie mieć końca. Widziałam niewyraźne pasmo wzgórz, ciemniejszą plamę pośród smogu, ale dostać się do nich nie było sposobu.

Siedziałam przy basenie zupełnie beczynnym, jak tamte trzy kobiety, i obserwowałam, jak ludzie wsiadają do samochodów i wysiadają. Były tam dwie nędzne palmy i tył rusztowania podtrzymującego tablice reklamowe; za nimi jedynie połyskująca, śliska autostrada.

Zapadł zmierzch. W pokojach po kolei zapalały się światła. Za roletami

przesuwały się cienie; ktoś się roześmiał, wysoko i histerycznie. Poprzez krzewy dochodziła do mnie przypominająca wieżę Babel paplanina z dwudziestu różnych kanałów telewizyjnych. Przyjeżdżały i odjeżdżały samochody; nad budynkiem kiwały się światła. Siedziałam tam, aż zapadły ciemności. Jakaś napowietrzająca basen maszyna bekała i bulgotała. Wcześniej, w ciągu dnia, woda była śluzowato ciepła. Skądś docierało buczenie przypominające dźwięk, jaki podczas filmowania wydaje generator. Czulałam z pełną świadomością maszynieri własnych naczyń krwionośnych i moją wilgotną cipkę, przez nikogo nie dotkniętą. Spojrzałam w górę; niebo było bezchmurne, usiane konstelacjami gwiazd, których nikt nigdy mi nie objaśnił. Nie wiedziałam, co która z nich oznacza; poza tym w Kalifornii były inne gwiazdy. Gwiazdy - tam, w górze, oddychały inną atmosferą. Pomyślałam o udach Lili, satynowo gładkich.

Przełożyłam się obok bugenwilli; ich kolce podrapały mi nogę. A potem już byłam w pokoju. Zdjęłam ubranie - szorty, T-shirt, majtki. Cała byłam rozszarżona od mojego urodzinowego słońca. Położyłam się na łóżku i zaczęłam gładzić swoje małe piersi, piersi, które nigdy nie karmiły dziecka.

Potem wstałam i zapaliłam świecę. Kupiłam ją wcześniej tego dnia... przywiązuję wagę do obrzędów, a ty nie? A potem znów się położyłam, z głową zwisającą za krawędź łóżka, z rozciągniętą szyją. Krew nabiegła mi do policzków. Zaczęłam się dotykać, tak jak Trev mnie dotykał. Obserwowała mnie przy tym jego przyciśnięta do okna twarz. Wszyscy mnie obserwowali - Lila, Roly, mój ojciec, który przesunął palec ku wąsom i zakasłał po swojemu, ale który tym razem był skupiony i uważny. Bo teraz go już miałam, miałam ich wszystkich.

Cyk-cyk hałasowały cykady, na zewnątrz, w krzakach. Byłam tu, w środku, a jednocześnie znajdowałam się na zewnątrz i zaglądałam do wnętrza. Głos tych owadów przypominał dźwięk pracujących kamer. Zaczęłam bardzo gorliwie. Słyszałam własny przerywany oddech, a słysząc go, oddychałam jeszcze ciężiej, żar się rozlewał, a ja płonęłam. Pokrzykiwałam cicho do mojej publiczności, jak gdybym nie była sama...

bo nie byłam, prawda? Właśnie wtedy, przez tych kilka chwil. A potem w jednym spazmie moje plecy wygięły się w łuk, a mój zwinny palec pozwolił, by przeszły mnie słodkie dreszcze, raz i drugi, i znów, jakby się to nie miało skończyć. Aż wreszcie, dysząc ciężko, opadłam na łóżko niczym morświn wyciągnięty na plażę. I dopiero wtedy usłyszałam szum klimatyzacji i poczułam pod sobą ściągnięte z połowy materaca, zwinięte w kłęb prześcieradło. Świeca skurczyła się i zaczęła rozplýwać - to była jedna z tych świeczek na tort, nie mogła przetrwać długo.

I taki był ten mój urodzinowy prezent dla siebie. Leżałam bez ruchu, policzki mi płonęły, mój ojciec odwracał ode mnie twarz. „Myślałam, że zostaniesz wielką aktorką”, powiedział, ale ja go prawie nie słyszałam, ponieważ ukrył twarz w dłoniach. Nie słuchałam zresztą; dochodził do mnie tylko jednostajny szum autostrady.

Teraz też słyszę odgłos ruchu drogowego. Ten jednak wydaje się bardzo odległy, jakby docierał tutaj z innego kraju.

Powinnam odczuwać tęsknotę za domem; jestem w Ameryce już od dwóch i pół roku. W Anglii mam matkę i brata. Nie odczuwam jednak nic. No... nie całkiem. Czuję się oddzielona od siebie samej, jakbym stała po drugiej stronie rzeki. Moja przeszłość jest zaledwie dochodzącym z daleka szumem ruchu drogowego. Badam własne uczucia niczym matematyk przyglądający się wykresowi i jedynie ja potrafię żonglować tymi liczbami.

Powiedziałam, że to nieludzkie, czyż nie? Chyba wspomniałam o Johnie Lennonie. Ledwie wczoraj, a już wydaje się całe wieki temu. Kiedy on zginął? Pamiętasz?

Czas jest elastyczny. Czas jest taki, jaki chcemy, żeby był. W naszych rękach potrafi się kurczyć i rozciągać. Kiedy się jedzie do jakiegoś nieznanego celu podróży, droga zdaje się ciągnąć w nieskończoność, kiedy zaś trasa jest znana, dojeżdża się do celu, niemal zanim jeszcze rozpocznie się podróż. Owa chwila pomiędzy „Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć” a nowiną, której się obawiamy... w tej chwili widzimy całe nasze

życie, jak na moment przed śmiercią. Kiedy natomiast ktoś zwyczajnie otwiera gazetę, to czas jest dla niego równie przezroczysty i pozbawiony smaku jak woda.

Ba, ale kiedy zgęstnieje.

Myślę teraz o tamtej chwili, kiedy limuzyna Lili podwiozła mnie do domu. Ona siedziała wtulona w tylną kanapę, ot jakaś tam kobieta w ciemnych okularach. Ponieważ jednak ten samochód czynił ją kimś szczególnym, jeden z sąsiadów, z którym nigdy nie zamieniłam słowa, aż się zatrzymał i powtórnie rzucił na mnie okiem. Zabrałam swój bagaż na górę. Rośliny w salonie zwiędły. Liczyłam godziny do czasu, kiedy samochód Lili ponownie po mnie przyjedzie.

Wzięłam prysznic. Miałam piękną łazienkę. Czyściuteńką. Niebieskoszare kafelki. Lila może i ma limuzynę, ale jak sądzę, nie jest pedantką. Wyobraziłam sobie jej kabinę prysznicową, te długie blond włosy zapychające otwór odpływowy. Było w niej coś flejtuchowatego, co podobało się tkwiącemu we mnie Trevorowi.

Nie zadzwoniłam do Trevora... jeszcze nie. Depilowałam brwi i przyglądałam się swojemu odbiciu w lusterku. W porównaniu z jej wargami moje robiły wrażenie wąskich. Trev chodził kiedyś z dziewczyną, która miała usta pełne i miękkie jak żelowa pianka. Powiedział, że dostawał orgazmu na sam widok jej ust.

Wydełam usta. Podniosłam lusterko i obejrzałam dokładnie swój profil. Mocny nos, wydatna broda. Z boku zupełnie nie przypominałam Lili.

Zatelefonowałam do warsztatu w Much Wallop. Mój samochód miał być gotowy następnego dnia. Usiadłam na kanapie i popatrzyłam na swój salonik. Kiedy mieszka się samemu, wszystko znajduje się dokładnie w tym miejscu, w którym się to pozostawiło. Zależnie od nastroju może to działać uspokajająco albo wyprowadzać człowieka z równowagi. Mój pokój wyglądał porządnie i nijako, jakby mógł go zamieszkiwać ktokolwiek - ściana książek, dwa plakaty z Jeu de Paume w Paryżu, stół i krzesła ze sklepu Habitat. Robił wrażenie pokoju, jaki ludzie wynajmują innym. Wyglądał, jakbym w nim nigdy nie mieszkała.

Moje mieszkanie było na pierwszym piętrze, miało duże okno i balkon. Latem lipa zasłaniała mi dom stojący naprzeciw; zazieleniała się i ocieniała pokój, przydając mu dusznej atmosfery, jakby znajdował się pod wodą. Z drzewa na stojące pod nim auta kapiała lepka ciecz. Sąsiedzi chcieli je wyciąć, ja jednak ceniłam sobie trwającą sześć miesięcy w roku prywatność. Nigdy nie lubiłam, gdy zaglądali mi do wnętrza prawdziwi ludzie; wyobrażeni są o wiele bardziej interesujący, czyż nie?

Widzę dzisiaj to swoje mieszkanie bardzo wyraźnie. Obecnie zajmuje je ktoś inny; gdybym do niego wróciła, na pewno z trudem mogłabym je rozpoznać. Moje rzeczy umieściłam w przechowalni. Być może wyrzucono te nadstawki kominowe, które służyły mi jako donice, kto wie?

Pamiętam tamto piątkowe popołudnie. Kręciłam się, nie robiąc zupełnie nic. Moje mieszkanie istniało zawieszona w pustce, niczym scenografia. Teraz czuję, że musiałam wówczas robić miejsce w swoim wnętrzu, przygotowując się na coś ważnego. Przygotowywałam się na Lilę. A może byłam jedynie zmęczona tygodniem ciężkiej pracy, tygodniem niegrania.

Moglibyście zapytać, dlaczego nie powiedziałam, że autor sztuki to mój chłopak. Nie robiłam tego dla dobra Treva. Chciałam, żeby Lila myślała, że idziemy obejrzeć świetną nową sztukę, napisaną przez świetnego nowego dramaturga. Nie chciałam, żeby pomyślała, że ją zabieram ze sobą, bo jestem w tę rzecz w jakiś sposób zaangażowana. Sądzę, że tak czyste były moje motywy.

O szóstej wybrałam numer Treva. Kiedy umilkł sygnał telefonu i nastąpiła przerwa, poczułam niemiły skurcz serca. Nienawidziłam mówić do tej maszyny; odnosiłam wtedy wrażenie, że nie mamy sobie nic do powiedzenia. Kiedy zabrzmiał ten ostatni krótki sygnał, nagle go zaprzęgnęłam, rozpaczliwie.

- Cześć, to ja. Wróciłam. Słuchaj, przyprowadzam Lilę Dune na *Wykorzystaj mnie...* i kto twierdzi, że nie chcę pomóc? Nie przychodź. Chcę, żeby ona sama dostrzegła zalety sztuki.

Odłożyłam słuchawkę. Po pięciu minutach zadzwoniłam ponownie. Nakręciłam zły numer, bo nie mogłam się skoncentrować. Połączyłam się z Teksańskim Barem Naleśnikowym. Spróbowałam raz jeszcze.

- To znowu ja. Przyjdź proszę. - Przerwałam. Nie powiedziałam „Kocham cię”. Powiedziałam natomiast: - Bardzo bym chciała, żebyście się poznali, udawaj jednak, że my dwoje prawie się nie znamy, dobrze?
Odłożyłam słuchawkę. To był największy błąd mojego życia.

Lila spóźniła się o godzinę. Siedziałam, czekając, z wyszcotkowanymi włosami. Czyżby zapomniała? Kiedy spóźnił się Trev - a na ogół się spóźnił - wszystko się we mnie gotowało, bo przecież kradł godzinę z czasu, który mogliśmy spędzić wspólnie. Odczuwałam lęk przed jego najważniejszymi sprawami. Przez mój mózg przelatywały przeróżne scenariusze, wraz z upływającymi minutami coraz bardziej tragiczne. Moje wnętrzości skręcały się w coraz ciaśniejszy węzeł. Niemniej zawsze całowałam go z uczuciem, nigdy nie pozwoliłam mu się domyślić.

Natomiast czekanie na Lilę wprowadziło mnie po prostu w stan zdenerwowania. Trzykrotnie się przebieierałam, by w końcu zdecydować się na niebieski żakiet i spodnie, które Lila podziwiała w samochodzie. Nie zamówiłam stolika, bo Lila powiedziała, że to jej dzień bez posiłków, kupiłam natomiast soki i inne napoje, które wstawiłam do lodówki. Wypolerowałam kilka szklaneczek; czekały teraz pośród scenografii, która wraz z upływem czasu stawała się coraz bardziej nierzeczywista. Nastawiłam *Requiem* Mozarta; teraz właśnie śpiewał chór, od nowa, drugi już raz. A chciałam, żeby Lila przyszła, kiedy ta muzyka będzie grać jak gdyby nigdy nic.

Być może powinnam puścić coś lżejszego... piosenki z musicali? Nie miałam żadnych. A może Lila nie zamierza przyjść. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej wydawało się to wszystko nieprawdopodobne: to, że ja mogłabym zabrać ze sobą gwiazdę filmową do brudnego pubu przy bocznej uliczce odchodzącej od Tottenham Lane. Lila nosiła suknie bez pleców i chodziła na premiery. Może myślała, że Belsize Park nie jest bezpieczny.

Nastrój intymności naszej wspólnej podróży rozplynął się; Lila była ponownie gwiazdą filmową, kimś, kogo nie zna się ot tak po prostu, kimś z apartamentem w Park Lane Hotel. Była niby członek rodziny królewskiej. Spowita w niewidoczne okrycie osób sławnych; poruszała

się z szoferem wewnątrz zamkniętej sieci, eskortowana przez niego odwiedzała Bond Street, jej Londyn nie był moim Londynem. Prawdopodobnie od lat już nie wsiadła do żadnego autobusu ani tramwaju, chyba że podczas zdjąć.

Nagle rozległ się głos dzwonka. Zbiegłam na dół. Przy drzwiach stał kierowca - były dżokej o imieniu Pat. Zobaczyłam za nim nieprawidłowo zaparkowaną limuzynę, ze światłami migającymi, jakby to był samochód policyjny. Gość z mieszkania w suterenie, który właśnie wystawiał swoje śmieci, wyprostował się i patrzył na blokujący przejazd długi, czarny wóz.

Pobiegłam na górę, złapałam swoje rzeczy i ciężko dysząc, dołączyłam do nich. Byłam niemądra... naturalnie, Lila nie miała najmniejszego zamiaru oglądać mojego mieszkania. Wsiadłam do tyłu, zupełnie jakbym wchodziła do pokoju.

- Czy wy tutaj używacie tablic ouija?* - spytała Lila.

* Urządzenie złożone z wyposażonej w nóżki, mniejszej tablicy, ustawionej na większej, pokrytej literami i słowami. Osoba, pragnąca uzyskać odpowiedzi na pytania, kładzie lekko dłonie na tej mniejszej tablicy, która pod wpływem dotyku może się przemieszczać, wskazując wyrazy i litery. Ouija używana bywa podczas seansów spirytystycznych i podczas różnych gier.

Pokręciłam głową.

- Są fajne. Irma schowała moją w szafie. Uważa, że bardziej słucham tablicy niż jej. Myślisz, że to głupoty?

- Bynajmniej. Ja po prostu lubię sama podejmować decyzje. - Zabrzmiało to nieco zarozumiale, dodałam więc: - Uważam, że kobiety powinny brać życie we własne ręce, zamiast słuchać kawałka kartonu.

- To właśnie mi powiedziała, ta tablica ouija!

Lila miała na sobie żółty żakiet, spodnie i sandały na szpilkach, a pod żakiem bluzeczkę ze sztrasowymi aplikacjami. Nosila dziwnie pozbawione charakteru stroje osoby ubierającej się dla mężczyzn. Tego wieczoru wydawała się inna; świeża i czujna. Woń jej perfum wypełniała wnętrze samochodu.

- Wyglądam w porządku? - spytała, zdejmując ciemne okulary.

- Wyglądasz świetnie.

- Czy to takie ciuchy powinno się nosić?

- Jasne - odparłam, naśladowując jej akcent.

Jechaliśmy przez miasto. Mijaliśmy sklepy i nędzne budynki, zaróżowione zachodzącym słońcem.

- Niezła zabawa! - oznajmiła Lila. - To pięknie z twojej strony, że mnie zaprosiłaś.

Podniosła szyby. Były jednostronnie nieprzejryste, tak że z zewnątrz nie można było zajrzeć do środka. Kiedy zatrzymaliśmy się na jakichś światłach, grupa przepychających się chłopaków usiłowała to zrobić. Patrzyłam w ich niewidzące oczy. Uśmiechałam się do nich; równie dobrze to oni mogli obserwować mnie. Powoli przełożyłam nogi; żalowałam, że nie mam spódniczki, która podjechałaby w górę na moich udach.

Trzy Korony były ponurym pubem - mieszczącym się tuż obok domu pogrzebowego - całym obsmarowanym graffiti. Dwóch czarnych młodych mężczyzn stało opartych o ścianę. W pobliżu, nad biurem radiotaxi, błyskało zielone światło. A jeszcze wyżej rozciągało się zarumienione niebo.

- Nie spodziewaj się tutaj wesołych londyńczyków - powiedziałam - ani jabłek w polowie z toffi.

Wysiadłyśmy z limuzyny. Nagle błysnął flesz. Obróciłam się; jakiś mężczyzna stał przed wejściem do pubu. Zrobił jeszcze jedno zdjęcie. Szybko przeprowadziłam Lilę obok niego.

Trev był w barze. Po tych dwóch dniach wyglądał tak obco, że serce podskoczyło mi do gardła. Posmarowane żelem włosy zaczesał do góry; miał na sobie czarną, skórzaną marynarkę i czarny, skórzany krawat, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Wyglądał, jakby się wystylizował na mafioso. Był z nim reżyser; musiał przyjść tu celowo.

Przedstawiłam ich sobie.

- To Trevor Parsons, pisarz. I Reece Bendien, reżyser.

Ucisnęli sobie dłonie. Różni pijaczkowie, przeważnie starzy Irlandczycy, ze szklaneczkami w połowie drogi do ust, zatrzymywali się, żeby na nas popatrzeć.

Poszliśmy na górę; Trev stanął nawet na boku, żeby nas przepuścić, że to niby najpierw panie. Obok Lili czułam się dumna i jednocześnie zatrzwożona, jak gdybym towarzyszyła jakiemuś cennemu porcelanowemu obiektowi. Nawet dziewczyna sprawdzająca bilety, zazwyczaj chłodno

obojętna, objęła i mnie swoim przeznaczonym dla Lili uśmiechem.

Sala wypełniona była w połowie. Kiedy weszliśmy, zapanowała cisza. A potem przez publiczność przebiegł szmer. Niektórzy, jak sądzę, rozpoznali Lilę. Reszta zobaczyła po prostu seksowną, raczej zbyt wyszukanie ubraną kobietę. Musi to być ktoś znany; czy gdzieś już jej nie widzieli?

Zajęliśmy miejsca w jednym z rzędów z przodu. Bez osób towarzyszących, nawet bez własnego szofera, Lila była całkowicie pod moją opieką. Czy nie jest za duszno? Za zimno? Czy siedzenie nie jest zbyt twarde?

Szepnęłam do niej:

- Przykro mi z powodu tego fotografa. Nie miałam z tym nic wspólnego.

- Z jakiego powodu ci przykro? - W istocie, o czym miałam się wkrótce przekonać, Lila nie zwróciła na niego uwagi. Trzask aparatów fotograficznych był dla niej czymś równie zwyczajnym jak własny puls; zwykłe reakcje były jej już obce.

Reece siedział po drugiej stronie Lili. Trev, obok niego, zdawał się być poza moim zasięgiem. A kiedy podniosła się kurtyna, odniosłam wrażenie, że grają tę sztukę całe mile ode mnie.

Już kilkakrotnie widziałam *Wykorzystaj mnie*. Dzisiejszego wieczoru czułam się, jakbym oglądała ją, patrząc z odwrotnej strony teleskopu, jakby była pantomimą. Aktorzy ruszali ustami, przemieszczali się, słyszałam jedynie echo wypowiedzianych przez nich słów. Kobieta była mężatką. Hydraulik przyszedł do jej domu, żeby naprawić bojler, a potem ona ubłagała go, żeby został, bo jest jeszcze tyle rzeczy do zrobienia. Każdej nocy niszczyła jego pracę - łamała rury, jak jakiś chochlik z bajki; robiła krótkie spięcia. Musiał codziennie wracać i reperować wszystko od nowa. A kiedy to robił, ona opowiadała mu o sobie i o swoim mężu, szczegółowo, i z każdym dniem, gdy otwierała mu drzwi, była coraz bardziej skąpo odziana.

Siedziałam na twardym krześle. Miałam skurcze żołądka; było mi duszno. Na scenie hydraulik klęczał na podłodze i naprawiał coś śrubokrętem. Weszła aktorka; miała na sobie czarny peniuar i domowe klapki na szpilkach; stanęła tuż za hydraulikiem i dotknęła go spiczastym

czubkiem pantofla. Zaczęła opowiadać o swojej nocy poślubnej, ale ja tego nie słyszałam. Twarz mi płonęła. Po co przyprowadziłam tu Lilę?

Kręciło mi się w głowie od zapachu jej perfum. Na scenie kobieta wzięła od mężczyzny płaski klucz, który zaczęła gładzić. Potem oboje wylądowali na kuchennym stole - ona siedziała na nim okrakiem. Zamknęłam oczy i kurtyna opadła.

Rozległy się pojedyncze oklaski.

- Jasna cholera - zachichotała Lila. - Jesteście bardziej kopnięci, niż przypuszczałam.

- Takich jak on nazywają fachowcami - powiedziałam. - Należą do naszego systemu klasowego. Kobiety z klasy średniej są rzekomo zbyt wyedukowane i zimne. Dlatego lecą na takich mężczyzn.

- Billy Hurt, on występował w tym filmie o woźnym. No ale to był Billy Hurt.

Na dole, w barze, Trev zamówił na przerwę butelkę szampana. Szampan! Ale Lila piła sok pomarańczowy.

- Ta sztuka - powiedziała. - Ma taką moc!

Trev, tym razem przynajmniej, miał własną paczkę papierosów. Poczęstował Lilę, a potem mnie, z uprzejmością kogoś obcego.

- Próbuję pokazać, że do wykorzystywania trzeba dwojga - powiedział.

- Niby jak? - spytała Lila.

Zapalił jej papierosa, nachylając się ku niej.

- Każdy sadysta musi mieć swojego masochistę. To kwestia porozumienia.

- Że niby ona tego chce?

- Właśnie! - Uśmiechnął się do niej i przysunął bliżej.

Poczułam, że swędzi mnie skóra. Reece włączył się do rozmowy.

- Każdy związek jest pewną formą manipulacji.

Lila westchnęła.

- Oj tak, co racja, to racja.

- Sztuka Treva ukazuje, jak to nikt z nas nie jest bez winy - powiedział Reece. - Zewnętrzne wyzwolenie jest niczym, jeśli we wnętrzu nadal pozostajemy okaleczeni przez stare wzory zachowań. W *Księżnej d'Amalfi*

to ona pragnie, by Bosola ją wykorzystał, autodestrukcyjna jest wbudowana od samego początku. I wiecie, jak to się kończy.

- Jak? - spytała Lila.

Reece przeciągnął palcem po gardle. Lila zadygotała i mocniej otuliła się żakietem.

W drugim akcie kobieta wykopuje męża z domu. Na jego miejsce wprowadza się hydraulik. Kiedy jednak już się tam instaluje, staje się jej panem, a ona jego niewolnicą. Zawiązuje jej tak mocno fartuch, że kobieta krzyczy z bólu; zmusza ją do noszenia jeszcze wyższych szpilek, okaleczających stopy. Ona mu gotuje, ociera czoło z potu. Leży na stole nago, z rozłożonymi nogami, podczas kiedy on sobie siedzi, popalając papierosa. Teraz jego kolej na mówienie. Opisuje swoje seksualne podboje, mówi jej, że jest gorsza od tamtych, że jest szmatą. Strzepuje popiół w jej pępek. Sztuka kończy się, kiedy ona go morduje.

Pat, szofer, czekał w barze, popijając sok pomidorowy. Ponieważ Lila wkrótce miała odjechać, Reece wystąpił z ciężką artylerią.

- Pinter rozumiał pornografię klasową, pornografię przemocy. - Objął ramieniem Treva. - Przewidujemy, że ten gość wywrze jeszcze większy wpływ niż Pinter.

Trev uśmiechał się głupawo - dla mnie był to zupełnie nowy widok. Rzuciłam mu piorunujące spojrzenie. Z tą przylizaną fryzurą przypominał wodnego szczura. Uświadomiłam sobie, że nienawidzę tej jego sztuki.

- Takich facetów jak wy widać teraz na całym Broadwayu - powiedziała Lila. - Na przykład ten słodziutki spektakl *Ja i moja dziewczyna*.

- My też się tam znajdziemy - oznajmił Reece. - Tylko poczekajcie.

Zwróciłam się do Lili.

- Oni już pracują nad wspaniałym spektaklem. O dwóch młodych kabotynach. Zatytułowanym *Ja i mój żel*. - Zanim Trev zdążył zareagować, wyprowadziłam stamtąd Lilę. Nie wiadomo dlaczego chciałam ją zabrać od nich obu.

* * *

Pojechaliśmy do Belsize Park. Lila siedziała w samochodzie otulona swoim żakietem.

- Ależ facet ma talent! - powiedziała. - Jesteś szczęściarą.

- Niby dlaczego?

- Mnie się nie zdarza słuchać takich rozmów.

A ja właśnie zamierzałam ją przeprosić za ich pretensjonalność. Po-wstrzymałam się jednak.

- Ja słyszę tylko grubiaństwa - powiedziała Lila. - Słyszę tylko dolary. Dwadzieścia milionów, rynek krajowy. Czterdzieści milionów, światowy. Oni nie pytają: Czy ona nie jest przypadkiem okaleczona przez stare wzory zachowań?

- A o co pytają?

- Pytają: Ile zarobił jej ostatni film?

Przemykaliśmy ciemnymi ulicami w naszym ciemnym samochodzie. Za oknami migały oświetlone szyldy... *Świat Sari... Sauna i masaż u Nicolette...* Minęliśmy *Pięciogwiazdkowe Tandoori*. Za jego zasłonami płonęło czerwone światło. Na zewnątrz stał kelner, gotów wprowadzić klientów do swojego teatryku.

- Nawet nie pytają: Czy ona potrafi grać? - powiedziała Lila. Wyrza-ła przez okno. - Nigdy nie byłam w college'u. Nigdy nie prowadziłam takich rozmów. Byliśmy naprawdę biedni. Dostałam szansę, kiedy wy-grałam tamten konkurs piękności. I mówię ci, skarbie, kiedy się jest Miss Nabilia New Jersey, nikt nie rozmawia z tobą o *Księżnej d'Amalfi*. - Roześmiała się. - Ich jedyną bolączką jest to, czy uda im się położyć łapy na twoich pośladvach.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie samochód zatrzy-mał się przed moim domem. Po wpływem nagłego impulsu Lila nachyli-ła się ku mnie i pocałowała. Potem odwróciła głowę i włożyła ciemne okulary.

Następnego dnia to wszystko zdawało się nierzeczywiste, zupełnie jak gdyby w ogóle się nie wydarzyło. Kiedyś pieprzyłam się z pewnym go-ściem pod wiatą przystanku autobusowego w Sidmouth. Było tak ciemno,

że prawie nie widziałam jego twarzy, i następnego ranka wydawało mi się to tak niewiarygodne, że niemal nie wierzyłam, iż rzeczywiście się stało. Przypominały mi o tym jedynie poobijane plecy i szum morza w uszach.

Tak właśnie się czułam tamtego sobotniego ranka. Jedyne, co pozostało, to ból głowy po szampanie. Częściowo wynikało to z naszego zachowania - z pretensjonalności Reece'a, obłudy Treva, mojego braku pewności siebie. Cóż, obłuda. Nikt z nas nie był chyba sobą. Ona spowodowała, że nie byliśmy prawdziwi. Nie miała takiego zamiaru, a jednak to spowodowała. Było to poza jej kontrolą, ale niczego nie zauważyła, bo w jej obecności wszyscy tak się zachowywali. Poza tym myśl, że siedziała pośród tych irlandzkich alkoholików na dole i tych skrzypiących skórzanym marynarek na górze, była z perspektywy czasu tak niedorzeczna, że nie potrafiłam tego wszystkiego ze sobą połączyć. Dlaczego tak to odczuwałam, przecież była tylko człowiekiem?

W tych pierwszych dniach znajomości z Lilą dokonywałam szaleńczych zwrotów. Podczas zakupów w Sainsburys byłam pewna, że nie miałabym jej nic do zaoferowania. We własnym domu, kiedy zraszałam swoje paprocie, czułam się silna i inteligentna; czułam, że mogę podbić cały świat. Wtedy właśnie to ona miała szczęście, że mnie знаła.

Trev przyszedł na kolację. Był ciepły, parny wieczór. Byłam dziwnie podniecona; być może z powodu pogody. Miałam na sobie sukienkę, którą uszyłam ze znakomitej bawełny kupionej w Liberty; pod nią nagie i gładkie nogi. Intensywnie odczuwałam swoją kobiecość i przynajmniej ten raz on był ze mną, na całego. Był ożywiony i rozbawiony; obrał nawet ziemniaki. Dlaczego był taki pomocny, ni stąd, ni zowąd? Podałam mu łososia z wody. Zamierzałam zamknąć drzwi na klucz i zatrzymać go; chciałam go nakarmić i mieć dla siebie. Za oknem usłyszałam grzmot.

- To było niesamowite - powiedział. - Przez jedną chwilę, kiedy ona weszła, myślałem, że to ty, taka wystrojona.

- Naprawdę?
- Nigdy nie mówiłaś, że jesteście do siebie podobne.
- A jesteśmy?
- Wtedy to sobie uświadomiłem.

Niemalże spytałam: Czy jest piękniejsza? Nie odezwałam się jednak. Nabił na widelec liść sałaty.

- Jest starsza, niż sądziłem.

Uśmiechnęłam się zadowolona.

- To dlatego, że w twoich snach się nie zmieniała. Im nie wolno się zmieniać.

Popijał wino. Miałam ochotę zadać mu więcej pytań, ale się nie odważyłam.

- Szczerze mówiąc, wiek uczynił ją jeszcze bardziej seksowną - powiedział. - A ta jej twarz. W sumie ona nie jest taka doskonała.

- Masz zamiar pożreć całą sałatę? - spytałam raptownie.

Później w łóżku odwróciłam się do niego plecami. Gładził mnie, oddychał w moje ucho. Po kilku chwilach odwrócił się ode mnie z westchnieniem. Odezwałam się w ciemność.

- Czy kiedyś wyobrażałeś sobie, że jestem kimś innym?

- Zawsze. Jak inaczej zmusiłbym go do wstania.

- Naprawdę?

Skinął głową.

- Dzisiaj jesteś panią Thatcher. Nie zauważyłaś?

- Naprawdę? - nie ustępowałam. - Kiedy nie widzisz, kiedy jedynie dotykasz?

- Dotknę cię, jeśli pozwolisz.

- Czy wyobrażałeś sobie, że jestem kimś innym?

- Och, zamknij się już!

- Robiłeś to! - Wpatrywałam się w połyskujący prostokąt rolety na oknie. Zagrzmiało.

- Posłuchaj, głuptasie... - Zamilkł.

Leżałam sztywno.

- Nieznośna z ciebie cholera - powiedział.

- Miałaś te zdjęcia.

- Jakie zdjęcia?

- W swojej sypialni. Kiedy byłeś młody.
- To co innego.
- Czyżby?
- Na miłość boską, Jules.

Nie odezwałam się. Po chwili zaczął oddychać głębiej. Uświadomiłam sobie, że zasnął. Na dworze padało, krople stukały o moje donice z nadstawek kominowych na balkonie.

Śniłam, że jestem z powrotem w domu w Arundel, tyle że dom ma sześć kondygnacji. Jestem w nocnej koszulce, przechyliłam się przez balustradę. Na samym dole, daleko ode mnie, leży Lila. Musi mieć złamany kręgosłup; lekko się porusza. Jest maleńką, trzepoczącą się istotką w białej sukience. Jak motyl, na którego ktoś nadepnął. Wiem, że powinienam zejść i jej pomóc, ale nie jestem w stanie wykonać żadnego ruchu.

Jakiś czas potem Trev, na pół rozbudzony, zaczął przymilnie dotykać mnie dłońmi. Odwróciłam się, nie otwierając oczu, i kochaliśmy się w milczeniu, z ustami jak przyspawanymi do siebie. Potem objęłam go mocno ramieniem ścierpniętym od jego ciężaru.

- Głupia baba - wymamrotał. - Przecież chcę ciebie. Nie widzisz tego?

Tamtej nocy po raz pierwszy nie byłam mu wierna. Bo widzisz, nie założyłam diafragmy. Chciałam zajść w ciążę.

Nazajutrz, w niedzielnej gazecie, ukazała się wzmianka na kolumnie poświęconej sztuce. I zdjęcie. Lili. Mojej osoby ani śladu; musieli mnie wyciąć.

Sztukę Wykorzystaj mnie pióra byłego handlarza antyków Trevora Parsonsa zaszczycił ubiegłego wieczoru niespodziewany gość. Była nim gwiazda filmowa Lila Dune, przebywająca obecnie w Londynie, w związku ze zdjęciami do komedii Carvalle'a-Reichmana zatytułowanej

Okowy ciała *Panna Dune* była najwyraźniej poruszona sztuką, graną przy pełnej widowni, z powodu pogłosek o jej przeniesieniu na *West End*. „*To* pisarz o diabelnej mocy”, powiedziała. „*Nowy Pinter*. Wykorzystaj mnie jest najbardziej interesującą nową sztuką, jaką zobaczyłam w Londynie”.

Opuściłam gazetę. Spojrzałam na Treva, który, nieogolony, siedział w moim szlafroku.

- Jak mogłeś? Przecież ona nic takiego nie powiedziała! Po prostu ją wykorzystałeś. I co to za pieprzenie o przeniesieniu na *West End*?

Uśmiechnął się zadowolony z siebie.

- Nie będzie miała nic przeciwko. Pochlebi jej to.

- Nawet nie widziała żadnej innej sztuki.

Wykonał niejasny gest ręką, w której trzymał nóż.

- Jej wypowiedź brzmi całkiem intelektualnie, nie uważasz?

- Chryste, ależ z ciebie ambitny drań. - Oddychając ciężko, wpatrywałam się w niego wściekle ponad zastawionym śniadaniem stołem. - Za dziesięć szylingów sprzedałbyś własną babkę.

Uśmiechnął się do mnie afektowanie.

- Mamy teraz system dziesiętny.

- Co ona sobie pomyśli, że niby zabieram ją na sztukę po to, żeby wycisnąć z niej coś, co da się zacytować? Nigdy się już do mnie nie odezwie.

- Spodoba jej się to. Zobaczysz. - Przechylił się ponad stołem, ukradł mój kawałek grzanki i wrzucił sobie do ust. Wzdrygnęłam się; nie znosiłam, kiedy to robił. Żując ten kęs, odezwał się: - Nie znasz jej tak dobrze, jak sądzisz.

I miał rację. W poniedziałek, kiedy spotkałam Lilę, wspomniała tamtą notkę z gazety.

- Irma mi ją pokazała - oznajmiła. - Dobrze wypadłam?

Osiem

Ekipa pracowała na wysokich obrotach - film był opóźniony wobec harmonogramu i do piątku zdjęcia miały być ukończone. Rex i Lila praktycznie ze sobą nie rozmawiali. Nastroje były tak złe, że zespół - podobnie jak większość zespołów filmowych, niezbyt ciekawskie towarzystwo - odizolował się od rzeczywistości i pracował automatycznie, odliczając pozostałe do końca pracy dni. Pomimo dużego ożywienia nad studiem wisiała złowieszcza atmosfera; jakiś inny, subtelniejszy scenariusz rozgrywał się obok tego, który na bieżąco był realizowany w hali zdjęciowej.

Lila robiła wrażenie roztargnionej i nie była w stanie się skoncentrować. Pogłoski mówiły, że się załamuje, jak już się to jej zdarzało w przeszłości. Pozostawało pytanie, czy uda się skończyć film, zanim to nastąpi. Kiedy filmuje się w plenerze, świat zewnętrzny ma bardzo rozpraszający wpływ. W studiu natomiast jest się tak odcięty od wszystkiego, że normalne życie przestaje istnieć; trwa nieruchomo, do czasu, kiedy ponownie do niego dołączymy. Cokolwiek się wtedy czuje, urasta do nieproporcjonalnych rozmiarów, niczym jakaś monstrualna roślina w cieplarni.

W tej odciętej od świata zewnętrznego przestrzeni, przestronnej jak hangar, odczuwałam klaustrofobię i świerzbiecie. Effie koniecznie chciała ze mną rozmawiać. Nobby, mój drugi i ostatni powiernik, czuł się okropnie; dokuczał mu jakiś pasożyt, którego się nabawił podczas filmowania w Afryce. Ludzie już byli nieobecni, jako że jest się nieobecnym duchem na wiele dni przed rzeczywistym odejściem. Niektórzy

wybierali się na wakacje, niektórzy na plan innego filmu. Jeden z dźwiękowców, który pracował kiedyś z Fassbinderem i który najwyraźniej miał ochotę zginąć, zamierzał się ścigać w zawodach motocyklowych na Isle of Man.

Wyszłam na zewnątrz, żeby zaczerpnąć trochę powietrza. Studio mieściło się na terenach przemysłowych Wembley. Po drugiej stronie drogi wózek widłowy ładował na ciężarówkę umywalki. Z jednego z budynków doszedł mnie dźwięk megafonu, wzywającego kogoś, kogo nigdy nie poznam. Chmury szybko przesunęły się po niebie, zupełnie jak gdyby ktoś zwił kurtynę z tyłu sceny. Na parkingu górował nad innymi pojazdami należący do Lili dom na kółkach. Miał czarne, nieprzejrzyste szyby oraz telewizyjną antenę. Kiedy tam stałam, w jego drzwiach ukazała się Irma niosąca tacę z lunchem. Jak zwykle miała na sobie dopasowany kostium i bardzo praktyczne buty, takie jakie nosi szpitalny personel. Wyglądała surowo - nawet złowrogo. Wyglądała jak Lotte Lenya w tym filmie z Jamesem Bondem; kiedy Bond się zbliżał, z czubków jej butów z niewyprawionej skóry wystrzeliły dwa ostrza.

Kiedy Irma zniknęła, przyjrzałam się temu domowi na kółkach. Był duży, kremowy i miał wysoko wysklepiony dach; samochody wydawały się przy nim maleńkie. Z powodu tych czarnych okien robił wrażenie odizolowanego i tajemniczego. Lila siedziała w środku, bezpieczna i niedostępna. Był czwartek. Wkrótce już jej nie będzie, wróci do Ameryki, do tego niezbyt uchwytnego dla mnie, olśniewającego życia, które mogłam sobie wyobrazić jedynie w formie sekwencji zdjęć z kolorowego magazynu - *Panna Dune opuszcza nocny klub; Panna Dune dowcipkuje z Michaeliem Douglasem*. Przypominało to wyjazd cyrku z miasteczka. Jedyne, co pozostawało, to pusty plac, ślady opon w błocie... i nagle wszyscy wyglądali szaro i bezbarwnie.

Czy tak to właśnie odczuwałam? Niezupełnie. Nie sądzę, bym miała na jej punkcie obsesję, wtedy jeszcze nie. Zazdrościłam jej oczywiście, chociaż zdawałam sobie sprawę, iż jej sława jest pewną formą uwięzienia. Czułam się od niej lepsza, bo byłam inteligentniejsza. Czułam się

urazona tym, że przez siedemnaście lat pracowałam ciężko nad swoim rzemiosłem, po to jedynie, by skończyć jako element scenografii, podczas gdy ona, choć była gorszą ode mnie aktorką, zarabiała bez najmniejszego wysiłku dziesiątki tysięcy dolarów. Pociągała mnie, ponieważ była piękna; w jej obecności ja też miałam ten fałszywy czar. Pociągała mnie, bo przypominała mnie samą, tyle że przetworzoną przez wyobraźnię: była mną w lustrze łazienki, kiedy byłam młodsza i kiedy mrużyłam oczy, aż mój obraz stawał się zamglony; kiedy udawałam. Była tą mną, za której widokiem tęskniłam. Przypominała o zdradzieckich nierównościach życia i powodzenia, i losu. Drobnie przestawienie rysów może stworzyć piękność; jeden dodatkowy chromosom może stworzyć zabójcę.

Lubiłam ją. Wiem to. Nie nienawidziłam jej wtedy, jeszcze nie.

Piątek był tym ostatnim dniem. Łatwiej mi będzie opowiedzieć ci tę część.

- Znowu mam to cholerne zapalenie pęcherza - oznajmiła Effie. Na policzki nakleiła sobie błyszczące kolorowe ozdóbki.

- Czy to prawdziwy szampan? - dopytywał się Sebastian, który podczas kręcenia zajmował się garderobą.

- Czy opowiadałem wam kiedyś o Oliverze Reedzie i o klamerkach do bielizny? - spytał asystent scenografa.

- Owszem - odparła Effie. - Dwa razy.

- Poszedłem na przyjęcie w Los Angeles - powiedział Tony Chandler.

- Wydawał je Swifty Lazar i nikt tam w ogóle nie pił alkoholu. Tylko wodę sodową. Śmiertelne nudy. Śmiertelnie nudni Kalifornijczycy.

Był piątkowy wieczór. Przyjęcie pożegnalne odbywało się w Retro Grade Club. Była to przebudowana dawna klinika chorób wenerycznych w pobliżu Leicester Square; trzy piętra łomotliwej muzyki.

- To nie szampan - powiedziała Effie.

Zapadło milczenie. Członkowie ekipy technicznej oraz obsady aktorskiej spędzili ze sobą na wspólnej pracy trzy miesiące, a przecież teraz staliśmy tam, nie mając nic do roboty i nie potrafilismy znaleźć tematu

do rozmowy. Jak wszyscy skrepowani ludzie, wyglądaliśmy, jakbyśmy mieli na sobie pożyczone ubrania.

Miałam podpięte do góry włosy. Teraz z kieliszkiem w dłoni słuchałam, jak Connie (charakteryzacja) opowiada dwom oświetleniowcom oszczerczą historię o Michaelu Winnerze, którą już zresztą słyszałam gdzieś wcześniej. Kątem oka dostrzegłam Rexa rozmawiającego z trzema mężczyznami (jednym niskim, drugim łysym, trzecim i niskim, i łysym), o których już wiedziałam, że są producentami. Stała tam też Lorraine, w sukni, która robiła wrażenie, jakby była zrobiona z folii aluminiowej. Maszynistka ekipy rozpoczęła samotny taniec. Ludzie przestępowali z nogi na nogę i zamilkli. Przypominało to demobilizację w wojsku; na widok samych siebie oraz innych, odzianych w cywilne ciuchy, wszystkich nagle ogarnęło onieśmienie. Ktoś mnie nawet zapytał: „Jakie masz plany na Boże Narodzenie?” - tego typu pytania, z braku lepszych, zadaje się własnej fryzjerce.

Czułam się jakoś głupio osierocona. Może Lila nie zamierzała się pojawić. Wielkie gwiazdy rzadko przychodzą na pożegnalne przyjęcia. Bo albo już dawno wyjechały na jakiś inny plan, albo nie mają ochoty pić letniego Asti Spumante i gawędzić z członkami zespołu, których imion i tak nie znają. Minęło pół godziny. Nie przyjdzie, a ja jej już nigdy nie zobaczę.

Już właśnie miałam wyjść, kiedy wkroczyła do sali.

Wszelkie rozmowy umilkły. Nie tylko dlatego, że wyglądała oszalałmająco - włosy miała zebrane na czubku głowy, ubrana była w czerwoną, satynową, obcisłą sukienkę, ukazującą nagie ramiona. Chodziło o sposób, w jaki stawiała kroki z ową pewnością osób niepewnych własnej równowagi.

Znieruchomiałam i zaczęłam obserwować. Rex tańczył z Lorraine, której folia zaczęła się rozwijać na plecach. Lila podeszła do producentów, uśmiechnęła słodziutko, kiedy tameci ją pocałowali, i przez chwilę z nimi pogawędziła. Potem się odwróciła i wzięła kubek z lodem od przechodzącego kelnera. Wyjęła z niego butelkę szampana i postawiła na podłodze. Potem ruszyła z kubkiem w kierunku tańczących, podeszła do Rexa, odwróciła kubek do góry dnem i wylała zawartość na jego głowę.

Kostki lodu rozsypały się ze stukotem po podłodze. Okazało się, że na dnie kubelka było zaskakująco dużo wody. Rex zgiął się wpół, zachwiał; był dokładnie przemoczony. Lorraine zapiszczała. Tłumek cofnął się.

- Ty nędzny cwelu - rzuciła Lila i odmaszerowała ostrożnie w kierunku baru.

Ludzie robili jej przejście. Ktoś zachichotał; Rex nie był lubianym reżyserem. Joshua Broome przyjął oklaskami przedstawienie Lili, ale ona zdawała się tego nie zauważać. Była bardzo pijana; a może pod wpływem narkotyków. Wszyscy pozostali robili wrażenie zbyt zażenowanych albo zbyt zaskoczonych, by cokolwiek uczynić.

Podeszłam do baru i stanęłam obok Lili.

- Stać cię na więcej - oznajmiłam.

- He? - Lila odwróciła się do mnie. Była zarumieniona i robiła wrażenie rozgorączkowanej; miała rozmazaną pomadkę. - Szomówisz?

- Powiedziałam, że stać cię na więcej. Daj mi tylko pięć minut.

Lorraine tymczasem zniknęła. Udając, że chcę do niej w jakiejś sprawie zadzwonić, wzięłam numer jej telefonu od asystentki charakterystyki, która na planie była najlepszą przyjaciółką Lorraine. Potem poprosiłam szefa klubu o kartkę papieru i kawałek taśmy samoprzylepnej i wróciłam do Lili, która wciąż stała przy barze.

- Chodź - powiedziałam.

Poszła posłusznie. Wysłyszmy tylnymi drzwiami i znalazłyśmy się w zaułku. Było dość chłodno. Wyjęłam kartkę i na pustej stronie napisałam mazakiem: *Spełnij swoje fantazje z Młodą Aktorką, Lorraine. Tel. 388 7991.*

- Co robisz? - spytała Lila. Alkohol spowolnił jej proces myślenia.

- Po prostu idź za mną.

Poprowadziłam ją do końca zaułka. Stała tam budka telefoniczna. Oklejona była kartkami. *Masaż u Biuściastej Lynn, Madame Vanessa, Sprzęt skórzany na sprzedaż, Jestem Susi! Młoda Modelka.* Wszystkie były opatrzone numerami telefonów.

Ze zdziwieniem zauważyłam, że trzymam Lilę za przegub. Pogładziłam leciutko jej rękę.

- Patrz.

Oderwałam zębami kawałek taśmy i przylepiłam nią kartkę Lorraine. Cofnęłyśmy się i patrzyłyśmy; Lila zachwiała się i dla odzyskania równowagi oparła o mnie.

- Masz zamiar ją tutaj zostawić? - spytała wreszcie. Dłuższą chwilę zabrało jej zrozumienie tego, co robię.

- Jasne.

Otworzyła szeroko oczy, po czym wybuchła śmiechem.

Uśmiechnęłam się. Stałyśmy tam kilka sekund. W oddali zawodziła syrena policyjna. Za tym zaułkiem, na oświetlonej ulicy, w tę i w tamtą chodzili ludzie, wyszli na miasto się zabawić. Nagle wszyscy wyglądali tak niewinnie. Ostro świeciły neony: *Wendyburgers*, *BILETY NA WSZYSTKIE PRZEDSTAWIENIA*. Wokół szyldu *Radiotaxi w dzień i w nocy* biegały światełka.

Wiatr zaszeleścił stertą śmieci, które leżały przy jakichś drzwiach. Dostrzegłam, że ktoś śpi pod tym stosem.

Lila dostała czkawki, a potem dreszczy.

- Ojej, za nic nie chciałabym mieć w tobie wroga.

Tylko się uśmiechnęłam.

Nazajutrz Lila i Irma poleciały do Ameryki, a ja uznałam, że ten epizod mojego życia dobiegł końca.

Tak się jednak nie stało, prawda? W rzeczywistości on się zaledwie rozpoczął.

Dziewięć

Kręcenie filmu jest jak pobyt w szpitalu. Przebywa się w odizolowanym świecie, je przygotowane posiłki, podlega specjalnym procedurom postępowania, których początek przypada na nieludzko wczesną porę dnia. Ten świat ma własny personel - ludzi, których nigdy więcej się nie spotka. Kiedy się w nim przebywa, nikt nie wie, co się z człowiekiem dzieje. Są strasznie długie okresy nudy. Wychodzi się z tego świata w miasto i wydaje się, że w czasie naszej nieobecności nic się w nim nie zmieniło, chociaż na drzewach przy naszej ulicy mogły się gęsto rozwinąć liście. Człowiek czuje, że coś się skończyło, a przecież w ogóle tego nie widać... jakby nigdy się nie wydarzyło. Życie zaczyna płynąć zwykłym trybem i mimo że tamte tygodnie wydają się złudą, snem, nie jest się już tą samą osobą. Coś w nas zmieniono, przestawiono we wnętrzu, ale zszyto nas ponownie i wynurzyliśmy się na świat zewnętrzny pozornie tacy sami. Zawsze coś takiego odczuwałam - zarówno jeśli chodzi o spektakle teatralne, jak i o ten krótki czas, który spędziłam na planie filmowym. W przeszłości jednak było to odczucie profesjonalisty - nauczyłam się czegoś, co mogłam rozwinąć, wcieliłam się w postać, która mnie wzbogaciła, postać, którą ponownie mogłam wykorzystać. Dzięki różnym reżyserom nauczyłam się wyrażać siebie za pomocą środków, o których posiadanie nigdy bym się nie podejrzewała. W pewnym stopniu przejmowała mnie jakaś inna osoba, która nie istniała, dopóki nie przyoblekłam jej w ciało. Nawet w przypadku mniej udanych doświadczeń, z niesympatycznymi reżyserami, też coś zyskiwałam - jak manipulować, walczyć czy, *in*

extremis, jak podczas prób udawać, a dopiero potem, na scenie, odsłonić pełnię postaci. Jak udawać przed wszystkimi... a czasami przed sobą samą.

Jeśli zaś chodzi o *Okowy ciała*, nie nauczyłam się niczego. Nie wynikało to jedynie z faktu, że po prostu na ogół tam stałam, podczas gdy oni rozciągali miarkę od mojej głowy do gzymsu nad kominkiem i wywijali mi światłomierzem przed nosem. Pierwszy raz w życiu udało mi się rzucić okiem na wielki biznes filmowy i co tam znalazłam? Bzdurną, nową wersję bzdurnego filmu, którego w ogóle nie powinno się było nakręcić... jak może tak zabraknąć wyobraźni? Słabutki scenariusz i nieprzekonujące postaci. Cukierkowe i nieodpowiednie plenery. Reżyser drugiej kategorii, który myślał kroczem. Cyniczne wykorzystanie przynoszącej zyski gwiazdy oraz wybitny, ale wyniszczony aktor teatralny, żeby całemu temu przedsięwzięciu przydać nieco poloni.

Nie powinnam się była w to angażować. Zrobiłam to jedynie dla pieniędzy i dla czegoś w rodzaju niezdrowej ciekawości, i czułam się zbrukana. *Gertie i giganci* wydawali się teraz tacy odlegli, zupełnie nie z tego życia.

Czułam się odmieniona, tyle że nie miało to nic wspólnego z moją pracą. Otworzyła się jakaś rana i nie miałam ochoty jej ruszać. Założyłam starannie szwy, żeby nie zauważyć jej istnienia. Jakaż to ironia. Spędzałam całe tygodnie na warsztatach i próbach, usiłując przeniknąć pod skórę jakiejś postaci, szukając i analizując. No, ale praca jest łatwa, prawda? Nawet kiedy jest trudna, jest łatwa.

Nazajutrz po przyjęciu posłaniec na motocyklu zadzwonił do moich drzwi. Podał mi pudełko. Wewnątrz znajdowała się wielka butla perfum *Je Reviens*. A z nią bilecik. „Najlepszej «Mnie», jaka istnieje! Dzięki. Do zobaczenia! LILA XXX”.

Minął miesiąc. Nie zaszłam w ciążę. Był parny wrzesień. Za moim oknem pocila się lipa. A ja czekałam w środku na dzwonek telefonu. Nie byłam bezrobotna, po prostu czekałam na pracę. Jeden telefon - dzisiaj,

w przyszłym tygodniu, w przyszłym roku - i będę musiała rzucić wszystko. Jedna nie pojawiająca się miesięczka i moje życie może się zmienić.

Tymczasem żyłam w szczególnym stanie niespokojnego zawieszenia. Chodziłam na gimnastykę i na konwersacje z francuskiego. Czytałam recenzje sztuk, w których nikt mnie nie chciał, a których reżyserzy byli coraz młodszy i coraz mniej mi znani. Zauważyłam z goryczą, że aktorka, która kiedyś grała moją koleżankę, kasjerkę z supermarketu, w popołudniowej operze mydlanej (obie byłyśmy źle obsadzone), dołączyła do Royal Shakespeare Company i próbowała teraz Imogenę.

Używałam tych perfum, jednak nie dla Treva. Nie życzyłam sobie, żeby moja skóra przypominała mu kogoś innego. Kiedy spędzałam samotny wieczór, skrapiałam się nimi; wilgotnym palcem dotykałam miejsc, gdzie bił mój puls.

Czułam się taka ospała, a jednocześnie rozedrgana i niespokojna. Trev mnie odwiedzał... zawsze był tylko gościem, zawsze były powitania i pożegnania. Czasami miałam pretensje, że się pojawił, bo wtedy już nie mogłam go oczekiwać. Każde przyjście stanowiło po prostu początek odliczania prowadzącego do odejścia, każdy moment był jednym krokiem ku ponownej samotności. Nocą, czego był zupełnie nieświadom, usiłowałam zająć z nim w ciążę... ja, kobieta wyzwolona, stosowałam tę najstarszą w świecie sztuczkę, czyż to nie haniebane? Nadzieja mnie rozpałała; byłam wilgotna i śliska od namiętności. „A niech mnie”, mówił potem, obmacując własne ciało, jakby szukał połamanych kości. Na filmie rzecz skończyłaby się naszym małżeństwem; na ostatniej szpuli byśmy się ucałowali i miałabym go dla siebie na całe życie. „Dzieci są wspaniałe, prawda?”, powiedziała Lila. Ona też miała trzydzieści osiem lat; i jej, i mnie zaczynało brakować czasu.

Pod koniec września agentka przysłała mi scenariusz. Była to sztuka o bezdomnych; ktoś zamierzał ją wystawić w lokalnym domu kultury w Brixton. Całkiem przyzwoity kawałek o niesprawiedliwościach życia. Zgodziłam się wziąć tę rolę. Moja postać wygłaszała monolog na temat

posiadania i nieposiadania, i kiedy tak to czytałam, pomyślałam o da-
imlerze i o tym, jak to za jego przyciemnionymi szybami praktycznie
każdy potrafiłby się przefasonować, oraz o tym, jak to gardziłam sobą za
to, w czym grałam.

Początek prób planowano na połowę października. Miałam grać pra-
cownicę społeczną - w takiej roli obsadzono mnie już dwa razy, to za-
pewne musi coś oznaczać. Ta pracownica, Marion, była wyjątkowo doj-
rzałym okazem - w uwagach dla reżysera, kwiecistych kawałkach prozy,
nazywano ją „przekwitającą malkontentką”. Julia odpłynęła ode mnie
już na zawsze. Obecnie moim przeznaczeniem było kurczyć się, albo też
puchnąć, do ról charakterystycznych. Rozpościerała się przede mną
ziemia jałowa przeróżnych ciotek. Ewentualnie, w feministycznych
przedsięwzięciach, za jeszcze mniejsze honorarium, lesbijek - opiekunek
molestowanych dzieci. Rozegraj właściwie swoje karty, jak wyraziłby się
Trev, a za dwadzieścia lat zagrasz Lady Bracknell. W miasteczku Slough.

We wtorek, na tydzień przed rozpoczęciem prób, wychodziłam wła-
śnie do pralni, kiedy zadzwonił telefon. Rzuciłam się z powrotem, po
schodach.

- Kochana - usłyszałam głos Maggie - posłuchaj tylko tego.

- Co się stało?

- Chyba zrobiliśmy nienajgorsze wrażenie ubiegłego lata. - Zamilkła.

Usłyszałam pstryknięcie jej zapalniczki. Musi to być coś interesującego,
skoro zapala papierosa. - Właśnie zadzwonił do mnie szef od castingu z
Maizin Productions. Wygląda na to, że nasza przyjaciółka, Lila Dune,
osobiście poprosiła, żebyś ją dublowała w jej następnym filmie.

- Ja?

- Było naturalnie trochę przepychanek ze związkami, ale tak właśnie
sprawy się mają.

- Jak się mają?

- Ona jest gwiazdą.

Milczałam chwilkę.

- Ona chce mnie?
- Chodzi o film *Nocne starcie*. W przyszłym tygodniu zaczynają zdjęcia.
- W przyszłym tygodniu?
- W Nowym Jorku.
- Nowym Jorku?
- Masz zamiar powtarzać wszystko, co powiem?

Szłam do pralni na lekkich nogach. Miałam wrażenie, jakby moja skóra była mocniej napięta. Usiadłam obok starszej pani, która już zdążyła zasnąć, i obserwowałam, jak moje ubranie wiruje w górę i w dół, w górę i w dół. Widziałam je przez okienko suszarki, ale ono już nie należało do mnie.

Kręciło mi się w głowie. Nie było to przykre uczucie. Przypominało owo rozwibrowanie po telefonie wytęsknionego ukochanego przyjaciela, kiedy to siadamy, żeby przypomnieć sobie bardzo szczegółowo każde wypowiedziane przez niego słowo.

Chciała mnie. Więcej, narobiła szumu, żeby mnie dostać.

Suszarka przestała wirować. Siedząca obok kobieta obudziła się i oznajmiła:

- Szkoda, że on ma to znamię, prawda? - Potem zakasłała w chusteczkę i ponownie zasnęła.

Wyciągnęłam swoje pranie i zaczęłam je składać. Czulałam, że mam na twarzy wypieki, zupełnie jak gdybym otrzymała wezwanie od członka rodziny królewskiej. Co mam na siebie włożyć?

Oczywiście wiedziałam, że powinnam odmówić.

Trev, który jak dzieciak uwielbiał gadżety, kupił sobie nowy telefon z automatyczną sekretarką. Miał pamięć na dziesięć numerów i małe okienko na nazwiska. Usiadłam w fotelu i udawałam, że nie czytam. Numer 1 to był jego agent, Dominie. Numer 2 Max, jego najbliższy współpracownik, ten, który prowadził Look Back in Ongar. Numer 3 to ja. Westchnęłam. Przynajmniej znalazłam się przed jego rodzicami - oni byli pod siódemką; więcej numerów nie chciało mu się wprowadzać.

Powiedziałam mu o propozycji. Wyglądało to jak powtórzenie rozmowy z sierpnia i znów Trev był moim Mefistofeilesem. - A co z *Plajtą*? - spytałam. - Nie mogę ich zawieść.

- Dwa tygodnie grania dla garstki dziecienniałych staruszków, którym się wydaje, że przyszła uczyć ich, jak się wyplata koszyki. - Nastawił czajnik. - Byłaś kiedyś w Nowym Jorku?

- Nie! - Czy nic o mnie nie wiedział? Nigdy wcześniej nie zapytał?

- Ja też nie. - Zaparzył herbatę. Dzisiaj był dla mnie miły, zupełnie jak gdybym nagle stała się ważnym gościem.

- To nie jest mój świat - powiedziałam. - Jeszcze jeden głupawy film.

Usiadł na podłodze, pomiędzy moimi nogami. Miał świeżo umyte włosy; pogładziłam jego wilgotną głowę. Tego dnia przypominał mi mojego labradora, po kąpieli w stawie. Często porównywałam go do różnych psów. Po całym dywanie wały się kartki maszynopisu. Pisał powieść, ale nie chciał mi powiedzieć o czym. Pochlebiali mi to, a jednocześnie niepokoiło, jak gdyby śledził wszelkie moje ruchy. Z drugiej wszakże strony, może rzecz w ogóle nie była o mnie. Co byłoby znacznie gorsze.

Gładziłam jego włosy i zastanawiałam się, raz jeszcze, czy ma naturalny dar pisarski, czy też jest to jedynie umiejętność z drugiej ręki, łączenie ze sobą słów innych ludzi, ich obróbka, polerowanie i podawanie jako autentyku.

Nie chciałam znać prawdy; byłam zbyt zamroczona. Nie ośmieliłam się też zapytać, czy nie wybrałby się do Nowego Jorku.

Następnego dnia dostałam miesiączkę. Siedziałam w toalecie i myślałam: Wygląda na to, że całe życie spędzam samotnie w łazienkach, przyglądając się sobie w lustrze.

Rzuciłam zatem tę sztukę dla lokalnej społeczności i postanowiłam pojechać do Ameryki. Okłamałam teatralną trupę, mówiąc, że zmarła moja matka. Byłam tak przekonująca, że aż miałam w oczach łzy. Kiedy odłożyłam słuchawkę, poczułam przebiegający przez moje żyły impuls;

delikatny furkot. Łganie zawsze dodawało mi energii.

Kontrakt przefaksowano do Maggie, mojej agentki. Niesamowite pieniądze - 750 dolarów tygodniowo plus hotel. Jak większość aktorek, cierpiałam na chroniczny brak gotówki; zdobycie tego mieszkanka zabrało mi dziesięć lat.

Kiedy przyglądałam się kontraktowi, czułam, jak porusza się we mnie chciwość, niczym płód, którego obecności w swoim wnętrzu nigdy nie doświadczyłam. Powiedziałam sobie, że nigdy nie kupię tych głupich, skórzanych kostiumów z Bond Street, że nie jestem taka; niepotrzebna mi limuzyna z szoferem. Potrzebowałam jedynie pieniędzy, żeby zapomnieć, że pieniądze są ważne; chciałam mieć to poczucie wolności wybrańców losu. Brak pieniędzy jest jak inwalidztwo; każdy krok przypomina boleśnie o chromej nodze. Czyni człowieka małostkowym; nie pozwala myśleć o niczym interesującym.

Chyba to nie jest tak do końca prawda, co? To przemawia moje tamto ja, ta druga Jules. Pamiętacie *Piękność dnia* - ten film, w którym szacowna pani domu wychodzi każdego popołudnia, żeby pracować w burdelu? Catherine Deneuve. Kiedy go obejrzałam, przyśnił mi się. Szczerze mówiąc, śniłam go kilkakrotnie, w różnych wariantach.

W czwartek poprzedzający mój lot wybrałam się na zakupy. Poszłam do sklepu, który widziałam tylko raz, w uliczce odchodzącej od Marylebone High Street. Mieli tam duży wybór nadzwyczaj wyzywających sukienek - czerwone cekiny, lejące się srebra, śliskie jedwabie... bez pleców, bez przodów. Sukienki, o których kupnie nigdy bym nawet nie pomyślała - to znaczy ta druga ja, ta Jules, która kupowała tkaniny na wyprzedazy w Liberty.

Kupiłam jedną, płacąc moją Barclaycard. Była z metaliczniebrązowej satyny, skrojona tak, że z jednej strony odkrywała ramię, a z drugiej udo. Taką sukienkę włożyłaby Lila. W dusznej przymierzalni za zasłonką stanęłam przed lustrem i obracałam się przed nim powoli, nie spuszczać

z siebie wzroku. Poprawiłam pomadką wargi. Potem wyjęłam konturowkę do oczu i pośliniwszy koniuszek, wyrysowałam sobie pieprzyk, dokładnie tam, gdzie miała go ona.

Wydęłam usta, a potem powolutku uniosłam nieco wyżej dół sukienki. W zasłonce była szpara. Po sklepie kręciło się dwóch Arabów; dostrzegli mnie. Uśmiechnęłam się do swojego odbicia, po czym ściągnęłam sukienkę, o, jakże powoli. I obserwowałam w lustrze tamtych dwóch.

Nie pokazałam sukienki Trevowi. Czulałam, że pomimo naszych różnych gier, jedynie by go to zmyliło. Ostatecznie zmyliło mnie samą.

Trev zamierzał lecieć ze mną, ale w ostatniej chwili się wycofał. - Posłuchaj, kochanie - oznajmił - Dzwonili właśnie ze szkockiej BBC.

- Naprawdę? - To, że powiedział do mnie kochanie, wzbudziło moją podejrzliwość. Zbyt szczerze to zabrzmiało.

- Słowo daję. Ten gość, rozumiesz, interesuje go *Wykorzystaj mnie*, ale muszę włożyć w to trochę pracy.

- Co masz na myśli?

- Nie mogę z tobą lecieć.

Nie odpowiedziałam. Przyjrzałam mu się bacznie. Miał dobroduszną minę. Co się, do cholery, dzieje?

- Co to za gość? - spytałam.

- Bill Bryden.

Odwróciłam się, żeby nie widział mojej twarzy. Zaczęłam energicznie szorować suszarkę do naczyń. Zrobiło mi się gorąco.

- Będzie mi ciebie nieustannie brakować - powiedział. - Ale to zaledwie dwa miesiące.

Wiedziałam, że ze względu na niego powinnam być zachwycona. Jego wielka szansa i tak dalej. Szorowałam coraz mocniej.

- Będę dzwonił - powiedział. Odwrócił mnie i pogładził palcem mój nos. - Będę dzwonił codziennie. - Uniósł do góry moją wilgotną, czerwona dłoń i ucałował ją. - Będzie mi brakowało twoich spracowanych dłoni. Będzie mi brakowało twojej zabawnej buzi.

- Zabawnej?

- Cudownej buzi. Będzie mi brakowało tego malutkiego fragmentu. - Dotknął kącika moich ust. Potem nachylił się i delikatnie pocałował. - Będzie mi brakowało tego malutkiego fragmentu - powiedział, wsuwając mi rękę pod spódnicę.

Nie ufałam mu. Odwróciłam się, żeby wytrzeć dłonie.

- Hej, a może zaopiekuję się twoim mieszkaniem? - spytał. - U mnie wysiadło ogrzewanie. Będę ci podlewał roślinki. - Uśmiechnął się. - Ogrzeję ci łóżko.

Pomyślałam z goryczą: Ten jedyny raz chce się przeprowadzić do mojego mieszkania, akurat kiedy ja się z niego wyprowadzam. Jednak nie powiedziałam nic. Uśmiechnęłam się słodko i pokazałam mu, jak spryskiwać paprocie oraz jak obsługiwać świeżo wyreperowaną pralkę. Przez jedną króciutką chwilę panowała domowa atmosfera. W pokazywaniu mu skrzynki z bezpiecznikami było coś intymnego.

- Pamiętaj, że to moje łóżko - ostrzegłam. - Moja pościel. - Zamilkłam na moment. - Nie zapominaj o tym.

Położył dłoń na piersi.

- Słowo skauta.

Rzuciłam mu srogie spojrzenie.

- Nigdy nie byłeś skautem.

I tak, pewnego słonecznego ranka w połowie października, Trev odwiózł mnie na lotnisko... mój samochód też sobie pożyczył. Teraz, kiedy wyjeżdżałam, on nagle był pełen zapału. Renault posuwało się z piskiem do przodu na trzecim biegu, a on prowadził z jedną ręką na kierownicy i drugą pod moją spódnicą. Pojękując, zawołałam: „Sprzęgło!” Wcisnął sprzęgło, a ja zmieniłam za niego bieg na czwórkę. Oparłam głowę na jego ramieniu.

- Pachniesz cudownie - powiedział.

- To tylko perfumy.

- Nowe.

Skinęłam głową. To były te od Lili.

Mignął znak drogowy: LOTNISKO HEATHROW 1/2 MILI. Teraz,

kiedy opuszczałam Anglię, jej marne półka po bokach szosy nagle wyglądały wzruszająco. Trzy miesiące wcześniej miałam na sobie sukienkę z Oxfamu; kosztowała 2 funty. Stałam wtedy na ulicy, z życzeniami w głowie, ale nie było nikogo, kto by ich wysłuchał. Teraz leciałam do Ameryki. W walizce miałam tę brązową satynową sukienkę, która kosztowała sto razy więcej, a jakie były teraz moje życzenia?

Na lotnisku poczułam niedorzeczną nerwowość. Burczało mi w brzuchu. Trev, teraz już skrępowany, pocałował mnie oschle w policzek. Wydał mi się nagle bardzo młody i samotny. W wejściu do poczekalni odlotów przytuliłam go niezgrabnie do siebie. Potem przeszłam szybko przez bramkę dla pasażerów. Kiedy się odwróciłam, on już zniknął w tłumie.

Godzinę później wsiadałam do samolotu British Airways, odlatującego o jedenastej do Nowego Jorku. Kiedy już stałam w środku, wciśnięta pomiędzy dwóch biznesmenów upychających swoje płaszcze Burberry do schowków na bagaż podręczny, poczułam zapach perfum od Lili. Przypomniałam sobie jej niewyrobione, dziecinne pismo: „Najlepszej «Mnie», jaka istnieje!”

NOWY JORK

Jeden

Budziłam się powoli, po operacji. Rozcięli mnie i usunęli coś istotnego. Leżałam na łóżku, ospała, z wyschniętymi na wiór ustami. Z daleka doszedł mnie łoskot; ktoś walił pokrywą pojemnika na śmieci, raz za razem. W tym pojemniku parowały, niczym mięso, wewnętrzne organy.

Piekły mnie oczy. Gdzieś z dołu, jakby z dna studni, dochodziły odgłosy ulicznego ruchu. Przesunęłam palcami po wykrochmalonym prześcieradle i rozłożyłam nogi. Materac był za szeroki jak na szpitalne łóżko. Ponownie coś załomotało, na dole, na ulicy. A ja byłam w orkiestrze naszej szkoły podstawowej i waliłam czynelami, tyle że tak naprawdę nigdy nie dano mi tej szansy, zawsze robiła to Louisa Jakaśtam, która dostawała te talerze i maszerowała z nimi w tę i z powrotem po scenie, kołysząc tymi swoimi kołtuńskimi warkoczykami. Wstałam z łóżka; czułam ciągle skutki różnicy czasu i długiej podróży samolotem, byłam rozgorączkowana i opuchnięta, zupełnie jak gdybym miała grypę. Była dopiero północ. Znajdowałam się w obcym pokoju hotelowym, z ciężkimi, beżowymi zasłonami na oknie. Rozsunęłam je i wyjrzałam na zewnątrz. Po drugiej stronie ulicy wznosiły się budynki, wysokie jak nadmorskie skały, zakrywające część pomarańczowego nieba. Pomiedzy nimi dostrzegłam i inne piętrzące się, ogromne budynki; niektóre oświetlone były reflektorami i robiły wrażenie, jakby wydychając białe obłoki, wytwarzały w ciemności parę.

W oknach naprzeciwko puste biura oświetlone tak jasno jak plan zdjęciowy czekały, aż coś się wydarzy. Przez podwójne szyby słychać było odbijające się echem w kanionach ulic zawodzenie syren z tysiąca

policyjnych seriali. Czulałam się zupełnie sama; czulałam się radośnie podniecona.

Ubrałam się, włożyłam płaszcz i wysokie buty i zesłam do holu. Przez większość tej pierwszej nocy wędrowałam pieszo po Nowym Jorku. Ów łoskot, jak odkryłam, wydawały rozklekotane, żółte taksówki, które grzechotały luźnymi pokrywami włączów kanalizacyjnych. Świecący jasnoróżowy neon po drugiej stronie okazał się reklamą zniżkowej depilacji woskiem u Dianne. Żaluzja była opuszczona. Napis obwieszczał „Nogi. Bikini. Plecy. Ceny zależne od rodzaju zabiegu”. Za żaluzją wciąż paliło się światło.

Poszłam Trzydziestą Dziewiątą Wschodnią Ulicą i przecięłam Lexington. Jeszcze nie nazywała jej Lex. Wszystko było dla mnie nowe. Wdychałam pełną pierś rześkie powietrze. Nad powierzchnią ulic unosił się dym z włączów, jakby pod miastem było dyszące piekło. Długie, czarne limuzyny z zaciemnionymi oknami przepływały obok. Jakiś mężczyzna, odziany w lachmany, stał przy latarni. Wsłuchiwał się w nią z przechyloną głową. Potem, coraz bardziej podniesionym głosem, zaczął toczyć z nią spór. „Siggy nie poczekał na mnie!” Zamilkł, czekając na odpowiedź, po czym krzyknął: „Osobiście mi to powiedzieli!”

Mijałam ponure wystawy; „Stodoła Fotograficzna”. „Szopa z radioodbiornikami”. Nie miałam pojęcia, jak daleko zabrnęłam, sklepy jednak były coraz nędzniejsze. Bezgłowe manekiny stały za szybami, ubrane w zakurzone szmizjerki. W wejściach do budynków poruszały się i mamrotały śpiące postaci. Czulałam zapach rzeki. Jakiś mężczyzna z obandażowaną głową podszedł do mnie i wyciągnął rękę. Dałam mu banknot jednodolarowy. Zasalutował. „Do zobaczenia w raj”, powiedział; zachichotał i zniknął w mroku. Minęłam zabarykadowaną wystawę sklepową, ciężką od klódek. „Kręgarz”, informowała tabliczka. „Wejdz! Wyprostuj swój kręgosłup!” Przed jakimś magazynem czekał z włączonym silnikiem biały Cadillac, z jego rury wydechowej wypływał pióropusz dymu.

Weszłam do całonocnego baru i usiadłam na plastikowym krzeselku. Zastanawiałam się, czy jest coś, na co miałabym ochotę. Siedzący obok mężczyzna przemawiał do miseczki z torebkami keczupu: „Nie idę na żaden ślub w żadnym fraku”.

Kelner przyniósł mi talerz grzanek i błyszczącą galaretkę. Stawiając to przede mną, przyjrzał mi się i zmarszczył brwi.

- Czy już gdzieś pani nie widziałem? - spytał.

Aż podskoczyłam.

- Nie.

- Może w telewizji?

Milczałam chwilę, potem wzruszyłam ramionami.

- Być może.

Ciekawe, czy pamiętał mnie z jakiegoś filmu, z *Berka*, w którym wychodziłam cała mokra z basenu, wywołując erekcję u nastoletniego Treva? Czy rzeczywiście wziął mnie za Lilę, czy byłam po prostu nikim, za którym stał kiedyś w bankowej kolejce? Wydęłam usta, jak robi to Lila. Obok lady ułożono rzędy grejpfrutów. Każdy przekrojony na pół, z wilgotną wiśnią w samym środku. Były podświetlone równie wspaniale jak gwiazdy filmowe. A po ulicach snuli się nic nie znaczący osobnicy i zwierzali się kawałkom metalu; powierzali latarniom swoje nieszczęścia. Każdy z nas dźwiga własne dramaty, ale nie każdy czyni to w świetle reflektorów.

Nie czułam się tamtej nocy osamotniona, nie wtedy. Jedyne wytrącona z równowagi i podniecona, i rozgorączkowana z powodu zmiany czasu. Po powrocie do hotelowego pokoju ściągnęłam buty i położyłam się na łóżku, z obolałymi nogami i z wyostrzonymi wszystkimi zmysłami. Przeleciałam pilotem po telewizyjnych kanałach. Jakaś zamazana dłoń gładziła coś futrzastego. „Towarzystwo z Niteline”, szeptał zmysłowy głos. „Kiedy jesteście, a nie chcecie być samotni”. Na łóżku leżała dziewczyna, miała rozłożone nogi. „To moja przyjaciółka Bambi, specjalizuje się w obciążaniu fiuta”. Przez ekran przelatywały numery telefonów. Możesz nawet użyć swojej karty kredytowej. Jeden numer na „Pieprzenie”; inny na „Cycki”. „Sześć bezpruderyjnych dziewcząt czeka na twój telefon. Rozmowy na żywo, 24 godziny na dobę”. Na zewnątrz wyły syreny; wewnątrz jęczała telewizja. Pojawiła się para, naga. Ona miała odrzuconą do tyłu w udawanej ekstazie głowę, przesuwając językiem po aktorsko perłowych zębach, zupełnie jakby grała na organkach. Oddychała coraz szybciej; w tle grała muzyczki jaką puszczają w lotniskowej

sali odlotów. Nagle przypomniałam sobie Lorraine w tej jej folii. Może nadal wydzwanianą do niej jacyś obcy mężczyźni wykrzykujący sprośności. „Za nic nie chciałabym mieć w tobie wroga”, powiedziała do mnie Lila z szeroko otwartymi, zatrwożonymi oczyma. Ale ja przecież nie byłam jej wrogiem, prawda? Byłam jedynie jej dublerką.

Obudził mnie dzwonek telefonu. Nagle wszystko wydało się niereczywiste - ten pojedynczy, przeciągły świergot telefonu, ten nieznajomy pokój, mój nocny spacer. Leżałam w łóżku, a była druga po południu.

- Witamy w Nowym Jorku - odezwał się czyjś głos. - Czy lot był przyjemny? Jak się pani podoba hotel? - Był to ktoś z Maizin Productions. Czy mam harmonogram zdjęć? Moją kartę wywołań? Oczekują, że się zjawię pierwszego dnia zdjęć, jutro rano przyjedzie po mnie samochód.

Samochód! Traktowali mnie, jakbym była gwiazdą. Może załatwiła to Lila. Zjadłam popołudniowe śniadanie w kawiarni za rogiem, kupiłam plan miasta i poszłam w kierunku Central Parku. Była piękna, słoneczna niedziela, ale głębokie studnie ulic pogrążone były w cieniu. Zadarłam głowę i wpatrywałam się w pionowe, przyprawiające o zawrót głowy fasady budynków mieszkalnych. Słońce oświetlało znajdujące się na ich szczytach penthouse'y. Zauważałam w górze kępy krzewów, gdzieś drzewka; jakiś balkon, markizę. Życie płynęło tam wysoko w blasku słońca; zamożni i sławni namaszczeni swoje opalone ciała, podczas gdy tutaj, na dole, gdzie przez kominy skrzyżowań wiał chłodny wiatr, my zapinaliśmy płaszcze. Drapacze chmur pogrążyły w mroku całe swoje sąsiedztwo. Tamtego dnia zaczęłam sobie zdawać sprawę, że Nowy Jork podzielony jest linią poziomą na dwa miasta. Górna warstwa leży w nieustannym słońcu i spokoju; mają tam nawet własne ptasie śpiewy, jak później odkryłam. W swoich biurach i mieszkaniach oddychają innym powietrzem. Od czasu do czasu opuszczają się w to szaleńcze szczyrowisko, ale jedynie po to, by wślizgnąć się w coś długiego i wygodnego, co z cichym pomrukiem zawiezie ich do celu. Krew zaczęła mi pulsować;

gdzieś w moim wnętrzu coś reagowało na to schizoidalne miasto.

Może wtedy nie byłam tego świadoma. W istocie nie wiem, co myślałam tamtego dnia, kiedy byłam zawieszona pomiędzy dwoma żywotami, bez roli do odegrania, jako że nadal pozostawałam niewidzialna. Do pewnego stopnia wszyscy gramy. Bez innych, którzy odbiliby nasz wizerunek, nie istniejemy... albo istniejemy, całkowicie swobodnie, jedynie dla siebie samych. Nikt - poza tym jednym nieznanym rozmówcą telefonicznym - nie wiedział nawet, gdzie się zatrzymałam. Wstąpiłam do tego zadziwiającego teatralnego parku wolna duchem, być może po raz ostatni w życiu. Nazajutrz bowiem miało się to wszystko rozpocząć.

Szeleściły liście drzew, złote i brązowe. Z ziemi wystawały wielkie głazy, rozrywając jej powierzchnię niby jakieś pradawne stworzenia, które miasto chciało pogrzebać. Czarny mężczyzna na wrotkach pchał wózek sklepowy od jednego kosza na śmieci do drugiego i wyciągał z nich puszki, które składał w swoim wózku jak jakaś wiewiórka magazynująca orzechy. Prawdziwe wiewiórki również tam były, chude jak szczury, oraz dyskotekowy łomot z radioodbiorników i pary obejmujące się na poszarzałej trawie. Wiał przejmujący wiatr. Wokół mnie ludzie odgrywali swoje dramaty na otwartym powietrzu, pojedynczo lub parami. Przemierzałam ścieżki, z pewnością siebie wynikającą z mojej niewidzialności. Ponad drzewami z przerzedzonymi liśćmi wznosiły się budynki mieszkalne, porażająco wysokie, równie absurdalne jak malowane kotary dekoracji. Po jednej stronie parku stały one w cieniu; po drugiej chwytaly perłowe światło gasnącego słońca. Ich okna były rozświetlone, błyskały pomarańczową barwą, jakby we wnętrzu szalał pożar. Skierowałam wzrok na penthouse'y- Lila powiedziała mi, że mieszka po zachodniej stronie Central Parku; który to może być budynek? Zmierzchało; musiałam tak spacerować całe godziny.

Potem się zatrzymałam. Przed sobą, w trawie, ujrzałam mozaikową płytę. Przyjrzałam się jej bliżej; zobaczyłam litery układające się w napis IMAGINE.

- To Strawberry Fields, skarbie - odezwała się postawna kobieta, wokół której stały torby z zakupami. Wyciągnęła rękę. - A tam jest ten dom, Dakota, wiesz o tym? Gdzie go zastrzelono.

Spojrzałam na poświęconą pamięci Lennona tablicę. Co powiedział wtedy Chapman? „Myślałem, że to będzie jak na filmie”. *Imagine* - wyobraźcie sobie. Co? Że nie jesteście sobą? Że jesteście kimś innym? Aktorki nieustannie muszą to sobie wyobrażać, muszą żyć w cudzej skórze, muszą się w nią wślizgiwać jak ręka w rękawiczkę.

W zapadającym zmierzchu spoglądałam na podświetlone budynki. Możliwe, że Lila jest tam, w górze, w tej właśnie chwili. Nie myśli o mnie, ale ja myślę o niej. Tak to już jest ze sławą.

Wyobrazić sobie, że jest się Lilą. Kiedy się odwróciłam, jej miękkie włosy opadły na mój policzek. Kiedy się odwróciłam, oczy wszystkich skierowały się na mnie.

Dwa

Filmy nadchodzą stadami, niczym londyńskie autobusy. *Okowy ciała* było jednym z tych tak popularnych kilka lat wcześniej filmów o przeobrażeniach - o zmianie płci, jak *Tootsie*, wieku, jak *Kokon* czy *Duży. Nocne starcie* natomiast było jedną z tych komedii rodzinnych z udziałem istot pozaziemskich; też było ich sporo, pamiętasz? W *Starciu* Lila grała rozwódkę, która durzy się w mężczyźnie znienawidzonym przez jej nastoletniego syna. Pewnego dnia, żeby wkraść się w łaski chłopca, mężczyzna zabiera go do Parku Kosmicznego w typie Disneylandu, gdzie w Kapsule Marsjańskiej coś się psuje i w rezultacie chłopiec opuszcza ją wyposażony w moc istoty pozaziemskiej. Wykorzystuje tę moc, żeby zniszczyć romans matki - kieruje jej samochód w inną stronę, kiedy ona jedzie do mieszkania przyjaciela, robi facetowi przeróżne psikusy i za pomocą efektów specjalnych rujnuje ich schadzki. Film miał być w całości kręcony w Nowym Jorku. I po raz pierwszy Lila grała nie romansową heroinę, ale matkę.

Ludzie, kiedy wyjadą za granicę, nieco się zmieniają. Tutaj, w Nowym Jorku, Lila wyglądała jakoś bardziej krucho; wydawało się, że straciła na wadze. Może to charakteryzacja - musieli ją postarzyć o kilka lat. Może to fryzura, w której występowała w tej roli; miała odsłoniętą całą twarz, a jej skóra wyglądała na napiętą i bladą. Rozwódka, którą grała, Mary-Lou, była pośrednikiem w handlu nieruchomościami; Lila nosiła dopasowane, niebieskie kostiumy typu businesswoman, ukazujące jej cudowne nogi. Byliśmy na Columbus Avenue, odgradzeni od tłumu sznurem, niczym zwierzęta cyrkowe. Kręciliśmy scenę przed sklepem z

różnymi rodzajami makaronu dla smakoszy. W niebieskim żakiecie, włożonym na własną spódnicę, weszłam już przez te drzwi i wyszłam około dwudziestu razy. Tego pierwszego ranka wszyscy byli rozgorączkowani. Lila powiedziała właśnie: „Cześć, jak się masz?“, ucałowała mój wyziębiony policzek i zniknęła w charakteryzatorni. Wydeptywałam dla niej chodnik w tę i z powrotem, usiłując przypomnieć sobie imiona członków ekipy. Mart, Bob, Don, który był który? Mnóstwo Bobów; w ekipach zawsze jest mnóstwo Bobów.

Podczas przerwy na lunch przeszłam dzielący nas od Central Parku kwartał ulic i przez kilka minut siedziałam na słońcu. Zdążyłam już wykończyć swoje angielskie papierosy i kupiłam winstony. Siedziałam na ławce z zamkniętymi oczyma, wciągając do płuc dym z amerykańskiego tytoniu i zastanawiając się, co ja tutaj robię.

Owionął mnie czyjś alkoholowy oddech. Otworzyłam oczy. Zaszuszo-
na, czarna kobieta patrzyła mi prosto w twarz. Podskoczyłam. Miała na sobie żółtą perukę; po bokach jej twarzy wisiały krótkie warkoczki.

- Powiedz im, co rzekłam - wyszeptła. - Powiedz im, co rzekłam. I przyjrzyj się wtedy twarzom tych kutafonów.

Operator tego filmu też był pedantyczny i drobiazgowy. Tamtego po-
południa nałożyli mi perukę z włosami zaczesanymi do tyłu, jak u Lili. Siedziałam w przyczepie charakteryzatorni, gdzie zajmował się mną ktoś, kogo nazywano Rodney. Był gejem, a posrebrzone siwizną baczki nadały mu dystyngowany wygląd.

Zerknął na książkę, którą właśnie czytałam, *Dom na placu Waszyng-
tona*, w miękkiej okładce. Zaczęliśmy rozmawiać o literaturze. cieka-
wostką związaną z kręceniem filmów jest to, że pomimo trwających w
nieskończoność przerw nikt nic nie czyta. Nawet na gazety ledwie co
zerkną.

- Masz świetną, wyrazistą twarz - powiedział. Przechylił głowę i
przyjrzał mi się dokładniej. - Enigmatyczną.

- Czyżby?

- Pyta dama, enigmatycznie. - Uśmiechnął się. - Wy, Brytyjczycy, nigdy nie wiem, co sobie myślicie. Zupełnie jakbyście przeszli szkolenie w jakichś tajnych służbach.

- Nazywają to wychowaniem klas średnich.

Wziął spinkę i umocował opadające z mojej peruki pasemko włosów.

- Jesteś bystra. Taka Lila Dune dla myślących. Lila to zjawiskowo piękna kobieta, ale rozumu ma tyle co azalia.

I nagle oboje wybuchliśmy śmiechem.

Przed Plaza Hotel unosi się woń łąjna. Bo są tam te konne dorożki, czekające na takich jak ja. Tamtego wieczoru za dwadzieścia dolarów wynajęłam sobie jedną z nich, na przejażdżkę po Central Parku. Woźnicą był młody, przyjaźnie nastawiony do ludzi gość; dotknął batem konia i z szarpnięciem ruszyliśmy do przodu. Zostawiliśmy za sobą cały ten ruch uliczny, który przycichł do odległego, słabego pomruku. Pomiedzy drzewami było spokojnie i naturalnie.

- Lubi pani oglądać gwiazdy? - spytał.

Myśląc, że zamierza pokazywać mi konstelacje, skinęłam nieszczerze głową. Tymczasem on wskazywał odległe światełka na szczytach tych mieszkalnych wieżowców.

- Diana Ross, to jej mieszkanie - oznajmił. - Kiedy jest w mieście. - Zanucił *Baby, baby, where did our love go?* - Lubi pani Woody'ego Allena? - Ponownie wskazał dłonią. - Tam mieszka, to jego, ma swój penthouse, a Mia, ona mieszka po zachodniej stronie. Ja mam fioła na punkcie kina.

Odwróciłam głowę. Poprzez drzewa te budynki wyglądały wyjątkowo efektownie, niektóre z tych starszych oświetlone były reflektorami. Wznosiły się w górę jak najeżone blankami mury. Nocą wyglądały jeszcze bardziej nieprawdopodobnie - jak rezultat sztuczek uzyskanych za pomocą kamery.

- To punkt orientacyjny, tamten budynek. - Wskazał na jeden z tych mieszkalnych. - Lila Dune, ta gwiazda filmowa, ona tam mieszka.

Milczałam.

- Widziała pani w Anglii jakieś jej filmy? - spytał.

- Nie. A kim ona jest?

- Kim jest Lila Dune? Pani tego nie wie? Ona jest, ona... - Zostawił lejce, uniósł do góry ręce i nakreślił dłońmi kształt klepsydry. - Blondynka. Zabójczo seksowna. Mnóstwo nagrała dla telewizji. Plus piętnaście filmów, może dwadzieścia. Takie sobie, większość z nich. Ale z takim ciałem, kto by się przejmował? W którymś momencie jej kariera się załamała, miała jakieś problemy. Nie jest już taka młodziutka. Jednak plotki mówią, że ta kariera znowu nabiera tempa.

- Nie znam jej - oświadczyłam, chwytając się czegoś dla równowagi, gdy braliśmy zakręt. - Jestem dość zajęta. Mam dwoje dzieci, nie dają mi chwili wytchnienia.

- Chłopcy? Dziewczynki?

- Parka. A wieczorem muszę iść do teatru.

- Jest pani aktorką? - spytał.

Skinęłam głową.

- Słyszał pan o Paulu Scofieldzie?

- Jasne.

- Miły człowiek. - Popatrzyłam na czarne gałęzie drzewa, splątane na tle nieba. - Grałam Kordelię, kiedy on był Lirem.

- Coś podobnego!

Powiedziałam mu o swoim triumfalnym sezonie w Stratfordzie i o następnym roku w Narodowym. Powiedziałam o swoim domu w Holland Park i o ogromnym, niesfornym psie, który zwałił z nóg listonosza, choć przecież nie zamierzał wyrządzić mu krzywdy. Było tak ciemno, że nie widział mojej twarzy. Przemawiałam do poruszających się gałęzi.

„Powiedz im”, rzuciła tamta kobieta z warkoczami w kolorze budynku. „I przyjrzyj się wtedy twarzom tych kutafonów”.

Przez tych kilka pierwszych dni w moim odbiorze Nowego Jorku padałam z jednej skrajności w drugą. Wydawał mi się albo najwspanialszym miastem na świecie, albo zakładem dla beznadziejnie obłąkanych. Czułam, że zachowuję bardzo niepewną równowagę, jedno delikatne pchnięcie i stoczę się jakąś pochylnią w dół, w zamęt i chaos. Dołączę do tych wołających w ciemnościach. Byłam rażna, ożywiona, czujna jak

węszące niebezpieczeństwo zwierzę. Odczuwałam coś takiego od samego początku, na długo zanim cokolwiek zaczęło się dziać. Pamiętam to, naprawdę.

Mój hotel stał w środkowej części Manhattanu; niemal codziennie musiałam pojawiać się na planie wcześniej rano i jechałam taksówką wszędzie tam, gdzie wymagał tego harmonogram zdjęć, czy to na północ czy na południe, dokądkolwiek. Mam niezłą orientację przestrzenną - tutaj niezbyt przydatną. Zaczęłam kreślić sobie w wyobraźni kształt Manhattanu. Kupiłam buty sportowe - reeboki - jak wszyscy inni; były wygodne i ciche. Nocami spacerowałam. Jednej nocy doszłam do samej Wall Street, pięćdziesiąt przecznic albo i więcej; czułam się gibka i cicha jak pantera. Zaglądałam do oświetlonych westybulów, gdzie przy swoich biurkach siedzieli nocni portierzy, a żłobkowane, marmurowe kolumny rozaczały wokół poświatę i gdzie migały światelka wind, wznoszących się i opadających ze swoim niewidocznym ładunkiem. Raz, kiedy właśnie przechodziłam, drzwi windy się rozsunęły i w jej wnętrzu ujrzałam tylko pustkę. Tam wysoko, pod niebem toczyło się życie, a ja czułam się tak bardzo samotna. Nawet odgłosy ulicy są tu inne, odbijają się głuchym echem między tymi wysokimi budynkami.

Brakowało mi Treva, moje ciało tęskniło za nim, szczególnie gdy wracałam do hotelowego pokoju, jednak wiedziałam, że jemu też mnie brakuje, powiedział mi to przez telefon. Ta nasza czasowa rozłąka była tak boleśnie słodka, iż niemal czerpałam z niej radość. Chciałam, żeby imponowała mu moja coraz lepsza znajomość ulic oraz moja swoboda w używaniu nowojorskiego slangu. Zaczęłam korzystać z amerykańskich określeń na ciężarówkę czy ustawienie się w kolejce. Wiedziałam, jak kupować żetony na jazdę metrem. Rzeczy, które zaczęłam uważać za oczywiste, dzieliłam z nim w moich myślach. Zawsze był ze mną. W jakiś dziwny sposób razem tu gościliśmy, nawet jeśli on o tym nie wiedział. Chciałam nauczyć go wszystkiego o tym mieście. Uwielbiałam być tą starszą, doświadczoną kobietą. Chciałam, żeby zauważał to co ja, bo inaczej, jakież by to miało sens? Sama wywarłabym na sobie wrażenie, gdyby on tylko tu był, żeby to widzieć. Czasami, myśląc o nim, stawałam

się rozkosznie rozmarzona; czasami gniewało mnie, że nie ma go tutaj ze mną. Uczucia wobec innej osoby, gdy jej przy nas nie ma, mogą podlegać jeszcze większym wahaniom. Odcięto mnie od zewnętrznego źródła energii; byłam niczym szpitalny generator, napędzała mnie jedynie produkowana przeze mnie samą energia. Wysyłałam mu „Całuski Hersheya”, wysyłałam też książkę z fotosami Jamesa Deana, kupioną w sklepie zwanym Mitologia. Rozpaczliwie brakowało mi jego śmiechu. Nawet bardziej niż jego ciała. Posyłałam mu niemądre pocztówki.

Podczas tych kilku pierwszych dni Lila była zajęta przymiarkami kostiumów i prawie jej nie widywałam. Ale kiedy się już spotkałyśmy, była bardzo miła. W jakiś dziwny sposób zdawała się mnie lubić - dziwny, bo tak bardzo do siebie nie pasowałyśmy. Może i byłyśmy do siebie podobne, kiedy już włożono mi tę perukę, ale tak niewiele miałyśmy ze sobą wspólnego. Co jeszcze dziwniejsze, wyglądało na to, że ona mnie potrzebowała. Zaprosiła mnie do swojej przyczepy i siedziałyśmy tam sobie, popijając jakąś obrzydliwą herbatkę żeńszeniową, która, jak jej powiedziano, miała fantastyczny wpływ na pory ciała. Leżała owinięta w satynowy szlafrok, z zamkniętymi oczyma, podczas gdy jej biały piesek próbował chwycić mnie za kostkę. Powiedziała, że jej życie osobiste jest bardzo ubogie - nie była wówczas z nikim związana.

- Mój terapeuta twierdzi, że zaczynam się za bardzo uzależniać od Orsona jako substytutu mężczyzny - oznajmiła. Usłyszawszy swoje imię, pies wskoczył jej na kolana. Poglądziła go, zanurzając długie, czerwone paznokcie w jego futerku. - Bo on jest placebo czy czymś takim. - Nachyliła się i pocałowała zwierzaka. - Usiłuję się jakoś pozbierać, żeby poradzić sobie bez tych cholernych mężczyzn. Mężczyźni to dno. - Właśnie przeczytała coś o zespole przyzwalającej ofiary. Lila miała głowę pełną takich na wpół przetrwawionych informacji: od swojego psychoanalityka, dietetyka, od przyjaciół, z kart tarota, artykułów w czasopismach oraz podręczników z gatunku „jaknadaćzyciuseń”. Swoje najnowsze teorie

opowiadała każdemu, kto tylko zechciał ich wysłuchać... a ponieważ była gwiazdą filmową, oznaczało to o wiele więcej ludzi, niż ja czy wy moglibyśmy kiedykolwiek w tym celu zebrać. Uwielbiałam, kiedy mnie zapraszała do tej przyczepy, pozwalało mi to czuć się kimś wyjątkowym. Ona siadała przed lustrem z kartką zawierającą popołudniowe kwestie ustaloną na wysokości oczu. Pilnie studiowała swoją twarz, prosząc o rady i wskazówki dotyczące pielęgnacji urody. Naturalnie nic na ten temat nie wiedziałam, jej to jednak w ogóle nie przeszkadzało, zdawała się nawet tego nie zauważać. Tak naprawdę nigdy nikogo nie wysłuchiwała do końca. Siedziałyśmy tam sobie odcięte od świata zewnętrznego, słuchając taśm z ociekającą miodem muzyką country and western, dopóki nie przerywała nam Irma, pukając do drzwi i patrząc na mnie groźnym wzrokiem, zupełnie jakby była matką Lili, a ja jakimś jej nastoletnim chłopakiem.

Również na planie Lila była dla mnie niezwykle łaskawa. „Jules jest najlepszą dublerką, jaką mi kiedykolwiek dali”, mówiła do reżysera, Chucka Coxa. On uśmiechał się do mnie dobrotliwie. Skoro mówiła to Lila, zmuszony był słuchać. Ktoś wzywał go do telefonu, a Walt z rekwizytorni pokazywał mu dwie popielniczki i pytał, którą, według niego, Lila ma rzucić. Kręciliśmy scenę w restauracji. Wszędzie pełno było statystów, próbowali dostać się do telefonu, torowali sobie drogę od automatu do kawy, niebezpiecznie balansując plastikowymi kubkami, albo siedzieli przy stolikach i pisali własne scenariusze. Nawet taksówkarz, który wiozł mnie tego ranka - zadki okaz, bo rozmowny - powiedział mi, że pisze scenariusz filmowy.

- Wiesz, tak jakoś wygląda, że ty zawsze wiesz, jak ja bym to zrobiła - powiedziała Lila. - To trochę niesamowite. - Roześmiała się. - Może spotkałyśmy się w innym życiu, podoba mi się ta myśl.

Uśmiechnęłam się.

- Może zamieniono nas przy urodzeniu.

Chucka gdzieś odwołano.

- Widziałeś moje kwestie do tego? - spytała cicho Lila. - To jakiś kretyński tekst. Co ja bym dała za dobrego pisarza. Gdzie tacy są? Gdzie są ci faceci?

Wtedy nie rozumiałam znaczenia tej uwagi. Kiedy aktorki narzekają na scenariusz, na ogół powodem jest za mała rola. One nie analizują scenariusza, nie rozbierają go na czynniki pierwsze i nie rozważają każdego słowa, jak to zwykł czynić mój ojciec z literaturą angielską. Nie mają czasu, by porozmawiać o motywacji czy o rozwoju postaci, są zbyt zajęte nieustannym przemieszczaniem się z miejsca na miejsce. Bo kiedy produkcja filmu już ruszy na całego, przybiera formę całych serii narastających kryzysów, rozmów telefonicznych, reorganizacji na ogromną skalę, których powodem może być niespodziewany deszcz. Wkrótce zorientowałam się, że o scenariuszu się nie dyskutuje. On jest po prostu bajeczny. Musi być bajeczny, czyż nie, w przeciwnym bowiem razie po co byśmy tu byli i wypruwali sobie flaki?

Poza tym Lila powiedziała, że zawsze chciała pracować z Chuckiem - był porządnym, szanowanym reżyserem, zrobił świetne filmy z gwiazdami pierwszej kategorii, takimi jak Jessica Lange czy Meryl Streep, aktorkami, które traktuje się niezwykle poważnie. Pomimo swojej sławy Lila czuła się bardzo niepewnie. To była jeszcze jedna z tych rzeczy, które uświadamiałam sobie wraz z upływem dni. Trudno w to uwierzyć, prawda? Widzi się tę piękną twarz wysoko na ekranie i myśli się, że ona to już na pewno ma wszystko. Siedzi się tam i zazdrości jej aż do bólu. A przez cały ten czas ona też cierpi.

Rodney, fryzjer, wynurzył się ze swojej przyczepy i usiadłszy razem, żeby poobserwować, jak Lila rzuca popielniczką w kochanka, którego podejrzewa o zdradę. (A jest niewinny; to jeszcze jedna z tych marsjańskich złośliwych sztuczek.) Z każdym ujęciem Lila grała to z większą wściekłością. Patrzyłam osłupiała, jak rzuca się na niego. Połowa włosów opadała jej na twarz; wyglądała jak wariatka, jedna z tych kobiet, które widziałam w Central Parku. Potykając się, przetaczała się przez salę restauracyjną: przewracała kieliszki i odrzucała na boki krzesła. Nagle przypomniałam sobie, jak w nocnym klubie Retro Grade, z oszalałym wzrokiem, rozmazanym tuszem, opróżniała kubek od szampana na

głowę mężczyzny, który ją zdradził. Nawet statyści robili wrażenie zaskoczonych... chyba że, co prawdopodobne, z przesadą wyrażali swoją reakcję, żeby przyciągnąć oko reżysera.

Wytarto podłogę do następnego ujęcia. Rodney, używając swoich sprejów i grzebieni, poprawił jej fryzurę. Potem wrócił do mnie i usiadł. Znowu siedzieliśmy i obserwowaliśmy.

- Ty draniu, ty draniu! - wrzeszczała Lila.

Rodney podniósł moją dłoń.

- Już przedtem chciałem cię zapytać. Jak sobie to zrobiłaś?

Nie mówiłam ci tego, prawda? Po zewnętrznej stronie mojej dłoni biegnie długa blizna. Punkciki szwów dawno już wyblakły, niemniej lekko wypukła, purpurowa pręga pozostała. Pozostanie, jak sądzę, na zawsze.

- Zaatakowano mnie - powiedziałam. - Prowadziłam terapię zajęciową z dramatu dla dzieciaków z zaburzeniami i jeden z nich mnie zaatakował.

Rodney przyglądał się Lili.

- Wiesz co? Ona właśnie jest kimś takim. Dzieciakiem z zaburzeniami.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak dalece sięgają te zaburzenia. Wiedziałam, że jest krucha i zmienna, i niepewna, że pada ofiarą swojej szaleńczej huśtawki nastrojów. Wiedziałam, że sława potrafi zaburzyć równowagę ofiary, zniekształcić obraz rzeczywistości i zmienić ludzi w pochlebców oraz łgarzy. Jednak nic jeszcze nie wiedziałam o jej przeszłości - ojcu, nieudanych małżeństwach, załamaniach psychicznych. Przeczytałam każdy wywiad prasowy, jaki tylko mogłam znaleźć, te jednak na ogół dotyczyły jej najnowszego filmu. Wszystko to przyszło później.

Bo widzisz, na tym etapie po prostu uważałam, że to Lila jest osobą z zaburzeniami. Tak właśnie myślałam.

W tym pierwszym tygodniu wydarzyło się coś jeszcze. Wtedy wydawało się to nieważne. Szczerze mówiąc, nie zwróciłam większej uwagi na słowa Lili... dotarły do mnie wiele miesięcy później, kiedy mogłam je wykorzystać.

Lila dołączyła do mnie na planie popołudniowych zdjęć, w holu mieszkania swojego kochanka. Zrobiłam już, co do mnie należało, i czekałyśmy razem z innymi, aż technicy coś zreperują. Usiadłyśmy na brezentowych krzeselkach; ludzie z ulicy przyciskali twarze do szklanych drzwi i przyglądali się nam. Być może, na jedną króciutką chwilę, byli zdezorientowani. Dwie aktorki, blondynki, siedzące w jaskrawym, białym świetle. Która jest tą gwiazdą? Która z bliźniaczek ma Toni*? Widząc nas od tyłu, któż mógł to stwierdzić? Tyle że na jednym z krzeseł widniał napis MISS DUNE, a na drugim ARTYSTKA.

* Cytat z reklamowego sloganu. „Toni” było trwałą ondulacją domowej roboty, bardzo popularną w Stanach w latach pięćdziesiątych. Reklama jej była dosłownie wszędzie! Ukazywała urodziwe bliźniaczki. Jedna z kobiet miała trwałą Toni, druga - profesjonalną. Podpis brzmiał: „Która z bliźniaczek ma Toni?”

Rozmawiałyśmy z Lila o Reksie, tym angielskim reżyserze. To jeszcze jeden z tematów, który nas do siebie zbliżał, ponieważ nie licząc Arny, byłam jedyną osobą z obsady, która go znała.

- Pieprzony kutafon - powiedziała. - Wszawa łajza. Przywiązywał mnie do tych słupków przy łóżku, następnego dnia musiałam nakładać na przeguby mnóstwo obrzydliwego mazidła. Pewnie byłam wtedy w stanie samoupodlenia. Już dawno z tego wyszłam.

- A robiłaś wtedy wrażenie pełnej werwy - powiedziałam. - Na przykład z tym lodem. - Zaczęłam chichotać. - Ciekawe, czy tamten numer nadal wisi na budce telefonicznej.

- He? - Spojrzała na mnie z niepewną miną.

Popatrzyłam na nią. A potem wyjaśniłam, co się wówczas zdarzyło. Poprosiła, żebym to powtórzyła, chciała się upewnić, że dobrze rozumie. Naprawdę nie pamiętała tamtego incydentu.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego przestałam pić? - spytała. - Bo widzisz, robię potem rzeczy, których w ogóle nie pamiętam. Budzę się w najdziwniejszych miejscach i nie mam pojęcia, jak się tam znalazłam. To bardzo niepokojące. - Wstrząsnął nią dreszcz. - Kiedyś byłam w pokoju

tego faceta, w Ramada Inn. W Ramada Inn! Jak ja, do diabła, się tam znalazłam? On grał gliniarza w *Posterunku przy Hill Street*, dlatego go rozpoznałam.

Milczałam. Nigdy nie znalazłam prawdziwych alkoholików, nie miałam pojęcia, co powinnam powiedzieć. Zaczęłyśmy mówić o czymś innym. Niemniej zapamiętałam najwyraźniej tę rozmowę, zważywszy na to, co wydarzyło się później. Musiałam ją sobie gdzieś, w jakimś kąciaku mózgu, zmagazynować, podobnie jak to bywa z młotkiem, o którym się nie pamięta, że jest w szafce, dopóki nagle nie chce się kogoś zabić.

Tamtej nocy śniło mi się, że Lila jest Karen Black w filmie *Pięć łatwych utworów*. Często odtwarzałam filmy we śnie. Może i nie ma w tym nic dziwnego. Jakkolwiek by było, sny są naszymi nocnymi wizytami w kinie, seansami, na które nie potrzebujemy biletów. Zmieniona przeze mnie obsada również nie była niczym niestosownym, Lila bowiem miała tę samą tandetną seksowność głupiej blondynki, którą ociekała Karen Black. Pieprzył ją Jack Nicholson, przypominasz sobie tę scenę? Kroczył z nią z jednego pokoju do drugiego, podczas gdy ona jęczała z rozkoszy. Jęczała nawet wtedy, gdy w końcu cisnął ją na łóżko, przymocował do słupków, wiążąc przeguby jej rąk, a potem szyję skórzanymi rzemieniami. Ona skręcała się pod nim i walczyła; najpierw spadła jej blond peruka, a potem głowa. Potoczyła się na podłogę, rozbijając przy tym jak butelka po winie, a on pieprzył samo ciało, które mogło przecież należeć do kogokolwiek, mogło być moje. Usiłowałam zmienić obsadę tego filmu, z całych sił starałam się obudzić, ale nie mogłam. Bo widzisz, ja wiedziałam, co będzie dalej. Kiedy bowiem on w końcu uniósł głowę i zobaczyłam jego twarz, okazało się, że to Trev, szeroko uśmiechnięty Trev.

Trzy

Na planie powstał pewien układ. Podczas trwających długo zdjęć zawsze pojawia się jakiś układ - dowcip krążący wśród dźwiękowców, wystawienie kozła ofiarnego, zmiana sojuszków, przelotny romans pomiędzy pracownikiem technicznym i dziewczyną od charakteryzacji, stan napięcia pomiędzy jakąś parą aktorów. Tyle że aktorzy pojawiają się i znikają. Natomiast cała reszta jest elementem stałym. Jako dublerka nie należałam ani do ekipy technicznej, ani do obsady aktorskiej, byłam kimś pomiędzy. W pewnym sensie byłam odizolowana, ale też mogłam być powiernikiem, adresatem plotek i narzekań. Dryfowałam nad ziemią niczyją pomiędzy mechanizmem produkowania filmu i mechanizmem tworzenia postaci.

Na tym jednak obszarze angielskość wzmacniała mój szczególny status. Milcząca podczas pracy, właściwie jedynie ciało, które przestawiano z miejsca na miejsce, kiedy już otwierałam usta, stawałam się ulubienicą wszystkich. Uwielbiali mój sposób mówienia. „Powiedz jeszcze raz pomidor”, nalegali, naśladując przy tym mój angielski akcent. Mówiłam im, że jestem aktorką, że potrafię mówić z akcentem amerykańskim, wieloma jego odmianami. Zaprezentowałam im trzy wersje Barbry Streisand i sześć Meryl Streep, i (bardzo złośliwie, jako że byłam o nią zazdrosna) półtorej Diane Keaton. Potrafiłam odtworzyć Marlona Brando z *Ojca chrzestnego* aż po ten całkowicie niezrozumiały bełkot; potrafiłam odegrać zarówno męską, jak i żeńską rolę Dustina z *Tootsie*. Umiałam świetnie naśladować. Mój głos, tak długo nieużywany, stawał się teraz wyjątkowo elastyczny. Rozśmieszałam nim ludzi - wywoływałam tę

odświeżającą reakcją po raz pierwszy od czasu, gdy grałam w *Sypialni-nej farsie* w Hornchurch.

Bo widzisz, Lila nie potrafiła być nikim prócz siebie; gama jej umiejętności aktorskich był żałośnie ograniczona, grała po prostu na jedną nutę. Ja byłam kameleonem, bruchomówcą... byłam aktorką. Tyle że za sprawą jednego kaprysu losu nikt o tym nie wiedział. Kiedy ukaże się *Starcie*, tam, na ekranie, pojawi się Lila. Mojego nazwiska nikt nie zauważy, przetoczy się ono przez ekran, kiedy sale kinowe opustoszeją, jedna z tych osób zagubionych pośród fachowców od efektów dźwiękowych, elektryków i sztukatorów. To Lila będzie udzielała wywiadów w świetle błyskających ze wszystkich stron fleszy.

Lila, jak sądzę, dostrzegła mój profesjonalizm. W tamtych dniach bardzo jeszcze chciała się czegoś nauczyć. Siadywałam z nią w przyczepie i słuchałam, jak powtarza swoją rolę... jej pamięć przypominała sito. Wspólnie ćwiczyliśmy poszczególne sceny, przy czym ja grałam jej syna lub kochanka. „Mamo - jęczałam - czy ten półgłówek dzisiaj też przychodzi na kolację?” „On nie jest żadnym półgłówkiem - odpowiadała Lila - on jest człowiekiem, którego kocham”. Pomagałam jej zinterpretować tę rolę jako zmaganie pomiędzy odruchami matczynymi i miłosnymi, pomiędzy synem i kochankiem, formując te dwie strony postaci z drewnianego i banalnego materiału scenariusza, czyniąc je bardziej prawdziwymi.

Pokazałam jej, na czym polega improwizacja.

- Jesteś Mary-Lou - mówiłam. Mary-Lou było imieniem postaci, którą grała. - Załóżmy, że wydano ci za mało reszty w sklepie, co wtedy powiesz? Utknęłaś w windzie pomiędzy piętrami, jak sobie z tym poradzisz? Przyjechała matka z dłuższą wizytą, jaka ona jest, jaki jest twój stosunek do niej?

Była tak zafascynowana, że wyłączyła nawet program z Tammy Wynette. Nigdy nie studiowała w szkole dramatycznej, nigdy wcześniej nie prowadziła podobnych dyskusji. Jej wygląd zaprowadził ją prosto z konkursów piękności do show-biznesu: od Miss Nabilia New Jersey do wieloodcinkowej telewizyjnej opery mydlanej, gdzie nie było czasu na nic oprócz intensywnej dbałości o urodę oraz całej serii katastrofalnych

romansów z grającymi pierwszoplanowe role partnerami, z których zresztą większość okazała się biseksualistami.

Tak więc to ja zostałam etatową intelektualistką. Czasami czułam się niczym profesor Higgins w *Pigmalionie*, a ona była moją pełną dobrych chęci Elizą. Wśród ekipy filmowej uchodziłam za mądrą, jedynie dlatego, że miałam zwyczaj czytać. Pewnego dnia Lila wzięła do ręki mój egzemplarz *Middlemarch*. Spojrzała na nazwisko autora.

- Jaki on jest? - spytała. - Dobry pisarz?

Powiedziałam jej, że w rzeczywistości George Eliot była kobietą. Zakryła dłonią usta.

- Nie mów im tego - zasyczała, wskazując na zespół operatorski, popijający nieopodal kawę. - Uważają, że mam pusto w głowie.

Innym razem, podczas przerwy, Chuck zauważył, że czytam Ibsena. Zatrzymał się przy mnie; był niskim, muskularnym mężczyzną, ruchliwym jak małpa; podobnie jak wszyscy reżyserzy, był egoistycznym dramatem - muszą tacy być, jeśli chcą wykonać swoją robotę - niemniej lubiłam go.

- Zrobiłbym *Hedde* - powiedział - gdybym nie musiał płacić alimentów trzem byłym żonom. - Wzruszył ramionami. - Kiedy się nad tym zastanowić, to pewnie Ibsen nie napisałby *Heddy*, gdyby to on musiał płacić potrójne alimenty.

Lila siedziała obok, dobierając sobie buty. Kiedy Chuck odszedł, zartowała:

- Teraz mi powiesz, że ten Ibsen też był facetką.

Roześmiałam się.

- Hedda Gabler nią była. - Wyjęłam paczkę salemów, poczęstowałam ją i opowiedziałam jej całą historię. Powiedziałam, że Hedda była niedocenianą, inteligentną kobietą, która skończyła żywot, strzelając do siebie. Powiedziałam, że kiedyś ją zagrałam.

Lila poprosiła, żebym jej pożyczyła mojego Ibsena. Była gorliwą uczennicą, chciała się uczyć. Powiedziała, że przeczyta go jeszcze tej samej nocy. Jednak kiedy późnym wieczorem włączyłam telewizor, w wiadomościach stacji WCBS przekazano pewną informację. Właśnie odbyła się premiera jakiegoś nowego filmu, którego tytułu już teraz nie

pamiętam, i pokazano znane osobistości przybywające na nią. Zobaczyłam Lilę. Włosy miała upięte wysoko i ubrana była w futro. Towarzyszył jej starszy, puciołowaty mężczyzna, który, o czym dowiedziałam się później, był jej agentem. W świetle jupiterów wyglądała oszalamiająco; błysnęła uśmiechem do kamery, do pchających się gapiów, i już jej nie było. Tak wyglądała jej lektura Ibsena.

Najbardziej brakowało mi Treva w długie wieczory. Czasami wydawało mi się niedorzeczne, że mieszka u mnie tylko dlatego, że mnie tam nie ma. Nie miałam pojęcia, czy na moim terytorium mniej czy bardziej chętnie źle się prowadzi. Z jednej strony, miałyby większe poczucie winy, obserwowany przez rzędy moich paproci włoskich złotowłosów; z drugiej wszakże strony, moje mieszkanie było o tyle bardziej szacowne od jego (to akurat nie było trudne do osiągnięcia), że niewątpliwie miało bardziej uwodzicielską atmosferę, taką, w której, jak to określał, mógłby się rozładować. Kiedy tak leżałam na hotelowym łóżku, przełączając telewizyjne kanały, wyobrażenia nie dawała mi spokoju. Kiedy zaś do niego dzwoniłam, często nie było go w domu. Wyobrażałam go sobie w pubie Powóz z Końmi, zapisującego numery telefoniczne różnych dziewcząt na opakowaniu bibulek papierosowych firmy Rizla. Wyobrażałam go sobie, jak maszeruje nago przez moją nieskazitelną sypialnię, żeby dołączyć, pod moją kołdrą, do jakiejś nienawistnej dziewczuchy, piętnaście lat młodszej ode mnie.

Kiedy już wreszcie rozmawialiśmy, usiłowałam malować pełen splendoru obraz mojego życia w Nowym Jorku.

- Przyjeżdżaj - powiedziałam. - Ja zapłacę. - Leżałam tam w dżinsach i T-shircie i szeptałam: - Spodobałoby ci się to, co mam na sobie. To skórzany gorset, ciasno zasznurowany, i koronkowy pas do pończoch, mmm, i jedwabne pończoszki...

On jednak oświadczył, że nie może, że ten jego projekt wchodzi właśnie w decydującą fazę. Wszystko trzymane jest w największej tajemnicy, mówił, i jest takie ekscytujące. Powiedział, że za mną tęskni; rzucił w słuchawkę parę sprośnych opisów tego, co ze mną zrobi, kiedy wrócę, i to już było wszystko.

* * *

Lila i ja miałyśmy, co oczywiste, wolne te same dni. Pamiętacie tę piosenkę *Ja i mój cień*? To byłam ja, ściśle przywiązana do niej. Kiedy ją uwalniano, uwalniano i mnie. Zazwyczaj jednak, kiedy kończyłyśmy dzień pracy, ona po prostu znikła, udając się, jak sądzę, do swojego luksusowego apartamentu albo do jednego z całej armii ekspertów, którzy zajmowali się jej psychiką oraz ciałem. Może jadła lunch z producentami w takich restauracjach jak Russian Tea Room, miejscach, o których tylko czytałam. Może leżała z opaską na oczach, oblepiona błotem. Może siedziała, zażerając się obwarzankami i oglądając powtórki *M.A.S.H.*, podczas gdy Irma robiła jej pedikiur. Bóg raczy wiedzieć. Jej życie było tak inne od mojego, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, co ona może robić z wolnym czasem. Co robią gwiazdy filmowe? Pragnęłam, żebyśmy były ze sobą blisko, ale zawsze znaleźli się jacyś ludzie, którzy ją porywali, zawsze czekał samochód z pracującym silnikiem, z kierowcą który słuchał sprawozdań z rozgrywek baseballu i palił marlboro.

I wtedy, pewnego listopadowego dnia, dwa tygodnie po rozpoczęciu zdjęć, Lila oznajmiła, że zabiera mnie na zakupy. Byłyśmy akurat w siłowni jej filmowego brata - *Starcie* miało też nieprzekonujący, poboczny wątek, w którym brat Mary-Lou, fanatyk na punkcie sprawności fizycznej, trenował, żeby zostać astronauta. Na następny dzień zaplanowano sceny bez naszego udziału. Siedziałam na czymś, co przypominało leżankę do badań lekarskich i usiłowałam pociągać za jakieś dźwignie.

- Skarbie, wyglądasz jak Sierotka Marysia - powiedziała Lila. Pomałała moją spódnicę, niczym żydowski krawiec, cmokając z dezaprobatą. Była to stara, drelichowa spódniczka od Fenwicka. - Pójdziemy na zakupy, hm? Chcę ci pokazać to miasto, tak jak ty pokazałaś mi swoje. Co ty na to? Zabawimy się? - Usiadła tuż przy mnie. - Zamierzałam zrobić to już wcześniej. Teraz jednak czuję się bardziej pozbierana.

Rzeczywiście wyglądała na bardziej pozbieraną. Oczy jej błyszczały; twarz promieniała. Musiało się coś wydarzyć. Wtedy pomyślałam po

prostu, że kogoś poznała, jakiegoś mężczyznę, albo że dzięki naszym sesjom w przyczepie poczuła się lepiej w tej swojej roli ze *Starcia*. Wtedy nie wiedziałam. Poza tym byłam zbyt zadowolona, żeby się nad tym zastanawiać. Powiedziała przecież, że pójdziemy na zakupy i zjemy gdzieś razem lunch. Ja, gdzieś w mieście, na lunchu z Lilą Dune! Być z nią blisko na planie to jedno, natomiast towarzyszyć jej w świecie zewnętrznym to coś zupełnie innego. Pochlebiali mi to w zupełnie niemądry sposób, a jednocześnie gardziłam sobą za to.

- W porządku - odpowiedziałam, jak gdyby nigdy nic.

Limuzyna Maizin Productions przyjechała następnego ranka, bardzo późno - Lila zawsze się spóźniała. Miała na sobie jedwabny żakiet i spodnie oraz ciemne okulary. Głowę owinęła apaszką; tak chroniła się przed rozpoznaniem. Czyniło ją to bardziej zwyczajną, a zarazem dziwnie prowokującą, jak Marilyn Monroe występującą incognito na tamtych zdjęciach. Była w świetnym humorze, flirtowała z Randym, szoferem, i opowiadała nam, jak po raz pierwszy przyjechała z przyjaciółką do Nowego Jorku, jeszcze jako nastolatka, jak to jechały autostopem, a potem, przyglądając się neonom, szły razem Broadwayem.

- Pewnego dnia, powiedziałam jej, pewnego dnia, powiedziałam, tam, w górze, pojawi się moje nazwisko.

- A co się stało z tą przyjaciółką? - spytałam.

- Wyszła za męża za hodowcę świń z Idaho. Mają trójkę dzieci. Trzy dziewczynki. - Westchnęła. - Mój ginekolog twierdzi, że jajowody mam kompletnie popieprzone, przez to, że tak maltretowałam własne ciało. Bo wiesz, był taki czas, kiedy łykałam dosłownie wszystko. Nazywali mnie „chodzącym laboratorium”.

- Nie najgorzej z tym wyglądasz - powiedziałam, nim zdążyłam się powstrzymać.

- Całe moje życie to jeden pieprzony zamęt - powiedziała, wyglądając przez przydymione szyby. - Ale wczoraj poszłam do tej kobiety, jest bardzo szanowana, bywają u niej politycy, wszyscy. No i odczytała dla mnie

karty i były tam te konfiguracje, jedna z Arcykapłanką, i ona mówi, że wydarzy się coś bardzo pozytywnego.

To dlatego wyglądała tak dobrze. Lila była istnym koszmarem dla feministek. Zupełnie jak gdyby nie istniała, dopóki ktoś jej czegoś nie powiedział - czy to jej astrolog, dietetyk czy agent; albo chociażby scenariusz nie podał jej tekstu do wygłoszenia. Przypuszczam, że to właśnie czyniło ją tak atrakcyjną dla mężczyzn. Pomimo sławy i zamożności była bezbronna, była pustym naczyniem, które trzeba dopiero nappełnić. Była intensywnie kobieca. W latach osiemdziesiątych mało było takich kobiet, należała do zagrożonego gatunku. Większość znanych mi kobiet była silna i niezależna albo udawała, że taka jest, stąpając ciężko w martensach i domagając się wszystkiego, od praw dla gejów do wielokrotnych orgazmów.

A gdzie w tym wszystkim byłam ja? Myślałam, że wiem, myślałam, że jestem silna i niezależna, nikt jednak nie jest aż tak nieskomplikowany. Czulałam, że coś tkwiącego w Lili pociąga mnie, uwodzi. Może ona też zaczynała odczuwać jakiś mój wpływ. Może.

Był cudowny, słoneczny dzień, przydymiony jedynie naszymi ciemnymi szybami. Sunęliśmy Madison Avenue, aż zatrzymaliśmy się przed sklepem Ralpa Laurena.

- Jest tak cholernie brytyjski - powiedziała. - Spodoba ci się.

Zostawiłyśmy Randy'ego na zewnątrz; oparł się o limuzynę i obracał w ustach lifesavera. Weszłam z Lilą do środka. Sklep wywołał u mnie bardzo dziwne uczucie; odniosłam wrażenie, że wkraczam na scenę przedstawiającą angielski dom na wsi. Było to niczym powrót do Sussex. W salach stały mosiężne łoża oraz kominki; na podłodze leżały stare perskie dywany. Na ścianach wisały trofea z wyścigów konnych; sama mogłam takie zdobyć. Na polerowanych dębowych meblach stały w srebrnych ramach fotografie czyichś przodków; jeden z nich bardzo przypominał mojego wuja Charlesa. Niemalże oczekiwałam, że za chwilę zobaczę na nocnym stoliku książki mojej starej Wielkiej Piątki.

Lila wyciągnęła jakiegoś szetlanda i przyłożyła do mojej piersi.

- Nie chcę być Angielką - zaprotestowałam. - Chcę być Amerykanką.
- W rzeczywistości pewnie miało to oznaczać: Chcę bardziej przypominać cię. - Zabierz mnie tam, gdzie ty chodzisz.

I tak pojechaliśmy do Saksa. Jazdy tam prawie w ogóle nie pamiętam. Skoncentrowałam się bowiem na zabawianiu Lili, na dostarczaniu jej rozrywki. To wszystko wydawało się tak nieprawdopodobne - gwiazda filmowa siedzi obok mnie, sklep Ralpha Laurena w tak sztuczny sposób konfrontuje mnie z moją przeszłością. Limuzyna pachniała perfumami Lili; nie były to takie same, jakie podarowała mnie, zapach był znacznie ostrzejszy. Co powiedział wówczas Nobby? „Wygładasz, jakbyś była dawno niewidzianą kuzynką, rodzinnym kujonem”. To te moje myślenie włosy i ubrania własnej roboty.

Weszliśmy do Saksa, a ona poprowadziła mnie do działu z bielizną. Oznajmiła, że ma fioła na punkcie bielizny. Kiedy zdjęła swoje ciemne okulary, ludzie odwracali głowy i wpatrywali się w nią - Amerykanie mają w tych sprawach mniejsze zahamowania niż Anglicy. Nie była co prawda Jane Fonda, ale była wystarczająco znana, szczególnie tutaj na Wschodzie, gdzie tyle nakręciła dla telewizji. Stałam dumnie tuż obok niej, przetrząsając wypełnione koronkową bielizną półki. Starsza ekspedientka, z pieprzykiem na brodzie, zbliżyła się i przymilnie krążyła wokół nas.

- Czy potrzebna jest jakaś pomoc, panno Dune? - spytała, wdzięcząc się. - Dawno pani u nas nie gościliśmy.

- Lato spędziłam w Londynie - powiedziała Lila. - A to jest moja kumpela, Jules Simpson.

- Sampson, ściśle rzecz biorąc - powiedziałam.

Kobieta uśmiechnęła się do mnie obłudnie, jakby moje nazwisko też było sławne. Lila wybrała dla siebie jedwabną haleczkę w delikatnym kolorze brzoskwiniowym wykończoną kremową koronką. Spojrzałam na metkę z ceną; nagle przypomniała mi się *Gertie* i ta obcięta subwencja.

Lila odwróciła się do mnie, energicznie i impulsywnie.

- Świetnie ci będzie w akwamarynie - oznajmiła i zdjęła z wieszaka haleczkę w najblidszym z niebieskich odcieni, leciutką niczym puch

mleczka. Położyła ją na moim ramieniu; pogłaskałam czule tkaninę.

Weszliśmy do przymierzalni. Przez cienkie przepierzenie słyszałam, jak się rozbiera. Czułam się dziwnie pobudzona. Wiedziałam wtedy, że jest we mnie coś z Lili, ta część we mnie, która rozkwitła dla Treva, ta część, której nie znał nikt oprócz niego. To ja, które odrzucało dzinsy i T-shirty, a spowijało się w satynę i pończoszki. Nie chciałam o tym myśleć. Rozebrałam się i wślizgnęłam w haleczkę.

- Mogę wejść?

Drzwi się otworzyły i pojawiła się Lila. Stojąc razem w mojej przymierzalni, przyglądałyśmy się sobie w lustrze.

Zabrakło mi tchu, zupełnie jak po biegu. Spojrzałam na jej odbicie. Była zachwycająca - opalona i jakby dojrzała, niż się spodziewałam. Kobięca. Choć była drobnokoścista, miała zaskakująco pełne i ciężkie piersi. W rowku pomiędzy nimi połyskiwała warstewka potu. Kiedy się odwróciła, żeby popatrzeć na siebie z boku, dostrzegłam piegi na jej łopatkach. Czułam ciepło jej skóry.

- Wyglądasz bajecznie - powiedziała.

Jak mogła powiedzieć coś takiego? Na jej tle wypadałam bezbarwnie. Wysysała ze mnie wszystko. To było okrutne. Na tle jej pikantnej, nieco przejrzalej niechlujności - miała nawet oczka w rajstopach - wyglądałam nędznie i bezpłciowo. Na tle jej zalotnej twarzy z perkatym noskiem moja robiła wrażenie ściągniętej. Usta jakby się skurczyły. Być może pomyślała o nich podobnie, bo oświadczyła:

- Barbara Hershey, ona zrobiła sobie te zastrzyki z silikonu.

- Co?

- W wargi, kiedy grała Marię Magdalenę. - Skrzywiła się. - Brzmi świrowato, prawda? - Przyjrzała się sobie z bliższej odległości. - Wkrótce mnie samej przyda się parę zakładek.

Ten mój znajomy, co to rozwodzi się z żoną, pytam go: „Czy ona miała operację plastyczną?” A on mi na to: „Jasne, sam pociąłem wszystkie jej karty kredytowe”. - Roześmiała się i odwróciła, żeby spojrzeć na mnie. - No nie, to naprawdę wygląda bajecznie. Doprowadzisz w tym

jakiegoś faceta do szaleństwa. Włóż to, kiedy pójdziesz w wiadomym celu do łóżka. Masz kogoś specjalnego w Londynie?

Właśnie miałam jej odpowiedzieć, kiedy wydała cichy okrzyk i podeszła jeszcze bliżej do lustra.

- Jasna cholera! - zajęczała. - Popatrz tylko na ten pryszcz. Co mam zrobić z tym kurewstwem?

Zaczęła mówić o swojej skórze i o tym, jak byle krostka może spowodować spore zamieszanie w scenariuszu. Jeszcze gorsze jest przybranie na wadze.

- Podczas kręcenia *Trzech kroków do nieba* wplątałam się w ten niszczycielski związek, całe moje życie rozlatywało się na kawałki, więc zaczęłam jeść. W jednej ze scen otwierałam drzwi, ważąc sto dwadzieścia funtów, a kiedy pojawiłam się po drugiej stronie, miałam już o piętnaście funtów więcej. Rozumiesz, pomiędzy ujęciami minął miesiąc.

Rozmowa z Lilą przebiegała w jednym kierunku. Nigdy więc nie musiałam odpowiadać na pytania; nigdy nie powiedziałam jej o Trevie. Odpowiadało mi to; w istocie chciałam zachować pewną część siebie w ukryciu. Trev należał do mojego drugiego życia, a ja chciałam je takim zachować, nie pozwolić, by odpływało i stopniowo przechodziło w posiadanie Lili. Poza tym dowiedziałyby się, że to on jest autorem *Wykorystaj mnie*, co byłoby bardzo krępujące.

Nazwijcie to przypadkiem, nazwijcie to, jak chcecie. Wińcie ten pryszcz. Bo gdyby go wówczas nie zauważyła, możliwe, że powiedziała-bym jej o Trevie. Nic z tych rzeczy by się nie wydarzyło i nie byłoby mnie tutaj.

Lila kupiła mi tę halkę.

- O nie! - zaprotestowałam.

- Nie bądź niemądra - powiedziała ze śmiechem.

Kupiła też kilka rzeczy dla siebie. Zakupy wprowadziły ją na wysokie obroty. Nabierając rozpędu, niczym alkoholik po pierwszym kieliszku, przeleciała przez Saksa, kupując pantofle i bluzki i płacąc za wszystko kartą kredytową. Podążałam za nią w tym zaśmigłowym strumieniu powietrza, jaki pozostawiała za sobą, wysłuchując jej retorycznych pytań: „Czy to nie ś l i c z n e?”, „Uważasz, że szkocka krata rozmywa rysy?”,

„Może to jest zbyt proste, za bardzo w stylu Mary Tyler Moore?”, A co powiesz na te fikuśne kapelusiki?” Nie oczekiwała odpowiedzi.

Innych też porywała za sobą. Znane osobistości są niczym Szczurołap z Hameln, ciągnie za nimi cała procesja. Wkrótce już dreptali za nią kierownik piętra, jego gorliwy zastępca, brodaty paparazzi, powiadomiony przez Bóg raczy wiedzieć kogo, oraz jakaś klientka, która chciała autograf Lili dla swojej siostry z Pittsburga. Kiedy jest się sławnym, cały świat staje się sceną i już nigdy nie można być samemu. Obserwują człowieka ze wszystkich stron; podlubiesz w nosie, a fakt ten znajdzie się w kolumnie Suzy w „Post”. Nawet kiedy ludzie nie gapią się wprost, to przecież nabierają pewnych scenicznych manier, przeglądają wieszaki z większym zaangażowaniem, wprost rozpościerają wokół aurę sztuczności.

Zaobserwowałam to jeszcze wyraźniej, kiedy zabrała mnie na lunch. Poszłyśmy do wytwornej restauracji Chez Hortense, na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej i Lexington. Markiza aż do krawężnika, dywan na zewnątrz, drzewa w donicach, wszystko, co trzeba.

Powitano Lilę, jakby była królową. Twarz kierownika sali pokryła się warstewką owej przymilności, do której zaczynałam się już przyzwyczajać. Restauracja była zapełniona; co więcej, goście czekali na stoliki w kolejce. Kiedy jednak my się pojawiłyśmy, tłumek rozstał się przez nami jak kiedyś fale przed Mojżeszem. Cały personel padł plackiem. Być może usunięto jakichś klientów w środku posiłku, ponieważ w cudowny sposób zmaterializował się nagle przed nami wolny stół. Kelner na naszą cześć ostentacyjnym śmignięciem dłoni rozwinął świeży, różowy obrus i ułożył go zamasyście na stole z dworskim ukłonem, niczym Walter Raleigh rozkładający swoją pelerynę. Pozostali goście przycichli na chwilę, a potem z jeszcze większym ożywieniem podjęli przerwane rozmowy. Obecność Lili sprawiała, że wszyscy zachowywali się nienaturalnie. Ona tymczasem zdjęła ciemne okulary i uwolniła włosy. Maître

d'hôtel podszedł z kartami dań. Jego twarz lśniła od potu.

- Cześć, Jacques - powitała go Lila. - Jak się miewasz?

- Doskonale, madame - odpowiedział. - To wielka radość gościć panią u nas.

Podając mi menu, leciutko się skłonił; pomimo mojego skromnego wyglądu założył, że muszę być kimś ważnym. Obdarzona splendorem mojej towarzyszki, znalazłam się w magnetycznym kręgu sławy. Poczulałam się tym rozgrzana, bardziej seksowna. Wszyscy grzaliśmy się przy tym kominku.

Lila, co już dawno sobie uświadomiłam, nie miała pojęcia o potrawach. O dietach, owszem, ale nie o potrawach. Zamówiła niedbale sałatkę Cezara i zapaliła papierosa. Ja zamówiłam turbota z *velouté de morilles et oseille*. Przez chwilę czułam się tą lepszą - nasze stosunki podlegały właśnie takim przesunięciom. Czasami ja byłam tą, która siedzi po znajdującej się w górze stronie huśtawki.

Lokal pełen był kobiet, dłuwały w potrawach i zostawiały większość na talerzu. Typowe mieszkanki Trump Tower; takie, które myślą tylko o jedzeniu, piciu i szukaniu kolejnego kandydata na męża. Miały lakierowane blond fryzury, cienkie niczym bambusy ramiona i naciągnięty, lisi wyraz twarzy po liftingu. Lila wypiła dietetyczną colę, ja natomiast pół butelki schłodzonego chardonnay. Ryba była znakomita. Lila opowiedziała mi oszczerczą historyjkę o Mickym Rourke'u i z każdą chwilą stawałyśmy się coraz bardziej rozchichotane.

- Chciałabym mieć siostrę - oznajmiła, wzdychając.

- Ja też - powiedziałam. - A mam tylko brata, który jest nudnym księgowym w Hull. Jest też cichym gejem, nie mającym dość ikry, by powiedzieć to głośno. Okropnie bał się ojca. Pomimo że on już nie żyje, chyba nie nabrał odwagi. Sublimuje swoje potrzeby za pomocą zajęć typu „zrób to sam”. Przenosi emocje na ciągłą wymianę fug między kafelkami. W mojej rodzinie wszyscy jesteście ekspertami od sublimacji.

- Jesteś jej najbliższa - powiedziała.

Myślała o siostrze, której nie miała.

- Naprawdę? - spytałam, rumieniąc się.

- Sprawiasz, że się śmieję. Jesteś kumpelą.

Wyjęłam paczkę salemów i poczęstowałam ją. Kelner podskoczył z płonąca zapalniczką. Zapalił jej salem, a potem mojego winstona. Wymuchnęła strumień dymu i zwróciła się do mnie.

- Miałam tylko lalki. Bawiłam się jedynie w udawanie.

- Ja też - powiedziałam. - Może dlatego jesteście aktorkami, obie bawiłyśmy się w udawanie.

I właśnie w tym momencie ktoś podszedł do naszego stolika. W Nowym Jorku ludzie mają więcej śmiałości, jeśli chodzi o przeszkadzanie innym. Tym razem była to koścista, wystrojona kobieta, która podzwaniała złotem jak strażnik więzienny kluczami. Spytała, czy Lila mogłaby złożyć autograf na jej menu.

- Uwielbiam pani filmy - zaczęła się mizdrzyć. - Wie pani, który jest moim ulubionym? *Reszka wygrywa*, gdzie grała pani cheerleaderkę, która miała wypadek. Kiedy wsadzili panią w ten gorset, płakałam jak bóbr.

Sława jest rzeczą przedziwną! Nikt z tobą nie rozmawia normalnie; zamiast tego oferują ci informacje na twój temat. Składali Lili hołdy, karmili ją swoimi wersjami jej osoby, swoim, widzianym w krzywym zwierciadle, odbiciem jej postaci. Lila otrzymywała ten osobliwy, wykrzywiony obraz rzeczywistości; nic dziwnego, że jej czasami odbijało. Nikt nie przedstawiał jej swojego prawdziwego życia ani swoich prawdziwych opinii.

Tak sobie właśnie myślałam, kiedy ta kobieta zwróciła się do mnie.

- Hej, miłe panie, jesteście ze sobą spokrewnione?

Natychmiast zastosowałam wiejski akcent z Appalachów - jeden z ulubionych w moim repertuarze.

- Jasne - odpowiedziałam. - Nie widać? Jestem jej młodszą siostrą, Lorelee. - Zabawmy się zatem w udawanie. Zwróciłam się do Lili. - Wyrosły my razem, co, siostra? Nasza Lila, ona zawsze była ta ładna, nie można jej było oderwać od tego cholernego lusterka, ciągle układała włosy tak i siak, a ile miała facetów, kręcili się kole naszego domu jak pszczoły kole garnca miodu, ale ona ustawiała tych buraków!

- Zrobiłam przerwę, żeby złapać oddech. Lila wpatrywała się we mnie z szeroko otwartymi oczyma. Dłonią zakryła usta, pobłyskiwały jej grube pierścionki. - To ja biednieńka miałam te wszystkie pryszcze - powiedziałam, nabierając szybkości. - Biednieńka ja, jej młodsza siostra. Niektórzy gadali, że jest szalona, że wpadnie tylko w kłopoty, to znaczy, kiedy jednego dnia wzięła wszystkie moje lalki i pourywała im głowy, bo były ładniejsze od niej, nie chciała żadnej konkurencji. - Zaczepnęłam powietrza. - Ale nie było w okolicy nikogo ładniejszego od naszej Lili, jeju, ale ja byłam zazdrosna! - Podniosłam głos. - Czasami, wie pani co? Czasami chciałam ją zabić!

Nastąpiła cisza. Zaskoczona kobieta wykrztusiła:

- No, no, kto by pomyślał.

Kiedy sobie już poszła, Lila zwróciła się do mnie.

- W porządku. - powiedziała, przeciągając głoski. - Dostałaś tę rolę. A teraz spieprzajmy. - Pokładaliśmy się ze śmiechu.

Gdy wyszliśmy z restauracji, wzięła mnie pod rękę.

- Wiesz co? Jesteś naprawdę świetna! - powiedziała.

- Wiem - odparłam.

- Loralee - szepnęła mi w ucho i parsknęła śmiechem.

Kiedy Randy otworzył drzwi samochodu, uniósł pytająco brwi.

- Coście tam wyprawiały? - wysyczał. Myślał, że ona znów się przypięła do butelki.

Czas mijał, a ja coraz więcej pomagałam Lili przy jej roli. Spędzałyśmy razem niewiele czasu, ale kiedy już do tego dochodziło, mówiłam, że powinnyśmy zastanowić się nad swoim stosunkiem do macierzyństwa. Żadna z nas nie ma dzieci; obie ich chcemy. Jak byśmy się sprawdziły jako matki? (Zauważcie tę liczbę mnogą; ja też się w to angażowałam, bo niby czemu nie?) Kiedyś, krótko, grałam rolę matki: miałam dwóch chłopców, bliźniaków, w reklamie ziemniaków purée, ale niewiele da się odkryć w trzydzieści sekund, szczególnie że tamte bliźniaki i ja od pierwszego momentu szczerze się nie znosiłyśmy.

Lila uwielbiała dzieci i zwierzęta. Myślę, że tak naprawdę wolała je od mężczyzn, bo jej nie zagrażały ani nie krzywdziły. Niemniej, o macierzyństwie myślała wyjątkowo mgliście i sentymentalnie - pewnie nagołowała się zbyt wielu popołudniowych oper mydlanych. Kiedyś sama wystąpiła w odrażająco cliwym miniseriale o małżeństwie, którego wszystkie dzieci cierpiały na jakieś nieuleczalne choroby, ale nie była w stanie popracować wiele nad swoją rolą, jako że właśnie w tym czasie przeżywała załamanie nerwowe.

W *Starciu* jej filmowego syna grał pewien przedwcześnie dojrzały łobuziak o imieniu Forrest. Dopiero co zagrał syna Harrisona Forda w bardzo popularnym wyciskaczu łez o walce o przyznanie opieki nad dzieckiem, w związku z czym był zarozumiały jak diabli. Starał się odciągać uwagę wszystkich od Lili, popisując się przed całą obsadą; zakradał się do przyczepy Lili i podbierał jej z utrzymanego w sekrecie zapasu marizy w polowie czekoladowej.

- Przeanalizuj swoje ambiwalentne uczucia wobec niego - nalegałam.

- Moje co?

- Użyj agresji. Mógłby być twoim synem, a robi z twojego życia przedsionek piekła. Posłuchaj, Mary-Lou, on próbuje zniszczyć twoją szansę spełnienia się jako kobiety. To jak najbardziej edypowa sytuacja. To, co ci podkrađa, to nie są jedynie ciasteczka, to jest szansa na szczęście z innym mężczyzną.

Przez ostatnie tygodnie listopada kręciliśmy w mieszkaniu Mary-Lou na Riverside Drive. Maizin Productions wynajęło dwa przylegające do siebie apartamenty, jeden dla obsady i ekipy technicznej, drugi na zdjęcia. Tutaj o wiele łatwiej było nam się wymieszać, ponieważ gwiazdy nie były odseparowane od reszty, gdzieś poza zasięgiem, w przyczepach. Lila i ja spędzałyśmy ze sobą więcej czasu, siedząc w jej garderobie, z której okien roztaczał się niezwykle widok na rzekę Hudson. Zaczęłam wymyślać różne drobiazgi, jakie mogłaby zastosować w scenach ze swoim synem.

- Kiedy przechodzisz do kuchni - powiedziałam - a jego zabawka robot leży na podłodze, czemu byś nie miała jej kopnąć z irytacją?

Kiedy nagrywali tę scenę, tak właśnie uczyniła. Chuck, reżyser, był zachwycony.

Kiedy szła do zmiany kostiumu, szepnęła do mnie:

- Hej, skarbie, co ja bym bez ciebie zrobiła? - Zaczerwieniłam się z radości.

Następnego dnia przyszedł mi do głowy jeszcze lepszy pomysł; był tak śmiały, że zaskoczył nawet mnie samą. Mieli kręcić scenę przy śniadaniu, pomiędzy Mary-Lou a jej synem; posadzili mnie przy stole, gdy ustawiali plan, i pomysł ten pojawił się, kiedy wpatrywałam się bezmyślnie w pudełko z płatkami zbożowymi.

Kiedy już mnie zwolnili, pośpieszyłam do garderoby Lili i zapukałam do drzwi. Siedziała obok Army; przeglądały poranną pocztę; Rodney układał jej fryzurę, nadając jej charakter filmowego, porannego rozczochrania - innymi słowy, jej włosy wyglądały tak, jakby Lila właśnie wychodziła do opery.

Orson, jej pies, warknął na mnie. Irma rzuciła mi wściekle spojrzenie i znów odwróciła się do Lili, pokazując jej jakiś list.

- Moja droga - powiedziała - chcieliby, żebyś dokonała otwarcia centrum handlowego w Tucson.

Pochyliłam się nad Lila i wdychając opary lakieru do włosów, szepnęłam jej do ucha:

- Mam pewien pomysł, muszę ci powiedzieć, zanim cię zawołają.

Spotkałyśmy się na korytarzu. Kiedy powiedziałam, w czym rzecz, замуrowało ją. Powiedziałam, że pomysł ten nasunął mi tamten przypadek z szampanem, ten, o którym zapomniała. Powiedziałam, żeby nie robiła tego podczas próby, ale podczas pierwszego ujęcia.

- I przyjrzyj się wtedy ich twarzom. - Uśmiechnęłam się i dodałam: - Bądź wściekła. Myśl o tym, że kradnie markizy.

Przeprowadzili próbę, a potem przygotowali ujęcie. Rozległ się klaps i Lila rozpoczęła tę scenę tak, jak oczekiwano. Zalewała mlekiem kółeczka Cheerios w miseczce syna, podczas gdy Forrest mówił swój tekst. Rozmawiali o jej przyjacielu.

Forrest oznajmił:

- Chce się z tobą spotykać tylko dlatego, że jesteś bogata.

- Nieprawda - odpowiedziała Lila. - Chce się ze mną spotykać, bo ja

to ja. - (Taki to był scenariusz.) Podniosła głos. - Przestań wreszcie stać pomiędzy mną a moją jedyną szansą na szczęście!

A potem to zrobiła. Podniosła miseczkę i opróżniła jej zawartość na jego głowę.

Forrest, parszkając, z trudem łapał powietrze. Ociekał mlekiem. Ekipa zamarła; Chuck patrzył ze zdumieniem, ale zaraz machnął gorączkowo ręką do kamerzysty, żeby nie przerywał kręcenia.

Naprawdę wściekły, Forrest zerwał się na równe nogi.

- Co, do kurwy nędzy, wyprawiasz, ty głupia dziwko! - wrzasnął bliiski płaczu.

Lila tylko wzruszyła ramionami i poszła do kuchni.

- Cięcie - powiedział Chuck. Odwrócił się do swojego asystenta. - Wykorzystamy to. Daj do wywołania. - Cały aż promieniał... co w jego przypadku było rzadkim widokiem.

Ekipa jak jeden człowiek odetchnęła z ulgą; ktoś się roześmiał.

Wytarto stół; wytarto Forresta. Lila wróciła z kuchni i Chuck objął ją ramieniem.

- To było naprawdę znakomite, Lilu. Piękne. Ryzykowne, ale o to nam przecież chodzi.

I tak już nie mogli zrobić następnego ujęcia, bo ubranie Forresta musiało iść do prania. Lila go przeprosiła i zaczęła wyjmować mu z włosów kółeczka Cheerios. Odsunął się od niej. Podszedł do niego Rodney.

- Umyjemy ci włosy - powiedział.

Forrest mruknął pod nosem:

- Czy ktoś jej powiedział, że zaczynają jej się pojawiać starcze plamy na dłoniach?

Każdy dzień zdjęć, podobnie jak każdy dzień w szkole, ma inny charakter. Lila nie potrafiłaby tego zauważyć; ona widziała jedynie to, co miało z nią bezpośredni związek. Ja natomiast należę do obserwatorów życia, a moja praca przy *Starcu* dawała mi mnóstwo okazji do obserwacji. Szokujące wydarzenia dodają ekipie energii, dzięki temu wchodzi

ona na wysokie obroty. Tamtego dnia reszta zdjęć poszła cudownie, atmosfera była pełna ożywienia, pojawiły się oznaki zupełnie nowego uczucia - szacunku dla Lili. Najwyraźniej okazała się o wiele bardziej pomyslową aktorką, niż sądzono. Nikt nie wiedział, że to moje dzieło.

I to Lila pozowała do fotosów reklamowych - Lila, której przypisano wszelkie zasługi. Członek ekipy odpowiedzialny za reklamę zadzwonił do paru osób i ledwie skończyliśmy pracę, już się pojawił ktoś z „News”, żeby przeprowadzić z nią wywiad. Właśnie wychodziłam, ale zatrzymałam się na chwilę, żeby posłuchać.

- Analizowałam swoje ambiwalentne uczucia - powiedziała do wyciągniętego ku niej mikrofonu. - Bo widzicie, u Mary-Lou występuje ta dychotomia roli matki i roli kochanki i ona wyraża ją poprzez skierowaną na syna agresję. - Patrzyłam na nią, ale ona mnie nie widziała. Byłam szczerze przekonana, że zapomniała, iż cały ten pomysł zrodził się w mojej głowie. - Wykorzystałam swoje przemyślenia na temat macierzyństwa, musiałam wiele zrozumieć na temat siebie samej, jak sobie radzić z podobnymi emocjami. Ale z drugiej strony, jako aktorka, kieruję się instynktem, dlatego wiedziałam, że muszę je wyrazić w jedyny dostępny mi sposób - poprzez niepohamowaną furję.

Wyszłam, trzaskając drzwiami.

Tego wieczoru byłam niespokojna i zła; możliwe, że powinnam była zanalizować własne ambiwalentne uczucia. Lila mnie zdradziła. Albo, ujmując rzecz precyzyjnie, po prostu mnie wymazała. Od tej cholernej peruki swędziało mnie głowa; co wieczór musiałam myć włosy. Czułam, że potrzebuję rozmowy z Trevem, kiedy jednak wybrałam numer, usłyszałam jedynie głos na mojej sekretarce: „Tutaj panuje cisza, cisza jak w grobie, jeśli jednak chcesz ze mną porozmawiać, zostaw wiadomość...”

Trzasnęłam słuchawką w połowie tego zdania, ale nie przyniosło mi to satysfakcji. Przeklinając go, zastanawiałam się, co porabia. Miałam okropne podejrzenie, że ten jego sekretny projekt jest rodzaju żeńskiego.

Nie było mnie miesiąc - cała wieczność dla takiego faceta jak Trev. Nie znałam nikogo, kto byłby tak napalony, tak przepełniony seksem jak on. Raz powiedział mi, że gdyby połknął kilka prochów z amfą i popił je kilkoma szklaneczkami jabcoka, mógłby się pieprzyć non stop przez czterdzieści osiem godzin. Kiedy zamknęłam oczy, widziałam, jak pieprzy jakąś dziewczynę z szeroko rozłożonymi nogami, a fiuta ma ogromnego jak kij od szczotki.

Krążyłam po pokoju jak zwierzę w klatce. Moje otoczenie było kompletnie pozbawione charakteru; niebieski fotel, tandetna podróbka stylowego biurka z przypalonym przez czyjś papieros blatem. Ulokowali mnie w najbardziej anonimowym z nowojorskich hoteli. Pewnie nie byłabym go w stanie znaleźć, gdybym tu ponownie przyjechała. Znajdował się gdzieś na wschodniej Trzydziestej Dziewiątej Ulicy. Tych kilka ubrań, jakie ze sobą miałam, schowanych było w szafie. Zupełnie jakbym tutaj nie mieszkała, jakby mnie w ogóle nie było.

Byłam duchem, za którego pośrednictwem pojawiały się inne istnienia; byłam niczym stroiciel fortepianów, trudzący się z dala od ludzkich oczu po to, by wirtuoz mógł zagrać na instrumencie i zebrać burzliwe oklaski. Wściekłość ścisnęła moje gardło, dosłownie mnie dusiła. Miałam niedorzeczne poczucie krzywdy. Wzięłam prysznic, umyłam włosy, wysuszyłam je, włożyłam swój jedyny porządny kostium i wyszłam.

Podczas minionego miesiąca zabrano mnie do kilku miejsc. Jedna z charakterzatek zaprosiła mnie kiedyś na śniadaniowo-lunchowe przyjęcie urodzinowe w Carnegie Deli; innym razem odszukałam starego przyjaciela Roba, tego faceta, który w *Gertie* grał Big Maca, a on zabrał mnie do restauracji meksykańskiej w eleganckiej dzielnicy Tribeca, w południowej części Manhattanu. Były współpracownik mojej agentki zaprosił mnie na sushi, ale tego doświadczenia nie miałam najmniejszej ochoty powtarzać. Dzisiejszego wieczoru chciałam sobie solidnie dogodzić; w końcu pieniędzy miałam dość. Tak więc, pod wpływem nagłego impulsu, przywołałam taksówkę i udałam się do Chez Hortense.

Weszłam do restauracji i rozejrzałam się wokół. Na stolikach płonęły lampki z różowymi, ozdobionymi falbankami abażurkami; wieczorem ten lokal wyglądał bardzo kusząco. Pianista grał *Ain't Misbehavin'*. Dopiero zbliżała się siódma i sala była niemalże pusta.

Natychmiast pośpieszył do mnie maître d'hôtel. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że to ten sam mężczyzna, który widział mnie tu z Lilią; jego twarz wydawała się odmieniona. Spojrzał na mnie zimno.

- Czy ma pani rezerwację?

Pokręciłam głową.

- Czy mogłabym dostać stolik na jedną osobę...

- Wszystko jest zarezerwowane. - Odwrócił się, obcesowo.

Nie poznał mnie.

I wtedy właśnie przeszedł obok kelner, ten, który wówczas był taki przyjacielski; patrzył prosto przeze mnie, zupełnie jakbym była powieźtrzem. Urażona odwróciłam się. Bez Lili byłam nikim. Gorzej - byłam niewidoczna.

Szłam powoli ulicą. Dopiero co przestało padać; jak grzmot przeto-czył się autobus, ochlapując mi przy okazji nogi. Nic dziwnego, że Nowy Jork to miasto pełne paranoików. Nic dziwnego, że jacyś odziani w pu-chowe kurtki samotni mężczyźni strzelają do znanych osobistości. Gdzieś na Szóstej Alei jest bank, który ma łukowato wygięte, stalowe drzwi; pod koniec dnia toczą się one po okręgu, zamykając wejście. Te-raz wydawało mi się, że to samo robi całe miasto: obraca się i zamyka przede mną, ukazując mi tę odwrotną stronę, ten gładki metal. Drugą stroną owego otwartego, pełnego gorliwości powitania, którego do-świadczyłam, towarzysząc Lili.

Wsiadłam do pierwszego nadjeżdżającego autobusu. Jego wnętrze przypominało ośrodek dziennego pobytu dla nerwowo chorych. Wszyscy robili wrażenie dziwnych, ale w taki łagodny, spokojny sposób. Pasaże-rownie niektórych autobusów tak właśnie wyglądają. Jakaś kobieta, ubrana w zrobioną na drutach bluzkę, kręciła głową z boku na bok, kłą-skając przy tym językiem. Łysy mężczyzna, cuchnący winem, przymierzał do siebie dwa kawałki sznurka i sprzeczał się sam ze sobą. Na stopach

miał z osiem par skarpetek. Zastanawiałam się, dlaczego wariaci zawsze mają tak grubo okutane stopy. Albo też nic na nich nie mają.

Wysiadłam, kiedy rozpoznałam Flatiron, punkt orientacyjny, który zapamiętałam. Szłam przez jakiś czas dolnym Broadwayem, tym jego ciemnym odcinkiem, bez teatrów. Po obydwu stronach wznosiły się budynki ogromne jak magazyny; znalazłam się pośród hurtowni odzieży. Przez szyby widziałam rzędy wieszaków z ubraniami, czekające na kobiety, które by je włożyły i udawały, że są kimś innym. Bolały mnie nogi.

To właśnie tego wieczoru serce zalewała mi gorycz, tego wieczoru zastanawiałam się, jak by to było, gdybym ubierała się tak jak Lila. Była to taka przelotna fantazja, nic więcej. Niemniej, pamiętam tamtą chwilę. Weszłam do otwartego jeszcze sklepiku, żeby kupić papierosy - dużo wówczas paliłam. Stałam za starym, czarnym mężczyzną, który kupował kawę. Kiedy mu ją podano, wyjął buteleczkę płynu po goleniu Brut, wlał trochę do kubka i wyszedł.

- Co on robi? - spytałam właściciela sklepu. Ten jednak był Koreańczykiem i nie zareagował na moje pytanie; może nie rozumiał, o czym mówię.

Była to jedna z tych nowojorskich nocy, kiedy spotyka się jedynie świrów. Maszerowałam dalej, czując, że sama jestem jakąś częścią owego szalonego, rozległego osadu martwej materii organicznej. W tym mieście wypadki mogą się potoczyć tak szybko. Rankiem człowiek pracuje przy wartym dwadzieścia milionów dolarów filmie, udzielając rad światowej sławy gwiazdzie. Kilka godzin później jest jedynie fragmentem unoszonego przez fale wraku.

W tym momencie do mojej świadomości dotarł widok rzędu zaparkowanych po drugiej stronie ulicy długich limuzyn. Znajdowałam się gdzieś w okolicach Trzynastej Ulicy. Po tej drugiej stronie zobaczyłam pilnowane przez ochroniarzy, odgródzone sznurem wejście. Stała tam długa kolejka ludzi, czekających, by ich albo wpuszczono, albo odesłano z kwitkiem. Później dowiedziałam się, że to nocny klub - chyba Nell's. Patrząc ponad dachami przejeżdżających samochodów, pomyślałam

sobie: Co by było, gdybym włożyła tamtą perukę i podjechała w limuzynie, czy wpuszczono by mnie? Co by było, gdybym mówiła jej głosem - dziewczęcym, choć z owym żwirowatym podźwiękiem nałogowej palaczki? Bo wiecie, ja ten głos ćwiczyłam. Obserwowałam ją. Obserwowałam całą obsadę aktorską i personel techniczny. Mogłam naśladować południowy, przeciągły akcent kierownika plenerów, wyrafinowaną mowę kobiety od reklamy, absolwentki Bryn Mawr, renomowanego college'u dla dziewcząt, ciepłe, miękkie tony jednego z aktorów, Jossa Ridleya, rzutkiego faceta, który właśnie skończył współpracę z Dennisem Quaidem i opowiadał wszystkim, jak to oni razem rozrabiali. Głównie jednak obserwowałam Lilę.

Dotarłam w końcu do knajpki w Village, gdzie serwowano kuchnię Cajunów. Nie miałam wtedy pojęcia, co to słowo oznacza, ale restauracyjka robiła sympatyczne, przyjazne wrażenie, a mnie właśnie tego było potrzeba. Nikt mi tu nie powiedział, że wszystkie miejsca są zarezerwowane; tak naprawdę było praktycznie pusto. Na stolikach leżały obrusy w kratkę, a na ścianach wisiały czarno-białe fotosy Marleny Dietrich. Z tyłu znajdowało się podwórko; pojedynczy reflektor oświetlał opadłe, mokre liście.

Obsługiwał mnie kelner o imieniu Clayton. Przedstawił mi się na samym początku; większość gejów, jak zauważyłam, ma życzliwy stosunek do samotnych kobiet. Może dlatego, że oni też wiedzą, co oznacza samotność. Miał zadbany blond wąsik. Przyniósł mi coś z patelni w palącym sosie i spytał, czym się zajmuję. Przez chwilę zamierzałam udawać - mogłam robić absolutnie wszystko - ale to spowodowałoby, że poczułabym się jeszcze bardziej samotna. Poza tym on oznajmił, że jest aktorem odpoczywającym pomiędzy angażami, wobec czego powiedziałam mu prawdę.

- To ciężki kawałek chleba - zauważył. - A to jest pozbawione skrupułów miasto. Jeśli ci się uda, jest najbardziej ekscytującym miejscem na świecie. A jeśli nie, po prostu nie istniejesz.

Powiedział, że jego ostatnim zajęciem było podkładanie głosu pod lamę w reklamie dla zoo w Bronksie. Przed tym zagrał w miniseriale

Górski szpital o klinice detoksykacyjnej położonej wysoko w Górach Skalistych.

- Grałem narkomana, którego matka była lesbijką i alkoholiczką - powiedział. - Z nakręcenia drugiej części serialu zrezygnowali.

- Faktycznie to ja jestem dublerką - powiedziałam. - Lili Dune.

Kilku jego przyjaciół jest dublerami, oznajmił. Niektórzy z nich to aktorzy, którym się nie powiodło; inni to początkujący, którzy mają nadzieję, że zostaną zauważeni.

- Ale czy ktoś w ogóle zauważy dublera? To ślepa uliczka, choć jednocześnie kuszące zajęcie, bo płacą dobrze. - Znał dublerów Toma Hanksa i Charliego Sheena. - Dubler staje się kimś w rodzaju sobowtóra. - Był inteligentnym gościem; skończył filozofię w Atenach w stanie Ohio, jak mi powiedział, zanim zakochał się w teatrze. - Myśli, że zaprzyjaźni się z gwiazdą, zamierza chodzić na wszystkie przyjęcia. Jednak niektóre gwiazdy przez cały czas kręcenia filmu słowem się do niego nie odezwą, nie rozpoznałyby go na ulicy.

- Z Lilą tak nie jest - powiedziałam. Spojrzałam w kierunku podwórka. Pośród utworzonego przez liście, oślizgłego osadu wznosiło się pojedyncze drzewo. Powiedziałam, bardziej, żeby przekonać siebie niż jego: - Kumplujemy się. - Pomyślałam o rozchichotanym lunchu w Chez Hortense.

- Tak właśnie myślała dziewczyna, którą znałem, o swoim układzie z Faye Dunaway. Kupowała dla niej papierosy, załatwiała różne drobne sprawy.

- To co innego!

Odezwał się falsetem, żartobliwie naśladowując głos Bette Davis:

- Boziu, Boziuniu, sytuacja jak z mojego ulubionego filmu *Wszystko o Ewie!*

Popatrzyłam na połyskujący w świetle reflektora pień drzewa. Za wysokim, ceglany murem zawyła syrena. Wydawało się, że przez całą noc bez przerwy wyją tutaj syreny.

- Co sądzisz o Lili? - spytałam.

Jak większość ludzi naszego zawodu miał kiepską opinię na temat jej aktorskich umiejętności; powiedział po prostu, że ona w ogóle nie potrafi grać.

- A ja potrafię - oznajmiłam głośno.

Nie usłyszał mojej chełpliwej wypowiedzi; poszedł po kawę dla mnie. Kiedy wrócił, zagraliśmy w grę, w której wymyśla się, jakim samochodem albo zwierzęciem, albo książką ktoś mógłby być. Bohaterką gry uczyniliśmy Lilę. Pomyślałam sobie: Sława musi być dziwna, bo przecież ludzie, których nie znasz, mogą zabawiać się grami, w których ty występujesz.

- Samochód? - spytałam.

- Różowy cadillac kabriolet.

- Który ma uszczelki nie całkiem w porządku.

Roześmiał się.

- Zwierzę?

- Guziec - odpowiedziałam. - Naturalnie to żart.

- Dla mnie to ona jest saluki.

- Czy to nie motocykl?

- Motocykl to suzuki - odparł. - A to jest perski chart. - Film?

- *Bulwar Zachodzącego Słońca* - powiedziałam.

- Nieźle złośliwe - powiedział, uśmiechając się.

Jeszcze kilka lat, pomyślałam, a załamie się jak Gloria Swanson. Będzie leżała na kanapie z plamami wątrobianymi na dłoniach, Forrest już je zauważył. Otoczy się swoimi fotosami, całymi setkami celuloidowych łągarstw.

- Jesteśmy ociupinkę zazdrośni - powiedział. - Prawda?

Usiadł przy mnie.

- Mary Pickford miała dublerkę. Miała ją przez wiele lat. Była kimś więcej niż tylko dublerką; była przyjaciółką, sekretarką, powierniczką. Pewnego dnia proponują Mary Pickford rolę, ale chcą, żeby była w niej młoda, bo tak widzi ją publiczność. Wtedy face lifting był dopiero w powijakach - to były lata czterdzieste. Wobec czego Pickford wysłała swoją dublerkę do kliniki w Beverly Hills, żeby to jej zrobili face lifting. W tych czasach trwało to sześć tygodni; był to trudny zabieg. Tak więc dublerka przeszła operację i po sześciu tygodniach... - Zamilkł na chwilę. - Zdjęto bandaż.

- Co się stało? - wyszeptałam.

- Wszystko było w porządku. Dublerka wyglądała cudownie! Zatem

Pickford udaje się do kliniki i sama poddaje się zabiegowi. A po sześciu tygodniach zdejmują jej bandaż. Zamilkł, westchnął i rozejrzał się po pustej sali.

- No i co? - zajęczałam. - Mów dalej.

Spojrzał na mnie, pomilczał jeszcze, żeby uzyskać większy efekt dramatyczny. Przystawił buteleczkę tabasco do solniczki.

- Na miłość boską! - trąciłam go łokciem.

- Kiedy odwinęli bandaż - powiedział - odkryli, że przecięli jej jakiś nerw twarzowy. Z jednej strony. Przez resztę życia Mary Pickford miała coś na kształt półuśmiechu, o tak. - Wyszczrzył zęby. - Stała się odludkiem. Dublerka pozostała przy niej, opiekowała się nią aż do jej śmierci.

Wracałam przez Christopher Street. Tak jak gwiazdy na niebie, geje pojawiają się nocą. Dochodziła jedenasta, a chodniki pełne były mężczyzn w czarnych skórach, usiłujących się wzajemnie poderwać. W świetle latarni błyszczeli jak żuki. Żaden nie spojrzał na mnie. Wyglądało na to, że jestem niewidzialna nie tylko jako aktorka, ale również jako kobieta. Mężczyźni w nazistowskich, mundurowych czapkach tręcali się znacząco; na całej ulicy krzyżowały się linie kontaktu wzrokowego, jak snopy światła reflektorów przeciwlotniczych w jakiejś wojnie, która nie była moim udziałem. Sklep z akcesoriami dla sadystów i masochistów głosił: „Wejź! Otwarte!” Na wystawie przystrojone w maski i łańcuchy manekiny; ich czarne przepaski biodrowe wypchane gazetami.

Nagle boleśnie odczułam brak Treva. Kiedy wróciłam do pokoju hotelowego, znów do niego zadzwoniłam i znów usłyszałam jedynie automatyczną sekretarkę. W Anglii była piąta rano. Rozebrałam się i położyłam do łóżka. Tęskniłam za jego ciałem, ale tęskniłam też do rozmowy. Opowieść Clayтона zaniepokoiła mnie. Zagnieżdżyła się w moim wnętrzu niczym coś twardego, czego nie byłam w stanie strawić. Chciałam porozmawiać z jakimś Anglikiem. Człowiekowi przychodzą znienacka do głowy przeróżne myśli, prawda? Takie niemądre jak: Co się stało z mionymi? Czy nikt już ich nie jada, czy też po prostu nazywamy je inaczej,

na przykład rumsztyki? Albo jakiś mężczyzna w autobusie wygląda dokładnie jak tamten mały, stary pijaczek z *Last Summer Wine* i nie ma w pobliżu nikogo, kto by ci przypomniał jego nazwisko.

Takie właśnie rzeczy. Chciałam, by ktoś dodał mi otuchy. Wtedy był to zaledwie maleńki przedsmak tego, jak bardzo jeszcze będę tęsknić za domem. Chwytało mnie to w najdziwniejszych momentach; brakowało mi wówczas tchu, jakbym się zadyszała. To wszystko. Wkrótce mijało. Zgasiałam światło i zasnęłam.

Teraz już nie przechodzi. Odczuwam to całutki czas. Czasami staje się silniejsze, niczym jedna ogromna fala na rozkołysanym morzu, która ogarnia mnie i porywa. Wszyscy tutaj siedzą jak zombi; ja pewnie też. Ale w mojej głowie panuje chaos. Nie ma niczego, co odwróciłoby uwagę, niczego, co byłoby w stanie go rozproszyć, i dlatego siedzę tutaj z własnymi myślami, nakręcanymi coraz to mocniej, jak sprężyna, aż mam ochotę wyć. Mam ochotę wyć do niej, tej Jules sprzed dwóch lat. Ona leży na hotelowym łóżku. W szafie wisi tamta brązowa, satynowa sukienka, zupełnie nie w jej stylu, a przecież ją kupiła. Zaczyna już swoją powolną przemianę. Nakłada więcej makijażu. Zaczyna mówić „baton czekoladowy” zamiast „tabliczka czekolady”, zauważyłeś? Teraz już prawie nie pamiętam Clayтона, ale to on wspomniiał *Wszystko o Ewie*. No nie wiem. Mnie czasami przypomina to bardziej Jekylla i Hyde'a.

Wstaje, rozpina żakiet i zdejmuje spódniczkę. Składa je porządnie; zawsze miała obsesję na punkcie porządku. Ludzie tego nie dostrzegają, ale w końcu, jeśli chodzi o nią, ludzie wielu rzeczy nie dostrzegają.

Stoi przez chwilę nieruchomo, w tej swojej haleczce od Saksa. Poświata miasta, dochodząca przez okno, odbiera tkaninie barwę. Gładzi powoli piersi, czując dotyk jedwabiu. Zdejmuje majteczki. Przed lustrem unosi do góry włosy i obraca głowę w jedną i drugą stronę. Zdaje się nie zważać na to, że żaluzje są uniesione, a zasłony odsunięte; nie przywiązuje

wagi do tego, że ktoś ją może oglądać. Ba, to ją nawet podnieca. Zawsze tak było. Wtedy właśnie się ożywia. Dlatego jest aktorką. Gładzi się po brzuchu, potem opuszcza dłoń niżej, pomiędzy nogi. Dotyka się, poprzez ten jedwab od Lili. Nikt jej nie widzi; biura po drugiej stronie są puste. Jest sama w ogromnym, obojętnym mieście. Przed nią czai się niebezpieczeństwo, ale ona nie ma pojęcia jakiego. Chcę do niej zawołać: Uciekaj! W tym mieście maskarad i śliskiej ułudy, w tym szalonym, schizofrenicznym miejscu, gdzie każdy może stać się kimkolwiek, ona zmierza ku katastrofie. Mam ochotę krzyknąć: Wracaj do Anglii, nim będzie za późno!

Cztery

Tamtej nocy śniłam pełne gwałtu i przemocy sny i obudziłam się z przecuciem nieszczęścia. Raptownie zrobiło się zimno; czułam to nawet w tym swoim przegrzanym hotelowym pokoju. W powietrzu nastąpiła jakaś zmiana.

Na dole, w holu, dwóch biznesmenów spieszących na wczesny samolot oddawało w recepcji klucze; jeden z nich zerknął na zegarek i oznajmił: „W Chicago jest sześć poniżej zera”. Był niesamowicie otyły. Z tego ranka pamiętam wszystko: nową kompozycję sztywnych gladioli, jak włócznie sterczących skośnie w wazonie; lodowaty powiew, kiedy portier otworzył drzwi, żeby wynieść bagaż tamtych dwóch.

Na ulicy było bardzo zimno i szaro. Powietrze przyduszało człowieka jak stalową pokrywę. Przechodnie mijali mnie okutani i anonimowi; na mrozie tracimy osobowość. Dyszące tłumoki przemykały obok, wydychając obłoczki pary. Gęstsze niż zazwyczaj opary unosiły się nad włazami w nawierzchni ulic. Szłam szybko w kierunku Lexington. Pomiędzy biurówcami ukazał mi się wieżowiec Chryslera. Obłożony stalą przypominał gigantyczną strzykawkę; jej igła spowita była całunem mgły.

Tego dnia kręciliśmy w Rockefeller Plaza - scenę, w której Lila przyjeżdża taksówką po zabawiającego się jazdą na łyżwach syna. Kiedy tam przybyłam, już zebrał się spory tłum gapiów. Rząd flag, przytłoczony ogromem stojących wokół budynków, zwiślał bezwładnie nad wyglądającą gładko i mlecznie, zagłębioną, rozległą taflą lodu. Z jakiegoś powodu Rockefeller Plaza wzbudzał mój niepokój; przytłaczały mnie te cztery

ściany budynków, czułam się jednocześnie i zamknięta, i wystawiona na niebezpieczeństwa.

Statyści na łyżwach siedzieli wokół lodowiska, obejmując dłońmi plastikowe kubki z kawą; spomiędzy ich rękawiczek wypływała para. Nałożono mi perukę, po czym udałam się do przyczepy pełniącej funkcję garderoby. Kelly, szefowa garderobianych, włożyła mi grube, kasztanowe futro. Były to lisy czy coś takiego, nie znam się zupełnie na futrach.

- Ależ śliczne! - powiedziała. - Nazwisko kuśnierza zostanie podane na końcu filmu, więc kazałam mu przysłać dwa takie. - Uśmiechnęła się do mnie. - Widzisz, ktoś o tobie myśli.

Na dworze zaczął wiać lodowaty wiatr. Osloniłam twarz kołnierzem. Gdziekolwiek spojrziałam, wszędzie stali gapie; nawet w oknach biur. Wtuliłam się głębiej w kołnierz. Po dwóch tygodniach spędzonych niczym w kokonie, w spokoju i prywatności mieszkania Mary-Lou na Riverside Drive poczułam raptem obawę przed pokazaniem się na otwartej przestrzeni. Kątem oka dostrzegłam Lilę spieszącą do swojego domu na kółkach. Ubrana była w identyczne futro. Przynajmniej raz nie wyglądałyśmy podobnie, wyglądałyśmy tak samo. Bob, asystent reżysera, zdążył nawet zawołać do mnie: „Jeszcze pani nie potrzebujemy, panno Dune!”, zanim się zorientował, że to ja.

Taksówka stała blisko lodowiska. Miałam z niej wysiąść i udać się do wyznaczonego punktu, przy samym lodowisku, skąd miałam pomachać do syna, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

Takie to było proste. Wsiadłam z taksówki, przeszłam te kilka kroków do lodowiska i stanęłam, gdzie trzeba. Poryw wiatru zwiął mi moje nieprawdziwe blond włosy na twarz. Niebo tymczasem pociemniało; może zanosilo się na śnieg. Z jednej mojej strony odsunięto tłumek, bo trzeba było odtoczyć o kilka stóp umieszczoną na dźwigu kamerę. To pamiętam. Byli tam również policjanci; zatrzymywali ruch uliczny, daleko, po drugiej stronie Plaży. Powietrze było ciężkie mimo gwałtownych porywów wiatru, obok moich stóp przetoczyła się puszka po dietetycznej coli. Pamiętam świecące mi w oczy światła. Musieli ponownie nastawiać ich jasność, bo tak ciemno się zrobiło. Była 9.30; minuty mijały powoli.

Tego ranka bardziej niż kiedykolwiek czułam się Lilą. Może za przyczyną otulającego mnie futra, tego luksusu łaskoczącego mój policzek; obie byłyśmy przecież w takiej samej skórze. Pamiętam wołanie asystenta reżysera: „Unieś rękę, złotko”. Uniosłam rękę, jakbym miała nią pomać, a oni przesunęli drugą kamerę, żeby mieć w kadrze moją twarz. Zza budynków dochodził hałas ulicznego ruchu; przypominało to echo odległej burzy.

I właśnie wtedy, ułamek sekundy, nim to się stało, coś zobaczyłam. Był to nieznaczny ruch w stojącym naprzeciwko, po drugiej stronie lodowiska tłumie; niewielkie poruszenie, jak to, które wywołuje palec włożony w mrowisko. Dotarło ono do mojej świadomości, a już po chwili usłyszałam nikły, suchy trzask. Nigdy wcześniej nie słyszałam czegoś takiego, ale momentalnie zrozumiałam, co to za dźwięk.

Przeleciała tuż obok mnie, bardzo blisko. Skuliłam się, rękoma zakryłam twarz. Usłyszałam jej gwizd, a potem dziwny, odbijający się echem dźwięk, niemalże chlupnięcie, jak od kamyka rzuconego do stawu. Kula trafiła w tył taksówki. Po drugiej stronie lodowiska ktoś wrzasnął; zaczęła się jakaś przepychanka. Zobaczyłam biegnącego policjanta, potem drugiego.

Po naszej stronie lodowiska minęła dłuższa chwila, nim ktokolwiek sobie uświadomił, co zaszło. W świecie rzeczywistym zawsze wszystko trwa dłużej lub krócej, niż się człowiekowi wydaje; czas biegnie inaczej. Myślę, że tylko ja wiedziałam, co to było. Odwróciłam się i spojrzałam na taksówkę. W żółtej blasze widniała mała, przypalona wokół dziurka. Pomyślałam sobie: To wygląda jak odbył, i zaczęłam chichotać. Tak się przy tym trzęsłam, że osunęłam się na ziemię, właściwie padłam, jak podcięta.

Być może zachowałam się histerycznie; być może pomyśleli, że mnie postrzelono. Pamiętam, że zastanawiałam się, czy dobrze tę rzecz odgrywam. Czy tak bym właśnie upadła? Widziałam siebie, jak po powtórnym strzale pocisk mnie trafia, a ja padam, tym razem z większym wdziękiem, tak jak trzeba. Czy pozwolą mi to zrobić poprawnie?

Ktoś usiłował mnie zastrzelić, ktoś z tego tłumu. Nagle ogarnęła mnie wściekłość.

Cóż za impertynencja! Trochę to dziwne słowo w tej sytuacji, ale tak właśnie to odczuwałam. Żeby do mnie strzelać! Zachichotałam jeszcze bardziej szaleńczo. Biedna dublerka, pomyślałam. Traktują ją jak prawdziwą aktorkę tylko wtedy, gdy ktoś kieruje na nią pieprzoną spluwę.

Przypuszczam, że niektórzy członkowie ekipy zdołali się zorientować w sytuacji. Bob pospieszył do mnie.

- Nic ci się nie stało? - spytał, pomagając mi wstać.

Nagle poczułam, że stoję na nogach tak niepewnie jak nowo narodzone ciele. Z krawędzi lodowiska wpatrywał się we mnie cały rząd statystów.

- Na pewno nic ci nie jest? - upewniał się.

Jakiś policjant biegł w naszą stronę; wydawał się odległy o całe mile. Twarz Boba skurczyła się, zamazała, a ja poczułam, jak uderzam o niego i ześlizguję się pomiędzy jego rękoma.

Następne, co pamiętam, to że siedzę w przyczepie dla personelu. Inspicjentka, Corey, wpatrywała się we mnie, poruszając miarowo żuchwą. Poczułam miętowy zapach jej gumy do żucia. Roześmiałam się słabiutko. Postanowiłam rozegrać to dowcipnie i szlachetnie.

- Niektórzy zrobią wszystko, żeby ich zauważono - powiedziałam.

- He?

- No wiesz, wynajęcie rewolwerowca...

- Złotko - odparła Corey - on polował na Lilę.

Jej słowa dotarły do mnie dopiero po chwili. Szczerze mówiąc, nie było to aż tak zaskakujące. Pewnie wiedziałam o tym przez cały czas.

Rozejrzałam się. W przyczepie byli również inni ludzie; przyglądali mi się z zaciekawieniem. Bob, Rodney, Kelly. Była też Lila. Siedziała spowita obłokiem dymu, skulona w tym swoim futrze. Przypominała zaszczute zwierzę. Twarz miała poszarzałą, rozmazany tusz do rzęs.

- Jezu Chryste! - odezwała się. - Wszystko z tobą w porządku? - Usiadła obok mnie, wcisnęła się na wąskie siedzenie. Objęła mnie

ramieniem. - Zapalisz? - spytała, gmerając ręką w kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Ręka jej się trzęsła.

- Nic mi nie jest - odpowiedziałam.

- Wyglądasz okropnie - powiedziała. Umieściła delikatnie papierosa pomiędzy moimi wargami. Kelly nachyliła się, żeby go zapalić. Wtuliłam się w futro Lili. - Jezu Chryste - powiedziała Lila ponownie. Głos miała bezbarwny, była w stanie szoku. W tym momencie weszła Irma i zabrała ją stamtąd. Ktoś powiedział mi później, że udała się z wizytą do swojego psychiatry.

Tego dnia zrezygnowano z dalszych zdjęć. Policjanci zadali mi kilka pytań. Pojawił się reporter, ale kiedy usłyszał, że to nie Lila, a jedynie dublerka była tą osobą, która ledwo zdołała umknąć śmierci, jego zainteresowanie wyparowało. Dowiedziałam się później, że niedoszedłego zabójcę schwytano, kiedy schodził do stacji metra. Był zwykłym wariatem, zbiegłym ze szpitala dla psychicznie chorych; po prostu czubek, żywiący urazę do sławnych osobistości. Ameryka płodzi takich wielu; rozkwitają bujnie w mroku zapomnienia niczym trujące grzyby. Rozsadza ich wszechobecna niesprawiedliwość. Kipiąc wewnętrznie, leżą na hotelowych łózkach, podczas gdy za oknami neony ukazują nazwiska innych ludzi.

IMAGINE, napisano na tamtej płycie. Jeden strzał i możesz odmienić historię. Naciśnij spust i... rach-ciach! Natychmiastowa sława!

Po powrocie do hotelu ściągnęłam rajstopy i umyłam obtarte kolano. Nikt nie zauważył, że się zraniłam, upadając. O wiele bardziej zdawali się przejmować Lilą i tym, jaki wpływ wywrze na nią to wydarzenie. I jeszcze ten dziennikarz, który zniknął niemal magicznie, gdy tylko się zorientował, że jestem niewłaściwą osobą! Lila nie trzęsła się z mojego powodu, ale z obawy o siebie samą.

Wycierając do sucha nogi, nagle zagotowałam się ze wściekłości. To głupia krowa, egocentryczna zołza! Czy nie zdawała sobie sprawy, że tam, na Rockefeller Plaza, to ja mogłam umrzeć za nią? Ja, Jules...

dublerka w najważniejszym i ostatecznym tego słowa znaczeniu?

Pojechałam taksówką do Greenwich Village. Była pora lunchu, a ja musiałam z kimś pogadać. Pójdę do tej restauracji Cajunów i powiem Claytonowi o moim bliskim spotkaniu ze śmiercią. To dziwne, ale nagle poczułam się tak, jakbym wpadła w jakiś obłąd. Kiedy patrzyłam przez okno samochodu, wszystko było jaskrawo w moje oczy. Zaczęłam chichotać, wymyślając stosowne dla Manhattanu haiku. „Libański taksówkarz wścieka się, bo baba go nie rozumie”. Obserwowałam mijane biurowce. „Posłaniec, który roznosi pizze, gubi się w lesie atrium”. Podskakiwaliśmy na dziurach; ktoś kiedyś wyrwał kawał plastiku z tylnej kanapy taksówki i obnażył jej miękkie bebechy. Ponad obojętnymi ramionami kierowcy robiłam miny do jego przyczepionego na tablicy rozdzielczej zdjęcia. Pod smagłą, ciemną twarzą widniały dwa imiona oraz nazwisko: MOHAMMED IBRAHIM SHABAZZ. Czy reagowałbyś inaczej, pomyślałam, gdybym była Lilą? A przecież Lila była głupia, głupia. Dlaczego świat miałby odczuwać jej stratę mocniej niż moją? Dlaczego miałyby się znaleźć w nagłówkach gazet? Ona nie potrafiłaby uformować haiku, ona nie widzi dalej niż czubek własnego, głupiego perkatego nosa. Mam więcej inteligencji w małym palcu.

Wysiadłam przy Greenwich Avenue i poszłam wzdłuż rzędu sklepów. „Wypala się papieros sklepikarza, gdy on zrasza sałatę”. Skręciłam w Christopher Street, obok jakiegoś obwieszzonego łańcuchami homoseksualnego gauleitera. „Pod drabinką pożarową gej gwizdem przyzywa partnera”. Maszerowałam naprzód, wywijając torebką. Dobrze zagrałam tego ranka, prawda? Zagrałam osobę, do której strzelano. Teraz celuje do mnie kamera, najpierw panoramuje ulicę, a potem odnajduje mnie, jak idę tą ulicą, w nałożonym głosie słyszeć moje haiku. Byłam ową szczególną mieszkanką Greenwich Village, poetką, o którą biło się szcściu mężczyzn. Zatrzymano ruch uliczny wokół całego kwartału ulic. Boczne ulice zapchane były przyczepami, a reflektory oświetlały mnie, tylko mnie.

W dzień restauracja Cajunów wyglądała na mniejszą i bardziej ob- skurną, zupełnie jakbym tamtą sobie wyśniła. Weszłam do środka i usiadłam. Nie widziałam Clayтона. Podeszła kelnerka. Kiedy ją o niego spytałam, powiedziała, że odszedł.

- Miał telefon z Los Angeles - oznajmiła. - Poleciał tam dzisiaj rano. Robi reklamę dietetycznej pepsi.

Włosy pokrywały mi plecy. Rosły od tygodni, a ja aż do tej chwili ni- czego nie zauważyłam. Jakaś dziewczyna nachylała się nade mną. „Szybko!” - zasyczałam. „Rwij! Gram w filmie z Lilą Dune, co ona na to powie?” Świeciło różowe światło; rolety były opuszczone. „Ona nie ma żadnego owłosienia”, powiedziałam. „Cała jest gładziutka”. Leżałam tam, istne monstrum. Byłam wilkołakiem. Napis oznajmiał: „Zniżkowa depilacja woskiem u Dianne”. Dziewczyna wyrywała mi włosy ogrom- nymi szczypcami, mnie jednak nic nie bolało. Ona wyciągała jedno, a ja czułam, jak w ich miejsce rosną następne. Cała byłam wypełniona skrę- conym, złowieszczym zwojem włosów, które wydobywały się na po- wierzchnię mojego ciała, jak tamte wnętrzności z kanapy taksówki.

Kiedy się obudziłam, było ciemno. Nieustanny łoskot pokrywy kana- lizacyjnej poinformował mnie, że jest godzina szczytu. Czułam suchość w ustach. Dojście do siebie zabrało mi dłuższą chwilę. Podniosłam słu- chawkę i zadzwoniłam do Londynu, ale Treva nie było. To drań, nigdy go nie ma. Przecież tam musi być już jedenasta. Ja, o którejś tam godzi- nie, zjadłam lunch, a jeszcze wcześniej ktoś próbował mnie zastrzelić. Nie było nikogo, kto by mnie wysłuchał.

Wstałam na miękkich nogach, wzięłam prysznic i włożyłam na siebie tę jedwabną halkę oraz obcisłą, włochatą sukienkę, którą kupiłam w Bloomie's. Myślałam przez chwilę o tej brązowej satynowej, ale nie mia- łać dość odwagi. Włożyłam szpilki i starannie nałożyłam makijaż.

Obrysowałam konturówką wargi, a potem pokryłam je błyszczącym szkarłatem. Barbara Hershey pogrubiała swoje do roli Marii Magdaleny. Wydymając usta do własnego odbicia, nałożyłam tusz do rzęs. Następnie

wzięłam diafragmę i umieściłam, gdzie trzeba. Przypomniała mi się Kelly, kiedy fastrygowała jedną z sukienek Lili i opowiadała mi o hotelowych barach. „Powinnaś zaczynać romans w hotelu Warwick, bo tam jest tak seksownie”, powiedziała wówczas. „Ciemno i seksownie. Ale jeśli chcesz zerwać, idź do hotelu Plaza, bo tam jesteś na oczach wszystkich i on nie zacznie tobą poniewierać”.

Pojechałam taksówką na Szóstą Aleję, wysiadłam przed Warwickiem i weszłam do baru. Miała rację; było tam tak ciemno, że potknęłam się przy wejściu. Jedyne, co byłam w stanie dostrzec, to grupa ciemno odzianych biznesmenów oraz oświetlone miseczki orzeszków. Teraz jest tam inaczej, zmienili wystrój wnętrza. Ale wtedy tak to właśnie wyglądało.

Usiadłam i zamówiłam wódkę z tonikiem. Skądś, nie miałam ochoty sprawdzać skąd, dochodziły cichutkie dźwięki pianina. Wyjęłam papierosa i zapaliłam go pewną ręką. Serce waliło mi jak młotem. Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu. Czułam się odległa o całe mile od własnego ciała.

Przyglądał mi się jakiś mężczyzna. Siedział przy sąsiednim stoliku. Nie mogłam dostrzec jego rysów, ale pewnie tak było lepiej. Wytrzymałam jego spojrzenie, uśmiechnęłam się. Siłą woli nakazałam mu podejść. Mogłam przecież coś zrobić, prawda? Mogłam zrobić właśnie to. Tego wieczoru, w mroku, byłam równie godna pożądania jak Lila. Mogłam zmusić mężczyznę do wszystkiego.

Tamten palił papierosa. To obiecujący znak, musi być tu przejazdem. Nowojorscy mężczyźni, oprócz ekip filmowych, praktycznie już nie palili. Patrzyłam, jak gasi niedopałek i nieruchomieje. Postukał palcami o leżącą obok na krześle teczkę. Zastanawiał się. Dokończyłam drinka.

Skoncentrowałam się i całą siłą woli nakazałam mu podejść. Odczekał chwilę, potem wziął teczkę i podszedł do mojego stolika.

- Witam - powiedział. - Czeka pani na kogoś?

Pokręciłam głową.

- Mogę się przysiąść?

Pociłam się w tej mojej wełnianej sukience. Ale on też się pocił. Teraz, kiedy znalazł się przy mnie, zobaczyłam, że jest dość barczysty i

zażywny. Nie wyglądał najgorzej. Kelner poszedł po nasze drinki, a on przedstawił się.

- Marvin Scales - powiedział, ściskając moją dłoń. Potem, tłumiąc śmiech, dodał: - Choć z La Scalą nie mam nic wspólnego.

- Jestem Jo-Jo - odparłam bez zastanowienia. Znałam kiedyś jakąś Jo-Jo, nie miałam jednak dość czasu, żeby sobie przypomnieć, kim była.

Sprzedawał aparaty słuchowe. Nazywał je audiowzmacniaczami czy czymś takim. Najwyraźniej wszystko to działało na mikroprocesorach. Miał w walizce kilka takich, które nie były większe od łebka od szpilki. Przyjeżdżał do Nowego Jorku każdego miesiąca na pięć dni i zatrzymywał się w Warwick. Nazywał Nowy Jork „Wielkim Jabłkiem”.

- A czym ty się zajmujesz, Jo-Jo? - zapytał. - Niech zgadnę. Jesteś modelką.

Uśmiechnęłam się tajemniczo.

- Robię to, o co mnie poproszą. - Mówiłam z akcentem amerykańskim; nie chciałam, żeby cokolwiek o mnie wiedział.

Dzięki Bogu, lubił sobie wypić. Bo takich też już niewielu zostało. Zamówił dla siebie jeszcze jednego bourbona i wódkę z tonikiem dla mnie. Zaczęło mi szumieć w głowie. Powiedział mi, ile to tysięcy mil przebył tego roku; nie musisz wiedzieć, ile ich było, wcale tego nie słuchałam. Powiedział, że nie płacono mu za pracę, tylko za samotne przesiadywanie w tych cholernych hotelach przez dziewięć miesięcy w roku.

- Ładna sukienka, Jo-Jo - powiedział. Poglaskał mnie po ramieniu. - Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą. - Oparł dłoń na moim udzie, ciężko. Przez wełnianą tkaninę wyczuł napięcie podwiązki. Zaczął ją dokładnie rozmasowywać. - Bardzo atrakcyjną. - Głos miał chropawy; odchrząknął.

Uśmiechnęłam się do niego. W ciemności, pod stolikiem, ujęłam jego rękę i wsunęłam pod swoją sukienkę, wysoko, w górę uda. Wciągnął z sykiem powietrze. Palcem gładził moją nagą skórę nad pończochą.

- O rany, to mój pomyślny wieczór - wyszeptał ochryłym głosem.

Przeszliśmy przez bar. Hol był rzęsiście oświetlony. Mężczyzna okazał się niższy, niż sądziłam, miał też wydatny brzuch. Czekając na windę,

unikaliśmy swojego wzroku. Zdawało się to trwać w nieskończoność. Wreszcie rozległ się dzwonek i drzwi się rozsunęły, ukazując dwie pary w wieczorowych strojach. Przeszli obok nas pojedynczo, uśmiechając się przy tym uprzejmie. Weszliśmy do środka i stojąc niczym dwie kukły, wzniesiliśmy się na dwunaste piętro. Czułam zapach jego wody kolońskiej; był mdląco słodki. Wpatrywałam się w certyfikat kontroli technicznej przyśrubowany do ściany, siłą woli zmuszając swoją żądzę do zachowania odpowiedniej mocy. Powędrowaliśmy korytarzem i kiedy znaleźliśmy się przed drzwiami do jego pokoju, wygrzebał klucz z kieszeni. We wnętrzu, co przyjąłam ze znaczną ulgą, było niemal zupełnie ciemno. Nad niepościelonym łóżkiem, we wnęce, jarzyło się słabe światło. Zasłony na oknie były zasunięte. On ruszył pospiesznie do łóżka i nakrył je narzutą; przed zejściem do baru uciął sobie pewnie drzemkę. Na podłodze stała torba z zakupami od Schwartza; być może kupił prezent dla swoich dzieciaków. Za kilka tygodni, uświadomiłam sobie nagle, będzie przecież Boże Narodzenie.

- Czy mogę skorzystać z łazienki? - spytałam.

- Naturalnie. Proszę się nie krępować - odpowiedział. Oboje byliśmy bardzo uprzejmi.

W łazience zrobiłam siusiu, a potem umyłam ręce, patrząc na swoją zarumienioną twarz w lustrze. Kobieta, którą tam zobaczyłam, niewiele mnie przypominała. Oddychała ciężko, wyglądała pospolicie, miała rozmazany tusz do rzęs. Przed nią, w szklance, sterczały należące do obcego mężczyzny szczoteczka, sonda dentystyczna i jeszcze jedno, nieznanne mi narzędzie. Facet bardzo poważnie traktował higienę jamy ustnej.

Wróciłam do pokoju. Leżał na łóżku w szortach, duży i łysy. Dłoń trzymał na fiucie; masował go, patrząc na mnie. A może w ogóle nie miał żony. A może w ogóle niczego. Zatrzymałam się pod wpływem nagłego przyływu paniki. Potem jednak zebrałam się w sobie i ruszyłam ku niemu na swoich szpilkach. Usiadłam na łóżku.

- Pozwól, że ci przedstawię Marviną Juniora - powiedział wysokim głosem, wydobywającym się ze ściśniętego gardła. - Bardzo się cieszę z tej znajomości.

Przez chwilę myślałam, że w pokoju jest jego syn. Odwróciłam się raptownie, ale on pociągnął mnie ku sobie. Jego ręka popchnęła w dół moją głowę. Duży, nabrzmiały fiut otarł się o mój policzek. Przesunęłam się i wzięłam go do ust. Smakował nieco kwaśnawo, a jednocześnie wyczuwałam talk; musiał wziąć prysznic tuż przed zejściem do baru. Daleko za sobą usłyszałam stęknienie. Jego pośladki wznosiły się rytmicznie pod moją twarzą, prawie nie mogłam oddychać. Przesunął się nieco, rozległo się pstryknięcie i dzięki Bogu zgasło światło.

Amerykańscy mężczyźni mają obsesję na punkcie seksu oralnego; przeczytałam wystarczająco wiele powieści Updike'a, żeby to sobie uświadomić. Szczeka mnie bolała od nieustannej pracy; sukienka podwinęła się na wysokość bioder. Jego palec bładził od niechcenia w moich majtkach; nie przejmował się mną zbyt. Drugą ręką przyciągnął moją dłoń do jąder, zacisnął ją na nich, przytrzymał. Były duże i zaskakująco owłosione.

- Właśnie tak - zawołał swoim dziecinnym głosikiem. - Właśnie tak. Dawaj, dawaj. - Mówił coraz to szybciej i szybciej, niczym nabierający pędu pociąg. Już zaczynał skamleć spazmatycznie przy tym nawrocie do dziecinnego głosu. Przekreśliłam go wtedy tak, że położył się na mnie. Był bardzo ciężki. Podwinęta sukienka znalazła się tymczasem na mojej szyi i dławiała mnie; rozłożyłam nogi, a on wcisnął twarz w moje piersi.

- Czy Marvin Junior może teraz złożyć wizytę? - spytał zduszonym głosem.

Przytrzymałam jego pośladki i wreszcie jego fiut wślizgnął się do środka. Przynajmniej nie zamierzał mnie całować; ssał głośno moją pierś, oddychając ciężko przez nos.

Kąsał mój sutek, aż mnie to zabolalo i odepchnęłam jego głowę. Zaczął się poruszać bardzo szybko i na kilka chwil pograżyłam się w zapomnieniu. Nie zwracałam uwagi na jego pojękiwania; zbyt podejrzanie przypominały słowo „mama”. Zacisnęłam po prostu mocno oczy i poruszałam się pod nim, byłam żywiołowa i energiczna, byłam najlepszą dziwką w Nowym Jorku. Kamery furczały; ekipa znieruchomiała jak sparaliżowana. Wszyscy przyglądali się mojemu gibkiemu ciału,

wyginającemu się pod nim w łuk. On tymczasem jęczał bezsilnie, był w mojej mocy.

Szczytowałam rozczarowująco słabiutkimi falami, on jednak nie zwracał na to uwagi, nadal wałąc bez wychnienia, aż zaczęło mnie pobolewać. Wreszcie skończył, z głośnym stękanem i z okrzykiem:

- Bezwstydnny chłopiec! Bezwstydnny chłopiec! - Padł ciężko na mnie, ukrywając twarz w poduszce. Nagle stał się nie do wytrzymania ciężki. - O rany, ale będę dzisiaj świetnie spał - wymamrotał.

Leżałam przez chwilę nieruchomo, a potem wyslizgnęłam się spod niego. On już spał, dotykające poduszki wargi wydawały parszkające dźwięki.

Obciągnęłam sukienkę, włożyłam pantofle i wykradłam się z pokoju, przyczesując po drodze włosy. Windą zjechałam do holu. Byłam tak rozdygotana, że kiedy ta stanęła, ugięły się pode mną nogi i na chwilę straciłam równowagę.

Nazajutrz Lila się nie pojawiła. Zastanawiałam się, co robiła poprzedniego wieczoru. Może przeżywała spóźnioną reakcję; może się spiła. Może udała się w przebraniu do miasta, do jakiegoś anonimowego baru i poderwała nieznajomego. Kogoś, kto nie wiedział, że jest sławna; takiego nikogo, jak cała nasza reszta. I wypila tyle wódki, że dziś tego nie pamiętała. Kto wie? Była kobietą rozchwianą, a ta strzelanina na pewno wytrąciła ją z równowagi. Bo do tego było jej bardzo niewiele potrzeba.

Miałam szatańskiego kaca, ale przecież byłam całkiem zdrowa na cieple i umyśle. N a m n i e można było polegać. Przejęłam zatem jej rolę - ja, Julia Sampson. Asystent reżysera zapamiętał wydzwaniał, a wezwano mnie na próbę. Byłam aktorką, którą proszą na scenę, bo gwiazda jest niedysponowana. Ostatecznie teraz już mogli mi zaufać; nawet do Chucka dotarło, że pomagałam Lili. Dopilnowałam, żeby dotarło; nie jestem przecież głupia.

Krećliśmy scenę w studiu nagrań należącym do ukochanego Mary-Lou. Był gwiazdą rocka, wspomniałam już o tym?

Film musiał być przyprawiony jego okropnymi piosenkami. A wszystko dlatego, że Grover Cain, jeden z aktorów, był niemodnym już piosenkarzem usiłującym zrobić karierę w filmie. W końcu Cher to się udało. Dostała nawet Oscara.

Tak czy inaczej, on nagrywał piosenkę, a ja miałam tam wtargnąć i oskarżyć go o niewierność. Widziałam go wcześniej z inną kobietą (w formie hologramu, dzięki pozaziemskiej mocy mojego syna). Była to wielka scena. Straszliwie głupia, ale wielka. Nawet autor się pojawił.

Tekst znałam doskonale. Znałam na pamięć cały scenariusz -a co innego według ciebie robiłam w te długie wieczory? Odgrywałam absolutnie każdą scenę, chodząc w tę i z powrotem po hotelowym pokoju i gestykulując nad stolikiem nocnym. Przemawiałam do lustra, nakazując łkać swojemu odbiciu. Toczyłam spory, jak tamten menel z latarnią. Stawałam przy oknie i przemawiałam do drapaczy chmur widocznych pomiędzy plastrami budynków po przeciwnej stronie ulicy; mówiłam o swojej udręce do neonu, daleko w dole, oznajmiającego: „Zniżkowa depilacja woskiem u Dianne”. Znałam tę rolę o niebo lepiej niż Lila.

Tego ranka Chuck traktował mnie z pewnym szacunkiem. Pierwszy raz mnie potrzebował - moich umiejętności, nie tylko ciała, które należy ustawić w odpowiednim miejscu i oświetlić. Przedstawiono mnie Groverowi, który do tej pory w ogóle mnie nie zauważał. Ucisnął mi dłoń, spoglądając na mnie swoimi ciemnymi oczyma z fałszywą szczerością. Wyprowadzili mnie za drzwi, gdzie przygotowałam się do tego, co miało nastąpić, wdech wykonała jeszcze Jules, wydech należał już do Mary-Lou. Stara, zardzewiała maszyna ruszyła, Boże, jak dawno temu to było. Czułam mrowienie na skórze; pierwszy raz od sześciu miesięcy naprawdę pracowałam.

- Włączyć piosenkę - zawołał Chuck. - I... akcja!

Wkroczyłam do studia, twarda kobieta interesu, która nagle staje się kobietą podatną na ciosy, zranioną, lękającą się utracić i ukochanego, i syna.

- Kim ona była? - wyrzuciłam z siebie. - Kim ona była, ty gnido? Grover, w połowie piosenki, stał przy mikrofonie.

- Jaka ona, kochanie?
- Wiesz, o kim mówię! - natarłam, pchając go na dźwiękoszczelną ścianę. - Ta kobieta, z którą uprawiałeś jogging w Central Parku!
- Nie uprawiałem joggingu z żadną kobietą! - zaprotestował.
Nagle zaimprovizowałam, nie byłam w stanie się powstrzymać.
- Nie mów do mnie w ten sposób! - wrzasnęłam. - Chcesz przez to powiedzieć, ty karłowaty gnoju, że to był facet!

Grover patrzył na mnie z wytrzeszczonymi oczami, kiedy usłyszeliśmy zupełnie nieoczekiwany dźwięk, śmiech Chucka. W tym miejscu zrobili cięcie, a on przywołał autora, drobnego Żyda, którego głównym powodem do sławy było napisanie kilku odcinków *Policjanta w z Miami*. Chuck oznajmił mu:

- Wykorzystamy to. - Potem zwrócił się do mnie. - Podobało mi się. Wszystko. Podobał mi się ten wybuch energii!

Na to ja powiedziałam:

- Bo nikt nie rozumie, że Mary-Lou jest silną, niezależną kobietą, która gardzi sobą za własną niemoc.

Uśmiechną się.

- Taka Hedda Gabler z Riverside Drive.

Zrewanżowałam mu się uśmiechem.

- Wiedziałam, że kiedyś ją wreszcie zrobisz.

Wkrótce potem pojawiła się Lila. Wyglądało na to, że nikt nie wie, gdzie się do tej pory podziewała. Zaprowadzono ją pospiesznie do charakteryzatorni, podczas gdy my ponownie próbowaliśmy tamtą scenę; włączyliśmy w nią ten nowy dialog i zbudowaliśmy w ten sposób całkiem niezły kawałek zwariowanej komedii, wzruszającej i zabawnej. Nawet Grover, który miał takie same umiejętności aktorskie jak gąbka do mycia, zaskoczył nas wszystkich, również wymyślając coś dla siebie. Przez chwilę panowała prawdziwa twórcza atmosfera - wyjątkowo rzadka sytuacja w tym przedsięwzięciu. Ekipa opóźniła nawet o kilka minut przerwę na kawę. Od dawna nie bawiłam się tak dobrze.

A potem na plan weszła Lila. Musiałam się odsunąć i pozwolić, żeby ona pociągnęła to dalej. Wzięła do ręki tekst z naniesionymi poprawkami i przyglądała mu się ze zmarszczonymi brwiami.

- O co, do jasnej cholery, chodzi z tym facetem i joggingiem?

Nie przerywając popijania kawy, zawołałam do niej:

- To coś takiego jak w zdaniu: Nie strzelałam do żadnej kobiety.

- Co masz na myśli? - spytała.

- To znaczy, że mogłam strzelać do mężczyzny.

Wlepiała we mnie wzrok.

- Dlaczego mówisz coś takiego?

Wzruszyłam ramionami.

- To tylko przykład językowy.

Tego dnia skończyliśmy wcześniej i Lila zaciągnęła mnie do swojego salonu pielęgnacji paznokci. Robiła wrażenie spiętej; powiedziała, że nie chce być sama. Ten salon był w Murray Hill, blisko mojego hotelu; powiedziała, że chodzi tam od lat i ma swoją ulubioną dziewczynę o imieniu Timmi. Twierdziła, że się uspokaja, kiedy ktoś zajmuje się jej paznokciami, ma to taki terapeutyczny wpływ.

Salon „Paznokietek” mieścił się na Trzydziestej Siódmej Ulicy, w sąsiedztwie nowych kondominiów. Szyld głosił: „Rzeźbienie paznokci”. Wsiadłyśmy z samochodu i Lila oznajmiła, że ja też powinnam dać sobie zrobić paznokcie.

W środku było gorąco. Pod wyłożonymi plastikiem ścianami stały stoliczki, a na nich, jak jakieś miniaturowe pojemniki z przeznaczoną do transfuzji krwią, tkwiły zbiorniczki z lakierem we wszystkich możliwych odcieniach różu i szkarłatu. Przy wszystkich stoliczkach czekały jak skwapliwa nałożnica koreańskie dziewczyny. Ubrane były w aksamit o długim włosie i miały na sobie mnóstwo biżuterii. Gawędziły ze sobą i chichotały; były jeszcze niemal dziećmi.

- Te dziewczęta - oznajmiła Lila - one to dopiero znają różne brudne sprawy.

Wyobraziłam sobie kochanki znanych osobistości, którym spłowuje

się paznokcie w szpic, żeby mogły wydrapać rywalce oczy. Rzucalyby się na siebie z pazurami jak koty. Lila przywitała się ciepło z Timmi i usiadła. Mnie posadzono obok, a wyglądająca jak panna młoda dziewczynka o imieniu Marni, czy jakimś takim, spytała, czy życzę sobie osłonki lniane czy jedwabne. Powiedziała, że dzięki nim moje paznokcie staną się piękne i mocne.

- Biła się pani z kimś? - spytała swoim dźwięcznym, śpiewnym głosem, podnosząc moją dłoń i spoglądając na bliznę. Podeszła druga dziewczyna. Wydały westchnienie przypominające podmuch wiatru wśród suchych traw.

- Jedwab jest delikatniejszy, złociutka - powiedziała Lila, przechylając się ku mnie. - Len jest jednak trwalszy.

Ona wybrała jedwab, a ja len, zupełnie jak w bajce, w której ona byłaby księżniczką, ja zaś pokojówką. Marni spiłowała mi paznokcie, a potem przyklejała, warstwa po warstwie, lekkie jak piórka prostokąci lnu na każdym paznokciu. Kiedy ona tak pracowała nad moimi dłońmi, ja słuchałam Lili. Mówiła do Timmi, która najwyraźniej ją uwielbiała. W istocie ta przepelniona chichotami, kobieca atmosfera zdawała się Lili odpowiadać; gdzieś głęboko, jak podejrzewałam, wołała ona kobiety od mężczyzn - były mniej groźne. Poza tym, podobnie jak ja, rodziny praktycznie nie miała i te dziewczęta wydawały się jej młodszymi siostrami. Lila nie była snobką; już wcześniej zauważyłam, że najbardziej rozluźniona czuła się w towarzystwie dziewcząt z klasy pracującej - kosmetyczek, asystentek charakteryzatora. Sama przecież wyszła z podobnego środowiska - inne zrządzenie losu i pozostałaby w nim. Pracowałaby w salonie piękności i poślubiła sprzedawcę toyot.

Tak się jednak nie stało, prawda? Była sławna i nieomal zapłaciła za to życiem. Timmi słuchała opowieści Lili o strzelaninie, o tym dramacie, z którego zostałam jakoś kompletnie wyłączona.

- Ci psychopaci - powiedziała - oni mają pełnego fioła. Jezu Chryste, ależ oni mnie przerażają. Jodie Foster, Olivia Newton-John, my wszystkie, wszystkie jesteśmy na to narażone. Podobnie jak na te listy. Irma wyrzuca je do śmieci, zanim zdążę je przeczytać, ale ja i tak wiem,

że przychodzą, widzę to po jej minie. Niektórzy z nich nagrywają się na moją sekretarkę. Te szajbusy... mają nawet mój prywatny numer! Muszę go zmieniać co parę miesięcy. Tam, w tym wszystkim, jest taka nienawiść, że byś nie uwierzyła.

- Kto by mógł pani nienawidzić? - spytała Timmi, nakładając krwisty lakier na paznokcie Lili. Wytarła kropelkę, która się rozmazała, bo dłoń Lili lekko drżała.

- Jest gdzieś ktoś, kto chce mnie zabić - powiedziała Lila.

- Przecież powiedziała pani, że go wsadzili.

- Jak nie on, to znajdzie się jakiś inny - utrzymywała Lila. - Zawsze jest ktoś taki. Kłopot w tym, że nigdy się nie wie, kto to jest.

Czekała chwilę, aż podeschną jej paznokcie. Siedziałam obok i słuchałam, jak podzwaniają bransolety na rękach zajmującej się moimi dłońmi dziewczyny. Potem Lila sięgnęła po torebkę.

- Od dzisiaj - oznajmiła - już nie będę ryzykowała. - Otworzyła zameczek. - Rano poszłam z Irmą na zakupy. Kupiłam coś, co pozwoli mi poczuć się o wiele bezpieczniej. O wiele.

Timmi zajrzała do torebki i najwyraźniej ją zamurowało. Nachyliłam się. W bałaganie, jaki tworzyły tubki z podkładem i szczotki do włosów, zagrzebany do połowy w niechlujnym galimatiasie, tkwił pistolet.

- Ładniutki, prawda? - zaświergotała Lila, jakby pokazywała nam niemowlę.

Był rzeczywiście ładny: mały, błyszczący smith & wesson. Rękojeść miał wyłożoną masą perłową; poręczny, krótki korpus. To dlatego spóźniła się dzisiaj do pracy.

- Od teraz - oznajmiła Lila - on będzie tutaj, w mojej torebce. To będzie jego stałe miejsce.

Kilka dziewcząt podeszło, żeby popatrzeć. Wzdychały i podzwaniały bransoletkami. Pamiętam, że pomyślałam sobie wtedy, jaka ta Lila jest nieroztropna - pokazałaby wszystko każdemu. Taki miała charakter. Dziewczęta zebrały się wokół i zerknęły zalotnie na broń; Lila wyglądała niczym Królowna Śnieżka otoczona przez krasnoludki. Zademonstrowała bezpiecznik, przesuwając go w tę i z powrotem. Zachichotały lekliwie.

Lila zamknęła torebkę, a ja wróciłam do poprzedniej pozycji. Marni spytała, jaki kolor paznokci sobie życzę. Przez chwilę jej głos do mnie nie docierał. Bolała mnie szczęka. Nagle uświadomiłam sobie, że formalnie rzecz ujmując, ubiegłej nocy zdradziłam Treva.

- Wybierz kolor, złociutka - powiedziała Marni.

Drgnęłam, a potem, spojrzawszy na krwiście czerwone paznokcie Lili, oznajmiłam:

- Taki sam jak jej.

Pięć

Mijały dni. Dostałam od Treva kartkę ze stemplem z Edynburga. Dąty nie mogłam odczytać, była zamazana. Ilustracja, obraz ze Szkockiej Galerii Narodowej, ukazywała łyżwiarza. „Leje jak diabli. Też jestem zalany. Robbiemu to się podoba, chociaż jest zalany jak norka. Znosi do siebie żarcie «na wynios». Tęsknię za tobą, moja mądralińska angolko (?)”.

Po co to (?)? Miał wątpliwości co do własnych uczuć czy też ortografii? Czy mojego mózgu? Kim jest ten Robbie, nagle tak bliski? Przecież Trev nie poszedłby do galerii sztuki z producentem z BBC. W ogóle nie poszedłby do żadnej galerii, chyba że zabrałaby go tam jakaś dziewczyna. Poza tym, czy ten gość z BBC nie miał przypadkiem na imię Bill?

Podjejrzenia mnie rozpierały, ale byłam bezsilna. Chciałam, żeby był tutaj ze mną, w Nowym Jorku, czekał pod koniec dnia w hotelowym pokoju. Chciałam, żeby śmiał się razem ze mną z tych zawziętych biegaczy i tych odzianych w dresy tatusiów, których widywałam w Central Parku. Ci drudzy pchali wózki, na krótko tworząc więź z własnymi dziećmi, podczas gdy ich żony zostawały w domu, zamawiały jakiś brunch i głądziły z psiapsiółkami o opartych na wzajemnej zależności związkach. Brakowało mi słowa „diaboliczne”, którego używa na swój sposób. Pamiętam, jak poszliśmy kiedyś do restauracji -Trev miał na sobie garnitur pożyczony na czyjś ślub. Nie pojawił się żaden kelner, więc zaczął udawać kierownika sali i wprowadzać do środka klientów. Chodził od stolika do stolika i przyjmował zamówienia.

Czy wszystko to jest teraz udziałem jakiejś innej kobiety? Coś się tam

działo; to wiedziałam. Jego kartki były zbyt krótkie i zbyt słodkie; zbyt często nie było go w moim mieszkaniu jak na kogoś, kto rzekomo pracuje nad scenariuszem. Dzielilo nas jednak cztery tysiące mil; pięć stref czasowych. Kiedy udawało mi się w końcu porozmawiać z nim przez telefon, demonstrowałam radosny głos i nie zadawałam pytań. Po prostu przekazywałam mu najnowsze wieści.

Kręciliśmy sceny na Irving Place, na Brooklyn Heights Promenade, przed teatrem Apollo w Harlemie. Kręciliśmy też scenę nocnej pogoni przez SoHo. Wszędzie, w całym mieście, zatrzymywano dla nas ruch uliczny, jak z powodu jakiegoś wypadku ze śmiertelnymi ofiarami. Czułam się wypełniona sprężoną energią, niczym ukryty w pudełku diablisk na sprężynie, przytrzymany w miejscu ciężarkiem. Może to za sprawą rzeńskiego, dodającego animuszu powietrza. Zostawiając za sobą ospałą, angielską jesień, nie byłam przygotowana na ostre ukłucia nowojorskiego listopada, które ożywiły mnie jak krąząca w żyłach heroina. Na szczytach budynków świeciło słońce wznoszące się coraz wyżej w miarę upływu dni; okna pobłyskiwały do siebie. Na dachach apartamentowców, na wysokości, od której kręciło się w głowie, sterczały kępy krzewów. Każdy następny budynek, chciwy powietrza, wspinał się wyżej od sąsiada. Niektóre miały przyciemniane szyby; inne obleczone były w cienką lustrzaną powłokę, w której przeglądały się narcystycznie sąsiednie budynki.

Ja, na dole, przemierzałam odbijające echo klaksonów ulice. Unosiłam się na powierzchni wietrznych nurtów, które obmywały boczne ulice. Szłam całymi milami, uderzana falami ciepłego powietrza dochodzącego z wejść do sklepów sprzedających buty sportowe i obwarzanki, i płyty kompaktowe. Byłam jednocześnie bezsilna i pełna siły, niespokojna i skoncentrowana. Przemierzałam te ulice, powtarzając słowa z podsłuchanych rozmów i ćwicząc swój akcent. Siadywałam na otwartych placach, na zimnych, betonowych obramowaniach fontann lub wypełnionych kawałkami kory wielkich donic z roślinami i obserwowałam ludzi. Obserwowałam cały czas. Mężczyźni i kobiety mijali mnie, nie

rzuciwszy nawet okiem w moją stronę. Ja jednak ich dostrzegałam. Kiedy robiło się zbyt zimno, wchodziłam pod dach, w te rozległe, przeszklone, ogólnodostępne przestrzenie, które tworzą miasto w mieście. Siadałam pod gwiazdami Grand Central Station; siedziałam osłonięta przez błyszczące liście fikusów w holu hotelu Hyatt. Przysiadalam na wrzecionowatym foteliku w holu budynku IBM. Zielone kępy bambusa przydawały pracującym tam maszynistkom melancholijnego wyglądu, jakby prosto z Czechowa; w czasie przerwy na lunch pojadały wśród tej zieleni surówkę z plastikowych pojemników. Jeździłam windą w górę i w dół Trump Tower, obok kaskady spryskującej nakrapiane, krwiste czerwone ściany. Wędrowałam po marmurowych posadzkach, zahipnotyzowana energią pulsującą tak wyraźnie, że mogłabym jej dotknąć moimi nozymi, pokrytymi lnem paznokciami.

Uważałam Trump Tower za najbardziej obrzydliwie wulgarne miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam. Powiedziałam Lili:

- W tej książce, którą czytałam, opisano ją jako wnętrze żołądka kogoś, kto zjadł pizzę pepperoni.

Lila natomiast ją uwielbiała.

- Tyle że kiedy poszłam tam ostatnim razem, to ruszyć się nie mogłam przez tych wszystkich wpatrujących się we mnie ludzi - oznajmiła. - A teraz jestem kompletnie roztrzęsiona.

Był koniec listopada. Siedzialiśmy w przyczepie służącej za garderobę; obok nas szumiała pralka. Kelly przyniosła kawę i pączki. Jak wszystkie garderobiane, była strasznie gruba; wyglądało na to, że ubierając inne kobiety, całkowicie zrezygnowała z dbania o siebie. Miała jednak macierzyńską naturę i właśnie w garderobie gawędziło nam się najlepiej. Lila kwitła w tej atmosferze haremu, kiedy to siadałyśmy wszystkie razem i narzekałyśmy, jak nędznie nam się układa z mężczyznami.

- Czasami się zastanawiam, jak by to było, gdybym była taką zwykłą sobie osobą - powiedziała Lila; usta pokrywał jej cukier puder. - Normalną facetką. Mogłabym iść gdziekolwiek i nikt by nie zwrócił na mnie uwagi. - Odgryzła kęs pączka. - Musi to być dziwne uczucie.

Na to ja:

- To raczej t w o j e życie jest dziwne.

Maszyna zaczęła cykl wirowania; silnik zawył i pralka zaczęła się kiwać, jakby w jej wnętrzu trwała jakaś batalia. Łyknęłam kawy i spojrzałam na Lilę. Miała na sobie różowy dres - właśnie skończyliśmy kręcić scenę na Sheeps Meadow. Przechyliłam się ku niej i starłam z jej brody grudkę dżemu.

- Mam pomysł - powiedziałam cicho, zlizując sobie dżem z palca.

Oznajmiłam jej, że powinna stać się kimś takim jak ja.

- Spróbujmy - powiedziałam.

Pożyczyłyśmy z charakteryzatorni mysią perukę. Pierwszego wolnego dnia zabrałam Lilę do swojego hotelu, pierwszy raz. Miała na sobie tę perukę i recepcjonista jej nie rozpoznał. To ją niesamowicie podekscytowało. Ze śmiechem pomknęłyśmy do windy.

- Czy powinnam to robić? - spytała, zdejmując ciemne okulary, kiedy zatrzymałyśmy się na moim piętrze.

- Nie bądź tchórzem - odparłam.

Otworzyłam drzwi i wpuściłam ją do środka. Wnętrze, jak zawsze, wyglądało porządnie i bezosobowo. Pierwsze, co robi każdy w hotelowym pokoju, to podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz. Na parapecie leżała lornetka. Nie wspomniałam o niej, prawda? Wzięła ją do rąk.

- A to po co? - spytała.

- Do obserwowania, oczywiście. Widziałaś *Okno na podwórze*?

Zsunęła z ramion futro i powędrowała wokół mojego pokoju z senną ciekawością, jak dziecko. Siedziałam na łóżku, przyglądając się, jak otwiera lodówkę i spogląda na miniaturowe buteleczki z alkoholem. Jej obecność tutaj wywoływała u mnie dziwne uczucie. Pomyślałam sobie, jak bardzo gwiazdy filmowe przypominają dzieci. Celowo utrzymuje się na opóźnionym etapie rozwoju umysłowego. Wszyscy spiskują, żeby nie pozwolić im dorosnąć. Rozpieszcza się je, a jednocześnie wykorzystuje; okłamuje się, ludzie mówią im jedynie to, co chcą usłyszeć, chronione są przed rozwichrzonym światem zewnętrznym. Z dala od swojego środowiska, w tej mizernej peruce Lila wydawała się bardziej

bezbronna, zagubiona i myszowata. Przynajmniej raz czułam się silniejsza. Teraz byliśmy na moim terytorium.

- Najpierw musisz zetrzeć to, co masz na twarzy - oznajmiłam. - Potem pożyczę ci swoje ubranie. Mamy mniej więcej te same wymiary.

Wysunęłam szufladę, w której trzymałam swoje T-shirty. Pośród nich leżał przysłonięty częściowo mój zapas salemów - pięć paczek. Ja ich nie paliłam; trzymałam je dla niej. Przykryłam je szybko; nie chciałam, by je zobaczyła.

- Wybierz sobie - powiedziałam, wyciągając T-shirty. Na jednej znajdował się apel „Powstrzymaj globalne ocieplenie”, inna nawoływała „Chroń lasy tropikalne”; te napisy w osobliwy sposób wołały do mnie z tamtych dawnych czasów. Wyciągnęłam jeszcze jedną. Napis na niej głosił „Teatr Pierwszej Pomocy”. - Pracowałam z nimi, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam - powiedziałam.

Była w łazience i zmywała makijaż. O moim poprzednim życiu nie wiedziała nic; nie była zainteresowana. Czy to sprawiedliwe? W końcu ja jej życiem byłam zainteresowana, wszyscy byli. W wywiadach pytano ją o opinię na każdy temat, od kremów odżywczych na noc do rodzenia dzieci na zamówienie, i słuchano, z błyskiem w oku, jej banalnych odpowiedzi.

- Chcesz posłuchać o mnie? - spytałam. - O mnie, czyli o tobie.

- Jasny gwint, ale wariacko wyglądam - oznajmiła, robiąc grymas do swojego odbicia w lustrze.

- Touché - powiedziałam na to.

Jej pozbawiona makijażu, obnażona twarz zwróciła się do mojego, widocznego za jej ramieniem, odbicia. - Hę?

- Nic takiego. Słuchaj, masz małe mieszkanie... nie apartament, mieszkanie.

- Mam małe mieszkanie - powtórzyła, wypróbując swój angielski akcent.

- W Belsize Park. I duży dług hipoteczny. I masz trzy kasety wideo, które w kółko oglądasz, i małe renault, które ciągle się psuje. Pamiętasz? Raz je widziałas. - Mówiłam teraz szybciej. - I pierzesz ręcznie ciuchy, na których napisano „pranie chemiczne”, i kupujesz mleko w butelkach, a

nie w kartonach, bo jest o pensja tańsze, i wybebeszasz worek hoovera, żeby móc go powtórnie użyć.

- Co to jest worek hoovera?

- No właśnie - powiedziałam. - I serce ci wali, kiedy przychodzi poczta, nie dlatego, że jakiś świrus za tobą szaleje, ale dlatego, że nie szaleje za tobą dyrektor twojego banku. - Przerwałam, żeby zaczerpnąć tchu.

Robiła wrażenie zaniepokojonej.

- Czemu krzyczysz? - spytała.

- Nie krzyczę. Po prostu próbuję wyjaśnić.

Odsunęła się od lustra.

- Bo czasami masz w oku taki błysk szaleństwa.

Przeszłam do pokoju.

- Jestem całkowicie normalna - powiedziałam. - Nic mi w tym względzie nie dolega. Chodź tu i ubierz się. Położyłam na łóżku dżinsy, T-shirt i sweter.

- To tylko takie interesujące ćwiczenie - oznajmiłam. - Robiliśmy to w szkole teatralnej. Odwracanie, zamiana ról.

Poprawiła perukę.

- Czasami mnie przerażasz.

Zdjęła spodnie. Miała pod nimi kremowe rajstopy, z biegnącym w dół uda oczkiem. Podałam jej dżinsy, a ona je włożyła. Były ciut przyciasne; byłam od niej szczuplejsza.

- Mam na imię Julia - powiedziałam.

- Mam na imię Julia - powtórzyła, z czymś, co jedynie w przybliżeniu było angielskim akcentem.

- Jestem wyjątkowo utalentowaną aktorką.

- Jestem wyjątkowo utalentowaną aktorką - powtórzyła. Poprawiłam ją.

- Wy-ją-tko-wo utalentowaną.

- Wy-ją-tko-wo utalentowaną.

- Moje hobby to robienie origami z zamieszczonych w czasopiśmie wywiadów z Lilą Dune oraz pieprzenie się z nieznanymi mężczyznami w pokojach hotelowych.

Spojrzała na mnie.

- Żartujesz?

- Wszyscy jesteśmy łgarzami, czyż nie? - Uśmiechnęłam się do niej. - Dajcie nam tekst, a powiemy cokolwiek.

Rozpięła guziki bluzki i zdjęła ją. Miała na sobie usztywniony drutem stanik z beżowej koronki.

- Robię się przez ciebie nerwowa - powiedziała. - Masz może valium?
- Włożyła T-shirt i mój niebieski sweter.

Cofnęłam się i przyjrzałam jej dokładnie. Ona patrzyła na mnie. Rzeczywiście robiła wrażenie bardzo zdenerwowanej. Może, wyglądając tak zwyczajnie, czuła się niepewnie. Może już zaczynała żałować, że się w to wdała. Tak naprawdę pomimo tego stroju nie przypominała mnie; dziwne. Mnie taka transformacja, w drugą stronę, przyszłaby o wiele łatwiej. Mogłam ją zagrać, bo znałam wszystkie jej gesty i grymasy i potrafiłam dokładnie naśladować jej głos. A to dlatego, że ja naprawdę byłam aktorką. Ona po prostu wyglądała na zagubioną - niezbyt ładna kobieta, Która nie wie, co począć z rękoma. W jakiś sposób jej uroda uległa rozmyciu.

- Jedno musimy sobie od razu wyjaśnić - oznajmiła. - Nie zamierzam palić twoich cholernych papierosów. Mają za dużo smoły.

Roześmiałam się i zjechałyśmy na dół. Poszłyśmy w kierunku Trzeciej Alei. Nikt na nas nie spojrział.

- Zupełnie jakbym była niewidzialna - wyszeptła.

- Witamy w klubie.

- To świetne!

- Tak sądzisz?

Minęłyśmy budkę, gdzie dorabiano klucze, oraz piekarnię „Złoty Rogalik”; skręciliśmy za róg i przeszłyśmy obok „Paznokietka”. Zatrzymała się przy jego oknie. Timmi opłukała przed chwilą szklanekę; teraz ją właśnie wycierała.

- Cześć, Timmi! - Pomachała do niej, ale Timmi jej nie rozpoznała; nie przerwała wycierania.

Poszłyśmy Trzecią Aleją, obok nędznych magazynów i seczuańskich restauracyjek. Lila od lat nie chodziła po Nowym Jorku; była niczym inwalidka, która uczy się od nowa używać nóg.

- Ten facet - powiedziała - ten fan, podchodzi kiedyś do mnie i mówi: „Czy wiesz, kim jesteś?”. A ja mu na to: „Bardzo interesujące pytanie”.

Roześmiałam się, a potem udzieliłam jej kolejnej lekcji na temat słownictwa angielskiego:

- Herbatnik nie ciasteczko - powiedziałam. - Lora nie ciężarówka.

Ona jednak nie słuchała. Zbyt była zachwycona swoją nagle uzyskaną swobodą - swobodą zera. Było to nawet dość wzruszające. Sława jest bowiem więzieniem, a ją z niego wypuszczono na jedno popołudnie, pomiędzy lud. Im nędzniejsza okolica, tym lepiej; Trzecia Aleja była jej zupełnie nieznaną; była innym krajem. Znane osobistości mają własną sieć, należącą wyłącznie do nich siatkę geograficzną. Krążą limuzynami pomiędzy luksusowymi restauracjami a swoimi apartamentami gdzieś w okolicy Sześćdziesiątej Ulicy; udają się do poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy na lotniskach i do miejsc, gdzie są dyskretnie witani, chronieni przed gapiami i gdzie spotykają jedynie podobnych sobie.

To jeszcze jeden powód, dla którego Lili nie rozpoznawano. Sławnych ludzi nie rozpoznaje się wyłącznie po twarzy, ale również po ich otoczeniu i rekwizytach - długiej limuzynie, wytwornej okolicy, nitrze. Pozbędą się tego i już zaczynają przypominać nas wszystkich.

Lila nagle zwróciła się do mnie.

- Możesz to robić przez cały czas! - wykrzyknęła. - Dokąd chodzisz?

Wzruszyłam ramionami.

- Mam paru przyjaciół w Greenwich Village - odpowiedziałam. - Aktorów, pisarzy. Niektórzy mieszkają w loftach w SoHo. Gramy w słowa i jemy potrawy kuchni Cajunów.

- Uwielbiam słowa - oznajmiła, zupełnie jakby mówiła „uwielbiam pastę z awokado”.

Idąc tak z nią chodnikiem, uzmysłowiłam sobie, że to nie tylko ja uczyniłam z jej życia fantazję. Ona zrobiła to samo z moim życiem. Londyn był parkiem tematycznym, ze sprzedawcami jabłek w polewie z toffi i z wytwornymi perfumeriami, równie fałszywie przekonującym jak tamten sklep Ralpha Laurena. Moje życie składało się z prowadzonych pośród kłębow papierosowego dymu debat ludzi wykształconych. Mój ojciec był błyskotliwym profesorem, a matka arystokratką z hrabstw południowo-wschodnich. Lila przebudowała moje życia, wypolerowała je, uprościła; ja robiłam to samo z jej życiem. To znaczy w tych rzadkich

momentach, kiedy o tym myślała.

Zatrzymałyśmy się w delikatesowym lokaliku Toniego, gdzie od czasu do czasu wpadałam. Znany był z wyjątkowo smacznych kanapek.

Zamówiliśmy te z pastrami, na wynos.

- Kim jest twoja przyjaciółka? - spytał Toni, postawny Włoch.

- To moja kuzynka z Londynu - odparłam.

- Mam apartament w Belsize Park - oświadczyła Lila.

- Ma na myśli mieszkanie - poprawiłam.

- Mam na myśli mieszkanie - powiedziała, tłumiąc chichot. - I nie dawaj za dużo po-mi-do-rów. - Siłiła się na brytyjski akcent.

Popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- Czy już cię gdzieś nie widziałem?

- Niemożliwe - wtrąciłam się. - Chyba że oglądałeś *Namocz to*. To dotychczas najwyższy punkt w jej karierze. Uważa się za wyjątkowo utalentowaną aktorkę, ale w rzeczywistości jest nikim.

Zapakował nasze kanapki.

- Widzę, że tworzycie sympatyczną, szczęśliwą rodzinę - powiedział.

- Ona mi zazdrości - odparłam na to. - Trudno jej stłumić w sobie chęć rywalizacji.

Na ulicy wybuchłyśmy śmiechem. Szłyśmy powoli, jedząc kanapki. Nagle poczułam, jak jest mi bliska. Przez chwilę była moja, cała moja. Zachodzące słońce rozplómiło niebo. W tym momencie nie istniał nikt, kto by nas rozdzielał - nie było żadnego Chucka, Irmy, stada pełnych uwielbienia fanów. Byłyśmy dwiema zwykłymi kobietami w dżinsach i w tenisówkach, zaśmiewającymi się, zlizującymi musztardę ze swoich wychłodzonych dłoni. Jakiś facet przenoszący do sklepu skrzynki z wodą sodową zatrzymał się i zagwizdał.

Kiedy się odwróciłam, stwierdziłam, że gwizdże na widok Lili.

Wróciliśmy o zmroku. Białe, błyszczące w świetle latarni lincoln continental czekał przed hotelem. Przyjechał, żeby zabrać Lilę na spotkanie

z jakimś producentem; już była spóźniona. Pospieszaliśmy do mojego pokoju, gdzie się przebrała, niczym kopciołek, tyle że na odwrót. Dopiero wtedy rozpoznał ją szofer. Wcisnęła perukę do kieszeni futra, pocałowała mnie na pożegnanie, pośpiesznie, na ulicy. Jechała na spotkanie w sprawie jakiegoś nowego przedsięwzięcia, jakiegoś filmu w Los Angeles. Nasze dziwne interludium dobiegło końca; nagle ona ponownie była Lila Dune, z oddzielnym życiem, do którego nie miałam dostępu. Była gwiazdą z dwudziestoma filmami w dorobku i dwoma byłymi mężami; z rezydencją w Hollywood i z tym apartamentem w Nowym Jorku, którego nigdy nie zobaczę. Stałam tam, patrząc na odjeżdżający samochód i dusząc się jego spalinami. Limuzyna załomotała pokrywą włazu, tym znakiem przestankowym moich niezliczonych snów, i zniknęła.

Pojechałam windą na górę, weszłam do pokoju i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Podniosłam T-shirt i przycisnęłam do twarzy; pachniał jej perfumami. Ubranie było puste; ona się rozplynęła, jakby nigdy jej tutaj nie było.

Tamtej nocy poszłam na bardzo długi spacer. Było przejmująco zimno. Minęłam rząd ławek. Każda była zajęta przez cichutko pochrapującą, okutaną mumię. Widziałam, jak z ich ust unoszą się białe obłoczki oddechów. Minęłam nocny bar z oświetlonym w witrynie napisem LITE. Z dala dobiegał dźwięk policyjnej syreny. Przy wejściu do budynku coś poruszyło się we wnętrzu dużego pudła po telewizorze. W całym mieście ludzie spali w kartonach niczym larwy chruścika. Podszedł do mnie jakiś mężczyzna z wyciągniętą ręką. Jego włosy wyglądały, jakby były zlepione klejem. „Boże błogosław Amerykę”, oświadczył i padł na ziemię u moich stóp.

W Ameryce zbrodnia popłaca. Dziś rano spotkałam się ze swoim adwokatem; nie uwierzyłbyś, że mogłabym dostać takie propozycje. Filmy, książki, telewizja. Trzy firmy - CBS, Columbia i coś tam jeszcze - licytują się o prawa do scenariusza napisanego na podstawie tego, co mam do opowiedzenia. Boże błogosław Amerykę. Bo widzisz, jestem teraz sławna. Zawsze wiedziałam, że któregoś dnia będę sławna.

Sześć

Zakończyliśmy zdjęcia na początku grudnia. Film nakręcono zgodnie z harmonogramem, nie przekroczono budżetu i wszyscy byli w świetnych humorach, szczególnie Lila. Wprost promieniała. Może brała jakieś nowe zastrzyki witaminowe. A może tak działała na nią radosna pora roku. Wtedy nie domyślałam się powodu. Miałam właśnie lecieć do Anglii, ale ona oznajmiła, że powinnam z tym poczekać kilka dni.

- Nowy Jork jest taki przyjemny o tej porze roku. Sklepy i w ogóle, nie jesteś tym zachwycona?

Byłyśmy na pożegnalnym przyjęciu, które odbywało się w nowym nocnym klubie, w dzielnicy handlu mięsem. Urządzono go tak, że wyglądał na świątynię, w której oddaje się cześć silnikowi spalinowemu. W bar wbudowano fragmenty samochodów; jako miejsca do siedzenia służyły ustawione wzdłuż ścian porozcinane cadillaki, a cała ogromna główna sala zapchana była kabrioletami ustawionymi przodem do wielkiego ekranu filmowego. Na cześć Lili zamierzali pokazać jeden z jej starych obrazów, zwariowaną komedię zatytułowaną *Garść drobniazków*, o kłótniwej parze, która po napadzie na bank nie może dojść do porozumienia, jak wydać zdobyte pieniądze.

Nie zdążyłam jej nic odpowiedzieć, ponieważ nagle ją porwano. Zawsze ją tak uprowadzano, robiła to Irma, robił to jej agent, Roly lub odpowiedzialna za reklamę w ekipie Corrina. Przez sześć tygodni niemalże nie byłam w stanie dokończyć zdania; jeśli nie chciałam przemawiać do powietrza.

Ocierając się o jakąś wystającą atrapę chłodnicy, weszłam do baru. Grover, filmowy partner Lili, występował właśnie przed kamerą wideo

oraz tłumkiem uczestników przyjęcia. Wyśpiewywał o tym, jak to było wspaniale pracować nad *Nocnym starciem*. Nie ma chyba potrzeby dodawać, że lista nazwisk, jaką przy tej okazji wyszczebiotał, nie zawierała mojego. Miałam na sobie swoją brązową satynową sukienkę pierwszy i zapewne ostatni raz, nikt jednak nie poczynił najmniejszej uwagi na temat mojego przeobrażenia z kopciuszka, a na dodatek marzły mi ręce.

- Hej, zaśpiewaj nam coś!

Odwróciłam się zaskoczona, ale oczywiście to Lilę wyciągali już z tłumu.

- Nie potrafię! - zawołała, śmiejąc się i opierając.

- Nie daj się prosić, Lila!

Skuliła się w tej swojej niebieskiej sukience ze skóry. Dziwna sprawa z tymi aktorkami. Daj im do zagrania rolę, a zrobią wszystko przed wielotysięczną publicznością. Ale poproś, by wśród znajomych były sobą, a dosłownie rozsypią się z powodu skrępowania - są wtedy tak samo beznadziejne jak każdy inny. Nigdy nie słyszałam śpiewającej Lili. Grała kiedyś w mało ambitnym filmie biograficznym o jakiejś nieszczęsnej piosenkarce country, ale śpiew był zdubbingowany. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu pomocy. Nagle uświadomiłam sobie, że szuka mnie.

- Hej, Jules! - zawołała. - Rusz tyłek, nie zamierzam robić tego sama.

Ludzie się rozstąpili, a ja podeszłam do niej. Objęła mnie ramieniem i zasyczała mi do ucha:

- Co, do kurwy nędzy, im zaśpiewamy?

To śmieszne, ale jedyną piosenką, jaka mi przychodziła do głowy, była *Ja jestem żółtą szczoteczką do zębów, ty jesteś niebieską szczoteczką do zębów*. Stałyśmy tam obie jak sparaliżowane. Oślepiły nas samochodowe reflektory, tak jak się zdarza to zającom. Kręciło mi się w głowie. Po tylu miesiącach udawania, że jestem Lila, oto stałam tutaj jako jej partnerka.

- Uwaga - zawołał Chuck - i... akcja!

Stałyśmy wciąż oniemiałe. Słyszałam trzask plastikowych szklaneczek pod nogami kręcących się ludzi. Potem Bob, jeden z technicznych, zawołał do mnie:

- Hej, Jules, jak leci ta melodia, którą zawsze sobie nuczysz?

- Jaka melodia? - spytałam.

- *Ja i mój cień.*

Spojrzałam prosto w światła. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że ją nuceę.

- Naprawdę to robię?

- Robisz mnóstwo rzeczy, o których nie wiesz - odkrzyknął i się roześmiał. - Mieliśmy na ciebie oko.

Zarumieniłam się. Potem odwróciłam się do Lili i wzięłam ją pod rękę.

- Znasz tę piosenkę? - spytałam. - *Ja i mój cień* - zanuciłam - *spacerujemy aleją...*

Szłyśmy parkietem pod rękę, kręcąc nieistniejącymi laseczkami i uchylając wyimaginowane cylindry jak Jack Buchanan.

- *Ja i mój cień, samotni i smutni...* - Głos Lili wysoki i zadyszany; mój silniejszy. Mam całkiem niezły, czysty głos, a poza tym brałam lekcje, lata temu, kiedy starałam się o rolę w musicalu *A Little Night Music*. Przechadzałyśmy się w tę i z powrotem, biodro w biodro, poruszając się gładko w takt. -...*a kiedy czas iść spać, na schody się wspinamy, a że tam nie ma nikogo, to nigdy nie pukamy...*

Śpiew Lili był pełnym wahania echem mojego. Uśmiechnęłam się do reflektorów, odrzucając do tyłu włosy. Wreszcie ruch uliczny zatrzymał się dla mnie. W tej rozciętej do uda, błyszczącej sukni czułam się silna i pewna siebie. Dzisiaj wpatrywali się we mnie, tylko we mnie. Wśliznęłam się na jej miejsce. I kto teraz był cieniem?

Zakończyłyśmy z szerokim gestem, a oni obdarzyli nas oklaskami. Lila, dysząc ciężko, objęła mnie ramieniem.

- A niech to - roześmiała się. - To był drobiazg. - Spojrzała na mnie czule. - Wysłuchajcie tego, co powiem o Jules. Poważnie, chcę powiedzieć, jak bardzo doceniam fakt, że przyjechała tutaj, żeby pracować razem z nami nad tym filmem. Była kimś więcej niż dublerką do ustawiania oświetlenia, wniosła do *Starcia* coś szczególnego, odrobinę owych brytyjskich manier i stylu. - Ścisnęła moje ramię. - Dla mnie zrobiła jeszcze więcej, była prawdziwą pomocą. Wiele mnie nauczyła i mam

nadzieję, że to doświadczenie było dwustronne, to znaczy, że ona nauczyła się czegoś od nas. - Zacuknęła się.

Uśmiechnęłam się do wszystkich obecnych.

- Ujęłaby to lepiej - oznajmiłam - ale nie pomogłam jej w opanowaniu tekstu.

Wszyscy się roześmiali. Uświadomiłam sobie, że spływam potem. Kiedy poszłam po drinka, usłyszałam, jak ktoś mówi:

- Taa, ale ma lepsze nogi.

Kogo mieli na myśli. Lilę czy mnie? Którą z nas? Nigdy się tego nie dowiedziałam.

Było to niezłe przyjęcie. Obecność gwiazdy filmowej - nawet jeśli pracowało się z nią przez całe tygodnie - dodaje spotkaniu jednoznacznie erotycznego napięcia. Gwiazda tego nie zauważa, ale reszta owszem. Patrzyłam z sympatią na dobrze mi teraz znane twarze z zespołu - Vinny klapser, Bob sztukator, a może to był Don? Było już za późno, żeby to sprawdzać. Rodney, noszący jasne, bawełniane, zbyt młodzieżowe spodnie. Będzie mi ich brakowało.

Gawędziłam z dublerem Grovera, Josephem, młodym aktorem, którego ojciec był kiedyś kaskaderem. Znałam Josepha lepiej niż Grovera, jako że wystawaliśmy razem, przemarnięci i nieruchomi, w różnych punktach Nowego Jorku, rozmawiając o drobiazgach podczas trwających w nieskończoność przygotowań technicznych.

- Lila ma rację - powiedział. - Nie skleciłaby roli Mary-Lou bez twojej pomocy. Dopiero pod koniec ta postać zaczęła nabierać głębi. W ubiegłym tygodniu obejrzałam kilka z pierwszych sfilmowanych scen.

Promieniałam. Ciekawe; ludzie nic nie mówią, dopóki wszystko się nie skończy. Podobnie jak sąsiedzi, którzy zaczynają z człowiekiem rozmawiać dopiero wtedy, kiedy wystawi swój dom na sprzedaż. Plan filmowy przypomina halę fabryczną; ludzie, którzy tam pracują, są bardzo zajęci, a jednocześnie swobodni, na luzie. Wykonują swoją pracę, rzucają dowcipy, narzekają na gburowatych szefów, kanapki z bekonem i korki uliczne w drodze do pracy. Zerkają ciągle na zegarek; rozmawiają

o swojej diecie. W Ameryce nieustannie o tym rozmawiają. Jedyne, o czym nigdy nie rozmawiają, to film. Te rozmowy odbyły się dużo wcześniej, na poświęconych scenariuszowi konferencjach z autorem i na popijanych wodą mineralną lunchach z aktorami. Większość zespołu nawet tego scenariusza nie czytała, z wyjątkiem fragmentów, które ich dotyczyły.

A potem, jakiś czas przed końcem, wszyscy zaczynają rozmawiać o następnym przedsięwzięciu; jaki film, jaka gwiazda. Rozmawiają o tym z większym zainteresowaniem i bardziej szczegółowo niż o filmie, który zdarzyło im się właśnie kręcić. Kelly leciała do Europy, żeby pracować przy jakimś filmie Scorsese. Rodney zamierzał pracować przy telewizyjnym serialu, zatytułowanym *Menoporsche*, o przeżywającym kryzys wieku średniego maklerze z Wall Street. Asystent Rodneya zabrał się do jakiejś reklamy, a ja miałam na następny dzień zabukowany lot do Londynu.

W rzeczywistości nie paliłam się do powrotu. Trev wyjechał na kilka dni; powiedział, że zachorowała jego siostra, i chociaż ta braterska troska była bardzo dla niego nietypowa, musiałam mu uwierzyć. Nie miałam ochoty wracać do pustego mieszkania. Nie szykowała się też tam żadna praca. Zadzwoniłam do Maggie, ale nic dla mnie nie miała. Kiedy wchodziłam do sali, która miała robić wrażenie kina dla zmotoryzowanych, pomyślałam o słowach Lili. W odniesieniu do Nowego Jorku przymiotnik „przyjemny” był żałośnie nieadekwatny - wyobrażałam sobie pogardę mojego ojca - ale w jednym miała rację, cudownie byłoby zostać tutaj kilka dni dłużej.

Myślałam sobie o tym wszystkim od niechcienia, wchodząc do tej sali kinowej. Otworzyłam drzwi chevroleta i usiadłam na miejscu dla pasażera. Film się już zaczął i różni członkowie ekipy rozwalali się w autach, jęcząc, że nie mają się do kogo przytulić. W wejściu stała Irma, wpatrując się w ekran z twarzą zachwyconą i promieniejącą. Miała na sobie czarną sukienkę z białym, koronkowym kołnierzem, wyglądała jak zakonniczka; wpatrywała się w swoją umiłowaną Lile, jakby doświadczała jakiegoś religijnego przeżycia. Było to żałosne, ten sposób, w jaki wielbiła Lile. Wiedziałam, że nie ma do mnie zaufania, a ja niewątpliwie nie

ufałam jej. Nie odezwała się do mnie ani słowem przez cały ten czas, kiedy kręciliśmy film. Była zazdrosna, oto przyczyna.

Widziałam *Garść drobniaków* już kiedyś, w telewizji. Nie należał do tych bardziej udanych filmów Lili. Wtedy, pod tym charakterystycznym dla lat sześćdziesiątych uczesaniem, wydymała jeszcze nieustannie usta i wdzięczyła się głupawo. Była zaledwie gwiazdką.

Właśnie wtedy pojawiła się prawdziwa Lila i z Roly, swoim agentem, wsiadła do sąsiedniego kabrioletu.

Spoglądając na siebie na ekranie, rzuciła:

- Jasny gwint, popatrz na te włosy!

- Nie weźmiemy Orsona - powiedział Roly. - Bo dostanę ataku astmy. Dlaczego on zawsze chce siedzieć na moich kolanach? Ten cholerny pies ma chyba jakiś radar.

Lila oglądała film.

- Jej! Wyglądam jak Sandra Dee!

- Kochanie - powiedział Roly - zostaw go po prostu w Nowym Jorku. Pokojówka może się nim zaopiekować.

Lila siedziała tuż obok mnie, na miejscu kierowcy w swoim samochodzie. Przyglądałam się jej młodszej wersji, która, świeżutka w letniej sukience, biegła przez łąkę, a z jej torebki wyfruwały banknoty.

- To sobie przypominam! - oświadczyła Lila. - Miałam wtedy te skurcze menstruacyjne. Byłam wzdęta jak jakiś pieprzony balon.

Ziewnęłam. Żeby nie pomyślała, że zaabsorbował mnie jej stary film. W panujących ciemnościach uniosłam rękę i spojrzałam na zegarek. Jutrzejszej nocy będę spać we własnym łóżku i znów będę sobą.

Lila mówiła coś do Roly'ego. On jej odpowiadał; nie słyszałam co. A potem ona odwróciła się i chwyciła za krawędź drzwi mojego auta.

- Hej, Jules! - powiedziała. - Mam dla ciebie propozycję.

W pierwszej chwili nie dotarło do mnie, o co jej chodzi. Mówiła coś o locie do Los Angeles następnego dnia z Irmą i Roly. Czemu niby nie

miałabym zostać jeszcze tydzień w Nowym Jorku, porobić trochę zakupów, obejrzyć parę przedstawień? Mogłabym wyprowadzić się z hotelu i zamieszkać w jej apartamencie.

- Co takiego? - spytałam.

- Zatrzymasz się na tydzień u mnie. Wyświadczysz mi przysługę. Bo widzisz, nie mam pewności, że moja pokojówka będzie się dobrze opiekować Orsonem. A on nocami bywa taki samotny.

Siedziałam bez ruchu w samochodzie. Na ekranie celuloidowa Lila siedziała przy kuchennym stole i przeliczała górę banknotów.

- Ojej, ojej, ojej - sapła.

Odwróciłam się do Lili.

- Możesz to powtórzyć? - spytałam.

Siedem

Następnego dnia rano wyprowadziłam się z hotelu i taksówką pojechałam na Central Park West. Lila wyjechała już do Los Angeles. Był cudowny, słoneczny dzień; rześkie powietrze wypełniało mi płuca. Znałam jej apartamentowiec i nie potrzebowałam żadnych instrukcji, żeby do niego trafić. Wiele tygodni temu odkryłam jej adres; zerknęłam cichaczem do teczki faceta od castingu. Od tamtego czasu wiele moich nocnych spacerów, jakby za sprawą magnesu, prowadziło mnie w tym samym kierunku. Nie wspominałam o tych spacerach, prawda? Miałam zwyczaj zmieniać marszrutę. Przeglądałam plan miasta i wybierałam inne ulice, żeby dostarczać sobie dodatkowych bodźców i odwlec emocje związane z momentem dotarcia na miejsce. Czasami szłam Madison Avenue, obok sklepu Ralph Laurena, gdzie obie kiedyś zabawiałyśmy się oglądaniem swetrów. Potem przecinałam Central Park, pospiesznie, unikając kryjących się za drzewami cieni. Czasami szłam na ukos, Broadwayem, tą wypełnioną wszelakim śmieciem arterią, uczęszczaną przez żebraków i nastoletnich uciekinierów z domów rodzinnych, kręcących się pod szyldami obwieszczającymi „Ostry męski seks”.

Potem przecinałam Columbus Circle i szłam Central Park West, aż przed moimi oczyma wyłaniał się jej budynek. Czasami celowo odwlekałam moment spojrzenia w górę. Zatrzymywałam się i udawałam, że nie jestem zainteresowana. Przyglądałam się przejeżdżającym taksówkom, podskakującym na nawierzchni ulicy - w Nowym Jorku nawierzchnie są tak dziurawe, że pojazdy trzęsą się nieustannie. Potem unosiłam wzrok,

powoli, ku najwyższemu piętru wieżowca, gdzie mieścił się jej penthouse, żeby zobaczyć, czy palą się w nim światła. Był tam cały rząd okien - maleńkich, świecących prostokątów. Poznałam każdą możliwą kombinację oświetlonych i ciemnych okien, ową geometryczną lamigłówkę, do której klucz tkwił w jej nieznanym mi wieczorowych czynnościach. Raz zabrałam lornetkę. (W rzeczy samej, kradzioną; tego też nie powiedziałam. Ukradłam ją kiedyś w sklepie na Czterdziestej Siódmej Ulicy, wprost przed nosa sprzedawcy.) Przyniosłam zatem moją lornetkę i zobaczyłam pojawiającą się na balkonie maleńką postać. Widziałam te blond włosy. Moje serce łomotało, podobnie jak łomotało wtedy, dawno temu, kiedy przyglądałam się Dawn w tamtej winiarni.

Czasami szłam prosto pod jej wieżowiec, oddalony o kilka przecznic od Dakoty. Stał frontem do parku. Zatrzymywałam się pod markizą i zaglądałam do holu. Był ogromny, miał czerwone, gładkie ściany i mnóstwo luster. Były tam fotele i lampki, i wazy, w których tkwiły japońskie kompozycje z wymęczonych, wypolerowanych gałązek. Było biurko i dwóch portierów oraz napis „Zapowiadamy wszystkim gości”. Zaglądałam przez szybę do tego teatru, do którego nie miałam biletu.

Tego dnia jednak zostałam do niego wpuszczona. Jeden z portierów przekazał mi kopertę z kluczami. Drugi zaniósł moje torby do windy.

Podziękowałam mu chłodno.

- Dalej sobie poradzę, dziękuję.

Już stawałam się inną osobą, bogatą i zblazowaną. Wchodząc do windy, poczułam, jak rozpoczyna się moja metamorfoza; jak wtedy, kiedy włożyłam tę moją sukienkę z satyny. „Wyprzedaż zapasów” - głosiły widoczne wszędzie napisy. „Już wkrótce nowości sezonu”. W ciągu jednej nocy znikają stare budynki i w kilka tygodni wznosi się nowe; miasto wywołuje u mieszkańców amnezję, nikt nie pamięta, jak to wszystko wyglądało poprzednio. Na trzydziestym piętrze drzwi windy rozsunęły się bezgłośnie, a ja wyszłam z nich już jako nowa kobieta.

Drzwi apartamentu otworzyła Fidelia, pokojówka. Była mała i była Hiszpanką. Orson kłapał szczękami przy moich nogach; nie lubiliśmy się od pierwszego wejrzenia, i to uczucie wręcz przybrało na sile, gdy tam mieszkałam.

Weszłam do salonu. Był ogromny i zbytorny. Wszędzie stały białe kanapy z porzrzucanymi na nich poduszkami oraz stoliki ze szklanymi blatami wspartymi na mosiężnych nogach. Były też draperie w krzykliwe i śmiałe wzory, zebrane w fałdy dekoracyjnymi sznurami, i zdjęcia w srebrnych ramkach. Nie było to tak wulgarne, jak się spodziewałam; najwyraźniej musiała korzystać z pomocy dekoratora wnętrz.

Podeszłam do okien. Widok zapierał dech w piersiach. Pode mną wznosił się Manhattan, bryły budynków wyraziste i wyostrome słońcem i cieniem. Miasto leżało u moich stóp. Aż do tej chwili nie widziałam go w całości. Z centrum wyrastały drapacze chmur, wysokie i smukłe w otulinach z połyskującego szkła; niektóre przyciemnione, inne zwieńczone odbijającymi słońce iglicami. Gmach AT&T miał kolor wyblakłej wątróbki, szczyt wycięty, tworzący niszę niczym mebel w stylu chippendale. Po drugiej stronie parku przy Upper East Side stały piaskowe apartamentowce, z krzewami rosnącymi na szczytach i spatynowanymi dachami. Za nimi ciągnęły się całe połacie coraz bardziej zamglonych budynków. Z ich dachów łagodnie unosiły się opary. Przemieszczający się w dole mieszkańcy byli nieświadomi, że całe to miasto oddycha.

Odwróciłam się. Fidelia włożyła tymczasem płaszcz; była gotowa do wyjścia.

- Jak często tu przychodzisz? - spytałam.

- Jestem tutaj codziennie od godziny dziewiętej do południa - odpowiedziała.

- Może weźmiesz sobie wolne do końca tygodnia? - zaproponowałam.

Patrzyła na mnie zdumiona.

- Ale...

Uśmiechnęłam się do niej.

- Świetnie radzę sobie sama - oznajmiłam. - Poradzę sobie.

- Ale co panna Dune...?

- Nie przejmuj się - odpowiedziałam. - Zadzwoń i jej powiem.

I tak zaczął się ten najbardziej niezwykły tydzień mojego życia. Kiedy teraz spoglądam wstecz, nie potrafię sobie przypomnieć, co, oprócz

chodzenia z pokoju do pokoju, robiłam tamtego pierwszego czy drugiego dnia. Rzadko wychodziłam, najwyżej z psem i nieodzowną szufelką do Central Parku. Spałam w łóżku Lili, w pachnącej jej perfumami, satynowej pościeli. Sypialnia była urządzona w stylu prowansalskim, cała w marszczonych draperiach i kwiecistych poduszczykach. Garderoba miała wielkość mojej londyńskiej sypialni; cała była wypełniona strojami do joggingu oraz mieniającymi się sukniami wieczorowymi. W łazience, wyłożonej różowym marmurem były złote krany i wpuszczone w podłogę jacuzzi. Naturalnie zbadalam wszystko. Otworzyłam szafkę w łazience i przejrzałam znajdujące się tam w dużych ilościach medykamenty - była jeszcze większą hipochondryczką, niż przypuszczałam. Powąchałam jej żel do kąpieli i wtarłam balsam nawilżający w łydki. Wyciągnęłam szuflady w sypialni, podczas gdy Orson biegał wokół i zabawiał się, delikatnie podgryzając mi pięty. Pokojówka starała się utrzymać porządek, ale Lila była flejtuchowata. Domyślałam się zresztą tego. W szufladzie toaletki znalazłam zapchaną włosami szczotkę oraz pylisty osad z wyciśniętych do połowy tubek z podkładem. Inna była istną kostnicą zużytych plastikowych maszynek do golenia. Ze wstrętem, a jednocześnie zafascynowana, przeglądałam ten śmietnik.

Miała ogromne ilości bielizny; jedwab, koronki, a nawet zwykła, elastyczna bawełna. Weszłam do garderoby i macałam rzędy sukienek; gładziłam sobolowe futro. Ze ścian spoglądała na mnie jej twarz; niemal wszystkie fotografie w sypialni ukazywały ją na różnych etapach kariery; istna kapliczka jej narcyzmu. Były tam oprawione w ramki fotosy reklamowe - Lila z Walterem Matthau, Lila z Johnnym Carsonem. Było też zdjęcie przy basenie, na którym towarzyszył jej jakiś nieznaną, muskularny mężczyzna, być może któryś z jej mężów. I była niewyraźna fotografia Lili jako małej dziewczynki stojącej przed domem na kołach. Przypominała mnie, kiedy byłam w tym wieku; naprawdę przypominała.

Przejrzałam pobieżnie jej korespondencję, odkładając dokładniejsze przestudiowanie na później. Było kilka półek z książkami, głównie z rodzaju tych, jakie ludzie zostawiają w hotelach: Danielle Steele, Judith

Krantz, *Kobiety, które zawsze mówią „Nie”*, a może były to *Kobiety, które zawsze mówią „Tak”*, nie pamiętam. *Podręcznik ćwiczeń gimnastycznych Victorii Principal*. Oprawny w skórę komplet „Wielcy pisarze literatury rosyjskiej”, zadedykowany „Z wyrazami miłości i szacunku od Craiga”, najwyraźniej nigdy nieotwierany.

Była też druga sypialnia, urządzona na niebiesko. W kącie stał rower do ćwiczeń, najwyraźniej nigdy nieużywany. I jeszcze jedna marmurowa łazienka. Ogromna kuchnia w stylu rustykalnym, z wypolerowanymi drewnianymi blatami; te również wyglądały na nieużywane. Zamrażarka była zapchana lodami Håagen-Dazs, a lodówka pełna witaminowych tabletek, migdałów i czopków. Na samym dole leżała zapomniana sałata w plastikowej folii, zgniła i przeobrażona w szerniałą maź. Wyrzuciłam ją do śmieci. Stała tam szafka ze szklanym frontem, pełna fabrycznie nowych urządzeń elektrycznych: jakaś maszyna do robienia lemoniady, jakaś gofrownica. Podobnie jak wielu nowojorczyków, nigdy oczywiście nie splamiła sobie rąk gotowaniem.

Zawinięta w jej płaszcz kąpielowy siedziałam przy śniadaniu, podczas gdy telewizor paplał, urządzenie do robienia lodu regularnie burczało we wnętrzościach lodówki i wydalało kostki lodu. Na kilka godzin Lila wślizgnęła się w moje życie, teraz ja wślizgnęłam się w jej. Przez tydzień mogłam żyć zbyt kownym życiem gwiazdy filmowej. IMAGINE, głosił napis na tamtej płycie. Wyobraź sobie, że jesteś Lila. Połknęłam kilka jej tabletek z witaminą C i zrobiłam sobie herbatę z czerwono krzewu. Obwąchałam paczuski do przygotowania zwiariowanych naparów. Śmieci, którymi się opychała, ukryte były wstydl iwie niczym pornografia. W szafce pod blatem znalazłam zapas M&M'sów, snickersów, żelowych pianek i biszkoptowo-kakaowych ciasteczek.

Wieczorami, kiedy się ściemniało, robiłam sobie drinka i otulałam się futrem z soboli. Siadałam na balkonie, obok rdzewiejącego grilla, i chłonełam ten baśniowy widok. Niemożliwe, żeby Lila była w stanie docenić go tak, jak ja go doceniałam. Gmach Citicorp emanował lodowatym, białym światłem; drapacze chmur mrugały ze szczytów czerwonymi

światelkami, zupełnie jakby przesyłały tajne informacje. Wieżyczki oraz fasady były oświetlone niczym tło w jakimś gigantycznym operowym spektaklu. Neon na budynku Hitachi obwieszczał: POGODA NA DZISIAJ: ZIMNO. Słyszałam terkot helikopterów i dochodzący z dołu stłumiony, cichy dźwięk klaksonów. Kierowałam lornetkę na okna penthouse'ów moich bogatych, podniebnych sąsiadów, obserwowałam ich, jak przemieszczają się po pokojach, jak włączają telewizory. Byli nieświadomi mojego istnienia, ja natomiast widziałam ich twarze, kiedy ze sobą rozmawiali.

Przez kilka pierwszych dni czułam się dziwnie, jak zawieszona w próżni. Przypominało to ów okres pomiędzy przeczytaniem scenariusza a rozpoczęciem prób. Byłam pusta i przygotowana na wypełnienie treści swojej roli. Czułam się oderwana absolutnie od wszystkiego. Pamiętam, że pewnego dnia wywlokłam psa na balkon i pokazywałam mu taksówki na ulicy. Pomykały jak żuki.

- Twój imiennik w *Trzecim człowieku*, wiesz, co powiedział? - Podniosłam go za luźną skórę na karku i skierowałam jego łeb w dół. - Spytał, czy odczuwałbyś żal, gdyby jedna z tych kropek na zawsze już się zatrzymała? - Orson zaskomlał. - Nigdy nie słyszałeś o *Trzecim człowieku*, prawda? Ciekawe, czy twoja pani słyszała.

I każdej nocy kładłam się do łóżka Lili i dotykałam się w jej pościeli.

Po kilku dniach pomyślałam, że Trev powinien już być w Londynie. Leżąc w pianie z Eau de Jonquil, zadzwoniłam do niego, ale odpowiedziała mi jedynie automatyczna sekretarka. Rozmyślnie przymglonym głosem przekazałam, co miałam do powiedzenia.

- Właśnie biorę jacuzzi, skarbie, w wartym milion dolarów penthouse, tutaj, z widokiem na Central Park. Namydłam się cała, tak powolutku, chciałabym, żebyś w tym do mnie dołączył. Skarbie, jestem na trzydziestym piętrze i mam dwie sypialnie z przyległymi łazienkami i salon wielkości sali balowej. To takie w y k w i n t n e !

Kiedy odłożyłam słuchawkę, pomyślałam: Dlaczego miałby mi uwierzyć? W końcu zawsze mu przez telefon kłamałam, wymyślałam jakieś fantastyczne historyjki. To była jedna z tych naszych gier.

Zaskoczył mnie dźwięk własnego głosu. Pod nieobecność pokojówki jedyną żywą istotą, do której się odzywałam, był gburowaty i niereagujący na nic Orson, przez większą część dnia wylegujący się, niczym biała kula puchu, na łożu swojej pani. Jedynym sposobem, żeby go stamtąd ściągnąć, było nakarmienie go M&M'sami; uwielbiał te żółte. Pochłaniał je, śliniąc się i spoglądając na mnie groźnie spod krzaczastych brwi.

Po kąpeli wytarłam się i usiadłam przed toaletką Lili. Był to obstawiony buteleczkami, okazały ołtarz. Lustro otaczały teatralne lampki. Zaczęłam robić sobie makijaż, nakładać róż Lili i grubą linią obrysować usta. Za mną paplał telewizor; był to dwudziestoczworogodzinny talk show w telewizji kablowej i jakiś nastolatek wygłaszał homilię na temat nadużywania przez siebie kokainy. „Znaczy się, ona uczyniła ze mnie inną osobę”, mówił jednostajnie. „Czułem, znaczy się, że jestem zdolny do wszystkiego”.

Spięłam włosy z tyłu i wzięłam do ręki jej perukę. Miała długie blond włosy, takie same jak jej własne. Powiedziała mi kiedyś, że nosi ją czasami, kiedy jej włosy nie są w najlepszym stanie. Włożyłam ją. Pokręciłam głową z boku na bok, przyglądając się, jak te blond włosy ocierają się o mój policzek. „Czułem, że jestem tymi dwoma osobami”, mówił telewizor.

Przeniknął mnie dreszcz teatralnej tremy. Siedziałam w swojej garderobie; nareszcie wezwali mnie na scenę. Moja publiczność czeka w ciszy i mroku.

Poszłam do szafy i wybrałam sobie jedną z najbardziej przepysznych sukni Lili - czerwoną, naszywaną cekinami, zaprojektowaną przez Billa Blassa. Powoli wydobyłam ją z worka pralni chemicznej. Włożyłam na siebie i zaciągnęłam zamek błyskawiczny; opinała mnie jak druga skóra. Już wcześniej włożyłam jej bieliznę i pończochy; zapomniałam o tym powiedzieć. Dla aktorki stosowna bielizna jest rzeczą bardzo istotną; pozwala poruszać się inaczej, pozwala stać się jednością z graną postacią.

Buty również pomagają. Jak powiedziała Bette Davis: „Myślenie zaczynam od stóp”.

Kręcąc biodrami, przemierzałam apartament. Rozwichrzyłam włosy i zatrzymałam się przed którymś z niezliczonych luster.

Wstrzymałam oddech. Tam, przede mną, stała Lila. Pełne, wydęte wargi; czarne jak sadza oczy. Obserwowałam się, kiedy tamta okręcała wokół palca pasemko włosów; zakłopotana Lila często tak robiła.

- Jasna cholera, czy to przyszcz? - spytała, wykrzywiając twarz do swojego odbicia w lustrze. Zmarszczyła nos. - Czy związki z mężczyznami są dla mnie problemem z powodu fiksacji na punkcie ojca? Dlaczego zawsze muszę się zadawać z dupkami, którzy obniżają moje poczucie własnej godności? To takie diabelnie samoniszące. - W inkrustowanej szkatułce leżała paczka salemów. Wyjęła jednego z paczki i zapaliła go srebrną stołową zapalniczką, z wygrawerowaną czułą dedykacją od Mike'a Ovitza. Wydmuchnęła przez nas mentolowy dym. - Czuję się trochę niepewnie. Mam otworzyć butelkę bourbona czy zadzwonić do swojego psychoanalityka? - Lila westchnęła. - Taka Jules, ta ma gust. Jest naprawdę kulturalna. To znaczy, ja kupuję książki na kilogramy, a ona te cholerstwa czyta. Tego, co ona ma, nie da się kupić. Mówię o klasie, o inteligencji. Czasami jestem tak cholernie zazdrosna, że mogłabym ją udusić. Chyba jednak powinnam zadzwonić do swojego psychoanalityka.

Nagle odezwał się telefon. Aż podskoczyłam.

To była Lila.

- Jak się masz, kochana? - spytała ledwie słyszalnym przez trzaski głosem. - Jak ci się podoba mieszkanie? Wszystko w porządku?

W poczuciu winy ściągnęłam perukę.

- Jest cudowne - odpowiedziałam. - Po prostu piękne. - Wierzchem dłoni starłam szminkę - Bóg wie czemu, przecież to tylko szminka. - Bardzo mi tu dobrze.

Wydawało się, że jest w świetnym nastroju. Wilgotność sięgała dziewięćdziesięciu procent, ona miała wysypkę, za to owo przedsięwzięcie, nad którym pracowali, ten nowy film był naprawdę ekscytujący, i ktoś

chciał, żeby ona zareklamowała nową markę sosu do spaghetti.

- Posłuchaj, mała - powiedziała do mnie. - Możesz wyświadczyć mi przysługę? Jutro są urodziny mojej mamy, a ja nic w związku z tym nie zrobiłam. W biurku jest numer tej kwiaciarni na Columbus, mogłabyś mi go podać, a ja bym posłała jej przez nich kwiaty?

Siedziałam na łóżku, przyglądając się aparatowi telefonicznemu - mosiadz w połączeniu z bielą - drobiazgowo wykonana kopia starego egzemplarza, z rodzaju tych, w jakich gustują mieszkańcy londyńskiej dzielnicy Totteridge. Milczałam przez chwilę, a potem oświadczyłam:

- Przecież sama mogę je zanieść. Przynajmniej osobiście przekażę jej uściski od ciebie.

Pewnie była to zwykła ciekawość. Krótki wypad. Ruszę się z Nowego Jorku i odwiedzę New Jersey. Zobaczę, skąd Lila pochodzi. Chyba nie było w tym nic dziwnego, prawda?

Kupiłam kwiaty, na rachunek Lili, i wynajęłam samochód ze znajdującego się w pobliżu Lincoln Center punktu Hertz. Podśpiewując radośnie, włączyłam się w ruch uliczny, przecięłam Amsterdam Avenue i skierowałam się ku West Side Highway. Zawsze uwielbiałam prowadzić samochód. Ta angielska Jules pałętała się w renault i prowadziła kampanię na rzecz zmniejszenia emisji spalin. Jednocześnie istniała inna Jules, która tylko czekała na uwolnienie. Ameryka uwolniła mnie, tak jak Trev uwalniał mnie przez te wszystkie miesiące wcześniej, pozwalając mi otwierać się w ciemnościach. Wszyscy mamy swoje drugie ja, te głosy wewnętrzne, które mają śmiałość wypowiedzieć niewypowiadalne, które wykrzykują przekleństwa w kościele. Mamy własnych kaskaderów, którzy odważnie odgrywają za nas nasze fantazje, nie zważając na niebezpieczeństwo; którzy kradną w sklepach i pieprzą się z obcymi w hotelowych pokojach. Znałam kiedyś pewną kobietę, która odbierała przesłania z Neptuna za pośrednictwem plomb w zębach. Skończyła na oddziale zamkniętym w Maudsley, biedny babsztyl. Czy ona tego nie rozumiała? Nasze głosy nie pochodzą z przestrzeni kosmicznej, są czymś o

wiele bardziej interesującym. Pochodzą z filmu wyświetlanego w naszych głowach, przebiegającego równoległe z naszym nieefektywnym życiem; możemy go puścić w każdej chwili i stać się tak męscy jak Mei Gibson albo tak ponętni jak Lila Dune. Tkwią w nas i czekają na ożywienie. Wewnątrz mnie znajdowała się pewna Lila Dune; poznałam ją dobrze w ciągu ubiegłych miesięcy. Była ode mnie bardziej pospolita i ładniejsza; była bardziej wulgarna i seksowniejsza. Była tuż pod powierzchnią, podobnie jak ten bałagan w szufladce toaletki. Była też prostsza; bardziej wielkoduszna i impulsywna. A teraz zamierzałam złożyć wizytę jej matce.

Przejechałam Holland Tunnel i przymrużyłam oczy, znalazłszy się na autostradzie do New Jersey.

- ...*oto wiadomości. Sponsorowane przez Pierwszy Fundusz Inwestycyjny... odrzucono apelację w sprawie użycia broni... zakładnik w Libanie...*

Opuściłam szybę w oknie; pod wpływem wiatru włosy chłostały mój policzek. Nacisnęłam mocniej pedał gazu, przemknęłam obok znaku zjazdu z autostrady międzystanowej, obok położonego za miastem ogromnego centrum handlowego, istnej wyspy otoczonej morzem zaparkowanych aut. Czuałam się wspaniale, kiedy tak wjeżdżałam w serce Ameryki, w przeszłość Lili. Czuałam się jak detektyw.

- ...*przyjdź odwiedzić naszą Przygodę z Oszczędnościami!* - namawiało radio.

Pierwszy raz od tygodni pomyślałam o mojej matce. Od przyjazdu do Stanów zadzwoniłam do niej raz, ale tak naprawdę już dawno temu straciłyśmy ze sobą kontakt. Jak sygnał lokalnego radia stawała się ona coraz to słabsza i słabsza, aż wreszcie znalazłam się całkowicie poza jej zasięgiem. Nigdy nie łączyło nas wiele, a od śmierci ojca jeszcze mniej. Kiedy ktoś umiera albo odchodzi, jego partner na powrót ujawnia swój prawdziwy charakter, zupełnie jakby przez całe lata powstrzymywał się przed tym. Ona stała się jeszcze bardziej małostkowa, jeśli to było w ogóle możliwe; marudziła nieustannie o tym, jak to musi odnieść książki do biblioteki i gdzie zostawiła Baby Bio, ten nawóz do roślin doniczkowych.

Zadziwiająco, o ilu problemach potrafi rozprawiać naprawdę nudna osoba. Wydawałoby się, że w którymś momencie musi ich zabraknąć. Jej paplanina była niczym niezmacona i równie męcząca jak głos spikera w moim radiu, w tej pętli powracającej bez wytchnienia do Pierwszego Funduszu, pogody i niezmiennie wstrząsających wiadomości. Moja matka nie rozumiała nic z moich marzeń i aspiracji, a jeśli same jakiegokolwiek posiadała, nie byłam ich w stanie wychwycić w tym niestannym szumie jej głośzenia.

Przejechałam już dwadzieścia mil. Mijałam parkingi przeznaczone dla przyczep mieszkalnych oraz przydrożne bary, stacje benzynowe, raz mignął mi zakotwiczony pośrodku jakiegoś parkingu „Nocny bar Szalonego Vina”. Nie było tam natomiast żadnych wiosek, żadnych miasteczek, niczego, co można by nazwać domem. Skąd się brali Amerykanie? Im więcej czasu mijało, tym silniejsze miałam wrażenie, iż posuwam się po prostu pomiędzy dwoma rzędami dekoracji w studiu filmowym, jakby fasady magazynów meblowych i domów z desek stały podparte przy drodze, za nimi zaś nie było nic. Od tamtego czasu odkryłam, że większa część Stanów tak właśnie wygląda, wtedy jednak czułam się zdezorientowana, oderwana od rzeczywistości. Kim była Lila? Czy narodziła się z pustki, wyłoniła niczym dzinn z butelki? Czy była po prostu zbiorem filmów, peruk i strojów?

- ...tak leciutko gazowane, że możesz nim wstrząsać bez obawy...

Lila udzieliła mi wskazówek. Skręciłam zatem na zjazd przy Ortho Pharmaceuticals, długim budynku fabrycznym otoczonym falistymi trawnikami. To producenci mojej diafragmy, uzmysłowiłam sobie, mijając krzewy przycupnięte pomiędzy malowniczo ukształtowanymi krzywiznami pagórków...

-...chcesz mieć pontiaca? Gdziekolwiek jesteś, zajrzyj do złotych stron Nynexu...

Pomyślałam o własnej przeszłości, o moich nienarodzonych możliwościach. Dzieciach, których nie miałam, rolach, których nie zagrałam. Wyłączyłam radio. Przeszłość Lili była zbiorem wywiadów oraz wycinków prasowych, które znalazłam upchane w szafce z papierami w jej

apartamencie. Historie dotyczące wczesnych lat jej życia były nieco niejasne. Wedle „MS” wychowała się w Plainfield w stanie Nowy Jork. Wedle „Star Secrets” było to Plainville w stanie Connecticut. Prawdziwe, polskie nazwisko jej ojca było przekręcane w najrozmaitszy sposób, od Dunnacovicva do Dunacovika. Jeden wycinek przypisywał jej młodszego brata, inny zaś czterech mężów zamiast dwóch. Większość była zgodna, że przyszła na świat pośród wiejskiej nędzy. Iście steinbeckowski scenariusz o biednych białych, w którym występuje i mieszkalna przyczepa, i zaharowana matka, i ojciec kierowca ciężarówki, stale nieobecny. Wedle magazynu „People”: „Lila Dune, ognista syrena takich przebojów kinowych jak *Berek*, *Nagi żar*, a przedtem Jade w wieloodcinkowym wyciskaczu łez CBS-u *Beverly Boulevard*, wyrastała pod urokiem swojego ojca, charyzmatycznego właściciela firmy spedycyjnej, który najpierw ubóstwiał córkę, a potem ją porzucił. Wedle późniejszego wycinka z „Detroit Examiner”, „Atrakcyjna nastolatka, Lila Dune, pracowała w miejscowym hotelu Howarda Johnsona, żeby utrzymać matkę, a wieczorami chodziła na lekcje tańca”. „National Enquirer” utrzymywał natomiast, że była sprzedawczynią w J.C. Penneys, a w wolne dni, wykorzystując swoją urodę, skąpo odziana pozowała do zdjęć. Ponadto podawał: „Pączkująca piękność, Lila Dune, zaatakowana przez mordercze pitbulterierki w wieku szesnastu lat, zostałyby oszpecone na całe życie, gdyby nie odwaga jej sąsiada, dzielnego emeryta Karla Sudenberga”. Informacja ta znajdowała się w towarzystwie historii o duchu bez głowy, zauważonym w policyjnym wozie patrolowym oraz innej, o kobiecie z trzema piersiami, nie mogłabym więc dać głowy za jej autentyczność. W wycinku prasowym sprzed osiemnastu lat znalazłam aluzje do całej masy przykrych rodzinnych tajemnic z jej przeszłości. „Mąż wschodzącej gwiazdki, Lili «Beverly Boulevard» Dune, Vince, który wniósł o rozwód, domaga się niemałych alimentów, w przeciwnym bowiem razie otwarcie grozi ujawnieniem rewelacji na temat jej gorących romansów, pobytów w «wariatkowie» oraz tajemnic jej skandalicznego trybu życia, jaki wiodła, kiedy była nastolatką”. Ten pierwszy mąż, Vince, przedstawiany był bardzo różnie, jako ten, który nie był w stanie ukończyć szkoły średniej, jako

miejscowy bohater, drobny przestępca oraz kierowca wyścigowy. Może był po prostu tym wszystkim.

Bez wątpienia zamieszanie to wynikało z lekkiego podejścia dziennikarza do prawdy, które mógł przebić jedynie niepewny stosunek do rzeczywistości samej Lili. W każdym razie tyle razy odkrywano ją od nowa. Jakby ucząc się tekstu, Lila potrafiła odczytywać na nowo własne mity i wierzyć w taką przeszłość, jaką jej przypisano. Nawet ja wymyśliłam dla niej pewną przeszłość, w Chez Hortense, i spójrz tylko, jak ta nasza fan-ka to podjęła, włącznie z pozbawionymi głów lalkami i tak dalej. Mogłam też skonstruować przeszłość dla siebie samej, wraz ze scenicznymi triumfami i burzliwymi romansami ze sławnymi aktorami. Bo czymże w końcu jest przeszłość, jak nie naszymi zmieniającymi się życzeniami i interpretacjami? Jest serią konturów czekających na wypełnienie kolorami, za pomocą takich kredek, jakie mamy do dyspozycji. Nie musimy nawet wymyślać nowych zdarzeń; możemy przebierać i wybierać - tutaj nieco cienia, tam światła, kilka rozsądnych wymazań.

Pewne fakty znałam od samej Lili. Była jedynaczką i wychowała się w domu na kołach. Jej ojciec był kierowcą ciężarówki jeżdżącym na długich trasach. Pił dużo, a kiedy wracał do domu, bił każdego, kto mu się nawinął pod rękę. Jakże był inny od mojego ojca, mistrza samokontroli i lodowatej pogardy! Problemy alkoholowe oraz chwiejność charakteru Lila bez wątpienia odziedziczyła po ojcu. Ostatecznie wdał się w jakąś burdę i porzucił dom na dobre. Podobnie jak ja, Lila dorastała, usiłując go odzyskać, próbując zwrócić na siebie jego uwagę. Ona robiła to z ekranu. W wieku lat osiemnastu jednak nazbyt pośpiesznie i zupełnie niestosownie wyszła za mąż za Vince'a, miejscowego chłopaka, startującego w wyścigach samochodowych. Jej drugi mąż był mężczyzną starszym, prawdopodobnie kimś w rodzaju namiastki ojca. Był założycielem nocnych klubów i obecnie miał na Zachodnim Wybrzeżu całą ich sieć. To małżeństwo także skończyło się smutno. Jeśli chodzi o długotrwałe związki, osiągnięcia Lili były równie godne pożałowania jak moje.

Jechałam przez podmiejskie tereny usiane stacjami benzynowymi,

rdzewiejącymi ciężarówkami i identycznie wyglądającymi domami. Serce zaczęło mi bić szybciej. Tamtego słonecznego ranka, zanim wszystko uległo zmianie, kierowała mną po prostu zwykła ciekawość. Jaka jest matka Lili? Co mi powie? Czułam się też wielkoduszna. Bo przecieżjechałam trzydzieści mil, żeby złożyć urodzinowe życzenia oraz wręczyć bukiet lilii czyjejś matce. Byłam namiastką córki.

Ni stąd, ni zowąd zaczęłam chichotać. Oto, kim byłam: dublerką Lili! Nie tylko na planie, ale i w rodzinie. A jednak łatwiej być dublerką córki niż prawdziwą córką, prawda?

I byłam nią. Uważam, że oczarowałam panią Dunnacovicia od pierwszej chwili. Dałam jej całe naręczce lilii. Grałam kochającą i nadskakującą córkę - czyli kogoś, kim nigdy w życiu nie udało mi się być. Naprawdę tak polubiłam tę rolę, że czułam, jak ją całą sobą wypełniam. Poza tym miło było znowu z kimś porozmawiać, po tych milczących dniach w apartamencie Lili, gdzie usta otwierałam jedynie do luster.

Matka miała na imię Margosia. Poprosiła, żebym tak się do niej zwracała. Była niewysoka i pulchna, i zaskakująco młodzieńcza jak na kogoś, kto właśnie ukończył sześćdziesiąt jeden lat. Widziałam ślady rysów Lili - perkaty nossek, szeroko rozstawione oczy - w jej łagodnej twarzy. Mieszkała w nowiutkim, krytym cedrowym gontem domu, z ozdobą w kształcie flaminga od frontu oraz ciągnącymi się wzdłuż ścieżki pomalowanymi na biało oponami, wypełnionymi zwiędłymi letnimi kwiatami. Na ganku kołysały się wiszące koszyczki.

- Lila kazała to dla mnie wybudować - powiedziała, wskazując wokół.
- Czy to nie piękne?

Przyczepa mieszkalna dawno już zniknęła, nie mogłam więc obejrzeć dawnej sypialni Lili ani też wyobrazić sobie jej zataczającego się ojca, pijanego jak bela i objającego się o aluminiowe ściany. Jej dzieciństwo rozwiało się.

Stałam w salonie. Na ekranie gigantycznego telewizora rozgrywał się bezgłośnie jakiś teleturniej, liczby przepływały jak pod wodą. Była tam pomarańczowa kanapa i dywan z płomiennym wzorem. Przy ścianie stał

obrzydliwy fornirowany kredens pełen kolorowego szkła, z isticie barokową wystawą przeróżnych ozdóbek na samej górze. Zgodnie z jakimś niejasnym, wschodnioeuropejskim stylem, na oparciach foteli leżały koronkowe serwetki, przy ścianie zaś na małym cokole stała gipsowa figurka Matki Boskiej. Uświadomiłam sobie, że Lila jest katoliczką, chociaż niepraktykującą. Pomyślałam o kostycznym ateizmie własnego ojca i o tym, jak to będąc dziewczynką, w tęsknocie za jakąkolwiek wiarą, zapalałam laseczki kadzidła. Jakże żarliwie się modliłam, choć nie było nikogo, kto by moich modłów słuchał!

Weszła Margosia i zaczęła wkładać kwiaty do jakiegoś odpustowego wazonu.

- Nie zmieszczę wszystkich - oznajmiła. - Ojej, jakie piękne te lilie! Skąd wiedziałaś, że to moje ulubione kwiaty?

Uśmiechnęłam się.

- Po prostu wiedziałam.

Spojrzałam na pomalowaną gipsową figurkę. O co ja się wtedy modliłam - o sławę? Urodę? Miłość? Oscara na gzymsie kominka zamiast Matki Boskiej?

Wróciła z następną wiązką lili, wciśniętą w inny wazon. Ich woń wypełniła cały pokój.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziałam ponownie i pocałowałam ją. Skórę miała tak miękką, że moje wargi zapadły się w jej policzek. Pachniała pudrem.

- Ona nie ma już czasu dla swojej starej mamy - westchnęła, stawiając wazon na stole. - Widuję ją jedynie w telewizorze. Ale i tak jestem dumna ze swojej dziewczynki. Zawsze wiedziałam, że jest kimś wyjątkowym.

Wszystkie matki to mówią. Dla nich jest to oczywiste. Ale co z resztą świata?

Problem ze sławą tkwi w tym, że narusza ona równowagę wszystkich pozostałych. To tak, jakby ktoś wybrał się na egzotyczne wakacje. Kiedy wraca do domu, opalony i pełen przeżyć, nasze życie, tych pozostałych, staje się mniej znaczące. Doskonale znośne przed chwilą, nagle przestaje być interesujące. To właśnie czyni sława. Lila pozbawiła mnie wszelkiego koloru. A przecież na początku wszystkie byłyśmy kimś wyjątkowym. Takie byłyśmy, dla własnych rodziców. Każda dziewczynka jest potencjalną

gwiazdą filmową. Mój ojciec spodziewał się po mnie rzeczy wielkich. I co się stało? Jaki był mój najsłynniejszy występ? Ten w filmiku linii British Caledonian poświęconym bezpieczeństwu lotu, w którym gaszę papierosa.

Z kuchni dochodził mnie głos Margosi, która szczebiotała nieustannie. Ta prosta kobieta była zachwycona, że ma towarzystwo. Powiedziała, że wyszła powtórnie za mąż za dobrego, sympatycznego człowieka, ale że on już umarł. Opowiadała o jakimś zrobionym dla telewizji filmie, w którym Lila grała główną rolę - bardzo ważnej prawniczki; spytała, czy Lila rzuciła już palenie. Powiedziała, że coś jest nie tak z piecem w piwnicy, i zapytała, czy lubię kawę bezkofeinową. Stałam w holu, próbując chwycić wszystko, co mówi, i połączyć ją jakoś z Lilą. Chciałam zadać jej dziesiątki pytań, ale właśnie wtedy wyszła z kuchni i stanęła jak wryta.

- Ojej! - wykrztusiła.

- Co się stało?

- Przez chwilę myślałam, że to ona tu stoi! - Popatrzyła na mnie znad tacy z kawą. - Ktoś ci już mówił o tym podobieństwie?

- Dlatego właśnie dostałam tę pracę - odparłam, uśmiechając się.

Opowiedziałam jej, jakie było moje zadanie.

- Wiesz co? - odezwała się. - Przyglądałam się raz Lili w czasie kręcenia filmu, ale nigdy nie widziałam żadnych dublerek.

- Nikt ich nie zauważa.

Zjadłam ciasteczko, a ona pokazała mi zdjęcia w ramkach stojące na kredensie. Na jednym Lila szła w grupie dziewcząt doboszów; wyglądała świeżo i zdrowo, miała białe zęby i zgrabne nogi, taka prawdziwie amerykańska dziewczyna. Na innym była w sukni z balu maturalnego, wystrojona blondyneczka. Nie wyglądała na kogoś wyjątkowego - ot, ładniutki, małomiasteczkowe dziewczę. Taka jak miliony dziewczyn. Przyglądałam się zachłannie tym fotkom. Ostatnie ukazywało Lilę jako niemowlę, na rękach jakiegoś przystojnego mężczyzny o cygańskiej urodzie, w roboczej, kraciastej koszuli.

- Czy nie była rozkosznym dzieciątkiem? - rozmarzyła się jej matka.
- Owszem - przyznałam.
- Prawdziwa mała trzpiotka - powiedziała.
- Naprawdę? To tak jak ja.

Wytarła ramkę brzegiem podomki, spod której wystawały spodnie, i odstawiła zdjęcie. Usiadłyśmy przy kawie, podczas gdy zamazani współzawodnicy robili miny na ekranie telewizora.

- Byliście szczęśliwą rodziną? - spytałam.
- Była ojca oczkiem w głowie.
- Nadal go widuje?

Pokręciła przecząco głową.

- On nie wrócił. Nawet nas nie odwiedził. Z wyjątkiem tego jednego razu... - Zamilkła.

- Jakiego razu?

Bawiła się torebkami z cukrem.

- To nic takiego - wymamrotała. - Wiesz co? Przychodzą tutaj ci z gazet, z telewizji, zadają mi te wszystkie pytania. Są tacy diabelnie wścibscy. Czy ona nie ma prawa do swoich tajemnic? Nie może popełniać błędów? Nie może żyć jak normalna osoba? - Zamilkła i podniosła na mnie wzrok. - Nie mam na myśli ciebie, kochana. Chodzi mi o tych innych. Napisali tyle kłamstw, że nie rozpoznaję w tym własnej córki!

Pogrążyłyśmy się w kłopotliwym milczeniu. Kiedy wachała te lilie, ubrudziła sobie nos pyłkiem kwiatowym. Nachyliłam się i starłam jej tę pomarańczową smugę.

Uśmiechnęła się.

- Ty jesteś inna - powiedziała. - Czuję, że mogę ci zaufać. Jakbyś należała do rodziny.

Uśmiechnęłam się.

- Naprawdę?

Czy włożylibyście ubranie Lili? Zrobilibyście to, gdybyście byli wystarczająco szczupli? Ja byłam; byłam nawet szczuplejsza od Lili, bo nie objadałam się snickersami. Pokochałam jej apartament, z tymi fantastycznymi widokami z okien, i harcowałam po nim obleczona w jej

obcisłe, błyszczące, wieczorowe suknie. Przypominały mi tę moją suknię z satyny, którą kupiłam w chwili szaleństwa. Moją ulubioną z tych należących do Lili była złota, plisowana sukienka z jakiegoś butikku na Rodeo Drive; wyobrażałam sobie, jak odbieram w niej Oscara dla najlepszej aktorki, jak pobłyskując nią, nieśmiało wchodzę na estradę. Nie znałam wcześniej kobiety, która miałaby tyle strojów - kostiumów, zakietów, olśniewających strojów wieczorowych, skórzanych; strojów zaprojektowanych przez Oscara de la Renta, Cardina, Billa Blassa, Ralpa Laurena. Niektóre robiły wrażenie prawie nieużywanych. Lila robiła zakupy zachłannie. Podobnie jak większość Amerykanów w sposób niemożliwy do zaspokojenia łaknęła więcej, więcej i więcej. W kinach ludzie zażerali się popcornem z pojemników wielkości kubłów na śmieci. Kupuj, nalegało paplające radio; jedz, nalegała paplająca telewizja.auta wyciągnęły się w długie niczym holowniki limuzyny, które zatykały ruch drogowy i blokowały ulice, parkowały godzinami z pracującym silnikiem, podczas gdy kierowca siedział na tylnej kanapie i oglądał na ekranie kolorowego telewizora karnodziejów ryczących o dolary. Późnym wieczorem, kiedy wyciągałam Orsona na spacer, oglądałam te monstrualne śmieciarki pożerające odpady, podczas gdy w barach szybkiej obsługi otyli mężczyźni, bladzi i pulchni jak kapłony, napychali się wszelakim śmieciem, pozostawiając za sobą górę odpadków. Drapacze chmur wystrzeliwały w górę, jeden wyższy od drugiego, a w dole ulice były istną sodomą i gomorą żarłoczności i folgowania sobie. Pazurki Orsona zgrzytały o chodnik, kiedy ciągnęłam go za sobą, a towarzyszył temu ryk policyjnych syren oraz przywołujące taksówki gwizdki portierów przed Waldorf Astoria i przed Pierre'em. Sklepy zapchane były towarami po sufity, wystawy kłuły w oczy stosami bożonarodzeniowych prezentów, między półkami przelewały się tłumy kupujących. F.A.O. Schwartz był pełen pluszowych, mechanicznych zwierząt, ogromnych żyraf i słoni kiwających głowami przy wtórze szczebiotu elektronicznych kas.

Tam, w Anglii, byłam kimś innym, byłam osobą, która zgodnie z poczuciem obowiązku odkładała na makulaturę przeczytane egzemplarze

„Guardiana” oraz hodowała trzykrotki w pojemniczkach po jogurcie. Zamartwiałam się warstwą ozonową i brałam udział w kampaniach o szczytne cele. Miałam skromną garderobę i sześć par butów. Podobnie jak ojciec, wychodząc z pokoju, gasiłam światło. Nowy Jork przerażał mnie, a jednocześnie fascynował; jego zuchwałość, seksualna żarłoczność coś we mnie poruszyła, coś, co dotychczas było uśpione. Kiedy teraz spoglądam wstecz, dochodzę do wniosku, iż mój jednostronny romans z Lilą był w istocie jednostronnym romansem z samą Ameryką, krajem tak naiwnym i marnotrawnym, tak bogatym, tandetnym i zachłannym, i tak pełnym nie-ujarzmionej energii, że aż czułam w sobie jej mrowienie.

Kiedy nosiłam ubrania Lili, też odczuwałam mrowienie. Nawet jej matka zwróciła uwagę na nasze podobieństwo. Z jakiegoś powodu te słowa wywarły na mnie głęboki wpływ. Całkiem szczerze mówiąc, do tamtej chwili nie pomyślałam, by cokolwiek z tym zrobić. Ona nie była kobietą mądrą i nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówi... w istocie była równie egocentryczna jak jej córka i rzuciła tę uwagę na temat naszego podobieństwa bardziej ze zdziwienia, niż żeby zwrócić na to moją uwagę. Niemniej, właśnie w tamtym momencie coś we mnie zaskoczyło.

Pomysł przyszedł mi do głowy następnego ranka po wizycie w New Jersey, kiedy wyprowadziłam Orsona do Central Parku. Lila miała wrócić dopiero za kilka dni. Zimowy poranek był rześki i słoneczny. Minął mnie wyprowadzający czyjeś psy gej. Rozpoznałam go; prowadził po obu swoich stronach wielkie pudle oraz charty afgańskie, które, biegnąc susami, wznoszą się i opadają jak konie na karuzeli. Wówczas rozpoznawałam już także niektórych bezdomnych, obładowanych plastikowymi torbami, kierujących swoje z mozołem wymamrotane skargi do nagich gałęzi. Kilka ostatnich liści opadło na ziemię, podczas gdy Orson ulżył sobie za płytą z Imagine. Zawsze kiedy się wypróżniał, patrzył mi w oczy. Jeśli to, co wyprodukował, było szczególnie rzadkie albo szczególnie obfite, w jego oku pojawiał się triumfalny błysk, którym rzucał mi wyzwanie: musiałam zebrać całość ten bałagan. Czuliśmy do siebie coraz większą odrazę i przeprowadzaliśmy nieustannie liczne złożone

manewry, które miały doprowadzić do uzyskania przewagi nad przeciwnikiem.

Unikając jego wzroku, spoglądałam obojętnie na płytę. Imagine, pomyślałam. Wyobraź sobie, że podrywasz jakiegoś mężczyznę w hotelowym barze i przyprowadzasz go do apartamentu Lili. Schowałabym jej zdjęcia i udawała, że to miejsce należy do mnie. Pieprzylibyśmy się do nieprzytomności w jej pościeli, a potem, kiedy przyszedłby następnym razem, po mnie nie byłoby już śladu. Portier zapytałby lodowatym głosem: „Apartament 3 IB? O kogo panu chodzi, sir?”

Potem zaś pomyślałam: Wyobraź sobie, że wystroisz się tak jak Lila. Włożyłabym jej perukę i ruszyła w to parujące, kipiące miasto. Poderwałabym jakiegoś mężczyznę i przyprowadziła do apartamentu. Sądziłby, że obłapia gwiazdę filmową. A po powrocie Lili wpuszczono by go na górę i ona przeżyłaby największy wstrząs w swoim życiu.

Pomysł ten, choć zabawny i odrobinę podniecający, z logicznego punktu widzenia wydawał się niemożliwy do zrealizowania. I właśnie wówczas, kiedy struchlałam, czując dobiegający mnie od Orsona odór, przypomniał mi się ten kwit z pralni chemicznej.

Widziałam go na biurku, był przypięty do przeznaczonej dla Fidelu kartki. Na kartce tej wypisano różne drobne zlecenia do wykonania podczas nieobecności Lili - zakup karmy dla psa, zawiadomienie dozorca, żeby naprawił cieknący kran, odwołanie spotkania z trenerem Osobistego Programu Fitness, który najwyraźniej pojawiał się raz w tygodniu, żeby dopilnować jej niewymagających wysiłku ćwiczeń aerobiku i zmusić ją do wejścia na tamten rower. Większość poleceń wykonałam osobiście. Pozostało jedynie odebranie jej rzeczy z pralni.

Po powrocie z parku podeszłam do biurka i wzięłam do ręki tę kartkę. Jej dziecinne, niewyrobione pismo zamglilo się przed moimi oczami. Przez chwilę nie wiedziałam dlaczego, potem dopiero zdałam sobie sprawę, że moja dłoń się trzęsie. Czy to nie niedorzeczne? Przecież jeszcze niczego nie zrobiłam.

Pomysł był tak śmiały, że przez chwilę z wrażenia brakowało mi tchu i musiałam usiąść na miękkiej, białej sofie. Dlaczego nie miałabym ubrać się jak Lila i odebrać jej prania? Dlaczego nie miałabym sprawdzić, czy mi się to uda? Przecież w lustrze byłam zupełnie przekonująca. Dlaczego nie posunąć się o jeden mały krok dalej?

Pomysł o tym jako o czysto aktorskim zadaniu, powiedziałam sobie, spoglądając na jej balkonowe skrzynki z uschniętymi cyprysami. Czy będę na tyle dobra, żeby mi się udało?

Nie miałam odwagi, by zrobić to w świetle dnia. Musiałam poczekać do zmroku.

Jeśli pojawiaasz się na scenie wieczorem, ludzie sądzą, że masz wolne całe dnie. Nic dalszego od prawdy. Zgoda, możesz dłużej pospać. Jednak od południa zbierasz się w sobie w oczekiwaniu na podniesienie kurtyny. Wraz z mijającymi godzinami usuwasz stopniowo na bok swoje normalne życie, wyrzucasz wszystko z siebie, robiąc miejsce na czekającą cię rolę. Możesz zachowywać się jak zawsze, jednak w rzeczywistości jesteś chodzącą pustą skorupą, wypełnioną jedynie niepokojem i trwogą. Jesteś jak wybierająca się w podróż osoba. Na długo przed wejściem do samolotu, na długo przed tym, nim pomachano ci z nabrzeża, ty już odjechałaś. Na długo przed zmrokiem zniknęła Jules. Teraz to Lila stała pod prysznicem, rozsmarowując pieniaący się żel na ciele. Wytarła się do sucha ręcznikiem, przemawiając przy tym radośnie do psa. Przy toaletce wykonała staranny makijaż, przyciemniając oczy i podkreślając usta purpurową pomadką. Jakże szerokie i pełne były teraz jej wargi! Kiedy włożyła perukę, Orson zaczął skamleć.

- Wychodzę tylko na chwilkę, skarbie, odebrać coś z pralni - powiedziała do niego. - Ta głupia Fidelia zapomniała to zrobić. - Podrapała go po futerku długimi, czerwonymi paznokciami. - Jeśli zadzwoni mama, powiedz, że bardzo mi przykro, że nie udało mi się wyrwać do niej na te urodziny, ale że następnym razem, kiedy kupi sos do makaronu, to już na pewno zobaczy mnie na etykiecie słoika.

Weszła do swojej obszernej garderoby i wybrała zielony dres do joggingu, zatem taki strój, jaki nosiłaby przez cały dzień, gdyby kręciła się jedynie po apartamencie, prowadząc rozmowy telefoniczne, kartkując stos nadesłanych przez Roly'ego scenariuszy oraz oglądając na wideo jakiś telewizyjny serial, Lorimaru, w którym miała gościnnie wystąpić.

Włożyła ten strój do joggingu, a do niego parę sportowych pantofli od Gucciego. Były nieco ciasnawe - to dziwne, czyżby urosły jej stopy. Przeszesała swoje długie blond włosy. Później, tego samego wieczoru, miała spotkanie z facetami od reklamy, pracującymi nad promocją jej nowego filmu, *Okowy ciała*, którego premiery spodziewano się wiosną, a potem zaproszona była na kolację z Guberem i Petersem, szefami studia w Warner Bros., a może w Columbii, w celu przedyskutowania nowego, będącego na etapie opracowań przedsięwzięcia. Na kolację przyjdzie również Kevin Costner. Ma on bowiem zagrać jej młodego kochanka, zupełnie niespodziewanie ociemniałego. A może zarażonego wirusem HIV? Za głupia jest, żeby to pamiętać.

Wślizgnęła się w sobolowe futro, owinęła wokół głowy apaszkę i włożyła ciemne okulary - swój uliczny kamuflaż. Potem wzięła kwit z pralni oraz dużą, pakowną torbę, z kilkoma sztukami odzieży należącej do Jules, jej słodziutkiej dublerki.

Orson podskakiwał i warczał. No, no, ależ się dziwacznie zachowuje! Zamknęła drzwi, tłumiąc jego szczekanie, i poszła w kierunku windy służbowej. Nie zamierzała zjeżdżać główną windą do holu, w żadnym razie! Któregoś dnia na planie wspomniała Jules o tej windzie towarowej. Bo widzisz, ta nie zjeżdżała do westybulu, nią można było zjechać w pobliże znajdującego się na parterze wyjścia z boku budynku. Przepisy przeciwpożarowe zalecały wyjście awaryjne - jednokierunkowe, ze względów bezpieczeństwa. Można było nim wyjść na zewnątrz - drzwi miały metalowy poziomy drążek, który wystarczyło tylko nacisnąć - ale wejść z powrotem się nie dawało. Ten facet z niego korzystał, ta telewizyjna znakomitość, z którą miała romans, zresztą kompletnie popieprzony. Tak czy owak, on korzystał z tego wyjścia, żeby opuszczać budynek w środku nocy - bo widzisz, on był żonaty i sławny i gdyby portierzy

go zobaczyli, zniszczyłoby to jego wizerunek przyzwoitego, przywiązanego do rodziny faceta. Dupek.

W przeciwieństwie do wyłożonej mahoniem windy dla lokatorów, ta była parszywym, metalowym pudłem. Na dodatek lodowato zimnym. Nikt nie widział, jak wsiada. Podczas zjazdu Lili zatkało uszy. Wsiadła, przeszła korytarzykiem obok zsypu na śmieci i pchnięciem otworzyła drzwi na ulicę.

Wiatr smagnął ją w twarz. Jezu, ależ było zimno! Kurcząc się w swoim futrze, szła ulicą, mijając kilkupiętrowe domy bez wind z piaskowca. Była 18.35. W oknach zapaliły się światła.

O czym myśli? Bóg raczy wiedzieć. Niemniej jej serce bije jak oszalałe. Poci się pod strojem do joggingu. Uderza w nią panujący na Columbus hałas. STÓJ, oznajmia znak, ale ona wchodzi bezmyślnie na jezdnię. Zachowaj spokój, mówi sobie.

Wie, jak się poruszać, wystarczająco często to ćwiczyła. Lila chodzi, lekko się kołysząc, jak Monroe. Przechodzi pomyślnie dwa kwartały. Ten i ów spogląda na nią, ale ona nie potrafi powiedzieć dlaczego. Kiedy jest się sławnym, nie wie się już, dlaczego ludzie gapią się na człowieka. W pewnych sytuacjach sława jest ekscytująca. W innych ograbia człowieka z jakichkolwiek powodów do ekscytacji. Bo widzisz, nie wiadomo, czy ludzie gapią się na was, bo jesteście atrakcyjni, czy też dlatego, że was po prostu rozpoznają. Ona po raz pierwszy to sobie uświadamia. Czy oni patrzą na „mnie” czy na m n i e ?

Już się zdołała uspokoić, kiedy tak sobie o tym myślała. Lila o tym nie myśli, ale Jules owszem. Podchodzi do pralni chemicznej i zatrzymuje się. W środku jest jakiś klient, kobieta. Lila czeka na zewnątrz. Jej sobolowe futro jest bajecznie wręcz ciepłe; nie ma to jak prawdziwe futro. Nigdy nie słyszała o żadnym antyfutrarskim lobby, a nawet jeśli słyszała, ma to gdzieś. W rzeczy samej, ma jeszcze dwa inne futra, hodowlane norki i rude lisy. Bo niby czemu, do diabła, nie? Niech Jules się martwi takimi sprawami. Jules i tak nie stać na prawdziwe futro.

Kobieta wychodzi. Nie zauważa stojącej przed pralnią Lili. Lila wchodzi do środka. W twarz uderza ją gorące powietrze. Mężczyzna za ladą jest niski i lisy. Patrzy na nią przez chwilę, po czym jego twarz rozplywa się w uśmiechu.

- Witam, panno Dune - mówi. - Jak się pani miewa?
- Świetnie - odpowiada głosem Lili. Jest brzuchomówcą.
- Dawno pani nie widzieliśmy. - mówi tamten. - Wyjeżdżała pani? Ona kręci głową.
- Po prostu kręciłam, tutaj, w Nowym Jorku.
- Jaka szkoda, że Florrie tu nie ma! - mówi on. - Zabije mnie, kiedy jej powiem. W zeszłym tygodniu pokazywali w telewizji *Miesiąc miodowy w Honolulu*, widziała pani?
- Lila kręci głową. Okulary zsunęły jej się z nosa. Popycha je w górę.
- Mężczyzna mówi:
- Bo ona chciała wiedzieć, czy to pani kręciła te sceny na wodospadach?
- Lila przelęka ślinę. Dłonie ma lepkie.
- Nie - odpowiada. - To był kaskader. Kobieta.
- Florrie aż się spłakała na końcu, kiedy go dźgnęli nożem. Kogo dźgnęli? Lila nie ma najmniejszego pojęcia. To jakiś jej stary film. Odpowiada lekkomyślnie i brawurowo:
- Ja też.
- Płakała pani? - Wybuchą śmiechem. - Ojej, to ci dopiero!
- Lila sięga po kwitek z pralni. Jest gdzieś w kieszeni. Mężczyzna nadal się śmieje.
- Niech no tylko Florrie to usłyszy!
- Lili aż kręci się w głowie. Co powiedziała nie tak?
- Płakała pani, jak go zadźgali? - pyta mężczyzna. - Po tym, co się stało w helikopterze? - Wstrząsa nim nowy atak śmiechu. - Po tym, co zrobił pani w hotelu?
- Lila odnajduje kwitek i podaje go mężczyźnie. Będzie lepiej, jeśli zachowa milczenie. Tamten bierze kwitek i odwraca się ku wieszakom. Mija chwila.
- Powiedziałem pani pokojówce, że być może nie uda się nam tego wywabić - mówi, przesuwając ubrania na jedną stronę. Sprawdza ponownie kwitek i wraca do przeszukiwań. - Co to było, jeśli wolno mi spytać?
- Hm? - pyta ona. O czym on, do diabła, mówi?
- Ona nie wiedziała - mówi on.
- Kto?

- Pani pokojówka. Wyglądało na sos winegret. - Odnajduje wreszcie odpowiadający kwitkowi numer i zdejmuje wieszak.

- Cóż, zrobiliśmy, co było w naszej mocy. Zastosowaliśmy dwa różne wywabiacze plam.

Unosi celofan. Pod nim znajduje się kremowa, jedwabna bluzka. Ona nieruchomieje. Nie ma pojęcia, gdzie powinny się znajdować te dwie plamy.

- Nie widzę - mamrocze pod nosem.

On uśmiecha się szeroko.

- To znaczy, że jest w porządku.

W Central Parku jest ciemno i lodowato zimno. W oddali, w hałaśliwych kanionach ulic, zawodzi syrena. Tutaj jest cicho. Zamarznięta ziemia jest twarda jak stal. Kiedy idzie po trawie, liście trzaskają pod jej stopami. Latarnie rzucają kręgi światła na przecinające się dróżki; unika ich, zmierzając ku kępie krzaków. Za drzewami porusza się jakiś mężczyzna, ale wydaje się, że nie ma tutaj nikogo więcej. Może tego wieczoru jest za zimno dla rabusiów. A nawet dla morderców.

Oslonięta krzakami bierze się do pracy. Ściąga perukę razem z apaszką i wpycha je do torby. Zdejmuje futro, zwija je i również tam wciska. Szybciutko demontuje Lilę. Zaczyna chichotać. Mój Boże, mówi do siebie, ta garderoba jest jeszcze bardziej lodowata niż tamta rekordzistka z teatru Wigan.

Nagle czuje przypływ hysterii. Roztrzepuje włosy i zapina na sobie szary płaszcz Jules. Wierzchem lodowatej dłoni ściera z warg szminkę. Po kilku minutach wchodzi do holu wieżowca i kierując swoje kroki ku windzie, uśmiecha się do portiera.

Tamtego wieczoru czułam się kompletnie wyczerpana, a jednocześnie przepełniało mnie poczucie triumfu. Wyciągnęłam wtyczki łączące mnie z resztą świata i funkcjonowałam na własnych akumulatorach. Czułam, że dałam z siebie wszystko, jakbym odegrała główną rolę w sztuce, której tekst udało mi się wreszcie opanować. Ostatecznie czasu na próby było dosyć.

Byłam zbyt naładowana, żeby zasnąć. Przewracałam się nerwowo na łóżku Lili, słuchając dochodzącego z dołu zawodzenia syren. Orson również był niespokojny; słyszałam, jak kręcąc się po kuchni, skrobie pazurkami drewnianą podłogę.

Udało się! Dokonałam tego! Przez godzinę wykorzystywałam maksymalnie swoje aktorskie umiejętności; teraz tamte nieużywane wcześniej mięśnie musiały przecież boleć. Nie udawałam Lili. Przejęłam jej rolę, stałam się nią, wślizgnęłam się w jej skórę niczym dłoń w rękawiczkę. I ten gość z pralni chemicznej dał się nabrać; on też w nią uwierzył.

Materac zaskrzypiał, kiedy się przewróciłam i ukryłam twarz w poduszce. Uśmiechnęłam się. Nawet pachniałam jak ona; spryskałam jej perfumami przeguby dłoni i szyję. W którym miejscu kończyła się ona, a zaczynałam ja?

Osiem

Czasami przeglądam tu czasopisma. Niezbyt często i nie te, które sama bym wybrała. Zazwyczaj są to programy telewizyjne albo zupełnie szmatławe kobiece tygodniki, z których ktoś już wcześniej wyciął przepisy kulinarne. Wczoraj jednak natrafiłam przypadkiem na egzemplarz „Newsweeka”. Opisano w nim zrobiony przez Trevora Nunna spektakl *Otella*, w którym Ian McKellen grał Jagona. Te nazwiska Anglików najpierw dostarczyły mi lekkiego wstrząsu, a potem wzbudziły we mnie ciepłe patriotyczne uczucia. Poznałam kiedyś McKellena, lata temu. W tej inscenizacji, jak się okazuje, doszedł on do wniosku, że siła Jagona tkwi w tym, że jest on niezbędny. „Newsweek” napisał, że był to elektryzujący spektakl. Otello zaś okazał się takim samym prostaczkiem jak Lila. Nie miał pojęcia, że jest całkowicie w mocy Jagona, po prostu dlatego, że tamten uczynił sam siebie osobą niezbędną - cichy, kompetentny, gorliwie uprzedza każde życzenie Otella. Na początku sztuki Jago jest pokorny niczym dubler. Niemniej, chociaż zaczyna jako sługa Otella, kończy jako jego pan. A to dlatego, że podobnie jak ja, używa mózgu.

Myślę o swojej roli w życiu Lili i zastanawiam się, jak byłam przydatna do chwili, kiedy wyprowadziłam się z jej apartamentu. Naprawdę byłam bardzo użyteczna. Pomagałam jej w pracy, wydobywając na zewnątrz i szlifując jej aktorskie umiejętności. Stałam się jej powierniczką i doradcą. Przerobiłam z nią krótki kurs światowego dramatu. Nadrobiłam jej zaniechania i przejęłam obowiązki córki w New Jersey. Opiekowałam się psem i mieszkaniem. Przyjmowałam telefony do niej - zgoda,

niewiele ich było, ponieważ jej poczta głosowa informowała, że przebywa poza Nowym Jorkiem. Czytałam nadsyłane scenariusze i miałam gotowe komentarze, gdyby tylko zechciała zasięgnąć mojej rady. Poprzedzając różnymi przedmiotami w jej apartamencie, a gust mam lepszy niż ona i jej dekorator wnętrz razem wzięci. Odnowiłam jej skromne zapasy oliwy z pierwszego tłoczenia oraz dżemu cytrusowego Coopersa. Dzień przed jej powrotem wyprałam pościel i doprowadzając się praktycznie do bankructwa, przyozdobiłam pokoje świeżymi kwiatami. Odebrałam nawet jej bluzkę z pralni chemicznej. Jeszcze nie stałam się Jagonem - czas na to miał dopiero nadejść - ale nikt nie mógł zaprzeczyć, że byłam użyteczna. Można powiedzieć, że byłam niemal nieodzowna.

Kiedy więc zadzwoniła w wieczór poprzedzający jej powrót, to, co usłyszałam, nie było tak całkiem niespodziewane, jak by się mogło wydawać.

- Cześć skarbie! - zawołała. - Jak się masz? Jak się miewa ten mój stuknięty pies? Orson? - Podniosła głos: - Orson, słyszysz mnie? Byłeś grzeczny? - Wydawało się, że jest w świetnym humorze; niemalże obłądnie świetnym. Zaczęła mówić o tym, że przedsięwzięcie, w które się zaangażowała, jakaś nowa wersja *Jane Eyre*, wchodzi do produkcji na początku nowego roku. - Co byś powiedziała na przyjazd do Los Angeles i pracę ze mną? - Powiedziała, że sama załatwi sprawę zielonej karty, związku zawodowe, całe to gównno. - Powiedziałam im, że ta *Jane Eyre* to przecież film brytyjski, zgadza się? Czy to nie b o m b a? Powiedziałam, że z tobą byłoby lepiej, przecież jesteś Brytyjką, że mnie by to pomogło. Przydzielili mi dublerkę, jest w porządku, już wcześniej z nią pracowałam, ale między nami nie ma, że tak powiem, w i ę z i. No to im powiedziałam, że sprawdzę, czy będziesz wolna. Co ty na to?

Odpowiedziałam, z pełnym spokojem, że się zastanowię. Moja odpowiedź prawdopodobnie zrobiła wrażenie wymijającej. Zapadłam się głęboko w fotelu. Pierwszą moją reakcją był przyływ gorąca. Potrzebowała mnie! Lila Dune, wielka gwiazda, potrzebowała mnie!

Druga myśl dotyczyła Treva. Coraz mocniej odczuwałam jego brak. Drania nigdy nie było w domu, kiedy telefonowałam, a ja doszłam już do

granicy ostateczności. Czy namówię go na przyjazd do Los Angeles? Czy słońce i cały ten przepych rozpali na nowo jego pożądanie? Mogłam zapłacić za jego przelot; po raz pierwszy w życiu miałam pieniądze. Niezależnie od tego, co wówczas robił, z pewnością jego przyjazd do Los Angeles byłby fantastyczną przygodą, wręcz skokiem na drodze do kariery. Te kontakty! Każdy początkujący pisarz oddałby wszystko, żeby zyskać szansę wzięcia udziału w wielkiej produkcji filmowej.

Ponownie spróbowałam go złapać, ale jak zwykle nikt nie odebrał telefonu. Nagrał nowy tekst na sekretarkę, tekst kończący się słowami: „Proszę podać datę swojego telefonu”. Najwyraźniej gdzieś wyjechał. Ale gdzie?

Byłam idiotką, to oczywiste. Teraz, kiedy spoglądam wstecz, trudno mi uwierzyć, że mogłam być aż taką idiotką. Zgadywałam, że coś się może dziać. Jednak nie chciałam wiedzieć co i sądziłam, że to coś się skończy, zanim wrócę. Nie zapominaj, że byłam w Ameryce, całkowicie od wszystkiego odcięta. Ameryka to obcy kraj; im dłużej tam przebywasz, tym bardziej zdajesz sobie z tego sprawę. Nikt tam nie wspomina Wielkiej Brytanii; wyobrażamy sobie, że to robią, ale tylko się okłamujemy. Ameryka jest ślepa na wszystko oprócz siebie. Na dodatek pracowałam nad filmem. A nikt, kto się tym interesem nie zajmuje, nie zrozumie, jak bardzo jest on wszechogarniający, jak odcina człowieka od wszystkiego, jak się jest zaangażowanym i wycieńczonym, kiedy kręci się film. Nawet jeśli jest się jedynie dublerem. Bo wszyscy razem w tym tkwią i nic innego się nie liczy. Wchodzą w całkowicie nową rodzinę i nowe zależności. Wszyscy jedzą to samo i oddychają tym samym powietrzem. Nic dziwnego, że rozpadają się małżeństwa. Wieści z zewnętrznego świata z trudem tam przeciekają. Może wybuchnąć wojna, a będzie to jedynie oznaczać, że z furgonu firmy cateringowej znikną jakieś dania. Człowiek znajduje się we wnętrzu jakiejś ogromnej jaźni, hermetycznie tam zamknięty.

Naprawdę domyśliłam się wtedy, że coś się dzieje. Prawdy natomiast nie odgadłam.

* * *

Rano, w dzień powrotu Lili, spakowałam się i wróciłam do hotelu. Tego samego wieczoru przeglądałam swoje rzeczy i natknęłam się w torebce na klucze do jej apartamentu.

A że wieczór był piękny i mroźny, postanowiłam pójść pieszo do jej domu i oddać te klucze. Mogłam dać je portierowi albo pojechać na górę i spotkać się z nią. Byłby to świetny pretekst, żeby się przywitać i nawiązać na nowo kontakt. Tamtego wieczoru nie miałam nic innego do roboty. Ściśle mówiąc, dotyczyło to wszystkich wieczorów.

Najpierw coś przegryzałam, w moim starym barze za rogiem. Tamte samotne kolacje przy świecach, w apartamencie Lili, z rozświetlonym miastem u stóp, już nabierały nierealnego kolorytu snu. Gryząc grzanekę, zastanawiałam się: Czyja tam rzeczywiście mieszkalam? Bo przez tydzień przebywałam dosłownie pośród gwiazd. Nowy Jork jest miastem snobistycznie podzielonym wertykalnie, a ja na kilka dni wspięłam się na szczyt owej drabiny.

Oczywiście miałam w związku z tym wszystkim mieszane uczucia. Dlaczego miałoby mnie podniecać coś, czym pogardzałam? Dlaczego znalazłam się na uwieży jakiejś tlenionej blondynki? Mój mały palec u nogi miał więcej inteligencji niż Lila. To było niedorzeczne. Wciągało mnie coś, co było mi całkowicie obce.

Pamiętam tamte pół godziny, kiedy siedziałam w barze pośród samotnych konsumentów, a bezlitosne, nagie oświetlenie ukazywało nas takimi, jacy byliśmy. Żaden kamerzysta nie posmarował dla nas obiektywu wazeliną. Kobieta przy sąsiednim stoliku mamrotała do siebie: „Mała nie przyszła po te buty. A trzymałam je dla niej w pudełku”. Pamiętam ten spacer ulicami, te błyskające bożonarodzeniowymi światełkami sklepowe wystawy. Był dziesiąty grudnia.

Może nie pojedę do Los Angeles, pomyślałam. Wrócę po prostu do Londynu, obładowana gwiazdkowymi prezentami i zostawię to wszystko za sobą. W tym pełnym chaosu mieście szaleństwo kryło się tam, w górze,

pośród bogatych, a także tam, w dole, pośród tych biednych. Otarłam się o jedno i drugie i obydwą śmiertelnie mnie przeraziły.

Szłam ulicą od strony parku. Kiedy zbliżyłam się do apartamentowca Lili, przed jego wejście podjechała limuzyna. Była biała i bardzo długa, z tych najdłuższych. Zatrzymałam się po drugiej stronie jezdni i spoglądałam na nią od niechcienia. Była taka długa, że pomiędzy sąsiednimi oknami mieściła się jeszcze para romboidalnych światełek.

Wiatr dmuchał mi w twarz, kiedy patrzyłam, jak obydwaj portierzy pośpiesznie wychodzą na zewnątrz. Otworzyły się tylne drzwi auta i pojawiła się Lila. Włosy miała upięte wysoko, a ubrana była w puszysty płaszcz, którego wcześniej nie widziałam.

Ruch był duży, tak że nie mogłam przejść przez ulicę, żeby się z nią przywitać. Czekałam na zmianę świateł. I właśnie wtedy zobaczyłam, że z limuzyny wysiada ktoś jeszcze. To pewnie Irma, pomyślałam, albo Roly.

Lila się śmiała. Z samochodu wysiadł mężczyzna i ujął ją pod ramię. Miał na sobie skórzaną kurtkę i właśnie odwrócił się w moją stronę. Pod oświetloną markizą zobaczyłam jego twarz bardzo wyraźnie.

To był Trev.

LOS ANGELES

Jeden

Zeszczuplałam. Zauważyłam to, z lekkim zaskoczeniem, kiedy leżałam nad basenem. Moja skóra miała szarobiałą odcień, w słońcu wyglądała niezdrowo; sterczały mi biodra. Przez cały ubiegły miesiąc nie dbałam o własne ciało; traktowałam je jak coś, co trzeba jedynie karmić i myć. Było jak ciało kaleki; przenikał je ból. Może nie otrząsnęłam się jeszcze z szoku.

Odrośli mi włosy na nogach. Pewnie powinnam coś z tym zrobić, teraz, kiedy znalazłam się w krainie pełnej pobrązowionej słońcem urody. Następnego dnia rozpoczynałam pracę. Gdzie miałam znaleźć żyłkę? Czy w Los Angeles można znaleźć cokolwiek bliżej niż w odległości dwudziestu mil?

Leżałam więc nad basenem, z opuszkami palców uczernionymi od przewracania kartek niedzielного wydania „Los Angeles Times”. W całości był ciężki i masywny, ale teraz porozkładany na betonie przypominał porozrzucane płyty obrabowanego grobowca. Od tygodni nie byłam w stanie przeczytać książki; nie potrafiłam się skoncentrować.

Przeglądałam dział nieruchomości. Pełno w nim było domów w Santa Monica i w Pacific Palisades, i w Brentwood. Miały pokoje dla służby i biblioteki, i sauny, i baseny; miały strażników przy bramach. Jeśli byłeś bogaty, to tutaj też mieszkałeś w fortecy; zupełnie jak w Nowym Jorku. Wybudowano je w stylu holenderskim, georgiańskim albo w klasycznym hiszpańskim. Przebiegłam wzrokiem przez kolumny. Bel Air... Pasadena. Serce podchodziło mi do gardła za każdym razem, kiedy trafiałam na Beverly Hills. Lila mieszkała w Beverly Hills. Znałam adres. Kupiłam

nawet plan - półtora dolara, w automacie w holu. Jednak przyjechałam tutaj dzień wcześniej i nie miałam samochodu.

Bez auta nie dostaniesz się w Los Angeles nigdzie. W moim hotelu zatrzymała się inna ekipa filmowa; widziałam ich sprzęt złożony na korytarzu. W windzie rozmawiałam z niskim, brzuchatym gościem, który powiedział, że jest żarową; w żargonie filmowców z Los Angeles oznacza to elektryka-oświetleniowca. Poinformowałam go, że jestem tu nowa, a on powiedział mi to, co wszyscy: że Los Angeles nie ma centrum, że jest to po prostu sto mil kwadratowych przedmieść. I że potrzeba godziny, żeby gdziekolwiek dojechać.

- Dopiero co przyjechałaś do Tinseltown? - spytał. Powiedział, że pracuje tu przy filmie przeznaczonym na kasety wideo. - Taki chory.

- Chory?

- Horror.

Nie chwyciłam jego wymowy.

Powiedział, że to o takim gościu, który ma śrubokręty zamiast palców.

- Zajmuje się naprawami w domach rozwódek, a potem okaleczaniem ich samych.

Leżałam nad basenem. Hotel był zbudowany wokół niego. Z trzech stron białe pomosty i relingi jak na transatlantyku. Z czwartej ogrodzenie, wzdłuż którego rosły tropikalne rośliny - bugenwille, oleandry i coś jeszcze, czego nie rozpoznałam, w donicach z terakoty. Za ogrodzeniem ciągnął się parking. Co kilka minut powietrze wypełniało się spalinami, kiedy ktoś przegazował silnik; potem odjeżdżał, zatrzymując się tylko, żeby włożyć żeton do automatu. Ludzie żyli jakby nigdy nic i to właśnie było dziwne. Na całym świecie jeździli tymi swoimi samochodami, zachowywali się, jakby nic się nie stało.

Czy był w stylu kolonialnym, ten jej dom? Czy miał pomieszczenie dla lokaja, podłogi z egzotycznych gatunków drewna oraz skomplikowany system alarmowy? Czy był w stylu śródziemnomorskim, z widokiem z jednej strony na góry, z drugiej na ocean? Odrzuciłam strony z nieruchomościami i zaczęłam przerzucać dział rozrywek. MGM/United Artists kręcili opowieść muzyczną: „Przedwcześnie zmarły owczarek niemiecki

opuszcza niebo i z nadzieją, że znajdzie pitbulteriera, który kazał go zamordować, wraca do pełnego zgiełku, psiego półświatka Nowego Orleanu lat czterdziestych”.

„Pitbulterier” oznaczał Lilę. Czy to nie jeden z nich niemal rozszarpał ją na strzępy dawno temu? „Beverly Hills” oznaczało Lilę. Nawet „West Hollywood” oznaczał Lilę, bo mój plan pokazywał, że tereny te przylegają do siebie. Reklama Gospody pod Żołędziem oznaczała Lilę, bo miała ona złote kolczyki w kształcie żółędzi. Wszystko, co przeczytałam, wszystko, czego dotknęłam, przypominało mi o niej. Czy byłeś kiedyś tak zazdrosny? Tak zazdrosny, że aż chory z zazdrości, że aż czuleś mdłości? Rozrasta się to w obsesję, która spowija zimnym i lepkiem całunem, która jest gorsza od seksualnego pożądania? Odczuwasz to jak coś dolegliwego i lodowatego, stężalego we wnętrznościach. Blokuje to płuca; czasami wręcz nie można oddychać. Kiedy ją sobie wyobraziłam, zaczynało mi brakować powietrza, zupełnie jakby ktoś zadał mi cios prosto w żołądek. Byłam nieustannie rozpalona i rozgorączkowana. Och, nawet nie jestem w stanie tego opisać. Jakkolwiek dalekie mogły być poszczególne skojarzenia, ja ich dokonywałam. Reagowałam alergicznie na słowo „Paramount”, ponieważ ona robiła dla nich filmy; na „Nicka Nolte”, bo z nim pracowała. „Richarda Gere”, bo kiedyś nieomal doszło między nimi do współpracy - może go w ogóle nie spotkała, nie miało to dla mnie znaczenia. Teraz, kiedy się już znalazłam w samym sercu przemysłu filmowego, każde zdanie w gazecie było istnym polem minowym.

Nie musiało to nawet dotyczyć filmów. Wystarczyła reklama salemów, hasło „Oscar de la Renta” w kolumnie ploteczek. „Lancôme”, bo używała ich kosmetyków. „Revlon”, bo nie używała. Nawet słońce, tam w górze, na wiecznie letnim, styczniowym niebie, było tym skażone, bo godzinę drogi ode mnie ogrzewały ją jego promienie. Ona odebrała mi nie tylko Treva, ona ukradła mi cały świat.

Nie, ściśle rzecz biorąc, nie ukradła. Skaziła. Niby rak drążyła wewnątrz wszystkiego wokół. Przeniknęła do mojego krajobrazu jak jakiś szkodliwy związek chemiczny do wód podskórnych; gdziekolwiek spojrziałam, widziałam, jak zaczynają żółknąć drzewa.

Nie widziałam jej ani Treva od ubiegłego miesiąca, kiedy to zauważyłam ich przed jej nowojorskim domem. Od dnia, w którym moje życie legło w gruzach.

Być może rozumiesz, przez co przesłam. Może coś takiego przydarzyło się i tobie. Najpierw szok. Potem powolne, przyprawiające o mdłości uświadamianie sobie...

Nie potrafię tego opisać. Nie teraz. Opowiem o tym innym razem, kiedy poczuję się lepiej.

Opowiem ci o telefonie, z następnego dnia. Leżałam, nie śpiąc, całą noc, z suchymi oczyma, odrętwiała. Nad ranem zdrzemnąłam się krótko, a w południe obudził mnie telefon. To była Lila. Była tak podekscytowana, że brakowało jej tchu; nigdy nie słyszałam w jej głosie tyle szczęścia. Plotła przez chwilę o swoim nowym przedsięwzięciu i o tym, jakie mieli wcześniej problemy ze scenariuszem. Że potrzebny im aspekt brytyjski, bo mają przecież do czynienia z *Jane Eyre*.

- Pamiętasz tamtego faceta z Londynu? Zabrałaś mnie na jego sztukę. No więc dzwonię do niego, a on przyjeżdża, żeby dokonać przeróbek scenariusza. Gdzie ty znalazłaś takiego faceta? Jest fantastyczny! Jeju, ależ on rozumie kobiety. Pamiętasz tamtą niesamowitą scenę, w której ona jakby chciała, żeby on nad nią zapanował? Więc to też włącza do scenariusza, ten aspekt. - Zamilkła dla zaczerpnięcia oddechu. - Skarbie, jestem ci taka wdzięczna. Gdybyś mnie nie zabrała wtedy na tę sztukę...

Paplała tak dłuższą chwilę. Moje serce waliło jak młotem. Przez parę minut myślałam, całkiem szaleńczo, że chodzi tu tylko o czysto zawodowy związek. Potem jednak pomyślałam: To po co, do cholery, Trev wchodził do jej mieszkania?

Poza tym w jej głosie było coś jeszcze. Rozpoznałam to, zanim sama powiedziała.

- To wszystko wydarzyło się tak szybko - oznajmiła tonem typowym dla zwierzeń. - Nigdy wcześniej nie przeżyłam czegoś takiego. I wiesz co? On jest Skorpionem, a to przecież uzupełnienie mojego znaku! Czy to nie świetne? Musisz przyjść, zabierzemy cię na obiad.

Udało mi się wymamrotać coś uprzejmego, po czym odłożyłam słuchawkę. Potem się spakowałam, pojechałam na lotnisko i najbliższym samolotem wróciłam do Anglii.

On jej nie powiedział. Ona nic nie wiedziała. Myślała, że on jest po prostu moim znajomym.

Gnój. Drań. G n ó j.

Moje mieszkanie w Belsize Park było zaskakująco czyste - nie miałam wątpliwości, że je posprzątał, z poczucia winy. Poprosił nawet kobietę z piętra niżej, żeby podlewała moje rośliny. Nie zostawił żadnej kartki, kompletnie niczego. Drań.

Boże Narodzenie spędziłam w Arundel, z matką i z bratem, którego linia włosów przesunęła się do tyłu o kolejne dwa cale. Zachowywałam się całkiem normalnie - matka skomentowała nawet mój wygląd. „Smukła i urzekająca”, powiedziała. Opowiadałam im zabawne anegdotki o nowojorskim środowisku filmowców, rzucając przy okazji znanymi nazwiskami, bo matce sprawiało to przyjemność. Naturalnie wymyślałam to wszystko. Sądziła, że cudownie się tam bawiłam. W pełni wykorzystywałam swoje aktorskie umiejętności; nie mogłam pozwolić, by poznali prawdę i zaczęli mi współczuć, to byłoby nieznośne. Moja matka zalałaby mnie współczuciem; bardzo chciała sprawiać przyjemność, być użyteczna. Była dusząco wręcz życzliwa. Należała do tego rodzaju kobiet, które gotowe są zaprosić świadków Jehowy na herbatkę.

W drugi dzień świąt zadzwonił Trev. Wróciłam już do siebie i leżałam na łóżku przy zaciągniętych zasłonach.

- Jules? Posłuchaj, kochanie, chciałbym wyjaśnić, co się stało...

Trzasnęłam słuchawką. Nie zadzwonił ponownie.

Ponieważ nie miałam w Anglii nic do roboty - żadnej pracy, bliskiego mężczyzny, niczego - poleciałam do Los Angeles.

Niby dlaczego, do diabła, nie miałam tu przylecieć? Czy na dodatek miał mi ukraść także podróż do Kalifornii, z pokryciem wszelkich wydatków, oraz moją pracę za osiemset dolarów tygodniowo? Niedoczekanie jego.

Kiedy tam przyjechałam, piątego stycznia, byłam wciąż w tym początkowym stadium bólu i żalu, poczucia straty oraz furii. Jeszcze niczego nie obmyśliłam. Nie miałam jeszcze żadnego planu. Czuję się po prostu kompletnie pusta i jednocześnie kipiałam wściekłością. To oczywiste, że powinnam była o tym wszystkim zapomnieć, umyć ręce od tej całej plugawej sprawy i pozostać w Anglii. Teraz to wiem.

Musiałam jednak przyjechać. Musiałam być blisko nich.

Z przerażającą fascynacją czułam, że Zachodnie Wybrzeże przyciąga mnie nieodparcie.

W głowie kłębiły mi się nieustannie te same stare pytania, stępione już od niemającego końca używania. Jak mógł mnie tak zdradzić? Jak długo to trwało? Dlaczego nie powiedział jej o naszym związku? Jak w ogóle ktoś, nawet Trev, mógł być takim draniem? Czy może jej powiedział, a jej było wszystko jedno?

Leżałam na słońcu, smażąc się we własnej wściekłości. Zapaliłam papierosa; paliłam teraz znacznie więcej i przeklinałam ich oboje za niszczenie moich płuc. Obok mnie siedział jakiś mężczyzna i rozmawiał przez telefon. Plecy miał porośnięte czarnymi włosami. Sterczały mu kępami nawet na ramionach.

- Jeśli mówimy tu o Michelle Pfeiffer - oznajmił - to znaczy, że rozmawiamy o Alicji w pieprzonej krainie czarów.

Jak mogła mi zrobić coś takiego, ta kobieta, która miała wszystko? Urodę, pieniądze, sławę, sukcesy. Miała cały cholerny świat u swoich stóp. Miała apartament za milion dolarów w Nowym Jorku i dom w Beverly Hills. Do niedawna nie przejmowałam się takimi sprawami - w istocie gardziłam nimi. Teraz jednak przejmowałam się, wręcz rozpaczliwie. Ta żmija posiadała wszystko, czego pożądał świat, a na dobitkę musiała mieć jeszcze Treva.

Wyobraziłam ich sobie w łóżku. Obrazy te powtarzały się bez końca w mojej głowie jak na jakimś pornograficznym kanale telewizyjnym. Czasami nie byłam w stanie tego wyłączyć; byłam jak sparaliżowana. Nie mogłam wykonać żadnego ruchu. Obserwowałam ich poruszające się unisono ciała; obserwowałam, jak rozchylają się pełne, zmaltretowane wargi Lili, a język Treva wślizguje się do jej ust.

- Kiedy przychodzę do biura - mówił mężczyzna obok - ten kutafon rozmawia przez mój telefon. Siedzi na moim biurku, czeka, aż do niego oddzwonią. Pytam swoją sekretarkę, za kogo, do kurwy nędzy, on się uważa? Za cholernego Raya Staraka?

Pieprzyli się niczym norki. Trev odgiął się do tyłu, patrzył na nią z uśmiechem, tak jak spoglądał na mnie. Znałam wszystkie jego sztuczki.

Zakołysał się podniecająco z boku na bok, z fiutem utkwionym w niewłaściwej kobiecie. Przesunął palcem po jej pełniejszych piersiach. Czy dotykał ją w tych samych miejscach, otwierając niczym kwiat?

Zdegustowana jednym zamaszystym ruchem opuściłam nogi z leżaka i wstałam. Wokół basenu znajdowało się zaledwie kilka osób. Byli to niewątpliwie ludzie związani z filmem -zawsze można rozpoznać filmowców - ale ja nie wiedziałam, czy ktoś z nich zaangażowany jest w to moje przedsięwzięcie. Grupka ludzi siedziała wokół stolika, na którym leżały rozłożone jakieś papiery; kilku mężczyzn w szortach rozmawiało przez telefon. Pomimo skromnego odzienia wszyscy robili wrażenie ciężko pracujących. W istocie, co miałam odkryć później, ludzie filmu w Los Angeles pracują przez cały czas. Nawet kiedy siedzą nad basenem, rozmawiają o sprawach zawodowych. Jeśli nie załatwiają interesów, to albo rozmawiają przez telefon, albo prowadzą samochód - często robią jedno i drugie jednocześnie. Telefony uczezione są ich uszu jak jakieś pasożyty.

Ja, wyblakła Angielka, czułam się tu całkowicie obco. Nie miałam pojęcia, że mogę czuć się tak samotnie pośród ludzi, którzy, jakkolwiek by było, mówili moim językiem. Kiedy przechodziłam obok ich stolików, nawet nikt na mnie nie spojrział. Byłam tylko dublerką, nikim. Na filmie byłam niewidzialna. Zerknęłam na mężczyzn. Robili wrażenie zadbanych i obytych; twarze mieli przystojne, ale w pewnym sensie nieobecne, jakby słuchali niewidzialnego walkmana. Z czasem zobaczyłam to jeszcze wyraźniej. Ludzie tutaj wyglądali jak opaleni mormoni. A może to jedynie moja wewnętrzna pustka odbijała się w ich twarzach. Nie wiem.

Stanęłam nieruchomo i wciągałam w nozdrza woń, którą wyczułam w powietrzu. Przypominała mi perfumy Lili. Spojrzałam na uginający się pod ciężarem kwiatów krzew. Hibiskus, czy coś takiego. Jego kwiaty były pokrytymi kropelkami rosy, jaskrawoczerwonymi trąbkami; wnętrza kwiatów były aksamitne i wilgotne.

- Zadzwoń do Elliott - odezwał się ktoś - i sprawdź, czy jest osiągalna.

Jak osiągalna była jej cipka, wilgotna i zapraszająca! Otwierała się dla niego, kiedy ona rozkładała nogi. Jak on uwielbiał podrywać do góry moje nogi, zakładać je sobie na kark!

Ktoś mi się przyglądał. Musiałam tam stać dość długo. Był to meksykański ogrodnik, w ciemnozielonym kombinezonie. Przerwał swoje zajęcie - zmiatanie opadłych płatków.

Wróciłam do pokoju, ubrałam się i wyszłam na ulicę. Hotel znajdował się niedaleko Santa Monica Boulevard, w nijakim miejscu, gdzie sterczały palmy i telegraficzne słupy, a tu i ówdzie widać było porozrzucane budynki. Jak to bywa w Los Angeles, nic nie odróżniało tego miejsca od jakiegokolwiek innego. Była 15.30 i powietrze było przesycone wilgocią. Za budynkami dostrzegałam kładący się mazistą warstwą smog, robiący wrażenie tak gęstego, że można by go dotknąć.

Obok mnie, na sześciopasmowej jezdni, śmigwały pojazdy. Z dala, zza niej, dochodził cichszy szum autostrady oraz jęk policyjnej syreny. Ib dziwne, ale pomimo rozległego nieba czułam się tutaj bardziej uwięziona niż kiedykolwiek w Nowym Jorku. Nie widać było najmniejszego śladu ludzi. Szłam wzdłuż szosy, ciągle odrętwiała po podróży i nagle poczułam się, jakbym była jedyną żyjącą osobą na ziemi. Pulsujący życiem, tłoczny Nowy Jork zniewalał mnie i podniecał. Teraz, w tym nieokreślonym miejscu, byłam opuszczona nie tylko przez Treva, ale przez całą ludzkość.

Minęłam zatopiony w całych akarach samochodów motel Travelodge. W poszukiwaniu apteki przeszłam jeszcze jeden kwartał i minęłam atrialny budynek mieszkalny otoczony splątana tropikalną roślinnością i wyschniętą fontanną. Minęłam chińską restaurację, następnie jeszcze jeden budynek mieszkalny i usłyszałam nawet dźwięki z telewizorów, ale nie zobaczyłam śladu życia. Bolały mnie nogi. Przeszłam obok myjni samochodowej oraz dużego plastikowego szyldu z napisem „Hickory Hut”. Zatrzymałam się na skrzyżowaniu, czekając na znak IDŹ oraz towarzyszący mu sygnał dźwiękowy. Nikt oprócz mnie nie czekał na zmianę światła. Lila opróżniła mój świat; wessała go w siebie, a ja zostałam - wyschnięta i zasapana.

Minęłam sklep monopolowy, zakratowany i ufortyfikowany. Wreszcie, po przejściu jeszcze sześciu przecznic, dotarłam do niewielkiego centrum handlowego. Miało dziedziniec w kształcie litery L, przy którym stały nędzne budynekczki, robiące wrażenie karłowatych na tle plastikowych tablic informacyjnych: NIERUCHOMOŚCI RAIFA. KOKTAJLE. DORABIANIE KLUCZY, OSTRZENIE NOŻYC. Szłam pomiędzy zaparkowanymi samochodami. ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY KODAKA. AKUPUNKTURA. SALON PIELEGNACJI PAZNOKCI.

W końcu zgrzana i wycieńczona dałam za wygraną. Słońce chyliło się ku zachodowi. W Londynie właśnie bym się budziła... a może był to środek nocy? Powietrze przesycone było spalinami. Samochody przepływały obok ciągłym strumieniem; musiała to być godzina szczytu. Kiedy zapaliły się czerwone światła, ruch się zatrzymał i w jednej chwili ulica została zapchana bmw, jeepami i poobijanymi nissanami. Słońce płonęło w ich oknach, a radia łomotały piosenkami i jakąś hiszpańską paplaliną. Czarna dziewczyna siedziała w otwartym chevroletcie corvette, postukując w deskę rozdzielczą, podczas kiedy Carly Simon oskarżała: „Jesteś taki próżny”. De milionów ludzi mieszkało tutaj? A co jeśli przejedzie tędy Lila - albo on -i zobaczą mnie taką zupełnie samotną? CZYTANIE Z DŁONI. KABARET, DANSING, DZIEWCZĘTA GO-GO. Niebo różowiało od zachodzącego słońca.

Gdybym tylko wtedy powiedziała jej o Trevie, tamtego dnia, w przy mierzalni u Saksa. Gdybym jej powiedziała, nic z tego by się nie wydarzyło. Nigdy by mi go świadomie nie ukradła... czy aby na pewno?

Wracałam zmęczonym krokiem tą samą drogą, którą przyszłam, zatrzymując się tylko przy automatach z prasą. Jeden sprzedawał „Wall Street Journal”, inny coś o tytule „Samotni: Najbardziej Szanowane Pismo dla Samotnych”. Stały tam w rzędku, gotowe do wyskoczenia w zamian za ćwierć dolara. Gdybym włożyła ćwierćdolarówkę, mogłabym odkryć „Jak wynająć gwiazdę porno na swoje przyjęcie”.

Noc zapadła raptownie. Szłam wzdłuż jezdni oślepiana reflektorami. Kilka aut zwolniło, by po chwili zwiększyć obroty i odjechać. Może wyglądałam dziwnie. Może mówiłam do siebie. Teraz już nie pamiętam.

Któż to może wiedzieć, skoro ja nie wiem? Zobaczyłam jeszcze jedną istotę ludzką, niesamowicie otyłą kobietę odzianą w lachmany. Grzebała w pojemnikach na śmieci przed McDonald'sem i mamrotała do siebie.

- Wstrętne, wstrętne, wstrętne... - mówiła, wciskając coś do ust. Była starą gwiazdą filmową, która powtarzała rolę. Była Lila, zogromniała.

Dotarcie do hotelu zabrało mi godzinę. W recepcji czekała moja karta wezwania na następny dzień. O siódmej rano samochód zabierze mnie na plan.

Usiadłam w restauracji. Nie było w niej nikogo; pozostali goście znaleźli widocznie lepszy lokal. Podniosłam plastikowe menu: miało kształt awokado i zadrukowane było obcymi nazwami: parrilladas, enchilladas, texmex salsaburgers z roztopionym serem szwajcarskim, empanadas z frytkami. Tysiąc lat wcześniej siedziałam w mieszkaniu przy Belsize Park i jadłam przy własnym kuchennym stole. Czulałam suchość w gardle; czy to pora śniadaniowa? Przypomniałam sobie pierwszy ranek w Nowym Jorku: opuchnięte migdałki, rozgorączkowana dezorientacja. Ale również nadzieja.

Żeby nie wyglądać na tak samotną, wyciągnęłam z „LA Times” strony jakiegoś działu. Na jednej kolumnie wydrukowano streszczenia aktualnych odcinków telewizyjnych oper mydlanych. Przesuwając po talerzu sałatę lodową, dowiedziałam się, że w *General Hospital* Victor zadławił się klejnotem w kształcie serca i umarł. Po drugiej stronie sali kelner rozmawiał po hiszpańsku przez telefon. Z zewnątrz dochodził szum przejeżdżających samochodów. Mnie natomiast dotrzymywali towarzystwa nowi znajomi - Thorne i Stacey... Ridge i Marge... Jerry, który utonął, po tym jak skoczył z jachtu.

Później poszłam do swojego pokoju na trzecim piętrze; jego okna wychodziły na parking. Za tym parkingiem wznosił się następny, wielopiętrowy; pięć kondygnacji betonowych miejsc do parkowania rozjaśnionych świetlówkami. Auta robiły wrażenie przywiązanych do parkometrów; atrapy ich chłodnic szczyrzyły się niczym zęby w uśmiechu. Wraz z upływem czasu samochodów ubywało, odjeżdżały jeden za drugim, aż miejsce to całkowicie opustoszało. Wychyliłam się z otwartego okna.

Słyszałam nieustający szum ulicznego ruchu, płynącego jak krew przez żyły tego zatrważającego, wyobcowującego, bezkresnego przedmieścia. Jakiś owad rzępolił w krzakach.

Czym oni się teraz zajmowali? Czy pili wino i jedli kolację u Mortona, jako wstęp do nocy pełnej namiętności? Z trudem formowałam w myślach słowa, tak bardzo bolały. Lila jutro miała kręcić; powiedziała mi kiedyś, że zawsze w przeddzień zdjęć bierze dużą porcję tabletek nasennych i kładzie się wcześniej do łóżka. Czy poprosi Treva, żeby przepisał ją z tekstu i ułożył spać? Myśl, że odnoszą się do siebie tak po koleżeńsku, nagle okazała się nieznośnie bolesna. Gorsza niż ta o seksie.

Usiadłam ciężko na łóżku; westchnęła satynowa narzutka. Przeniknęło mnie mdlące poczucie straty. Bo rozumiesz, ja za nią tęskniłam. Uświadomiłam to sobie tamtej nocy. Rzecz nie tylko w tym, że ona ukradła mi Treva; on ukradł mi ją. Ukradł moją przyjaciółkę, moją zastępczą siostrę, moje olśniewające alter ego. Niezależnie od tego, jak bardzo czułam się przez Lilę zraniona, łączyła mnie z nią silna więź. Przypominało to jakąś groteskową operę mydlaną, bardziej groteskową niż cokolwiek, co wymyślili twórcy *Guidind Light* czy *One Life to Love*. „Borykająca się z przeciwnościami losu, utalentowana aktorka, Jules, odkryła, że jej chłoptaş, Trevor, zdradza ją z piękną gwiazdą filmową, Lila Dune. Jules, w morderczym nastroju, planuje zemstę...”

Tyle że ona nawet nie była w stanie kupić żyletki, żeby poderżnąć mu gardło. Albo sobie. Albo jedno i drugie. Albo żeby ogolić nogi. Cholera, nie była w stanie nic zrobić.

Dwa

Podjęmowano już kilka prób nakręcenia nowej wersji *Dziwnych losów Jane Eyre*, tej jednej z najbardziej popularnych historii miłosnych wszech czasów. Bo w końcu, dlaczego jedynie Joan Fontaine miała skorzystać z jej szczątków? Ta nowa adaptacja uległa już czterem czy pięciu metamorfozom.

Początki sięgają połowy lat osiemdziesiątych, kiedy pewien producent, niejaki Monty Leach, wpadł na wspaniałą myśl, żeby rzecz uaktualnić, robiąc z niej musical. *Flashdance* zarobił w 1983 roku dziewięćdziesiąt pięć milionów dolarów i każdy chciał wyciągnąć z tego coś dla siebie. Leach skonstruował scenariusz przy pomocy kilku autorów, którzy przyszedli do niego z pomysłem na zupełnie inną historię, a skończyli, pisząc scenariusz, w którym pan Rochester jest sędziwym filmowym gwiazdorem, kompletnym odludkiem, mieszkającym w rezydencji na Long Island (chcieli wykorzystać plenery z *Wielkiego Gatsby'ego*). Jego żona to niegdysiejsza gwiazdka, która oszpecona w wypadku samochodowym, z własnej woli przebywa w zamknięciu, z dala od ludzi. Jane Eyre jest młodą nauczycielką tańca, którą sprowadzono, by uczyła małą Adelkę. Film miał być okraszony tańcami, w jednym z nich odziana w skórę lamparta Jane śpiewa do automatycznej sekretarki pana Rochester: „Jane do mnie mów, po imieniu mi mów, jak chcesz do mnie mów, lecz, proszę cię, zadzwoń znów”.

Ten nowy pomysł uzyskał zielone światło - ba, rozpoczęto już zdjęcia. Jednak pierwszego dnia jeden z rottweilerów pana Rochester wpadł w szal i zaatakował Jane Eyre, niemalże odgryzając jej przy tym nogę.

Zdjęcia przerwano, a studio zostało wciągnięte w proces o pięćdziesiąt milionów dolarów odszkodowania.

Pomysł przejęła inna para producentów. Ci kazali opracować opowieść, w której Jane Eyre jest zatrudniona jako au pair i ma romans z pracodawcą, nowojorskim maklerem. Było to w latach nagłego przypływu filmów o Wall Street; pan Rochester krył się w apartamencie przy Park Avenue, z szaloną byłą żoną w penthousie, a finałowy pożar ogarnął cały kwartał ulic. Gwiazdą tej wersji miał być Tom Selleck; *Trzech mężczyzn i dziecko*, niskobudżetowy film z 1987 roku, który niespodziewanie odniósł sukces, uczynił z niego najbardziej troskliwego tatusia w kraju, stąd ta konkretna wersja *Jane Eyre* miała się skończyć narodzinami dziecka jego i Jane.

Jednak jeszcze na etapie przygotowań jeden z autorów przeżył załamanie nerwowe, producentów usunięto w wyniku zamachu stanu, do którego doszło w studiu, i całe przedsięwzięcie padło. Jako niezależni, producenci przenieśli się do nowego studia z innym pomysłem. W tym *Jane Eyre* była czarna. Film miał być mocnym dramatem kostiumowym rozgrywającym się na dziewiętnastowiecznej, plantacji w Wirginii. Jane, córka zbierającego bawełnę robotnika, pracowała jako pokojówka w rezydencji pana Rochesterera. Ci sami producenci wypuścili wcześniej kontrowersyjny, zawierający sceny gwałtu obraz, a teraz, w *Jane Eyre*, pozwolili panu Rochesterowi, w ramach *droit de seigneur*, utrzymywać stosunki seksualne ze służącą. Pan Rochester został oślepiiony przez Ku-Klux-Klan (pomyłono go z kimś innym), co uczyniło go całkowicie bezradnym i uzależnionym od innych; w triumfalnym odwróceniu ról Jane opiekowała się nim i uczyła go, jak być ciepłym i czułym. „Kiedy się nie ma oczów - mówiła - wszystkie ludzie mają taki sam kolor skóry”. Film miało reklamować hasło: „Stracił wzrok, lecz odnalazł serce”, a do głównych ról proponowano Whoopi Goldberg oraz Jacka Nicholsona. Jednak i to przedsięwzięcie zakończyło się niczym, ponieważ producentów aresztowano pod zarzutem handlu kokainą, a wszystkie studia zerwały z nimi wszelką współpracę.

Dowiedziałam się tego, czytając „Variety” oraz „Screen International”. Wiele nauczyłam się o filmie podczas tych ostatnich sześciu miesięcy.

Naturalnie, przeczytałam absolutnie wszystkie wywiady przeprowadzone z Lilą. Przeglądałam tego rodzaju historie równie gorliwie, jak kiedyś przeglądałam „Guardiana”. Zmieniłam się. Nawet moje słownictwo zaczęło się zmieniać. Życie, które wiodłam wcześniej, wydawało mi się nieciekawe, ubogie i powierzchowne. Jaki sens miały lodowate sale prób, wywalczone przez związek zawodowy stawki minimalne, uczciwe przesłania w sztukach, których nikt nie chciał oglądać? Jaki to wszystko miało sens? Na miłość boską, dokąd mnie doprowadziły te uczciwe przesłania?

Człowiek wypruwa sobie flaki w Soho Poly, grając ofiarę kazirodztwa w jakimś mrocznym czeskim dramacie, przed publicznością złożoną z trzech osób, z których zresztą dwoje skryło się tam przed deszczem. Dręczy się człowiek interpretacją, haruje na próbach, zalega z długiem hipotecznym i co się dzieje? Otwiera się kłapa zsypana i wrzucają nas do śmieci.

Gdyby to był film, miałabym to, na co zasługuję. Gdyby to była *Jane Eyre*, zdobyłabym go na koniec. Byłabym Jane - cichą, myszowatą i pożyteczną, a przecież płonąca skrytą namiętnością. Równie niewidoczna jak dublerka, obserwowałabym, jak przychodzą i odchodzą, skąpane światłem reflektorów, rzucające blask Lile. Oczekiwałabym cierpliwie stosownej chwili i w końcu bym go dostała.

Życie jednak nie jest takie. Dlatego właśnie chodzimy do kina.

Zawieziono mnie na plan wczesnym rankiem następnego dnia. Kierowca miał ciemne okulary Ray Ban, ale i tak nie wyglądał na więcej niż szesnaście lat. Oświadczył, że pisze scenariusz. Powiedział, że gość, który robi przeglądy tej limuzyny, też pisze scenariusz. Dodał, że w Los Angeles wszyscy piszą scenariusze.

Włącznie z Trevem. Po jaką cholerę ktoś miałby podpisywać z nim kontrakt? Tamtego ranka miałam rozstrój żołądka; cała byłam wilgotna od potu. Czy on będzie na planie? Czy go zobaczę? Czy będzie próbował mnie unikać, czy, co gorsze, znacznie gorsze, będzie mu wszystko jedno?

Zrobiłam staranny makijaż; zostało mi jeszcze nieco godności. Kiedy jednak teraz, w samochodzie zerknęłam w lusterko puderniczki, dostrzegłam kropelki potu na nosie. Okrągłe, zamglone pudrem lusterko podrygiwało w mojej dłoni. Jak zbliżenie kamery ukazało mi mnie samą we fragmentach - oczy, wargi. Tamtego dnia to ono poświęciło mi więcej uwagi. Miałam na sobie džinsy, reeboki oraz różową, dzianą koszulkę, którą kupiłam w Bloomies, gdzie sprzedają ciuchy starannie niedbale, w stylu „mam to wszystko gdzieś”. Choć i tak nikt nie zauważał, jak ubiera się dublerka, ja przygotowałam się na tę chwilę. W Londynie ponownie nałożyłam pasemka na swoje mysie włosy; miały teraz niemal taki odcień jak włosy Lili. Pomimo tych wcześniejszych przygotowań poczułam się nagle zdenerwowana. Wkrótce miałam ich zobaczyć; wkrótce dam najbardziej bolesne przedstawienie swojego życia.

Przejechaliśmy wiele mil. Radio bełkotało o gęstniejącym ruchu:

- *...do wypadku, w którym nikt nie odniósł obrażeń, doszło na skrzyżowaniu Ciénega i Sunset... te wiadomości sponsorowała dla państwa Duma Smakosza...*

Siedząc z tyłu auta, przyglądałam się szczupłej szyi i odstającym uszom kierowcy.

- Czy Lila nie jest odrobinę za stara - spytałam - żeby grać Jane Eyre?

Wzruszył ramionami. Brylant, który miał w małżowinie usznej, błysnął w promieniach słońca.

- Ona to po prostu ten element - odparł.

Odpowiedź godna jakiegoś dyrektora! Wszyscy w Los Angeles, jak później odkryłam, mówili jak dyrektorzy. „Element” oznaczał kasowość, wielkie nazwisko - wielkiego reżysera, wielką gwiazdę. Ktoś taki był potrzebny, żeby zebrać pieniądze na film. Albo dwie gwiazdy mniejszego kalibru, z których każda stanowiła pół elementu.

Lila była elementem wielkim, w tej chwili. Jej kariera miała wzloty i upadki. W połowie lat osiemdziesiątych osiągnęła punkt najniższy, kiedy to najlepsze role przypadły młodszym aktorkom, jednak później odżyła.

Jej ostatnie trzy filmy przyniosły duże zyski; pilotażowe seanse *Okowów ciała* odniosły sukces, premiera miała się odbyć wiosną i było duże zapotrzebowanie na Lilę Dune. Widzisz... ja też potrafiłam mówić jak dyrektor.

Gdyby nie moje zdenerwowanie, tobym parsknęła śmiechem. W tej adaptacji *Jane Eyre*, przykrojonej specjalnie dla Lili, pan Rochester był multimilionerem mizantropem, a Jane Eyre była psychoterapeutką jego podopiecznej. Lila psychoterapeutką!

Czy to nie wariactwo? Tyle że nie większe od wszystkiego innego. Mdlilo mnie odjazdy samochodem; zatrzasnęłam puderniczkę i zacisnęłam oczy. Nowy Jork był miastem obłąkanym, ale to miejsce było o wiele gorsze. Pomimo słonecznej, pogodnej fasady było to miejsce szalone. Bo teraz znajdowaliśmy się w krainie filmu. Przyciągnęło mnie tutaj, bezbroną, podobnie jak planetę przyciąganą w pole magnetyczne gwiazdy. Czy wiesz, że liczba odwiedzających Muzeum Sztuki w Filadelfii szalenie wzrosła? Nikt jednak nie wchodzi do jego wnętrza; ludzie po prostu biegają w górę i w dół po schodach, bo tak właśnie robił Sylvester Stallone w *Rockym*.

Gdybyśmy znajdowali się w filmie, miałabym śrubokręty zamiast palców. Mogłabym wywiercić dziurę w sercu Treva. Oglądajcie ten film! Patrzcie, jak tryska krew!

Trzy

Sceny kręcono gdzieś za Bel Air, w rejonie otoczonych murami rezydencji. Jedne ozdobione były kolumnami; inne miały wieżyczki jak francuskie chateaux. W słonecznym blasku wyglądały równie fałszywie jak same plany zdjęciowe, a każdy był wytworem czyjejś obłąkanej wyobraźni. Ulice były szerokie i puste, a przecież prawdziwi ludzie muszą mieszkać za tymi bramami, za tymi rzędami cyprysów, które czynią z ich domów mauzolea. W niektórych garażach stały po cztery luksusowe auta. Nie mogłam wprost uwierzyć, że może być aż tylu ludzi z taką masą pieniędzy. Musiał to być dzień wywożenia śmieci; przed każdą bramą stało osiem czy dziewięć plastikowych worków; liczyłam je, kiedy przejeżdżaliśmy obok. Cóż za apetyty! Pomyślałam o Lili; leżała z rozpostartymi rękoma i nogami jak rozłożona mapa Ameryki; otwierała swoje czerwone wargi i wciągała wszystko: pochwały, uwagę, popcorn, marki-zy w polewie czekoladowej, seks-seks-seks. Chrupała to wszystko, śliniąc się i robiąc jedynie krótką przerwę, żeby wypluć pestkę: mnie.

Dom pana Rochestera wyglądał jak wprost z wrzosowisk Yorkshire - no, może jak jego hollywoodzki odpowiednik. Był dziwacznie wręcz stosowną, pseudogotycką budowlą z surowego kamienia, która należała do wiceprezesa Sanyo na Stany Zjednoczone. Ulica przed domem zapchana była furgonetkami, przyczepami i obowiązkowym zbiorem kabrioletów mercedes i golf oraz jeepów cherokee.

„...wyszedłszy na trawnik, podniosłam wzrok i obejrzałam front domu. (...) Dom był na trzy piętra wysoki, niewielkich rozmiarów, ale dość

okazały: dwór szlachecki, nie wielkopańska siedziba. (...) Szary front dworu odbijał od zielonego tła drzew, dźwigających mnóstwo gniazd wronich. Kraczące ich mieszkanki unosiły się teraz w powietrzu...”*

* Cytaty z *Dziwnych losów Jane Eyre* Charlotte Bronte w przekładzie Teresy Świderskiej (Wyd. Prószyński i S-ka 1997, za wydaniem: PIW, Warszawa 1976).

Dzisiaj też było mnóstwo kraczących mieszkańców. Wszędzie kręcili się ludzie i wywrzaskiwali do siebie pozdrowienia. Dostrzegłam Irmę, z włosami przyciętymi krótko, na führera, spieszącą dokądś z jakimiś papierami pod pachą. Technicy zajęci byli ustawianiem sceny - ujęcia na zewnątrz, przy bramie. Nie zauważyłam ani śladu Lili czy Treva.

Przed wejściem na scenę zawsze wykonywałam ćwiczenia oddechowe. To mnie uspokaja i rozjaśnia umysł. Dziesięć głębokich wdechów, dziesięć wciągniętych do płuc haustów. Człowiek czuje wtedy, jak tlen z sykiem dociera do czubków palców rąk i stóp.

Przygotowałam się już w samochodzie. Zamknęłam oczy i napełniłam płuca. Tego dnia potrzebowałam wszelkich możliwych metod samokontroli. Spokojna i obojętna powędrowałam niedbałym krokiem do przyczepy, która spełniała rolę jadalni. Udawałam, że sprawdzam, co mają tam do zaoferowania, a w rzeczywistości kątem oka zerkałam na wszystkich obecnych. Serce podchodziło mi do gardła. Obok mnie stanęła jakaś dziewczyna. Miała ładną, pustą buzię - szybko odgadłam, że jest asystentką w charakteryzatorni. Gestem wskazałam na stół. Był obficie zastawiony muesli, rogalikami, świeżymi owocami. Stało tam też sześć elektrycznych mikserów.

- Jesteście tutaj tacy szczodrzy - zagruchałam, wrzucając do miksera melona pokrojonego w kostkę i przyrządzając sobie napój. - W Anglii człowiek uważałby się za szczęściarza, gdyby dali mu byle kanapkę.

Zachwyciła się moim akcentem.

- Moja siostra spotyka się z szoferem Tracy Ullman - powiedziała. - Czyż ona nie jest bajecznie utalentowana? Widziałaś jej show w telewizji?

Pokręciłam przecząco głową i lyknęłam spienionego napoju.

- Widziałas już kogoś z obsady? - spytałam obojętnie.

Tym razem ona pokręciła głową.

- Sonny zajmuje się Lilą w charakteryzatorni, oprócz niej nikogo jeszcze nie ma.

- Z tego, co słyszałam, gra psychoterapeutkę - powiedziałam. Naturalnie znałam cały scenariusz na pamięć. Już dwa tygodnie wcześniej biuro producentów przysłało mi jego egzemplarz. Chciałam jednak usłyszeć na własne uszy wszystko, co tylko się dało.

- Ta mała jest trochę pokrecona - powiedziała dziewczyna. - Ta Adela. Bo widzisz, jej opiekun, to znaczy, pan Rochester, on daje jej absolutnie wszystko, z wyjątkiem czasu. Jak zresztą wielu tatusiów. Jak mój tatuś. To znaczy, on nie poświęcił mi czasu, który c o k o l w i e k byłby wart.

Uśmiechnęłam się.

- Cały pan Rochester. - Starłam piankę z górnej wargi. - Czytałaś może książkę, na której oparty jest film?

- To znaczy, on jest miliarderem. Jest naprawdę bogaty. I boi się jak wszyscy diabli, że ktoś mu porwie jego dziewczynkę. Jest nadopiekuńczy. Tak właśnie powiedziała mi Bikky, z garderoby. Ona zna autora scenariusza.

Zamarłam.

- Którego? Tego Anglika?

Potrząsnęła głową.

- On przyjechał tylko po to, żeby tekst doszlifować. Niby dlatego, że jest Anglikiem i że dyma naszą gwiazdę.

Odwrociłam się, udając, że się przyglądam długiej przyczepie z całym rzędem drzwi i schodków. To taki typowy dowcip, który słyszy się na planie filmowym: „Słyszeliście kiedyś o tej polskiej aktorce, która pieprzy się ze scenarzystą?”

Może tam był, w jej przyczepie. Zauważyłam Irmę wchodzącą do środka - do tego dużego, beżowego, przeznaczonego dla gwiazdy domu na kołach; cholernie wielkiego pudła z czarnymi oknami, zaparkowanego kawałek dalej przy tej samej ulicy.

Stałam chwilę, zagubiona pomiędzy tymi mężczyznami w szortach, kręcącymi się wokół z trajkoczącymi walkie-talkie. Myślałam o przewracającej

się w grobie Charlotte Bronte i o własnych rozbujanych emocjach. Zastanawiałam się, jak, do diabła, mam przez to przebrnąć.

Potem podeszła do mnie dziewczyna z biura produkcji i przedstawiła się. Miała na imię Chelsea, jak postać z jakiejś kupowanej na drogę powieści. Jej wygląd, podobnie jak pozostałych, mógł wytrącić człowieka z równowagi; była młodzieńcza, opalona i zdrowa, miała mocne, białe zęby. Zwróciła się do mnie chłodno. Podejrzewałam, że mieli pretensje o to, że sprowadzono mnie tutaj dla kaprysu Lili. Gwiazdy są takie cholernie wymagające i trudne. Wiedziałam, że muszę ją oczarować... oczarować ich wszystkich.

- Bajeczny scenariusz - szepnęłam. - Natchniona obsada.

Poprowadziła mnie do pierwszego asystenta reżysera, muskularnego, zaabsorbowanego mężczyzny o imieniu Mort. Przedstawiła mnie różnym członkom ekipy zdjęciowej, tym, którzy akurat nie byli niczym zajęci. Przygotowywali pierwsze ujęcie, przy bramie domu pana Rochester. Było to przybycie Jane Eyre na jej pierwsze spotkanie z Adelą. Miała rozmawiać przez interkom, zanim otworzy się brama i ukaże strażnika i parę owczarków alzackich.

Kręciłam się w pobliżu, czekając na Lilę, podczas gdy wzdłuż ulicy układano tory dla kamery. Słychać było stukanie młotków. Większość zespołu znała się już z pracy pizy innych filmach, niemniej nadal panowała ta przypominająca pierwszy dzień w szkole atmosfera. Tymczasem zrobiło się gorąco i zaczęłam się pocić. Przez otwartą bramę widziałam tresera szczotkującego jednego z psów. Na trawie siedziało, pałac papierosy, dwóch meksykańskich statystów, grających ogrodników.

I właśnie wtedy usłyszałam znany mi śmiech. Nie odwróciłam się od razu. Patrzyłam na umieszczoną na bramie tabliczkę, licząc otwory w służącym do mówienia, mosiężnym panelu interkomu. Jej głos przybliżył się. Nadal się nie odwracałam. Studiowałam pilnie przybitą gwoździem do bramy wywieszkę: UZBROJONA OCHRONA. Widywało się takie na wielu bramach w Los Angeles.

Odwróciłam się z uśmiechem. Lila szła ku mnie. *Wykonałam błyskawiczny obrót, uniosłam lufę pistoletu maszynowego i podziurawiłam*

ją pociskami; jej ciało eksplodowało. Nie patrzyłam na nią. Był z nią mężczyzna. Miał brodę, luźną koszulę, workowate spodnie i sandały. Indyjski szal oplatał jego szyję; domyśliłam się, że to reżyser, Hutt Sanbourn.

Objęła mnie i pocałowała w policzek. Poczułam zapach jej perfum.

- Jules, najdroższa, to wspaniałe, że znów cię widzę! Jak się masz? Dlaczego nie reagowałaś na moje telefony?

- Musiałam polecieć do Anglii - odparłam.

Wyglądała zupełnie inaczej. Przede wszystkim ubrana była stosownie do roli Jane Eyre, psychiatry. Miała na sobie surowy, szary kostium, białą bluzkę i szpilki. W rzeczy samej wyglądała jak guwernantka. Włosy ściągnięte do tyłu w gładki koczek. Ale zmieniło się coś więcej. Zeszczuplała. Jej rysy stały się bardziej wyraziste i szlachetne; odsłonił się piękny zarys twarzy. Wyglądała na spokojniejszą. Szczęśliwszą. Ścisnęło mnie mocno w środku, z rozpaczą.

Okręcając się, spytała:

- Zauważyłaś coś? - Obdarzyła mnie promiennym uśmiechem. - Żegnaj pojadanie pod wpływem impulsu. Żegnajcie pieprzone chipsy! Zrzuciłam dwadzieścia pieprzonych funtów!

Patrzyłam na jej opaloną, rozpromienioną twarz. Nie zauważyła, że ja również zeszczuplałam, z całkowicie odmiennego zresztą powodu. Patrzyłam na jej szerokie usta. Teraz całował je Trev. Nie moje... jej. Z krwią ściętą w żyłach, jak oczarowana wyobrażałam sobie jego twarz ześlizgującą się w dół tego ciała, które przelotnie widziałam u Saksa. Widziałam, jak się ślini z nosem w jej pachwinie. W Stanach nazywają to *przekąską na dywanie*.

- Jak ci się podoba? - O coś mnie pytała.

- Co?

Pytała o mój hotel. Tymczasem Hutt, reżyser, objął ją ramieniem, obdarzając i mnie swoją łaskawością tego pierwszego dnia. Zresztą ludzie zawsze byli dla mnie mili, kiedy byłam z Lilą. Byłam dodatkiem do niej, jej totumfacką. Jej przynosiła („przynies to, przynies tamto”). Po prostu jego szeroki, zachęcający uśmiech obejmował i mnie.

- Jest nam pani potrzebna tutaj, panno Dune - zwrócił się do niej. - Przesunęliśmy punkt startu. Wysiada pani z samochodu, o tam, a potem podchodzi do bramy tutaj i mówi do tego urządzenia.

Zadałam jej pytanie.

- Hm? - Nie dosłyszała.

Odchrząknęłam.

- Czy jest tutaj Trev?

Pokręciła głową.

- Poszedł na wyścigi konne ze swoim dilerem. - Roześmiała się. - Jest już jedynym facetem w Los Angeles, który bierze narkotyki. On jest po prostu szalony! - Z całej jej postaci promieniowała pobłażliwość. - Już zdążył skasować swój samochód.

Nie widziałam Treva tego dnia ani następnego. Wydawało się wariacstwem, żeby to właśnie on szlifował scenariusz. Chyba żadna wytwórnia nie wynajęłaby kogoś, kto ma w dorobku jedną sztukę i to wystawioną w teatrzyku nad pubem? Chyba że, jak by to ujęła Lila, byli kompletnymi k u t a f o n a m i. On był tutaj - podobnie zresztą jak ja - bo ona to załatwiła. Był po prostu jej chłoptasiem.

Przez kilka pierwszych dni nie było dość czasu, żebym mogła z nią porozmawiać. Kręciliśmy ujęcia na zewnątrz, na terenie posiadłości pana Rochestera. Była tam taka scena pomiędzy Jane i Adelą, w której dziewczynka, wrogo nastawiona i zamknięta w sobie, nie chce z nią rozmawiać. - „Jesteś jak wszyscy inni”, mówiła do Jane. „Odejdziesz jak wszyscy inni”. Była też inna scena. Pan Rochester i Jane przechadzali się po jego ogrodzie - najpierw panorama z dźwigu, potem plan amerykański i zbliżenia. Chociaż rozmawiali tylko o postępach w terapii Adeli, z podtekstu wylaniał się ów ogromny pociąg, jaki do siebie od czuwali.

Obserwowałam to bardzo uważnie. Lila, naturalnie, była absolutnie źle obsadzona. Tak samo jak Joan Fontaine. Obie były zbyt urodziwe. To ja powinnam była zagrać Jane. Ja, wieczna outsiderka, niewyszukanie,

acz porządnie odziana, „gdyż w całej swojej garderobie nie miałam niczego, co by nie było jak najprościej uszyte...” Ja, która, zgodnie z powieścią, usiłowałam zadowolić na tyle, na ile pozwalały niedostatki urody. „Żałowałam niekiedy, że nie jestem ładniejsza; pragnęłam niekiedy mieć żywszą cerę, prosty nos, drobne, koralowe usta”. Czy, by zachować ścisłość, zadarty, koci nosek oraz szerokie, soczyste usta.

To jednak była nowoczesna Jane Eyre, kobieta, która wybrała drogę zawodowej kariery. Nie wyszła za mąż, bo całkowicie poświęciła się swojej profesji, robiąc karierę w bezwzględnym, konkurencyjnym, zdominowanym przez mężczyzn świecie. Sto lat temu nazywano je starymi pannami; teraz nazywano je osobami wolnymi. Zamiast uczyć Adele programu szkolnego, uczyła ją samoświadomości; zamiast czytania, pisania i rachowania było tylko jedno wielkie Ja. Ja-ja-ja. W istocie scenariusz ujawniał, że to panu Rochesterowi najbardziej była potrzebna terapia. Był miliarderem, który nie tylko zabarykadował swój dom, ale i własne uczucia. Jego pierwsza żona, uzależniona od heroiny, zamknięta była w odosobnieniu na górze, kiedy jednak przedawkowała, spaliła dom i oślepiła pana Rochester, a to wyzwoliło go emocjonalnie i połączyło z Jane.

Niedorzeczne, prawda? Nie bardziej jednak niedorzeczne niż wszystko inne. Nie bardziej szalone niż film o facecie ze śrubokrętami zamiast palców. Kiedy nazajutrz zrobiliśmy przerwę na lunch, usiadłam na filmowym trawniku. W Kalifornii nawet trawa wydawała się nierzeczywista; była gąbczasta, zmierzwiona i sprężysta jak przeszczepione włosy. Przekartkowałam „Hollywood Reporter”. Był tam artykuł o przygotowaniach do jakiegoś teleturnieju, który nazywał się „Rozwód”. „Znajdujące się w separacji pary będą rywalizować o przyznanie opieki nad dziećmi. Producent mówi: «Zamierzamy stworzyć widowisko rodzinne, do śmiechu i do płaczu»,».

Lila jadła lunch z reżyserem. Przez całe popołudnie, kiedy tylko nie przebywała na planie, zajęta była garderobą, reklamą oraz długimi próbami z dziewczynką, która grała rolę Adeli. Nie miałam szansy z nią porozmawiać.

Naturalnie lękałam się tej rozmowy. Cokolwiek powie, będzie to dla mnie bolesne. Czy powie mi, że to przelotna miłośćka, czy że to miłość jej życia, będę tak samo zdruzgotana. Niemniej, coś mnie przyciągało jak tańczącą wokół kobry manguście; robiłam maleńkie wypadki do przodu, chociaż wiedziałam, że jedno ukąszenie może być śmiertelnie niebezpieczne.

Ostatnie ujęcie tego dnia kręcono przy basenie. Podczas gdy Adela pluskała się w wodzie, pan Rochester przygotował dla Jane drinka z tequila i opowiadał jej, że Adelka jest córką jego dawnej przyjaciółki, tancerki z Broadwayu, która porzuciła dziecko i uciekła z perkusistą. Przygotowanie ujęcia zajęło sporo czasu. Siedziałam przy stojącym obok basenu stoliku z dublerem pana Rochester, sympatycznym aktorem w średnim wieku o imieniu Ivan. Powiedział, że wyciągnął się z alkoholizmu. Gawędziliśmy przez chwilę o tym i owym, a wokół nas pracowali pospiesznie kamerzyści. Choć słońce już zachodziło, wilgotność powietrza nie zmalała. Podrapałam miejsce po ukłuciu komara na kostce nogi. Ivan wspomniał, że ma mieszkanie w Wenecji i że ćwiczy na plaży dla kulturystów. Zrecznie skierowałam rozmowę na Lilę.

- Prawda, że wygląda niesamowicie - oznajmiłam - teraz, kiedy zeszczupiała.

- Zadaje się z jakimś Anglikiem - odparł. - Szaleją za sobą. Przyjaciół, z którym mieszkam, parkuje samochody dla gości w Spago i widział ich tam oboje wczoraj wieczorem. Powiedział, że z trudem się powstrzyma, żeby się nie obmacywać przy ludziach.

Zareagowałam uprzejmie:

- Naprawdę?

- Wsiedli do jej auta i zaczęli się obcałowywać jak nastolatki.

Milczałam chwilę.

- W jej wieku to chyba drobny przejaw braku godności, prawda?

- Widziałaś jej samochód? - spytał. - Pełen jest rzeczy niezgodnych z przepisami o ruchu drogowym.

Roześmiałam się leciutko. Obserwowałam żuka, który wędrował po kamiennych płytach. Kiedy był już bardzo blisko trawy, wyciągnęłam stopę i rozgniotłam go.

* * *

Byłoby nieprawdą, gdybym powiedziała, że Lila mnie unikała. Wyglądała promiennie, wydawała się nieustannie czymś zaabsorbowana i zajęta. Krótko mówiąc, była zbyt szczęśliwa, by zauważać moje istnienie. Było oczywiste, że nie ma pojęcia o jakimkolwiek związku, poza przypadkową znajomością, pomiędzy Trevem a mną. Zupełnie nie potrafiła udawać; była jedną z najbardziej prostolinijnych osób, jakie znałam. Poza tym od tak dawna już ją zgłębiałam, że potrafiłam czytać z wyrazu jej twarzy.

Mówiąc wprost, uległa przeobrażeniu. Nie potrzebowała mnie już, była zbyt zaangażowana uczuciowo. Obserwowałam ją, jak żartuje z panem Rochesterem, kiedy zajęli nasze miejsce, siadając na fotelikach przy basenie. Roześmiała się, kiedy wpuszczono jej mikrofon pod bluzkę. Dziewczyna od makijażu - ta z ładną, pustą twarzyczką - przejechała pędzelkiem po jej twarzy; facet od włosów - o skórze w kolorze kawy z końskim ogonem - zebrał niesforne pasemko jej włosów i przypiął do koku. Lila miała na sobie luźne spodnie, bluzkę do kompletu oraz szeroki, podkreślający szczupłą talię pas. Podrapała się w kostkę. Może ukłuł ją mój komar, może opił się mieszanką naszej krwi. Może ona zachoruje na zakażenie krwi i umrze.

Rozległ się ostrzegawczy dzwonek.

- Proszę o ciszę! Akcja na dalszym planie...

Adela ześlizgnęła się do basenu i zaczęła w tę i w tamtą rzucać piłkę. Ogrodnik pchał taczkę przez trawnik. Wyżej, w domu, pokojówka zamknęła okno.

- i... akcja!

Rozpoczęła się ta scena. Jane i pan Rochester zaczęli rozmowę. Tym razem Lila nauczyła się tekstu ze swojej pomocy. Obserwowałam do cięcia, potem następne ujęcie, cięcie, jeszcze jedno. Przy każdym ujęciu w oknie pojawiała się pokojówka, na podobieństwo kukułki w zegarze. Stojąc tam, pod eukaliptusowym drzewem, przyglądałam się wydłużającym się cieniom i czułam, jak się pogrążam we wściekłości i frustracji.

Co ja robiłam w tej parodii powieści, którą tak kochałam? Kiedy byłam dziewczynką, to ona przecież wyrażała wszystkie moje marzenia i tęsknoty. Mój ojciec przerabiał z uczniami *Dziwne losy Jane Eyre*; czytany przeze mnie egzemplarz należał do serii Everyman Classic i był tym, który on wielokrotnie przeglądał i na który nanosił swoje spostrzeżenia. Marginesy zapisane były poczynionymi ołówkiem uwagami w rodzaju: „Dlaczego? Zobacz str. 240”. Jego refleksje przemieszane były z moimi budzącymi się dopiero nadziejami.

A teraz pan Rochester pił drinki z tequila i palił pall maile. W wyniku przebiegłego wykorzystania filmu dla reklamy produktu należąca do Adeli puszka pepsi panoszyła się na trampolinie. Jane Eyre przyjechała chevroletem i opowiadała o problemie związanym z odrzuceniem we wczesnym dzieciństwie.

Cóż, u diabła, się działo? Wszystko zostało zdruzgotane, każdy cholerny drobiazg, nawet *Jane Eyre*. Pięć miesięcy wcześniej wyszłam na ulicę w swojej srebrnej sukience. Byłam dobrą wróżką, która mogła poprosić o spełnienie własnych trzech życzeń. Dlaczego, och, dlaczego chciałam, żeby się ziściły? Gdybym tylko tamtego dnia nie wyszła, Trev nadal by mnie kochał.

Cztery

Poszłam do firmy Budget i wynajęłam samochód. Był to mały, dwudrzwiowy ford, najtańszy, jaki mieli. Pojeździłam nim jakiś czas, żeby się zorientować, gdzie jestem w tym ogromnym, rozciągniętym nieludzko nie-mieście. Podobnie jak wszystkie amerykańskie konurbacje, Los Angeles jest rozplanowane jakby dla imbecyli, na bazie siatki, jednak tym, co naprawdę może człowieka zmylić, są odległości. Te całe sto mil kwadratowych to jeden nieustannie płynący, błyszczący nurt samochodów. Minęło pół godziny, a ja praktycznie nie widziałam drugiej istoty ludzkiej. Już dość dziwacznie było mi, kiedy wędrowałam na piechotę; w aucie czułam się zupełnie odcięta od świata. Przejeżdżałam obok restauracji Wendyburger i Pizza Hut i centrów fitnessu, obok szkoły średniej, przed którą wystawiono ogromną plastikową tablicę; wypisano na niej różne planowane wydarzenia, zupełnie jak usługi oferowane w Holiday Inn. Wszystko to odsłaniało się przede mną niczym film i miało jego słoneczny połysk. W samochodzie człowiek jest bierny i odseparowany, zwolniony od odpowiedzialności; siedzi w fotelu kierowcy jak w kinie. Może robić cokolwiek i któż się o tym dowie? Ostatnio na autostradzie doszło do kilku strzelanin - zupełnie przypadkowe zabójstwa. Powtarzano taki dowcip: „Skarbie, kryj się, bo zmieniam pas ruchu”. Pojechałam Santa Monica Boulevard, obok drapaczy chmur Century City. Gdybym zobaczyła Treva, posiekałabym go kulami, potem wcisnęła gaz i hej, już by mnie tam nie było!

Na kolanach miałam rozłożony plan Los Angeles. Domyślasz się, dokąd jechałam. Był ranek czwartego dnia zdjęć i aż do lunchu nie byłam

tam potrzebna. Żeby dojechać do domu Lili, musiałam skręcić w lewo, przejechać przez Beverly Hills, minąć kilka przecznic na Sunset Boulevard, po czym skręcić na Doheny Drive i skierować się na północ.

Trev mieszkał u Lili. Istniała szansa, że oboje będą w domu; z charakteru pracy sobowtóra wynikało, że moje wolne przedpołudnie było również wolne dla Lili. Niemniej, teraz, kiedy miałam czym dojechać, byłam gotowa podjąć to ryzyko. W końcu zamierzałam jedynie rzucić okiem.

Ja, nerwowa? Całkowicie spokojna skręciłam w lewo i pojechałam Maple Drive, obok białych, sennych rezydencji stojących na szmaragdowych trawnikach. W blasku słońca wyglądały równie nierealnie jak domy z marzeń. Wyglądały jak coś z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Od farby, którą były pokryte, bolały oczy. Kiedy Trev się wprowadził? Na początku grudnia? Jeszcze wcześniej? Musiał tu przylecieć już jakiś czas temu. Czy byli przez pewien okres jedynie przyjaciółmi, czy też natychmiast zapłonął ogień? *„Z trudem się powstrzymują, żeby się nie obmacywać przy ludziach”*. Trev działał szybko. Jak długo zatem trwało, zanim zaczęli się rżnąć? Pieprzyć. Grzać. Szczypały mnie oczy. Chyba płakałam. Jak mówiłam, w samochodzie człowiek może robić wszystko i nikt tego nie zauważy. Jechałam dalej, obok rzędów wysokich, nieznanym mi drzew, które rosły wzdłuż ulicy. Ich cienie kładły się przede mną jak pasy czarnego aksamitu; ich pnie były tak gładkie i blade jak ludzka skóra. Kiedy zamykałam oczy, śniłam ten krajobraz w technicolorze; nocą dom Lili przybierał tyle kształtów i rozmiarów, że ujrzenie tego prawdziwego mogłoby wywołać u mnie wstrząs. Czy go rozpoznam z któregoś ze swoich ponurych nocnych koszmarów? Przewinęłam te swoje sny, czując ich smak w gardle, patrząc, jak głowa Treva pojawia się i znika w oknach niczym kukułka w zegarze. W *Jane Eyre* wszystko to strawiły płomienie.

Chryste, ależ było gorąco. Radio informowało, że, jak na styczeń, są to rekordowe temperatury. Pot spływał mi strużką pomiędzy piersiami; moja koszulka miała mokre plamy. *Dżentelmeni śpią po mokrej stronie*. Trev tak faktycznie robił; jako kochanek był zaskakująco troskliwy. Czy już to mówiłam?

Pojechałam wzdłuż Sunset i skręciłam w Doheny. Ulica szła ostro pod górę, zakolami podążając ku kanionom. „Laurel Canyon - powiedziała Trevovi - ta biuściasta gwiazdka, która tak podziwia twoją pracę”. Czyż nie byłam niemądra? Żeby myśleć, że wystarczy zwyczajna gwiazdka.

Niektóre domy wychodziły na ulicę; inne otaczał mur. Nad ogrodzeniem pieniała się bujna zieleń - bugenwilla, a także jakieś krzewy, których nie znałam, z dużymi, skórzastymi liśćmi. Zwolniłam, szukałam numerów. Domy kryły się za elektronicznie sterowanymi bramami; zauważyłam tabliczki z napisem „Uzbrojona ochrona”. Mieszkali tutaj sławni ludzie; ludzie tak zamożni i tak przerażeni, że podobnie jak pan Rochester, wynajmowali uzbrojonych ochroniarzy, by wozili ich dzieci do szkoły. Przecież strzela się do gwiazd, czyż nie? Nie tylko na filmach. Strzelali na Rockefeller Plaza; był jeszcze jeden incydent, tutaj, w Los Angeles, mniej więcej przed tygodniem. Jakaś telewizyjna gwiazdka; jakiś maniak. Któż jednak miałby się lękać mnie? Samotnej kobiety w samochodzie. Nie zamierzałam nikogo skrzywdzić, prawda?

Dojechałam. Zwolniłam, serce tłukło mi się w piersi. Jej dom krył się za oślepiająco białym murem i za białą, metalową bramą. Numer się zgadzał, owszem. Przepisałam go z listu, który znalazłam w jej nowojorskim apartamencie.

Niewiele widziałam, mur był zbyt wysoki. Ulica była kompletnie pusta. Z lewej strony, na podjeździe, stała furgonetka; cała drużyna ogrodników, odziana w zielone uniformy, pracowała w milczeniu. Robili desant na domy, niczym wietnamskie szwadrony śmierci. Jeden z nich sprzątał zwiędłe liście czymś, co przypominało przemysłową dmuchawę. Poza tym najmniejszego śladu życia.

Wyłączyłam silnik. Niewiele widziałam ponad krawędzią muru. Dostrzegłam dach oraz najwyższą kondygnację. Dom był zbudowany w stylu hiszpańskim. Z tą karbowaną, terakotową dachówką, w udawanym wiejskim stylu. Białe ściany; fantazyjne, metalowe kraty wokół okien, szczyty jakichś łuków. Obfitość kwitnącej, pnącej się w górę roślinności. To wszystko, co byłam w stanie dostrzec.

Wysiadłam z auta, zamknęłam cicho drzwi i przeszłam przez jezdnię. ZAPARKOWANE SAMOCHODY ZOSTANĄ ODHOLOWANE, informował znak. Było bardzo gorąco. W krzakach piłował jakiś owad, zupełnie jak obłąkany skrzypek. Ulica była tak dokładnie wymieciona, że robiła wrażenie, jakby żadna istota ludzka nigdy nie postawiła na niej stopy. Czulałam się całkowicie odsłonięta.

Stałam chwilę, przyglądając się bramie. Wyobraziłam sobie, jak się otwiera, z elektronicznym westchnieniem; wyobraziłam sobie wyjeżdżającego w kabriolecie Treva. Obok niego siedziała Lila z powiewającymi blond włosami.

Nogi ugięły się pode mną. Stałam nieruchomo, jak jelen, z przechyloną głową; nasłuchiwałam. Czy to czyjś głos? Gdzieś w oddali zaświergotał telefon, potem umilkł. Ktoś musiał go odebrać. Poczulałam zapach - czy były to perfumy Lili czy też kwiaty? Podarowała mi kiedyś perfumy, raz. Wilgotnym palcem dotykałam wtedy pulsujących punktów na przegubach dłoni. Teraz zaś ją dotykał Trev; kilka jardów ode mnie, dosłownie w tej chwili.

- Czy ma pani jakiś problem?

Nie usłyszałam samochodu; musiał podjechać z tyłu. Pierwsze, co do mnie dotarło, to ten głos. Tymczasem obok mnie zatrzymał się policyjny wóz patrolowy. Jego okno było opuszczone, a policjant zwracał się do mnie. Miał szeroką, rumianą twarz.

- Ma pani jakiś problem? - spytał ponownie.

Musiałam coś tam wyjąkać. Zupełnie tego nie pamiętam. Pewnie sądzili, że jestem szalona, skoro tak sobie stoję na ulicy. Bo co niby mogli pomyśleć? Że jestem skrytobójczynią?

Pospieszyłam z powrotem do samochodu, zapaliłam silnik i odjechałam. Zjechałam na sam dół Doheny niewłaściwą stroną jezdni. Zdałam sobie z tego sprawę dopiero w chwili, w której skręciłam na Sunset Boulevard. Roztrąbiły się klaksony; samochody omijały mnie łukiem, ktoś wrzeszczał.

Wzruszyłam ramionami. Z ust wydobył mi się chichot - dziwaczny, wysoki świergotliwy dźwięk podobny do tego, jaki wydają te maleńkie małpki - marmozety.

Pomyślałam: Nie jestem w stanie nic zrobić. Nie jestem w stanie chodzić. Nie jestem w stanie zaparkować. Ani wysiąść z tego cholernego

auta. Cholera, nie jestem w stanie nic zrobić.

W Nowym Jorku ludzie stawali pośrodku ulicy i mamrotali coś do siebie.

Pamiętasz tę książkę? Jane Eyre jest ogromnie zazdrosna o narzeczoną pana Rochesterera, Blankę Ingram. Pierwszy raz widzi Blankę, kiedy ta para przyjeżdża konno do Thornfield. Czasy się zmieniły. Blanka miała teraz na sobie strój od Ralphi Laurena, a ujęcie kręcono na plaży w Santa Monica. Uprawiająca właśnie jogging Jane Eyre spostrzega jadących konno brzegiem pana Rochesterera i Blankę. W tej uaktualnionej wersji Blanka Ingram jest polującą na męża rozwódką, która pracuje dla należącego do pana Rochesterera towarzystwa naftowego jako konsultantka od public relations. Bezwzględna i ambitna, chce zdobyć zarówno jego majątek, jak i miejsce w zarządzie jego wartej miliony dolarów korporacji.

Przyjechałam w chwili, kiedy wyprowadzono konie z przyczepy. Lila podeszła do mnie. Zaczerwieniłam się. Głupio z mojej strony... bo niby skąd ona mogła wiedzieć, gdzie byłam tego ranka? Ubrana była w dres w gołęzim, szarym kolorze - pamiętasz, że był to kolor Jane Eyre? Popijała prosto z kartonu sok pomarańczowy Minute Maid.

- Cześć, skarbie - powitała mnie. - Gdzie się podziewałaś? Jejku, ależ jestem wypompowana.

Nie spytałam dlaczego. Stałyśmy tam, obserwując, jak aktorka grająca Blankę dosiada połyskującego, karego konia. Ten grzebał niespokojnie nogą, rzucał głową.

Lila rzuciła kartonik do kubła na śmieci. Nie wyglądała na wypompowaną. Wyglądała cudownie. Włosy miała zebrane do tyłu w koński ogon; blask bił od jej policzków. Trev miał odmładzający wpływ na starsze kobiety; sama byłam tego dowodem. Nie ulega wątpliwości, że był lepszy niż jej treningowy rowerek.

- Czemu mi się tak przyglądasz?

Wzdrygnęłam się. Patrzyła na mnie.

- Nic takiego - odparłam i się odwróciłam.

Kręcenie tej sceny trwało długo. Wszelkie sceny ze zwierzętami są

nieprzewidywalne, a w tym wypadku oprócz dwóch koni, był także pies pana Rochester, Pilot. Był to wilczur, który zaczynał szczekać zawsze, kiedy tylko konie ruszały cwałem. Po każdym ujęciu musieli grabić plażę, żeby zlikwidować ślady kopyt. Wydawało się, że minęły całe godziny, podczas których konie galopowały, a Lila biegała.

Ostatecznie udało się zrobić zbliżenia, ukazujące na twarzy Lili jej reakcję na widok szczęśliwej pary. Stojąc nieopodal, obserwowałam ją baczniej niż jakakolwiek kamera. Nikt, nawet sam reżyser, nie oglądał jej tak jak ja. Hutt Sanbourn był dość wrażliwym człowiekiem i miał opinię reżysera dającego aktorom wiele swobody, takiego, który nie narzuca swojego sposobu myślenia, ale który wydobywa z aktorów ich własne interpretacje. Widziałam wyraźnie, że praca z Lilą nie przynosi mu satysfakcji. Jej powiernikiem była kamera, tę kochała, niemniej w samej grze nie było żadnej głębi. Kiedy obserwowała przejeżdżających nieopodal kochanków, jej twarz nie wyrażała nic. Odwracała jedynie głowę, podążając za nimi wzrokiem, zupełnie jak widz na meczu tenisowym w Wimbledonie. Mrugała tylko przy tym i marszczyła zadarty nos. Widziałam, że Hutt jest sfrustrowany.

- Spróbujmy raz jeszcze - powiedział. - Dobrze, panno Dune?

Gdybym tylko ja mogła tam wkroczyć! Pokazałabym jej. Pokazałabym im wszystkim. Spójrzcie na mnie! - miałam ochotę zawołać. Chcecie zobaczyć wściekłość, rozpacz oraz upokarzającą zazdrość? Chcecie obejrzeć prawdziwe odegranie roli, z głębi serca?

Odwróciłam się zdegustowana i poszłam nalać sobie kubek kawy. Nie jadłam lunchu, głodu jednak nie czułam. Co Lila mogła wiedzieć o bezsilności? Cóż, do diabła, mogła wiedzieć o zazdrości? To było śmiechu warte.

Nie byłam w stanie jej oglądać. Usiadłam na schodkach do przyczepy charakterystorni i patrzyłam na ocean. Nabrzmiące fale połyskiwały oleście.

Ktoś się roześmiał. W przyczepie opowiadali sobie dowcipy o kierowcach ciężarówek. Poszukałam w torebce papierosów. Plaża była jedynym miejscem publicznym w Kalifornii, gdzie wolno było palić.

- Skąd wiadomo, że kierowca nie żyje?

- Bo pączek wypada mu z ręki.

I znowu się roześmiali. Ja patrzyłam na piasek naznaczony odciskami końskich kopyt.

- Jak kierowca proponuje kobiecie seks?

- Cofnij, cofnij.

Szukając na ślepo zapalek w torebce, zacisnęłam dłoń na czymś nieregularnym i metalowym. Było to kółko z kluczami. Wyjęłam je.

Naturalnie wiedziałam, co to takiego. To były klucze do apartamentu Lili; bo ostatecznie ich nie oddałam.

Siedziałam tam nieruchomo, spoglądając na roziskrzoną słońcem powierzchnię wody. Na plaży, daleko ode mnie, czarny mężczyzna wykonywał ćwiczenia tai chi; powoli wyciągnął rękę, a potem nogę.

Nie wiem, jak długo tak siedziałam. Pamiętam żar słońca i guzowatą twardość kluczy w mojej dłoni. Ścisnęłam je; wbijały się w moją skórę. Były zaskakująco ciężkie. Zamierzałam oddać jej te klucze, dlatego właśnie włożyłam je do torebki. Naprawdę zamierzałam. Dlaczego niby miałabym je zatrzymać?

Potem pamięta się takie punkty zwrotne. Kiedy spoglądałam wstecz, widzę co najmniej trzy. Jeden, kiedy Eric wyszedł z tamtego sklepiku w Londynie, pałac to swoje krótkie cygaro. Drugi to owa chwila u Saksa, kiedy Lila przypadkowo zauważyła przyszc. I jeszcze jeden, kiedy podniosłam się, żeby oddać jej klucze.

Skończyli zdjęcia. Zebrała się grupka ludzi i Lila dawała właśnie swój autograf dziewczynce trzymającej na ramieniu wrotki. Coś przy tym powiedziała i wszyscy się roześmiali obłudnie. Dziesięć do jednego, że nie było to zabawne. Potem ich zostawiła i spoglądając na zegarek, poszła w kierunku swojej przyczepy. Podeszłam do niej z kluczami w ręku.

- Spóźnia się - oznajmiła. - Łobuz.

- Kto?

- Te. Powiedział, że będzie o czwartej. - Pod wpływem impulsu wzięła mnie pod rękę. - Wiesz co? Cholernie dużo ci zawdzięczam. Wiesz, że

jesteś moim Kupidynem? - Ścisnęła moje ramię. - Kiedy nas sobie przedstawiłaś, już w tamtej chwili wiedziałam, że to coś wyjątkowego. Znaczący się, ta chemia! Łup! - Ściągnęła taśmę i rozpuściła włosy. - Jakiś czas nie robiliśmy, myślę, że to było dla nas za mocne. Bo widzisz, nigdy wcześniej mi się to nie przydarzyło, nie w taki sposób, a wiesz dlaczego? Bo nie byłam gotowa. Nie byłam wystarczająco dojrzała. Dlatego wklepałam się w te pozbawione jakichkolwiek perspektyw związki ze starszymi mężczyznami. I chcę ci podziękować, bo to właśnie ty mi pomogłaś. Musiałam coś na to odpowiedzieć, bo ona mówiła dalej. Patrzyłam, jak odprowadzają konie; jeden z nich się zatrzymał, podniósł ogon i złożył na piasku stos parującego łajna.

- ...nauczyłaś mnie, jak być sobą, jak się wyzwolić. Być niezależną, jak sądzę. To coś, co zawsze podziwiałam w tobie i czego nauczyłam się od ciebie...

Trajkot, trajkot. Patrzyłam na unoszącą się z łajna parę.

- ...rozumiesz, przedtem zawsze czułam się tak, jakby była we mnie jakaś próżnia. Uczyłam się na pamięć tekstu, ale nie miałam nic do powiedzenia, nie miałam żadnej tożsamości. Ty dałaś mi pewność siebie. To właśnie chcę ci powiedzieć. I teraz, kiedy mam dla siebie szacunek, potrafię naprawdę oddać się uczuciowo mężczyźnie...

Jak długo zamierzała tak paplać, ta głupia zdzira? Ocean zamazywał się i tańczył przed moimi oczyma, niczym miraż. Nic nie było bezpieczne. Odwróciłam się, żeby nie mogła widzieć mojej twarzy.

Ekipa się pakowała. Gość z firmy cateringowej wyciągał plastikowe worki z pojemników na odpadki i włókł je do swojej furgonetki. Wszystkie te styropianowe kubki; wszystkie te śmieci. Używali cię, a kiedy już im nie byłaś potrzebna, wyrzucali jak zużytą chusteczkę higieniczną. To właśnie robili.

Kiedy doszłam do siebie, odwróciłam się ponownie. Lila poszła do swojej przyczepy i zamknęła drzwi. Patrzyłam na beżowe, karbowane aluminium i na metalową klamkę. Niczego nie zauważyła. Szczęście uczyniło ją ślepa i bezwzględna. Nie przyszło jej w ogóle do głowy, żeby zapytać o mnie, o to, jak poznałam Treva. Wcale mnie nie słuchała; nawet nie dostrzegła wyrazu mojej twarzy.

Włożyłam klucze do torebki. Nie wiem dlaczego. Byłam wtedy po prostu zbyt rozgniewana, żeby je oddać. Może chciałam mieć w ręku coś potężnego, trzymać to coś w rezerwie jak ostatni, schowany pocisk do rewolweru.

Z trzaskiem zamknęłam torebkę. To był ten trzeci punkt zwrotny.

Kilka minut później spotkałam Treva. Z początku nie słyszałam jego samochodu, ponieważ w pobliżu ładowano na ciężarówkę sprzęt i było przy tym sporo łoskotu i pokrzykiwań. Tamtego dnia chyba wszyscy byli w świetnym humorze; może to za sprawą oceanu. W pewnej chwili jeden z techników, gość, którego nazywali Shorty, odwrócił się i pokazał coś ręką.

W naszym kierunku pędził po piasku samochód. Było to czarne por-sche, kabriolet. Z bocznym poślizgiem zatrzymał się nieopodal. Trysnęły fontanny piachu. Usłyszałam łomot głośnej muzyki. I ostatnie dźwięki przyspieszonych obrotów silnika.

Z auta wyskoczył mężczyzna. Miał ciemne okulary, ubrany był w roboczą, flanelową koszulę i dżinsy.

To ciekawe. Tygodniami człowiek wyobraża sobie, że coś się zdarza; odgrywa tę rzecz wielokrotnie w myślach, w przeróżnych dekoracjach. Z sercem mocno bijącym w oczekiwaniu przeprowadza te próby bez końca. A przecież, kiedy już wreszcie do tego dochodzi, staje się to zupełnie nieoczekiwane. Okazuje się, że nigdy nie można być przygotowanym; rzecz dzieje się tak szybko, że człowiek nie nadąza sam za sobą.

Stanęłam za ciężarówką ze sprzętem, żeby mnie nie zauważył. Przebiegł obok, kierując się do przyczepy Lili. Wyglądał na niższego niż ten, którego pamiętałam; miał dłuższe włosy i, mój Boże, zebrane w kucyk. Drzwi przyczepy otwarły się i wyszła z nich Lila. Potknęła się na schodkach, odzyskała równowagę i rzuciła się w jego ramiona.

Grzebałam w torebce w poszukiwaniu papierosa. Dłonie nie były mi posłuszne; nogi miałam jak z waty, czułam, jak uginają się pode mną.

Może się nie zataczałam. Może wyglądałam całkowicie normalnie. Usłyszałam swoje imię.

- Hej, Jules!

Szli ku mnie oboje. Wznosili się i opadali, jakby to było we śnie. Trev miał mocno opaloną twarz. Nie widziałam jego oczu, skryte były za ciemnymi okularami. Zarost zdecydowanie gęściejszy.

- ...wy, mężczyźni... - usłyszałam Lile. - ...wreszcie doprowadzić do tego spotkania...

Trev czekał z wyciągniętą w moim kierunku ręką. Patrzyłam na nią przez chwilę. Co ona tam robi?

Ucisnęłam ją. Skórę miał ciepłą i suchą. Czy on się w ogóle nie de-nerwował?

- Jak się miewasz? - zapytał. Głos miał taki, jak trzeba... uprzejmy, przyjacielski. - Dawno się nie widzieliśmy.

- U mnie wszystko w porządku - odpowiedziałam.

- Zatem dotarłaś wreszcie do słonecznego Los Angeles - oświadczył.

- Podobnie jak ty.

- Dobrze ci idzie? - zapytał.

- Świetnie.

- Podoba mi się ta opalenizna. - Mówił do mnie jak do znajomej.

Zapadło milczenie. Furgonetka firmy cateringowej zaryczała silnikiem i odjechała.

- Myślałam, że masz na karku chomika - rzuciłam.

Uśmiechnął się i pomacał kucyka palcami.

- Dopiero się rozwija - oznajmił. - Wkrótce będzie już poważnym doświadczeniem w dziedzinie stylizacji fryzur, jesteśmy tym bardzo pod-ekscytowani.

Następna chwila milczenia. Stał tam, zadowolony z siebie, kołtuński kutafon, palce splecione z palcami Lili. Nad nami krążyły kwilące mewy.

- Mówiłem ludziom, jaką świetną jesteś aktorką - powiedział. - Na tym wczorajszym przyjęciu, u George'a Lucasa.

- Jak to miło z twojej strony - powiedziałam.

Odwrócił się do Lili.

- Widziałem Jules na scenie, w Londynie. Była fantastyczna.

Zamilkliśmy. Mewy pikowały i dziobały rozsypane odpadki.

- Widzę, że nadal zapominasz o goleniu - odezwałam się uprzejmie.

- Żebyś wiedziała - roześmiała się Lila. - Mam czasem wrażenie, że trę skórą o tarkę do sera.

Trev odchrząknął. Nie mogłam na niego patrzeć. Wzrok miałam skierowany na jego robocze buty.

- No tak - powiedział. - Wspaniale było znów cię zobaczyć.

Lila trąciła go w bok.

- Hej, głuptasie, to wszystko, co potrafisz powiedzieć? Gdyby nie Jules... - Zwróciła się do mnie. - Zabierzemy cię na kolację, już wkrótce.

- Ponownie odwróciła się do Treva, dotknęła nosem jego policzka. - Prawda, skarbie?

- Jasne.

Zaczęli odchodzić.

- Do zobaczenia - zawołał Trev. - Trzymaj się.

Pamiętam, że potem szłam długo wzdłuż Ocean Avenue. Było ciemno. Krwistoczerwone słońce już dawno schowało się za oceanem. Ekipa filmowa zniknęła; zupełnie jakby jej nigdy nie było. Plażę objęła w posiadanie noc. Widziałam jedynie fosforyzujące jarzenie na wodzie. Robiło się chłodno. Sygnał dla pieszych zachęcał mnie świergotem do przejścia przez jezdnię, ja jednak powlokłam się do ławki stojącej na niewielkim skwerku. Ławka była betonowa i ktoś wymalował na niej ogłoszenie reklamowe. NARKOTYKI. BANKRUCTWA. ROZWODY. BARNEY TOVEY. ADWOKAT.

Usiadłam na zimnym betonie, pomiędzy BANKRUCTWAMI a ROZWODAMI. Po drugiej stronie ulicy znajdował się cały ciąg oświetlonych restauracji. Dostrzegłam kuchnie niektórych z nich; za taflą szkła kręcili się odziani na biało szefowie, mieszały sosy. W Los Angeles nie chodzi się do teatru, zamiast tego ludzie przyglądają się, jak inni przygotowują dla nich kolację. „Zabierzemy cię na kolację, już wkrótce”. Gdzieś tam Trev i Lila napychają się jedzeniem, łapczywie. Zjadają się nawzajem.

Przestałam już liczyć wypalane papierosy. Szeroka jezdnia, na której panował spory ruch, odgradzała mnie od tych restauracji. Kiedy już się zostaje wyrzutkiem, człowiek zauważa nagle, że nie jest samotny. Santa Monica pełna była bezdomnych włóczęgów. Na podobieństwo karaluchów wychodzili nocą. Żebrali na ulicach, ich twarze pojawiały się nagle w świetle samochodowych reflektorów; przemykali pomiędzy pojazdami, pchając przed sobą wypełnione dobytkiem sklepowe wózki.

Siedziałam tam odrętwiała. Usłyszałam za sobą odgłos łopotania. Jakiś mężczyzna rozkładał swoje plastikowe posłanie. Ze zdumieniem stwierdziłam, że jest w pól do dziewiątej. Na całej długości skweru ludzie układali się w mroku do snu. Leżeli pośród juk, mamrocząc swoje żale do gwiazd. Owinięci w upiorny, szary plastik robili wrażenie kokonów. Gość od miksowania dźwięku powiedział mi, że pracował przy *Kokonie* czy też przy *Kokonie 2*.

Włóczyłam się tak bez końca, niezdecydowanie rozglądając się za swoim samochodem. Zapomniałam, gdzie go zaparkowałam. Do pnia palmy przymocowana była tabliczka: „Urwisko grozi osunięciem: korzystanie z parku na własne ryzyko”. Prowadzące w dół, na plażę, schodki były popękane i połamane. Tutaj, na Zachodnim Wybrzeżu, nic nie było stabilne; wszystko, co niegdyś stanowiło dla mnie pewny punkt oparcia, usunęło się spod moich stóp. Teraz byłam na pustyni. Przykryli ją tu i ówdzie plastikową trawą, ale mnie to nie zwiódło.

Następną rzeczą, jaka dotarła do mojej świadomości, był świergot telefonu. Przebudziłam się ze wzdrygnięciem. Leżałam w łóżku, w swoim hotelowym pokoju. Była północ.

- Jules?

To był Trev.

- Posłuchaj, Jules - wyszeptał. - Przepraszam za dzisiejsze popołudnie, czułem się jak ostatnia łajza. Chciałbym wszystko wyjaśnić. Nie pracujesz w czwartek po południu, prawda? Co powiesz na filiżankę dobrej herbaty w Czterech Porach Roku? O czwartej, dobrze?

Pięć

Romans rozpoczynaj w hotelu Warwick, bo panuje tam intymna atmosfera. Kończ go zaś w Plaza, bo jest to na tyle eksponowane miejsce, że nie dojdzie między wami do bójki. Ktoś mi coś takiego kiedyś powiedział. Hotel Cztery Pory Roku w godzinach popołudniowej herbatki jest miejscem jak najbardziej eksponowanym. Któż rozpocząłby bójkę pośród wykwintnych filizaneczek z herbatą Earl Grey? Wszystko sobie zaplanował ten drań.

Tamtego ranka ubierałam się z nadzwyczajną starannością. Twarz miałam ściągniętą; rozpacz pozbawiła mnie seksowności; postarzała w zastraszający sposób. Nie byłam w stanie znieść tego, co miał mi do powiedzenia.

Stałam pośrodku dywanu. Czulałam się wycieńczona, a przecież jeszcze go nie spotkałam. Do spotkania brakowało dziesięciu godzin. A co, jeśli mi powie, że to z Lilą to nic poważnego, że ją po prostu wykorzystuje, żeby wkręcić się do branży filmowej? Czy mogłabym mu uwierzyć? Co, jeśli powie, że to był jedynie szalony skok i że ostatecznie przecież wraca do mnie?

Było mi słabo. Wsunęłam na rękę jeszcze kilka bransoletek i wyszczotkowałam włosy. Setny już raz zadałam sobie pytanie: Co zrobiłaby Lila, gdybym powiedziała jej prawdę, że przez dwa minione lata Trev i ja byliśmy kochankami? Jak by zareagowała? Czy wściekłaby się, że ją okłamał i przy okazji, pokazał, iż zdolny jest okłamać ją ponownie? Czy byłoby jej przykro z mojego powodu i zerwałaby z nim? Czyby mi po prostu powiedziała parafrazą Lemmona z *Garsoniery*: „Takie pieprzone

jest to życie, słodziutka. Kruszy się jak ciasteczko”? Zdradzili mnie straszliwie, oboje.

O siódmej pojechałam na plan. Kręciliśmy scenę przy Rodeo Drive. Jane Eyre wchodzi do jubilera, gdzie mają jej zreperować pasek od zegarka. Kiedy ona stoi przy ladzie, pan Rochester oraz Blanka podjeżdżają pod sklep jaguarem XJ-S, kabrioletem, parkują, wchodzi do środka i wybierają pierścionek zaręczynowy. Moglibyście pomyśleć, że to mało prawdopodobne, żeby psychoterapeutka reperowała sobie pasek w Van Clees & Arpels, ale tak to właśnie pomyślano.

Oświetlenie tej sceny stanowiło nie lada problem, jako że sklep był istną jaskinią Aladyna, wypełnioną klejnotami. Mrugały one do mnie; raziły w oczy. Godzinami stałam przy tej ladzie, z dłońmi spoczywającymi na szklanym blacie. Jon, operator, wykrzykiwał polecenia do Andy'ego, głównego oświetleniowca, i do jego kręcących się wszędzie podwładnych. Ci biegali tu i tam, ściągając ze swoich T-shirtów klamerki do bieleziny i przypinając nimi, gdzie trzeba, przeróżne ekrany i filtry.

- Mam refleksy od tego naszyjnika, przesuńcie go w lewo... Nie stracie tego kawałka białego papieru, tam obok kasy...

Tracę cię, miłości mojego życia.

Stałam tam, odrętwiała, jak krowa czekająca na rzeź.

- *Więc jesteś aktorką? - Trev obchodzi wokół mój salonik, bierze do ręki książki, przegląda. Dzinsy ma podarte na kolanach. - To znaczy, że powinienem cię znać?*

- *Tylko jeżeli sobie tego życzysz.*

Błysk uśmiechu.

Przy mojej twarzy światłomierz, impertynencko wręcz blisko. Dlaczego mi to robią? Może powinnam coś do niego mówić? Chryste, ale upał. Dusłam się.

- *Masz ochotę na coś mocniejszego? Na zewnątrz stoi moja furgonetka.*

Udawana obojętność. Mocno bijące serce.

- *W porządku. Coś szybkiego.*

Byłam zupełnie nieobecna duchem. Wokół mnie, w oświetlonych niszach, pyszniły się wysadzone klejnotami zegarki. Ich wskazówki znieruchomiały. Po drugiej strony lady stał aktor grający sprzedawcę. Mówił

coś do mnie, z bardzo daleka. Słowa, które do mnie docierały, były zupełnie inne.

- *Pozwól, że zgadnę. Dżin z tonikiem?*

- *Szklaneczkę piwa.*

- *Ach, kobieta mych marzeń! Cale życie cię szukałem.*

Wokół mnie łotali i stukali. Wycie wiertarki Black & Decker przewiercało mi czaszkę. *Ja nawet nie lubiłam piwa. Pilam je jedynie po to, żeby mieć w sobie ten sam płyn, co facet, który sprzedawał mi te swoje nadstawki kominowe. Czy nie byłam głupia?*

- *Dobrze się czujesz?*

Czyjaś rozmazana twarz, bardzo blisko mojej.

Posadzili mnie na chwilkę. Myśleli, że jestem chora. Wyglądało na to, że teraz jest tam i Lila. Tęgo ranka wydawała się szczególnie kokieteryjna; tryskała taką satysfakcją seksualną, że byłam w stanie wyczuć to węchem. Flirtowała z Grantem, asystentem operatora. Zawsze flirtowała z asystentami operatora, już bardzo dawno to zauważyłam. Oni byli z nią tam z frontu, przed kamerą; oni byli chętnymi współnikami w jej zmysłowym związku z obiektywem. Obrzydliwe, prawda?

Zabrzmiał dzwonek ostrzegawczy. Zaczęli ujęcie. Lila wygłosiła swój tekst do sprzedawcy, pokazując mu przy tym zegarek. Ktoś chyba przyniósł mi szklanekę wody; musieli to zrobić, bo trzymałam ją w ręce. Z tyłu sklepu grupka osób skupiła się przy monitorze. Ich twarze rozświetlał dziwny siny blask.

Trev, krąży po restauracji, z serwetką przewieszoną przez rękę.

- *Czy już jest pan gotów zamówić, sir? - Przechodzi od stolika do stolika w tym swoim czarnym garniturze.*

Przypatruję mu się. Zaśmiewam się, zasłaniając dłonią usta.

Drzwi się otwarły i kamera wykonała obrót, kiedy Lila odwróciła się, żeby spojrzeć na pana Rochesterera i na Blankę. Dwójka ta weszła do sklepu roześmiana, trzymając się pod rękę. Członkowie ekipy przyglądali się im z powagą i w milczeniu, niczym zebrani wokół stołu operacyjnego chirurdzy.

* * *

Kiedy nadeszła pora lunchu, nie mogłam nic zjeść. Poszłam do przyczepy, żeby poprawić sobie makijaż. W środku siedział Sonny, jadł piekaną bułeczkę i na swoim przenośnym telewizorku oglądał *Kocham Lucy*. Można było na nim polegać; posadził mnie przed lustrem i wyciągnął swoje pudry oraz pędzelki.

- Masz randkę? - spytał. - Ktoś wyjątkowy?

Uśmiechnęłam się tajemniczo. Nie poprawił mi makijażu, miał na to zbyt dużo zawodowej dumy. Zafundował mi pełen program; czarna jak sadza oprawa oczu, wymodelowane kości policzkowe. W kącie zapomniana Lucille Ball zasypywała słowami Desiego Arnaza.

- Masz fantastyczną twarz - oznajmił Sonny. - Mnóstwo w niej charakteru. Nie rzuca się natychmiast w całości w oczy. Można by rzec, że ujawnia swoje sekrety powolutku. Marzyłem, żeby dorwać się do niej.

Cofnął się i popatrzył na mnie z dumą, niczym kucharz spoglądający na doskonale wyrośnięty suflet.

- Swoją robotę zawsze potrafię rozpoznać - powiedział. - Niektóre statystki nie zmywają jej całymi dniami, poprawiają jedynie każdego ranka. Kiedyś spotkałem taką na Melrose Avenue. Powiedziała mi: „Dbam o swoją inwestycję”.

Podziękowałam mu, wyszłam i ruszyłam wzdłuż Rodeo Drive. Tego popołudnia nie byłam już potrzebna, kręcili sceny z panem Rochesterem i z Adelą. Miałam trzy godziny do spotkania w Czterech Porach Roku.

Czułam lęk; napływał falami, zalewał mnie, a potem się cofał; wycieńczył mnie. Po obydwu stronach Rodeo Drive znajdowały się sklepy - Armani, Valentino, Christian Dior. Zaparkowane rolls-royce'y comiche oraz range rovery błyszczały w słońcu. Kierowcy stali oparci o auta sztywno jak lalki. W skrzyniach na rośliny kwitły kwiaty; były tak doskonałe, jakby zrobiono je z plastiku. Ulica miała w sobie coś z nierealności miasta zabawek. Kiedy byłam małą dziewczynką, okropnie bałam się dentysty, jako że w tamtych czasach wizyta u niego wiązała się z cholernym bólem. Czas ją poprzedzający miał w sobie taką samą wypolerowaną

sztuczność; czekający mnie ból odseparowywał mnie od przechodniów, którzy zajmowali się własnymi sprawami, odgradzeni od mojego przeżycia, równie milczący, kolorowi i niewinni jak ryby w akwarium.

Skręciłam w Olympic Boulevard i weszłam do domu towarowego Nieman Marcus. Był pełen zamożnych kobiet, niemających co robić z czasem. Pokręciłam się wokół, z twarzą sztywną i rozgrzaną pod maską z kosmetyków. Może Trev mnie nie rozpozna; może się we mnie zakocha, całkiem od nowa.

Poszłam do stoiska z bielizną. Wszystko tam było z jedwabiu i strusich piór, wszystko kosztowało około trzech tysięcy dolarów. Może Lila robiła tutaj zakupy. Jakież blondynki macały bieliznę; miały napięte, wilcze twarze jak Joan Rivers. „Jasne, że miała operację plastyczną; sam pociąłem wszystkie jej karty kredytowe”. Wkrótce Lila będzie gotowa na swoje pierwsze podcięcie i podciągnięcie. Nawet gwiazda filmowa nie jest w stanie zatrzymać zegara. Miała przecież tę polską babunię z luźno zwisającą skórą na dłoniach. Chichotałyśmy obie w przebieralniach, jakbyśmy były siostrami.

Obok działu z bielizną znajdował się odgradzony sznurem bar z przekąskami - nazywał się Rynek Świeżości. Tam też natknęłam się na te kobiety o cienkiej jak papier skórze; grzebały widelcami w sałatkach o niskiej zawartości sodu. Usiadłam. Podszedł kelner. Był niewysokim, smagłym mężczyzną; na identyfikatorze wypisane miał imię J e z u s .

- Na co ma pani dzisiaj ochotę? - zapytał.

Pomyślałam: cud. Gdyby Trev siedział obok mnie, uśmiechnąłby się i rzucił lekko: „Może ze dwa bochenki chleba i trochę ryb?”

Nagle poczułam, jak mi go rozpaczliwie brak. Jak brak mi tych jego dowcipów.

Jeżus stał i czekał, bawiąc się notesikiem, w którym zapisywał zamówienia. Wyglądał na zażenowanego. A to dlatego, że zaczęłam płakać. Cichutko, niemal bezgłośnie.

Czyż nie byłam głupia? Żeby tak zrujnować cały ten wspaniały makiż.

* * *

Z wejściem do Czterech Pór Roku poczekałam do dziesięć po czwartej. W końcu miałam przecież jakąś godność.

Hotel stał niedaleko Rodeo Drive, na rogu Burton i Doheny. Całe tamto popołudnie spędziłam, włócząc się po nasłonecznionej okolicy, odczuwając przy tym mdłości. Tak dobrze znałam Treva; mogłam precyzyjnie odgadnąć, co zamierza powiedzieć. A jednocześnie w ogóle go nie znałam. Nie teraz. Przemyślałam już sobie tyle przeróżnych scenariuszy rozmowy, że aż kręciło mi się od tego w głowie. Te moje powtórki kompletnie mnie zdezorientowały.

Cztery Pory Roku były luksusowym, otoczonym zielenią hotelem. Wyobrażałam sobie tyle jego wersji, że ta prawdziwa mną wstrząsnęła. Kiedy tam przybyłam, ogrodnicy sadzili właśnie na grządkach ozdobną kapustę. Długie limuzyny z westchnieniem zatrzymywały się przed wejściem; wszędzie kręcili się pośpiesznie gońcy hotelowi, ich koledzy parkowali auta. Obok drzwi wejściowych znajdowała się mosiężna tabliczka, ostrzegająca mnie, że Trev jest w środku. „NIEBEZPIECZEŃSTWO. Ten teren skażony jest związkami chemicznymi, które, zgodnie z dostępną wiedzą, powodują raka, wady wrodzone oraz inne szkodliwe dla procesu rozrodczego zaburzenia”. Zabawne, nieprawdaż, że istniało prawo zakazujące palenia, ale nie było takiego, które zabraniałoby posiadania magazynu z pistoletami maszynowymi i karabinami Kałasznikowa, którymi można rozwalać ludziom mózgi. Mózg Treva, na początek. Szalona kraina, ta Ameryka. W końcu i mnie doprowadziła do szaleństwa.

Hol był wyłożony marmurową posadzką, stały tam stoliki z rzeźbionego kamienia oraz ogromne, podświetlone, wypełnione liliami czary. Z głośników płynęły dźwięki koncertu na lutnię Vivaldiego. Najwyraźniej Trev uważał, że należy pozbyć się mnie w stosownym stylu.

Weszłam do toalety, poprawiłam uczesanie i obejrzałam swoją napiętą, połyskującą twarz. Nałożyłam nieco pomadki i wróciłam do holu. Słyszałam bicie swojego serca. Po lewej stronie miałam przeładowany salon, pełen obitych kremowym jedwabiem sof, luster oraz obelisków.

Był pusty, jeśli nie liczyć strzałki z napisem „Odprawa dot. strategii Microsoftu”. Gdzie Trev?

Spytałam recepcjonistę o drogę, a ten skierował mnie na drugą stronę holu. Na miękkich nogach przeszłam pod lukiem do baru. Rozejrzałam się. Ani śladu Treva. Jeszcze nie dotarł.

Usiadłam przy stoliku. Pomieszczenie było eleganckie, z fortepianem, dyskretnym, umieszczonym w niszach oświetleniem oraz z ludzającym oko trójwymiarowością malowidłem ściennym. Podszedł kelner, a ja zamówiłam czajniczek herbaty Darjeeling, na dwie osoby.

Uniosłam rękę, żeby spojrzeć na zegarek. Moja dłoń drżała. Była 16.15. Leżąca na stoliku broszurka informowała mnie, że jestem w „oazie intymności i spokoju, gdzie niezrównana obsługa Czterech Pór Roku chroni każdą chwilę gościa i dba, by była ona przyjemna”.

W sali znajdowała się jedynie garstka gości. Przy stoliku obok siedziała jakaś pełna energii Żydówka oraz dwóch młodych mężczyzn.

- Tu chodzi o relacje międzyludzkie - mówiła właśnie kobieta - a ja dodałam jeszcze problemy środowiska.

Czy Trev powinien mnie zobaczyć, jak czytam od niechcienia książkę, czy też jak spoglądam w przestrzeń? Młodzi mężczyźni opowiadali tej kobiecie, że podziwiają jej pracę i że może przydać całemu przedsięwzięciu odpowiedniej ostrości. Powiedzieli, że temat jest jak najbardziej na czasie. Ona miała matowe, czarne włosy przewiązane wstążką w grochy; ubrana była w czarny żakiet i spodnie oraz białe reeboki. Powiedziała, że odkąd ma dzieci, jej pisanie nabrało bardziej dramatycznego charakteru.

- Posiadanie dwojga dzieci jest, by tak rzec, fundamentem rzeczywistości.

Była 16.20. Przyniesiono herbatę; pętla koncertu na lutnię rozpoczęła się od nowa. Trev zawsze się spóźniał; ileż to razy w przeszłości z niecierpliwością czekałam na niego? Ileż razy odzywała się we mnie podejrzliwość? Naturalnie, nigdy nie dałam mu tego poznać. Otworzyłam powieść Ma Angelou i udawałam, że czytam, tyle że druk skakał jak szalony przed moimi oczyma.

Zaświergotał telefon. Podskoczyłam. Kobieta otworzyła obszerną torbę na zakupy i wyjęła z niej swój aparat. Przez jedną szaloną chwilę myślałam, że to dzwoni Trev. Że ona poda mi telefon ze słowami: „To do pani”.

Tymczasem kobieta mówiła do telefonu:

- Spotkanie się jeszcze nie skończyło, Max. Zadzwoń może do Nicky'ego Steina i zaproś go, żeby zagrał. To daj mi Fionę...

Była 16.25. Do baru wszedł jakiś mężczyzna. Zamarłam. To jednak nie był Trev. Przeszedł przez salę i wszedł do ogrodu.

- Fiona? - spytała kobieta. - Idź do mojego gabinetu, naciśnij guzik numer sześć na telefonie, połączysz się ze Steinami i spytasz Nicky'ego, czy zechce przyjść i zagrać. - Odłożyła telefon do torby i powiedziała do towarzyszących jej mężczyzn: - Jestem nowoczesną gospodynią domową. - Roześmiali się, a ona dodała: - Przemyszę ten temat w aspekcie poważno-komicznym.

Zaczęli rozmawiać o swoich ulubionych skeczach z Monty Pythona. Ludzie w Los Angeles zawsze rozmawiali o swoich ulubionych skeczach z Monty Pythona. Jej podobało się Ministerstwo Głupich Kroków, a im Martwa Papuga. Była 16.40. Ta część była przeznaczona dla palących i wypaliłam już trzy papierosy, stwarzając tym samym zagrożenie dla możliwości rozrodczych zarówno swoich sąsiadów, jak i własnych. Wypiłam dwie filiżanki herbaty. Filiżanka, za każdym razem, gdy ją odstawiałam na spodeczek, dzwoniła jak zęby o zęby.

Przyglądałam się dużej, oprawnej w skórę teczce, która kryła mój rachunek. Była ciężka jak książka z biblioteki. O piątej przyznałam wreszcie przed sobą, że on nie przyjdzie, ten nędzny, rozczulający się nad sobą tchórz. Wobec czego zapłaciłam i wyszłam.

Trev zadzwonił tego wieczoru, kiedy byłam już w łóżku.

- Gdzie się, do diabła, podziewałeś? - spytałam.
- Przepraszam - powiedział. - Szczerze.
- Dlaczego się nie pojawiłeś?
- Zamierzałem - odparł. - Szczerze. Słowo.
- Myślisz, że siedzenie tam sprawiało mi przyjemność?

- Słuchaj, nie mogę zbyt długo rozmawiać. - Przerwał, by ciągnąć po chwili ściszym głosem. - Już wyruszyłem. Wsiadłem do auta i w ogóle. A potem pomyślałam: I jaki to ma cel?

- Jaki cel?

- Dokąd by nas to zaprowadziło? Obwinialibyśmy się nawzajem. Ty byś się zdenerwowała.

- Zdenerwowała? - Aż mi dech zaparło. - Mój Boże, twój dobór słownictwa... - Nabrałam powietrza. - Posłuchaj, musimy porozmawiać.

- Wolalabyś nie słyszeć tego, co mam do powiedzenia.

- Co masz na myśli?

- Po prostu byś nie chciała.

- Proszę cię bardzo - powiedziałam - sprawdź mnie.

- Słuchaj, wiedzieliśmy, że ostatecznie nic z tego nie będzie.

- Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć?

- Wiesz, co chcę powiedzieć.

- Nie wiem. Co?

Usłyszałam, jak nabiera powietrza. Miał to przygotowane.

- Kiedy uświadomiłem sobie, że na pierwszym miejscu stawiasz karierę, że jest ona ważniejsza niż twoje życie ze mną...

- Ty podły łgarzu! - wrzasnęłam. - To ty zaproponowałeś, żebym pojechała do Ameryki...

- Zawsze byłaś dla mnie zbyt wykształcona, dobrze o tym wiedziałas. No, przyznaj się. Jeśli masz tyle uczciwości. Posłuchaj, Jules, znajdziesz sobie kogoś bardziej odpowiedniego do własnego poziomu. Jesteś niewiarygodnie atrakcyjna...

- Wszchemogący Jezu! Ta protekcyjność!

- To ty byłaś zawsze protekcyjna - powiedział. - Ty mnie zawsze analizowałaś, wywoływałaś u mnie poczucie niższości...

- To kłamstwo! - zawołałam.

- Teraz znalazłem kogoś, kto się nie wywyższa, kto mnie po prostu kocha...

- Od kiedy jesteście ze sobą?

- Słuchaj, to nie mnie zależało na przyjeździe tutaj. Chcę, żebyś to wiedziała. - Wyczułam w jego głosie symulowaną szczerość. - Skontaktowało się ze mną jej biuro. Niby co miałem zrobić?

- Mogłeś mi o tym p o w i e d z i e ć ! - wrzasnęłam. - Kiedy to wszystko się zaczęło? Zanim pojechałeś do Szkocji?

Westchnął.

- Dlatego właśnie uważałem, że nie powinniśmy się spotykać. Bo i jaki w tym sens? Ty byś tylko krzyczała i wrzeszczała...

- Nie robiłabym tego!

- Posłuchaj, Jules. Wiesz, że zawsze będę ci wdzięczny, nie czujmy do siebie urazy...

- Urazy?

- Może, kiedy to się skończy, nadal będziemy przyjaciółmi...

- P r z y j a c i ó ł m i ? Ty gówniany łgarzu! Ty draniu! Nawet jej o nas nie powiedziałeś!

- Nie mogę z tobą rozmawiać, skoro tak się zachowujesz - powiedział i odłożył słuchawkę.

Wyskoczyłam z łóżka, pogrzebałam w torebce, żeby znaleźć swój notes z adresami, i odszukałam numer Lili. W tej chwili wściekłości nagle było mi wszystko jedno, czy ona pozna prawdę. A niech tam. Zobaczy, jaki z niego łotr.

Wybierałam jej numer, ale był bez przerwy zajęty. Ten skurwiel musiał zdjąć słuchawkę z widełek.

Sześć

Nazajutrz zachowywałam się zupełnie normalnie. Reszta obsady grała, ale nie masz pojęcia, jak ja tam grałam! Dla wszystkich byłam miła, byłbyś ze mnie dumny. Gawędziłam pomiędzy ujęciami, wymieniałam dowcipy ze Scottem, jednym z techników, i cierpliwie wysłuchiwałam inspicjentki, która opowiadała, jak zrobić sałatkę z pokrojonych w kostkę warzyw. Kręciliśmy w Stanowym Parku Historycznym imienia Willa Rodgersa, pięknym górzystym regionie na północny zachód od Los Angeles. Świeciło słońce. Właśnie kręcili delikatną i znaczącą scenę, w której Jane Eyre, odziana w ponętny kostium z epoki, złożony z góry od bikini oraz obcisłych białych szortów, zażywa przechadzki. Z powodu Blanki Ingram ma oczy pełne łez. No i jak myślisz? Przypadkowo spotyka pana Rochesterą, który łowi na wędkę ryby i który właśnie w tym momencie wyciąga dwudziestofuntowego łososia, świeżo dostarczonego tego samego dnia ze sklepu rybnego Gelsona.

Zawsze byłam dumna, że potrafię nad sobą panować. Tamten głupi wybuch podczas telefonicznej rozmowy - Jules nie powinna była tego robić. Siedziała tam wtedy, trzęsąc się, w swoim pastelowym pokoju hotelowym; wydmuchiwała nos w chusteczkę higieniczną. Jak mogła być tak głupia? Już tak się nie zachowa.

Fedra była pierwszym filmem, w którym kobieta naprawdę płakała. Pamiętasz to? Melina Mercouri i spływający z jej twarzy makijaż. Wyglądała męsko i brzydko; wyglądała prawdziwie.

Obserwowałam Lilę. Zajęła moje miejsce na występie skalnym. Stała tam nieruchomo, ujmowano ją z profilu. Wiatr powiewał jej włosami; na

policzkach błyszcząły glicerynowe ły. Wyglądała słodko i przepysznie jak w reklamie szamponu. Żadna z niej Mercouri, ani trochę. Ta głupia zołza nie potrafiłaby zagrać, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Cóż ona mogła wiedzieć o rozpacz?

Treva nie było w pobliżu. W przerwie na lunch rozstawiono na parkingu, kawałku wylanej asfaltem ziemi z tablicą „Punkt widokowy”, stoły na kozłach. Usiadłam obok Chelsea, tej dziewczyny z biura produkcji. Rozrywała paznokciami wielkie krewetki.

- A gdzie jest ten Anglik? - spytałam niedbałym tonem. - Jakże on się nazywa?

- Trevor Parsons? Jest w biurze, pracuje nad przeróbkami.

- To znaczy, że dzisiaj się tutaj nie pojawi?

Pokręciła głową.

- Przykuliśmy go do biurka.

Nie wiedziałam, czy mam odczuwać ulgę czy rozczarowanie. Spojrzałam w kierunku miasta; spowite w smog, ciągnęło się aż po horyzont.

- Pracuje nad wielką sceną miłosną pomiędzy Jane a panem Rochesterem - powiedziała, przeżuwając krewetkę. - Wiesz co? Na początku nie bardzo rozumiałam, po co go sprowadzono. Nie miał żadnego doświadczenia. Hutt był nieźle wkurzony w związku z tym.

- Wkurzony?

- No tak, aż go roznosiło. Ale ten Trevor jest bajeczny! Wszyscy są zadowoleni z jego pomysłów. W tym, co pisze, jest mnóstwo energii. Jest nastrojowo i erotycznie. Hutt mówi, że przypomina mu to wczesnego Sama Sheparda. - Oblizła palce, wszystkie po kolei. - Zresztą wygląda trochę jak Shepard, nie uważasz? Włącznie z tymi roboczymi koszulami od Calvina Kleina. Założę się, że zostawił w Anglii kilka złamanych serc.

- Na pewno - zgodziłam się, wpatrując w butelkę wody mineralnej. Od końca stołu dobiegł mnie śmiech Lili.

Jak Trev mógł mnie tak zaatakować? „Lila się nie wywyższa, nie analizuje mnie, po prostu mnie kocha”. Była jedynie niewykształconą kobietą z klasy robotniczej i tyle. Najwyraźniej on nie był w stanie podołać

subtelniejszemu wyzwaniu. Nie potrafił podłać inteligentnej kobiecie, takiej jak ja. Był na to za mało męski. Nie było go stać nawet na to, żeby się ze mną spotkać w Czterech Porach Roku.

Nie zamierzałam płakać. Nie teraz... już zresztą nigdy. Nie dla mnie spływający makijaż à la Mercouri.

Tamtego dnia skończyliśmy wcześniej, o czwartej. Musiałam porozmawiać z Trevem. Spokojnie i rozsądnie. Musiałam uratować z własnej godności to, co jeszcze było można. Nie pozwolę mu się tak wywinąć. Czy naprawdę sądził, że można mnie tak łatwo spławić, po tych dwóch latach?

Lila zostawała dłużej; jakaś dziennikarka z „Redbook” przeprowadzała z nią wywiad. Bez wątpienia Lila opowiadała jej o swoim cudownym, nowym związku z priapicznym Trevorem Parsonsem oraz o tym, jaki to on jest wspaniały w łóżku. Łup! Ta chemia pomiędzy nimi! O tym, jak odzyskana pewność siebie pozwala jej oddać się uczuciowo mężczyźnie. Jak każdej kobiecie potrzebny jest młodszy mężczyzna; dostarcza o wiele więcej uciechy niż lifting i jest dwakroć skuteczniejszy!

Wsiadłam do samochodu i zjeżdżałam w dół wijącą się górską drogą. Słońce zaczęło zachodzić. Nagle zrobiło się chłodno. Noc w Los Angeles zapada szybko. Czy ta głupia krowa nie zdaje sobie sprawy z tego, że on ją wykorzystuje, tak jak wykorzystywał mnie? Ja jej tego nie powiem, o nie! Niech odkryje to sama! Jechałam już przez zamieszany teren. Droga była pocięta przez osuwającą się ziemię, niemniej po obydwu stronach stały ogromne rezydencje. Miały stajnie, domki dla służby, wieże i wieżyczki. Tutaj, powyżej linii smogu, te nieruchomości warte były miliony. Mogło to uderzyć do głowy takiemu człowiekowi jak Trev, który dorastał w domu z ubikacją na zewnątrz. Pierwszy krok - ja. Drugi - Hollywood. „Ich nieruchomości oraz wszelki inny dobytek postrzegany jest jako odbicie ich jestestwa”, przeczytałam w jakimś czasopiśmie. „Zamożni Amerykanie cieszą się dzisiaj standardem życia odpowiadającym splendorowi, jaki był udziałem średniowiecznych papieży”.

Skreśliłam w Sunset Boulevard. W tej godzinie szczytu był zapchany pojazdami. Jechałam brawurowym slalomem pomiędzy nimi; zdążyłam do hotelu Hyatt. Biuro produkcji zajęło tam kilka apartamentów pierwszego piętra; tam też Trev miał swoje biurko.

Dokładnie zaplanowałam to, co chciałam zrobić. Wejdę niby po egzemplarz harmonogramu zdjęć w następnym tygodniu. Wpadnę przypadkiem do gabinetu Treva, wyrażę zdziwienie, że go tam widzę, i jakby nigdy nic, zasugeruję wspólnego drinka u Barneya. Był to duży bar w stylu macho - coś, co Trev lubił, ze stołami do bilarda, tysiącem gatunków piwa oraz z tabliczkami głoszącymi mądrości w rodzaju „Fortuna kołem się toczy”. Byłam tam kilka wieczorów wcześniej, z okazji urodzin szefa produkcji.

Zaparkowałam przed Hyattem i przeczesałam włosy. Jak ten drań mógł się tak wyłączyć w połowie rozmowy? Zatrzasnęłam drzwi auta mocno jak gliniarz i pomaszerowałam ku wejściu do hotelu. Przecwiczyłam sobie kilka mówek i ostatecznie wybrałam właśnie tę. Wiem, co masz na myśli, Trev... bo widzisz, ja też się zakochałam! Nie mogłam ci tego powiedzieć przez telefon. Chociaż chciałam; chciałam się tym z tobą podzielić. Łup! Ta chemia. To niewyobrażalne, seks jest wręcz zadziwiający, niepodobny do niczego, co znałam wcześniej. Czy nie jest cudownie, kiedy to się w końcu zdarzy? Spotkałam go w Nowym Jorku, w pewnej restauracji w Greenwich Village; ma na imię Clayton. A teraz przyjechał za mną do Los Angeles, bo nie możemy znieść rozłąki. Może kiedyś spotkamy się w czwórkę. Jestem taka szczęśliwa! Ze względu na siebie i na ciebie.

Pojechałam na piętro windą i zapukałam do drzwi biura produkcji. Było puste, jeśli nie liczyć jednej z sekretarek, Mary-Beth. Rozmawiała właśnie przez telefon.

- Wpadnie tutaj po dzienne raporty - powiedziała, zerkając na zegarek. - Przylatuje z Nowego Jorku, z kompozytorem. - Zadzwoił drugi telefon; rzuciła się do niego i zaczęła rozmawiać z Cyem, szefem od plenerów.

Z tego pokoju prowadziło gdzieś dalej troje drzwi. Dwoje było zamkniętych. Odetchnęłam głęboko w ramach tych swoich poprzedzających występy ćwiczeń.

Mary-Beth podniosła na mnie wzrok.

- Nic ci nie jest?

Pokręciłam głową.

- Który to jest pokój Parsonsa?

Wskazała ręką.

- Tamten. Ale właśnie się z nim rozminęłaś. - Uśmiechnęła się po-
błaźliwie; podobnie uśmiechała się Chelsea, kiedy mówiła o Trevie.
Najwyraźniej ścinał z nóg kalifornijskie kobiety. - Powiedział, że dziś jest
ich rocznica.

- Ich co?

- Minęły cztery miesiące od dnia, w którym poznał Lilę. Pojechał do
jej domu; planuje kolację niespodziankę.

Wzruszyłam ramionami.

- Rozumiem. - Zamilkłam na chwilę. - Cóż, wobec tego zostawię mu
karteczkę.

Uządlona do żywego, pospieszyłam do jego gabinetu. Ich rocznica! A
kiedy on pamiętał o naszej rocznicy? Nigdy, za cholere. Z okazji
pierwszej rocznicy zamówiłam kolację w Orso, on jednak zupełnie o tym
zapomniał i poszedł na popijawę z jakimś swoim kumplem budowlań-
cem. Musiałam odwołać tę zamówioną kolację. O drugiej nad ranem
wślizgnął się do mojego łóżka, chichocząc przy tym: „Zaprawiłem się z
ekspertem od zaprawy murarskiej”.

Usiadłam przy jego biurku. Miałam przed sobą oprawione w srebrną
ramkę zdjęcie Lili oraz karton papieru maszynowego. Stała tam też jego
stara maszyna do pisania marki Olympia; najwyraźniej przywiózł ją ze
sobą z Anglii. Miał zabobonny stosunek do tej maszyny; odmawiał pracy
na jakiegokolwiek innej. Kupiłam mu nawet elektroniczną Olivetti, ale ani
razu jej nie użył. Mógł pracować jedynie na tej swojej starej, ciężkiej
Olympii; kupił ją u tego faceta z Look Back in Ongar.

Usiadłam i wkręciłam arkusz papieru. Na początku myślałam, że na-
piszę mu po prostu kilka słów. Siedziałam tam przez chwilę. Cóż jednak,
na Boga, miałam mu powiedzieć?

W końcu zrobiłam coś innego. Może wyda ci się to szalone. Mnie też
się takie wydawało, później. Niemniej musiałam zrobić coś, co dałoby
upust moim uczuciom.

Na ciężkich, starych klawiszach wystukałam list do Lili. Musiałam w nie walić mocno, palcem wskazującym.

Najdroższa Lilo,

Wiem, że nędzny tchórz ze mnie, ale uwierz, w ten sposób będzie łatwiej, usiłowałam szukać odpowiednich słów, żeby Ci powiedzieć, iż nie powinniśmy się już widywać.

Przerwałam, żeby obejrzyć to, co napisałam. Aż stękałam z wysiłku. Zaczęłam pisać dalej.

Znalazłem kogoś innego. Ty to podejrzewałaś, ja zaprzeczałem. Przykro mi. Tym razem to rzecz prawdziwa. Nigdy przedtem niczego takiego nie czułem. Być może, kiedy to się zbliżni, nadal będziemy przyjaciółmi. Mam taką nadzieję. I nie zapominajmy o tym, co dobre.

Wszystkiego najlepszego na przyszłość. Głowa do góry i trzymaj się.

Wykręciłam list z maszyny i przeczytałam. Nieco obcesowe, ale cóż. U dołu strony wypisałam Te, naśladując jego charakter pisma. Złożyłam kartkę i umieściłam w torebce. Potem wyszłam z biura i wróciłam do swojego hotelu.

Naprawdę nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Może dla poprawienia sobie samopoczucia. Kiedy to pisałam, rzeczywiście czułam się lepiej. Przez chwilę, troszeczkę. Uśmierzało to mój ból.

Może to było myślenie magiczne. Być może się ziści to, co zostało już napisane. Przypominało to wbijanie szpilek w woskową figurkę i wypowiadanie życzeń. Los Angeles pełne było przesądów, wróżenia z kart tarota, z dłoni, pełne gorących linii z horoskopami oraz cudownych terapii. Było to miasto w stylu Lili. Zajmowało się magią. Zbudowano je na ruchomych piaskach i na Uskoku św. Andrzeja; zbudowano je na celuloidowych złudach, na materii złożonej z marzeń i złudzeń. Może i na mnie to miejsce zaczęło oddziaływać.

Odczuwałam zażenowanie. Tak żaloszny wydał mi się ten postępek. Listu jednak nie wyrzuciłam. Schowałam go w walizce.

Siedem

Duma nie pozwoliła mi ponownie skontaktować się z Trevem. W pewnym sensie byłam zadowolona, że nie zastałam go wtedy w biurze producenta; mogłabym się bowiem załamać i zrobić z siebie idiotkę. Jedynym sposobem na uratowanie godności własnej było odgrywanie osoby spokojnej i niczym się nie przejmującej. Poczekam na odpowiedni moment i opracuję bardziej skuteczny plan zemsty.

Było to dla mnie istną torturą. W następnym tygodniu przeszliśmy do hali zdjęciowej, do studia, żeby nakręcić ujęcia w domu Rochestera. Pojawił się Trev i musiałam się przyglądać, jak w obecności wszystkich mizdrzą się z Lilą do siebie. Chichotali przy tym, jakby mieli po kilkanaście lat. Zauważyłam też spojrzenie Irmy; najwyraźniej obserwowała mnie. Sądzę, że odgadła, że między mną a Trevem coś było; była znacznie bystrzejsza od Lili. Ona jednak nigdy mnie nie lubiła, dlaczego zatem miałyby się przejmować sytuacją? Widziała też, że Lila oddała się ode mnie, co zresztą znajdowało wyraz w pewnego rodzaju zawziętej satysfakcji widocznej na jej ziemistej twarzy.

Trev i Lila stanowili szczególną atrakcję sezonu. Hollywood uwielbia bowiem historie miłosne, a było coś nieodpartego w tym zauroczeniu gwiazdy filmowej nieznanym młodym angielskim pisarzem, obdarzonym szelmowskim uśmiechem nowego Steve'a McQueena. Chłoptasie-kochasie byli szczytem mody; Joan Collins miała takiego, Stephanie Beacham również. Stanowili antidotum na starzenie się. Ilekroć tylko czytałam kolumny z plotkami, tylekroć pojawiały się tam imiona Treva

i Lili. „Pozbyłam się dwudziestu funtów i dwudziestu lat!”, szczebiotała Lila. „Ona ma fantastyczne poczucie humoru”, głosił Trev. „Podarował mi nową stabilizację”, szeptała ona. „Jest najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem”, powiadał on. „Každy dzień to święto!”, wyznawała Lila. „Chcę doświadczyć wszystkiego, co tylko możliwe, i przeżyć kwintesencję życia”, mówił Trev. Uśmiechał się bezmyślnie ze zdjęć. Opisywano go bardzo różnie: jako człowieka, który rzucił studia, budowlańca, handlarza antykami oraz radykalnego pisarza, którego wyrażane bez ogródek przekonania rozwścieczyły skostniały establishment brytyjski.

Spotkali się w Londynie i od tamtego czasu utrzymywali ze sobą nieprzerwany, codzienny kontakt telefoniczny - „nasze wielogodzinne, indiańskie miłosne wołanie”, jak nazwała to Lila - zanim on przyleciał, by do niej dołączyć. Najwyraźniej pisał powieść. Nosiła tytuł *Śmiałe pieszczoty w Hornchurch*; była odważna, erotyczna i autobiograficzna. Jej streszczenie przesłano do Bantam Books, a towarzyszyły temu pogłoski o sześciocyfrowej zaliczce.

Czy naprawdę mogłam w coś takiego uwierzyć? Czy on rzeczywiście pisał powieść, a jeśli tak, czy ja się w niej pojawię? Czy miałam wierzyć w te zaprzeczenia „jesteśmy zbyt szczęśliwi, by rozważać możliwość małżeństwa”, kiedy „Hollywood Reporter” twierdził, że „słysząc już dźwięk weselnych dzwonów”?

Gdzie w tym wszystkim był mój Trev? Czy on rzeczywiście użył słowa „kwintesencja”? Czy to w ogóle możliwe? Gardziłam sobą za swoją słabość, za tę upokarzającą, niewolniczą wręcz namiętność. Chciałam odzyskać swojego dawnego Treva - nieudolnego, niesolidnego, czarującego - miłość mojego życia. W samotności hotelowego pokoju byłam w stanie to przyznać; jedynie przed sobą samą.

Pomyślałam o jego sztuce, o *Wykorzystaj mnie*. Mnie bez wątpienia wykorzystał, z nawiązką. Słowa wypowiedziane kiedyś przeze mnie zaczęły się pojawiać w tekstach jego poprawek. Jane Eyre opowiedziała panu Rochesterowi dowcip o psychiatrach, który ja dawno temu opowiedziałam Trevowi. Przyniosła mu sadzonki swoich fiołków afrykańskich,

podobnie jak kiedyś zrobiłam to ja. Pan Rochester lubił Rya Coodera i ona podarowała mu kasete, którą on już miał, w związku z czym ukrył oryginał w kieszeni marynarki, a ona go tam przypadkowo wymacała, kiedy się całowali. Trev w bezlitosny, ludożerczy wręcz sposób wyeksploatował nasze najbardziej czule i swawolne chwile; wydobył je na widok publiczny. Gorzej, o wiele gorzej - ukradł je mnie i podarował Lili. To Lila wypowiadała teraz moje słowa i pieściła kark pana Rochester. To Lila powiedziała mu, tak jak ja powiedziałam Trevowi, że ma najbardziej seksowny tyłeczek, jaki w życiu widziała. Tyle że Lila nazwała go „tyłkiem”.

Najbardziej bolesny dla mnie moment nastąpił podczas jednej ze scen miłosnych. W scenariuszu Jane eksmitują z kamienicy, w której mieszka - inwestor przerabia ją na luksusowy apartamentowiec - wobec czego ona przenosi się do przeznaczonego dla gości skrzydła domu pana Rochester. To właśnie mieszkając tam, powoli się w nim zakochuje, chociaż w tym samym czasie on ma romans z Blanką Ingram. (Nocą, kiedy leży w łóżku i słyszy dochodzący z daleka krzyk pani Rochester, sądzi, że to wywołane orgazmem okrzyki Blanche.) Niemniej, nieśmiała terapeutka coraz bardziej pociąga pana Rochester, aż zostają kochankami. W jednej ze scen on udaje niewidomego. Podchodzi do niej od tyłu i obmacuje całą, zgadując przy tym, kim ona może być.

Zdრtwiąłam, kiedy to przeczytałam. W dzień poprzedzający kręcenie tej sceny zwróciłam się do Hutta.

- To chyba dość paskudne, zważywszy, że później on rzeczywiście traci wzrok?

Hutt powiedział mi jednak:

- Zastanawialiśmy się nad tym, Jules. Wspólnie to przedyskutowaliśmy i doszliśmy do wniosku, że jest to całkiem poruszające... skoro już ten motyw w ich związku został zaznaczony, to jego prawdziwe kalectwo, kiedy już do niego dochodzi, robi jeszcze większe wrażenie.

Kimże jest dublerka, by zgłaszać dalsze wątpliwości?

Nazajutrz stałam na planie sypialni pana Rochester - wystawnie urządzonej, udającym magnackie wnętrzu, włącznie z łóżem z baldachimem

oraz z trofeami myśliwskimi, zupełnie jak sklep Ralpa Laurena. Był tam też Trev; stał oparty o toaletkę i żartował z jednym z pracowników technicznych. Miałam ochotę zawołać: Wszyscy precz z planu!

Kiedy przygotowywano oświetlenie, ja ustawiałam się z Ivanem, tym drugim dublerem. Przycisnął się do moich pleców; czułam w jego oddechu zapach tuńczyka, z lunchu.

Usiłowałam udawać, że jestem na luzie.

- Przykro mi, że nie jestem facetem - szepnęłam, na co on się roześmiał.

Nie musieliśmy odgrywać samej akcji - jego ręce nie obmacywały mojego ciała. Nie musieliśmy wygłaszać kwestii. Po prostu tam staliśmy, podczas gdy Trev zdmuchiwał parę unoszącą się nad kubkiem z kawą i przyglądał się mnie - tak bezlitośnie odsłoniętej.

Kiedy wszystko było gotowe, mnie odesłano, a na planie pojawiła się Lila. Miała na sobie brzoskwińnię bieliznę; pan Rochester natomiast czarny szlafrok z wyhaftowanym monogramem. Dwadzieścia lat wcześniej tych dwoje było kochankami, kochankami w prawdziwym życiu; kręcili wtedy *Płomienie miłości* i odegrali tę gorącą scenę dość przekonująco.

Obserwowałam Rochesterę, jak z zamkniętymi oczyma przyciskał się do Lili i przesuwiał palcami po jej twarzy.

- ...mmm... miękkie, młode usta... ciepłe wargi... jesteś kasjerką z A&P?

- Nie - wyszeptala Lila, z odrzuconą do tyłu głową. Zwilżyła językiem wargi.

Ekipa, jak jeden mąż, wstrzymała oddech; wszyscy się przyglądali, jak wiję się jej połyskujące, jedwabiste ciało; ona tymczasem rozchyliła wargi i z jej ust zaczęły się wydobywać moje słowa.

On musnął dłonią jej piersi; ona oddychała coraz szybciej. Jego dłoń zaczęła pieścić jej udo.

- ...aaa... uda tancerki... właśnie przybyłaś do miasta, z błyszczącym okiem... bierzysz udział w przesłuchaniu do szóstej *Sławy*...

W atmosferze było coś elektryzującego. Nikt się nie poruszał. Wreszcie nastąpiła kulminacja tej sceny: zbliżenie jej twarzy w chwili, gdy jego dłoń ześlizgiwała się do jej krocza. - aaa... teraz już wiem - wymamrotał

ochrypłym głosem.

Kamera poprowadziła ich, jak padają na łożo. Lila owinęła nogi wokół jego bioder. Szepnęła przy tym:

- Wiesz, co ty jesteś? Towar próżniowo pakowany. - To był dowcip Treva.

Kiedy zrobili cięcie, przez chwilę trwała cisza, po czym zerwały się spontaniczne oklaski. Odwróciłam się i spojrzałam na Treva. On też klaskał.

- Wywołajcie to - polecił Hutt. - I oblejcie ekipę zimną wodą. - Podszedł do Lili i uściskał ją. - Gdzie znalazłaś tę kwestię, skarbie? To było fantastyczne!

Musiałam się stamtąd wyrwać. Kiedy zrobili przerwę na herbatę, ruszyłam ku wyjściu, potykając się o kable, mijając statystów, którzy przybyli, by wziąć udział w następnej scenie, i tymczasem opychali się wypiekami z francuskiego ciasta.

Na zewnątrz panował całkowity spokój. Skąpane w ostrym, złocistym blasku ogromne budynki studia pozbawione indywidualnych cech przypominały ściany skalne, a ich potężne cienie padały na drogę. Wyglądały jak fabryki; ludzie tam pracujący równie dobrze mogliby produkować gaźniki. Z westchnieniem przejechał obok mnie wyładowany dokumentami elektryczny wózek.

Przeszłam na tyły budynków i znalazłam się na głównej ulicy miasteczka z Dzikiego Zachodu; po obu stronach stały drewniane fasady, podparte z tyłu. Przez ślepe okna widać było puste niebo. Nic już nie było pewne i bezpieczne; już niczemu nie można było ufać. Dotknij cokolwiek, a się rozpadnie. Lila odegrała moje najbardziej intymne sekrety przed napaloną ekipą filmową, a w konsekwencji, przed napaloną wielomilionową publicznością. Z ochoczą pomocą Treva zawłaszczyła sobie moją przeszłość i potraktowała jak własną. Jakże on mógł stać obok i przyglądać się temu?

Przeszłam dalej i znalazłam się w Ameryce małomiasteczkowej. Były tam białe drewniane ogrodzenia oraz domy z białych desek zachodzących na siebie, z ocienionymi przez drzewa werandami. Jakże niewinnie

to wszystko wyglądało! W każdej chwili mógł się pojawić James Stewart, wyjść ku mnie z *Tego cudownego życia*. Swobodny i ujmujący; być może pogwizdywałyby sobie. Doris Day wysunęłaby głowę z któregoś okna, zaslonki w kratkę powiewałyby na wietrze; a ona zawołałaby swoje niewidoczne dzieci na mleko i ciasteczka.

Nasze życie wydawało się takie słoneczne i bezpieczne, tymczasem było równie kruche jak filmowa dekoracja. Pchnij tylko, to się przewróci. Otworzyłam furtkę, podeszłam do domku i zajrzałam przez okno. Nie było tam piękającej dla mnie ciasteczka matki. Nie było nic. Nawet ścian. We wnętrzu dudniło echem jak w magazynie. Po prostu pustka i kilka puszek po coli, zgarniętych w jeden róg. Nikt na mnie nie czekał z szeroko otwartymi ramionami. I nie miałam słów roli, które mogłabym wypowiedzieć.

Mogłam sabotować Lilę, jedynie włączając się w jej pracę. Tam bowiem tkwiła jej słabość. A mnie pozostała wyłącznie przewaga lepszych umiejętności aktorskich.

Jednak przede wszystkim musiałam mieć po swojej stronie Hutta Sanbourn. Był reżyserem i miał nas wszystkich w rękę. Do tej pory praktycznie mnie nie zauważał. Byłam po prostu meblem, który przedstawia się z miejsca na miejsce; on tymczasem pojawiał się niczym właściciel domu, przyglądał mi się, żeby sprawdzić, czy ludzie od przeprowadzek ustawili mnie we właściwej pozycji. Sądzę, że na podstawie różnych wygłoszonych przeze mnie uwag uświadomił sobie, iż jestem o wiele bardziej inteligentna od przeciętnej dublerki. W istocie od większości aktorek. Niemniej, musiałam nad nim popracować.

Pierwszą moją myślą było to, żeby go uwieść, ale na to byłam w zbyt kiepskiej formie psychicznej. Moja pewność siebie doznała znacznego uszczerbku. Poza tym ktoś zdążył mnie ubiec. Bo on niedawno po raz trzeci się ożenił z prześliczną fińską gwiazdką. Musiałam spróbować czegoś innego.

Następnego dnia podczas przerwy na lunch nadarzyła mi się okazja do porozmawiania z nim. Wyjątkowo był wtedy sam. Nikt go nie atakował

ani mu się nie naprzykrzał; nikt nie przybiegał z pilnymi wieściami, nie przynosił mu telefonu. Stał oparty o ścianę, przewracał kartki scenariusza i pochłaniał w roztargnieniu kanapkę; w brodzie zaplątał mu się kawałek zielonej sałaty. Był postawnym mężczyzną, zaczynał tyć. Na nogach miał czerwone sandały, ubrany był w luźne, szare spodnie i szarą, kraciastą koszulę; wyglądał na zwyczajnego i przystępnego.

Powiedziałam mu, jak podziwiam jeden z jego wcześniejszych filmów, osadzony w Bronksie psychologiczny thriller.

- Przypomina mi Chabrola z jego najlepszych czasów - oznajmiłam. - Subtelny i żartobliwy, i trzyma w napięciu.

Był zadowolony, widziałam to. Film okazał się finansową klapą. A ja tymczasem łechtałam jego próżność, podobnie jak kiedyś łechtałam próżność reżysera *Nocnego starcia*. Porozmawialiśmy o kinie europejskim i zgodziliśmy się, że *Noc amerykańska* Truffauta jest najlepszym filmem o kręceniu filmu, jaki kiedykolwiek zrobiono.

- Bardzo bym chciał pracować w Europie - oznajmił, ścierając z wargi majonez. - W takiej atmosferze, jaka panuje obecnie w Hollywood, trudno uzyskać produkt wysokiej jakości. Nie ma tu bowiem ani stabilizacji, ani ciągłości.

Wyraziłam swoje współczucie.

- To musi być frustrujące. - Miałam na myśli: Praca z ludźmi takimi jak Lila.

Odparł na to, że bardzo niewiele aktorek ma praktykę sceniczną, tak jak ja.

- Dla ciebie to też musi być na swój sposób frustrujące - dodał.

Wzruszyłam ramionami.

- Jeszcze jedno doświadczenie.

- Bo widzisz, one nie mają rezerw, z których mogłyby korzystać. Nie mają na czym się oprzeć; brak im głębi. Przychodzą całkiem surowe z konkursów piękności. Z wybiegów dla modelek.

Obserwowaliśmy Lilę. Stała ze swoim doradcą finansowym i oglądała sałatki.

- Z konkursu na Miss Nabilia New Jersey - powiedziałam.

- Tak właśnie zaczęła?

Skinęłam głową. Wsunęłam do ust winną jagodę i opowiedziałam mu o swojej pracy dla Royal Shakespeare Company w Stratfordzie.

Popatrzył na mnie z szacunkiem.

- Bez jaj?

- W złotym okresie Treva.

- Treva?

- Trevora Nunna.

- Jakie role grałaś? - spytał.

- Imogenę, Heddę Gabler. Cudowna rola dla kobiety. To było w The Other Place. Absolutnie elektryzujący kameralny spektakl.

Właśnie kiedy się rozkręciłam, jego odwołano. Może i lepiej. Mógłby mnie zacząć dokładniej przepytować.

Jednak reżyserzy zwykle tego nie robią. Wszyscy oni patrzą tylko wprost; muszą, jeśli chcą ukończyć swoją robotę. Patrzyłam, jak rozmawia z jednym z producentów. Cel osiągnęłam. Czarowałam go i przypochlebiałam mu się; zrobiłam na nim wrażenie moimi sięgającymi głęboko teatralnymi korzeniami.

I pierwszy raz zauważył mnie jako osobę. Nad tym aspektem jeszcze popracuję.

Osiem

Zacząłam dyskredytować grę Lili. Nie było to trudne zadanie. Ona zupełnie nie rozumiała charakteru Jane Eyre, nie wcieliła się w nią. Byłam pewna, że podczas tych dwu tygodni kręcenia w plenerze stało się to oczywiście również dla Hutta, który często robił wrażenie nieco rozczarowanego jej interpretacją tej postaci. Wówczas chodziło jednak o sceny na otwartym powietrzu, z niewielką liczbą zbliżeń i małą ilością dialogu. Teraz zamknięci w intymności ograniczonej przestrzeni, szykowaliśmy się do nakręcenia największej części filmu, z długimi, złożonymi i pełnymi emocji scenami.

Lila po prostu nie umiała zagrać kobiety, która czuje się osobą zwyczajną i lekceważoną. Jej jedynym chwytem było zdjęcie okularów i ponowne ich założenie. Nie miała doświadczenia, z którego mogłaby czerpać, a brakowało jej talentu oraz wyobraźni, by się wpasować w tę rolę. Bo kiedy to niby na nią nie zwracano uwagi? Czy ona kiedyś czuła się niewidoczna?

Następnego dnia po mojej rozmowie z reżyserem mieliśmy kręcić scenę przyjęcia. Było to typowo kalifornijskie spotkanie. Mężczyźni - pułkownik Dent, pan Eshton, Sir George Lynn oraz inni opaleni amatorzy darmowego poczęstunku - grają w bilard i rozmawiają o cenach nieruchomości. Kobiety - Blanka, pani Eshton, Louisa, Mary i Amy - popijają chardonnay z Napa Valley i dyskutują na temat codziennych ćwiczeń fizycznych, jakim się poddają. Jane Eyre, która jest tam jedynie rezydentką, czuje się nieco nieswojo. Jest osobą z zewnątrz robiącą na dodatek zawodową karierę. Inaczej niż obecne tam kobiety, nie żyje z

alimentów. Jest również bardzo zazdrosna o Blankę.

Przyjęcie odbywa się w azylu pana Rochester'a - w pomieszczeniu wyłożonym mahoniową boazerią, wyposażonym w stół bilardowy i głębokie, skórzane fotele. Jane Eyre, najwyraźniej skrępowana, ma podsunąć gościom półmisek z meksykańskimi tacos. Podczas próby Lila grała Jane jako uprzejmą panią domu. Jedynym znakiem niepewności było jej zakłopotane spojrzenie w lustro, szybki ruch dłoni poprawiającej włosy oraz rzut oka na Blankę.

Obserwowałam ją z pogardą. Dopiero co wyskoczyła z łóżka Treva, jawnie promieniała triumfem i zadowoleniem. Czy rzeczywiście nie rozumiała, jak zachowałaby się w takiej sytuacji Jane? Bo ja, naturalnie, wiedziałam. Ja bym im pokazała! Miałam mnóstwo doświadczenia, z którego mogłam czerpać. Jeśli ktoś czuje się wykluczony, to pociesza się jedzeniem. Jeśli nikt z nim nie rozmawia, to zajmuje się czynnościami zastępczymi - przegląda zbiór należących do gospodarza płyt, ogląda książki, robi cokolwiek.

Lila guzdrała się z makijażem, wobec czego Hutt zawołał:

- Przelećmy tę scenę. Jules... przedstaw kolejne ruchy.

No to zaczęłam. Stałam przed kamerą. Pokazałam własną interpretację i dodałam różne fachowe drobiazgi. Podeszłam do kolekcji płyt kompaktowych pana Rochester'a, wybrałam kilka i nim je odłożyłam, z przesadnym zainteresowaniem obracałam je w dłoniach. Znieruchomiałam na krótko i popatrzyłam agresywnie na gości... bo kiedy jesteśmy wrażliwi na ciosy, nastawiamy się wrogo do innych. Stojący wokół stołu bilardowego statyści patrzyli na mnie ze zdziwieniem. Przejrzałam egzemplarz „Newsweeka”, udając, że go czytam; podobnie robiłam, kiedy byłam nastolatką i nikt nie poprosił mnie do tańca - udawałam, że czytam różne czasopisma. Wyciągnęłam najbardziej bolesne wspomnienia; one mną zawładnęły. Włożyłam do ust tacos, usiadłam i zaczęłam wyciągać nitki ze swojego swetra. Bawiłam się złotym łańcuszkiem, który miałam na szyi. Oddychałam szybko; ta dawna, zapomniana już adrenalina rozplomieniła moje żyły, byłam jak pobudzony do życia po letnich miesiącach bojler.

Kiedy skończyłam, zapadła krótka chwila ciszy. Potem Hutt zrobił kilka kroków do przodu. Patrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami i szarpał brodę.

- Jules, możemy porozmawiać?

Z mocno bijącym sercem poszłam za nim niczym niegrzeczna uczennica za dyrektorem szkoły. Weszliśmy do sypialni Jane.

- Wiesz, kogo tam zobaczyłem? - spytał.

- Kogo? - wyszeptalam.

- Zobaczyłem Jane. Po raz pierwszy była tam Jane. Nie wiem, dlaczego to zrobiłaś, Jules, ale dla mnie był to punkt zwrotny. I tym chciałem się z tobą podzielić.

Uścisnął mnie szybko, podobnie jak przedtem ścisnął Lilę. Poczułam piżmową woń płynu po goleniu. A potem odszedł raptownie.

Zmienił oznakowanie na podłodze i ustawili pod innym kątem kamerę. Kiedy wróciła Lila, Hutt wziął ją na bok.

- Właśnie w ten sposób, tak wydaje się dobrze.

Natężyłam słuch.

- Nie podobało ci się to, co robiłam? - dopytywała się Lila.

- Było świetnie. Spróbujmy jednak zrobić to w ten sposób, skarbie.

No i zrobiła. Kiedy kręcili tę scenę, ona włączyła w nią wszystkie te moje chwytły. Scena była o tyle lepsza, że wręcz trudno ją było rozpoznać; te drobiazgi podnosiły jej walory i przydawały psychologicznej prawdy. Nie grała tak dobrze jak ja... to było oczywiste dla wszystkich. Równie oczywisty był mój wkład w jej interpretację. Zachwycony Hutt przysunął kamerę i zrobił zbliżenie jej twarzy.

Przez kilka następnych dni unikałam Lili. Kiedy schodziłam z planu, szukałam schronienia pośród statystów i tym podobnych... czy raczej pośród artystów dalszego planu, jak wolą być nazywani. Za pięćdziesiąt dolarów dziennie udawali oni uczestników przyjęcia. Teraz siedzieli wokół, przeglądając czasopisma poświęcone aromaterapii. Niektórzy

przynieśli ze sobą własne leżaki i leżeli na nich ze stopami w górze, czytając powieści Sidneya Sheldona. Zawsze identyfikowałam się ze statystami... sama byłam niewiele od nich lepsza. Oni są po prostu mięsem dla kamer. Nikt nie zna ich nazwisk; pojawiają się na planie na jeden dzień, może na dwa. Obcy dla zamkniętej rodziny składającej się z ekipy technicznej i aktorów, z jej dowcipami, z podskórnymi napięciami i z narastającą spójnością, są ignorowani tak długo, jak długo nie są potrzebni. Tymczasem objadają się tym, co dostarczyła firma cateringowa, chomikują plastry melona, kradną kawałki urodzinowych tortów, ponieważ w takiej ekipie zawsze ktoś obchodzi urodziny. Skarżą się na garderobę oraz na to, że muszą przynosić własne buty; wydaje się, że wszyscy mają jakiegoś krewnego w szpitalu, chorego na półpasiec. Na ogół nie znają tytułu kręconego filmu.

W tamtej jednak chwili takie oderwanie od filmowej rzeczywistości przynosiło mi ulgę. Bo widzisz, miałam więcej planów i musiałam je przemyśleć. Usiadłam na sofie - rekwizycie - i przeglądałam „Variety”. Była tam reklama firmy dostarczającej sztuczną krew na potrzeby filmu; dostarczała jej szesnaście rodzajów, od jaskrawoczerwonej „wypadkowej”, poprzez „skrzepniętą”, aż do „brązowej strupowej”.

Pogryzałam trójkąt pizzy i gawędziłam z jednym z bilardzistów. Nie dosłyszałam, jak ma na imię. Oznajmił, że jego córka się rozwodzi. Potem poinformował mnie, ile to kosztuje, jeśli się chce, tak jak on, do polisy ubezpieczeniowej domu dodać klauzulę obejmującą trzęsienie ziemi.

- Posłuchaj mnie, moja droga - mówił, grożąc palcem. - Pewnego dnia całe to cholerne miasto zostanie połknięte przez własny tyłek.

Przełknęłam kawałek pizzy i wyobraziłam sobie Lilę oraz Treva, nagich i przerażonych, spadających w szczelinę, jak na malowidle Boscha. Jęzory ognia wystrzeliwały z Uskoku św. Andrzeja. Czyjego Skoku? Słyszałam ich krzyk. Przyglądałam się ich obnażonym, konwulsyjnie drżącym kończynom.

* * *

Wiedziałam, że podążam w niebezpiecznym kierunku, jednak nie umiałam się powstrzymać. Jakiś tkwiący we mnie demon popychał mnie naprzód. „Snadź rozum uciekł gdzieś między zwierzęta/Bo go u ludzi nie ma*”. Ośmielona wcześniejszym sukcesem, pokazałam taką klasę przy próbach partii Lili, że Hutt, kiedy już przyszło do kręcenia danej sceny, kilkakrotnie zasugerował jej, żeby włączyła moje rozwiązania.

* Szekspir, *Juliusz Cezar*, akt III, scena 2 (w przekładzie Józefa Paszkowskiego), PIW, Warszawa 1963.

Po części wiedziałam, dlaczego to robię. Chciałam, żeby Lila się pokłnęła; chciałam ją wyprowadzić z równowagi, odsłonić. Jednocześnie jednak chciałam, żeby mnie zauważała. Żałosne, prawda? Czułam się niczym dzieciak popisujący się na placu zabaw.

Tamtego czwartku prawie jej nie widziałam. Była gdzieś na lunchu ze swoim agentem, Rolyem; przyleciał na kilka dni i przedpołudnie spędził na planie. Kiedy pojawiła się ponownie, wyglądała zupełnie normalnie. Ta kobieta była nazbyt zadowolona z siebie i zbyt krótkowzroczna. Szczęśliwa, jak sądzę. Była najwyraźniej zbyt tępa, by zauważyć, jak bardzo Hutt zaczyna polegać na mnie, jak wykorzystuje moje ruchy i korzysta z moich sugestii. A może czuła się bardziej pewna swoich aktorskich umiejętności, niż sądziłam.

Pracowaliśmy ciężko całe popołudnie, kręcąc fragmenty rozmów Jane z panem Masonem. Stojąc tam w świetle jupiterów, odczuwałam dziwną moc. Czułam, że wydarzy się coś bardzo doniosłego. Ekipa robiła wrażenie sprawnej i czujnej, jej członkowie poruszali się szybciej niż zwykle; statyści byli niespokojni jak konie przed burzą. Coś się działo, coś się wykluwało.

Kiedy zakończyliśmy pracę, zebrałam swoje rzeczy i udałam się na parking. Zapadł zmierzch, ale nadal było duszno. Szłam obok numerowanych miejsc, zarezerwowanych dla pracowników na kierowniczych stanowiskach w studiu. W oddali zobaczyłam Roly'ego, wsiadającego do limuzyny lincoln continental.

- Cześć - powiedziałam, kiedy do niego podeszłam. - Pamiętasz mnie?

- Jasne, że cię pamiętam. Masz na imię Jules, prawda?

Skinęłam głową.

- Podoba ci się ten film?

- Jasne - odparł. Czy agent mógłby powiedzieć cokolwiek innego? - Wspaniała opowieść.

Naprawdę Roly nazywał się Lester Rollins. Na jego nowojorskiej liście znajdowały się najbardziej poszukiwane nazwiska. Był przysadzisty, łysiał i miał płaską, brzydką twarzą, która połyskiwała w panującym mroku. Jego skóra miała niezdrowy, woskowy odcień, zupełnie jakby zbyt długo ukrywał się gdzieś pod kamieniem. Prawdę mówiąc, był jednym z najbardziej odpychających mężczyzn, jakich w życiu spotkałam. Tak właśnie pomyślałam, kiedy go zobaczyłam pierwszy raz. Jednak już wtedy w jakiś sposób mnie fascynował. Było w nim coś miękkiego i kobiecego, jak gdyby w poprzednim wcieleniu spędził życie w haremie. Miał na sobie szary garnitur i białą koszulę, mocno naciągniętą na wydatnym brzuchu.

Może z tym zafascynowaniem to lekka przesada. Ale zaciekawiona byłam na pewno. W końcu to on odkrył Lilę, kiedy była zupełnie nieznaną; poprowadził ją przez dwadzieścia filmów i dwa małżeństwa; miał udział w tej części jej życia, o której ja nie wiedziałam nic. Był jej powiernikiem, zaufanym.

- Masz praktykę sceniczną? - spytał.

Skinęłam głową.

- Uczęszczałam do RADA, Królewskiej Akademii Sztuki Dramatycznej.

- Domyśliłem się tego, po tym, jak dzisiaj pracowałaś.

- To było widać?

- Nie powinnaś zbyt długo się tym zajmować - oświadczył, wskazując ten przypominający fabrykę budynek.

- Nie zamierzam - odparłam.

Wsiadł do samochodu, a szofer włączył silnik.

Zaczęłam głośno wyrażać wątpliwości dotyczące poprawek Treva. Mieściło się to w ramach mojego drugiego planu działania. Może udało by mi się doprowadzić do tego, żeby się go pozbyli. Bo niby dlaczego

takiemu gównianemu, małemu oportuniście miałyby ująć to wszystko na sucho? Dlaczego pójdzie do łóżka z Lilą miałyby w jedną noc zmienić go w brytyjskiego odpowiednika Davida Mameta? Kiedyś, dawno temu, byłam mu taką podporą. Pomagałam i zachęcałam, rozmawiałam w jego imieniu ze znanymi mi ludźmi teatru. Kochałam go i dlatego przekonałam samą siebie, że to, co robi, jest świetne. Teraz postrzegałam to jasno i wyraźnie. Owszem, wniósł nieco nieokrzęsanej świeżości do scenariusza, ale podobnie jak Lila, nie miał najmniejszego pojęcia o charakterze i o motywach postępowania Jane. To właśnie było jednym z zadań, dla których go tu sprowadzono, i w mojej opinii zawiódł całkowicie.

Powiedziałam to Huttowi. Naturalnie, nie dosłownie; nie jestem przecież kompletną idiotką. Hutt i ja staliśmy się kumplami, głównie dlatego, że on miał ogromną słabość do teatru, a ja byłam jedyną osobą, z którą mógł pogadać na temat swojego marzenia - inscenizacji na off-off-Broadway spektaklu *Przy drzwiach zamkniętych*. Jest ogólnie znaną prawdą, że wszyscy ludzie reżyserujący na off-off-Broadway pragną pojechać do Hollywood i stać się sławnymi reżyserami filmowymi, podczas gdy sławni reżyserzy filmowi jak jeden mąż chcą się znaleźć na off-off-Broadway i wykazać rzetelnością.

W każdym razie powiedziałam mu, że czytam biografię Sartre'a. Nie czytałam, ale poszłam do księgarni i kupiłam ją sobie. Spytał, czy może pożyczyć; powiedziałam, że podrzucę mu któregoś wieczoru.

Mieszkał w hotelu Chateau Marmont, ekscentrycznej budowli w zachodnim Hollywood. Zgodnie z nazwą wyglądał jak francuski zamek, miał nawet wieżyczki. Znałam już ten hotel. Kiedyś usłyszałam, że zatrzymały się tam europejskie ekipy, i pewnego wieczoru, kiedy czułam się szczególnie zdesperowana, pojechałam tam w nadziei, że powtórzę tamto doświadczenie z Warwicka i poderwę kogoś, z kim spędzę wieczór na przynoszącym zapomnienie seksie. Odkryłam jednak, że w hotelu nie ma baru, wobec czego wróciłam do siebie.

Pojechałam tam w poniedziałkowy wieczór. Minęłam po drodze oświetlony trupimi światłami Strip, po którym włączyły się męskie prostytutki. Powietrze było duszne, nabrzmiałe burzą. Dotarłam do Marmont, przeszłam wyłożony drewnianą boazerią hol, cały w jelenich

rogach i kinkietach, i pojechałam windą do apartamentu Hutta. Do środka wprowadziła mnie jego sekretarka, blondynka o imieniu Mercedes. Hutt rozmawiał przez telefon. W Los Angeles wszyscy nieustannie rozmawiają przez telefon. Mówił o jakimś Johnie, którego małżeństwo właśnie się rozpadło.

Rozejrzałam się. Pokoje hotelowe ludzi filmu zawsze wyglądają tak samo. Odwrotnie niż arktycznie lodowate sale prób, są zawsze piekielnie nagrzane. Zawsze też jest tam cała masa dokumentów i stopy papierów na podłodze, a także plik kartek z numerami obok aparatu telefonicznego. Zawsze też jest w połowie zjedzony, obfity posiłek dostarczony przez hotelową służbę. Fińska żona Hutta, w zaawansowanej ciąży, wynurzyła się z sypialni i sięgnęła po kawałek selera naciowego.

- Hutt - powiedziałam z wahaniem - w scenie, którą mamy jutro kręcić, jest coś, co mi nie daje spokoju. W tej z wróżeniem. Pan Rochester ukrywa się pod przebraniem starego hippisa. Jane wierzy w każde jego słowo. - Delikatnie zasugerowałam, że stoi to w wyraźnej sprzeczności z prawdziwym charakterem Jane. Trev przerobił tę scenę, mając na myśli raczej Lilę niż Jane. To Lila była kobietą, która polegała na instynkcie, łatwowierną niewolnicą własnych uczuć. To ona ufała kartom tarota oraz wróżkom. - Ale Jane taka nie jest - powiedziałam. - Jest chłodną, inteligentną psychoterapeutką. Doskonale zna własną duszę. Uważa, że prawdy nie odnajdujemy w horoskopach, że odnajdujemy ją w samych sobie. - Z zapartym tchem, wyprostowałam się w fotelu. Nerwy uczyniły mnie bardzo pedantyczną.

Hutt szarpał brodę. Unikałam jego wzroku i patrzyłam na wiszącą na ścianę rycinę, która przedstawiała scenę polowania; psy myśliwskie i konie płynęły po mitycznym, angielskim krajobrazie.

- Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć - oznajmił.

Padło, kiedy wyszłam z hotelu. Krople deszczu były w werble skórzastych liści, kiedy szłam do auta. Odnosiłam wrażenie, że w całym mieście rośliny otwierają się i piją. Ja też walczyłam o życie. To bałamutne miasto

chciało wymazać moje istnienie, ale się nie poddawałam. Użyte przeze mnie argumenty nie dotyczyły Jane, one dotyczyły mnie samej. A ja, do jasnej cholery, zamierzałam wygrać.

Czekały mnie kłopoty, zdawałam sobie z tego sprawę. Wiedziałam, że moje zachowanie jest niebezpieczne, ale czy nie postąpiłbyś podobnie? Tak dobrze pamiętam tamten wieczór. Zjadłam kolację w hotelowej kawiarni; padało zbyt mocno, żeby chodzić gdzieś indziej. Potem pośpiesznie przeszłam dziedziniec. Krople deszczu znaczyły bąblami powierzchnię wody w basenie; zapach mokrego betonu wywołał raptowny przypływ tęsknoty za Anglią.

Poszłam na górę i przemknęłam korytarzem do swojego pokoju. Już od wielu dni nie widziałam tego odmienionego, ozdobionego kucykiem Treva; ta nieobecność wzmogła we mnie uczucie wrogości. Z trudem nadażałam za sobą samą. Przez dwa lata jątrzyła mnie bezpodstawna zazdrość, która teraz znalazła potwierdzenie, w ten najmniej prawdopodobny, sztandarowy wręcz sposób. Aż trudno było w to uwierzyć. Przypuszczam, że przeżywałam spóźnioną reakcję na szok. Kiedy umarł mój ojciec, minęły całe tygodnie, nim dotarło to do mnie z pełną mocą. Nawet jego pogrzeb minął w jakimś zamgleniu, które nie pozwoliło mi łączyć tego wydarzenia z rzeczywistą osobą. Dopiero znacznie później odczułam boleśnie jego stratę.

Tamtego wieczoru stałam pod parzącym skórę prysznicem. Nadal nie do końca byłam w stanie uwierzyć, że Trev mnie zostawił. W różnych przedziwnych chwilach wydawało mi się, że pojawi się w moich drzwiach. Będzie chodził po pokoju, pogwizdywał, podzwaniał kluczami od furgonetki i przerzucał kartki moich czasopism. Oprze się o framugę drzwi łazienki i będzie się uśmiechał, podczas gdy ja będę brała prysznic. Brwi uniesione i oczy wędrujące po moim nagim ciele. A ja nie będę wiedziała, czy jestem śmieszna czy godna pożądania. Potem rzuci się do przodu, żeby mnie pocałować, będzie lizał moją twarz jak pies, prysznic zachłapie mu ramiona. Ja upuszczę mydło i zaczniemy się mocować,

ciągnąc za sobą zasłonkę, potykając się i wpadając na sedes... na początku chichocząc, a potem, nagle porażająco poważnie... Och, jego usta, jego dłonie.

Atmosfera na planie z dnia na dzień stawała się coraz bardziej napięta. Trev nie przychodził; prawdopodobnie mnie unikał. Lila się do mnie nie odzywała. Rozeszły się pogłoski, że ma problemy z rolą i że zamienia w piekło życie Hutta. Słyszałam jej krzyk: „Nie będę nosić tych cholerycznych okularów! Wyglądam w nich jak jakiś pieprzony profesor!” Spędzała mnóstwo czasu w swojej garderobie. Pewnego dnia trzeba było zrezygnować z nakręcenia sceny, bo utrzymywała, że dopadła ją hiperwentylacja; przez to straciliśmy połowę dnia zdjęciowego. Nazajutrz pojawili się u Hutta producenci. Może spodziewali się następnego z jej załamań nerwowych; w przeszłości miała ich wystarczająco wiele. Ostatecznie była przecież kobietą psychicznie nie zrównoważoną. Bóg tylko wie, jak Trev z nią wytrzymał. Powinien był zostać z kimś silnym i inteligentnym, takim jak ja. Może ona znowu zacznie pić. Może znowu oddali się samowolnie i obudzi w Ramada Inn w Indianapolis. Zamknęliby ją wtedy w domu wariatów, gdzie zresztą już od dawna powinna być.

W łazienkowym lustrze obejrzałam sobie dokładnie twarz. Wyglądałam mizernie, moje wargi wydawały się węższe. Opalenizna zbladła po tych trzech tygodniach przebywania w hali zdjęciowej. Ona już zupełnie mnie nie przypominała, jakże błyszczwały jej oczy! „Lustreczko powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie?” Drżącymi dłońmi nakładałam pomadkę na usta, aż całe pomazane były szkarłatem.

Ochłodziło się. Nocami odbywałam długie spacerunki, szybkim krokiem, nucąc melodie z lat sześćdziesiątych. W hotelu gawędziłam z nocnym portierem. Byliśmy zaprzyjaźnieni; widział, jak w te minione wieczory wychodziłam i przychodziłam.

- I jak się mają twoje dzieciaki? - pytał.

- Świetnie - odpowiadałam.

Powiedziałam mu bowiem, że mam w Londynie dwoje małych dzieci, chłopca i dziewczynkę. Rozmowa o nich dostarczała mi mnóstwo przyjemności. Dyskutowaliśmy o podarunkach, jakie miałabym im przywieźć z Los Angeles.

- Jutro wielki dzień - powiedziałam. - Kręcimy szaloną scenę.

- Szaloną scenę?

- W której pan Rochester pokazuje Jane swoją chorą psychicznie żonę. - Uśmiechnęłam się. - Wprost nie mogę się doczekać.

Dziewięć

Tej nocy ziemia poruszyła się nie tylko dla Treva i Lili. Był też inny wstrząs, na północ od Los Angeles. Niezbyt silny, gdzieś u dołu skali Richtera. Z tych, które tylko dzwonią szybami.

Usłyszałam o nim w radiu, kiedy jechałam do studia. Każdego ranka przekraczałam te wzgórza w drodze do Burbank. Sunset... Laurel... Mulholland. Domy wisiały nad kanionami jak szalone; kryjówki gwiazd balansowały niebezpiecznie na skraju urwiska. Drewniane rancza oraz mauretańskie bungalowy... wykorzystujące najnowsze osiągnięcia techniki szklane pudła ze sterczącymi tarasami słonecznymi... czy oni naprawdę sądzili, że są bezpieczni? Raz, dwa, trzy... głęboki wdech... chuchnę, dmuchnę i zwałę je wszystkie.

Poniżej linii smogu przesunęłyby się piaski, popękały autostrady. Jאלowe wzgórza przemieściłyby się i spadły z łomotem, łubudu! Fatalnie, moi drodzy!

Niebo było zamglonym błękitem, tak jak dziś. Siedzę tutaj, w słońcu, usiłując przypomnieć sobie tamten poranek, kiedy przejeżdżałam obok kruchych siedzib tego kruchego miasta. Nie-miasta. Miejsca bez właściwości. Raymond Chandler powiedział o nim kiedyś, że ma mniej ducha niż papierowy kubek. Teraz już mi się ono zupełnie rozplynęło; nie potrafię już go uchwycić. Wówczas też nie umiałam go uchwycić; wyslizgiwało mi się z rąk.

Tamtego ranka wszyscy byli nerwowi. Zakładałam, że to z powodu trzęsienia ziemi, tego powtarzającego się, acz nieprzewidywalnego, zjawiska niosącego ze sobą oddech śmierci. Wszyscy byli ogromnie przerażeni możliwością Tego Wielkiego: ich własnej Apokalipsy, dotychczas

uwięzionej gdzieś w skałach, najpilniej strzeżonego sekretu geologii. Nawet spokojny zazwyczaj Hutt wyglądał na mocno zaniepokojonego.

Lila była w garderobie, przymierzała suknię ślubną. Kręciliśmy bowiem kulminacyjny fragment filmu, w którym pan Rochester ciągnie za sobą po schodach ubraną w suknię ślubną Jane, by pokazać jej swoją pierwszą żonę, tę bełkoczącą bez ładu i składu, psychotyczną ofiarę narkotyków.

Gryzłam obwarzanek w towarzystwie jednego z dublerów.

- Lila wścieka się od samego rana - powiedział. - Pewnie to ta pogoda. Naskakiwała ostro na Hutta.

Powiedział, że poprzedniego wieczoru był akurat w barze, kiedy dotarli do niego wieści o wstrząsie. Powiedział, że lokal ten prowadzi dawny dubler Deana Martina. A może Roberta Mitchuma? Teraz już nie pamiętam. Facet był podstarzałym alkoholikiem, tyle pamiętam. Kaskaderzy, dublerzy - wszyscy oni kończą jako podstarzali alkoholicy.

Przygotowano ujęcie, a mimo to nic się nie działo. Pokój pani Rochester przypominał salę szpitalną - cały w bieli plus metalowe łóżko. Siedziała na nim aktorka, która grała panią Rochester. Miała czarne, splecione włosy. Wyglądała jak dzikuska z Borneo.

Czuło się napięcie. Hutt gdzieś zniknął. Mnie, nie wiadomo dlaczego, bolał żołądek, a kiedy nalewałam sobie kawy, zauważyłam, że drżą mi ręce. Może to jeszcze jeden wstrząs, pomyślałam. Może to nie ja. Ja przecież jestem doskonale opanowana, całkowicie zrównoważona i tylko wokół mnie rozpada się reszta świata.

Zapaliłam papierosa. Gdzieś w pobliżu był Trev. Wcześniej, na parkingu, widziałam jego samochód. Pewnie poszedł do garderoby Lili.

Mijały minuty. Coś było nie tak. Nawet Bruce, jeden z tych przypominających jaskiniowców pracowników technicznych, rzucił w powietrze pytanie: „Gdzie się wszyscy podzieli, do jasnej cholery?” Aktorka grająca Grace Poole spoglądała niecierpliwie na zegarek, zupełnie jak prawdziwa, przejęta sytuacją pielęgniarka. Miała na sobie wykrochmalony uniform.

Do 9.30 nie pojawił się ani Hutt, ani Lila. Atmosfera była nerwowa, a zarazem przytłaczająca. Nagle poczułam, że muszę wyjść na dwór, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Pośpieszyłam do drzwi.

Na zewnątrz stała Lila i kłóciła się z Huttem. Miała na sobie suknię ślubną w kolorze kości słoniowej, welon ściągnięła.

- Wisi mi to kompletnie - mówiła. - Nie będę dłużej pracowała z tą wariatką.

Dałam nura za ciężarówkę i słuchałam.

- Ona jest sfiksowana - syczała Lila. - Jest pieprzoną psycholką! Czemu jej gdzieś nie zamkną?

Przez chwilę myślałam, że mówi o pani Rochester, że przygotowuje się psychicznie do czekającej ją sceny i że improwizuje kwestie. Kuliałam się za ciężarówką, próbując usłyszeć jej słowa. Hutt spierał się z nią przyciszonym głosem, nie słyszałam jednak, co mówi, bo akurat nad nami hałasował helikopter.

- ...przeraza mnie jak jasna cholera... zachowuje się tak dziwnie...

Hałas był ogromny, wydawało się, że samo niebo wali się na nas. Oparłam się o klamkę.

- ...zauważyłeś, że się teraz do mnie w ogóle nie odzywa? - pytała Lila. - A byliśmy ze sobą tak blisko, świetnie się razem bawiliśmy.

Łoskot wirnika oddalił się. Teraz słyszałam ją wyraźnie.

- Widziałeś, co ona wyprawia, próbuje mnie kompromitować w obecności wszystkich. Co w nią wstąpiło? To najważniejsze przedsięwzięcie w mojej karierze, i zostaje kompletnie rozpieprzone! Co ona chce w ten sposób osiągnąć, przejąć moją rolę? Im wszystkim w końcu przewraca się głowie, w tym właśnie problem...

Hutt powiedział coś, czego nie dosłyszałam. Lila ciągnęła dalej.

- Te mówi, że musisz ją zdjąć z tego filmu. Mówi, że ona mnie niszczy... Hutt, ja już zaczynam się załamywać...

- Ależ Lilu...

- Ubiegłej nocy musiał wezwać gliniarzy!

- Gliniarzy? - powtórzył Hutt.

Poczułam zawrót głowy. Przywarłam do drzwi ciężarówki, mocno zacisnęłam oczy. Czulałam zapach rozgrzanego metalu.

- Parkowała przed moim domem - ciągnęła Lila. - Trzy razy... Te ją widział. Podjeżdża sobie nocą i gasi silnik. Siedzi tam po prostu w ciemnościach. Ja już byłam w łóżku, ale Te ją widział. Hutt, dostaję od tego gęśniej skórki!

- Co się wydarzyło w nocy?

- Kiedy policja przyjechała, jej już nie było. Co ona, do diabła, sobie wyobraża?

Nastąpiła chwila milczenia. Wyszło słońce; świeciło mi ostro w twarz. A ja nie śmiałam nawet mocniej odetchnąć.

Jak to możliwe, że mnie zauważył? Ja jego nie widziałam. Jedyne światło w oknach; chwilami jakiś przesuwany się cień. Słyszałam tego owada w krzakach. I ciche dźwięki z telewizora.

Hutt odszedł z Lilą. Uświadomiłam to sobie tylko dlatego, że zapadła cisza. Wyrzalam z za ciężarówki i zobaczyłam, jak idą pośpiesznie w kierunku biura produkcji, niskiego budynku otoczonego palmami.

Nie powiedziałam tego, prawda? Że jeździłam tam i parkowałam swój samochód przed jej domem? Cóż, niby czemu miałam o tym opowiadać?

Tak czy owak, nie było to coś, o czym warto by wspomnieć.

Dawno temu, w szkole, ukradłam niewielką sumę pieniędzy z szafki pewnej dziewczynki. Nigdy mnie nie złapano, ja jednak pamiętam tamte mijające dni oraz to, jak nasłuchiwałam kroków dyrektorki.

Tamtego lutowego dnia nie musiałam długo czekać. O 10.35 gawędziłam z panem Rochesterem, który, podobnie jak wszyscy inni, całe godziny spędził na czekaniu. Mówiliśmy o Jamie Lee Curtis, która grała właśnie w jakimś telewizyjnym filmie o policjantach. Z przyjemnością stwierdzam, że zachowywałam się przy tym całkowicie normalnie.

Wyczułam, że pojawiła się Chelsea, zanim jeszcze ją zobaczyłam. Po chwili była już przy mnie i szeptała mi do ucha:

- Jules, czy mogłabyś przyjść do biura produkcji?

Jakie to wszystko wydaje się teraz przyćmione i nierealne! Udaję, że to tylko film.

Oczywiście, to nie całkiem tak wygląda. Gdyby to był film, ten jego fragment na pewno by przerobili. Do konfrontacji doszłoby w kulminacyjnym punkcie tej szalonej sceny. Lila nagle mocuje się nie z panią Rochester, ale ze swoją dublerką. „Szpiegowałaś mnie!” Chwyta ją za włosy i wrzeszczy jej w twarz. Dublerka oddaje ciosy i sama z kolei zaczyna krzyczeć: „Ukradłaś mi chłopaka!” Te dwie blondynki walczą jak kocice, plują i wywrzaskują w obecności ekipy, której kompletnie odebrało mowę. Podchodzi Hutt. „Opróżnić plan!” -krzyczy, a jego polecenie odbija się echem pośród obecnych niczym zwierzęcy wrzask w dzungli. „Opróżnić plan!...” cichsze i cichsze. Wreszcie nas rozdzielają. Siadamy, dysząc ciężko, falują nam biusty. Jesteśmy spocone, zupełnie jak Raquel Welch w tamtym filmie, w którym nosiła to zamszowe bikini... błyszcząca skóra między piersiami, potargane włosy...

Mówiłam, że chcieli nakręcić moją historię, prawda? Chyba CBS. Cóż, w taki właśnie sposób ją nakręcą. Bo tak właśnie im opiszę przebieg wydarzeń; jest to bardziej filmowe, czyż nie?

Życie jest inne. Ale jest równie nierealne. Pamiętam, jak szłam do biura produkcji. W nogach czułam słabość. Mijałam rzędy pobłyskujących oślepiająco aut, och tyle pojazdów, wszędzie rząd za rzędem. Minęłam żywopłot z oleandrów, wiecznie kwitnących. Zrobiłam krok nad niziutkim ogrodzeniem i szłam po sprężystej, splątanej trawie. Tu i ówdzie, w miejscach, gdzie podlewano ją z węża, pozostały małe kałuże. Drzwi do biura produkcji stały otworem.

Walton, szef produkcji, był sam. Miał na sobie szkarłatną koszulkę z jakimś napisem, którego nie byłam w stanie odcyfrować. Nie patrzył mi w oczy; spoglądał na wiszące na ścianie oprawione afisze filmowe.

- ...głęboko żałuję... musisz odejść...

Pamiętam niektóre z jego słów. Nie wszystkie. Siedziałam w fotelu, przesuwając palcami po prążkowanym, wełnianym obiciu.

- ...to nie moja decyzja, musisz jednak zrozumieć... panna Dune to numer jeden na naszej liście...

Przemawiał do afisza z Alem Pacino, który odwzajemniał mu się spojrzeniem spod przymrużonych powiek.

- ...czuje się zagrożona i niepewna... nie możemy brać na siebie takiego ryzyka... być może się myli, ale bez niej nie ma tego filmu... masz prawdziwy talent i prawdziwą przyszłość przed sobą, ale...

Przeniósł wzrok na Bruce'a Willisa, mało do siebie podobnego na tym zdjęciu. Oboje patrzyliśmy w bliźniacze lufy jego strzelby.

- ...rozwiązania finansowe... pełen zwrot kosztów... zadzwonię jutro...

I tak wykopano mnie z tego filmu. Mercedes, blond sekretarka Hutta, zajęła moje miejsce jako dublerka Lili, a ja, dwa dni później, siedziałam w lecącym do Nowego Jorku samolocie linii Continental.

NOWY JORK

Jeden

Istnieje prawdopodobieństwo, że kiedyś spotkaliście mordercę. Może na króciutką chwilkę, w drzwiach wahadłowych albo w szatni, w kolejce po płaszcz. Statystycznie rzecz biorąc, podczas całego życia musieliście przejść obok kilku na ulicy. Nie rozpoznaliście ich, prawda? Ich oddech nie pachnie inaczej. W istocie wyglądają jak wy czy ja. Ja jestem taka sama jak wy, tyle że okoliczności zmusiły mnie do przebycia jednego etapu więcej, do punktu przełomowego. Spotkałam wiele morderczyń. Żalodne okazy, większość z nich. Jednak zabiły tylko raz. Bo widzicie, kobiety nie robią z tego zwyczaju. Nie wpadają do McDonald'sa, by obryzgać jego wnętrze ogniem z broni maszynowej i uśmiechać się niczym Manson, kiedy wokół ciała padają jak kręgle.

Uważacie, że zachowywałam się dziwnie, czasami? Nie bardziej dziwnie niż wy, jeśli już wejrzycie w swoje serce. Dopiero z perspektywy czasu dostrzegacie pewne prawidłowości i wyciągacie pochopne a filisterskie wnioski. Żeby to wszystko pojąć, sami kreujecie czyjeś życie. Ja mam obecnie mnóstwo czasu na refleksje. To jest mój własny kanał rozrywkowy, bez abonamentu, a w głowie mogę robić powtórki programów tak często, jak zechcę. Co oznacza, że często. Prawdę mówiąc, nieustannie.

Wtedy, w pierwszej połowie lutego, nie wiedziałam, kogo bardziej nienawidzę: Lili czy Treva. Lila skradła mi ukochanego, zagrała trzęsienie ziemi i obróciła mój świat w perzynę. Więcej nawet, ukradła coś, co

było we mnie, ale nazbyt była zaabsorbowana sobą, by to w ogóle zauważyć. Gwiazdy filmowe to egoistki, a Lila była gwiazdą filmową aż do czubków swoich wymalowanych, nieco obłupanych paznokci. Nawet mi nie podziękowała za to, że odwiedziłam tę jej cholerną matkę; nawet nic o mnie nie wiedziała. Tyle ją obchodziłam co zeszloroczny śnieg.

Z drugiej wszakże strony, to przecież Trev był tym, który namówił ją, żeby wyrzucić mnie z tego filmu. To Trev był tym, który mnie porzucił; który wysmarkał się na mnie i odrzucił jak zużytą chusteczkę higieniczną. A co najgorsze - gorsze od wszystkiego - wyglądało na to, że jest mu to obojętne. On i Lila należeli do tego samego gatunku ludzi. Ludzi zapadających w natychmiastową amnezję. Żyli dla chwili, jak dzikie zwierzęta.

W Nowym Jorku podnajęłam mieszkanie. Hutt, prawdopodobnie powodowany poczuciem winy, dał mi numer telefonu swojej siostry, która przebywała poza Nowym Jorkiem i której potrzebny był ktoś, komu by mogła wynająć tymczasowo mieszkanie. Znajdowało się ono w pobliżu Greenwich Village, na rogu Czternastej i Szóstej Ulicy; ogromny, zapuszczony budynek z rdzewiejącymi framugami okien i sterczącymi na zewnątrz urządzeniami klimatyzacyjnymi. Wyglądał na odpowiedni, żeby popaść w nim w szaleństwo. Nowy Jork jest miejscem doprowadzającym człowieka do skrajności. Jeśli jesteś szczęśliwy, przywiedzie cię do ekstazy. Jeśli jesteś w depresji, pchnie ku samobójstwu. Jeśli natomiast jesteś szalony... cóż, doprowadzi cię do jeszcze większego szaleństwa!

Sądziłicie, że wrócę do Anglii? Nic z tych rzeczy! To nie dla mnie. Leżałam na łóżku, pogrążona w rozmyśleniach. Z dołu dochodziło wycie policyjnych syren. Raz jeszcze Nowy Jork wessał mnie w siebie. Godzinami leżałam bez ruchu, niczym Robert De Niro w *Taksówkarzu*, planując, knując zemstę. Mieszkanie składało się z jednego pokoju, z rozkładaną do spania kanapą. Pod oknem tkwił przykucnięty staromodny, pękaty kaloryfer. Był moim jedynym towarzyszem. Czasami wydawał

gulgotzące dźwięki, a nocami pochrząkiwał, jakby miał bronchit. W pokoju było piekielnie gorąco, gdy tymczasem za jego oknem tysiące dymnych sygnałów wypływało z drapaczy chmur, z tej chippendale'owskiej krzywizny gmachu AT&T, z rozsianych na powierzchni lodowatych ulic studzienek.

Bywały wieczory, kiedy wychodziłam na zewnątrz. Nie uwierzylibyscie, jak interesujące przy tych okazjach spotykałam osoby. Raz z ciemności wyłoniła się kobieta. We włosy miała wplecione kawałki aluminiowej folii. Uśmiechnęła się do mnie i oświadczyła: „Jestem wypadkiem, który czeka, żeby się zdarzyć”.

Czasami jeździłam autobusami. Nie miałam pojęcia, dokąd podążają, ale tego nie wie większość nowojorczyków. Ulicami jeździło pełno tajemniczych autobusów z jakichś lewych firm przewozowych; miały przydymione okna, pędziły własnymi trasami i zatrzymywały się nagle na nieznanym nikomu przystanku. Ale było w nich jednak ciepło, a ja przy najmniej nie tkwiłam w miejscu. I byłam w znacznie lepszym nastroju. Natomiast większość pasażerów robiła na mnie wrażenie pomyłonych.

- Do mnie pani mówi? - spytał mnie kiedyś jakiś mężczyzna.

- Nie - odparłam.

- Co to za jeden ten Trev?

Patrzyłam za okno, usiłując skoncentrować się na neonach. Gość dalej mi się przyglądał. Dlaczego wszyscy zachowywali się tak dziwnie?

Powiem wam, dokąd lubiłam chodzić. Do atriów. Do tych obudowanych szkłem dziedzińców. Przede wszystkim były przytulne i ciepłe. O temperaturze zbliżonej do tej w Los Angeles. Z taką samą zresztą roślinnością. Miałam trzy ulubione: IBM-u, Citicorpu i to przy Park Avenue. Każdy mógł do nich wejść i przesiedzieć tam cały dzień, jeśli tylko zechciał, pod warunkiem że nie zachowywał się dziwnie. Ścisłe mówiąc, zdecydowanie dziwnie.

Bo widzicie, są to miejsca publiczne. Inwestorzy musieli podarować je miastu w zamian za pozwolenie wybudowania ponad nimi cholernie wielkiego drapacza chmur. Lubiłam zabierać swój lunch do IBM Plaza. Zazwyczaj w budce na ulicy kupowałam sobie kebab. W pobliżu, pomiędzy budynkami, znajdowała się otwarta przestrzeń. Przed betonową fontanną zasadzono delikatne, bezlistne roślinki. Tą fontanną była jedna ze ścian - ponad jej krawędzią przelewała się woda, co robiło wrażenie, jakby cały budynek płakał. Jednak było zbyt zimno, by siedzieć tam na jednym z tych wrzecionowatych, metalowych krzesełek i właśnie dlatego przepychałam się przez obrotowe drzwi do wnętrza ogromnego, wycieszonego gmachu IBM-u.

Na zewnątrz drzewa dygotały bezgłośnie pod uderzeniami wiatru. Przejżdżały furgonetki. We wnętrzach natomiast, podobnie jak w Kalifornii, pory roku się nie zmieniały. Siadałam przy stoliku. Każdy ze nich był zajęty, na zasadzie silnego poczucia terytorialności, przez jedną osobę. A niektóre z owych osób robiły wrażenie, jakby siedziały tam od tygodni. Czarni mężczyźni nosili pilotki; nieustannie, jakby był to nerwowy tik, przeglądali swoją kolekcję plastikowych, sklepowych toreb. Wyjmowałam książkę, wówczas niełatwo było mi czytać; wymagało to niezwykle silnej koncentracji. Jak mi się to kiedyś udawało? Siedzieli tam ogromni, otyli ludzie, zbyt otyli, by ktoś mógł ich kochać. Mieli na głowach bejsbolówki, a w uszach słuchawki walkmanów. Kępy bambusów jak zawsze przywodziły na myśl Czechowa; nie zrzuciły liści. Jednak od mojej ostatniej wizyty w donicach posadzono nowe rośliny. Zniknęły chryzantemy i teraz spomiędzy domowych kwiatów sterczały włócznie zonkilowych liści; pomyślałam o nożach w butach Lotte Lenyi.

Nie miałam z kim porozmawiać. Ból ścisnął żelazną obręczą mój mózg i zebra. Czasami wręcz nie mogłam oddychać. Łykałam tabletki seconalu, jak Lila. Przesiadywałam w atrium IBM-u całe wieki. Naprzeciwno mieścił się garaż. Co jakiś czas rozsuwała się jego brama i pochłaniała samochody; po południu następował odwrotny proces, wypływała je jeden po drugim. Ludzie sukcesu jechali do domu, do swoich rodzin. Gorycz przeżerała moje kości jak kwas. W chwilach nagłego przypływu rozsądku zdawałam sobie sprawę, że powinnam wracać do Londynu, coś

jednak nie pozwalało mi tego zrobić. Pewnie wściekłość. I rozpacz. W istocie niemal nie byłam w stanie się poruszać. Jakże zatem miałam poczynić te wszystkie związane z podróżą przygotowania, skoro z takim ogromnym trudem przechodziłam na drugą stronę ulicy?

Powiedziałam wam, że knułam zemstę, w rzeczywistości jednak chyba niewiele w ogóle robiłam. Przez dwa tygodnie po prostu wegetowałam, w całkowitym odrętwieniu. Sunęłam powolnie ulicami niczym ślepy sum na dnie oceanu. Ulice pełne były podnoszących ludzi i materiały dźwigów, kurzu, a także niespodziewanych wyrw w zabudowie, równie szokujących jak brakujący ząb. Budynki po obu stronach ulicy były obandażowane, jakby starano się powstrzymać krwotok. Pełne gruzu ciężarówki tamowały ruch. Usuwano parkany, z szerokim gestem, jak przy podnoszeniu teatralnej kurtyny, żeby ukazać nowe, granitowe westybule, mrowiące się od robotników. Zrywali oni taśmę malarską niczym plaster ze skóry; trudno było powstrzymać się od wzdygnięcia na ten widok. Wszystko działo się tak szybko, nic dziwnego, że ludzie tracili orientację. Przez te tygodnie za moim oknem rósł nowy budynek; dzień po dniu coraz wyższy, zasłaniając mi ostatecznie resztkę jakiegokolwiek widoku. Wkrótce zostaną odcięta od słońca i będę miała przed oczyma okna wypełnione stenotypistkami, tak blisko mnie, że dojrzę dokładnie ich bransoletki z amuletami.

Pewnie czekałam po prostu, aż się coś wydarzy. Poza tym jakże mogłam wrócić do Anglii i stanąć przed matką czy tą garstką przyjaciół, którzy sądzili, że przebywam w Hollywood? Oni zakładali przecież, że bawię się doskonale, pracując nad jakimś ważnym filmem.

Owszem, zadzwoniłam pewnego wieczoru do matki i przekazałam jej najświeższe wiadomości. „Kręcimy w terenie, na pustyni” - belkotałam. „Jejku, ależ tu upał! Byłam na mnóstwie przyjęć i żebyś widziała moją opaleniznę”. Leżałam na łóżku i wpatrywałam się w biegnące przez sufit pęknięcia. W budynku obowiązywał czynsz regulowany, w związku z czym właściciele usiłowali wykopać lokatorkę, u której mieszkałam, pozwalając, by wszystko się po prostu rozpadło.

* * *

A potem, pewnego popołudnia, mój los się odmienił. Wiedziałam, że tak się stanie, wcześniej czy później. Wstałam w południe i postanowiłam odwiedzić Muzeum Sztuki Współczesnej. Chodziło o to, żeby przekonać samą siebie, że nadal jestem w stanie coś zrobić. Bo, widzicie, zaczynałam panikować. Myślałam, że już nigdy nie będę w stanie niczego dokonać, poza braniem długich kąpeli i wylegiwaniem się na łóżku.

Tego dnia udało mi się ubrać, coś zjeść i wsiąść do autobusu. Ostatnie kilka przecznic szłam pieszo wzdłuż Park Avenue, tą ulicą, której monolityczne, a-pieprzyć-całą-resztę apartamentowce powodowały, że czułam się maleńka jak ślimak.

Do muzeum nie dotarłam. Zabrakło mi po prostu pary. Pójście do jakiegoś nieznanego mi bliżej miejsca wydało mi się tak ogromnym wysiłkiem. Zresztą, jakż to pożytek z kilku maźnięć farby na płótnie? Nieszczęście czyni nas filistrami. Wszystko zdawało się mieć zbyt nikłe znaczenie, by warto było sobie tym zawracać głowę, wobec czego kupiłam na stoisku z prasą jakieś czasopismo i ponieważ było bardzo zimno, poszukałam schronienia w Park Avenue Plaza.

Było to miejsce, gdzie od wyłożonych brązowożółtym marmurem ścian odbijało się echo. Rosły tam różne drzewa i fikusy. Ogromne, błyszczące, stalowe filary podtrzymywały dach. Część zajmowała restauracja, druga część natomiast, oddzielona sznurem, otwarta była dla wszystkich. Tutaj, jak zwykle, stoliki zajęte były przez na ogół łagodnych psycholi. Mamrotali jak mały pośród dżungli listowia. Przeszedł ochroniarz, a z urzędzenia na jego piersi dobiegł mnie elektroniczny szum zakłóceń i jakieś niewyraźne głosy. Z zawieszonych na drzewach głośników wydobywała się nieustannie spokojna, relaksująca muzyka. Ważni urzędnicy wchodzili przez obrotowe drzwi, przemierzali hol i kierowali się do położonych wyżej biur. Nie zauważali naszej obecności. Niektórzy stali jakiś czas w oczekiwaniu na windę; inni jechali ruchomymi schodami, stojąc bez ruchu podczas tej swojej podróży ku stropowi. Robili wrażenie wybrańców, którzy udają się do nieba, pozostawiając nas wszystkich pośród walających się papierowych kubków.

I właśnie wtedy dostrzegłam Roly'ego, agenta Lili. Wchodził akurat do budynku. Zerwałam się i zaczęłam udawać, że nie spiesząc się, opuszczam restaurację.

Ubrany w czarne futro kierował się ku windom. Minęłam go jakby nigdy nic, po czym nagle się zatrzymałam.

- Cześć! - zawołałam.

Rozpoznanie mnie zajęło mu krótką chwilę. Jestem pewna, że wyglądałam całkiem normalnie, ale on przecież nie spodziewał się, że tak ni stąd, ni zowąd pojawię się przed nim. Uścisnął moją dłoń.

- Cześć, jak się miewasz? - spytał. - Myślałem, że jesteś w Los Angeles.

Zatem nie wiedział. Odetchnęłam z ulgą. Dlaczegoż niby miał wiedzieć? Wyrzucenie na bruk dublerki nie jest warte nagłówków gazet.

Uśmiechnęłam się.

- Powiedziałaś, żebym się stamtąd wyniosła, a ja posłuchałam twojej rady. Pracujesz tutaj?

Pokręcił głową.

- Mam tu spotkanie.

- Słuchaj, Roly. Potrzebuję twojej rady w pewnej sprawie - powiedziałam niespodziewanie. - Mogłabym kiedyś zaprosić cię na drinka?

Aż sapnął, zaskoczony.

- Jasne. Z jedną poprawką. To ty będziesz m o i m gościem.

Zdjął rękawiczki i z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobył notes. Patrzyłam, jak pulchnymi palcami przewraca kartki.

Czemu to powiedziałam? Słowa same wymknęły się z moich ust. Nie odzywałam się do nikogo od wielu dni... prawdę mówiąc, od całych tygodni. Być może byłam po prostu spragniona czyjegoś towarzystwa.

Nowojorczycy potrafią być zaskakująco uprzejmi. Również gościnni... szczególnie w stosunku do Anglików. Roly podniósł wzrok.

- Okazuje się, że mam w piątek odwołany lunch. Dlaczego miałbym nie zabrać na ten lunch ciebie?

Coś tam odpowiedziałam.

- Cała przyjemność po mojej stronie - oznajmił szarmancko. Dał mi

wizytówkę i podał adres restauracji. Potem ponownie potrząsnął moją dłoń, ściskając ją niczym starszy krewny. Drzwi windy rozsunęły się i wszedł do środka.

Zabrał mnie do wytwornej, francuskiej restauracyjki na rogu Sześćdziesiątej Szóstej Ulicy i Madison Avenue. Najwyraźniej znali go tam dobrze, bo bardzo się wokół nas krzątali. W istocie, co odkryłam później, miał tam własny stolik. Był to jeden z tych staromodnych lokali, które nadal serwowały consommé. Mój Boże, oni serwowali nawet grzanki melba. Okazało się, że Roly zawsze jada to samo - zupę grzybową, a po niej solę z rusztu, z ziemniakami. Był grymaśny i pedantyczny, jeśli chodzi o jedzenie, i miał delikatny żołądek. Mnie jednak namawiał do zamawiania najbardziej sutych dań z menu - foie gras, homar thermidor. Był hojny, jak najlepszy z krewnych.

Natomiast ja przed tym spotkaniem zebrałam się w sobie, umyłam głowę i włożyłam swój jedyny naprawdę elegancki kostium - cętkowany tweed, wcięty w tali, ze skórzanym kołnierzykiem. Zamierzałam się pokazać jako pewna siebie, odnosząca sukcesy profesjonalistka. Poprosiłam go o radę dotyczącą mojej dalszej kariery.

- Czy będę w stanie znaleźć jakieś zajęcie w Nowym Jorku? Byłabym zachwycona, mogąc pozostać tu dłużej.

Odłożył łyżkę.

- Wy, Brytyjczycy, wy właśnie stanowicie szczególną atrakcję. Te ważne przedstawienia, one się tu świetnie sprawdzają. Nie wszystkie, ale kto by tam liczył? Przyjeżdża Trevor Nunn i Broadway pada u jego stóp. - Dotknął warg serwetką. - Wszyscy tutaj nieustannie szukamy nowych brytyjskich produkcji, nowych brytyjskich twarzy. Przyjeżdża Emily Lloyd i Hollywood je jej z ręki.

- Jestem nieco starsza od Emily Lloyd. Sądziś, że mogłabym do czegoś dojść?

Rozłożył ręce i wzruszył ramionami. Ułamałam kawałek grzanki i wpatrzyłam się w niego.

- Oglądałem cię podczas pracy w studiu - powiedział. - Wiesz, co takiego masz, Jules? Rozpoznaję, kiedy tylko się na to natknę. Czuję to, o

tutaj. - Dotknął własnego karku. - W moim punkcie T.

- T?

- Talent.

Zarumieniłam się z zadowolenia.

- Naprawdę?

- Masz, skarbie, klasę. Coś rasowego. Czuję się w tobie jakąś siłę, która przyciąga. Jest w niej coś niebezpiecznego.

Patrzyłam na jego błyszczącą twarz. Mimo że przypominał mi Charlesa Laughtona, miałam ochotę go uściskać. Przez krótką chwilę wyobraziłam sobie, jak całuję te jego ściągnięte, gąbczaste małe wargi.

Wszystko działo się nazbyt szybko. Bo on tymczasem, za-siadłszy wygodnie na krytej czerwonym aksamitem, miękkiej kanapce przeszedł do konkretów.

- Kto jest twoim agentem w Londynie?

- Maggie Fitch.

Skinął głową.

- Szanują ją tutaj.

Miałam ogromną ochotę zapalić. Wiedziałałam jednak, że on nienawidzi papierosów - kiedyś byłam świadkiem, jak strofował Lilę - zatem splotłam tylko mocno dłonie pod stolikiem. Maggie nie miała w Nowym Jorku biura, wobec czego zasugerował, żeby przesłała kilka taśm ze mną do jego agencji, Belrose Creative Management, to będzie mógł zobaczyć mój dorobek. Dzięki Lili miałam już Zieloną Kartę. Gdyby BCM wpisał mnie na swoją listę, Roly dopilnowałby, żebym uzyskała członkostwo w SAG - Związku Aktorów Filmowych. Oznajmił, że mógłby od ręki wymienić dwie role, do których potrzebne są aktorki w typie Angielek.

BCM... SAG... Rzucił tymi skrótami tak od niechcienia. Czyżby rzeczywiście zamierzał załatwić mi angaż? Nie śmiałam analizować jego słów, jeszcze nie teraz. Zachowam je do czasu, kiedy będę sama. Było to jak znalezienie na ulicy torby pełnej banknotów i odłożenie na później przeliczenia ich z zapartym tchem i niedowierzaniem.

Roly, który miał słaby pęcherz, poszedł do toalety. Nie byłam w stanie zjeść deseru, on jednak zamówił dla siebie duży kawałek sernika. Ja

siedziałam już tylko w pełnym osłupieniu. Przy stoliku obok rozmawiały jakieś dwie kobiety.

- To tak rozkosznie mieć u siebie żywy ogień - mówiła jedna. - Przywozimy polana z naszej posiadłości w Connecticut, i Frank, nasz portier, śle je do góry windą towarową.

Ich ręce obwieszone były złotem. Obie miały niespokojny wzrok i przezroczyste jak porcelana twarze rozpieszczonych klientek drogich sklepów. Bez wątplenia obie też mieszkały w penthouse'ach, jak Lila.

Czułam się oszołomiona. Jeszcze wczoraj byłam na samym dnie, wśród śmieci, wśród odrzuconych i bezrobotnych. W autobusach opowiadałam nieznajomym o obrzydliwej niesprawiedliwości, z jaką się spotkałam w życiu prywatnym i zawodowym. Stalowe wrota miasta obracały się, nie wpuszczając mnie do środka.

A teraz, po jednej zaledwie godzinie przy lunchu, ponownie się otwarły. Najważniejszy nowojorski agent zapalał do mnie sympatią, a uderzająco przystojny kelner, właśnie w tej chwili, zmiatał małą, srebrną szcztoteczką okruszki z mojego obrusa.

Po lunchu długo włączyłam się bez celu, niczym ofiara wstrząsu wywołanego ostrzałem artyleryjskim. Pamiętam, że stałam przed sklepem Bergdorf Goodmans, zaglądając przez szybę do wnętrza. „Poczuł do mnie sympatię”. W kółko powtarzałam te proste słowa. Nie potrafiłam wyrazić tego inaczej. „Poczuł do mnie sympatię”. Manekiny spoglądały na mnie, tak jak ja niczego nie pojmując.

A to była prawda. On rzeczywiście mnie polubił. Kilka miesięcy później wyznał mi, że spowodował to mój kostium. Bardzo go to wówczas nurtowało. Podobała mu się bowiem idea pewnej siebie, dominującej kobiety, w żakiecie o surowych kroju ramion, gotowej nim pomiatać. Charlotte Rampling, której zresztą nie reprezentował, wzbudzała w nim ogień. Śnił o jej ostrej, kociej twarzy nad sobą, o tym, jak go ruga za kompromitującą impotencję.

* * *

Sobota była cudownie radosna - był to jeden z tych mroźnych, słonecznych, nowojorskich dni, które naładowują człowieka energią. Miało wyglądać pięknie. Drapacz chmur odbijał blask, jego krawędź ostro jak brzytwa rysowała się na tle nieba; metalicznie lśniący gmach Chryslera wręcz raził w oczy. Ktoś mnie chciał! Ktoś, kto może się okazać niezwykle użyteczny! Szłam przez Central Park, swoimi starymi drózkami. Wydawało się, że tego dnia wszyscy mieszkańcy miasta wylegli na zewnątrz. Dyszący jak bizona krzepcy bejsboliści, śmigający wrotkarze, odziani jak wojownicy, w hełmy i nakolanniki. Rozwiedzeni ojcowie rzucali piłki, czerpiąc, ile się da, z tej możliwości obcowania z własnymi synami.

Podeszłam do płyty IMAGINE i spojrzałam w górę, poprzez bezlistne drzewa, na szczyt domu Lili. Puste okna jej apartamentu błyszczały w słonecznym świetle. Wyobraźcie sobie! Ja tam mieszkałam. Na krótką chwilę stałam się Lila; gość z pralni chemicznej zwracał się do mnie „panno Dune”. Wyobraźcie sobie coś dostatecznie silnie, a każdy wam uwierzy. Życie jest bardziej dziwaczne niż jakikolwiek film. Z Lilą jeszcze nie zakończyłam spraw, podobnie jak z Trevem; a wtedy, gdy już miałam powód, by zostać w Nowym Jorku, byłam przekonana, że potrafię coś wymyślić. Nie ujdzie im to płazem. W żadnym razie!

Maszerowałam do domu na mocnych, krzepkich nogach. Przeszłam dziesięć przecznic, wdychając przy okazji całe mnóstwo spalin. Mijały mnie samochody, grzechotały na metalowych płytach scalających ulice. Te rdzewiejące panele, przyśrubowane do nawierzchni, przypominały pokrywy oddzielające nas od panującego poniżej chaosu. Całe miasto pulsowało niebezpieczeństwem.

Zapomniałam zjeść lunch. W Los Angeles była pora śniadania. Lila i Trev pewnie się właśnie budzili, jeszcze lepcy od potu po seksie. „O moja Ameryko!” - mamrotał zapewne do siebie. „Moja nowo odkryta ziemi!” Oczywiście nie wypowiadał tych słów, niemniej taki musiał być ich sens. Każde z nich okradło mnie z tego drugiego. Nadal miałam w torebce jej

klucze; podzwaniały, gdy stawiałam kroki. Już wtedy przypuszczałam, że pewnego dnia mogą się okazać przydatne.

Jakaś kobieta, obładowana pełnymi zakupów torbami, przywołała taksówkę. Ta się zatrzymała, ale ja dopadłam jej pierwsza.

- Ej, ty! - zawołała kobieta. - Co ty sobie wyobrażasz?
- Mój chłopak jest ranny - rzuciłam, dysząc ciężko. - Źle z nim!
- Jezu! - Kobieta otworzyła szeroko oczy. - Co się stało?
- Muszę jechać do szpitala - odparłam. - On umiera.

Wskoczyłam do taksówki i zatrasnęłam drzwi. Gdy auto oddalało się od krawężnika, dłonią w rękawiczce przykryłam usta i zaczęłam chichotać.

Kiedy dotarłam do domu, dzwonił telefon. To był Roly. Poprosił, żebym w najbliższy wtorek towarzyszyła mu, jako jego osobisty gość, na premierze nowej sztuki.

Dwa

Omiał nie zaspałam. Przysnęłam bowiem tamtego popołudnia i śniło mi się, że nos Treva wyciągnął się w słoniową trąbę. Trev mrugał do mnie, przechylał głowę z boku na bok, huśtał tą swoją trąbą i uderzał nią o ścianę.

Obudziłam się zrana potem. Było ciemno. Telewizor był włączony; w jakimś policyjnym serialu gliniarz dawał wycisk kulącemu się Latynowski, łup... łup... skórzaną pałą.

Było późno. Zdenerwowana wyłączyłam odbiornik, zrobiłam makijaż i wślizgnęłam się w tę sukienkę z brązowej satyny. Była 18.15.

Roly czekał na mnie w holu. Pod futrem miał smoking; szczerze mówiąc, wyglądał wyjątkowo dobrodusznie. Ot, zażywny, starzejący się dandys.

- Moja droga - rzekł do mnie - wyglądasz olśniewająco.

Przyniósł białą różę i przypiął mi ją do sukni. Poczułam się jak ulubiona siostrzenica, którą wujek zabiera gdzieś wieczorem.

Na zewnątrz stała limuzyna; jej silnik pomrukiwał w gotowości. Nie był to żaden wulgarny, długi pojazd, tylko lincoln town car. Usiadłam z Roly z tyłu i zerkalam na jego tłuste uda tuż obok swoich. Przypomniałam sobie, jak siedziałam w tamtej limuzynie z Lilą, w drodze do pubu w Tottenham. Założyłam nogę na nogę, czemu towarzyszył cichutki chrzęst. Roly pachniał drogim mydłem. Gawędził ze mną, podczas gdy auto sunęło ulicami miasta. Zauważyliście może, że drugie spotkanie z kimś jest zawsze zadziwiająco różne od pierwszego? Tego wieczoru Roly wydawał się osobą tak bliską jak szkolna koleżanka. Najwyraźniej lubił

kobiety i ploteczki. Opowiedział mi cudowną historyjkę o Debrze Winger i o mikrofonie.

Patrząc na jego pulchne dłonie, zastanawiałam się, jaką może mieć orientację seksualną. Kilka dni wcześniej zadzwoniłam do Maggie Fitch, żeby przekazać jej wieści. Zaczęłyśmy rozmawiać o Roly i zapytałam ją o jego życie prywatne. Powiedziała mi, że nigdy nie był żonaty i że jego skłonności pozostają niejasne. „Nie jest gejem; tego w Nowym Jorku utrzymać w sekrecie się nie da”, oznajmiła. „Na pewno nie pieprzy się ze swoimi klientkami, o czymś takim doszłyby mnie słuchy. Poza tym one musiałyby być chyba nieźle zdesperowane, nie sądzisz? Panuje ogólna opinia, kochana, że jest kimś w rodzaju eunucha, który lubi się pokazać w towarzystwie pięknej dziewczyny”. Teraz, kiedy w moim życiu coś się działo, była szczególnie dla mnie miła, wplatała w rozmowę mnóstwo „kochanych”. Roześmiała się chrapliwie. „Może uda ci się to odkryć”.

Tamtego wieczoru byłam więc piękną dziewczyną - kobietą - wspartą na ramieniu Roly'ego. Przynajmniej ubrałam się stosownie do tej roli. Przed Music Box tłoczyły się limuzyny; trąbiły i w żółwym tempie posuwały się do przodu. Zalewały ulicę jak plama oleju, przesuwająca się powoli, czarna i połyskująca.

Kiedy weszliśmy do holu teatru, błysnęły flesze. Poruszałam się, falując biodrami, jak Lila; ją też zabrał tu kiedyś na premierę, widziałam ich w telewizji. Dzisiaj była kolej na mnie. Wokół kręcił się tłum; nie rozpoznawałam nikogo, choć ludzie podchodzili, żeby się z nim przywitać. Później, kiedy już siedzieliśmy na swoich miejscach, wskazał mi różne osoby w innych rzędach.

- To jest Frank Rich - powiedział, uśmiechając się do tamtego i unosząc dłoń. - A tam, Clive Barnes. Rzeźnicy Broadwayu.

Wykręciłam szyję, żeby na nich popatrzeć. Być może pewnego dnia zasiądą tutaj, będą ostrzyć swoje noże i czekać, by mnie wylansować albo wykończyć.

- Tam, po drugiej stronie, ten w trzecim rzędzie, to Al Hirschfeld - mówił Roly. - Światowej sławy karykaturzysta, w towarzystwie żony

Dolly. Zawsze siadają blisko sceny, żeby on mógł dobrze widzieć to, co rysuje. - Wychyliłam się do przodu i dostrzegłam siwobrodego mężczyznę, równie majestatycznego jak tamci z portretów Velázquez. Ktoś klepał go delikatnie w ramię; odwrócił się z uprzejmym pozdrowieniem.

Zawsze podobał mi się szum towarzyszący premierze. Mimo że twarze wokół były mi obce, miałam uczucie, że wracam do domu. Od mojej ostatniej wizyty w teatrze minęły całe miesiące. Kiedy światła przygasły, zastanawiałam się, dlaczego Roly wybrał mnie na osobę towarzyszącą. Czy uważał mnie za atrakcyjną? Czy naprawdę sądził, że mam talent? Czy też zastępowałam jedynie chwilowo przebywającą w Los Angeles Lilę?

Przedstawienie to miało pomóc w drodze do kariery jednej z młodych, grających komediowe role, telewizyjnych aktorek Roly'ego. Oparte było na tekstach Dorothy Parker i nosiło tytuł *Równie dobrze mógłbyś dalej żyć*. W istocie okazało się zbiorem połączonych skeczów i wierszy, z podłożoną muzyką. A tymczasem moje myśli błądziły. W końcowej partii spektaklu, kiedy Dorothy Parker uległa alkoholizmowi, rozpaczy i ostatecznie zamiarom samobójczym, uzmysłowiłam sobie, jaką byłoby dla Treva ulgą, gdybym zwyczajnie przedawkowała. Wszystkie jego problemy skończone! Przez kilka dni chodziłby z przejętą miną - trudne zadanie - powtarzając, jaką to byłam świetną aktorką i jakim dobrym przyjacielem. On i Lila publicznie pocieszałyby się nawzajem pocałunkami w stylu show-biznesu. Zapominając o naszych ostatnich nieporozumieniach, Lila paplałaby o tym, że byłam dla niej niczym siostra i że dodałam jej pewności siebie. A potem kompletnie by o mnie zapomnieli.

Jakież to błogie i łatwe rozwiązanie dla obojga! Za kogo oni mnie uważali... za jakąś idiotkę?

- Dobrze się czujesz?

Wzdrygnęłam się, usłyszawszy głos Roly'ego. Patrzył na mnie zatroskanym wzrokiem. Publiczność biła brawo, w sali zapalały się światła.

- Doskonale - odpowiedziałam.

Ścisnął moją dłoń.

- Podobał ci się spektakl?
- Uroczy - odparłam. - Szczególnie scena próby samobójstwa.

Potem było przyjęcie. Wydane przez producentów w prywatnej sali hotelu Sherry-Netherland. Wypiłam mnóstwo szampana. Ten kelner, noszący tacę z kieliszkami, pojawiał się w kółko, zupełnie jak na puszczonej ciągle od nowa kasecie wideo. Kiedy zamknęłam oczy, wyobrażałam sobie, jak go przewijają - jak maszeruje do tyłu, w tłum, jakby nakręcany przez jakiś mechanizm zegarowy - a potem ponownie się z niego wyłania. Zachichotałam.

Wisiałam uczepiona ramienia Rolnego. Był niższy ode mnie, a ja wyobrażałam sobie, jak rozgniatam jego głowę o swój biust. Snułam rozważania z leniwą, pijacką docieklivością. Odziana w brązową suknię odgrywałam tę swoją fantazję: wdzięczącej się głupawo gwiazdki. Podnieciło mnie to. Ta moja sukienka rozcięta była aż po udo; przypomniałam sobie, jak pokazałam się wtedy w przymierzalni tamtym dwóm, nie znanym mi Arabom. To wspomnienie również mnie rozśmieszyło.

Jestem pewna, że na tym przyjęciu było wiele sławnych osobistości, ja jednak niewiele spośród nich rozpoznałam. Byli tam młodzi aktorzy, geje, w golfach - niebieskich, różowych i żółtych. Były tam starzejące się, pełne życia kobiety o doskonałej strukturze kości twarzy. („Tej jedynej rzeczy, która nam pozostaje”, wedle opinii mojej ciotecznej babki.) Słyszałam chropawy głos Elaine Strich, ale nie mogłam jej dostrzec. Wszyscy poza mną pili niewiele. Zauważyłam Coral Browne i jej męża Vincenta Price'a. On, uderzająco wysoki i dobrotliwy, miał na sobie nieskazitelną tweedową marynarkę, niczym jakiś pułkownik z hrabstwa Sunningdale. Znalazłam się obok niego. Widok jego ogromnych stóp spowodował, że znowu się rozchichotałam. Poinformował mnie, że nosi buty w trzynastym rozmiarze. A może powiedział to komuś innemu.

Ludzie nieustannie usiłowali zabrać gdzieś Roly'ego, on jednak przytrzymywał mocno moje ramię i przedstawiał mnie po kolei im wszystkim. Nagle poczułam absurdalne wręcz przywiązanie do niego; pewnie

sprawiły to te wszystkie obce twarze. Wszyscy zdawali się znać wszystkich innych; wywołane przez AIDS spustoszenie jeszcze bardziej zbliżyło do siebie członków tej niewielkiej społeczności teatralnej Nowego Jorku.

- Niszczycielski AIDS - wycodziłam z namaszczeniem, usiłując zachować powagę, starając się poprawnie artykułować słowa. Język odmawiał mi posłuszeństwa.

Rozmawiali o Marshy i Tedzie oraz o tym, że ktoś jutro leci do Paryża. Jakiś starszy pan skinął głową i uśmiechnął się do mnie, jak gdyby mnie znał; na policzku miał ślad po szmince.

- Scott pisze wspomnienia - oznajmił czyjś głos. - To ci dopiero huc-piarz!

- Poszła do szpitala, biedactwo - odezwał się ktoś inny. - Na kolejne badania.

Drobna kobieta, ubrana na czarno, jak gawron, zapytała, co sądzę o pani Thatcher, i pewnie wymamrotałam jakąś odpowiedź. Ktoś inny mówił chyba do mnie o Kennecie Branaghu, a ja powiedziałam, że nigdy go nie spotkałam. Czy rzeczywiście? Nie pamiętałam. Ktoś pytał Roly'ego, co porabia Lila.

- W zasadzie kończy w przyszłym tygodniu zdjęcia - odparł. - Wróci tu w połowie marca.

Nawet w pijanym widzie wstrząsnęło mną, kiedy usłyszałam to imię. Przez jakąś godzinę... która to była godzina?... nie miałam ochoty unieść ręki z zegarkiem. W każdym razie na chwilę całkowicie zapomniałam o jej istnieniu. Szczerze mówiąc, nie pamiętałam nawet, gdzie jestem. Co to za zdobne płaskorzeźbami ściany i zyrandole? Wiedziałam, że powinnam była coś zjeść, ba, pamiętam jak przez mgłę Roly'ego wciskającego mi w rękę talerz zjedzeniem, Bóg jedyny wie, gdzie go zostawiłam.

Zamajaczyła przede mną jakaś kobieca twarz. W okularach.

- Kiedy zobaczyłam panią w teatrze - oznajmiła - myślałam, że widzę Lilę.

Ponownie zjawił się kelner. Odstawiłam bardzo, bardzo ostrożnie pu-ssty kieliszek na tacę. Odczuwałam coś na kształt nieważkości; twarze przepływały przede mną. Nagle wydało mi się, że Roly jest jedyną osobą na świecie, jaką znam; uchwyciłam się mocno jego ramienia, zupełnie jakbym tonęła.

* * *

Tamtej nocy uwiodłam Roly'ego. Czy raczej na wpuł go uwiodłam. Problem w tym, że niewiele pamiętam. Nie byłam tak pijana od czasów studenckich. Później uświadomiłam sobie, że celowo się tak zaprawiłam, żeby się pokrzepić. Inaczej nie dałabym sobie z tym rady.

Bo widzicie, już tamtego pierwszego dnia, podczas lunchu, postanowiłam go uwieść. Było w tym i pożądanie, i samotność, i ciekawość. Był to ten sam przymus, jaki odczuwałam, kiedy podrywałam tamtego mężczyznę w barze hotelu Warwick. Chciałam rozpoznawać palcami to dziwne, gładkie ciało Roly'ego. Chciałam mieć nad nim władzę, zapanować. Fascynował mnie, a jednocześnie wyczuwałam, że mogłabym go wykorzystać. Był moim jedynym łącznikiem z Lilą. Już wcześniej się domyśliłam, że pod względem seksualnym nie jest w stanie sprostać zadaniu; ten jego mdły uścisk dłoni, ta miękkość i bierność ciała. Dlatego wiedziałam, że jeśli uda mi się go pobudzić, będzie mój.

I będę mogła zacząć nim manipulować. Już wcześniej sobie to wszystko zaplanowałam.

Nie pamiętam, jak wsiadłam tamtego wieczoru do samochodu, ani też nic z samej jazdy. Przypuszczam, że zamierzał odwieźć mnie do mojego mieszkania, ale najwdoczniej zaczęłam nad nim pracować na tylnym siedzeniu, bo ostatecznie wylądowaliśmy u niego. Może po prostu uważał, że jestem zbyt pijana, by się sobą zająć; może po prostu był dżentelmenem.

Nie przypominam sobie ani holu na dole, ani windy; z tego, co pamiętam, równie dobrze mogliśmy dotrzeć na miejsce samolotem. Z trudem zachowywałam przytomność. Nie pamiętam, czy to on mnie rozebrał, czy też rozebrałam się sama, choć teraz przypominam sobie, że przygotował dla mnie kubek gorącego mleka. Na łóżku leżało coś ciężkiego, co, jak przypuszczam, było jego kotką. Później odkryłam, że zawsze sypiała na jego łóżku, a on ją po prostu uwielbiał. Prześcieradła były świeżutkie, a materac tak miękki, że zapadłam się w kompletną czerń. Ten płyn w moim mózgu falował, przepływał w tę i z powrotem, nawet

kiedy leżałam całkowicie bez ruchu. Gdybym się zresztą poruszyła, spadłabym w otchłań bez dna. On miał na sobie jedwabną piżamę. Wydaje mi się, że jej w ogóle nie zdjął.

Kiedy zapadałam w głęboki sen, wydarzyło się coś wilgotnego i intymnego. Sądzę, że ja to zaczęłam, aczkolwiek pewności nie mam. Chyba na początku się opierał; coś jednak musiało się stać, bo pamiętam jego małego, mokrego fiuta w swojej dłoni. Zawsze jest to jakaś niespodzianka, nieprawda, to pierwsze dotknięcie? Nawet jeśli jest się pijanym, to przecież potem się ten dotyk pamięta.

Nazajutrz obudziłam się z gigantycznym kacem. Przypomniały mi się te popijawy Lili, po których niczego nie pamiętała. Ona też budziła się obok nieznanymi mężczyzn, w obcych sypialniach. Miałam wrażenie, że za moment pęknie mi czaszka.

- Robiłeś to kiedyś z Lilą? - spytałam Roly'ego.

Wkładał dwa jajka do rondelka z gotującą się wodą. Stał do mnie tyłem; miał na sobie pasiasty, aksamitny płaszcz kąpielowy.

Nie odpowiedział; pokręcił jedynie głową. Jajka zagrzechotały, kiedy opuszczał je łyżką do wody.

Zatem Roly i ja zapoczątkowaliśmy romans, choć trudno określić terminem „romans” te skryte, prowadzone w ciemnościach manewry, którym towarzyszył duży wysiłek, a których w świetle dnia nigdy nie wspominaliśmy. Przez kilka następnych tygodni spotykaliśmy się często na lunchu w jego restauracji. Był wtedy zwyczajnym Rolyem; tą znajomą, dzienną wersją: niskim, brzydkim, zabawnym, a jednocześnie wpływowym człowiekiem, dysponującym niewyczerpanym zapasem fascynujących anegdot. Tkwił w tej branży już trzydzieści lat. Dowiedziałam się wiele na temat hierarchii istniejącej w sieciach telewizyjnych, na temat nieustannej walki o władzę w Hollywood oraz o tym, jak zmienia się przemysł rozrywkowy. Usłyszałam smakowite ploteczki o sławnych ludziach, które opowiadam tutaj tym wszystkim, którzy są zainteresowani

- bywają tacy, jednak jest ich o wiele mniej, niż się powszechnie uważa.

Co jednak najważniejsze, opowiedział mi o Lili. Był łączącą mnie z nią liną ratowniczą, moim tajemnym połączeniem. Z udawaną obojętnością przełamalam na pół swoją grzanke, podczas kiedy on opowiadał mi różne historie z jej przeszłości, które gromadziłam w pamięci do późniejszego wykorzystania. A że niemal codziennie rozmawiał z nią przez telefon, informował mnie też na bieżąco, co się u niej dzieje. Czułam się jak szpieg, kiedy tak dziobiąc widelcem filet z łososia, pozornie niewinnymi pytaniami wyciągałam od niego potrzebne mi szczegóły.

- Skończyła zdjęcia - mówił. - Wróciła do Nowego Jorku. Jest z nią Trevor, który kupuje sobie apartament. Ten gość, on to dopiero jest szybki!

Za honorarium za *Jane Eyre* oraz zaliczkę na inny projekt - może też za pieniądze Lili - Trev kupował apartament o kilka przecznic od niej, w Upper West Side. Wściekło mnie to i jednocześnie pocieszyło, bo świadczyło o tym, że nawet Lila nie potrafi go zmusić, by z nią zamieszkał.

Zastanawiałam się, czy Lila wie o tym, że dołączyłam do BCM, do jej agencji. Może Roly jej tego nie powiedział. Może nawet nie wiedziała, że nadal przebywam w Nowym Jorku. Nie miałam ochoty na spotkanie z nią ani z Trevem - byłoby to zbyt bolesne - ale koniecznie musiałam wysłuchiwać wszelkich wiadomości o nich. Czułam się jak mużulmanin w miesiącu muharram; biczowałam się tymi nowinami, aż do krwi.

Pod koniec marca Roly poinformował mnie, że Lila tworzy własną firmę producencką, z Trevorem jako partnerem.

- Jasne, że mnie to cieszy. Bo niby czemu nie? Jane Fonda, Goldie Hawn, one wszystkie to robią. Jessica Lange. Kiedyś to było chałupnicstwo, teraz są to spółki producenckie. Jak zobaczę w supermarkecie trzy kobiety, to myślę sobie: - Hej, one właśnie zakładają firmę.

Wracając z lunchu, zatrzymaliśmy się na chwilę, żeby kupić witaminy. W tym mieście hipochondryków Roly był hipochondrykiem nałogowym i

właśnie wydawało mu się, że łapie go przeziębienie.

- Czy Lassie miała firmę producencką? - spytałam. - Na pewno!

Opuściliśmy aptekę i szliśmy chwilę chodnikiem.

- Co z tym nowym apartamentem tego... jak mu tam? - zapytałam. - Trevora?

- Wprowadza się w przyszłym tygodniu. Wnętrze dekoruje mu jakiś tajski artysta, niezwykle wymyślnie. Powinien był mi powiedzieć, bo ja znam fantastycznego faceta, który ma wobec mnie dług wdzięczności, urządził wnętrze dla Daryl Hannah. Mogłem mu to załatwić, za naprawdę przyzwoitą cenę, no ale znasz Trevora.

- O tyle, o ile - powiedziałam. - Właściwie prawie go nie znam.

Roly wydmuchał nos i przywołał dla mnie taksówkę. Wcisnął mi do ręki dziesięciodolarowy banknot na jej opłacenie - na jego szczodrości można było polegać - pocałował mnie w policzek i pomaszerował w kierunku swojego oddalonego za ledwie o kilka przecznic biura. Taksówka zatrzymała się na światłach, a ja obserwowałam go z zaskakującą sympatią - zażywnego, otulonego w futro, niewysokiego jegomościa, który mocniej jeszcze otulił się szalikiem i posuwał się naprzód drobnymi, nerwowymi kroczkami. W jego świątyni interesów dzwoniły telefony - powiedział mi kiedyś, że jest ich sto dziennie. Milionowe kontrakty czekały na jego podpis. Najwyżsi urzędnicy z wytwórni filmowych płaszczyli się, żeby tylko móc prowadzić z nim negocjacje.

Zniknął mi wreszcie z oczu, jeden z najważniejszych ludzi tej branży. I mój seksualny niewolnik.

Bo rozumiecie, on mnie uwielbiał, ponieważ go upokarzałam. Podczas tych naszych odbywających się dwa razy w tygodniu nocnych sesji stopniowo zrozumiałam tego drugiego, ukrytego Lestera Rollinsa. Jego seksualność okrywała go hańbą... słyszał to wielokrotnie od własnej matki. Im bardziej go rugałam, tym bardziej się podniecał. Z czasem

dowiedziałam się o nim więcej. Wychował się w domu kobiet - jego rodzina przybyła z Łotwy, a ojciec zmarł, kiedy Roly był jeszcze małym chłopcem - i kiedyś matka, przyłapawszy go na masturbacji, złościła mu skórę. Zrobiło to na nim ogromne wrażenie. Przygniatająca miłość matki niepokoiła go i wyrastał uwięziony w niezdrowym, erotycznym związku z nią, który spowodował, że z innymi kobietami był niemalże impotentem. One nie potrafiły bowiem reagować odpowiednio na jego potrzeby, które, co trzeba przyznać, były raczej szczególnego rodzaju. Domyślałam się, że mogły się czuć spłoszone, a możliwe też, że niektóre starały się zmienić jego zwyczaje. Co gorsza, próbowały, być może, mu pomóc. A on tego nie potrzebował, chciał pogardy. Zatem w przeszłości, kiedy odczuwał, sporadycznie, pożądanie, korzystał z usług najwyższej klasy call-girls.

A potem pojawiłam się ja. Na początku kierowała mną chęć manipulacji, wkrótce jednak zafascynowały mnie jego miękkie ciało oraz skamłająca bezbronność. Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, niemniej taka jest prawda. Przez tak długi czas pozbawiona w tych sprawach jakiegokolwiek władzy teraz wręcz rozkwitałam jako seksualny dyktator. Mnie też to podniecało. On uwielbiał, na przykład, te wysokie buty na obcasach, które kupiłam sobie u Charlesa Jourdana. Włożywszy je, stawałam okraciem nad jego bladym i dziwnie kobiecym ciałem; ujeżdżałam jego małego fiuta, aż całe ciało miał śliskie od potu i zaczynał pokrzykiwać wśród spazmów rozkoszy. Sama wcześniej upokarzana... ojej, ależ miałam frajdę z upokarzania kogoś innego! Znęcając się nad rozciągniętym ciałem, myślałam sobie: To za tę zdzirę Lilę, to za tę mendę Trevora. Fakt, że był agentem Lili, jeszcze bardziej mnie podniecał. Nie wiem dlaczego. Nie miałam ochoty z a s t a n a w i a ć się dlaczego. W każdym razie tak właśnie było.

Tak długo niespełniona jako aktorka, wykorzystywałam swoją wyobraźnię, by wymyślać dla nas dwojga jeszcze bardziej dziwaczne i szalone gry. Ostatecznie dobra dziwka jest dobrą aktorką, dlatego zatem nie miałyby być też odwrotnie? Podczas tych nocnych wizyt stałam się kobietą, której zachowanie przedtem jedynie sobie wyobrażałam, jak się popisuje przed swoimi klientami, obnaża w sklepowych przymierzalniach,

podnieca kamerzystów oraz wielomilionową publiczność. Rozogniona, obserwowałam samą siebie. Czasami udawałam Jane Fonde z *Kłute*, czule pieszczącą podstarzałego klienta. Wreszcie byłam odnoszącą sukces aktorką, prawdziwą profesjonalistką!

Najbardziej lubił przebierać się w stroje matki. A była ona wyjątkowo pozbawiona gustu. W głębi duszy rozśmieszało mnie, że mężczyzna może być niewolnikiem kobiety noszącej za dużą o kilka numerów kremplinową szmizjerkę. W kącie swojego schowka na garderobę zmagazynował przeróżne stosowne dla matron odzienie. Wszystko to było pięknie wyprasowane i ułożone, i przechowywane w zamkniętej na klucz walizce, żeby nie natrafiła na to przypadkowo pokojówka.

Musiałam się ściśle trzymać procedury. Nie mogłam się pomylić, bo wtedy był nieszczęśliwy i sfrustrowany. Najpierw zatem powstrzymywałam go przed otwarciem wiadomej walizki.

- Lester! - napominałam. - Mówiłam, że nie wolno ci tego robić!

Im bardziej się złościłam, tym bardziej się podniecał. Potem gasił światło - i dzięki Bogu, bo kiedy już przebrał się za starą ciotunię, mądrzej było go nie oglądać. Wkładał też pantofle na wysokich obcasach, które jak przypuszczam, nie należały do jego matki, były na to zbyt eleganckie. Musiał je kupić specjalnie dla siebie.

Lubił, jak go macałam pod spódnicą.

- Byłeś niegrzecznym chłopcem, co? - szeptałam. - Bezwstydny, złym chłopaczyskiem.

Kiedy tak go strofowałam, zaczynał szybko oddychać. Jego fiut w mojej dłoni wyraźnie twardniał. Nie aż tak wyraźnie, ale zawsze. Lubił przeciągać tę procedurę tak długo, jak tylko się dało, wobec czego myślałam różne maleńkie scenariusze.

- Uważasz, że skoro jestem w kuchni i gotuję obiad, to nie wiem, co wyprawiasz? Słyszałam, jak wchodzisz do sypialni; słyszałam, jak otwierasz moją szafę. Więc wyłączyłam radio i słuchałam. Jak mogłeś zrobić coś takiego?...

Kiedy już wiedziałam, o co mu chodzi, słowa same spływały z mojego języka. Przypominało mi to improwizowanie na zajęciach teatralnych.

Miałam ogromną fantazję i bez trudu mogłam sprostać jego fantazjom. Czasami wkładał po prostu fartuch matki; nagi pod nim zabawiał się z sobą, podczas gdy ja przemawiałam do niego w ciemnościach. Mruzczałam tak do niego, aż znalazł się blisko punktu kulminacyjnego, i wtedy ciągnęłam go brutalnie na łóżko i mówiłam, czego ja sobie życzę. Uwielbiał, kiedy nim pomiatałam i kiedy używałam go dla swojej przyjemności.

Raz czy dwa, kiedy wpadłam w nieodpowiedni nastrój, popełniłam błąd. Straciłam nagle koncentrację. Pewnej nocy chciał, żebym go wychłostała. Miał gładkie, zaskakująco jędrne pośladki. Nie lubiłam go chłostać, wydawało mi się to niemądre. On leżał na mnie, przygniatał swoim ciężarem; moja dłoń leniwie gładziła jego obleczony w nylon zadek. Słyszałam trzask elektryczności statycznej. Moje myśli pobłądziły i przypomniały mi piękne, twarde plecy Treva. Nagle boleśnie odczułam jego brak. Co ja, do diabła, tutaj robię?

Zdegustowana zepchnęłam z siebie Roly'ego i nakazałam mu, żeby wyrządził mi krzywdę.

- Widziałeś tę bliznę na mojej ręce? - mruknęłam. - Lubię to, lubię, jak mnie boli. Podrap mnie! Do krwi! - Moje słowa go zdeorientowały. Zakłopotany oklapł.

Później w ogóle tego nie skomentował. W istocie nigdy nie wspominał naszych erotycznych działań, kiedy już się kończyły. Wszyscy jesteśmy w jakiś sposób rozdarci w naszych doświadczeniach seksualnych - ja na pewno - jednak w wypadku Roly'ego jego potrzeby były tak wyraźnie oddzielone od reszty życia, że nie zamierzał ich sobie uświadamiać, kiedy zostały zaspokojone.

Zabierał mnie na kolację, mniej więcej raz na tydzień, albo przyjeżdżał po mnie po jakiejś związanej z interesami imprezie. Rzadko widywano nas razem publicznie. Był bardzo dyskretny - migdalenie się z klientką było czymś niestosownym - a mnie to odpowiadało. Zawsze dobrze mi robiły wszelkie sekretne działania, a fakt, że zostałam tą nocną dziwką, podniecał mnie. Poza tym czułam się zażenowana za każdym razem, gdy widziano mnie wspartą na ramieniu takiego małego, tłustego, brzydkiego mężczyzny. Każdy związek jest wymiana handlową, a

show-biznes daje dramatycznie wręcz widoczne tego dowody - obrzydliwi, starzy producenci z młodymi gwiazdkami, wymalowane, stare gwiazdy z młodzieńcami. Nie chciałam być postrzegana jako jeszcze jeden przykład tego brutalnego bilansu. Raniloby to moją dumę, a poza tym moje uczucia wobec Roly'ego były o wiele bardziej złożone.

Najważniejszym wszakże powodem była Lila. Nie chciałam, żeby Roly wspomniał jej o mnie i, jak sądziłam, nie uczynił tego. W swoich księgach miał dziesiątki klientów; byłam po prostu jedną pośród wielu i prawdopodobnie zapomniał, że coś mnie z nią wcześniej łączyło. Ona na pewno by go nie zapytała, zanadto była skoncentrowana na sobie. Poza tym była bardzo zapracowana i oboje mieli też mnóstwo innych tematów do rozmowy. Teraz, jako kochanka Roly'ego, byłam również jego tajemnicą.

Przyjeżdżał zatem do mnie w swojej wynajętej limuzynie i jechaliśmy do jego apartamentu. Mieszkał na Beekman Place, bardzo szacownej ulicy niedaleko East River. Mnóstwo ludzi teatru mieszkało w tej okolicy, jako że wystarczył krótki jedynie spacer, by dojść stamtąd do Broadwayu.

- Mieszkał tu Irving Berlin - powiedział. - Jego rodzice byli jak moi. Tacy biedni, że wiesz, co zrobili? Sprzedali samowar za cenę mosiądzu, z którego był zrobiony. Tacy byli ubodzy.

Podobnie jak Berlinowi, Roly'emu świetnie się powiodło w tej krainie wszelkich możliwości i był obecnie człowiekiem bardzo zamożnym. Beekman Place było cichą, ocienioną drzewami uliczką. Niektóre z jej apartamentowców wybudowano w stylu średniowiecznym; miały gotyckie westybule oraz rzeźby z kamienia. Ogromnie mi się to podobało; panowała tam ciężka, solenna atmosfera towarzysząca poważnym piądzom.

Zabierał mnie do swojego mieszkania i nalewał szampana, który kupował specjalnie dla mnie - sam go nie pijał. Jego lodówka przypominała lodówkę innego hipochondryka, Lili, była pełna tabletek, czopków i zapasowych pojemników do inhalatora oraz ukochanych ciasteczek i ciast. Martwił się, że jestem za szczupłą; niczym żydowska matka karmił mnie, z niepokojem i troską obserwując, jak jem.

- Zjedz to, moja miła - mawiał. - Do ostatniej okruszynki.

Jego mieszkanie było urządzone dość konwencjonalnie. Wisiały tam sztywne, brokatowe zasłony, a gzyms nad kominkiem był w stylu Wedgewooda. W przeciwieństwie do mieszkania Treva zawsze lśniło ono czystością. Stały tam chińskie wazy; leżał też, zwinięty na najlepszym fotelu, ten opasły, rozpieszczony kot, który mnie nie znosił. Było tam duszno; nigdy nie otwierał okien, żeby się przypadkiem nie przeziębć. Przypominało to mieszkanie jakiejś ciotki, starej panny, o dużych dochodach. Wiele podróżował po Wschodzie i posiadał zbiór jawańskich marionetek z teatru cieni, wyeksponowany w gablocie za szkłem. Był koneserem, kolekcjonerem; traktował mnie z czułością, zupełnie jakbym była jakimś cennym obiektem, a on szczęśliwcem, któremu po latach poszukiwań udało się go znaleźć.

Przez chwilę rozmawialiśmy. Ja siadałam na podłodze, pomiędzy jego nogami, popijałam Bollingera i gładziła go po kolanie.

- Opowiedz mi o tym kontrakcie, który dostał - szeptałam.
- Dwa miliony od ręki - mówił.
- A co jest złego w trzech?
- Więc ona chce trzy? No to dostanie trzy. - Poklepał mnie po głowie.
- Plus tygodniówka na pokrycie wydatków.
- Ile?
- Powiedzmy piętnaście tysięcy, kiedy wyjeżdżasz z miasta. I zatrzymujesz garderobę z filmu.
- Mów dalej - poganiałam go zachłannie. Przypominał w tym wuja opowiadającego w kółko moją ulubioną bajkę.
- Plus koszty apartamentu w hotelu, samochód do wyłącznego użytku oraz szofer.
- On też do wyłącznego użytku? - pytałam szeptem, przesuwając dłoń po jego udzie.
- Chcesz mieć ten kontrakt?
- Jasne.
- Jeśli chcesz tego kontraktu, to się zachowuj. - Pocałował mnie w czubek głowy. - Na planie będziesz miała mieszkalną przyczepę pierwszej klasy z garderobą, prysznicem, podwójnym łóżem, lodówką, kuchenką, telewizorem... - Przerwał. - Masz cudowne ramiona, skarbie,

wiesz o tym? Silne, muskularne... Dzisiaj myślę tylko o twoich ramionach. Telefony dzwonią, a ja widzę jedynie twoje ramiona.

- Co dalej z tym kontraktem...

- Wideo. Telefon komórkowy. Klimatyzacja.

- Zapomniałeś o wieży.

- Wieża, najdroższa, cokolwiek zechcesz. Księżyc! Nic nie jest za dobre dla ciebie. - Poglądził mnie po włosach. - Plus twoja akceptacja ostatecznej wersji scenariusza, fryzury, makijażu oraz wszelkich twoich wizerunków, które mogłyby zostać użyte na opakowaniu kasety wideo, okładki albumu ze ścieżką dźwiękową czy jako fotosy w kinach.

- Mów dalej! - Cała promieniałam. Czułam się pełniejsza, dojrzała. Byłam gwiazdą filmową. - Powiedz coś więcej - żądałam łapczywie.

- Obsada głównej roli męskiej będzie z tobą konsultowana, jak i zresztą wstępna kampania promocyjna w Stanach. - Przerwał. - Przyjmijmy nieco wygodniejszą pozycję - wyszeptał.

- Jeszcze nie! Mów dalej!

Westchnął, traktując mnie pobłażliwie.

- Ona chce więcej? Jasne, że chce. Jak wszystkie. W porządku, zatem we wszystkich reklamach twoje nazwisko ukaże się ponad tytułem.

- Jaką dużą czcionką?

- Co najmniej trzydzieści pięć procent wielkiej, ozdobnej czcionki stosowanej dla tytułu. Będiesz obecna na wszystkich projekcjach specjalnych, pokazach prywatnych i premierach, przy czym transport oraz wszelkie koszty pokryje producent. - Podciągnął nogi i wstał. - Chodź już, moja słodka.

- Nie zapomniałeś o czymś?

Uśmiechnął się.

- Plus kopia filmu na wideo oraz udział w zyskach ze sprzedaży tych kaset.

Postawił mnie na nogi. Uśmiechnęłam się rozpalona jego opowieścią, podobnie jak, już wkrótce, on miał być rozpalony Moją. Czasami to wszystko inicjowałam, wstając i pociągając go za sobą. Oboje ziewaliśmy, z przesadą, jak gdybyśmy po prostu wybierali się spać.

Prawdę mówiąc, czasami to robiliśmy. Nigdy się nie dowiedziałam, ile ma lat, podejrzewałam jednak, że jest po sześćdziesiątce. Miewał męczące dni; brakowało mu kondycji i nie był przyzwyczajony do częstego i wymagającego wysiłku seksu. Zazwyczaj jednak podnosił kurtynę tego naszego małego teatrzyku i zaczynało się owo przedstawienie na cztery ręce. Ja byłam już poruszona jego opowieścią; on moim zmysłowym współudziałem. Oboje znaleźliśmy scenariusz i wiedzieliśmy, kiedy następuje zmiana kostiumów; oboje reagowaliśmy na zaimprovizowane sytuacje. Kiedy jednak kurtyna opadała, on nigdy nie wypowiadał się na temat spektaklu. Jak powiedziałam, seks był ukradkowy i niósł ze sobą poczucie wstydu. W istocie Roly często wykradał się z łóżka i szedł spać do pokoju gościnnego. Mówił, że źle sypia i nie chce mi przeszkadzać o tej wczesnej godzinie, gdy zapali światło i będzie czytał scenariusze.

Rankiem budziłam się samotna, ze stopami obciążonymi kotem. Roly nie przynaglał mnie do odejścia; był na to zbyt uprzejmy. Poza tym lubił obserwować, jak zjadam solidne śniadanie. Niemniej, bardzo mu zależało, żeby pozbyć się mnie, zanim o dziewiątej przyjdzie pokojówka, ja zaś także robiłam wszystko, żeby jej nie spotkać. Co, jak się okazało, było podejściem słusznym.

W te marcowe dni byłam napięta niczym struna. Jak dotąd, nie było dla mnie żadnej pracy. Poszłam na kilka przesłuchań, ale ról nie otrzymałam. Poza tymi epizodami z Rolem nie rozmawiałam z nikim. Tak czy owak, nasze nocne zajęcia były tak dziwaczne, że wydawały się zupełnie niezwiązane z resztą mojego życia; miały surrealistyczną niematerialność snu. Kiedy spałam, śniłam bardzo intensywnie; wstrząsała mną gwałtowność tych snów. Śniły mi się koleżanki ze szkoły; miewałam koszmary związane z ojcem. Czasami uważałam, że powinnam wracać do Anglii, zanim będzie za późno. Bo widzicie, mój gniew bezustannie narastał. Powinien był osłabnąć, a tymczasem przybierał na sile. Rozpalona nowinami dotyczącymi Lili i Treva, tam, w swoim pokoju, dosłownie kipiałam. Byłam niby pęczniejący trucizną wrzód.

Zapytałam od niechcienia o adres nowego mieszkania Treva. Mieściło się ono w betonowym wieżowcu za Dakotą. Czasami, nocą, jechałam tam autobusem i stałam na zewnątrz; zadzierając głowę, patrzyłam na oświetlone okna i próbowałam odgadnąć, które są jego. Tam wysoko nowojorczycki rzadko opuszczają żaluzje; w tym mieście egoistów mało kto wierzy, że oprócz nich istnieje ktoś jeszcze. A może są po prostu podglądaczami. Obejrzyjcie sobie ich telewizyjne programy, a zrozumiecie, co mam na myśli. Zasłony w apartamencie Lili nie schodziły się do końca; najwyraźniej było jej to zupełnie obojętne.

W oknach, które według mnie, powinny należeć do mieszkania Treva, nie było go ani śladu. Może jednak ten apartament znajdował się z drugiej strony, od tyłu. Czulałam się nieszczególnie, stojąc tam przy wjeździe do podziemnego garażu. Wisiał tam napis „Wjazd. Zakaz parkowania!” Czulałam, że on może się czaić gdzieś za mną, gotów się na mnie rzucić. Wbiłby wtedy palce w moje oczodoły.

„Pozwólcie, że odgadnę, z kim mamy tutaj do czynienia”, mamrotałby pod nosem. Przycisnąłby się do moich pleców i wydychał powietrze w moje włosy. „Wiem. Jesteś szajbuską...” Jego dłonie chwyciłyby mnie mocno za ramiona, sprawiając ból. „Jesteś Chapmanem, gotowym do strzału”.

Pewnego dnia, pod koniec marca, zobaczyłam w gazecie ich zdjęcie. W „Post”, na kolumnie poświęconej show-biznesowi. Roześmiana Lila wisiała u ramienia Treva. On się zmienił; miał ten nieomylny, uładzony wygląd, typowy dla ludzi zamożnych. Nawet włosy sobie obciął. Prawdę mówiąc, przez jedną krótką chwilę nie rozpoznawałam go.

„Pośród gości na premierze *Gasnącego płomienia* znalazła się Lila Dune oraz jej stały towarzysz, świetny, brytyjski człowiek pióra, Trevor Parsons”. Oboje robili wrażenie niekłamania szczęśliwych.

Gasnący płomień. Właśnie wszedł na ekrany remake tego klasycznego thrilleru. Kiedy przyglądałam się zdjęciu, coś drgnęło w mej pamięci.

Pamiętacie oryginalną wersję? Charles Boyer sztuczkami doprowadza Ingrid Bergman do przekonania, iż popada ona w obłąd. Przykręca gaz, chowa jej naszyjnik. Pracuje nad nią... i to jak pomysłowo. Podkopuje jej wiarę we własną przytomność umysłu.

Ta fotografia zadecydowała.

Czułam, jak wali mi serce, kiedy brałam do ręki książkę telefoniczną i szukałam numeru Linsky'ego. Linsky to były delikatesy na Amsterdam Avenue, w których Lila zamawiała artykuły spożywcze. Powiedziała mi kiedyś o tym; prawdę mówiąc, sama raz tam poszłam. Sprzedawali tam bardzo wiele drogich artykułów. Przywołałam teraz ich obraz, jak leżą sobie w tych swoich oświetlonych reflektorkami, ceramicznych naczyniach. Przekartkowałam odpowiedni fragment książki i odnalazłam numer: 787 2000.

Stałam przez chwilę bez ruchu, starając się skupić. Zaszło mi w gardle; skręcało mi wnętrzności. Czułam się tak, jakbym stała na bardzo wysokiej trampolinie i zbierała całą siłę woli, żeby wykonać następny ruch. Poda mną, odległa o całe mile, błyszczała powierzchnia wody.

Wzięłam głęboki oddech. Ostatecznie to tylko trema. Podeszłam do lustra.

Od tygodni nie ćwiczyłam jej głosu. Wyszłam nieco z wprawy.

Kiedy mówi się do swojego odbicia, jest znacznie łatwiej. Powinniście tego spróbować.

- Witajcie, tu Lila Dune - powiedziałam. Przechyliłam głowę, tak jak robiła to ona, i spoglądałam na siebie spod rzęs. Ona potrafiła być taka kokieteryjna, nawet przez telefon. - Witajcie, tu Lila Dune. - Uśmiechnęłam się. Ona się uśmiechnęła.

To coś fascynującego. Kiedy już zacznie się mówić czymś głosem, delikatnie zmienia się człowiekowi twarz. Przynajmniej moja. Bo widzicie, ja jestem aktorką; dlatego tak się dzieje.

Moja twarz wyglądała teraz na pełniejszą, bardziej miękką. Bardziej dziwkowatą. Wydęłam usta i mówiąc, poruszałam lekko głową. Ona tak robiła. Znałam jej wszystkie niekontrolowane gesty; studiowałam ją

kiedys z ogromną uwagą - Lila to mój doktorat.

W zasadzie byłam całkiem spokojna. Tanecznym krokiem podeszłam do telefonu i wykreciłam 787 2000. Spojrzałam na zegarek. Była 14.30.

- Delikatesy Linsky'ego - odezwał się energiczny głos.

- Witam - powiedziałam przeciągle. - Tu Lila Dune.

Głos nabrał ciepła.

- Moje uszanowanie, panno Dune. Jak się pani miewa?

- Doskonale. Wieczorem będzie u mnie kilka osób na kolacji. Jest pan gotów?

Usłyszałam szelest. Sięgał pewnie po pióro.

- Już gotów, panno Dune. - Powtórzył moje nazwisko w sposób charakterystyczny dla ludzi, którzy chcą, żeby inni usłyszeli i żeby zrobiło to na nich wrażenie.

- Trochę tej waszej bajecznej sałatki z owocami morza - powiedziałam. - Na osiem osób. Szynka parmeńska, dwa funty, cienko krojona. Karczochy w sosie winegret, macie je?

- Jasne.

- Pumpernikiel - powiedziałam. - Macie kawior z białugi?

- Naturalnie, proszę pani.

- Cztery uncje. Nie, niech będzie osiem. Kwaśna śmietana... - Recytowałam mu z głowy całą listę; rosła brawurowo. Kiedy skończyłam, mężczyzna powiedział:

- Sprawdźmy to tylko. - I powtórzył całe moje zamówienie.

- Doskonale. Kiedy będziecie mogli to dostarczyć?

- Od razu, panno Dune. W ciągu godziny.

- Dziękuję - powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Dopiero wtedy zaczęłam się trząść. Zakręciło mnie w żołądku i biegiem ruszyłam do łazienki.

Pamiętam, jak zanosilałam się śmiechem. Siedziałam na sedesie, wpatrywałam się w wieszak na ręczniki i chichotałam. Ale numer! Towar wart co najmniej dwieście dolarów! Produkty spożywcze warte dwieście dolarów pojawiające się w jej mieszkaniu!

Przecież pani to zamówiła, panno Dune, mówi żujący gumę posłaniec.

Ja cooo? Lila wlepia w niego zdumiony wzrok.

Pani to zamówiła. Proszę. O tutaj. Pokazuje jej listę.

Musiałam wyjść. Rozpierała mnie energia, jak jakąś rozbrykaną uczennicę. Opuściłam mieszkanie i szłam spiesznie ulicą. Zawyla policyjna syrena. A co, jeśli przyjadą i mnie dopadną?

Było to oczywiście niemożliwe. Byłam nikim. Byłam brzuchomówcą.

Poszłam aż do Battery Park. Wiatr chłostał moją twarz. Czułam się upajająco pełna życia; tak rześko nie czułam się od miesiący. Mijały mnie autobusy, grzechocząc przyśrubowanymi do jezdni, spajającymi ulice, metalowymi płytami. Całe miasto huštało się i skrzypiało w swoich luźnych spojeniach i złączach, ale ja je podbiłam. Czułam się potężna niczym monarchini. Jedno naciśnięcie guzika i oto patrzcie! Gdzieś daleko zapanował chaos. To ci dopiero zabawa! Kijem rozgrzebałam gniazdo mrówek; jego mieszkańcy wyroili się zdezorientowani. *Ja cooo?* dochodziło echem z daleka, z Central Park West.

Miałam się spotkać z Rolyem później, tego samego wieczoru. Wpierw szedł z szefem swojego działu kontraktów na kolację. Połowę klientów BCM zaangażowano do filmu Briana De Palmy *Fajerwerki próżności* - połowę klientów wszystkich agentów zaangażowano do *Fajerwerków próżności* - ale Roly był tym, który chciał uczcić tę okazję. W przeciwieństwie bowiem do wielu innych agentów, Roly był hojny dla swojego personelu. Zawsze zapraszał ich do restauracji, posyłał kwiaty, kiedy byli chorzy, i pamiętał o bar micwie czy urodzinach ich dzieci.

Mnie również stale przysyłał kwiaty. Kiedy wróciłam do domu, w holu na dole czekał ogromny bukiet róż. Trev nigdy nie przysyłał mi kwiatów. Owszem, raz narwał dla mnie forsycji w czymś ogrodzie, ale to nie to samo.

W żadnym razie nie to samo. Tamto było cudowne. Zawinał je wtedy w stary egzemplarz „Exchange and Mart” i wręczył mi z szerokim gestem. Objęłam go i obsypałam pocałunkami, ocierając przy tym twarz o jego porośnięty ostrą szczecinią policzek.

„Mam czasem wrażenie, że trę skórą o tarkę do sera”, oznajmiła Lila z zachwytem.

Nazywała go Te. Czy to nie obrzydliwe?

* * *

Tej nocy Roly był wyjątkowo czuły.

- Odmieniłaś moje życie - mówił, gładząc mój policzek. Siedziałam zwinęta w jego fotelu. - Wiesz co? Uczyniłaś staruszką bardzo szczęśliwym.

- Nie jesteś taki stary - powiedziałam szorstko. Odwróciłam spojrzenie od jego tłustej, nalanej twarzy. Nie znośiłam, kiedy tak mówił. Czyż nie pojmował reguł? - Co u Lili? - spytałam od niechcenia, patrząc na stojący na gzymsie kominka zegar z połączanego brązu. - Miałaś dzisiaj od niej jakieś wieści?

Pokręcił głową i zaczął mi opowiadać o pokazie filmu, na który poszedł po południu, jakiegoś nowego filmu z Michaeliem Douglasem. Jego słowa postukiwały jak krople deszczu o odległy dach. Po co zresztą miałyby do niego dzwonić? Dlaczego miałyby telefonować do swojego agenta z informacją o tajemniczej dostawie artykułów spożywczych z delikatesów? Niedorzeczne, prawda?

Opowiadał mi o problemach z plenerem - chodziło o las tropikalny gdzieś w Brazylii. Jego dłoń skradała się pod spódnicą do uda. Palce miał zawsze lekko wilgotne. Właśnie sięgnęły końca pończoch.

Dlaczego, na miłość boską, nie mógł dowiedzieć się czegoś o Lili? Co sobie wyobrażał, że niby po co ja tu i tam tkwię?

- Wszyscy kręcą coś o lasach tropikalnych - zarechotał. - Wkrótce będzie tam więcej ekip filmowych niż Indian.

Odepchnęłam raptownie jego dłoń. Pomyślałam o *Gertie*.

- Nie mów w ten sposób! - rzuciłam ostro. - To głupie i cyniczne!

Minęło kilka dni bez żadnych wieści o Lili. Postanowiłam zintensyfikować swoją kampanię. Od jakiegoś już czasu wykluwał się we mnie ten pomysł; kiedy o nim myślałam, czułam na skórze mrowienie.

W kiosku naprzeciwko mojego domu kupiłam parę gazet i kolorowych czasopism. Przeglądając je, zastanawiałam się, gdzie umieścić tę

swoją historię. W „Spy”, w „People”? U Liz Smith w „News” czy u Suzy w „Post”? Może w „National Enquirer”?

Planowanie to połowa zabawy. Przeglądałam nagłówki. „Wściekła Zsa Zsa ciska chlebem w restauracji”. „Zgadnijcie, co Kim Basinger nosi pod habitem!” Znane osobistości uśmiechały się do mnie z robionych przy błysku flesza zdjęć. „Dziewczyna z serialu *Falcon Crest* wpada w panikę z powodu odrażającego intruza”, oznajmiał nagłówek artykułu, na temat aktorki telewizyjnej przerażonej serią listów z pogróżkami.

Pisała do tych gazet istna kolekcja szajbusów! Jeden z nich czepiał się każdej osobistości jak pijawka. Jak pasożyt. Czepiali się, jakby od tego zależało ich życie, wysysali krew, a sączyli swój jad. I nikt ich nie widział! Szczwani, prawda?

Zdecydowałam się na „National Enquirer”, bo byłam tchórzem; nie wierzyłam, by ktoś to przeczytał. Zaczęłam odczuwać niepokój w żołądku, usiadłam zatem nieruchomo i wykonałam kilka tych swoich ćwiczeń oddechowych. Kiedy się oderwałam, byłam już nad podziw spokojna.

Poprosiłam o dział zajmujący się znanymi osobistościami. Mówiłam jednym z moich ulubionych akcentów: brooklińskim. Na imię zaś miałam Bernice.

Zgłosił się jakiś Mitch czy Rick. Nazwiska nie dosłyszałam.

- Wczoraj wieczorem siedziałam w knajpie w Greenwich Village - powiedziała Bernice. Podała nazwę oraz adres tamtej restauracji Ca-junów. - Było późno, oprócz mnie była tam tylko ta para. Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy rozpoznałam tego faceta. Jeju, ależ to był dla mnie wstrząs!

Mitch, czy jak mu tam było, zapytał:

- I kto to był, Bernice?

- Trevor Parsons! No wiesz, ten, co to jest tak blisko Lili Dune.

Jego głos nabrał ostrości.

- Aha, rozumiem.

Ona tymczasem zrobiła krótką przerwę, dla większego efektu.

- Ale ta kobieta z nim, to na pewno nie była Lila Dune, nie wczoraj wieczorem! To była drobna, ruda kobietka, w sukience, która, zapewniam cię, niczego nie pozostawiała wyobraźni! Gdyby to, co tych dwoje tam robiło, pokazano w telewizji, to już ich rozmowę na pewno by

zniekształcono albo zagłuszono! Sama byłam zażenowana. Pocałunki i pieszczoty, i o wiele więcej.

- Czy znasz imię tej osoby, Bernice?

- Jasne. Spotkałam ją w toalecie, później, kiedy poprawiała pomadkę na ustach. Ma na imię Susan. Tak mi powiedziała. Powiedziała też, że poznała Trevora podczas kręcenia *Jane Eyre*, była jedną ze statystek. Wtedy nie mogli się spotykać, bo on mieszkał w tym pięknym domu Lili Dune. - Podałam adres rezydencji Lili przy Doheny Drive. - Widywali się jedynie późną nocą, kiedy panna Dune już spała. Bo najwyraźniej ona, kiedy gra w filmie, zawsze chodzi spać wcześniej.

- Mogłabyś podać mi swoje nazwisko i adres, Bernice?

- Wystarczy, że nazwiesz mnie życzliwą - powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Historyjka, jak należało się spodziewać, ukazała się w następnym numerze. Uśmiechając się do siebie, czytałam ją w kawiarni. Była to niewielka notka, zawierająca z grubsza to, co wam opowiedziałam, tyle że okraszona wykrzyknikami. „Psst! Chcecie wiedzieć, gdzie napalony pisarzyna konsumuje najostrejsze dania z menu?” Towarzyszyło temu zdjęcie, którego wcześniej nie widziałam, z Lilą i Trevem w strojach wieczorowych. Chichocząc, pośpieszyłam na zalaną słońcem ulicę. Był bajeczny, wiosenny dzień; mrużyłam oczy od blasku. Kierowca przejeżdżającej furgonetki zagwizdał na mój widok. Pewnie wciąż się uśmiechałam.

Nazajutrz zadzwoniłam do „National Enquirer”. Odchrząknęłam i zaczęłam mówić z gardłowym, węgierskim akcentem Army - jeszcze jednym z głosów, które doprowadziłam do perfekcji w ciągu tamtych kilku miesięcy.

- Tu prywatna sekretarka panni Dune. Wasza notka ogromnie dotknęła pannę Dune, bo jezt pozbawiona wszelkich podstaw, jezt całkowitim kłamstwem i panna Dune zaprzecza, jakoby była w niej choćby odrobina prawdy...

Mężczyzna przerwał tę przemowę.

- Dziękuję za telefon, ale jak już mówiliśmy dzisiaj rano...

- Co?

- Być może dzwonił ktoś od reklamy. Kto to był, Curly? - Słysząc było przytłumione głośy, kiedy zaczął rozmawiać z jakąś drugą osobą. Po chwili odezwał się ponownie: - No tak, właśnie sprawdzam. Mielśmy telefon od osoby reprezentującej pannę Dune, doskonale rozumiemy pani stanowisko, jeśli zechce pani chwilkę zaczekać, przełączę telefon na...

- Nie ma potrzeby - oznajmiłam i odłożyłam słuchawkę.

Trzęsa mi się ręka. Zapalenie papierosa zabrało mi dłuższą chwilę.

Zatem widziała! Lila przeczytała tę notatkę; była na tyle zirytowana, że kazała komuś zadzwonić do redakcji!

Zasiewa się ziarno. Istny cud, nieprawdaż? Kiełkują maleńkie, trują-
ce pędy.

Puściłam w ruch wydarzenia i teraz już nie mogłam ich zatrzymać. Bo widzicie, ja wiedziałam, czym jest zazdrość. Tyle wycierpiałam z jej powodu. Dlaczego Lila nie miała teraz cierpieć?

Następnego dnia postanowiłam zatelefonować pod prywatny numer Lili. Planowałam to na późne popołudnie, kiedy zarówno Fidelia, jak i Irma pójda już do domu. Treva, jak się domyślałam, też wtedy tam nie będzie. Roly poinformował mnie, że ma jakiś pilny termin; musiał bodajże skończyć tę swoją książkę. A przecież nikt nie byłby w stanie pracować w pobliżu Lili, ona po prostu by na to nie pozwoliła. Trevor będzie we własnym mieszkaniu.

Znieruchomiałam na moment, z dłonią na telefonie. Jaka też była ta przyjaciółeczka Treva? Zamknęłam oczy, zrobiłam wydech, odczekałam chwilę i zaczerpnęłam powietrza już jako Susan. Była osobą złożoną z kilku statystek, które poznałam w Los Angeles. Kiedy jednak zacisnęłam powieki jeszcze mocniej, stała się wyraźniejsza. Mogłam ją wręcz zobaczyć. Leżała na plastikowym leżaku, czytając *True Confessions* i marząc o swojej wyśnionej kuchni. Podczas jednej z przerw na lunch, kiedy wszyscy byli w plenerze, ona i Trev spotkali się w Le Dôme. W końcu on

rzadko bywał na planie. Tam poił ją koktajlami i mówił, że ma cudowne piersi, a ich związek rozkwitał. Teraz ona pojechała za nim do Nowego Jorku.

Już kilka chwil później to Susan była tą osobą, która syczała i marszczyła nos, spoglądając na wyszczerbiony paznokieć. Przysiękając sobie, że spiłuje go później, podniosła słuchawkę i nakręciła numer Lili.

Telefon zadzwonił sześć razy. Wreszcie usłyszała Lilię:

- Tak? - Miała zaspany głos.

Wysoki, jęklivy głos Susan spytał:

- Czy jest Trev?

- Hmm?

Na co Susan nagle rzuciła:

- O cholera. Pomyłka - i szybko odłożyła słuchawkę.

Co sobie pomyślała Lila? Teraz już musiała być zaniepokojona. Najpierw ta historyjka w „National Enquirer” - której bez wątpienia stanowczo zaprzeczał Trev. Teraz głos dziewczyny - sekretnej przyjaciółeczki, która wybrała przez pomyłkę numer Lili zamiast Treva.

Szybko jeszcze raz zadzwoniłam do Lili. Telefon był zajęty. Wiedziałam, że tak będzie.

Odłożyłam słuchawkę. Po całym moim ciele rozlało się uczucie zadowolenia, słodkie i gęste jak syrop. Dokładnie wiedziałam, co teraz robi - dzwoni do Trevora, pyta go natarczywie, kimże, do diabła, jest ta kobieta, która do niej wydzwaniania?

Teraz już wiedziała, co to za uczucie.

Nalałam sobie kieliszek białego wina i piłam je powoli, obracając w ustach. Spoglądałam na szkielet budynku po drugiej stronie ulicy, wznoszący się coraz wyżej, żeby przesłonić mi widok. Biura znajdujące się po obydwu jego stronach wyludniały się. Sekretarki wracały do swoich przykładowych domów w Queens. Po drodze zrobią zakupy w sklepie spożywczym i poniosą je w szarych, papierowych torbach. Potem zrzucą buty i poddadzą się władzy telewizorów. Nasze budynki stały tak blisko siebie, a przecież nie wiedziałam o nich absolutnie nic, one zaś w ogóle były nieświadome mojego istnienia.

Susan, poza moją głową, również nie istniała. Teraz zaistniała jeszcze w głowie Lili. Obie wierzyłyśmy w to widmo, które stworzyłam; dla Lili nabrało ono realnych kształtów, tak jak wcześniej dla mnie. Czyż to nie fascynujące? Susan była postacią z naszego dramatu. Ten twór wyobraźni, poczęty przez zazdrość, w dziwny sposób łączył nas ze sobą. W którym miejscu zaczyna się rzeczywistość? To wszystko mieści się w naszych głowach; w tym najbardziej niebezpiecznym miejscu na ziemi.

Roly, kiedy spotkałam go następnym razem, nie wspomniał o niczym. Sony przejęło Columbia Pictures i jadł kolację z jakimiś japońskimi biznesmenami. Wydawał się bardzo zmęczony, leżał więc na łóżku, podczas gdy ja masowałam jego bladą, łojowatą skórę. Na biodrach miał zwały tłuszczu, zupełnie jak kobieta. Zwrócony do mnie plecami wydawał mi się kimś niedorzecznie obcym; równie dobrze mógł być wyrzuconym na brzeg zdechłym żółwiem. Przez cały dzień albo sam wydzwaniał, albo przyjmował telefony od innych; był w samym środku jakichś złożonych negocjacji z Columbią, przygotowywał bowiem kontrakty dla trzech swoich klientów - dwóch gwiazd oraz jednego reżysera - i nazajutrz miał lecieć do biura w Los Angeles. Dlaczego miałby być zainteresowany pogłoskami o niewierności przyjaciela Lili? Oddychał coraz wolniej, aż uświadomiłam sobie, że zasnął.

Kiedy tylko Roly wyjechał z Nowego Jorku, poczułam się śmielsza. Nazajutrz poszłam do budki telefonicznej przy Citicorp Plaza i wybrałam numer „Post”.

- Chciałabym porozmawiać z kimś na temat tych krążących wokół historyjek o Trevorze Parsonsie i o mnie - oznajmiłam tym gasnącym głosem Susan. - Szanuję Lilę Dune jako aktorkę oraz człowieka i nie chciałabym jej skrzywdzić. Niemniej związek pomiędzy Trevem i mną jest szczególnego rodzaju i chociaż on zamierza pozostać partnerem panny Dune w interesach, to przecież, kiedy szczegóły dotyczące ich firmy producenckiej zostaną sfinalizowane, poprosi mnie, żebym się wprowadziła do jego mieszkania. Dlatego zresztą sam nie wprowadził

się do apartamentu panny Dune. I mamy tego bajecznego dekoratora wnętrz, który urządzi nam całe mieszkanko. - Podalam adres Treva oraz nazwisko dekoratora.

Odłożyłam słuchawkę, szczerząc zęby do spieszącej na zakupy kobiety. Wzdłuż całej dolnej kondygnacji Citicorp ciągnęły się sklepy. Na wystawie wydawnictwa Doubleday prezentowano książkę *Greta Garbo w celowniku*. Ktoś celował do Lili. Cóż za bezczelność.

Parter Citicorpu opanowały dinozaury. Była to sponsorowana przez kogoś wystawa wykonanych z włókna szklanego modeli. Jeden z nich miał długą, wygiętą w łuk szyję; jego świńskie oczka znajdowały się na wysokości moich. Zajrzałam w nie figlarnie. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, tylko ja wiedziałam: bestie żyjące pod miastem rwały się ku jego powierzchni niczym głązy w Central Parku. Stawały dęba pod budowlami. Miasto trzeszczało od ich wysiłku. Na próżno przyśrubowywano nad nimi te metalowe płyty.

Trzęsąc się, siadłam przy stoliku. Nikt niczego nie zauważył. Wyglądało na to, że połowa ludzi cierpi na delirkę. Siedziałam więc tam i trzęsłam się ze śmiechu.

Jestem przekonana, że chciałam jedynie zasiać ziarno zwątpienia i niepewności w jej umyśle. Chciałam podminować jej związek z Trevem i wiedziałam, że mogę tego dokonać, bo jestem bystra i inteligentna. Poza tym jestem doskonałą aktorką. Zdążyliście już to zauważyć, prawda? Mogę się stać, kimkolwiek tylko zechcę.

Lila była podatna na wszelkie wpływy - Boże, przecież chodziła do astrologa. Była niewiarygodnie niepewna i chwiejna; w przeszłości już nieraz jej odbijało. Sporo usłyszałam na ten temat od Roly'ego. Jedno leciutkie pchnięcie i się przewróci. Urok Treva tkwił w jego, fałszywej naturze; kobietom trudno było mu się oprzeć, ponieważ nie mogły mu zaufać. Czy raczej - mówiąc bardziej precyzyjnie - ponieważ wywoływał u nich poczucie, że jedynie one potrafią nawrócić go na właściwą drogę.

Wiedziałam dokładnie, co sobie myśli Lila. Gdzie, do diabła, podziawał się Trevor w te wszystkie dni, kiedy nie pojawiał się na planie

zdjęciowym? Czy rzeczywiście pisał? Skąd ta dziewczyna zna jej prywatny numer? Czy dlatego Trev kupił sobie osobne mieszkanie... czy ją po prostu wykorzystuje, a porzuci, kiedy tylko się ustawi?

Na pewno chciałam, żeby tak właśnie było. Teraz nie widzę tego tak jednoznacznie. Niemniej chciałam wyrządzić tylko trochę szkody.

Nigdy nie wierzyłam w tak zwany syndrom Kennedy'ego. Nie wierzyłam ludziom, którzy dokładnie pamiętali, co robili w momencie, kiedy rozległ się ten wystrzał; kiedy świat się zmienił. Bo nie pamiętam tego, co ja robiłam, kiedy zastrzelono Kennedy'ego.

Jednak doskonale pamiętam tamten poniedziałek z końca kwietnia. Dzień już przygasał. Zawsze kochałam miasta o zmierzchu. W Los Angeles były to najbardziej magiczne chwile. Nie widziało się wielu ludzi, jedynie większy ruch na autostradach. Jednak to zarumienione niebo było piękne i odnosiło się wrażenie, że miasto zaczyna budzić się ze snu. Kelnerzy stali w restauracjach, przyczesywali włosy.

W Nowym Jorku ulice roily się od przechodniów. Zachodzące słońce oświetliło dachy budynków, rozjarzając ich okna. Autobusy Zarządu Portów były zatłoczone; na skraju chodników stały całe zastępy ludzi przywołujących taksówki, z rękoma wyciągniętymi jak w nazistowskim pozdrowieniu. Sklepy spożywcze oświetlone były jak teatry. Poszłam na Greenwich Avenue do swojej apteki, żeby kupić aspirynę. Zaczął mi się okres i bolał mnie brzuch. Niemniej tego wieczoru czułam się zadziwiająco dobroduszna. To pamiętam całkiem wyraźnie. Myślałam o Lili i o przeżytych wspólnie chwilach. Wiedziałam, że ona o mnie nie myśli - co to, to nie - ja jednak pamiętałam tamto popołudnie, kiedy ona włożyła moje dżinsy i kiedy szłyśmy razem pod rękę Trzecią Aleją.

Już od tak dawna nie miałam od niej żadnych wieści. Nawet za pośrednictwem Roly'ego. Czasami przestawało się we mnie gotować; po prostu odczuwałam boleśnie jej brak. Treva natomiast brakowało mi nieustannie. W istocie brakowało mi go coraz bardziej. Łkałam do niego

pośrodku nocy, mocząc łzami poduszkę. Brakowało mi jego dobrego humoru oraz kapryśnego towarzystwa. Brakowało mi jego niespodziewanych wybuchów zapamiętałego pożądania. Ale moje uczucia wobec Lili ulegały pewnym wahaniom, podobnie jak uczucia wobec własnej rodziny, i czasami było mi wstyd, że chwyciłam się tak pokretnych sposobów, by ją zniszczyć. Pamiętałam ją, jak stała obok budki telefonicznej przy Leicester Square i wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczyma. „Ojej, za nic nie chciałabym mieć w tobie wroga”.

Wróciłam do domu i rozpakowałam makaron, który kupiłam u Balducciego. Spoglądałam na wiotkie, zielone wstążki; leżały na blacie jak wodorosty wygarnięte ze stawu. Pamiętam, że pomyślałam, jakie to smutne, że będę gotować jedynie dla siebie. Przez całe lata każdego miesiąca pojawiał się mój okres, pozbawiając mnie wszelkich nadziei.

Po drugiej stronie ulicy biura pozostały oświetlone dla sprzętaczek. Zamierzałam włączyć telewizor, kiedy nagle poczułam wielkie znużenie. Życie mi umykało. Nie potrafiłam nawet przypomnieć sobie, jak wygląda hol mojego mieszkania przy Belsize Park.

A potem, o 19.10, zadzwonił telefon. To był Roly.

- Moja droga - powiedział - jakże się miewasz?

- Świetnie.

Mówił swoim „biurowym” głosem, uprzejmym, a jednocześnie oficjalnym. Znaczyło to, że jego sekretarka jest w pobliżu. Powiedział, że dzwonił do niego pewien producent telewizyjny w sprawie niewielkiej roli w przeznaczonej dla całej sieci operze mydlanej; potrzebna im była angielska aktorka, żeby zagrać zawodową tenisistkę.

- Czy mogłabyś się z nimi spotkać w przyszłym tygodniu?

Mój nastrój raptownie się poprawił. Od zapisania się do BCM odbyłam kilka takich spotkań i wszystkie skończyły się niczym. Nadzieja jednak bardzo łatwo budzi się w sercu aktorki. Tak musi być.

Podał mi czas oraz miejsce - gdzieś w Tribeca - i nazwisko faceta, a ja zapisałam to sobie na kawałku papieru. Pamiętam, że wypiłam łyk wermutu i uświadomiłam sobie, jak bardzo lubię rozmawiać z Rolem przez

telefon. Podobnie jak wielu innych mało atrakcyjnych mężczyzn, za pośrednictwem słuchawki telefonicznej stawał się bardziej pociągający. Czuło się wówczas siłę jego osobowości.

Pamiętam, jak patrzyłam na wytarty brązowy dywan i jak zastanawiałam się nad okropną niesprawiedliwością związaną z urodą. Myślałam o sobie i o Lili. Bóg lepił nas jak figurki z plasteliny, z niedbałą rezygnacją, i te nasze lata na ziemi uwarunkowane były drgnieniem Jego palców. Może dlatego czułam taki związek z Roly, tym chodzącym przykładem nieznośnej przypadkowości rządzącej życiem. Mieliliśmy ze sobą więcej wspólnego, niż on sam sądził.

Pamiętam bardzo wyraźnie, jak wyglądając przez okno, snułam te myśli. W kaloryferze bulgotało jak w brzuchu mojej matki podczas niedzielnej mszy. Pomyślałam o rodzicach oraz o tym, jak oboje, każde na swój sposób, spodziewali się po mnie rzeczy wielkich. Wymodelowali mnie w równym stopniu jak Bóg, w którego już przestałam wierzyć. Jedno drgnienie czyjegoś palca i mogłam była stać się Lila.

Roly powtórzył mi historijkę, którą mu kiedyś opowiedziała Ellen Barkin. Wpadli na siebie tydzień wcześniej w poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy na lotnisku Kennedyego. Potem opowiedział mi o planie, jaką dała firma cateringowa obsługująca przyjęcie z okazji bar micwy jego siostrzeńca. Gawędził ze mną dość długo, ponieważ, jak twierdził, nie mógł się tego wieczoru ze mną spotkać.

- Bo widzisz, muszę odwiedzić Lilę.

- Dlaczego? - spytałam. - Co się stało?

Przez głowę przelatywały mi dziesiątki myśli. Załamała się nerwowo. Powaliły ją moje historyki wydrukowane w gazetach. Rozstawała się z Trevem.

- Na pewno nie uwierzysz... - zaczął. I właśnie w tej chwili połączyli go z kimś na drugiej linii. - Przepraszam cię - powiedział. - To Jay. Muszę odebrać.

Nie wiem, ile minut minęło, nim ponownie usłyszałam go w słuchawce. Na pewno niewiele. Słyszałam z oddali jego przyciszony głos.

- Porozmawiaj z Alanem Levine'em - mówił. - Jest ich prawnikiem.

Jasne, że Schulhof widział film przed zmontowaniem. Zareagował pozytywnie. Dano mi do zrozumienia, że się dogadaliśmy...

Siedziałam na poręczy fotela, przede mną, na stoliku, stała szklaneczka z wermutem. W tej właśnie chwili to mieszkanie zapisało się na stałe w mojej pamięci; dwa wąskie okna, brązowy dywan, oprawiona reprodukcja Edwarda Hoppera na ścianie. Na półce wazon z suszonymi kwiatami. Oświetlone wejście do kuchni. Mój mózg się zakleszczył. Myślałam o jednym: Dokonałam tego. Nareszcie jej odbiło.

- ...nie, on ma trzech innych, ale wszyscy są w fazie przejściowej - mówił Roly - a ten jest dostępny, więc załatwmy to z nim.

Wreszcie znów odezwał się do mnie.

- Przepraszam cię, że musiałaś czekać - powiedział.

- Co się stało Lili?

- Hm?

Nabrałam powietrza.

- Właśnie mówiłeś o Lili.

- O. Jasne - powiedział. - Wygląda to tak. - Zamilkł. - Jest w ciąży. Lila i Trevor spodziewają się dziecka, czy to nie nowina?

Chyba zareagowałam milczeniem, bo po chwili odezwał się ponownie. - Jules? - Znów chwila ciszy. - Jesteś tam?

- Owszem.

- Zamierzają się pobrać! I co ty na to?

Trzy

Niektórzy tutaj milczą na temat tego, co zrobili. Inni nieustannie, obsesyjnie o tym rozprawiają. Opowiadają mi więcej, niż chciałabym usłyszeć i opowiadają mi to wielokrotnie. Pewna kobieta, niejaka Cadetta, łązi za mną jak pies. Głos ma niski i monotony; bez ustanku coś mamrocze do moich pleców. Chyba jej się spodobałam. „Masz piękne włosy”, powtarza. Uwielbia mój akcent i kiedy mówię, przygląda się moim wargom. Czasami przypomina mi to układ między mną a Lila. Ta tutaj jest moim sobowtórem. Nawet nie odwracając się, potrafię rozpoznać jej kroki. I nigdy nie mogę przed nią uciec.

Gada, owszem, ale nigdy nie mówi tego, co chcę usłyszeć. Zresztą nikt tego nie mówi; w każdym razie nie dokładnie. A ja chcę wiedzieć, kiedy to się stało. To - nie ten czyn. To - czyli ta decyzja. Bo właśnie to jest najbardziej interesującym momentem, prawda? Momentem, w którym wszystko się zmienia. Kiedy nasze ciało podlega chemicznej przemianie. Jak gdyby zrobiono nam transfuzję i nagle w żyłach pojawiła się obca krew.

Bo widzicie, mnie ta rzecz fascynuje. Szczerze mówiąc, ogromnie fascynuje. Spoglądam na siebie z wielkiej odległości. Ona siedzi w swoim mieszkaniu i na moich oczach ulega przemianie. A dokonał tego jeden telefon.

Dawna Jules umarła i narodził się ktoś inny. Ta nowa wyglądała tak samo. Biała bluzka, granatowy rozpinany sweterek i džinsy. Związane z tyłu, farbowane w pasemka włosy. Tamtego dnia robiła wrażenie osoby z zamożnej, ustabilizowanej rodziny. Kręciła się po mieszkaniu... patrzcie,

nawet pozmywała, jak by zrobił każdy inny! W końcu zgasiła światła, jedno po drugim, i położyła się do łóżka. Jednak nic nie czytała. A jej oczy pozostały otwarte.

Nazajutrz zadzwoniłam do agencji po numer telefonu tego producenta telewizyjnego, Abe'a Zachariasa. Zapomniałam go sobie zapisać. Roly miał z kimś spotkanie, rozmawiałam więc z jego asystentem, Larrym.

Podał mi ten numer. Potem spytałam go o Lilę. Nie mogłam się powstrzymać; musiałam uzyskać potwierdzenie z innego źródła, że to prawda. Odczuwałam jakąś chorobliwą wręcz potrzebę, żeby ponownie to usłyszeć.

- Jasne - powiedział Larry - z tym, że przez kilka dni jeszcze nie poda tej informacji do prasy.

- Dlaczego?

- Trevor jest zajęty jakimś pilnym projektem, pracuje na okrągło. Zasztył się w swoim mieszkaniu i nie chce, żeby mu przeszkadzano. Ani prasa, ani nikt inny. Pisze szkic scenariusza, który ma oddać już w czwartek.

Tamtego dnia jadłam lunch z Roly. Miałam na sobie ten dopasowany kostium, który on uznawał za taki atrakcyjny. Nie zauważył we mnie żadnej zmiany. Mówił o jakiejś transakcji, którą próbował doprowadzić do skutku; jego głos przepływał mi pod nosem niczym zapach gotujących się potraw. Uśmiechałam się i kiwałam potakująco głową. Tymczasem mój mózg, jak obracająca się płyta gramofonowa, w kółko odgrywał tę samą melodię. „On będzie miał z nią dziecko”. Płyta się zacięła; słowa utraciły już sens, były jak zawodzenie jogina. *OM... OM...*

- Nic nie jesz, skarbie - powiedział Roly. - Nie smakuje ci? Mam to odesłać?

Spojrzałam na swoje *noisette d'agneau*. Trzy kotleciki. Usunięto z nich kości, zwinięte przypominały maleńkie płody. Leżały przede mną we własnym rzadkim sosie.

Milczałam przez chwilę, a potem odezwałam się od niechcenia:

- Słyszę, że Trevor pracuje nad nowym scenariuszem.

Roly skinął głową.

- Lila poinformowała mnie o tym. Ale to wielki sekret. - Podniósł szklanę z wodą i wypił jeden łyk. - Nawet mi nie opowiada fabuły.

- Naprawdę?

Wytał wargi serwetką.

- Nawet mi.

Na zewnątrz było zimno. Stojąc pod markizą, Roly zapinał guziki mojego płaszcza. Zapiął je tak ciasno pod samą szyją, że z trudem oddychałam. Szliśmy potem ulicą, kuląc się pod naporem wiatru. Przed sklepem z alkoholem zatrzymałam się. Pomyślałam: Być może nie sprawiam wrażenia zbyt zadowolonej z wieści o Lili. Czy on nie uzna przypadkiem, że zachowuję się dziwnie? Tak więc powiedziałam:

- Już wiem! Kupię dla Lili butelkę szampana i osobiście go jej zaniósę.

Powiedział na to coś, czego nie dosłyszałam. Jakaś furgonetka utknęła, zatamowała cały ruch i klaksony aut wyły ogłuszająco.

- Co? - zawołałam.

- Jeśli wybierasz się dziś wieczór, to pójź tam wcześniej.

- Dlaczego?

- Bo przez kilka najbliższych dni ona pracuje.

- Co? - krzychałam. - Ona co?

- Kręci. Gościnnie w tym filmie, zaledwie kilka dni. - Teraz to on wrzeszczał do mnie. - Musi być wcześniej na planie, dlatego chodzi spać o dziewiątej. Po tej godzinie umiera dla świata.

Cztery

Jules wróciła do domu taksówką. Zatrzasnęła drzwi i z rozmachem postawiła butelkę szampana na stole. Nogi jej się trzęsły.

Usiadła w kuchni. Musiała pomyśleć i to szybko. Im dłużej myślała, tym bardziej była podniecona. A jednocześnie sparaliżowana. Tak nieszkodliwe słowa, taki niewinny układ. Lila śpiąca po zażyciu środków nasennych w swoim mieszkaniu; Trev samotny w swoim. Te dwie informacje wyzwoliły pomysł tak śmiały, tak bezpieczny, że aż trudno jej było w to uwierzyć. Bo rzecz była bajecznie wręcz prosta. Jeśli tylko zachowa bystrość umysłu.

Nie pamiętam, co robiła do zmroku. Większość czasu, jak sędzę, przesiadła na brzegu łóżka. W pewnym momencie podskoczyła, otworzyła szafę i zaczęła grzebać w walizce. Na jej dnie znalazła list, który wystukała kiedyś na maszynie Treva. Wyjęła go stamtąd i włożyła do torebki. Wybrała z półki książkę i tę również włożyła do torebki.

Potem na pewno siedziała jakiś czas bez ruchu. Wszystko znalazło się już na właściwym miejscu. Nawet nie śmiała o tym myśleć.

Kiedy spojrzała na zegarek, setny już raz, była 16.15. Chwilę później zrobiła sobie filiżankę herbaty. Na ogół jej nie słodziła, tego dnia jednak wsypała trzy łyżeczki cukru. Przypominała smakiem herbatę, jaką podają w szpitalu. Później, tej nocy, kiedy wróciłam do mieszkania, odkryłam, że

cukier rozsypany jest na kuchennym stole; a nawet na podłodze. W jakim musiała być stanie!

W pewnym momencie przygotowała sobie kąpiel. Przypuszczam, że chodziło jej o to, żeby coś zrobić, zanim nadejdzie ciemność. Długo leżała w wannie, aż woda ostygła. Potem wytarła się dokładnie ręcznikiem. Bez przesadnego zainteresowania popatrzyła na siebie w lustrze, gdzie zobaczyła tylko, jak bardzo ostatnio zeszczupiała. Prawdę mówiąc, wychudła. Sterczały jej kości bioder, obkurczyły się piersi. Wyszczotkowała zęby, jakby przygotowywała się do długiej podróży.

Ponownie przysiadła na brzegu łóżka. Jakże nieźnośnie gorąco! Z trudem oddychała. Wstała i otworzyła okno; potem znowu usiadła. Poczowała słabą woń perfum. Zapach ten musiał się wznieść piętnaście pięter w górę, ze znajdujących się na dnie kanionu ulicy drzew. Nadeszła wiosna; pąki puchły i pękały.

Całkiem niemądre to otwieranie okna. Strofowała się. Całkiem niemądre, głupota-tępota. Zrobiło się lodowato! Wstała i opuściła okno; zacięło się, szarpnęła mocno. Światło słoneczne pelzło w górę po ścianie stojącego naprzeciw budynku, podczas gdy samo słońce zapadało się w dół. Spojrzała na zegarek. Było dziesięć po szóstej.

Usiadła na twardym krześle w jadalni. Miała wrażenie, jakby była w poczekalni. Za godzinę będzie musiała wyjść. W głowie zabrzmiały jej słowa wiersza z epoki elżbietańskiej, którego nauczyła się na pamięć jeszcze w szóstej klasie.

*Rada bym poślubić pięknego młodziana, co nie szczędziłby
spełnienia,
A mojej cierpiącej duszy czy ciała nocą i dniem miał moc
ulżenia...*

Na języku czuła dziwny, kwaśny smak i bolał ją brzuch. „Miał moc ulżenia”. Powtarzała bezgłośnie te słowa. W pokoju panowała taka cisza. Małżeństwo z mieszkania obok jeszcze nie wróciło z pracy. Doskonale знаła dochodzące stamtąd odgłosy: pomruk telewizora, bulgot rur. Dla wszystkich innych był to zwyczajny wtorek. Czy to nie osobliwe?

*Dziewice pełne tęsknych są myśli, słabości nagłej przyczyny.
Na którą - może często mawiali - krewkość jest lekiem jedynym.*

Pomyślała o ojcu. O nie, wielkie dzięki! Nie będzie myślała o ojcu.

Zastanawiała się, dlaczego nie odczuwa potrzeby wykonania tych swoich ćwiczeń oddechowych. Przed występem zwykle ogarniała ją trema, tymczasem dzisiaj czuła olimpijski wręcz spokój. Niezbyt mądre określenie, nie potrafiła jednak wymyślić innego. Nie stać jej było na taki wysiłek.

Była za dwadzieścia siódma. Na wieżowiec za oknem zaczął się powoli wspinać cień. Jedynie siedem pięter biur pozostawało w blasku słońca; policzyła je. Kiedy zaś obserwowała litą bryłę cienia, gotowa była przysiąc, że widzi, jak się przesuwa. Powinna się zbierać... do Central Park West była daleka droga, czterdzieści czy pięćdziesiąt przecznic. Mniej więcej. Lepiej się czuła, nie przejmując się tym zanadto. Beztrąsko. Jakby chodziło o kaprys i... kto wie? Może w ogóle tam nie iść. To tylko żarty! Głuptaki.

Za dziesięć siódma. Wiedziała, że powinna już iść, jednak tkwiła nieruchomo na tym krześle jak worek kartofli. Ciągle to odkładała. Odgłosy miasta były cichsze niż zazwyczaj. Co się tam dzieje? A może znajduje się w swoim londyńskim mieszkaniu i to wszystko jest jedynie snem. I Nowy Jork jest odległy o cztery tysiące mil.

Może okolica, gdzie mieszka, została zablokowana. I kiedy wynurzy się z holu na dole, ulica będzie cicha. Ujrzy jedynie na obu jej końcach policyjne samochody, obracające się światła. Półkole zbliżających się do niej funkcjonariuszy.

Chyba raz jeszcze umyła zęby. Później znalazłam na podłodze tubkę z pastą. Nakrętka potoczyła się w kąt. Zupełnie nie w moim stylu!

O 19.30 opuściła mieszkanie, zjechała windą na dół i w supermarkecie kupiła opakowanie M&M'sów. Potem przywołała taksówkę.

Jazda zdawała się trwać bardzo długo. Ruch od centrum był duży i po raz pierwszy od miesiący przytrafił jej się gadatliwy taksówkarz. Należał do gatunku tych starych Żydów.

- Więc przyjechała pani z Londynu, he? Byliśmy z żoną tam na wakacjach kilka lat temu. Zna pani hotel Greville?

Coś na pewno odpowiedziała. Obok niej przepływały, podskakując, budynki Szóstej Alei. Na każdym świetłach tworzył się solidny korek. Jakaś kobieta obróciła się i zajrzała do taksówki. Jules zsunęła się niżej na kanapie.

Wszyscy przechodnie się jej przyglądali. Dokładnie wiedzieli, dokąd się udaje i co zamierza zrobić. Plastikowe siedzenie auta było rozcięte pośrodku; ktoś przerznął je nożem.

- ...Obserwatorium w Greenwich - mówił kierowca. - Madame Tussaud's...

Ścisnęła butelkę Moët, jej dłoń przywarła do papierowej torby. Taksówka wyprzedziła autobus i zahamowała ostro przed następnymi światłami. Ludzie przechodzili przed maską. Odwracali głowy, żeby na nią spojrzeć; wszystkie głowy wykręcały się w jej kierunku.

- ...Hampstead Heath... rostbef w..., jakże się to miejsce nazywa? Nędzna obsługa, wspaniały widok.

- Jack Straw's Castle - odpowiedziała.

Auto rozpędziło się, podskakiwało na dziurach. Wszystkie światła zmieniały się teraz na zielone i nagle podróż nabrała niepokojącego przyspieszenia. Za oknem, z prawej strony, mignęło Radio City, z lewej Hilton. Usłyszała przeszywający gwizdek stojącego na zewnątrz portiera; przywoływał taksówki. A może była to policja?

Nagle wpadła w panikę. Teraz, kiedy zbliżała się do domu Lili, nie chciała już tam iść. Zawsze przecież mogła zawrócić. Nikt by się niczego nie domyślił. Mogłaby po prostu zatrzymać taksówkę i wysiąść. Potem zatrzymałaby inną, wróciła do domu, odłożyła list i książkę. Włączyłaby telewizor i powróciła do reszty ludzkości.

Kierowca nacisnął ostro pedał hamulca. Rzuciło nią do przodu. Pośrodku jezdni stał jakiś mężczyzna. Wyglądał jak Aborygen.

Taksówkarz wychylił się z okna i wrzasnął:

- Życie ci Niemile?

Ruszył i gwałtownym manewrem ominął mężczyznę, który tymczasem podreptał sobie w bok bosymi stopami.

- To miasto - powiedział kierowca, kręcąc głową. - To miasto jest pełne szaleńców. Nie uwierzyłaby pani, gdybym opowiedział, jacy są ci, których tu widuję. Sza-le-niii...

Auto skoczyło do przodu, rzucając nią na oparcie kanapy. Wjechali do Central Parku, popędzili wzdłuż West Drive. Za oknami migały drzewa. Kiedy brali zakręty, rzucało nią z boku na bok. Dwie minuty i będą na miejscu.

- ...powinno się ich pozamykać tam, gdzie ich miejsce...

Było jej niedobrze; zamknęła oczy. Czekali tam na nią w holu: Lila, Trevor, Roly i Irma. Podszedł do niej barczysty policjant z kajdankami w wyciągniętych rękach. „Tylko spokojnie”. Mlaskał na jej widok, zupełnie jakby była zwierzęciem. „Tylko spokojnie”. Lila wpatrywała się w nią; Trev się uśmiechał.

Taksówka zatrzymała się z szarpnięciem. Otworzyła oczy. Stali przed domem Lili. Podszedł portier, żeby otworzyć drzwi auta. Ten gruby, ten przyjacielski.

Rozpoznał ją, kiedy wysiadała.

- O, witam! - zawołał.

- Witam.

- Miło mi znów tu panią widzieć.

Grzebała w torebce w poszukiwaniu pieniędzy. A co jeśli on coś dostreże w jej torebce? Chyba nie było tam nic niezwykłego. Jedynie duża książka w twardej oprawie. Wyjęła kilka banknotów. Powinna była przygotować je wcześniej; teraz cała się trzęsła. Nagle sprawy zaczęły się toczyć zbyt szybko; jej umysł wydawał się zaćmiony. Zaplanowała wszystko starannie, a teraz była tak okropnie zdenerwowana, jakby wpechnięto ją na scenę bez próby. Czy to było widoczne?

Zapłaciła taksówkarzowi; podziękował jej i odjechał. Zapomniała o szampanie! Nie, nie zapomniała... ścisła go w rękę. Czyż nie była niemądra?

Poszła za portierem do holu, który wyglądał irytująco tak samo. Lakierowane ściany, błyszczące abażury, dyskretnie podświetlony wazon z bukietem różnorodnych kwiatów.

- Przyszłam do panny Dune - oznajmiła.

Portier podniósł słuchawkę i wykręcił numer. A co, jeśli ktoś u niej jest? Dlaczego, na Boga, o tym nie pomyślała? Portier odłożył słuchawkę.

- Proszę jechać na górę. Zna pani drogę.

Podeszła do drzwi windy i nacisnęła guzik oznaczony literami PH. Drzwi się zasunęły. Była sama.

Zamknęła oczy i zaczerpnęła głęboki haust powietrza. Przecież zdarzało się to już wcześniej. Strój granej postaci ześlizgiwał się z ramion i nagle byłaś naga. Zaczynałaś się pocić. Panikować. Można się było tylko zatrzymać i dojść do siebie. Podnosiłaś ten strój i ponownie wkładałaś na siebie. Takie to proste.

Była przecież profesjonalistką, czyż nie? Zanim winda dotarła na trzydzieste piętro, na kondygnację penthouse'ów, zdążyła już dojść do siebie. Drzwi się otwarły. Całkowicie spokojnie przeszła przez hol i nacisnęła dzwonek do apartamentu Lili.

Pięć

Orson zaszczekał i umilkł. Przez chwilę nic się nie działo. Przechyliła głowę i nasłuchiwała. Usłyszała szmer głosu.

Stała tuż przy drzwiach. Ktoś jeszcze był w środku. Lila z kimś rozmawiała. Słyszała jej przytłumiony głos, a potem śmiech.

Czy wiecie, co wtedy poczuła? Naturalnie, szok i rozczarowanie. Panikę, że być może Trev tam jednak jest i że będzie musiała stanąć z nim twarzą w twarz. Potem, wiercie lub nie, odczuła głęboką ulgę, która falą oblała ją całą.

Stała tam na miękkich nogach. Przez drzwi słyszała odgłos zbliżających się kroków na marmurowej posadzce. Miała jedynie wręczyć Lili butelkę szampana, powiedzieć „gratuluję” i odejść. Takie to proste!

Usłyszała dźwięk otwieranego zamka. Drzwi się uchyliły i zobaczyła w nich Lilę. Jej przez krótką chwilę pozbawioną wyrazu twarz.

- Jules, skarbie! - zawołała Lila i pocałowała ją w policzek. - Nie dośłyszałam nazwiska, kiedy zadzwonili do mnie z dołu. Wchodź do środka. - Pospieszyła do salonu, mówiąc przy tym przez ramię: - Zaraz skończę. Rozgość się, proszę.

Była sama. Rozmawiała przez telefon.

Jules weszła do salonu i usiadła na dobrze sobie znanej, białej sofie. Apartament wyglądał dokładnie tak samo, nie licząc rozrzuconych wokół kolorowych czasopism oraz kilku dużych wazonów z kwiatami.

Orson warknął na nią, po czym wycofał się pod stolik ze szklanym blatem. Lila zrzuciła pantofle, zwinęła się w fotelu i podniosła słuchawkę telefonu.

- ...słuchaj, Carrie, może wpadniesz jutro? Matt gra w tym filmie, wiesz o tym? - Roześmiała się. - Tak, M a t t ! To ci dopiero! Jakby zmartwychwstał.

Miała na sobie puszysty, żółty sweter i dżinsy. Minęły dwa miesiące od czasu, kiedy Jules widziała ją ostatni raz. Jej twarz była blada, bez makijażu, włosy mocno związane z tyłu. Wyglądała pięknie; ciąża najwyraźniej jej służyła.

- ...powiedziałam mojemu agentowi, że ta obsada rzeczywiście robi wrażenie. - Ponownie się roześmiała. Wyciągnęła nogę i przyglądała się swoim ruchliwym palcom stopy. - Tak czy owak, dla Stana zrobiłabym wszystko. Znamy się od tak dawna.

Podniosła wzrok na Jules i bezgłośnie dała jej znać, że już kończy. Jules rozejrzała się po pokoju. Zapomniała, jaki jest przestronny. Nie chciała patrzeć na Lilę. Musiała skoncentrować się na tym, jak bardzo jej nienawidzi. A nienawidziła jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety na świecie i zamierzała wyrządzić jej okropną krzywdę.

- ...robimy przerwę o pierwszej, wtedy się zobaczymy! - Lila odłożyła słuchawkę i podniosła się z fotela. - Jezu, wyglądasz, jakby ci było strasznie gorąco! Nic ci nie jest? Chcesz, żebym wzięła twój płaszcz?

Jules wyjęła butelkę szampana z torby.

- Słyszałam wieści. - Uśmiechnęła się promiennie. - Gratuluję!

- Czy to nie wspaniałe? Naturalnie, rankami miewam mdłości. Ły!... ale kto ich nie ma? Napijesz się? - Podniosła butelkę do góry. - Ja nadal pauzuję, masz pojęcie? Jak dotąd najdłużej. Ale może ty masz ochotę?

Nie ma mowy. Dziś wieczór musi mieć jasną głowę. Poszła za Lila do kuchni. Lila nalala dwie szklanki lemoniady Paula Newmana.

- Wiesz, że mamy zamówienie? - spytała. - Na etykiety sosów do makaronu? Wczoraj przysłali mi wzory. Marinara, Pepperino, Vongole. Vongole z małżami.

Wróciły do salonu. Ze szklanką w dłoni Jules podeszła do okna. Słońce zaszło, a u jej stóp leżało miasto; zapomniała już, jakie to uczucie. Jakże są tutaj wysoko! Pod roziskrzonym niebem błyskały miliony

światał. Nagle ogarnął ją ogromny smutek.

- Wiesz co? - usłyszała głos Lili. - Niesamowicie zeszczuplałaś od czasu, kiedy się ostatnio widziałyśmy. Anie możesz sobie na to pozwalać, skarbie. Bo twoje ciało traci wtedy te wszystkie cenne minerały. W pierwszej chwili cię wręcz nie poznałam.

- Naprawdę?

- Nie wiedziałam, że nadal jesteś w Nowym Jorku, dopiero Roly powiedział mi, że się do nich zapisałaś, mamy więc tego samego agenta! To ci dopiero! Wspaniale, że mogę cię znów widzieć.

Robiła wrażenie szczerze zadowolonej. Nie ulegało wątpliwości, że już dawno zapomniała o tamtej awanturze. Nie była typem, który chowa urazy, a poza tym wyglądała na zbyt szczęśliwą, żeby myśleć o kimkolwiek innym.

Jules dalej wyglądała przez okno. Usłyszała za sobą trzask zapalniczki.

- Nadal palisz?

- Taa, ale ograniczam się. Naprawdę tym razem dbam o siebie. Te mi kazał.

Jules spoglądała na grill rdzewiejący na balkonie. Bardzo chciało jej się palić, nie ośmieliła się jednak wyjąć papierosa, żeby Lila przypadkiem nie zauważyła, jak mocno drżą jej ręce. Pomyślała: Kupowałam kiedyś papierosy, jakie paliła Lila, i magazynowałam w swoim pokoju. Kochałam ją kiedyś.

- Przy moich doświadczeniach muszę - ciągnęła Lila. - Bo wiesz, nigdy nie sądziłam, że będę miała dziecko, myślałam, że jestem za stara. Myślałam, że jest za późno. Mam popieprzone jajowody. To najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

Jej głos brzęczał i brzęczał. Jules odsunęła się od okna. Czuliła się udręczona tą rozmową z Lilą. Rozboliła ją głowa. Podniosła przycisk do papierów. Był ciężki, z onyksu. Jakie to proste, po prostu podejść i rozwalić jej czaszkę! Oszczędziłoby to mnóstwa kłopotów.

- Po czwartku rzucam pracę, zaszywam się tutaj i żyję na luzie.

- Zrób tak.

- Właśnie w latach dziewięćdziesiątych ludzie nauczyli się dbać o siebie - oznajmiła Lila. - Gdzieś to przeczytałam. W „Vogue'u”.

Jules popijała małymi łyчками lemoniadę. Co za dziecinny napój. Potrzebowała czegoś mocniejszego, i to bardzo. Lila zupełnie nie miała wyczucia, kiedy należy przestać gadać, prawda? Zawsze była beznadziejnie głupia. Jej głos brzmiał, jakby ktoś pocierał o siebie dwa kawałki drutu.

- Wiesz, że to Te odmienił moje życie? Zostawiam już za sobą te wszystkie złe dni. On sprzedaje swoje mieszkanie i wprowadza się tutaj, czy to nie wspaniałe?

- Rzeczywiście?

- Sposób, w jaki urządził to swoje, przyniesie mu mnóstwo pieniędzy. Jest bajeczne. Powinnaś je zobaczyć.

Nie martw się, pomyślała. Zobaczę.

- Planujemy ślub w czerwcu - ciągnęła Lila rozmarzonym głosem. - Zabiera mnie do Wenecji. Tym razem to już będzie na zawsze.

Jules pochyliła twarz nad wazonem pełnym szkarłatnych róż i pociągnęła nosem.

- Zdaje się, że widziałam coś w gazetach - wymamrotała. - O jakiejś, no wiesz, dziewczynie.

- Och, t a m t o . Wokół jest mnóstwo stukniętych kobiet. No wiesz, takich żalonych przypadków. Nie masz pojęcia, jacy bywają ludzie. Powinnaś zobaczyć kilka z tych listów, jakie do mnie przychodzą. Żyją bez nadziei, są samotni. Nie radzą sobie. To nie było dla nas żadnym zagrożeniem.

Jules wciągnęła w nozdrza woń kwiatów.

- Nie?

- Te i ja tworzymy związek oparty na wzajemnym szacunku. Słuchaj, mówiłam ci, że razem pracujemy? Fantastyczna sprawa... tyle że na razie cicho sza, nikt nic o tym nie wie. Nawet Roly. Nikomu nic nie mówimy. Te pracuje obecnie nad szkicem scenariusza. On jest taki błyskotliwy. Ja natomiast szukałam materiałów... rozumiesz, on nie uważa mnie za głupią gąskę! Ma szacunek również dla mojego rozumu! - Roześmiała się. — Utworzyliśmy tę firmę zajmującą się produkcją. Jak powiada Te, nie tylko filmów, ale i dzieciaków!

Czy ta kobieta nie potrafi się zamknąć? Jules miała ściśnięte gardło. Pulsowało jej w skroniach. Jakie, do diabła, Lila miała prawo, żeby głądzić w taki sposób?

Uniosła znad róz ciężką głowę. Lila przeciągnęła się i spojrzała na zegarek.

- Kochana - ziewnęła. - Jutro wcześniej wyruszam na plan, a znasz mnie przecież! Najpierw muszę wziąć długą, gorącą kąpiel.

- I tak już muszę iść. - Podeszła do Lili, nachyliła się i pocałowała ją. Czowała się niczym Judasz. Policzek Lili pachniał tamtymi perfumami, tymi, które od niej kiedyś dostała. Je Reviens.

- Do widzenia - powiedziała Jules. - Nie odprowadzaj mnie.

Poszła energicznym krokiem ku drzwiom, odwróciła się i pomachała do Lili. Potem wyszła. Delikatnie zatrzaskała za sobą drzwi.

Stała w holu, a serce mocno tłukło się w jej piersi. Była teraz zwierzęciem, w akcji. Wciągnęła nosem powietrze. Czy tak się czuje przestępca?

Było to niesamowite, przedziwne doznanie. Czowała pulsowanie w skroniach, napływający z żołądka kwaśny posmak w ustach. To musiał być strach. Kiedy spojrzała na połyskujące jedwabiście pasy tapety, te zaczęły pulsować i rozmywać się jak na jakimś opartowskim obrazie.

Poszła dalej holem, obok windy, ku dźwigowi towarowemu. Na piętrze penthouse'u znajdowały się jeszcze trzy inne apartamenty; ich drzwi były zamknięte.

Odczuła przypływ uniesienia. Wydarzenia zaczęły się już toczyć i nie było odwrotu. Przywołała windę towarową i zjechała na sam dół. Drzwi rozsunęły się, ukazując z boku nieprzytulny, mały korytarzyk oraz drzwi awaryjne otwierane jedynie na zewnątrz. W rogu leżało kilka wypełnionych śmieciami worków. A co, jeśli pojawi się dozorca?

Wyjęła z torebki tę dużą książkę w twardej oprawie. *Żony Hollywoodu*. Najwyraźniej właścicielka mieszkania, które podnajmowała, nie cierpiała na nadmiar intelektu, podobnie jak Lila.

Uchyliła drzwi, tylko odrobinę, i zablokowała je książką. Z ulicy przedostała się fala zimnego powietrza i odgłosy wieczornego ruchu. Wyobraziła sobie, jak wymyka się stąd kochanek Lili, telewizyjna osobistość; oddala się ukradkiem, z pochyloną głową.

Wróciła do windy towarowej i nacisnęła guzik pierwszego piętra. Tak naprawdę każde piętro byłyby odpowiednie, żeby przesiąść się do windy osobowej.

Winda towarowa ruszyła w górę i zatrzymała się z szarpnięciem. Drzwi się rozsunęły, ukazując identyczny jak na piętrze Lili hol, tyle że połyskujące paski na tapecie miały kolor beżowy. Dzięki Bogu wokół nie było nikogo. Przesiadła się do windy osobowej i zjechała na parter. Dziwnie by to wyglądało, gdyby nadeszła od strony windy towarowej.

Drzwi się rozsunęły, a ona pewnym krokiem przemaszerowała przez hol. Akurat jacyś mieszkańcy tego domu zajechali z bagażem; młodszy portier zanosił je do windy towarowej. W jednym z foteli siedział mężczyzna, być może czekający na kobietę, z którą był umówiony. Nie byli to jednak zwyczajni ludzie; wszyscy oni bowiem ulegli przeobrażeniu w abstrakcyjne postaci zwane świadkami. Widzieli przecież, jak ona wychodzi z budynku.

Otyły portier tkwił za swoim kontuarem.

- Życzę dobrej nocy - zawołał.

- Dobranoc - odkrzyknęła wesoło i wyszła na rzeńskie, wiosenne powietrze. Czowała się, jakby schodziła ze sceny, w kulisy. Człowiek robi kilka kroków i grana postać wyszcza się z niego, a on pozostaje niemal bez ducha.

Była 20.30. Miała jeszcze godzinę; tyle właśnie czasu sobie dała. Maksimum godzina, na kąpiel Lili, na otępienie się mogadonem i zapadnięcie w głęboki sen.

Poszła w kierunku Columbus Avenue. Restauracje dla japiszonów były oświetlone; siedzący wewnątrz ludzie wyglądali zaskakująco normalnie. Kiedy tak się czaiła na chodniku, czowała się, jakby należała do zupełnie innego gatunku. Jak szybko została wyrzutkiem i jak zarazem nedorzecznie, skoronie popełniła jeszcze żadnego przestępstwa.

Jedynym jak dotąd jej czynem, ekscentrycznym i nieszkodliwym, było zablokowanie tamtych drzwi, dosłownie na kilka cali, powieścią Jackie Collins.

A co będzie, jeśli przyjdzie dozorca i je zamknie?

Minęła sklep z makaronami, gdzie wiele miesięcy temu kręcili film. Miała wrażenie, jakby działo się to w zupełnie innym życiu. Podobnie jak dzisiejszy lunch z Rolyem. Wszystkie wydarzenia, które poprzedziły moment podjęcia decyzji, oraz wynikające z tego popołudniowe snucie intrygi, zdawały się istnieć w jakiejś innej, bardziej słonecznej krainie, do której obecnie nie miała wstępu.

Ubrana była w płaszcz oraz zamszowe wysokie buty na płaskich obcasach. Minąwszy zaciemnioną pralnię chemiczną, swój mały teatrzyk, gdzie udawała kogoś innego, skierowała się ku Muzeum Historii Naturalnej. Jego ozdobiona masywnymi kolumnami bryła zamajaczyła w ulicznych światłach. Poszła kilka przecznic dalej, a potem ośmieliła się zerknąć na zegarek. Była za dziesięć dziewiąta. Marzyła o drinku, nie miała jednak dość odwagi, by wejść do baru i złożyć to proste zamówienie. Mogłaby się przecież pomylić, mogłaby się jakoś nienaturalnie zachować. Bardziej zaniepokoiłoby to ją samą niż kogokolwiek innego; bała się stracić panowanie nad sobą. Poza tym nie miała najmniejszej ochoty odzywać się do nikogo.

Zupełnie losowo wybrała Osiemdziesiątą Piątą Ulicę. Skręciła w nią i poszła kilka przecznic do Amsterdam Avenue, przeszła na jej drugą stronę i podążyła w kierunku rzeki Hudson. Zatrzymywała się na czerwonych światłach, jak przystało na zdyscyplinowaną obywatelkę. Czy to nie osobliwe?

Teraz pewnie Lila połyka tabletki nasenne. Była prawie dziewiąta. To wszystko stawało się bardzo nierzeczywiste. Podczas przerw w kręceniu filmu iluzja zanika. Trzeba wtedy zadbać o koncentrację. Można pić kawę i plotkować ze statystami, ale wewnątrz, w głowie, trzeba nadal być w pracy. Tak samo na zapleczu sceny, podczas antraktu, z upływem minut grana postać zaczyna się rozpyływać. Myśli o Trevorze pomagały jej teraz zachować czujność. Nie chciała przechodzić w pobliżu jego domu; nie mogła przecież ryzykować nagłego ataku tremy. Noc była zimna, a

ona tymczasem się pocila. Teraz, kiedy zbliżała się ta chwila, doprowadziła się do prawdziwej wściekłości. Przynajmniej zakładałam, że to zrobiła; naprawdę tego nie pamiętałam. Jeśli chodzi o te ostatnie dwadzieścia minut, w pamięci mam kompletną pustkę. Może ona była zbyt odrętwiała, żeby myśleć. Nie wiem. Nie uważam, bym była za to odpowiedzialna.

Pamiętam, jak hałaśliwy był ruch uliczny na Columbus. Dosłownie ją ogłuszał. Pamiętam, jak ktoś zatrzasnął drzwi samochodu, a ona aż podskoczyła. Ludzie w oświetlonych oknach przyglądali się jej; podnosili słuchawki telefonów i dzwonili na policję. Nie odważyła się odwrócić głowy.

Potem spojrzała na zegarek. Chryste, było dwadzieścia pięć po dziewiątej! Czas płynie nierównomiernie, podobnie jak ruch uliczny. Na chwilę straciła głowę, zmusiła się jednak do zachowania spokoju. W końcu kilka minut nie robi żadnej różnicy, w tę czy we w tę.

Z mocno bijącym sercem pomaszerowała z powrotem w kierunku apartamentowca Lili. Po drodze wciągnęła cienkie, skórzane rękawiczki. Trochę ją to zdenerwowało, oznaczało bowiem konkretne posunięcie. Boczne wyjście kryło się w takim mroku, że przez chwilę nie mogła się zorientować, czy książka wciąż tkwi na swoim miejscu.

Była tam. Wystawała na zewnątrz jak czyjaś stopa. Otworzyła drzwi szerzej i weszła do środka. Wydawało się jej, że wewnątrz jest zimniej niż na dworze. Cichutko zamknęła za sobą drzwi i włożyła książkę z powrotem do torebki. Następnie wcisnęła guzik windy towarowej.

I nic. Cisza. Żadnego zduszonego odgłosu, żadnego skrzypienia.

Zamarła. Mogło to oznaczać tylko jedno. Ktoś właśnie korzystał z tej windy. Gdzieś na wyższych piętrach coś do niej ładowano. Albo wyładowywano.

Patrzyła na zardzewiałe, zamknięte drzwi. Nie mogła się ruszyć. Ze zsypu dotarł do niej zapach gnijących owoców. Czy powinna uciekać?

Wydawało się jej, że minęły całe godziny. Wpatrywała się w wiszącą u sufitu pojedynczą żarówkę. A potem, nareszcie, usłyszała, że maszyna rusza. Winda jechała na dół.

Stała kompletnie sparaliżowana, jak zaskoczony królik. Zaraz te drzwi się otworzą i ktoś się w nich pokaże. Dozorca, posłaniec.

Winda zatrzymała się z sapnięciem. Po chwili otwarły się zardzewiałe drzwi.

Była pusta. W środku leżał tylko stos pudełek.

Weszła i nacisnęła guzik z literkami PH. Winda ruszyła z szarpnięciem. Była wolniejsza niż osobowa. 3... 4... 5... Na każdym piętrze zwalniała, jakby miała się zatrzymać. 16... 17... Oblewała się potem; bluzka lepiła się jej do pleców.

Wreszcie drzwi się otworzyły na nagie, betonowe ściany piętra penthouse'ów. Poszła do wyłożonego dywanem holu przed drzwiami Lili.

Cisza. Stała przez chwilę, tuż przy drzwiach, nasłuchując. Nic. Wyjęła paczuszkę M&M'sów... dlaczego nie zrobiła tego w bezpiecznym zacisku windy. Głupia, głupia, głupia.

Rozdarła opakowanie. W rękawiczkach nie było to łatwe; musiała sobie pomóc zębami. Wysypała kilka M&M'sów na dłoń. Na dnie torebki odnalazła przyciśnięte książką klucze Lili. Zadzwończyły; wzdrygnęła się. Chyba usłyszeli ją w całym budynku.

Nie włożyła klucza od razu. Przez chwilę miała wrażenie, jakby coś dziwnego naciągało mocno jej skórę na całym ciele. Hol rozrósł się z głuchym pogłosem.

To właśnie to. Jedno przekręcenie klucza i zostanie przestępcą. Włamuje się przecież do czyjegoś domu. Kiedy już otworzy te drzwi, nie będzie odwrotu. Zmuszała się, by to sobie uświadomić, by naprawdę to sobie przyswoić, ale czuła jedynie wszechogarniające odrętwienie.

Jej dłoń wykonała ruch, ona sama nie miała w tym udziału. Włożyła do dziurki duży klucz i delikatnie go obróciła. Wystarczająco wiele razy otwierała te drzwi, w przeszłości. Ten duży zamek nie sprawiał żadnych kłopotów; otwierał się gładko. Mały był bardziej wymagający; żeby go otworzyć, należało pchnąć mocno drzwi.

Naparła na nie całym ciałem i przekręciła klucz. Nagle usłyszała szczek Orsona.

Był bardzo blisko. Drapał drzwi z drugiej strony i znowu zaszczekał.

Pospiesznie przekręciła mały kluczyk jeszcze raz. Drzwi otwały się ze skrzypnięciem.

Orson warknął na nią wściekle. Przyklękła, tracąc niemal równowagę, i wyciągnęła do niego dłoń z M&M'sami.

Pochłaniał je, śliniąc się. Poklepała go po głowie.

- Dobry Orson - wyszeptwała. - Dobry piesek. - Wytarła wilgotną rękawiczkę o płaszcz i spojrzała w górę. W holu paliło się światło. Przeznaczone najwyraźniej dla psa; Lila powiedziała jej kiedyś, dawno temu, że Orson nie znosi ciemności. Poza tym całe mieszkanie wydawało się pogrążone w mroku. W powietrzu unosił się nikły zapach płynu do kąpieli. Drzwi do salonu były otwarte i widziała przez nie błysk białej sofy, a za nią nocne niebo.

Sypialnia Lili usytuowana była po prawej stronie. Drzwi do niej również były otwarte. Zbliżyła się do nich ostrożnie i stała, nasłuchując. Cisza. Z tyłu dobiegały wilgotne, sapiące odgłosy; to Orson zlizywał M&M'sy z marmurowej posadzki. Słyszała klapanie jego szczęk.

Dzięki Bogu знаła każdy cal tego mieszkania. Zatrzymała się z ręką na gałce u drzwi, okrągłej i chłodnej.

Uważacie, że się nie odważyłam? Uważacie, że nie byłam w stanie tego zrobić? Jak mówiliśmy w szkole: no to sobie uważajcie, bo czeka was jeszcze jedna uwaga... od nauczycielki. Muszę przyznać, że niewiele brakowało, żebym się odwróciła na pięcie i uciekła. Takie ogarnęło mnie przerażenie. Jednak Jules nie uciekła. Zaczerpnęła powietrza i delikatnie pchnęła drzwi.

Pokój pogrążony był w ciemności, ale światło dochodzące z holu pozwalało dostrzec zarysy mebli. Łóżko stało przy oknie. Jules zatrzymała się na progu. Obserwuję ją; robi wrażenie zaskakująco nieśmiałej i niepewnej, jakby była w hotelu i weszła przez pomyłkę do nie swojego pokoju. Potem robi jednak krok do przodu.

Lila leżała w łóżku. Na poduszce połyskiwały jej jasne włosy. Na nocnym

stoliku świeciła tarcza budzika. Właśnie zmieniły się minuty, z 21.39 na 21.40. Kiedy Jules wstrzymała oddech, dostrzegła, jak delikatnie unosi się i opada kołdra, którą Lila była przykryta. A może to tylko jej wyobraźnia.

J a k a p o s ł u s z n a ! - pomyślała Jules. Spojrzała niemalże z czułością na wybrzuszone nakrycie. Ogarnęło ją zupełnie nieoczekiwane uczucie: tak ją zaskoczyło, że przez chwilę nie potrafiła go zidentyfikować. Wkrótce jednak uświadomiła sobie, czym ono jest: zawodową solidarnością. Mruknęła zaskoczona.

Lila znała scenariusz. Tym razem nie grała głównej roli. Zadowoliła się milczącą - ba, niemalże nieistniejącą - rolką, ustąpiła środek sceny koleżance. Jules naturalnie swoją rolę znała doskonale. Bóg jedyny wie, od jak dawna ją próbowała. Zaledwie od tego popołudnia? Nie, raczej od wielu miesięcy. Od momentu, w którym zobaczyła, jak Trev wysiada z tamtej limuzyny.

Powiedziała sobie: To występ życia. Teraz już wiedziała, że Lila się nie obudzi. Lila zagra zgodnie ze scenariuszem. Jak łatwe się to wszystko nagle okazało!

Zniknęła sceniczna trema. Lila leżała bez ruchu, zwinięta, na boku. Oczy miała zakryte maseczką, jakby przed pójściem na bal ucięła sobie krótką drzemkę. Jules stała nieruchomo, słuchała jej głębokiego, regularnego oddechu, po którym następował cichutki gwizd, gdy powietrze przy wydechu przepływało pomiędzy wargami. Nigdy przedtem nie widziała śpiącej Lili; zupełnie nedorzecznie odczuła typową niezręczność sytuacji, poczuła się intruzem. Ale nie była przerażona, nie wtedy.

Odeszła od łóżka, stąpając na palcach przez ledwo co oświetloną scenę. Otworzyła głęboką i obszerną garderobę, ale nie odważyła się zapalić w niej światła. Wiedziała jednak, gdzie Lila trzyma swoje sobolowe futro; tam, z samego tyłu.

Czuła woń perfum i skóry. Jak niewidoma po omacku szukała wśród ubrań, przesuwiała po tkaninach palcami w rękawiczkach. Jedwabne bluzki, lekkie jak bibułka... mięciutka skórka niebieskiej sukienki, przymierzyła ją kiedyś... Śliska satyna od Billa Blassa... Wszystko pachniało

Lilą. Kiedy dotykała tych rzeczy, odczuwała dziwne podniecenie. Przesunęła ręce na koniec drążka. Wreszcie jej palce zanurzyły się w futrze, och, w jakim miękkim futrze. Zdjęła sobole z wieszaka. Były nadspodziewanie ciężkie. Wieszak zaklekotał o sąsiedni.

Zamarła. Z sypialni nie dochodził żaden dźwięk.

Potem pomacała ręką pośród butów. Lila miała całą ich kolekcję. „Wpuście mnie do sklepu z butami - powiedziała kiedyś - a zaszaleję jak dzieciak, który kupuje cukierki”. Dużą część stanowiły pantofle wizytowe, pantofelki na premiery, do wsiadania i wysiadania z samochodów. Pochodziły ze skandalicznie drogich sklepów przy Madison Avenue. W jakiś sposób były one bliższe Jules niż jej własne. Złożywszy futro wpół, uklękła i przejechała dłonią po ich błyszczącej skórze. Dotknęła ich wysokich, szpilkowych obcasów. Wreszcie wybrała czarną parę z odkrytą piętą, którą znalazła po omacku, i wynurzyła się z garderoby.

Lila ani drgnęła. Światło z holu padało na dywan. Jakże było cicho! Jules już o tym zapomniała. Tu, wysoko, było tak cicho, że nie słyszało się nawet odgłosów ulicznego ruchu.

Położyła futro na oparciu krzesła, które niemal się przewróciło pod jego ciężarem. Chwyciła je w ostatniej chwili. Tymczasem pojawił się Orson. Obwąchiwał jej kostki nóg; odsunęła go łagodnie.

Peruka z długimi do ramion blond włosami połyskiwała na toalecie. Usiadła i zaczęła spinać własne włosy z tyłu głowy; w rękawiczkach szło jej niezgrabnie, ale się udało. Włożyła perukę. Teraz siedziała w garderobie, na zapleczu, i przygotowywała się do wyjścia na scenę. Jej palce już niemal odzyskały sprawność. Unosząc wysoko głowę, obejrzała w lustrze swoje ledwie widoczne odbicie. Udawana Lila odwzajemniła jej spojrzenie, z uśmiechem.

Wzięła do ręki szkarłatną szminkę i przybliżywszy maksymalnie twarz do lustra, szcudrze nałożyła jej sobie na wargi. Pełniejsze, dojrzałe usta Lili uśmiechnęły się do niej.

Wstała energicznie, wzięła futro oraz pantofle i po raz ostatni spojrziała na Lilę. Leżała tam niczym Śpiąca Królewna. Choć była marną aktorką, tę rolę odgrywała perfekcyjnie. Orson wskoczył na posłanie

obok niej. Nie poruszyła się. Zegar na stoliku spowijał wszystko wokół zielonkawą poświatą. Przeskoczyły minuty: 21.55.

Jules rozejrzała się za torebką, ale w sypialni jej nie było. Wyszła zatem, delikatnie zamykając za sobą drzwi, i na palcach przeszła do salonu. Odetchnęła swobodniej, kiedy już się tam znalazła.

W półświecie salon wydawał się ogromny jak sala balowa. Obeszła go poszukiwaniu torebki, poślizgnąwszy się niemal na jednym z dywanów. Wreszcie ją odnalazła, ciemną plamę na bladym obiciu fotela. Schyliła się, długie włosy opadły na jej twarz.

Nie była w stanie jej dotknąć. Przynajmniej przez chwilę. Odczuwała to bowiem jako największe pogwałcenie prywatności. Otwarcie torebki należącej do innej osoby... było równie naganne jak nasiusianie do łóżka.

Dotknęła torebki i odskoczyła jak użądlnona. Z kuchni dobiegł ją jakiś odgłos. Zduszony stukot.

Była to jedynie maszyna do robienia lodu. Ponownie wyciągnęła rękę po torebkę, podniosła ją i otworzyła.

Wymacała okulary przeciwsłoneczne. Złożone jak skrzydła owada. Wyjęła je. Ponownie wsunęła do środka dłoń, głębiej. Pistolet okazał się zaskakująco zimny. Czują to nawet przez rękawiczkę. I ciężki. Uniosła go zdecydowanym ruchem. Przejechała dłonią po nierównym, metalowym korpusie i po bezpieczniku. Był opuszczony. Jakie to dziwne, że coś takiego może roztrzaskać komuś twarz! Kiedy go trzymała, wydawał jej się równie nieprzekonująco przekonujący jak teatralny rekwizyt.

Didaskalia: wkłada naładowany pistolet do kieszeni futra. Rzucając wokół ukradkowe spojrzenia, zdejmuje własny płaszcz oraz buty i chowa za sofą. Ukrywa tam również swoją torebkę. Potem wkłada pantofle i futro Lili. Wychodzi z pokoju.

W holu wybiera apaszkę z całej kolekcji ułożonej w stojącej na stoliku miedzianej misie. Zawija ją sobie na głowie: to przeznaczone na ulicę przebranie Lili. Zakłada ciemne okulary, sprawdza w lustrze, jak wygląda, i wychodzi.

* * *

Zamykając za sobą drzwi, Jules doznała przedziwnego uczucia. Znajdowała się wewnątrz obrazu namalowanego przez jakiegoś włoskiego prymitywistę; była wydobywającą się z ust grzesznicy duszą, wyglądała dokładnie tak samo jak ona. Wokół niej barwy jarzyły się z intensywnością, jakiej nigdy nikomu nie udało się uchwycić. Lila, odziana w prostą kobaltową szatę, otworzyła usta, z których wypłynął jej duch. Może jej dusza? A może to był diabeł?

Jules włożyła klucze do kieszeni i wcisnęła guzik przywołujący windę. Czekala całe wieki.

Wreszcie się pojawiła. Rozsunęły się drzwi. Weszła do środka i wcisnęła guzik holu na parterze. Winda zaczęła opadać.

Poprawiając okulary, zerknęła na wskaźniki. Coś było nie tak. Po ułamku sekundy już wiedziała: świecił się numer 15.

Ścisnęło ją w żołądku. Owinęła się mocno futrem i odwróciła twarzą do bocznej ściany. Winda zatrzymała się na piętnastym piętrze, otwarły się drzwi.

Kątem oka dostrzegła otłętego, siwego mężczyznę. Miał na sobie dres i trzymał na smyczy psa rasy airedale. Wszedł do windy i skinął głową.

- Szanowanie! - rzucił.

Odpowiedziała skinieniem i odwróciła się. Był najwyraźniej mieszkańcem tego domu, wychodził na spacer z psem. Utkwiła wzrok w mahoniowym fornirze boazerii. Nagle podskoczyła. Pies obwąchiwał jej nogę.

Mężczyzna szarpnął go ku sobie.

- Torts! - rzucił ostrym tonem - zostaw! - Potem zwrócił się do niej. - Przepraszam. On czuje zapach tego pani.

- Co? - Chryste, odezwała się niewłaściwym głosem! Nie przecwiczyla tego.

- Pani psa - wyjaśnił.

- Aha.

Stali nieruchomo, a winda sunęła w dół. 9... 8... Czują zapach wody po goleniu tego mężczyzny. Teraz odchrząknął. Siłą woli nakazywała mu milczenie.

- Zabrałem córkę na *Pola namiętności* - oznajmił. - Piękny film.
- Dzięki - wymamrotała.

...4... 3...

Roześmiał się.

- Teraz chce zamieszkać w Wisconsin.

Winda zatrzymała się gładko. Otworzył się drzwi.

- Do widzenia - rzuciła.
- Wszystkiego dobrego - odpowiedział.

Hol był pusty, jeśli nie liczyć otęłego portiera. Siedział za swoim kon- tuarem i oglądał telewizję. Skoczył na równe nogi, kiedy ona skierowała się ku wyjściu. To przejście po marmurowej posadzce trwało wieki. Jej wysokie obcasy wybijały rytm. Wiedziała, że za bardzo się spieszy, ale przecież ten mężczyzna z psem szedł tuż za nią.

Portier otworzył jej drzwi.

- Dobranoc - powiedziała.

Oslaniając twarz futrzanym kołnierzem, wyszła pospiesznie z budyn- ku.

Skręciła w lewo i pomaszzerowała energicznym krokiem na północ Central Park West. Usłyszała za sobą kroki. Coraz szybsze. Przyspieszy- ła. Kroki zbliżyły się i po chwili przebiegł obok tamten mężczyzna, cią- gnąc za sobą psa. Uniósł do góry dłoń, w czymś na kształt salutu.

Jej serce znów zaczęło bić normalnie. *Zrobiłam to*, pomyślała. Obok niej przetoczyła się fala uwolnionych spod czerwonych świateł samochodów. Luźna maska taksówki podskakiwała w górę i w dół. Po drugiej stronie ulicy towarzyszył jej, niczym jej własne splątane sny, zaciemniony park. Wiał wiatr. Drzewa machały gałęziami na tle bladego nieba, jakby usiłowały zwrócić na siebie uwagę.

Uwierały ją pantofle - Lila miała stopy o pół numeru mniejsze. Ale dzięki nim łatwiej jej było naśladować falujący, prowokacyjny chód Lili. Buty zawsze są w tym względzie pomocne... czyż nie tak właśnie powie- działa Bette Davis? A może Audrey Hepburn?

Na pierwszym odcinku, do najbliższej przecznicy, nie spotkała niko- go. Drewniane barykady, z drutem kolczastym na szczycie, otaczały

następny budynek. Minęła jego oświetlone wejście, zupełnie jak zamachowiec na dworcu lotniczym przechodzący obok detektora na podcierwień. Portier nawet nie odwrócił głowy w jej kierunku.

Przechodząc przez następną ulicę, potknęła się o krawężnik. W tych ciemnych okularach nie widziała zbyt dobrze. Lila zresztą też nie. Osłonięta przed wzrokiem świata potykała się, na wpół oślepią swoją ostentacyjną próbą zachowania anonimowości. Bo przecież wystarczy założyć ciemne okulary, by wywołać plotki i domysły. Idąc do następnej przecznicy, minęła parę młodych ludzi. Trącili się znacząco. Co mówili do siebie? Kogo, wedle własnego mniemania, ujrzeli?

„Nie zgadniecie, kogo widzieliśmy wczoraj wieczorem!” Tak powiedzą przyjaciółom. Skrzyła w Siedemdziesiątą Trzecią Ulicę. W jej połowie stał budynek, w którym mieszkał Trevor. Wciśnięty pomiędzy dwie kryte piaskowcem kamienice sam był wysoki i nowoczesny. Jego sterzące pod kątem balkony robiły wrażenie popielniczek. Tak często je oglądała, stojąc w ocienionym wjeździe do podziemnego parkingu naprzeciwko. Jednak tamtego wieczoru dom wyglądał inaczej niż zawsze. Wydawał się równie tymczasowy jak teatralne dekoracje. Nawet te tkwiące przed nim cyprysy w donicach wyglądały zbyt dobrze, żeby mogły być prawdziwe. Dekoracja czekała na jej wejście.

Po drugiej stronie ulicy widziała siedzącego za swoim kontuarem portiera. Znał dobrze swoją rolę. Przeciwczyła ją z nim wiele razy w swojej głowie. Miał powiedzieć tylko kilka słów i nie powinien mieć z tym kłopotu.

Zatrzymała się przed wejściem na plan. Wszystko będzie dobrze. Kawałek dalej jakiś statysta wynurzył się z jednej z kamienic i wszedł do czekającej taksówki.

I... a k c j a ! Lila przeszła przez jezdnię i weszła do holu. Portier uśmiechnął się i skinął głową. W rzeczywistości nie wygłosił żadnej kwestii.

Szła po błyszczącej posadzce. Przez ułamek sekundy wahała się. Aha! Windy są tam! Skrzyła w lewo i podążyła w ich kierunku, obok wypełnionego karpiami, wpuszczonego w posadzkę basenu.

Mieszkanie Trevora miało numer 17C. Co musiało oznaczać, że mieszka na siedemnastym piętrze. Nie mogła przecież pytać portiera.

- Panno Dune?

Odwróciła się. To portier do niej zawołał.

- Czy mam mu powiedzieć, że jedzie pani na górę?

- Hm. Nie, dziękuję. - Posłała mu uśmiech. - Chcę mu zrobić niespodziankę.

Teraz on rzucił jej uśmiech, przez całą szerokość holu. Wsiadła do windy. Drzwi zasunęły się za nią.

Jakże szybka była ta winda! O wiele szybsza niż ta u Lili. Dosłownie zatkało jej uszy, kiedy to pudło z polerowanej stali popędziło wprost w niebo, jak rakieta kosmiczna. Zanim zdążyła zaczerpnąć tchu, drzwi się otworzyły.

Wyszła na biały korytarz. Zobaczyła pięcioro drzwi. 17A... 17B... Poszła do samego końca. 17C.

Stała przed drzwiami, absolutnie nieruchomo, z przechyloną na bok głową. Czy to stukot maszyny do pisania? W uszach jej huczało. Przez chwilę nie słyszała dosłownie nic. Potem rozjaśniło się jej w głowie i nacisnęła przycisk dzwonka.

Sześć

Cisza. Maszyna do pisania umilkła. Usłyszała zbliżające się kroki i drzwi się otworzyły.

Stał w nich Trevor, ubrany w niebieski szlafrok. Był nieogolony i palił papierosa.

- Cześć, skarbie - powiedziała, przeciągając głoski.

Jego twarz się rozjaśniła.

- Lila!

Upuścił papierosa na podłogę i rozdeptał. Zrobił krok do przodu, zamknął drzwi i objął ją.

- Nie mogłam wytrzymać bez ciebie, Te - wymamrotała. - Jeju, ależ jestem dziś napalona.

Wsunął dłoń pod futro i pocałował ją. Poczuela smak jego śliny; zapach jego włosów. Och, ten zapomniany zapach!

Jego szorstki zarost tarł o jej skórę. Wsunęła język w jego usta i przylgnęła do niego całym ciałem. Pod węzłem paska od szlafroka poczuła twardość jego erekcji.

Wsunął palce w pęknięcie jej bluzki i dotknął nagich piersi. Zsunął z ramion futro.

Nagle szarpnął się do tyłu.

- Jezu! - zaskowytał.

Odepchnął ją brutalnie. Wpadła na framugę drzwi. On z obrzydzeniem wycierał wargi. Ona również wytarła usta i uśmiechnęła się do niego. Dyszała ciężko.

- Kim, do cholery...? - zaczął.

Obserwując go bacznie, zdjęła ciemne okulary.

Powiódł błędnym wzrokiem po jej twarzy. Przez jedną krótką chwilę jej nie rozpoznał. Czy to nie zdumiewające? Nie pamiętał jej. Potem otworzył szeroko oczy.

- Jules?

Wzdrygnął się. T r e v . Nawet zbladł.

- Co ty, do jasnej cholery, wyprawiasz? - spytał ostro. Miał przy tym taki wysoki głos! Jak uczennica.

- Nie wiem, o co robisz tyle hałasu. - Mówiła swoim normalnym głosem, niskim i rozsądnym. - Wiesz, my pod spodem jesteśmy takie same. Ja i ona. Dokładnie takie same.

Cofnął się przed nią do pokoju obok. Pomieszczenie pachniało świeżą farbą. Wszystkie meble poza biurkiem były przykryte. Po ścianą stała drabina.

Weszła za nim i skinęła głową w kierunku okna.

- Miły widok - powiedziała lekkim tonem.

- Jesteś szalona - oznajmił.

- Wszystko to jedynie ozdóbki - powiedziała. - Te wszystkie rzeczy. Futra, samochody, pieniądze, całe to gównno. Sława i tak dalej. Pod spodem jesteśmy takie same. Po prostu kobiety. Tylko tyle rozpoznaje ten twój tłusty zaganiacz, co? To jedyne, co jest naprawdę ważne.

Zmarszczył nos, jakby poczuł zapach zgnilizny.

- Jesteś kompletnie pomyłona.

Uśmiechnęła się.

- To o n a jest pomyłona, nie ja. Przede wszystkim jest kłamczuchą. Ostatnio, jeśli chodzi o Lilę, odkryłam wiele ciekawych rzeczy. Powinno się ją zamknąć.

- Ją się powinno zamknąć?

Uśmiechnęła się do niego uroczo.

- Przykro mi, że jesteś taki rozczarowany. Kiedyś... pamiętasz? Kiedyś nie byłbyś taki oburzony. Szczerze mówiąc, szkoda. - Stała obok biurka. Było zarzucone papierami.

Trevor stał obok jednego z zakrytych foteli. Przykrycie pochłapane było farbą. Pogrzebał w kieszeni szlafroka i wyjął paczkę papierosów.

Uśmiechnęła się. Nie spieszyła się ani trochę. Wszystko przecież zależy od pauz. Każdy aktor odkrywa kiedyś ten sekret.

- Szczerze mówiąc, szkoda - powtórzyła, wsuwając rękę do kieszeni. Namacawszy pistolet, zwolniła bezpiecznik. W *Heddzie* broń była większa, colt .44, ale mechanizm podobny.

- Usiądź - powiedział Trev. - Zapal papierosa. Najwyraźniej nie najlepiej się czujesz.

- Cóż, szkoda, że taki z ciebie gnój i że tego dnia, którego wślizgnąłeś się w jej ramiona, zarobiłeś sobie na karę śmierci.

Wyjęła pistolet. Trev wybuchnął śmiechem.

Z palcem na spuście podniosła broń i skierowała ją w jego stronę. A była na tyle ciężka, że utrzymanie jej nieruchomo sprawiało trudność.

- Co za totalnie wszawa kwestia! - roześmiał się. - Skąd się wzięłaś, z jakiegoś filmu kategorii B? Gdzie się nauczyłaś takiego gównianego tekstu?

Cały aż się trząsł od śmiechu. Ona wpatrywała się w niego. Pistolet zwisał z jej dłoni. Podszedł do niej.

- Zostaw te wielkie sceny ekspertom - powiedział łagodnie.

Wziął pistolet i położył na biurku. Poklepując ją po ramieniu, dodał: - Uspokój się, nieszczęśnico, już.

Siedem

Pomogło. Coś przeskoczyło w mojej głowie. Usiadłam ciężko w jego biurowym fotelu. Kręcił się w tę i z powrotem, a ja usiłowałam zatrzymać go w miejscu.

Przykucnął obok, przysiadł na piętach i jak lekarz wpatrywał się w moją twarz.

- Napijesz się? Widać, że przydałoby ci się coś mocniejszego.

Poszedł do kuchni. Powoli rozsypałam i zdjęłam z głowy apaszkę. Nagle poczułam się okropnie zmęczona. Czułam też, że mam przekrzywioną perukę; nawet jej porządnie nie włożyłam. Z kuchni dobiegł mnie zduszony odgłos zamykanej lodówki i dzwonienie kieliszków. Ściągnęłam perukę, wcisnęłam w kieszeń futra i rozpuściłam włosy. Były sztywne jak tektura; niezgrabnymi dłońmi w rękawiczkach rozdzieliłam je wokół twarzy. Nawet grzebienia nie miałam.

Nigdy w życiu nie czułam się taką skończoną idiotką. Lękałam się jego powrotu. Z kuchni doszedł mnie teraz dźwięk wyskakującego z butelki korka. Jak, na Boga, mogłam w ogóle obmyślić taką żalosną intrygę? Dlaczego nikt mnie nie powstrzymał? Musiałam chyba postradać zmysły. Na miłość boską, przecież nawet nigdy nie wystrzeliłam z pistoletu, nie z prawdziwego. Nie wiedziałam nawet, jak to się robi. Nie byłam morderczynią, nie bardziej niż wy. W tym kraju musiało być coś, co zachwiało moją równowagę; praca w filmie najwyraźniej zaszkodziła mojej poczytalności. Jak mogłam wymyślić tak niedorzeczny scenariusz? Rzeczywiście, żalosne.

Prażąc się w futrze, spoglądałam na okryte płótnem meble. Sama miałam ochotę nakryć się czymś i zaszyć gdzieś, w jakimś kącie. Żeby już

nikt nigdy mnie nie oglądał. Twarz płonęła mi wstydem. Dekorator Treva zdążył już pomalować jedną ze ścian intensywnie czerwoną farbą. Połyskiwało oleście. Przyczłapał z kuchni z butelką białego wina i dwoma kieliszkami. Ostrożnie ustawił to wszystko na podłodze. Ta też była pokryta płótnem.

- Mogę dostać papierosa? - spytałam. - Nie mam przy sobie ani jednego. - Chyba dzwoniłam zębami. Niedorzeczne, skoro było mi tak gorąco.

- Jasne. - Podał mi papierosa i szybkim ruchem kciuka otworzył zapalniczkę. Nadal miał tę swoją starą, ulubioną: tę mosiężną na benzynę. Nachylił się ku mnie i przypalił mi papierosa. - Kto o tym wie?

- Nikt.

- Lila nie jest wtajemniczona? Nie uknułyście tego wspólnie? Coś w rodzaju żarciku?

Pokręciłam głową.

- Ona spała.

Usiadł na fotelu i zdumiony wpatrywał się we mnie.

- Co?

- Sama weszłam do jej mieszkania. Mam klucz.

- Co?

- Nie obudziła się.

- Hej, chwileczkę. - Podniósł rękę. - Jedną sekundę. Wszłaś do jej mieszkania i włożyłaś na siebie jej ubranie?

Bardzo chciałam, żeby się zamknął. Bo rzecz tak ujęta wyglądała rzeczywiście dziecinnie.

Był zbyt osłupiały, żeby pamiętać o podaniu mi lampki z winem. Siedział tam tylko i gapił się na mnie. Z otwartymi ustami.

- Zamierzałaś przyjść tutaj - spytał - i mnie zastrzelić? Albo udawać, że chcesz mnie zastrzelić, czy coś w tym rodzaju?

Wzruszyłam ramionami.

- Być może.

Mój Boże, on zaczynał się uśmiechać!

- Czy mogę dostać kieliszek? - spytałam poirytowana.

Podał mi wino. Nadal wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem i półuśmieszkiem.

- Nie wierzę! - Uszczypnął się w rękę. - Chyba śnię.
- A niby czemu, u diabła, nie miałabym tego zrobić? - Strząsnęłam popiół do przepelnionej popielniczki. On tymczasem próbował coś wykombinować. Obserwowałam jego twarz.
- Po chwili wzniosł oczy do góry.
- Wyjaśnijmy to sobie. Bo jestem nieco tępawy. Chciałaś, żeby inni myśleli, że to Lila? Zgadza się?
- Pociągnęłam długi łyka wina. Chryste, ależ mi to było potrzebne.
- Gdybyś mnie zastrzeliła - ciągnął - pozwoliłabyś, żeby wina spadła na nią?
- Ponownie wzruszyłam ramionami.
- Nie całkiem.
- Co zamierzałaś zrobić? Wrócić do jej mieszkania i ją obudzić?
- Pokręciłam głową.
- Przebrać się we własne ciuchy i pójść do domu.
- A co, gdyby ktoś cię zobaczył?
- Jest tam boczne wyjście - powiedziałam. Usiłowałam mówić z godnością, ale nie do końca mi to wyszło. Żałowałam, że podałam mu te szczegóły; zdradzały, że włożyłam w to wszystko wiele wysiłku.
- Ukrył twarz w dłoniach, potem potarł mocno policzki i spojrzał na mnie. Potargane włosy sterczały mu na głowie.
- Chryste, Jules, zawsze wiedziałem, że jesteś dziwna, ale nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś kompletnie szajbnięta.
- Bo nie jestem!
- Westchnął i pokręcił głową.
- Wiesz co? To najsmutniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem... Powinnaś iść i z kimś porozmawiać. Naprawdę.
- To nie jest smutne!
- Strząsnął popiół na płótno.
- Ostrzegali mnie przed tobą.
- Kto taki?
- Martin. Reece. Mówili, że jesteś kopnięta.
- Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć?
- Daj spokój! Zawsze byłaś dziwna.

- Nie byłam!
- Jak sądzisz, dlaczego nie miałaś żadnych przyjaciół?
- Miałam! Nadal mam!
- Ludzie cię nie lubili - oznajmił.
- Owszem, lubili! - krzyknęłam.
- Zawsze twierdzili, że z tobą jest coś nie tak, ale ja ich nie słuchałem.
- To nieprawda!
- To nie twoja wina - powiedział. - Osobiście winię twojego starego.

Ciągle nawijałaś na jego temat. O tym, jaki to on był zimny... i w ogóle. Jak cię nie kochał.

Zgasiłam papierosa, ze złością. Rozpływałam się od gorąca, ale nie chciałam zdejmować futra. Wydawało mi się, że byłoby to zbyt intymne. Sięgnęłam po butelkę i próbowałam nalać sobie jeszcze trochę wina. Chlupnęło i przelało się przez brzeg kieliszka. Wytarłam dłoń w rękawicze o futro i odstawiłam butelkę na podłogę. Spójrzcie tylko! Doskonale spokojną ręką.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Gdzieś w dole, na ulicy, zatrąbiło auto. Siedzieliśmy bez ruchu. Ja patrzyłam na jego owłosione kostki u nóg. Wciąż były opalone. Dawno temu przesuwałam palcami po każdym calu tego ciała. Teraz nawet nie mogłam sobie tego wyobrazić.

- Wiem, że jesteś zdenerwowana - odezwał się. - Nie winię cię. Słowo daję. Wiem, że zachowałem się jak świnia.

- Więc dlaczego to zrobiłeś? - spytałam.

- Posłuchaj. Spróbuję wyjaśnić. - Rozejrzał się bezradnie po pokoju, a potem zaczął mówić. - Kiedy cię poznałem, byłem pod dużym wrażeniem. - Używał refleksyjnego tonu, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszałam. - Nie spotkałem wcześniej takiej kobiety jak ty. Miałaś ogromną pewność siebie... nawet nie zdawałaś sobie z tego sprawy. Jak wszyscy wykształceni ludzie, uważałaś to za coś oczywistego. Cholerne klasy średnie. - Podniósł wzrok. Jego nieogolona twarz była smutna; wręcz zadumana. - Miałaś tę książeczkę czekową Couttsa. A ja nawet nigdy nie słyszałem o pieprzonym Couttsie. Chodziłaś do teatru i w ogóle. Pamiętasz, jak mówiłaś o Pirandellu, a ja myślałem, że chodzi

o opony? Chryste, czułem się jak ostatni nieudacznik. Ty tego wszystkiego nie zauważałaś, bo ludzie na ogół nie widzą takich rzeczy. Ludzie tacy jak ty. A kiedy odwiedziliśmy twoją matkę, to nic tylko witrażowe okna i sklepy Harveya Nicholasa, i zabawne historyjki o sprzątacze.

- Moja matka jest głupia.

- Szczerze mówiąc, byłem wkurzony. Pomyślałem o swojej matce, o tym, przez co przeszła. Ale wiesz co? Odczuwałem coś w rodzaju zazdrości.

- Mój ojciec też uważał, że ona jest głupia. - Zamilkłam i przesunęłam palcem po bocznej ścianie maszyny do pisania. Była poniklowana, czy coś takiego, i był tam wyryty wzór. - Oboje wypaczyli mojego brata.

- Lubilem stare, solidne rzeczy - powiedział Trev. - Prawdziwą jakość. Lubilem polerować meble w Look Back in Ongar.

- Przecież to było ohydne miejsce!

Dym wypełnił cały pokój. Zapadło milczenie. Potem usłyszałam, jak nabiera powietrza, żeby mówić dalej.

- Przez kilka pierwszych miesięcy - powiedział - było w porządku.

- Zaledwie w p o r z ą d k u ?

- Byłaś inteligentna. Dużo wiedziałaś. Przedstawiałaś mnie różnym ludziom. Ja byłem kompletnie nieokrzesany. Oni opowiadali o realizmie magicznym, a nie o tym, ile kufelków potrafią wypić. - Nalał sobie resztę wina z butelki. - Byłaś starsza, zupełnie jakbym od nowa się kształcił. Tym razem tak naprawdę. Dzięki temu mogłem zacząć pisać. Ty to sprawiałaś.

- Jakże się cieszę.

- Mówię poważnie. Naprawdę tak uważam. Szczerze. - Wypił łyk wina. - Dopiero po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że czegoś tam brakuje.

- Co masz na myśli?

- Co to był za jeden, ten z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*? - spytał. - Ten, który nie miał serca.

- Błaszany Drwał - odpowiedziałam bezbarwnym głosem. Dopiłam wino. - Masz jeszcze coś do picia?

Wstał i poszedł do kuchni. Słyszałam stuknięcie drzwiczek od szafki.

Muszę iść! Ponaglałam się. Muszę stąd wyjść! Jednak nie mogłam się ruszyć. Tymczasem on wrócił do pokoju z butelką szkockiej.

- Wino się skończyło - oznajmił.

- Przy twoich obecnych zarobkach?

- Próbuję tylko ograniczyć picie.

- Co, do diabła, masz na myśli? - spytałam ostro. - Że czegoś tam brakowało?

Nalał trochę whisky do mojej lampki po winie. Przypomniałam sobie, z bolesnym ukłuciem, że gdy byliśmy razem, wlewał drinki do tego, co akurat było pod ręką - kubków, filiżanek, czegokolwiek.

- To nie twoja wina - oznajmił. - Winię twojego ojca.

- Za co?

- Że nie masz uczuć.

- To nieprawda! - wrzasnęłam. - Cóż ty, do cholery, możesz o tym wiedzieć?

- Bo to jest tak, że spędziłaś cały ten czas na rozwijaniu umysłu, zapominając o sercu. I o tym, jak być istotą ludzką.

- Co to ma być? Jakiś wykład?

- To się zdarza intelektualistom - oznajmił. - Brak wam spontaniczności. I właśnie to jest takie przerażające. Jak dzisiaj. Zaplanowałaś wszystko tak starannie, aż do obrzydliwości. Lila po prostu wpadłaby tutaj jak burza i rozwalila mi czaszkę.

Spojrzałam na niego.

- Czyżby? - Łyknęłam whisky. Rozlała się płomieniem po moim żyłach; dotarła do koniuszków palców. - Czyżby? - Zamilkłam na chwilę. - Zupełnie mnie nie znasz - powiedziałam.

- Bo to jest tak, że ty przez cały czas patrzysz na siebie w lustrze, obserwujesz się. Jakbyś się nieustannie onanizowała.

- Jesteś ohydny!

- Wszystko dla ciebie jest grą - powiedział. - Nawet kiedy się pieprzyliśmy, było tak, jakbyś i tego nauczyła się na jakichś cholernych zajęciach teatralnych...

- To nieprawda! - krzyknęłam.

- Wiedziałem, że zwałiłabyś to wszystko na przeszłość, wystarczająco wiele razy mi to mówiłaś. Szybkie numerki pod wiatą przystanku autobusowego, wszystkie te ponure szczegóły. Jakbyś usiłowała coś tym udowodnić. Zawsze cholernie lubiłaś się popisywać. Dlaczego więc nigdy nie byłaś z nikim naprawdę związana?

- Byłam! - krzyknęłam.

- Martin ujął to lepiej. Pamiętam, siedzieliśmy w furgonetce Pierwszej Pomocy i on powiedział, że nigdy nie będziesz naprawdę dobrą aktorką, bo nie rozumiesz własnych uczuć.

- Właśnie że rozumiem! - wrzasnęłam. - Bo niby co to jest w takim razie? To nie są uczucia?

- Och, twoja technika jest w porządku, wszyscy się z tym zgadzają. Jednak twoja gra to coś w rodzaju samogwałtu. Coś w rodzaju „tylko na mnie popatrzcie”. Jak sądzisz, dlaczego nigdy nie dostawałaś dobrych ról?

- To nieprawda!

- Jules, masz trzydzieści osiem lat!

W rzeczywistości miałam trzydzieści dziewięć. Zapomniał o moich ostatnich urodzinach.

Kręciło mi się w głowie. On zapalił następnego papierosa. Też miałam ogromną ochotę zapalić, ale nie chciałam się poniżyć kolejną prośbą.

- Kamera nie kłamie - oznajmił. - Dowiedziałem się tego podczas tych kilku ostatnich miesięcy. Wiele się nauczyłem. Ona widzi prawdę. Dlatego Lili się udało, a tobie nie. - Przerwał. - Nie ma to nic wspólnego ze szczęśliwym trafem ani z wyglądem. Z niczym, co można wypróbować i zanalizować. To jest związane z uczuciami. Z uczciwością wobec samego siebie.

- I ty tu mówisz o samogwałcie! Kto cię nauczył takiego głędzenia, tego straszego, głupawego, amerykańskiego psychobelkotu? Lila?

- To niewiarygodne, że uważasz się za lepszą od niej. Od jej filmów, od wszystkiego. Czy zadałaś sobie kiedyś pytanie dlaczego?

Nie odpowiedziałam. On przyglądał się swojemu papierosowi. Ja natomiast obserwowałam jego, owiniętego w niebieski szlafrok i skulonego w fotelu.

- Po prostu próbuję wyjaśnić - powiedział. - Dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem. - Podniósł głowę i spojrział w moim kierunku. Nie na mnie; przeze mnie. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał bardzo miękko. - Gdy się poznaliśmy, było ono niewiarygodnie wręcz silne. Najsilniejsze doznanie fizyczne, jakiego w życiu doświadczyłem.

Serce mi podskoczyło.

- Naprawdę? - Myślałam, że mówi o mnie.

- W rzeczywistości było to pożądanie. Przez całe lata jej pożądałem.

- Kogo?

- Lili. Naturalnie, również wielu innych. Kim jakiejtam. Basinger. Kto by jej nie pożądał? Po to zresztą one są. Czasami, w ciemnościach, udawałem nawet...

- Powiedziałeś, że tego nie robiłeś!

- Jednak w chwili, w której się spotkaliśmy, w tym pubie, wiedziałem, że... jakby, że znalazłem osobę, której całe życie szukałem. Jakby drugiego siebie. Słyszałem wcześniej o czymś takim, ale nie sądziłem, że może się to przytrafić właśnie mnie. Bo widzisz, my jesteśmy do siebie podobni. Jesteśmy jakby spokrewnieni. Och, nie potrafię tego wyjaśnić.

Siedziałam tam, bez ruchu, na obrotowym fotelu. Jego twarz była rozmarzona, spokojna.

- Myślałem, że ona nie odczuwa tego w taki sam sposób. Bo niby jak? Jest przecież sławna. Cóż mogłaby dostrzec w takim nicponiu jak ja. Jest ode mnie starsza, miała dwóch mężów.

I w ogóle. Ale potem zadzwoniła, wkrótce po swoim powrocie do Nowego Jorku. Zaczęliśmy rozmawiać przez telefon, całymi godzinami...

Głos płynął nieprzerwanie. Był teraz cichszy, jakby Trev mówił do samego siebie. Nagle uświadomiłam sobie, że on patrzy przeze mnie podobnie jak ci reżyserzy, z którymi pracowałam, ci, którzy troszczyli się jedynie o oświetlenie. Ja byłam zaledwie kształtem w fotelu.

- Nie jest inteligentna jak ty. Jest neurotyczna i niepewna siebie. Ja to wszystko wiem. Ma wiele wad, ale to nieważne. Bo to nie jest karta z bilansem. To znaczy, ja mógłbym sporządzić długą listę twoich zalet, ale w rzeczywistości niczego by to przecież nie zmieniło, prawda? Niczego.

- Mówił o mnie, jak gdybym była czymś, co leży na podłodze, starym swetrem czy czymś takim, co zapomniał odłożyć do szuflady. - Ona daje się kochać, w tym właśnie jest tak szczególna. Jest sobą. Trochę to trudno wytłumaczyć.

- Wobec tego nie wysilaj się.

On jednak mówił dalej, tym swoim cichym, łagodnym głosem.

- Całe moje życie uległo przemianie. To zadziwiające. Nigdy nie przypuszczałem, że może tak być. Nic na tym świecie nie jest ważne, tylko ona, a przecież jednocześnie kocham teraz ten świat bardziej niż kiedykolwiek. Chryste, to brzmi cholernie pompatycznie, prawda?

- Owszem.

- A ja po prostu usiłuję wyjaśnić. Mam przy tym nadzieję, że inni ludzie zyskają tę szansę, by odczuwać to, co odczuwam ja... co odczuwamy oboje...

Huczalo mi w uszach. Uświadomiłam sobie, że jestem pijana. Może on tego wszystkiego wcale nie mówił. Mówił coś zupełnie innego. Opo-
wiedała o mnie.

- ...mieć dziecko... najlepsza rzecz, jaka się kiedykolwiek zdarzyła... mam ochotę wyjść na ulicę i krzyczeć...

W uszach usłyszałam nagle głos mojego ojca. „Jak żałośnie nieadekwatny - powiedział mi kiedyś - jest język radości. Te stare, zużyte banały wiją się w drgawkach, batem przywoływane do życia”.

A słowa brzęczą i brzęczą. Wznoszą się i opadają falami.

- I do tego jest zabawna. Nigdy wcześniej nie spotkałem kobiety, która byłaby tak naturalnie zabawna...

W moich uszach narastał ryk. Jego głos był jedynie monotonnym recytatywem, odległym o całe mile.

-...i wiesz co? Tak bardzo ją kocham, że byłbym gotów umrzeć dla niej... jesteś w stanie w to uwierzyć? Facet taki jak ja?

Z a m k n i j s i ę! - wrzasnęłam w myśli. Z a m k n i j s i ę! On jednak nie przestawał mówić.

- ...chciałbym się znaleźć w jej skórze... jestem zazdrosny o jedzenie, które wkłada do ust. Nawet o te okropne chipsy...

To, co powiedział, kotłowało się w mojej pijanej głowie. „Jesteś nędzną aktorką”... „nie masz żadnych przyjaciół”... „kiedy się pieprzysz, to zupełnie jakbyś”...

Spojrzałam na niego. Belkotał coś o jakimś przyprawiającym o mdłości sentymentalnym incydencie pomiędzy nimi dwojgiem, nawet nie umiałabym tego powtórzyć.

A potem, z szokującą wręcz wyrazistością, dostrzegłam prawdę.

Zapomniał, że ja tam jestem.

Po prostu całkowicie o mnie zapomniał. Nie istniałam dla niego.

W tym właśnie momencie chwyciłam pistolet, skierowałam w jego stronę i nacisnęłam spust.

Osiem

Nie sądziłam, że go trafiłam. Przynajmniej przez chwilę. Myślałam, że udaje. Jak to Trev, żeby wywieść mnie w pole.

Broń wyskoczyła mi z dłoni jak na sprężynie i upadła na podłogę. Towarzyszący temu dźwięk był szokująco głośny; długo dzwonił mi w uszach. Poczułam zapach, jaki wydają gadżety do wystrzeliwania serpentyn; no wiecie, w momencie, kiedy pociąga się za sznurek. Tyle że mocniejszy.

On tylko udawał. Pocisk go nie trafił... na miłość boską, przecież nie umiałam strzelać!

Jakie to żenujące! Tylko to odczuwałam. Było mi okropnie głupio.

Bo widzicie, on nadal patrzył na mnie. Twarz miał napiętą - jakby ściągniętą - oczy natomiast otwarte. Rozluźnił się i zapadł w fotelu, ale jedynie po to, by móc lepiej mnie obserwować.

Zmoczyłam majtki. Czy to nie upokarzające? Tylko odrobinę. Niemniej on mógł to wyczuć. A ja nie moczyłam majtek od czasów dzieciństwa.

To dziwne. W telewizji ciągle się ogląda, jak zabijają ludzi. Jak ci zabijani zataczają się, z trudem chwytają powietrze, przytrzymują własne wnętrzności. Osuwają się na podłogę. Tam człowiek widzi to tysiące razy, ale w realnym życiu nie ogląda nigdy.

Zatem na swój sposób było to coś znanego. Obserwowałam dość obojętnie, z bezstronnym zaciekawieniem, plamę rozprzestrzeniającą się coraz to szerzej na przodzie jego płaszczka kąpielowego. To była krew filmowa. Ile rodzajów takiej krwi można kupić? Zapomniałam. Zresztą

nie było tej krwi zbyt wiele; przynajmniej na początku.

Unikałam spojrzenia na jego twarz. Siedziałam tam po prostu, okla-
pła, czekając, aż się odezwie. Wydaje mi się, że odchrząknął cichutko,
nieco wcześniej.

Nie wiem, ile minut minęło. Kiedy jednak zebrałam dość śmiałości,
żeby podnieść ponownie wzrok, zobaczyłam, że nie żyje.

Nigdy przedtem nie widziałam martwego człowieka. Jeśli wy widzie-
liście, to wiecie już, co mam na myśli. To jest tak jednoznaczne. Zmienia
się twarz. Nie chodzi jedynie o kolor, choć on również ulega zmianie.
Twarz dosłownie staje się pusta.

To już nie Trevor tam siedział. To jakieś niezamieszkane ciało. Ma-
nekin, w farbkowo niebieskim płaszczu kąpielowym, w mokasynach na
stopach. Wyglądało to tak, jakby ktoś poprzestawiał kości w tym ciele.
Ono samo zaś wydawało się mniejsze.

Na pewno nie dotknęłabym jego skóry, żeby się upewnić, czy rze-
czywiście nie żyje. Za nic na świecie. Zabiłam człowieka. Przez chwilę
słowa te nie niosły ze sobą żadnego znaczenia. Tańczyły bezmyślnie w
mojej głowie, niczym jakaś dziecięca rymowanka.

Potem, raptem, poddałam się panice. Sąsiedzi musieli to słyszeć!
Ktoś musiał słyszeć. Wkrótce przyjdą i zaczną łomotać do drzwi.

Zerwałam się na równe nogi i potykając się, poszłam do kuchni. Za-
trzasnęłam za sobą drzwi i stałam tam, drżąc na całym ciele. Co, do dia-
bła, miałam zrobić? Nie było żadnej drogi ucieczki. Na pewno mnie
znajdą.

Nogi ugięły się pode mną i osunęłam się na podłogę. Wydawało się to
dość scenicznym i melodramatycznym zagranieniem, ale ja po prostu nie
byłam zdolna ustać na nogach. Siedziałam więc skulona, przyciśnięta do
szafek. Pachniały klejem. Obok leżała torba z narzędziami stolarskimi.
Podłoga była zimna; zrobiono ją z granitu czy czegoś takiego. Nie wiem.
Po jakimś czasie poczułam ją jednak przez futro. Znad kuchenki świeciło
do mnie czerwone światełko.

Siedziałam tak może kwadrans, nie jestem pewna. Skuliłam się, obejmując ramionami kolana, kryjąc twarz w futrze. Siłą woli nakazywałam Trevorowi, by zniknął, oczekiwałam wycia policyjnej syreny, ale tym razem nie słyszałam absolutnie nic. Nikt nie zadzwonił, nikt nie zapukał do drzwi. To usłyszałabym przecież nawet z kuchni.

Wreszcie się podniosłam. Na blacie zobaczyłam resztki jego kolacji: pustą puszkę po piwie oraz lekko zabrudzony talerz. Zostawił na nim kawałek przypieczonej skórki od pizzy. Wolałabym jej nie widzieć.

Odwróciłam się i powoli otworzyłam drzwi. Przez jedną szaloną chwilę pomyślałam, że on wstał i poszedł. Że schował się w sypialni. „Ale cię nabrałem!” Wciąż czuć było w powietrzu zapach spalonego prochu pomieszany z zapachem dawno już zgaszonych papierosów.

To jednak nadal tam siedziało. Ponad krawędzią fotela widziałam włosy należące do tego czegoś.

Znane, choć całkowicie nieprawdopodobne słowa, pojawiły się na końcu mojego języka. Dowody. Ślady. Z ogromnym wysiłkiem usiłowałam połączyć te wytarte frazesy z powieściidel za dziesięć centów z własną osobą. Czulałam, jakbym wędką wyciągała je z jakiejś głębi. Rozglądałam się nerwowo w poszukiwaniu śladów mojej wizyty. Musiałam się spieszyć.

Zabrałam kieliszki do kuchni i wypłukałam pod kranem. Czulałam się dziwnie, myjąc je, bo wciąż miałam skórzane rękawiczki na dłoniach, ale niby co w takiej sytuacji robili inni? Opróżniłam popielniczkę do pojemnika na śmieci. Czy będą sprawdzać niedopałki na obecność śliny? Nigdy o czymś takim nie czytałam. Szczerze mówiąc, niewiele przeczytałam kryminałów. Nie lubiłam ich.

Staralam się zachować spokój. Myślałam: Idiotko. Jeśli zrobisz to właściwie, w ogóle nie będą cię szukać. Nie było mi łatwo wrócić do tamtego pokoju. Trzymałam się z dala od fotela, omijałam go szerokim łukiem. Nie śmiałam nań spojrzeć. Trzęsącymi rękoma spięłam włosy z tyłu, wyjęłam z kieszeni perukę i naciągnęłam na głowę. Czulałam się jak stary, trunkowy aktor w jakimś okropnym sztuczynie, który zapomniał roli. Rękawiczki miałam przemoczone.

Wzrok utkwiałam w pomalowanej do połowy ścianie. Cały ten kłopot z urządzaniem mieszkania; cały ten wysiłek i pieniądze.

Zawiązałam apaszkę na głowie, wzięłam pistolet i włożyłam do kieszeni. Drżącą dłonią nałożyłam ciemne okulary. Czy o czymś nie zapomniałam?

Potem obejrzałam się w lustrze, opuściłam pokój i mieszkanie.

Nikt na mnie nie czekał. Korytarz był pusty; drzwi do innych mieszkań zamknięte. Wcisnęłam guzik windy. Przyjechała szybko. I była pusta. Kiedy zjeżdżałam, nikt nie próbował jej przywołać. Poddając się przesądowi, wzięłam to za dobry znak.

W holu na dole nie było nikogo oprócz portiera. Siedział za swoim kontuarem i oglądał telewizję. Pomaszerowałam ze stukotem obcasów przez marmurową posadzkę. Kiedy mijałam basenik, ryby zagapiły się na mnie, otwierały i zamykały przy tym pyszczki. Robiły wrażenie, jakby zamierzały się odezwać.

Portier już otwierał dla mnie drzwi.

- Dobranoc - powiedział. - Proszę na siebie uważać.

- Dobranoc - wymamrotałam.

Kiedy znalazłam się na zewnątrz, rozjaśniło mi się w głowie. Chyba zrobiło się jeszcze zimniej. Ruszyłam spieszonym krokiem. Było późno, okolica mieszkalna. Dookoła nie było nikogo. Nadal odczuwałam odrętwienie. Zdawałam sobie sprawę tylko z tego, że z każdym krokiem oddalam się od tamtego omdlałego manekina w płaszczu kąpielowym.

Wracałam tą samą drogą przez Central Park West. Minęłam Siedemdziesiątą Drugą Ulicę... Siedemdziesiątą Pierwszą. Przed sobą, w oddali, zobaczyłam markizę nad wejściem do budynku Lili. Jak na ironię, czułam się całkiem pewna siebie. W tamtej właśnie chwili. Nikt mnie jeszcze nie zatrzymał. Obok przejeżdżały samochody, a żaden z nich nawet nie zwolnił.

Pamiętam, że o tym właśnie myślałam, zbliżając się do wejścia. Zatrzymał się przed nim jakiś samochód i wysiadł z niego wysoki mężczyzna. Zwolniłam. Tamten wszedł do budynku.

Dałam mu kilka sekund, po czym ruszyłam dalej. Drzwi były otwarte. Kryjąc twarz w kołnierzu, weszłam do środka.

Powitał mnie silny powiew ciepłego powietrza. Przechodząc przez hol, odwróciłam się, żeby skinąć głową na dobranoc portierowi.

To był inny portier.

Serce dosłownie mi stanęło. Nastąpiła zmiana; druga obsada przychodziła o jedenastej. Jednak to był nowy portier; nigdy wcześniej go nie widziałam.

Stał za kontuarem, coś tam zapisując: młody, kawowoskóry gość. Przystojny.

Zachwiałam się. To w ogóle nie był portier. To był policjant. Zapisywał informacje o mnie.

Skinęłam głową w jego kierunku i poszłam ku windom. Tamten wysoki mężczyzna wsiadł właśnie do jednej z nich i drzwi zamknęły się za nim. Zawahałam się.

Zobaczyłam, jak portier wychodzi zza swojego kontuaru. Ruszył energicznym krokiem w moim kierunku. Słyszałam jego stukające o marmur buty.

13... 14... 15... Winda wznosiła się beze mnie. Ta druga zdawała się tkwić na ósmym piętrze. Znalazłam się w pułapce.

- Proszę wybaczyć, panno Dune.

Okręciłam się gwałtownie, jakby mnie użądlił. Stał blisko, lekko zadyszany. W dłoni trzymał notes.

- Tak? - spytałam. Zachrypłym głosem; odchrząknęłam.

- Przepraszam, że niepokoję - powiedział.

20... 21... Światelko zatrzymało się na dwudziestym drugim piętrze.

- Mam wielką prośbę - powiedział.

Światelko zaczęło zjeżdżać. 21, 20. Zaszło mi w ustach; nie byłam w stanie się odezwać.

- Jestem pani prawdziwym fanem. Czy mógłbym prosić o autograf?

Minęła dłuższa chwila. On coś wyciągał w moim kierunku. To było pióro.

Musiałam wyglądać dziwnie. Po prostu nie byłam w stanie się poruszyć. Mój umysł się zablokował. A wiedziałam, że muszę coś odpowiedzieć.

Jak też wyglądało jej pismo? Cholerni Amerykanie, nieustannie rozmawiają przez telefon. Nigdy nie piszą listów.

Przysłała mi wtedy notkę, razem z perfumami. Duże, niewyrobane, dziecinne pismo.

- Nieco przemarzły mi palce - powiedziałam. - Przepraszam za pismo.

Ujęłam pióro, ale w rękawiczce po prostu nie mogłam nic napisać. Chyba mocno się skurczyła. Zdarłam ją. Dłoń rzeczywiście wyglądała na przemarznąętą... cała w purpurowych plamach. Drżałam.

- Jakie imię?

- Lorry.

Zawahałam się.

- Jak ciężarówki?

- Proszę?

- Ciężarówki - lory?

- Nie wiem, pszepani.

Chryste, ależ ze mnie idiotka. Żadnej amerykańskiej aktorce słowo „lory” w ogóle nie przyszłoby do głowy.

- Przeliteruj - powiedziałam, przeciągając głoski.

- L-A-U-R-I-E.

- Aha. - Napisałam: „Cześć, Laurie!” i podpisałam zamasyście „Lila Dune”.

- O rany. Dzięki - powiedział młody człowiek.

Wchodząc ponownie do apartamentu Lili, miałam przedziwne uczucie. Wszystko w nim było dokładnie tak samo. Nie było mnie prawie dwie godziny, a odnosiłam wrażenie, jakbym wyszła na chwilkę. Nie mogłam uwierzyć, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, znajdę Lilę nadal pogrążoną we śnie, kiedy jednak zajrzałam do sypialni, zobaczyłam, że leży tam nieruchomo. Orson przydreptał za mną i pomachał ogonem. Tym razem nie zaszczekał. W tym stanie zamętu, w jakim się znalazłam, wydał mi się nagle moim jedynym towarzyszem.

Poszedł za mną do salonu. Sącząca się przez okna słaba poświata miasta oświetlała te same meble, w tych samych miejscach. Nie było tu nikogo. Jedyne w rogu żarzył się magnetowid. Jego zegar wskazywał 23.55.

Z niejakiim trudem naciągnęłam zimne, wilgotne rękawiczki. Ten znak, że nadal zachowuję rozsądek, dodał mi otuchy, ot, odrobinę. Wyjęłam zza sofy swoją torebkę i nakarmiłam Orsona resztą M&M'sów. Posapywał tam nisko, przy podłodze; przyjemnie było mieć blisko siebie

żywe stworzenie. Pies nie uważał, bym zrobiła coś niewłaściwego. Zniechęcałam się, starając się przypomnieć sobie listę rzeczy, które mam wykonać.

List. Broń. Whisky.

Nie spiesz się, powiedziałam sobie. Zachowaj spokój.

Wyjęłam sfalszowany list od Treva, złożyłam go i umieściłam na stole pod przyciskiem na papierze. Czy to nie zdumiewające, że się o takich sprawach pamięta? Lila go tam nie zauważyła, ale kiedy będą przeszukiwać apartament, na pewno go znajdą.

Jeśli będą przeszukiwać apartament. Bo co, jeśli Trevor żyje, jeśli się tylko wygłupiał? Począł, aż wyjdę, potem zerwał się i zadzwonił po policję. Wiem, że brzmi to głupio, ale wtedy, kiedy już opuściłam jego mieszkanie, po prostu nie byłam w stanie uwierzyć, że to wszystko się wydarzyło. Było przecież tak całkowicie nieprawdopodobne.

Już w następnej chwili wierzyłam święcie, że w ogóle nic się nie stało. Nie doszło nawet do niecelnego strzału. Obudzę się we własnym mieszkaniu i stwierdzę, że wszystko było jedynie snem. Jednym z tych moich pełnych przemocy snów. Będę leżała w łóżku, nasłuchując paplaniny telewizji śniadaniowej zza ściany, i ta cała trucizna wysączy się ze mnie, a ja będę znów całkiem niewinna. Będę sobie leżała, chłonąc jak gąbka najśłodsza spośród znanych mi ulg.

Stałam pośrodku pokoju jak zombi. Uwierały mnie pantofle; majtki nadal były wilgotne. Naprawdę musiałam zrobić coś osobliwego, żeby tak je zmoczyć. Futro ciążyło mi na ramionach.

Whisky. Pospieszyłam do kuchni, zapaliłam światło i podeszłam do szafki pod ścianą po prawej. Lila trzymała tam swój zapas alkoholu. Amerykanie zawsze mają zapasy, dzięki Bogu. Otworzyłam drzwiczki i wyjęłam butelkę bourbona.

Otworzyłam z trzaskiem nakrętkę i wylałam większość bourbona do zlewu. Zakręciłam nakrętkę i dokładnie spłukałam zlew.

„Chcesz wiedzieć, dlaczego przestałam pić? Bo widzisz, robię potem rzeczy, których w ogóle nie pamiętam”.

Wyprostowałam się i nasłuchiwałam. Cisza. Wykonywanie czynności zaplanowanych wcześniej miało na mnie dziwnie uspokajający wpływ.

Przypominało występ na scenie i powrót do ustalonego tekstu po dłuższym okresie szaleńczej improwizacji. Wzięłam szklaneczkę i nalałam do niej trochę bourbona. Potem zabrałam szklaneczkę i pustą już niemal butelkę do salonu i ukryłam je za fotelem. Lila ich tam rano nie zauważy. A ktoś inny owszem.

Zdjęłam ciemne okulary i włożyłam je z powrotem do torebki Lili. Wyjęłam z kieszeni pistolet - samo jego dotknięcie wywołało u mnie wstrząs - i ostrożnie umieściłam w torebce. Zasunęłam bezpiecznik, chociaż już i tak nie miałam do niego zaufania. Nie po tym, co się stało.

Potem rozchyliłam futro, zdjęłam pantofle i na palcach poszłam do sypialni Lili. W połowie drogi zamarłam.

Z dołu, z ulicy, dobiegło mnie wycie policyjnej syreny. Nie jednej... kilku. Nie słyszałam ulicznego ruchu, ale to słyszałam wyraźnie. Istna kakofonia dźwięków.

Stałam bez ruchu, z walącym sercem. Syreny umilkły. Czy to dlatego, że policyjne auta skręciły za róg, czy też dlatego, że błyskając światłami, zatrzymały się na zewnątrz.

Policja otaczała budynek. Dokładnie w tej chwili winda jechała na oznaczone literami PH piętro.

Nie miałam czasu do stracenia. Zdarłam perukę i umieściłam ją na drewnianej główce. Futro rzuciłam na podłogę w garderobie. Za sobą usłyszałam jakiś dźwięk. Odwróciłam się błyskawicznie. Zobaczyłam Orsona, biały, połyskujący kształt. Machał ogonem w tę i z powrotem. Czy przyszedł mi powiedzieć, że tamci już tutaj są?

Wynurzyłam się z garderoby i rzuciłam ostatnie spojrzenie na Lilę. Leżała zwinięta na boku. Wydawało się, że niemal nie oddycha. Jej zegar cyfrowy pokazywał 00.08.

I wtedy właśnie ogarnęło mnie to dziwne uczucie. Ona nie żyje; jest zaledwie pustą skorupą. Ja wyssałam z niej życie. Przepoczwarczając się w jej mieszkaniu, wynurzając się z niego ubrana jak ona i zabijając Trevora, wydrążyłam wnętrze prawdziwej Lili. Zupełnie jakby nakrycie na jej łóżku było jedynie pustą poczwarką. Odczuwałam dziwną ochotę, żeby sprawdzić to palcem, zobaczyć, czy się zapadnie pod jego naciśnięciem.

00.09.1 przeskok na 00.10. Nagle straciłam głowę. Co jeszcze miałam

zrobić? P a n t o f l e . Położyłam je ostrożnie na podłodze, w nogach łóżka, tak jakby ona je tam zrzuciła. Kiedy się obudzi, jeszcze bardziej ją to zdezorientuje.

Potem wyszłam z sypialni, włożyłam swój płaszcz oraz buty, zabrałam torebkę i przeszłam do holu. Wrzuciłam apaszkę do miedzianej misy.

Już miałam wyjść, kiedy nagle coś sobie uświadomiłam: klucze. Były w kieszeni jej futra.

Nadjeżdżała policja. Wiedziałam, że tak jest. Ktoś wpadł w odwiedzi-ny do Treva i wszczął alarm.

Pospieszyłam z powrotem do sypialni Lili. O północy? Ktoś składałby mu wizytę o p ó ł n o c y ? Poszłam na palcach do garderoby, uklękłam i zanurzyłam rękę w kieszeni. Zacisnęłam palce na kluczach.

Łóżko zaskrzypiało. Lila wydała jęk: niski, przypominający westchnienie. Znieruchomiałam, skulona nad leżącym futrem. Materac ponownie zaskrzypiał. Zupełnie jakby wstawała z łóżka.

Drzwi garderoby były szeroko otwarte. Wpatrywałam się w szarawy pas światła. Nie śmiałam wykonać najmniejszego ruchu.

Musiało minąć około pięciu minut. Z sypialni nie dobiegał już żaden dźwięk. Wstała i poczłapała do kuchni. Kiedy stąd wyjdę, łóżko będzie puste.

Wreszcie się wynurzyłam. Lila tymczasem odwróciła się na plecy. Wiedziałam, że pod tą maską jej oczy są otwarte. Stałam bez ruchu i nasłuchiwałam. Oddychała głęboko i regularnie. Spała. Nie powinno się sypiać na wznak; śnią się wówczas koszmary.

Umknęłam. Wyszłam z mieszkania, zamknęłam dokładnie drzwi na klucz i windą towarową zjechałam na dół.

Otworzyłam pchnięciem boczne drzwi i rozejrzałam się.

Ulica była pusta. Nie licząc dwóch rzędów zaparkowanych samochodów. Wyślizgnęłam się z budynku jak cień.

Znalazłszy się na świeżym powietrzu, ruszyłam szybkim krokiem przed siebie. Przeszłam cztery przecznice, zanim ściągnęłam lepiące się

do dłoni rękawiczki i wyrzuciłam je do kosza na śmieci.

Całą drogę do domu zamierzałam przejść. Czułam się bezpieczniej na dworze; orzeźwiało mnie świeże powietrze. Poza tym taksówkarz mógłby mnie zapamiętać. Tyle że nagle zrobiło mi się słabo i dlatego zatrzymałam taksówkę.

Kierowca wyglądał na Irańczyka czy kogoś takiego. Nie odwrócił się, kiedy wsiadałam, i przez całą drogę milczał. Jakbym w ogóle nie istniała. Gdy mu płaciłam, nie spojrzał na mnie; wziął po prostu pieniądze i odjechał. Dziękowałam Bogu za ten brak uprzejmości.

Nikt nie czekał przed moją kamienicą. Żadnych policyjnych aut. Kompletnie nic.

W tej kamienicy nie było też nikogo takiego jak nocny portier. Nocą po prostu zamykano drzwi. Otworzyłam torebkę i wyjęłam swoje klucze.

Czy czegoś nie zapomniałam? Czy nie zostawiłam czegoś swojego w mieszkaniu Lili?

D o w o d y o b c i ą ż a j ą c e . Jechałam windą w górę. Te słowa dotyczyły m n i e . To było tak, jak usłyszeć słowa n o w o t w ó r z ł o ś l i w y , tyle razy oglądane na papierze, nagle wyszeptane do ucha przez lekarza.

Weszłam do mieszkania, pobiegłam do łazienki i zaczęłam gwałtownie wymiotować do muszli klozetowej. Trwało to długo, kolana rozbolewały mnie od klęczenia na zimnych kafelkach. Z ust ściekały mi strużki śluzu; przyglądałam się im z niejakim zaciekawieniem.

Co miałam teraz zrobić? Co robili ludzie w takiej sytuacji jak moja?

Słowa „morderczyni” nie wypowiedziałam, nawet sama do siebie.

Dziewięć

Większą część nocy spędziłam na siedząco, popijając herbatę i paląc papierosy. Byłam dosłownie chora ze strachu. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, ile prawdy tkwi we wszystkich frazesach, dopóki nie dotyczą jego samego. Czułam się tak, jakbym przechodziła ciężką grypę. Te wszystkie objawy napełniły mnie trwogą. Czas się zatrzymał; zostałam kompletnie wybita z normalnego toku życia. Moje zwyczajne codzienne czynności stały się równie odległe i niewinne jak te, które ledwie co pamiętałam z dzieciństwa. Albo z jakiegoś zupełnie innego żywota. Przebudzone o świcie miasto zajmowało się swoimi sprawami, a ja byłam od niego odseparowana swoją chorobą. Najślabszy dźwięk, jaki wywoływałam - postawienie filiżanki, wstanie na nogi - rozbrzmiewał w moich uszach jak wystrzał z pistoletu. Moje wnętrzości obróciły się w ciecz; miałam biegunkę i nieustannie musiałam biegać do łazienki. Im bardziej puste stawało się moje ciało, tym bardziej mnie ono bolało.

Co powinnam zrobić? Kupić bilet na samolot i wrócić do Anglii? Zbyt podejrzane. Przecież mieszkałam tutaj. Pojawiła się też możliwość zajęcia. Jak mogłabym to wytłumaczyć mor jej gospodyni i Roly'emu?

Kiedy znajdą ciało? Kiedy podniosą alarm?

Zatrudnił dekoratorów; pojawią się rano.

Podejrzenia. Ciało. Jakże przedziwna była konieczność zastosowania tych terminów do siebie. Boja nadal nie potrafiłam tego uczynić, nie śmiałam. Byłam zbyt odrętwiała. To nie dotyczyło mnie. To była sprawa z książek i z filmów. Bezpieczna, eskapistyczna rozrywka.

Dreszczyk to tu, to tam, urastający do punktu kulminacyjnego. To nie miało się zdarzyć naprawdę. W tym rzecz.

Wielokrotnie powtarzałam w myślach przebieg wydarzeń, ale im więcej razy to robiłam, tym bardziej mi umykały. Usiłowałam sobie przypomnieć ich kolejność oraz to, czy nie popełniłam jakichś błędów. Czy nie zostawiłam czegoś w Tego mieszkaniu? (Nie umiałam już nazywać go imieniem.) Niepokoila mnie ta rozmowa z nowym portierem, chociaż wyglądało na to, że nic nie wzbudziło jego podejrzeń. I jeszcze nikt się po mnie nie zjawił.

Nikt jeszcze nie mógł się po mnie zjawić. Spojrzałam na zegarek. 5.50. Nikt jeszcze niczego nie odkrył. Wydawało się niewiarygodne, że ja przeszłam przez to wszystko, a ludzie nadal śpią. Nawet Lila, pomimo wczesnej pory zdjęć, jeszcze się nie obudziła.

To już teraz nie obudzi się nigdy. Zrozumiałam wreszcie, że To nie żyje. Przez kilka godzin przypominałam osobę po amputacji kończyny, która nadal odczuwa bóle fantomowe. Częściowo było to rezultatem szoku. Sprawy nie potoczyły się tak, jak sobie zaplanowałam. Nie zamierzałam Tego zastrzelić... nie tak naprawdę. Tak sobie właśnie mówiłam. Ten cały zamęt wzburzył mnie i wyprowadził z równowagi. Musiałam się pozbierać. Bez wątplenia wszystko to byłoby szokujące również wtedy, gdyby przebiegało zgodnie ze scenariuszem, ponieważ konkretna realizacja nigdy nie przypomina tego, czego człowiek oczekuje. Prawdziwe zdarzenia zawsze przebiegają zaskakująco inaczej.

O 6.00, a najpóźniej o 6.30, Lilę obudzi albo jej własny budzik, albo telefon ze studia. Czy zauważy na podłodze swoje wyjściowe pantofle? Czy poczuje się zdeorientowana i zagubiona? Nie myślałam o niej jako o osobie, nie wtedy. Nie myślałam o tym, jak zareaguje na wieść o śmierci Tego. Ta część mnie pozostała zablokowana.

O Tym również nie myślałam. Nie w ten sposób. To przestało być Trevem. Stało się po prostu odzianą w frotte bryłą milczących dowodów obciążających. Morderstwo depersonalizuje jego ofiarę, całkowicie. Poczulałam przelotne ukłucie, kiedy dostrzegłam kawałeczek należącej do

Tego pizzy oraz wysiłek, jaki włożył w urządzenie swojego mieszkania. To wszystko. Nie mogłam sobie pozwolić na inne uczucia. Poza tym nie było na nie miejsca. Bo całą mnie po prostu zżerał strach.

Kiedy wstał dzień, uciekałam z mieszkania. Nie byłam w stanie przebywać dłużej w tej pułapce. Za bardzo lękałam się dzwonka telefonu albo dzwonka do drzwi.

Większość dnia spędziłam w wietrznej anonimowości ulic. Tam nikt nie umiałby mnie znaleźć. Był cudowny, wiosenny dzień. Trzymałam się dolnego Manhattanu, z dala od Central Park West. W Greenwich Village kwitły drzewa. Uszy miałam czułe jak u nietoperza; odbierałam sygnały, których nikt inny nie słyszał. Najcichszy wyimaginowany dźwięk powodował, że zlewałam się potem.

Kupiłam sobie hot doga, chociaż nie byłam głodna. Zjadłam go po prostu po to, żeby nie paść z wycieńczenia. Przy stoiskach z prasą zerkałam na gazety, ale naturalnie w nagłówkach nic jeszcze nie było. Tylko jakiś związany z Wall Street skandal i morderstwo w Van Dyke Projects, w Bedford-Stuyvesant. Nie jego śmierć, kogoś innego. Wydawało się niewyobrażalne, że być może już wkrótce nazwisko Trevora ukaże się w druku.

Zatrzymałam się przed Balduccim. Inna Jules weszła tam kiedyś i kupiła sobie na wynos sałatkę z arugulą i prosciutto. Tamta Jules istniała w przeszłości, z której ja byłam teraz całkowicie wyłączona. Nie miałam odwagi zatrzymać się gdziekolwiek na dłużej. Kiedy weszłam w SoHo do galerii sztuki, wypełnionej rozłożonymi na części metalowymi fragmentami, dzwonek telefonu poderwał mnie do ucieczki. Kiedy mijalam okno kawiarni i jakiś mężczyzna odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć, zaczęłam biec. Jak głupio! Jedynie jeszcze bardziej samą siebie ploszyłam. A prawdopodobnie po prostu mu się podobałam.

Jednej nocy zmieniło się całe miasto, zupełnie jakby rozmieszczono w nim mnóstwo niewidocznych min. Ulice wyglądały tak nieszkodliwie, tak zwodniczo, ja jednak znałam prawdę. Wszędzie założony był podsłuch.

Jak wtedy, w szkole, kiedy bawiliśmy się w policjantów i złodziei, całe otoczenie uległo przeobrażeniu. Budynek z toaletami, krzewy - nagle to wszystko stało się miejscem zasadzek i zagrożenia. Serce łomotało mi na sam widok tamtych krzaków.

Posiedziałam chwilę na ławce przy placu Waszyngtona. Po obu stronach miałam starych mężczyzn; wbili laski pomiędzy stopy i cieszyli się słońcem. Przeszła kobieta pchająca wózek z dzieckiem. Zerknęła na mnie i nachyliła się, żeby powiedzieć coś maleństwu. Widzisz tę panią? Wiesz, co właśnie zrobiła?

Przypałał się jakiś czarny facet i wzrokiem porozumiał się z drugim, podobnym sobie. Rozmawiając przyciszonymi głosami, odeszli na bok. Powiedziałam sobie, że chodzi tylko o narkotyki, ale nie poczułam się od tego lepiej. Jak zresztą od niczego innego. Rozgrywano też tradycyjne już partie szachów, tyle że dzisiaj każdy z graczy był naznaczony powagą sytuacji. Kiedy przesuwali figury, wiedziałam, że ślą sygnał do następnego stolika, a stamtąd do następnego. Pionek do gońca. Jest tutaj. Tak jest, koło czterdziestki. Pięć stóp, sześć cali. Zgarbione postaci siedziały przy stolikach, udając skoncentrowanie. Wyglądali na sędziwych imigrantów, mnie jednak nie zwiędli. Czarny płaszcz z paskiem. Zamszowe, wysokie buty. Wstaje. Kieruje się na plac zabaw. Kiedy przechodziłam spieszenie obok zjeżdżalni, jakaś dziewczynka podniosła wrzask.

Nie mogłam tak chodzić i chodzić bez końca. O drugiej wróciłam do domu. Nie podszedł do mnie portier z wiadomością. Wjechałam windą na górę. Kiedy szukałam klucza, po drugiej stronie drzwi usłyszałam telefon. Policja. Stałam jak przymurowana. Ale dlaczego nie przyszli tutaj? Telefon dzwonił i dzwonił. Trwało to chyba bardzo długo. Wbiłam klucz w zamek, otworzyłam drzwi i wbiegłam do wnętrza. Podniosłam słuchawkę.

- Halo?

- Cześć. Tu Roly.

Kompletnie zapomniałam o jego istnieniu. W ogóle o nim nie pomyślałam.

- Gdzie się podziewałaś, moja miła? Cały dzień usiłuję się do ciebie dodzwonić.

Dech mi zaparło.

- Tylko na spacerze.

- Wszystko w porządku? Masz taki głos...

- Coś się stało? - spytałam, z trudem łapiąc powietrze.

- Mam dla ciebie nowiny - odpowiedział. Zapadła dłuższa chwila milczenia.

- Jules - odezwał się. - Jesteś tam?

- Jakie nowiny? - wyszeptalam.

- Abe Zacharias musi lecieć w przyszłym tygodniu do Los Angeles. W związku z tym przestawia trochę swoje dotychczasowe plany. Możesz spotkać się z nim jutro? O trzeciej?

Odłożyłam słuchawkę. Była aż mokra od mojego uścisku.

Ten telefon wywołał u mnie dezorientację. Spowodował, że wszystko raz jeszcze stało się nierealne. Skoro niczego jeszcze nie odkryto, to być może nic się nie wydarzyło.

Zrobiłam sobie herbatę, opuściłam rolety i rozebrałam się. Nagle poczułam się ogromnie senna. Szczerze mówiąc, oczy mi się zamykały. Uświadomiłam sobie, że nadal mam kaca; dlatego czułam się tak podle.

Weszłam do łóżka i wślizgnęłam się pomiędzy prześcieradła. To się po prostu nie wydarzyło. Ostatecznie nic się w tym mieszkaniu nie zmieniło. *Żony Hollywoodu* tkwiły z powrotem na swoim miejscu na półce. Nawet ja sama nie umiałabym stwierdzić, czy kiedykolwiek tę książkę stamtąd zabrano. Nie było najmniejszego śladu, że ubiegłej nocy wychodziłam z domu. Żadnego splamionego krwią ubrania; żadnych ubłoconych butów.

Wszystko to było jedynie serią przelotnych żywych obrazów w mojej głowie, równie niematerialnych jak film. Naturalnie naprzykrzających się, ale był to przecież mocny materiał. Zasnę, głęboko, a inne sny zajmą miejsce tamtego.

* * *

Było ciemno. Coś dzwoniło. Najpierw pomyślałam, że to dzwonek u drzwi.

Wstałam z łóżka i potykając się, ruszyłam ku drzwiom. I wtedy zorientowałam się, że to telefon.

Podniosłam słuchawkę. Spojrzałam zdziwiona na zegarek. Była 20.15. Jaki to dzień tygodnia?

Przez chwilę nie rozpoznawałam głosu mówiącego. Brzmiał tak inaczej.

- Jules - odezwał się Roly.

- Cześć.

- Moja droga, mam straszne wieści.

Cisza.

- Jesteś tam?

- Tak.

- Chodzi o Trevora Parsonsa. Strzelano do niego.

- S t r z e l a n o ? - Głośno wciągnęłam powietrze. Mój głos brzmiał doskonale. Spytałam: - Nie żyje?

Zmyślnie, nieprawda?

- Niestety.

- Kiedy go znaleźli? - Umilkłam. To było niewłaściwe pytanie. Chyba zwariowałam.

Wyglądało na to, że Roly niczego nie zauważył. Był zbyt przejęty.

- Nie znam wszystkich szczegółów. Ktoś przyszedł do jego mieszkania, całe popołudnie spędziłem z policją, musieliśmy znaleźć Lilę, kręcili gdzieś na Long Island. Jules, tam zapanował kompletny chaos. Reportery, telewizja... kochanie, to okropne. - Słyszałam dzwoniące telefony. Ktoś go przywołał. - Ty się nie przejmuj, dbaj o siebie, moja najdroższa. Możliwe, że nie będę mógł się dzisiaj z tobą zobaczyć. Zadzwoń później.

Odłożyłam słuchawkę. Pierwszym moim odczuciem było przerażenie w swojej najczystszej formie. To się rzeczywiście stało.

A potem pomyślałam: Może Roly dzwonił, żeby sprawdzić, czy jestem w domu. Policja go o to poprosiła, żebym niczego nie podejrzewała. Czy mam stąd zwiewać?

Potem przebiegłam w pamięci wypowiedziane przez siebie kwestie. Jak zagrałam na tej pierwszej próbie? Niezbyt dobrze. Byłam zaskoczona i zaszokowana - świetnie. Potem jednak zadałam to nieco dziwne pytanie. No, może nie aż tak dziwne. Nie zapytałam przecież: Czy znaleźli go dekoratorzy? Nie było to nic aż tak głupiego.

Wystawiałam sobie oceny, jak reżyser. Uspokoilo mnie to myślenie o Jules jako o kimś zupełnie innym.

Nie uspokoiło mnie. Nie tak naprawdę. Popędziłam do łazienki i ponownie porwały mnie torsje.

Dziesięć

Nazajutrz, w czwartek, aresztowano Lile. Mówiąc ściślej, zabrano ją na przesłuchanie.

Roly mi o tym powiedział. Dzięki Bogu przez telefon, tak że nie widział mojej twarzy. Mój występ był zatem raczej radiowy niż telewizyjny. Prawdę mówiąc, nie miałam wielkiej szansy się odezwać. Był tak rozstrojony, że słowa wylewały się z niego strumieniem.

Całe przedpołudnie spędzili w komisariacie - on, Irma i różni inni ludzie. Pojawiła się matka Lili i koniecznie chciała się z nią widzieć. Przybyli też wysłannicy wszystkich mediów; całe to miejsce było przez nich otoczone.

- Widziano ją, jak szła do niego - trajkotał. Mówił z automatu; słyszałam szum głosów w tle. - Poszła tam tej nocy. Wtorkowej. Mają świadków. Uwierzysz? Znaleźli pocisk. Pasuje do jej broni. Bo widzisz, ona miała pistolet, nosiła go w torebce.

- Naprawdę? - spytałam zdziwiona.

- To żaden sekret. Wszyscy o nim wiedzieliśmy, pokazywała go praktycznie każdemu. Kto by w to uwierzył? Czy to wszystko nie jest okropne? Jest tam z nią teraz jej adwokat, czekam, aż wyjdzie. Kochanie, muszę jeszcze zadzwonić do paru osób.

- Co powiedziała? - spytałam.

- Hę?

- Co powiedziała Lila?

- Widziałem ją może przez pięć minut. Histeryzuje. Cóż, kto by na jej miejscu nie histeryzował? Mówi, że tego nie zrobiła. Mówi, że była w łóżku, że spała.

* * *

Zrobiłam sobie na lunch jajecznicę, ale nie byłam w stanie jej przełknąć; stawała mi w gardle, zaklejała usta.

Nieważne, jak bardzo człowiek przygotowuje się na jakieś wieści, i tak ostatecznie wywołają one u niego kompletny zamęt. Słowa takie jak „Irma” i „jej matka” miały zaskakująco wstrząsające działanie. Wytrąciły mnie z równowagi. Wyobraziłam sobie te dwie, jak siedzą, łkając, w jakiejś obskurnej poczekalni. Dodatkowy wstrząs wywołało słowo „adwokat”. Nagle cała rzecz nabrała oficjalnego charakteru.

Przez ułamek sekundy pomyślałam nawet: Dlaczego Trev jej nie odwieździ? Ależ byłam głupia!

Usiłowałam zachować spokój. Mówiłam sobie: Wszystko idzie zgodnie z planem. Czułam się jednak tak sponiewierana sytuacją, że nie bardzo pamiętałam, na czym ten plan polegał. Czy znaleźli butelkę, czy też Fidelia, nieświadoma sytuacji, uprzątnęła ją, zanim zjawiała się tam policja? Czy znaleźli list? Czy coś przeoczyłam?

Ubiegłego wieczoru odwiedziłam Lilę. Portier widział, jak przyszedłam i jak odeszłam. Wkrótce, może podczas najbliższej rozmowy z Rolyem, będę musiała o tym wspomnieć. W przeciwnym razie ktoś mógłby odnieść wrażenie, że to nieco dziwne przeoczenie, najdelikatniej rzecz ujmując. Żeby robić wrażenie niewinnej, musiałam dobrowolnie przekazać tę informację. „Widziałam ją tamtego wieczoru! Ojej! To musiało być tuż przed tym wydarzeniem!”

Bez wątplenia, wcześniej czy później, policja mnie przesłucha. Powinnam od razu rozpocząć przygotowania; powinnam bowiem bardzo precyzyjnie operować słowem. Szeroko otwarte oczy; brak tchu.

Myłam talerz, spoglądając na biurowiec po drugiej stronie ulicy. Słońce oświetlało przez szyby śnieżnobiałe bluzki sekretarek. Wyglądały jak disneyowskie niewiniątka; wyglądały dziewiczo.

Kiedy tak stałam, przyszła mi nagle do głowy pewna myśl. Nigdy przedtem nie ubrałam jej w słowa. Pamiętam, że przyglądałam się rzędowi

stojących na parapecie trzykrotek oraz plastikowej butelce z płynem do zmywania. Robiły wrażenie równiutko i starannie rozstawionych rekwi-
zytów teatralnych. Pomyślałam wówczas: Od tej chwili będę
już nieustannie grała.

To była prawda. Będę już grać przez resztę życia,
chyba że wcześniej mnie zdemaskują.

Tak właśnie postępowali przestępcy. Grali. Przez całutki
czas.

Postanowiłam do Tribeca pójść pieszo; to nie było daleko. Po drodze
zatrzymałam się przy stoisku z prasą. Nie było to już zwykłe stoisko; była
to dokładnie zamaskowana bomba niewybuch. Zbliżałam się do niej
bardzo ostrożnie.

Na tytułowej stronie „Timesa” nie było nic, a rozkładać go nie mia-
łam odwagi. Jedyne, co zobaczyłam, to Deficyt Budżetowy oraz Iran-
Contras. Jednakże „Post” miał to: podwójną kolumnę na tytułowej stro-
nie. „KOCHANEK GWIAZDY FILMOWEJ ZAMORDOWANY”.

Kupiłam gazetę. Sprzedawca nawet na mnie nie spojrział.

*Ojca spodziewanego dziecka gwiazdy filmowej Lili Dune znaleziono
wczoraj martwego w jego mieszkaniu w luksusowym kondominium
przy Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Malarz pokojowy Joseph Carillo
odkrył ciało o 12.30. Urodzony w Londynie pisarz, Trevor Parsons, lat
28, zginął od jednego strzału. Rzecznik 19. Komisariatu por. Frank
Gozzoli oświadczył: „Traktujemy to jako zabójstwo”. Policja pospieszy-
ła na Long Island, gdzie Lila Dune brała udział w zdjęciach do komedii
Rittnera-Morowitza „Gra dla troje”. Kiedy poinformowano ją o śmierci
kochanka, wykrzyknęła: „Nie! Nie! To nieprawda!”*

- Grasz w tenisa? - pytał Abe Zacharias. - Dobrze grasz?

Uśmiechnęłam się skromnie.

- W szkole byłam mistrzynią młodzików.

Uniósł brwi.

- Bez jaj?

Naturalnie, że to były jaja. Bo było to kłamstwo. Chociaż grałam nieźle. Każda należąca do klasy średniej, wychowana w Sussex i wysportowana dziewczyna wie, jak posłać piłkę nad siatką.

Wyglądało na to, że mówi coś o deblu.

- Gram i singla, i debła - oznajmiłam.

Uniósł dłoń.

- Nie zrozumiałaś mnie - powiedział. - W naszym serialu korzystamy z dublerów.

Próbowałam zebrać myśli. On tymczasem nawijał dalej. Był śniadym, pozbawionym poczucia humoru mężczyzną po trzydziestce. Producenci telewizyjni, jak zauważyłam, stawali się coraz młodszy. Siedzieliśmy na skórzanych kanapach, popijając wodę Badoit; różowe ściany jego gabinetu o nieregularnej, rozmazanej fakturze skrywały nas jak we wnętrzu łona. Powiedziałam sobie: Tutaj jestem bezpieczna.

- Widziałaś nasz serial?

Zadawał mi pytanie. Zamierzałam obejrzeć wczorajszy odcinek, ale jakoś wyleciało mi to z głowy.

Zadzwoił telefon. Podskoczyłam. Podniósł słuchawkę i rozmawiał cicho, patrząc przy tym na mnie.

Odłożył słuchawkę. Telefon zadzwonił ponownie. Wiedziałam, że to policja.

- Mam spotkanie - rzucił do słuchawki.

Ta druga osoba długo coś mówiła. Zacharias jedynie potakiwał co jakiś czas. Oczy utkwione miał we mnie. „Proszę trzymać ją tam, przeciągać tę rozmowę, a my tymczasem otoczmy budynek. Proszę zachowywać się naturalnie”.

- Taa, jasne. Oczywiście. - Odłożył słuchawkę.

Ktoś zapukał do drzwi. Zamarłam. Wszedł jakiś mężczyzna. Jeszcze młodszy. Przedstawiono mi go, ale nie usłyszałam, jak się nazywa. Przebrany był za jeszcze jednego producenta, ale ja wiedziałam, że jest z Wydziału Zabójstw. Był nieogolony; najwyraźniej nie kładł się tej nocy, usiłując mnie wytropić.

Zaczęli rozmawiać ze mną o Samancie Seymour. A któż to taki, do diabła? Milczałam. „Masz prawo nic nie mówić. Cokolwiek powiesz, może być użyte przeciwko tobie”.

Samantha Seymour była angielską zawodową tenisistką, występującą w tym ich serialu *Najlepsi*. Przynajmniej tak mówili. Występowała w sześciu odcinkach. Opowiedzieli mi fabułę.

- ...kiedy Karl odrzuca Nancy, ona mści się...
- ...dochodzi do konfrontacji pomiędzy Dwightem i Jade...
- ...poważna operacja...

Miałam wrażenie, że jestem na lotnisku i słyszę z megafonów nazwy nieznanych miast i punktów docelowych.

- ...szantaż Adama...
- ...Ciężki wypadek Abbiego...
- ...przyrodnia siostra Tourmaline...

Patrzyłam na ściany. Te różowofioletowe żyłkowania przypominały mi dłonie ojca, kiedy przemarzł. Brał mnie za rękę; jedynie wtedy, kiedy przechodziliśmy przez jezdnię.

Po powrocie do domu zadzwoniłam do Roly'ego. Najwyraźniej producenci *Najlepszych* mnie ubiegli; odnieśli jak najbardziej pozytywne wrażenie. Czyż to nie prawdziwa ironia losu? Ten jeden raz, kiedy w ogóle się nie starałam. Musiał gdzieś tkwić w tym jakiś morał.

- Co z Lilą? - spytałam.
- Zabrali ją do śródmieścia, na Foley Square. Żeby ją postawić w stan oskarżenia.
- Tak sobie myślę... - powiedziałam. - Musiałam być chyba ostatnią osobą, która ją widziała. Byłam tam wieczorem.

Wiedziałam, że wcześniej czy później dotrą do mnie. To j e d y n i e rutynowe przesłuchanie, powiedziałam sobie. Przeanalizowałam swoją rolę o wiele bardziej skrupulatnie niż rolę Samantha Seymour. Wiedziałam dokładnie, co zrobiłam tamtego wtorkowego wieczoru... och, jakże dawno temu. Wieczoru, który odmienił życie tylu osób, na zawsze. Rozplanowałam wszystkie czynności i nauczyłam się na pamięć kwestii. Moja postać nabierała ciała i wiarygodności, a rzeczywistość ulegała osłabieniu. Przeprowadzałam swoje zwyczajowe ćwiczenia, zadawałam samej

sobie pytania. Co dokładnie zjadłam na kolację? Czy wzięłam kąpiel? Jaką książkę czytałam? (Postanowiłam, że nie będzie telewizji, bo mogliby mnie zapytać, jaki program oglądałam.) Był to ten sam rodzaj pytań, jakie kazałam Lili zadawać sobie miesiące temu, na planie *Nocnego starcia*. Pytania mające na celu wypełnienie nowej osoby. Tym razem jednakże to moje przepytywanie samej siebie miało charakter surowej i nagłej konieczności. Zupełnie jakby ktoś wrzucił mnie z nienacka do Morza Północnego i zmusił do maksymalnego wykorzystania moich najlepszych umiejętności przetrwania.

Powtarzałam sobie: Pamiętaj, nie będą podejrzliwi. Nic mnie z tym nie łączyło. Nikt nie wiedział o moim związku z Trevorem, a mój związek z Lilą był z gatunku tych najmniej istotnych. Przez tyle tygodni siedziałam przyczajona, że praktycznie znikłam z jej życia oraz z życia jej otoczenia. Martwiłam się jedynie odrobinę tym, że wcześniej wypytywałam o nią Roly'ego, ale tego policja nie mogła wiedzieć. On nie widział w tym nic podejrzanego. Ostatecznie, plotkowałam z nim na temat większości jego co sławniejszych klientów.

Ja ich nie interesowałam. Interesowała ich Lila. Co robiła tamtego wieczoru. Jak się zachowywała. To wszystko.

No i oczywiście tamtego wieczoru miałam gościa. Był nim detektyw; młody, piegowaty, rudowłosy facet nazwiskiem McConnell. Miał na sobie tweedową marynarkę i szare spodnie; wyglądał, jakby dla przydania sobie powagi pożyczył ubranie od ojca. Nic nigdy nie jest takie, jak się oczekuje; szok może wyprowadzić człowieka z równowagi. Ja obrażałam sobie dwóch brzuchatych, żujących gumę gliniarzy. No, ale ostatecznie znalazłam te sprawy jedynie z telewizji.

- Ładne mieszkanko - oświadczył lekkim tonem, rozglądając się przy tym wokół. - Niezła okolica.

- Podnajmuję je od przyjaciółki. Chyba nie wolno jej go podnajmować... ojej! - Zakryłam dłonią usta. - Nie powinnam była tego panu mówić.

Uśmiechną się.

- To okropne - powiedziałam. - Nie mogę w to uwierzyć. Proszę u-
siąść. Napije się pan herbaty?

- Chętnie.

Poszłam do kuchni i wstawiłam wodę w rondelku.

- Amerykanie nie mają czajników, prawda? - zawołałam. - Jedna z
tych dziwnych rzeczy, jakie odkryłam. Może herbatnika... przepraszam,
ciasteczko? - Przyniosłam puszkę. - Nieustannie popełniam te błędy.

- Jak długo pani tu jest? - spytał. - W Nowym Jorku?

Nie kłam. Nie na ten temat. Mogą to sprawdzić.

- Od października.

- Podoba się tu pani?

Skinęłam potakująco.

- Jasne. To ekscytujące miejsce, to Wielkie Jabłko. - Wzdrygnęłam
się. - Ale i pełne przemocy.

- Moi dziadkowie przybyli z tych samych co pani stron - powiedział. -
Ze Szkocji.

- Naprawdę?

- Z Kirkcaldy. Była tam pani kiedyś?

Pokręciłam głową, stawiając na stoliku cukiernicę i dzbanuszek z
mlekiem.

- Ale słyszałam, że okolica jest bardzo piękna. - Zupełnie absurdalnie
poczułam się nagle jak moja matka. Ona właśnie w taki sposób rozmawia-
ła.

Poszłam do kuchni i wlałam wrzątek do filiżanek. Miałam poczucie
całkowitej nierzeczywistości, jak gdybyśmy oboje grali w jakimś salono-
wym dramacie wystawianym przez teatr repertuarowy. Oboje robiliśmy
wrażenie oszustów.

Kiedy wróciłam, zobaczyłam w jego rękach notes. Postawiłam fili-
żanki na stoliku.

- Przepraszam za brak czajniczka - powiedziałam. - W Kirkcaldy je
m a j a .

- Widziała się pani z panną Dune we wtorek wieczorem, zgadza się? -
spytał.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Kiedy dokładnie ona to zrobiła? Jeśli to zrobiła. To wszystko jest
takie niezwykle! - Usiadłam. - Poszłam ją odwiedzić, och, około ósmej.
Mniej więcej. Nie patrzyłam na zegarek.

Zapisał coś w notesie.

- Dobrze ją pani zna?

- Nie za bardzo. Naturalnie, podziwiałam jej dokonania. To znaczy... p o d z i w i a m jej dokonania. Spotykałam się z nią podczas kręcenia kilku filmów. Potem straciłyśmy kontakt. Ale kiedy usłyszałam, że jest w ciąży, szczerze się ucieszyłam! Wiedziałam, jak bardzo chciała mieć dziecko. Zatem, nie mogłam się powstrzymać... pobiegłam tam z butelką szampana.

- I co się wydarzyło, dokładnie?

Wzruszyłam ramionami.

- Nic niezwykłego. Wydawała się bardzo... - Zamilkłam. - Podkreco-
na.

- Co ma pani na myśli? - Nie ruszył herbatników. - Czy jej zachowa-
nie było nietypowe?

- Wie pan, ona ma zmienne nastroje. Bardzo rozkołysane. Pomyśla-
łam po prostu, że jest podekscytowana w związku z tym dzieckiem.

- O czym rozmawialiście?

- Niewiele tego było - odpowiedziałam. - Bo widzi pan, ja tak długo
jej nie widziałam. Straciłyśmy kontakt.

- Czy widziała pani, żeby piła alkohol?

Pokręciłam głową.

- Piłyśmy lemoniadę. Powiedziała, że już od jakiegoś czasu nie miała
w ustach żadnego trunku... alkohol ma na nią naprawdę zły wpływ.

Podniósł wzrok.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

Wypiłam łyk herbaty, wzdrygnęłam się; płyn sparzył mi wargi.

- Nie jestem pewna. Chodzi o coś, co słyszałam. Inni wiedzą to lepiej
niż ja.

Kiedy robił notatki, obserwowałam jego pochyloną głowę z włosami
barwy imbiru. Zza ściany dochodziło pomrukiwanie telewizora sąsia-
dów; tamtego wieczoru wydawał mi się głośniejszy. Okno miałam otwar-
te i słyszałam brzęk naczyń w ich kuchni.

- Czy mówiła o panu Parsonsie? - spytał.

- Panu Parsonsie? - Pokręciłam głową. - Raczej nie. No, może odrobine.

- Co powiedziała?

Zamilkłam na chwilę.

- Nie pamiętam dokładnie. Jestem pewna, że nic złego. W ogóle nie wspomniała tamtej sprawy.

Uniósł gwałtownie wzrok, pióro gotowe do pisania. - Jakiej sprawy?

- Może jeszcze herbatnika? - Wyciągnęłam w jego kierunku puszkę. - To znaczy, ciasteczko.

- Co to była za sprawa, panno Sampson?

- Jestem pewna, że całkiem o tym zapomniała. To było takie... odrażające. - Zamilkłam. Zza ściany dobiegł wybuch śmiechu ze studia. - Nie czytał pan o tym w gazetach? Jestem przekonana, że nie było w tym odrobiny prawdy. - Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczyma. - To znaczy, kto niby, mając Lilę Dune, poleciałby na kogoś innego?

Popatrzył na mnie z zamyśleniem. Torebka z herbatą tkwiła smętnie w jego filizance jak jakieś utopione zwierzę.

- Można? - Ujęłam nitkę i wyciągnęłam ją.

Uświadomiłam sobie, z niejaką obawą, że był całkiem inteligentny. Na początku wydawał mi się za młody na to, żeby być dobrym w swoim fachu, ale to wrażenie być może było spowodowane różnicą wieku między nami.

- Czy pamięta pani coś jeszcze? - spytał. - Co się wydarzyło potem?

- Powiedziała, że idzie spać. Miała się wcześniej zjawić na planie i dlatego zamierzała wziąć tabletkę nasenną. Wobec czego zostawiłam ją... Och, nie wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia. Może o ósmej piętnaście. Ósmej trzydzieści. Nie byłam tam długo.

- I nic więcej pani nie pamięta? Nic niezwykłego?

Siedziałam i zastanawiałam się. Miałam straszną ochotę na papierosa, ale zabrakło mi śmiałości, żeby go wyjąć i zapalić. Spojrzałam na swoją torebkę, leżącą na podłodze niedaleko jego stóp. Były w niej klucze Lili! Zaledwie kilka cali od jego butów.

Pokręciłam głową.

- Po prostu wróciłam do domu, zrobiłam sobie kolację, a potem czytałam książkę.

Podniósł się.

- Dziękuję, panno Sampson. Bardzo nam pani pomogła.

Jeśli przypomni się pani coś jeszcze - cokolwiek - proszę zadzwonić do mnie albo do jednego z moich kolegów.

Podał mi wizytówkę. Moje starannie przećwiczone alibi nie będzie potrzebne. Naturalnie dlatego, że on nie był zainteresowany mną. Jedyne Lila. Jak wszyscy zawsze. Tym razem jednak poczułam z tego powodu niezwykłą ulgę.

Później, tego samego wieczoru, poszłam odwiedzić Rolnego. Był okropnie przybity. Padł ciężko na sofę; ja uklękłam obok niego i gładziłam go po wilgotnych policzkach. Bardzo się pocił.

- Właśnie dzwoniłem do Ralpha - oznajmił. Chodziło o Ralpha Kahna, adwokata Lili. - Nie uwierzysz. Znaleźli list od Trevora, w którym ten zrywa całą sprawę.

- Zrywa całą sprawę?

- Oświadcza, że nie chce jej więcej widzieć.

- Nie!

- On mówi jej coś takiego, kiedy ona ma urodzić jego dziecko! Co to za człowiek?! - Wyrzucił w górę ramiona. - A potem znaleźli te książki.

Cofnęłam się.

- Co takiego?

- Materiały dotyczące zabójstw, takie właśnie. Calutki stos. W jej mieszkaniu.

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

- Co masz na myśli?

- Jeśli chodzi o mnie, to ja też w to nie chciałem uwierzyć. Te wszystkie materiały, które tam miała - nierozwiązane morderstwa, dokładne sprawozdania z procesów, tego rodzaju rzeczy. Twierdzi, że było to potrzebne do tematu, nad którym pracowali, ona i Trevor, ale trochę trudno w to uwierzyć. Mam na myśli fakt, że przecież ona nie jest absolutną Vassar. Wszyscy to wiemy. Kochanie, nie mam pojęcia, co o tym myślę.

Pogłaskałam go po łysej głowie. Była gładka jak wypolerowana gałka na samym szczycie balustrady schodów. Jako dziecko miałam zwyczaj chwycić się mocno poręczy i spoglądać w dół, w ziejącą podę mną otchłań.

- Zrobić coś gorącego do picia? - spytałam.

Poszłam do kuchni i wlałam do rondelka trochę mleka. Wolał, żeby było gorące, bo miał kłopoty z żołądkiem.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam jego kotkę; stała tam sobie i wpatrywała się we mnie żółtymi ślepiami. Pomyślałam: Gdyby tylko zwierzęta potrafiły mówić. Nalałam trochę mleka na podstawek, ale ona odwróciła się i wymaszerowała z kuchni. Trzymała wysoko puszysty ogon, ukazując różowy węzełek odbytu.

Roly wyglądał, jakby się skurczył. Siedział skulony pośród przepychu swojego salonu. Na ogół zapalał lampy, żeby uczynić go przytulniejszym; tamtego wieczoru nie zwracał sobie tym głowy. Siedziałam obok niego w ciemności. Znałam powód jego udręki; sam miał wątpliwości co do Lili. Całkiem absurdalnie, nagle zaczęłam mu współczuć.

- Ostatnio zachowywała się dziwnie - oświadczył. - Nie mówiłem ci tego, skarbie. Ale teraz, czemu by nie? - Łyżeczką uniósł kozuch na mleku. Zrobił się z niego maleńki namiocik. - Zdarzały się te rzeczy, rzeczy, o których nie pamiętała, że je zrobiła.

- Jakie rzeczy? - spytałam.

- Jakaś część garderoby, którą znalazła w szafie. Fidelia przysięga, że nie przynosiła jej z pralni, a Lila też nie pamięta, żeby sama ją odbierała. Irma powiedziała, że autentycznie ją to przeraziło. Może się jednak myli, kto wie? Były też inne nieporozumienia. Z dostawą z delikatesów.

- Naprawdę?

Skinął głową.

- Zupełnie jakby cierpiała na chwilowy zanik pamięci. Irma była poważnie zaniepokojona. Bo widzisz, w przeszłości, zdarzały się już... problemy. Jednak Lila ciężko nad nimi pracowała, myśleliśmy, że je przezwyciężyła. - Westchnął.

Odwróciłam się. Te lalki z teatru cieni, tam, za szybą, zdawały się mieć więcej energii i życia niż on. Kiedy przymrużyłam oczy, mogłam

sobie wyobrazić, jak poruszają się ich kończyny.

- Te notki w gazetach też nie pomogły - powiedział. - Trevor zaprzeczał, żeby była w nich choć odrobina prawdy, ale kto w tym wszystkim ma wierzyć komu? Jules, to nie ma sensu!

Objęłam jego pulchne ramiona.

- To okropne - powiedziałam. - Istne szaleństwo.

Wkrótce potem wyszłam od niego. Roly był wycieńczony; zamierzał iść spać. Cieszyłam się, że mogę odejść. Nieustanna gra była bardzo męcząca. Głowa wprost pękała mi z bólu.

Była wietrzna, dżdżysta noc. Zatrzymałam rozklekotaną taksówkę. Jej kierowca poinformował mnie, że pochodzi z Haiti. Z lusterka wstecznego zwisały laleczki; tańczyły, kiedy tylko gwałtowniej nacisnął hamulec. Powiedział, że uprawia wudu.

- A dzięki temu utrzymuję łączność - oznajmił, poklepując radio CB. - Komunikuję się z ludźmi w calutkim kraju.

Zarówno kłapa silnika, jak i bagażnika były luźne; kiedy podskakiwa-
liśmy na dziurach, obie trzaskały niczym nie domknięte drzwi. Myśla-
łam, że zatrzyma go policja.

Odtworzyłam sobie w myślach rozmowę z Rolyem. Wstrząsnęło mną odkrycie tamtych książek; nie miałam pojęcia, że w ogóle istnieją. Wyglądało to tak, jakby sama Lila snuła intrygę, która doprowadziła do jej upadku. Cóż za szczęśliwy traf! Niesamowite.

Wszystko się zresztą do tego upadku przyczyniało. Moje wcześniejsze wysiłki, by ją zdezorientować, uczyniły jeszcze większą szkodę jej wiarygodności. Bardzo przydatne, prawda? Wtedy chciałam jedynie wywołać w jej głowie zamęt, zarazić ją zazdrością, jaką sama odczuwałam w związku z Trevorem. Chciałam po prostu podważyć podstawy ich związku. Przynajmniej raz wszystko przebiegało zgodnie z moim życzeniem.

Taksówka zatrzymała się z szarpnięciem przed moim domem. Lalki zakołysały się szaleńczo. Już trzecia noc z rzędu nikt na mnie nie czekał. Dałam kierowcy duży napiwek, na szczęście.

Jadąc do góry windą, wyobraziłam sobie Lilę jako najeżoną szpilkami woskową figurkę wudu. Wbijalam je, jedną po drugiej przez wszystkie te minione tygodnie. Magia, czyż nie?

Nagłówki krzyczą. Wyświechtany frazes, prawda? Mojemu ojcu by się nie podobał. Nazajutrz, w piątek, nagłówki krzyczały do mnie ze wszystkich stoisk z prasą. ARESZTOWANO GWIAZDĘ FILMOWĄ”, krzyczał „Post”. „DUNE OSKARŻONA O ZABICIE KOCHANKA”, krzyczały „News”. Wiadomość ta pojawiła się nawet na tytułowej stronie „Timesa”. Kupiłam wszystkie te gazety, zabrałam do domu i rozłożyłam na dywanie. Czytając je, siedziałam na podłodze przykucnięta jak zwierzę. Nie byłam w stanie ich utrzymać; trzęsły mi się ręce.

Podczas brawurowej akcji policja wkroczyła o świcie do znajdującego się przy Central Park West apartamentu gwiazdy filmowej Lili Dune i oskarżyła ją o zamordowanie kochanka Trevora Parsonsa, którego przeszyte kulą ciało znaleziono w środek. Portier, Courtney Wilson, lat 26, powiedział: „Wywlekli ją z budynku. Wrzeszczała”. Jej szlochająca pokojówka, Fidelia Hernandez, lat 43, powiedziała: „To wszystko pomyłka. Panna Dune muchy by nie skrzywdziła”.

Nie było tam dużo informacji. Roly powiedział mi znacznie więcej. Ale druk czynił to wszystko bardziej konkretnym i w zadziwiający sposób zamkniętym. Teraz, kiedy opisano już tę sprawę w gazetach, przestałam być jej częścią. To już nie był żaden dziwaczny jak ze snu dramat kostiumowy, w którym byłam zaangażowana, to się po prostu przytrafiło Lili. Nagle stało się to dla mnie zupełnie oczywiste.

Pamiętam, jak uniosłam się znad stosu gazet, w kłębach papierosowego dymu i jasno to sobie uświadomiłam. Nie jestem już dubliczką. Przyszła kolej na Lilę. Teraz ona jest dubliczką.

Zatrzymano Lilę na dwadzieścia cztery godziny. Postawiono jej zarzut, a następnie wniesiono formalne oskarżenie o morderstwo. Oznajmiła, iż

jest niewinna. Wyznaczono kaucję w wysokości dwustu tysięcy dolarów. Wszystkie sieci - WNBC, WCBS - wysłały swoich ludzi na Foley Square. Nadawali to chyba w programie *Dzień dobry, Nowy Jorku* i w *Wiadomościach*.

Mój nastrój zmieniał się szaleńczo. W jednej chwili czułam się bezpieczna, w następnej śmiertelnie przerażona. Nie mogłam uwierzyć, że wszystko toczy się bez mojego udziału i że wygląda na to, iż cała sprawa ujdzie mi na sucho. A może to tylko starannie przygotowana intryga, mająca na celu osłabienie mojej czujności.

Wyjrzałam przez okno. Sekretarki z biurowca siedziały przy swoich monitorach. Czytały dane; potem obracały się bardzo powoli, by popatrzyć na mnie. Kiedy wyszłam z domu, kawałek dalej zobaczyłam gościa, który pchał wózek z hot dogami na róg Szóstej Alei i tam go ustawiał. Otwierał metalowe pokrywy, rozkładał je, podobnie jak magik rozkłada swoją magiczną skrzyneczkę. Ustawili go tam, żeby mnie szpiegował.

Tamtego piątkowego popołudnia zwolniono ją. Siedziałam skulona w swoim mieszkaniu i oglądałam to w *Kurierze nowojorskim*. Przed gmachem Sądu Karnego kłębił się tłum reporterów; falował w promieniach słońca. Było to zaledwie milę ode mnie; gdybym siedziała spokojnie, może usłyszałabym ich wrzaski zza sąsiednich budynków. Przechyliłam głowę, nasłuchując. Odczuwszy nagłą potrzebę pociechy, opchałam się ciasteczkami, których nie tknął tamten detektyw; dosłownie je pożarłam. Na ekranie tymczasem obserwowałam kamery telewizyjne ustawione niczym działa ciężkiej artylerii. Wszystkie były skierowane na schody. Telewizyjna prezenterka, sobowtórka Deborah Norville, ze złotym, połyskującym koczkiem na głowie, z kiepsko skrywanym podnieceniem opowiadała o „zbrodni, która wprawiała w osłupienie społeczność nowojorskiego show-biznesu”. Te podchody wydawały się całkowicie nierzeczywiste, jak ze snu specja od reklamy. Nowy Jork stanął w miejscu; cały naród wręcz wyhamował. Cóż, tak to wyglądało.

Po dwudziestu latach bycia osobistością z drugiej ligi Lila w jednej chwili stała się naprawdę sławna. Jedno naciśnięcie spustu i prask!

Patrzyłam na ekran. Ukazała się na schodach w towarzystwie mężczyzn w garniturach. W niebieskim płaszczyku robiła wrażenie zgarbionej i skurczonej; na twarzy miała ciemne okulary, te same, których, co ze zdumieniem stwierdziłam, ja używałam. Wydawała się zagubiona jak ktoś ociemniały.

Fala reporterów ruszyła gwałtownie do przodu; doprowadzono ją prędko do czekającej w gotowości limuzyny. Ta, oblepiona przez chwilę ryczącymi dziennikarzami, przebiła się przez tłum i odjechała.

Wyłączyłam telewizor. Miałam mokry sweter. Zerknęłam w górę; pomyślałam, że może cieknie z sufitu. Po chwili dopiero uświadomiłam sobie, że jestem zlaną potem.

Robiła wrażenie zdruzgotanej. Tylko ja, siedząca tam, w tym lepiałym się do ciała ubraniu, wiedziałam dlaczego. Nie samo aresztowanie tak nią wstrząsnęło. Była zdruzgotana śmiercią Trevora. Dziwne, że nigdy o tym nie pomyślałam. Straciła go, już na zawsze. Była teraz samotna, jak ja.

Nie myślałam o Trevie. Bo tam czaiło się szaleństwo. Nie myślałam też o Lili. Ona mnie zniszczyła; dlaczego, do diabła, ja nie miałabym zniszczyć jej? Nie odczuwałam wyrzutów sumienia, jeszcze nie wtedy. Byłam jedynie odrętwiała. Zająłem się przygotowaniami do wyjazdu. Czulałem się niczym lis; wyslizgiwałem się z matni i umykałem, podczas gdy psy gończe zajęte były gdzie indziej.

Mój kontrakt przefaksowano do agencji Roly'ego. Zaangażowano mnie do sześciu odcinków *Najlepszych*. Załatwiono dla mnie lokum w Los Angeles. Nie miałam co prawda domu na kółkach, limuzyny ani praw do kaset wideo, ale zawsze był to jakiś początek. Nie mogłam się doczekać wyjazdu z Nowego Jorku. Zadzwoiłam do matki. Nie słyszała o Trevorze, poznałam to po jej głosie. Poprosiłam, żeby przy najbliższym

pobycie w Londynie sprawdziła moje mieszkanie. Wszystkie moje rośliny, moje małe dzieciątka, prawdopodobnie już i tak były martwe. Nie ufałam sąsiadom, jeśli chodzi o podlewanie. Przekazałam jej wieści.

- O mój Boże! - wykrzyknęła. - Wkrótce będziemy czytać o tobie w gazetach!

Zamilkłam.

- Co masz na myśli?

Roześmiała się.

- Przecież jesteś teraz gwiazdą filmową!

LOS ANGELES - NOWY JORK

Jeden

Spędziłam w Los Angeles siedem tygodni pochłonięta sprawami innego świata. To miasto roi się od nowych tożsamości, od ludzi, którzy zmienili nazwiska i poddali się rekonstrukcji. Są wytworami samych siebie, są własnymi chirurgami plastycznymi. Bóg wie, skąd pochodzą; nie mają przeszłości. To miasto nietutejszych. Ich twarze są urodziwe, ale niezamieszkane; patrzeć w ich oczy to jak spoglądać w okna tamtych filmowych fasad ustawionych na tyłach studia. Są wymyśli i wypolerowani niczym piasek na plaży. Trevora poznałam na plaży i proszę! Naza-jutrz... ani śladu! Życie przypomina kręcenie filmu. Tak naprawdę, nic się nie zdarzyło. Żadnych śladów; nawet niedopałka.

To miasto wytwórców; ludzie wytwarzają samych siebie. Media też w tym spiskują, wzmacniają kłamstwa i półprawdy, koloryzują dzieciństwo gwiazd filmowych, kreują całkiem nowe osobowości. To mi odpowiadało. Zrzuciłam z siebie przeszłość i na nowo się określiłam. Do roli Samantha Seymour ufarbowano mi włosy i ostrzyżono na pazia; kołysały się, lśniąć kasztanowo. Panowały upały i kręciliśmy głównie plenery; nabrałam sił i opaliłam się. Ćwiczyłam w siłowni i poznałam nowe słownictwo - „wyciskanie brzucha”, „spalanie pośladków”, „skręcanie-rozciąganie”, „skręcanie osiowe” - zupełnie jak gdybym opanowywała obcy język. Zaczęły mnie poboлеwać nieznane wcześniej mięśnie. Moje ciało było niczym wyremontowana maszyna, wyposażona w nową sieć nerwów. Znęcałam się nad nim.

Przyjęłam imię Julie i wynajęłam białego volkswagena rabbita, jak

wszyscy samotni, którzy lubią się zabawić. Dano mi mieszkanie na rogu La Brea i Melrose; pozdrawiałam współmieszkańców uprzejmym, słonecznym uśmiechem. Nie brałam do ręki książek; nie byłam już w stanie czytać niczego trudniejszego, od takich rzeczy robiło mi się niedobrze. Po prostu uczyłam się na pamięć mojego nowego scenariusza.

- „To tak boli, Tourmaline” - szeptałam do swojego nowego odbicia w lustrze. - „Przez wszystkie te lata cierpiałam. Kryłam się i cierpiałam”.

Wprowadzono mnie, żeby się pozbyć dwu postaci, mojej córki i byłego kochanka. Wszystko dlatego, że tych dwoje aktorów musiało odejść z serialu. Ta pierwsza była w ciąży, z tym drugim natomiast zerwano kontrakt z powodu jakiegoś skandalu związanego z uchylaniem się od płacenia podatków. Notowania *Najlepszych* osiągnęły najniższy poziom i potrzebne były ze dwa gwałtowne zgony, żeby poprawić liczby. I tu pojawia się Samantha Seymour.

Siedzicie wygodnie? Macie ochotę usłyszeć fabułę?

A może nie będziemy sobie tym zawracać głowy? Sama jej prawie nie pamiętam. Byłam angielską instruktorką tenisa, która przybyła na Zachodnie Wybrzeże, żeby zgłosić swoje prawa do dawno utraconej córki, Tourmaline: Dziewczyna miała osiemnaście lat i dorastała nieświadoma mojego istnienia. Dopóki nie pojawiłam się w jej domu, żeby rozwinąć jej tenisowe umiejętności, sądziła, że to jej macocha, Liberty, jest jej prawdziwą matką.

- Moje życie było jednym długim kłamstwem - oznajmiła, spoglądając na mnie błękitnymi oczyma. Siedziałyśmy na terenie posiadłości jej rodziców. Trawniki wyglądały jak tamte przy fabryce środków antykoncepcyjnych Ortho.

Objęłam ją ramieniem.

- Byłam wtedy młoda, skarbie - powiedziałam. - Moim celem było zostać mistrzynią sportu...

- Przepraszam was, dziewczyny! - zawołał reżyser. - Kręcimy dalej. Zaczynajcie od początku.

Powtórzyłyśmy tę rozmowę.

- Musiałam tyle ćwiczyć - zaczęłam. - Jedyne, w co wierzyłam, to doskonałość. Pracowałam nad ciałem, a o tej jednej jego części, o sercu, zapomniałam. Zupełnie jakby czegoś mi w środku brakowało. I ten ból się wzmagał. Musiałam tu przyjechać i spotkać się z tobą...

Słowa spływały obojętnie z moich ust. Wypowiadałam je niczym robot, ale tak samo mówili pozostali aktorzy. Byli wygładzeni i wypolerowani, i przystojni jak marionetki z serialu *Thunderbirds*, a na dodatek nieco mniej od tamtych kosztowni. Przebrnęłam przez te sceny jak w transie, artykułując bez specjalnego zaangażowania swoje kwestie i powtarzając ten jedyny zasugerowany przez reżysera gest: refleksyjne przesuwanie palcami po strunach naciągu mojej rakiety.

Cieszyłam się z tego zajęcia; dzięki temu nie miałam czasu na myślenie. Tempo było szalone. Przecież co trzy dni musieli mieć na taśmie nowy odcinek. Nie zbliżałam się do innych, podobnie zresztą jak oni do mnie, nie licząc klepnięcia w ramię i „Się masz?” Byli zbyt przemęczeni. Raz czy dwa słyszałam, jak rozmawiali o aresztowaniu Lili. „Sądzisz, że się zadawał z innymi? Myślisz, że to rzeczywiście ona go zastrzeliła?” W takich sytuacjach dyskretnie się ulatniałam.

Najgorsze były noce. Podobnie jak Lila, żeby zasnąć, brałam Seconal, ale na mnie ten środek nie działał. Godzinami leżałam rozbudzona, pocilałam się, czekając, aż zadzwoni telefon. Nieustanny szum ruchu drogowego dobiegający przez okno od czasu do czasu zagłuszały policyjne syreny; byli coraz bliżej. Przyjadą po mnie; to tylko kwestia czasu.

Czasami, na wpół śpiąc, słyszałam silnik furgonetki Treva. Rozpoznawałam ten charakterystyczny klekot. Żeby mnie znaleźć, przejechał nią całe Stany; zbliżał się, już był na La Brea. Kiedy osuwałam się w sen, widziałam go, zapadniętego w fotelu. Płaszcz kąpielowy wchłaniał rozlewającą się krew jak bibuła. Próbowałam się odwrócić, ale nie mogłam. Kiedy tak wpatrywałam się w niego, otworzył jedno oko i mrugnął do mnie.

Lękałam się bezsenności, ale jeszcze bardziej lękałam się snu. Czasami, chociaż bezsilnie się temu opierałam, zapadałam się na powrót w dzieciństwo. Pewnej nocy w mojej klasie siedziała Lila. Podała nauczycielce,

pannie Hendricks, jakąś kartkę. Nauczycielka przyglądała mi się przez krótką chwilę. Potem podniosła słuchawkę telefonu, który jakimś trafem znalazł się na jej biurku. I już po chwili z ulicy dobiegło wycie syren.

Budziłam się z wzdrygnięciem, owładnięta paniką. Jechali po mnie. Czasami jednak, kiedy otwierałam rankiem zaspane oczy, naprawdę wierzyłam, że nic się wtedy nie stało. Że Trev żyje. Że mieszka kilka przecznic od Lili i że ona urodzi jego dziecko. Wszystko było jak przedtem. Uczucie to mogło trwać zadziwiająco długo, bo tak byłam odcięta od przeszłości, że nic mi o niej nie przypominało. Leżałam tam, w moim wynajętym mieszkaniu, pośród odgłosów dochodzących z ulicy i z parkingu. Leżałam odrętwiała w tym spartańsko umeblowanym pokoju, czekając, aż do mojego ciała wróci czucie, podobnie jak po wizycie u dentysty czeka się, aż zaczną mrowić dziąsła. Oczywiście, tamto się wydarzyło. W moich żyłach rozlewało się coś obrzydliwego. Przeżerało mnie jak kwas. Tym czymś było uczucie strachu. Może go nigdy nie poznaliście. Mam nadzieję, dla waszego dobra, że tak właśnie jest.

Zadzwonił Roly.

- Jak się masz, moja słodka? Jak ci leci? Ależ mi ciebie brakuje! - Próbował mówić o Lili, ale nie chciałam słuchać, wytrącało mnie to z równowagi. Chciał przylecieć z wizytą, ale odwiodłam go od tego.

- Bez przerwy pracuję - oznajmiłam. - Jestem wykończona. Wracam do domu jedynie po to, by iść spać. Strasznie to nudne.

Myśl o nim wywoływała u mnie pewną nerwowość; najchętniej bym już go nigdy nie oglądała. Poza tym zaczęłam romansować z facetem imieniem Lee, gościem od efektów wizualnych. Był wyjątkowo głupi. Jeździł czarnym transamem z wymalowanymi na karoserii płomieniami. Miał wytatuowane ramiona i mieszkał w gościnnym domku w Coldwater Canyon. Niewiele o nim wiedziałam, oprócz tego, że kiedy był młodszy, zarabiał na życie sabotowaniem zdjęć.

- Znaczy się, zadajesz się z aktorami - tłumaczył. - Masz od nich harmonogram zdjęć plenerowych i rozkładasz się tam z jakąś robotą, zanim

oni się zjawia. Znaczy się, ścinasz drzewa piłą łańcuchową, robisz coś naprawdę hałaśliwego. - Zachichotał. - Mówisz, że musisz dokończyć robotę, wobec czego płacą ci pięćset dolców, żebyś tylko stamtąd wypieprzał.

Dzięki Bogu, nie przepadał za rozmowami; przez wszystkie te tygodnie nie dowiedział się o mnie niczego. Jego astronomiczne zaabsorbowanie własną osobą jak najbardziej mi odpowiadało. Przepadał natomiast za kobiecym ciałem. Siedzieliśmy na jego ręcznie tkanym, indiańskim dywanie, wpadający przez okna wiatr podzwaniał mosiężnymi dzwonekami, które porozwieszał w całym pokoju, paliliśmy trawkę i dojrzewialiśmy do uprawiania seksu. Był szczupły i drobny; w istocie był kalifornijską wersją Treva. Przed maratońskim pieprzeniem Trev zalecał alkohol i, o ile dobrze pamiętam, LSD. Lee polecał tabletki uspokajające, wciągana nosem amfę oraz marihuanę. Jak wielu ćpunów, wyliczał optymalne dawki z pełną powagą pedanterią mistrza kuchni zestawiającego listę składników *spécialité de la maison*. Zamykał oczy i napinając mięśnie, i nucąc monotonne pieśni Aszantów, ześrodkowywał własne płyny ustrojowe, czy coś w tym rodzaju. Na swój sposób jego przygotowania były równie zawzięte jak Roly'ego.

Nie podam wam tego, co Trev zwał ponurymi szczegółami. Są oczywiście zbyt nudne. Niemniej, kiedy szczytowałam, zapomniałam o wszystkim. Zapomniałam Treva; zapomniałam o swoim nieustannym przerażeniu. Przez jedną chwilę, w eksplodującej ciemności, odczuwałam ulgę, byłam wolna. A jeśli dostatecznie długo wpatrywałam się w twarz tego prawie-że-Treva, tego dziwnego i nieokrzesanego dublera, tego Lee, byłam w stanie zatrzeć i zniszczyć moją pamięć o Trevie prawdziwym. To było tak, jakby zwyczajny, dziecięcy ołówek szpecił starą rycinę. Zamazywał ją niemal całą.

Jednak raz czy dwa naprawdę się przeraziłam. Pewnego wieczoru siedziałam z Lee w Citrusie. Była to restauracja przy Melrose; jedna z tych modnych, w stylu „pod perkalowym parasolem”. Lee streszczał fabułę filmu, nad którym kiedyś pracował, jakiegoś horroru czy coś takiego.

- Znaczy się, mieliśmy ten jakby dym wydobywający się z jej oczu - mówił. - To było niesamowite. Potem ona jakby się zapadła i cała ta breja wylała się na zewnątrz.

W tym właśnie momencie podszedł kelner z menu.

- Chciałbym powiedzieć państwu o niektórych specjałach. - Wskazał na dania wieczoru. - Mamy tu solę z patelni... - Zamilkł. Wpatrywał się we mnie. - Hej, przecież to ty, Jules! - Uśmiechnął się. - Jak się masz?

Spojrzałam na niego, tępo.

- To przez te włosy - powiedział. - Nie poznałem cię.

Nadal milczałam.

- *Jane Eyre* - powiedział. - Pamiętasz? Udzieliłem ci ślubu.

- Co takiego?

- Grałem pastora. - Aha. Tak.

- Hej, czy to nie niesamowite? To z Lilą? - zwrócił się do Lee. - Jules była w tamtym filmie jej dublerką.

- Serio? - zapytał Lee, odwracając się, żeby spojrzeć na mnie. Prawie się zainteresował.

- Myślicie, że ona to zrobiła? - zasyczał kelner. - Myślicie, że to oznacza jej koniec?

- Przepraszam was - powiedziałam. Odepchnęłam krzesło i potykając się po drodze, pospieszyłam do toalety.

W piątym tygodniu kręciliśmy morderstwo. Tourmaline, wściekła, że ojciec przez tyle lat ją oszukiwał, jedzie do jego klubu, wyskakuje z samochodu i wymachując pistoletem, podbiega do niego. Nie tylko jako matka, ale również jako mieszkająca pod wspólnym dachem zawodowa tenisistka, próbuję ją powstrzymać, mocuję się z nią i na siłę stamtąd odciągam, jednak bezskutecznie! Przecież musieli się pozbyć tego faceta z serialu. Był duszny, zamglony smogiem dzień. Kręciliśmy w Brentwood Country Club. Tourmaline odepchnęła mnie i podeszła zdecydowanym krokiem do ojca.

- Nienawidzę cię! - wrzasnęła. - Przez wszystkie te lata mnie okłamywałeś! Zdradziłeś mnie oraz wszystko, co dla mnie święte!

Podniosła pistolet i nacisnęła spust. Rozległ się trzask ślepego naboju.

- Hrrr! - Jej ojciec zacharczał, zatoczył się do tyłu i uderzył w betonową donicę. Przewrócił oczyma, aż ukazały się białka. Wreszcie, przyciśnawszy dłonie do klatki piersiowej, osunął się powoli. Krew (*Normalnie płynna czerwona krew nr 3*) wypłynęła pomiędzy jego palcami. Padł ciężko na żwir.

- W porządku! Cięcie! - zawołał reżyser. Aktor wstał, otrzepując się z kurzu.

- Może tak być?

- Doskonale, Jim! - zawołał reżyser. - Kocham cię za to!

Naprawdę przekonujące.

Śniłam, że jestem w moim jednopokojowym mieszkanku w Hampstead - w tym, w którym mieszkałam, zanim kupiłam to obecne - tyle że we śnie jest ono większe i rozbrzmiewa echem. Za oknem na balkonie widać rząd donic. Staram się nie patrzeć na nie, ponieważ wiem, że ktoś się za nimi kryje. I rzeczywiście, niczym twarz Ali Baby wychynęła twarz mojego ojca. Jak błąd księżyc w pełni weszła nad donicami. Na dodatek uśmiechnięta.

Mijały dni, łagodne i słoneczne. Tam, w Londynie, upłynął już termin kontroli technicznej mojego renault. Zbliżał się termin zapłacenia podatku lokalnego. Nagle przypominałam sobie takie rzeczy, drobne szarpnięcia z przeszłości, jakby czyjaś ręka pociągała mnie za spódnicę. Czasami fakt, że moje stare życie tak się ode mnie oddała, wywoływał u mnie panikę. Skoro nie potrafiłam zapłacić podatku, to jak, na Boga, mogłam sądzić, że poradzę sobie z tym wszystkim? W innych momentach świadomość, że nadal pamiętam takie drobne, domowe obowiązki, przynosiła mi niejaką pociechę. Myślałam o telefonie do matki, chociaż teraz już na pewno przeczytała gazety i zaczęłaby zadawać pytania, tym swoim przejętym, zdziwionym głosem. „Trevor był twoim chłopcem, czyż nie? Co on miał wspólnego z nią? Wiedziałaś o tym? Jesteś zirytowana?”

Myślałam o telefonie do przyjaciół, ale oni zadawaliby takie same pytania. Poza tym „nie masz żadnych przyjaciół”.

Ale Trevor nie żył i te okropne słowa umarły wraz z nim. Nie zamierałam się nad nimi zastanawiać. On już nie mógł, to dlaczego miałabym robić to ja.

Nie uczyniłam nic. Za kilka tygodni, pomyślałam sobie, polecę do Anglii na dobre. Ostatecznie ucieknę.

Tak właśnie myślałam.

Przyleciał Roly. Żałowałam, że to zrobił; nie chciałam go widzieć. Mimo to musiałam się zachowywać normalnie. Nie mogłam ryzykować żadnych pytań, niczego niewygodnego. Nie mogłam ryzykować emocjonalnej konfrontacji. Byłam niczym zwierzę poruszające się wokół niebezpiecznej strefy, wciągające w nozdrza powietrze, sprawdzające zapachy. Rozwinęłam u siebie całkiem nowe mięśnie i odruchy.

Roly zeszcupłał. Skórę na twarzy miał luźniejszą; postarzało go to. Wyglądał też na bardziej zmęczonego.

- Ta cała cholerna sprawa - powiedział - wyrzuciła nam wszystkim bebechy.

Zabrał mnie do prowadzonej przez matkę Stevena Spielberga restauracji Milky Way; mieściła się w dzielnicy żydowskiej, chyba na Pica. Nie pamiętam. Padało.

W środku było mrocznie i staromodnie - skórzane kanapy i plakaty z *E.T.* i *Indiany Jonesa* na ścianach. Roly przywitał matkę Spielberga, Leah, jak starą przyjaciółkę, objął ją wyrażającym smutek gestem i ucałował. Przychodził tutaj od lat.

- To okropne - oznajmił. - Okropne.

Ona była drobnutką, pełną wigoru kobietą z przyciętymi krótko włosami i w białych skarpetkach na nogach, jak uczennica. Przyjęła zamówienie; oboje poprosiliśmy o smażoną rybę. Zupełnie niedorzecznie, poczułam się nagle o wiele bezpieczniej, niż czułam się od tygodni. Ten deszcz na zewnątrz, ci rabini i te rodzinne grupy we wnętrzu sprawiły, że poczułam się, jakbym się znalazła w spokojnej londyńskiej dzielnicy Golders Green.

- Serial toczy się nieźle - odezwałam się w tonie pogawędki. - Tatę zastrzelono w ubiegłym tygodniu, a w czwartek Tourmaline zginie w wypadku samochodowym.

Skinął w rozstąpieniu głowy.

- Fakt, że jest w ciąży, powinien bardzo pomóc.

- Ależ nie jest - powiedziałam. - Przecież zginie.

- Mam na myśli Lilę.

- Aha.

- Ralph nas o tym zapewniał. Bo jaki sędzia może patrzeć na piękną, brzemienną kobietę i nie odczuwać współczucia? - Uniósł dłonie w bezsilnym geście. - Jaki sędzia mógłby być taki?

Siedziałam tam, bawiąc się serwetką. Podeszła Leah z mrożoną herbatą. Nie umiałam zapytać: Nie przyznaje się do winy? Nie potrafiłam wydobyć z siebie tych słów. Zresztą on i tak informował mnie dalej.

- Obrona, oni naprawdę nad tym pracują - powiedział. - Może zgodzą się na krańcowe zaburzenia emocjonalne. Zrobiła to, kiedy zaburzona była równowaga jej umysłu. W tej chwili poddają ją całej serii testów psychiatrycznych.

- Biedna Lila - powiedziałam, popijając małymi łykami herbatę. - Wszyscy wiedzieliśmy, że ma trochę nie po kolei, ale to...

Z przeciwległego końca sali wpatrywał się we mnie E.T. Utkwił w mojej twarzy swoje wytrzeszczone oczy; kiedy się poruszyłam, podążyły za mną.

- Ja nadal w to nie wierzę - oznajmił Roly. - Ma wszystko, dla czego warto żyć. Kocha go i co? Idzie i go zabija? Po co by miała robić coś takiego?

- Rzeczywiście brzmi to jak szaleństwo.

Wypiłam następny łyżeczek herbaty. Kostki lodu zatrzymały się na moich wargach, mroząc je. Znad krawędzi szklanki spoglądałam na E.T.

- Czy ustalili już datę? - spytałam. - Procesu?

- Może październik. Jeśli uda im się znaleźć tak wczesny termin.

- Jaka szkoda! - powiedziałam. - Wtedy już mnie nie będzie.

Otworzył szeroko oczy.

- Nie będzie?

- Muszę wrócić na troszkę do Londynu. Mam tam kilka spraw do załatwienia.

Było to kłamstwo. Nie zamierzałam tam jechać na troszkę. Wszystko już sobie zaplanowałam. Pojadę do domu i po prostu już tam zostanę.

- Na krótko - powiedziałam, dotykając jego ramienia. - Potem wrócę. Nie martw się.

- Myślę, że będziesz musiała zostać tutaj, skarbie - powiedział. - W Stanach.

- Co takiego?

- Możliwe że się z tobą skontaktują. - Ze mną? Po co?

- Być może zechcą powołać cię na świadka.

Dwa

Ze względu na proces stacje telewizyjne zmieniały ramówki. Wszyscy nowojorczyści wydawali się przykuci do foteli. Nic równie sensacyjnego nie zdarzyło się od czasu sprawy Nussbauma, a na dodatek proces stan Nowy Jork przeciwko Lili Dunnacovicia był o wiele bardziej atrakcyjny. Piękna gwiazda filmowa oskarżona o zamordowanie kochanka! To było lepsze od każdego filmu; to było samo życie!

Polecałam do Nowego Jorku. Dzięki Bogu nie powołano mnie na świadka; musieli zadecydować, całkiem zresztą słusznie, że nie mam żadnych użytecznych informacji ani dla oskarżycieli, ani dla obrony.

Mieszkałam w czymś mieszkaniu, znajdującym się dziewięć pięter nad moim starym. Skierowała mnie tam lokatorka tego poprzedniego, która tymczasem wróciła do miasta. W Nowym Jorku istnieje cała sieć takich jak ja podnajemców, którzy płacą gotówką za mieszkania z czynszem regulowanym. Wszystkim to odpowiada. Mnie w każdym razie odpowiadało. Nie mogłam przecież wrócić do tamtego miejsca niżej; nie byłabym w stanie przejść przez tamte drzwi. Ludzie powiadają, że jeśli ktoś umrze, to można przy nim zostać; jeśli się jednak odejdzie, a potem wróci, trudno jest spojrzeć na tę osobę, bo ona w międzyczasie staje się trupem.

Był piąty października i było bardzo duszno. Nastawiłam klimatyzację na pełną moc. To mieszkanie było bardziej wytworne od poprzedniego; miało trzy pokoje, kinkiety oraz tepowane ściany. Na półce stała rzeźba z brązu, przedstawiająca wzniesione błagalnie do góry dłonie.

Okna wychodziły na drugą stronę, przeciwną do tej z Central Parkiem i nic nie zasłaniało widoku potężnych wieżowców przy Wall Street. W smogu rozmywały się one niczym miraż. Gdzieś tam, gdzieś pośród zgietku i spalin, gdzieś, gdzie nie ośmieliłam się udać, w sali sądowej siedziała Lila. Huśtawka zmieniła diametralnie pozycję; odwróciła się nasza sytuacja. Ja wzniosłam się wysoko ku niebu; niemalże nie słyszałam stąd wycia syren. Miasto leżało u mych stóp, tak jak kiedyś, przy Central Park West, leżało u stóp Lili. Kciukiem mogłam rozgnieść te kropki na ulicy spieszące żałośnie do celu.

Opuściłam rolety, żeby oglądać telewizję; wywoływało to podobne poczucie winy i było tak samo nienaturalne jak popołudniowe oglądanie Wimbledonu. Światło sączyło się przez rolety; miałam wrażenie, że znajduję się pod wodą. Usiadłam na krześle Eamesów, z papierosami w zasięgu ręki, i nastawiłam Channel 2. Dla Lili przerwano tam nadawanie serialu *Guiding Light*.

Nie przekazywano całości procesu, jedynie jego kluczowe fragmenty. Obraz wypełnił ekran. Sala 458 Sądu Karnego wypełniona była po brzegi; rozbrzmiewała jednostajnym szumem. Widzowie zasiedli w ławach dla publiczności, oddzielonych od reszty przepierzeniami z jasnego drewna, wyglądali, jak gdyby byli purytanami siedzącymi w kościele. Wygląd sali rozczerował mnie; była taka zwyczajna i tak nowoczesna. Obok sędziego tkwiła sflaczała amerykańska flaga; za nim zaś, od podłogi do sufitu, rozciągała się marmurowa płaszczyzna, ozdobiona napisem W BOGU POKŁADAMY NADZIEJĘ. Kamera odszukała tymczasem Lilę. Siedziała otoczona policjantami oraz obrońcami, z twarzą bladą i pustą, jakby nafaszerowano ją lekami. Oczy nieruchome. Włosy ściągnięte do tyłu. Ubrana w prosty zielony kostium, którego wcześniej nie widziałam. Ledwo ją poznałam. Przypominało to tamten pierwszy dzień na planie *Jane Eyre*, kiedy tak mnie zaskoczyło jej nagłe przeobrażenie. W jaskrawym świetle telewizyjnych jupiterów odgrywała zupełnie nową rolę: lukrowanej osóбки podejrzanej o zabójstwo.

Zaprzysiężono członków ławy; komentator wyjaśnił, że przysięgli członkowie zostali poddani procesowi przepytywania, zwanemu *voir*

dire. Kamera przesunęła się po ich twarzach, brązowych, białych, starych, młodych, tworzących szereg niczym ustawione na starcie konie. Oskarżyciel oraz obrońca złożyli oświadczenia wstępne. Pojawił się pierwszy świadek. Był nim porucznik Frank Gozzoli.

Opisał, jak to o godzinie 13.10 przybył na miejsce przestępstwa. Opisał położenie ciała, powiedział, że nie znaleziono narzędzia zbrodni. Podczas gdy mówił, kamera przesuwała się po siedzących w ławach dla publiczności widzach. Zobaczyłam Roly'ego. Zobaczyłam skamieniałą, ziemistą twarz Army. Siedziała tam bez ruchu. Zobaczyłam matkę Lili, ubraną na czarno, jak na pogrzeb. Zobaczyłam kilka innych znajomych twarzy: aktora z *Nocnego starcia*; kogoś, kto wyglądał jak Norman Mailer. Niektórzy spośród publiczności wykręcali szyje, żeby tylko dojrzeć jakieś znakomitości. Nawet stamtąd wyczuwałam ten charakterystyczny szum, zupełnie jak na premierze.

- Nie było żadnych śladów walki - oświadczył Gozzoli.

Nastąpiła przerwa na reklamy. W promieniach słońca jakiś piegowaty chłopiec klaskał w dłonie, a po ekranie spływał deszcz płatków kukurudzianych.

Potem miejsce dla świadków zajął tamten malarz, Joseph Carillo. Był niewysoki, krępy; robił wrażenie jednocześnie przerażonego i podnieconego sytuacją, w jakiej się znalazł. Opowiedział sądowi o tym, jak to rankiem 25 kwietnia, o godzinie 8.30, wraz z dwoma kolegami przybył do mieszkania pana Parsonsa.

- Zadzwoniłem do drzwi i nic. Pomyśleliśmy, że może poszedł do baru, na śniadanie, więc wróciliśmy do biura. O wpół do dziesiątej zatelefonowaliśmy do niego i znowu nic. Mieliśmy w biurze komplet kluczy, to je wzięliśmy, po drodze zabraliśmy jeszcze trochę materiałów i o wpół do pierwszej dotarliśmy do jego mieszkania.

- Czy świadek może powiedzieć sądowi, co się działo później? - spytał oskarżyciel, wysoki, swobodny mężczyzna, którego nazwiska nie dośłyszałam.

- Więc otwieramy drzwi. Wołam głośno, na wypadek gdyby był pod prysznicem czy gdzieś tam, ale nikt nie odpowiada.

No to idziemy do dużego pokoju, a on tam po prostu siedzi. Nie ma wątpliwości, nie żyje. I ta wielka plama krwi na piersi.

- Co zrobiliście wtedy?

- Co zrobiliśmy? Zwiewamy stamtąd jak wszyscy diabli, szybcitko, i mówimy portierowi, żeby zadzwonił po gliny.

- Jeszcze jedno pytanie, panie Carillo. Pan oraz pańscy koledzy z Lotus Design Studio malowaliście dzień wcześniej hol tego mieszkania, zgadza się?

- Jasne.

- Czy następnego dnia farba byłaby nadal mokra?

Skinął głową.

- Taa, trochę by się lepiała.

Kamera przesunęła się na siedzących blisko siebie, przypominających parę gnomów dwoje starszych ludzi. Wyglądali znajomo, jednak rozpoznałam ich dopiero po chwili. Serce mi zamarło. To byli rodzice Trevora, Ida i George. Wolałabym, żeby ich tam nie było.

Jak w każdej wieloodcinkowej operze mydlanej, tak i tutaj zaczęły się powoli zarysowywać poszczególne postaci. Prokurator nazywał się Rubinsky. Jego ruchliwa, zmienna twarz przywodziła mi na myśl Waltera Matthau. Poruszał się w sposób niewymuszony - w porównaniu z sądem brytyjskim cały ten proces sprawiał wrażenie czegoś naturalnego i zwyczajnego. Oskarżyciel występował w koszuli z podwiniętymi rękawami; przysiadł na stołach, zakładał jedną długą nogę na drugą, przesuwając dłonią po falującej czuprynie, zrywał się raptownie i zbliżał do ławy przysięgłych z wycelowanym w nią palcem. Obserwowałam go w pełnej napięcia samotności. Nie miał pojęcia, jak żywotnie był dla mnie ważny i jak zachęcałam go do działania niczym dramaturg, którego sztukę właśnie wystawiają. Czy, ściśle mówiąc, którego sztuka mogłaby ulec zmianie za sprawą nowych postaci, nieoczekiwanych improwizacji i zatrważających zwrotów w intrydze. Zeznawał ekspert od badań laboratoryjnych. Przedstawił wyniki testów włókien, potwierdzając, że włosy znalezione w mieszkaniu ofiary odpowiadały włoskom z sobolowego

futra oskarżonej. Przedstawił też inne wyniki. Ślady szminki na niedopałkach znalezionych w kubie na śmieci ofiary pasowały do szminki znalezionej w mieszkaniu oskarżonej.

- Czy to wszystko, doktorze Zimmerman?

- Znaleźliśmy też ślady wyschniętej farby na futrze oskarżonej. Kiedy zabraliśmy je do analizy, okazało się, że pasują do farby z mieszkania ofiary. Konkretnie z holu.

- Gdzie, jak rozumiem, w czasie, o którym mówimy, farba ta była nadal wilgotna - oświadczył Rubinsky.

Ekspert od odcisków palców - drobny, nijaki mężczyzna, który sam wyglądał na wielokrotnego mordercę - potwierdził, że chociaż szklanki w obydwu mieszkaniach zostały wytarte, to przecież odciski oskarżonej znaleziono w niezliczonych miejscach w mieszkaniu ofiary oraz że jedynie jej odciski znaleziono na narzędziu morderstwa.

Na to powstał obrońca i zadał dwa pytania.

- Panie Thomas - spytał - czy byłby pan zdziwiony, gdyby odcisków oskarżonej nie było w mieszkaniu narzeczonego? A także, gdyby ich nie było na przedmiocie, który nosiła w torebce?

- Owszem - odparł tamten.

- Dziękuję panu - powiedział obrońca i usiadł.

Trzeciego dnia proces nabrał pewnego rytmu, zaczął żyć własnym życiem. Obserwowałam jego przebieg z kompulsywną regularnością, z narastającym poczuciem lojalności wobec jednych oraz antypatii wobec innych, niczym osoba uzależniona od jakiejś opary mydlanej. Zaczęłam odnosić wrażenie, że nie ma to ze mną nic wspólnego, przynajmniej w sensie osobistym. Ja byłam jedynie hollywoodzką scenarzystką, której pomysł został przejęty przez tę maszynę produkcyjną.

Lila grała morderczynię, wobec czego na pewno to zrobiła. Odczuwałam fałszywą bliskość z tymi postaciami, wynaturzonymi przez ekran telewizyjny i przedzierzgniętymi w aktorów. Bo co w końcu było rzeczywistością? *Rambo* czy strzelanina na ulicach Bejrutu? Ani jedno, ani drugie nie zagrażało mnie, siedzącej tam w fotelu i palącej papierosy, jednego za drugim.

Dopóki nie przywrócono mi nagle zdrowego rozsądku. Włączyłam telewizor. Właśnie na schodach Sądu Karnego przeprowadzano wywiad z jakąś parą. Byli to Ida i George. Ida, przysadzista kobiecina w swoim najlepszym, niedzielnym stroju, pochyliła się do przodu i przemawiała do mikrofonu.

- Był uroczym chłopcem. Odrobinę niesfornym, ale wszyscy go kochali. Dopiero wchodził w życie. - Przerwała i zaczęła szlochać.

Siedziałam tam skamieniała. Czy wymieni moje nazwisko? Przecież niemal nie wiedziała o moim istnieniu. Nigdy się nie spotkałyśmy. Rozpoznałam ją tylko dlatego, że widziałam ją kiedyś na zdjęciu.

George objął żonę i spojrzał srogo w obiektyw.

- Gdyby nie poznał tej kobiety... - Miał na myśli Lilę, nie mnie.

- Nic już nie zwróci nam syna - łkała tymczasem jego żona. - Żyjemy teraz z dnia na dzień.

Następnymi świadkami oskarżenia byli różni portierzy, którzy widzieli Lilę w obydwu budynkach. Nocny portier z budynku przy Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy, Donald O'Reilly, potwierdził, że tamtego wieczoru panna Dune weszła około 22.15, a opuściła budynek około 23.35.

- Czy pan Parsons miał tego wieczoru, tej nocy z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty kwietnia jakichś innych gości?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

- Nie.

Potem miejsce dla świadków zajął ten facet o kawowym kolorze skóry. Siedziałam i obserwowałam go uważnie. Serce tłukło mi się w piersi. Podał swoje imię i nazwisko, Courtney Wilson, oraz adres domowy. Oznajmił, że tamtego wieczoru, 24 kwietnia, miał dopiero swój drugi nocny dyżur.

Rubinsky zbliżył się do niego powolnym krokiem.

- Proszę rozejrzeć się po sali sądowej: Czy jest tutaj ktoś, kogo świadek poznaje?

- Jasne — odpowiedział Wilson i wskazał ręką Lilę. Po czym dodał: - Chyba jak wszyscy?

Przez salę przetoczyła się fala stłumionego śmiechu. Wydawało się, że Courtney Wilsona otoczenie w ogóle nie onieśmiela; w końcu była to jego chwila sławy. Może zauważył go jakiś producent filmowy.

- Proszę jedynie odpowiadać na pytania - pouczył go sędzia.

Courtney potwierdził, że Lila weszła tamtej nocy do budynku około godziny 23.45.

- Czy świadek zauważył coś niezwykłego? - spytał Rubinsky.

Mężczyzna skinął głową. Zwrócił na moment wzrok ku obiektywowi kamery i spojrzał prosto na mnie. Skuliłam się w fotelu.

- Jasne - odparł. - Poczułem od niej alkohol.

- Jest świadek tego pewien?

Wilson skinął głową.

- Jak blisko świadek się znajdował? - spytał Rubinsky.

- O, tak blisko. - Pokazał rękoma. - Bo widzicie, ona dała mi autograf. Powiedziałem, że to dla mnie, ale, tak naprawdę to był on dla mojego taty. Lauriego.

Sala zachichotała. Mężczyzna rozejrzał się wokół z uśmiechem na twarzy.

- Ja aż tak nie przepadam za jej filmami. Ale tego jej nie powiedziałem. Powiedziałem, że to dla mnie. No to ona podpisuje się dla mnie, a ja widzę, że trzęsą się jej ręce. Wyglądało, jakby była zdenerwowana...

- Sprzeciw! - obrońca zerwał się na nogi.

- Podtrzymuję - oznajmił sędzia. Zwrócił się do Courtney. - Proszę trzymać się faktów, panie Wilson.

Poszłam na spacer. Na dole, na ulicach, powietrze przypominało wilgotną watę. Zatykało mi gardło; z trudem oddychałam. T-shirt lepił mi się do ciała.

Wlokłam się ociężale chodnikiem. Przez wszystkie te miesiące Lila grała zamiast mnie. Teraz gra w rzeczywistości. A na dodatek przekonująco! Bo czy to do niej niepodobne: być tak cholernie głupią, żeby prze-maszerować przed całą grupą świadków i zastrzelić kochanka? Zawsze wiedziałam, że ma pusto w głowie.

Minęłam czarnoskórego mężczyznę skulonego w wejściu do jakiegoś domu. Twarz miał obsypaną białym proszkiem, a na włosach skorupę z czegoś, co wyglądało na wysuszony szpinak. Chichotał.

Zwrócił się do mnie i powiedział mniej więcej tak:

- Szeszrobieśca swela?

Zatrzymałam się i odpowiedziałam mu całkiem wyraźnie:

- Sześć miesięcy temu zastrzeliłam człowieka.

Nie przestał chichotać.

- Ciposzłodymanie, stary? - spytał. Odchylił do tyłu głowę i zamknął oczy.

Widzicie? Ten też mi nie uwierzył! Mówiłam wam, że to się nie zdarzyło.

Tamtego wieczoru włączyłam telewizor i oglądałam *Najlepszych*. Oglądałam siebie, jak idę przez kort, jak ściągam z przegubu opaskę i potrząsam kasztanowymi włosami.

- Jestem naprawdę wykończona, Tourmaline - odezwałam się swoim poprawnym brytyjskim akcentem, którego polecono mi używać. - Zróbmy sobie po drinku i pogawędźmy.

Przyglądałam się temu niedorzecznemu widmu. Ubranemu w kokieryjną białą koszulkę. Kimże ona, do diabła, była?

Proces przybrał dla Lili niepomyślny obrót. Dni mijały, oskarżenie przedstawiało świadka za świadkiem, a wszyscy zeznawali przeciwko niej. Zalana łzami Fidelia potwierdziła, że to ona znalazła dowód rzeczowy nr 8, list od Trevora, który wyrzuciła do śmieci. Naciskana przez Rubinsky'ego potwierdziła, że pomiędzy panną Dune a panem Parsonsem doszło do całej serii wywołanych zazdrością kłótni, w jednym przypadku z użyciem przemocy, dodała jednak, że byli oni jednocześnie tacy ze sobą szczęśliwi, i czy nie kłóć się wszystkie pary, jej samej się to zdarzało, z własnym mężem Mariem, a w ogóle to nie wierzy, żeby jej pracodawczyni była zdolna uczynić coś takiego. - Tak się kochali. Zamierzali się pobrać! Ona miała mieć dziecko!

Niejaki doktor Schluss z Betty Ford Clinic wyjaśnił, że schizoidalne zaburzenia osobowości dotyczą ludzi uzależnionych od alkoholu lub narkotyków. Ciężkim, niemieckim akcentem tłumaczył ławie przysięgłych, zupełnie jakby jej członkowie byli dziećmi:

- Mają rozdwojenie jaźni, są zawsze dwiema osobami. Ta jedna tkwi uśpiona w tej drugiej; uwalnia ją jedynie jakiś bodziec chemiczny. Wtedy ta osoba ukryta przejmuje kontrolę... - Odwrócił się, żeby popatrzeć na mnie, przez telewizyjny ekran. Ja spoglądałam na niego przez papierosowy dym. - Osobę nieśmiałą uczyni to odważną, osobę będącą w rozpaczycy, szczęśliwą. - Przerwał, nie spuszczać ze mnie wzroku. - Osobę nieagresywną uczyni kimś, kto jest zdolny do ogromnej przemocy.

Zerwałam się z fotela i poszłam do kuchni, żeby zrobić sobie kawy.

Miejsce dla świadków zajął sprzedawca polis ubezpieczeniowych, mężczyzna w średnim wieku, niejaki Kirk Cooper. Potwierdził, że w maju 1987 roku spotkał oskarżoną w barze, w mieście Tulsa, w Oklahomie, gdzie ona kręciła właśnie film z gatunku country-and-western, *Potoki łez*.

- Jasne, że była pijana - mówił. - Była zalana w pestkę. Wypiliśmy więc jeszcze kilka drinków i poszła ze mną do mojego pokoju hotelowego. - Przerwał, uśmiechając się z zadowoloną miną. - Ja wiedziałem, co było potem, ale ona? W żadnym razie. Bo budzi się nazajutrz i powiada: „Kimże, do kurwy nędzy...”, o, przepraszam, „Kimże, do diabła, jesteś? Gdzie ja, do diabła, jestem?” Byłem nieco urażony. - Spojrzał na ławę przysięgłych i uniósł bezradnie ręce. - Może to, że tak powiem, pozbawić mężczyznę wiary w siebie, rozumiecie państwo? I czy ktoś mi uwierzył, kiedy mówiłem, że uprawiałem seks z Lilą Dune? - Przez salę sądową przetoczyła się fala śmiechu. - Mówili: „Tak, tak, na pewno”. - Puścił oko. - Tyle że miałem jej zapalniczkę. Bo widzicie, ona ją u mnie zostawiła.

- Sprzeciw! - Ralph Kahn, obrońca, zerwał się z miejsca. Był niewysoki i niesympatyczny. - Wysoki Sądzie, jaki to ma związek? Jeśli moja

klientka chciała wyrzucić z pamięci, co zresztą jest całkiem zrozumiałe, ową chwilkę zapomnienia... - Zmiażdżył wzrokiem Kirka Coopera. - O czym to zresztą świadczy, poza tym, że nie była pozbawiona gustu.

Niemniej, przed naszymi oczyma, zachodził powolny proces rozmontowywania Lili. Gazety opisywały wydarzenia ze źle skrywaną uciechą. Bo chociaż uwielbiają tworzyć idoli, o wiele więcej zabawy czerpią z obserwacji, jak idole walą się w gruzy. A takiej frajdy nie miały od czasu rozvodu Trumpów.

Kiedy pojawiły się szczegóły życiorysu Lili, odkryto że, by ująć rzecz łagodnie, miała ona nieco elastyczny stosunek do prawdy. Niektóre fakty wymyśliła, inne zafalszowała. Wykryto, na przykład, że kłamała na temat swojego wieku. Nie miała 39 lat, ale 43. Kahn grzmiał:

- Któraż kobieta tego nie czyni? Czyż nie jest to jej przywilejem... szczególnie, kiedy jest gwiazdą? Czego jeszcze wysłuchamy? Zeznań jej fryzjera, że rozjaśnia sobie włosy? To ma uczynić z niej morderczynię?

Piątego dnia procesu wszystkich nas czekała niespodzianka. Już wcześniej Fidelia wyszlochała, że Lila spodziewa się dziecka.

Teraz wezwano na świadka lekarza policyjnego, doktora Daniela Feinsteina. Potwierdził, że badał oskarżoną.

- Jakiej informacji udzieliła świadkowi przed badaniem? - spytał Rubinsky.

- Powiedziała, że jest w siódmym tygodniu ciąży.

- I co świadek odkrył podczas rutynowego badania wewnętrznego?

Lekarz pokręcił głową.

- Że nie jest.

- Mógłby to świadek wyrazić jaśniej?

- Że nie jest w ciąży. - Zwrócił się do ławy przysięgłych. - Nie jest brzemienna.

Słychać było syk wciąganych oddechów, a potem zapanowała pełna osłupienia cisza. Lila siedziała z kamienną twarzą. Irma odwróciła głowę i utkwiała w niej wzrok.

Ja też siedziałam nieruchomo i zastanawiałam się. Zatem udawała, że będzie miała dziecko; zastosowała tę najstarszą na świecie sztuczkę.

Moją sztuczkę, w jakimś sensie, tyle że ja planowałam doprowadzić rzecz do skutku. Ona udawała ciężę, żeby Trevor się z nią ożenił. Jakie to smutne!

Jeśli w tamtym momencie w sali sądowej zawrzało, to i tak było to niczym w porównaniu z tym, co nastąpiło potem. Po przerwie na lunch sąd zebrał się ponownie o godzinie 14.00. Żeby można było przekazać transmisję z procesu, przerwano nawet program *Tak się kręci świat*. Coś wisiało w powietrzu. Włączyłam telewizor. Jakiś łysiejący mężczyzna stał na miejscu dla świadków. Miał obwisłe wąsy, teksańską koszulę i cieniutki jak sznurowadło krawat. Podał, że nazywa się Albert Standing. Prowadzi sklep z kasetami wideo w Portlandzie, w Oregonie.

- Czy świadek może opisać, co go łączyło z oskarżoną? - spytał Rubinsky.

Tamten spojrział na Lilę. Ona przyglądała mu się z otwartymi ustami. Standing skinął głową.

- Była moją żoną.

Widzom zapało dech.

- Wzięliśmy ślub w czerwcu w sześćdziesiątym trzecim roku - oznajmił mężczyzna. - Ona miała szesnaście lat, a ja prawie osiemnaście.

Zapadła absolutna cisza - sąd przetrwał tę informację. Reporterzy pochylili głowy, notując pilnie. Ja siedziałam nieruchomo w fotelu, próbując to ogarnąć. Lila miała dwóch byłych mężów - Vince'a Quinna, kierowcę wyścigowego, oraz Bobby'ego Del Raya, właściciela nocnego klubu. Nie rozumiałam tego. Patrzyłam na twarze publiczności. Ludzie mamrotali i szeptali do siebie; szum narastał w ryk.

- Cisza na sali! - skarcił ich ostro sędzia. Rubinsky spytał:

- Oskarżona spodziewała się wówczas dziecka, zgadza się?

Standing skinął głową.

- Chodziliśmy ze sobą kilka miesięcy. Ona była jeszcze uczennicą. Więc zrezygnowała ze szkoły i się pobraliśmy.

Zamilkł. Ludzie wykręcali szyje, żeby popatrzeć na Lilę. Pochyliła nisko głowę; widać było jedynie jej blond włosy. Dostrzegłam ich ciemne odrosty.

- Poród był bardzo ciężki - ciągnął mężczyzna. - Obie o mało co nie umarły. Ale jednak się urodziła. Daliśmy jej na imię Jasmine. - Przerwał i spojrzał w kierunku Lili. Nie podniosła głowy. - Od razu wiedzieliśmy, że coś jest nie tak. Że nie jest jak inne niemowlaki. - Zamilkł ponownie. Wydawał się teraz pełen jakiejś dziwnej godności. Sąd czekał cierpliwie. Ktoś odchrząknął. - To chodziło o tlen. Pępowina owinęła się wokół jej szyi, uszkodziła mózg. - Nagle podniósł wzrok i zaczął mówić do ław z publicznością; nie wiedział, że trzeba się zwracać do ławy przysięgłych. - A ona taka młoda! To nie była jej wina!

Rubinsky spytał:

- Czy świadek mógłby nam powiedzieć, co się wydarzyło trzeciego grudnia sześćdziesiątego trzeciego roku?

- Oboje byliśmy zaledwie dziećmi! Jej przyjaciele zabawiali się, chodzili na imprezy. Właśnie coś takiego ona powinna była robić. Była najładniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem.

Zamilkł. Spojrzał na Lilę; ona też uniosła głowę, na chwilę. Tymczasem on zwrócił się do sędziego.

- Nie powinien był pan mnie tu sprowadzać - powiedział. - To było dawno temu. Gadanie o tym teraz nie ma sensu.

Rubinsky spytał:

- Czy mógłby nam świadek powiedzieć, co się wydarzyło tamtej nocy?

Standing milczał jeszcze przez chwilę, po czym zaczął mówić. Cicho, jakby mówił do siebie.

- Mała calutki czas krzyczała. Bez przerwy. Zawodziła jak piła łańcuchowa. Nic nie mogło jej uspokoić. Doprowadzało nas to do szaleństwa. Nie reagowała na nas ani na nic. Tylko wrzeszczała. - Zamilkł.

Sędzia spytał łagodnym głosem:

- Co się wydarzyło?

Z oporami, powoli, wyszła na jaw cała historia. Lila wyszła wieczorem z domu, a on został z córką. Ona poszła gdzieś z grupą facetów i

wróciła pijana. Tamtej nocy, kiedy niemowlę obudziło się z wrzaskiem, napełniła wodą wanienkę i próbowała je utopić.

Dziecko przeżyło. Lili nie skazano. W istocie ona wszystkiemu zaprzeczyła. Po prostu nie pamiętała, żeby coś takiego zrobiła. Zalecono trzyletnią obserwację psychiatryczną.

Jasmine miała teraz dwadzieścia siedem lat. Spędzała życie w zakładzie psychiatrycznym; była w zbyt poważnym stanie - inaczej niż większość pensjonariuszy tego zakładu - żeby można ją choć na chwilę wypuścić stamtąd. Lila nigdy nie odwiedziła córki. Kilka tygodni po tamtym wydarzeniu ona i Standing rozstali się i ostatecznie rozwiedli. On przeniósł się na drugi koniec Stanów, do Oregonu, gdzie rozpoczął nowe życie.

Poniżej mnie, na jednym z dachów, jakiś nagi mężczyzna boksował się z cieniem. Na oczach miał przepaskę; jego ciało błyszczało. Za nim wznosiła się tylna ściana następnego budynku mieszkalnego z groźną płataniną schodów przeciwpożarowych, rdzewiejących okiennych ram oraz wyszczerzonych niczym zęby urządzeń klimatyzacyjnych. Czy zauważyliście kiedyś, jak złowieszco wyglądają budowle Nowego Jorku od tyłu? Zza tego wszystkiego dochodziło jeszcze trąbienie zablokowanych w korku samochodów.

Rozpaczliwie potrzebowałam drinka; wylałam resztę wermutu do kieliszka. Miłą ode mnie chirurdzy rozcinali Lilę, a ja wiedziałam, że powinnam tam pobiec i krzyknąć: Nie róbcie tego! Przestańcie! Odłóżcie noże!

Nie mogłam się jednak ruszyć z miejsca; w każdym razie nie na tyle, by wyjść z mieszkania. Ni stąd, ni zowąd wściekłam się na Trevora i na siebie. Udało mi się wstać, wyciągnąć jego pocztówki z walizki i wepchnąć je do pojemnika na śmieci. Udeptałam je nogą, wcisnęłam pomiędzy mokre torebki z herbatą i liście sałaty. „Ululany” - czytałam - „angolka”. Ten głupi drań nie znał nawet ortografii.

No i z głowy, pomyślałam, spoglądając na chromowany pojemnik.

* * *

Lila urodziła kiedyś dziecko! Choć reszta z nas wydawała się już mar-twa, to jedna uszkodzona dorosła wciąż żyła. Dla świata urodziła się dopiero tamtego popołudnia. Ciekawe, czy Lila powiedziała Trevowi o jej istnieniu. Być może nawet oni nie byli ze sobą aż tak blisko.

A może byli. Kto to mógł wiedzieć, teraz? Nie moją sprawą było o to pytać. Leżałam na łóżku, wpatrując się w sufit. Nagle przytłoczyło mnie poczucie winy. Zupełnie jakby uniosła się mgła, na jedną chwilkę, uka-zując zakazany widok. Wiedziałam, że nie powinnam pozwolić, by ją ukarano, że powinnam pójść na policję i złożyć zeznanie, zanim będzie za późno.

Wydało mi się to jednak bardzo melodramatyczne i wręcz niesamo-wicie dziwaczne. Równie szalone jak okładanie pięściami powietrza przez tamtego nagiego mężczyznę. Po prostu wydawało się to niemożli-we. Musiałabym poszukać w książce telefonicznej numeru komisariatu... czy byłby tam pod nazwą? Znaleźć najbliższy, udać się tam i poprosić kogoś. Kogo? A potem wyapać tę moją niewiarygodną historyjkę, jak jakaś żalosna fanka wpadająca bez zaproszenia do swojej idol-ki. Usiłu-jąca skorzystać z jej sławy. Usiłująca, żałośnie, być jej dublerką w rze-czywistym życiu.

Wszystko to wydawało się o wiele bardziej niedorzeczne niż proces Lili o morderstwo. Ona jest dzieciakiem z zaburzeniami, powiedział wtedy Rodney, a ja teraz wiedziałam, co miał na myśli. Wszystko się teraz zgadzało i miało sens. O wiele więcej sensu niż tamte mętne i zamazane wydarzenia pewnej kwietniowej nocy, kiedy to owi-nięty w płaszcz kąpielowy manekin zapadł się głęboko w fotel i nie chciał już z niego wstać.

Tego samego wieczoru pojawił się Roly. Wołałabym, żeby nie przy-chodził. Nie znosiłam, kiedy odwiedzał mnie w moim mieszkaniu; czu-łam się wtedy, jakby mnie demaskowano.

- Na pewno dobrze się czujesz, kochanie? - spytał kilkakrotnie. - Bo wyglądasz okropnie.

- Nic mi nie jest - odparłam i dałam mu kawałek szarlotki upieczonej z pełnoziarnistej, pszennej mąki.

- Kiepsko to wszystko wygląda - oświadczył. - Ona nie ma najmniejszej nadziei na wygranie tej sprawy. Bo co takiego ma obrona? Brak motywu. To wszystko, co mają. Co jeszcze? Wiesz, co jeszcze? Fakt, że Lila utrzymuje, iż tego nie zrobiła. - Podniósł ręce. - Mają a k t o r k ę , która zapewnia o tej swojej cholernej niewinności! Przecież ona całą swoją k a r i e r ę zbudowała na kłamstwach!

Tamtej nocy leżałam w łóżku i pociłam się jak szalona. Mówiłam sobie: Gwiazd filmowych nie zamykają w więzieniu. Zamykają ludzi takich jak ja. Zwykłych ludzi. Lila miała immunitet. Spowita była we własne opakowanie ochronne. Ludzie je wyczuwali, gdziekolwiek się pojawiła. Odwracali się, żeby ją obserwować. W korkach ulicznych zwykłam trzymać się blisko jakiegoś białego rolls-royce'a, bo wiedziałam, że ten zawsze znajdzie możliwość przejazdu. Ciągnął mnie za sobą jak magnes. Normalne reguły nie dotyczą gwiazd filmowych. W tym tkwi ich istota. Stanowią część magii.

Tamte dzieci, poprzedniego lata, wiedziały o tym. Wszystkie uciekły, bo chciały ujrzyć Lilę. Opuściły mnie, odzianą w te fałszywe wspaniałości z Oxfamu. Nie chciały mojej udawanej bajki, wołały rzeczywistość. Podobnie jak ja. Poza tym bajki zawsze kończą się szczęśliwie. Po to przecież istnieją.

Obronca Lili, Ralph Kahn, próbował ją namówić, żeby zmieniła zeznanie. Chciał wykręcić całą tę sprawę tak, żeby pasowała do dowodów przedstawionych przez oskarżenie. Zachęcał ją usilnie, by przyznała się do zabójstwa w stanie niepoczytalności.

Ona jednak odmówiła.

- Ma kompletnie pokręcone w głowie - powiedział mi Roly przez telefon. - Wiemy, że to zrobiła, o n a s a m a zdaje się czasami to wiedzieć. A przynajmniej jest całkowicie zdezorientowana. Obudziła się tamtego ranka i wyglądało na to, że wychodziła z domu. Futro na podłodze i

w ogóle. Bo widzisz, ona nie ma dość siły psychicznej, by znieść to, przez co musi przejść. Te pytania, ta sprawa z jej córką. Ta sala sądowa, ten szok. Jeśli człowiek nie załamuje się na samym początku, to załamie się pod koniec. Proces ostatecznie coś takiego z człowiekiem zrobi.

Dziewiątego dnia Lila zajęła miejsce dla świadków. Całe miasto zniechęciło i ucichło. Przynajmniej takie można było odnieść wrażenie. W powietrzu wyczuwało się burzę. Od świtu ludzie stali w kolejce, żeby dostać miejscówki na salę sądową; poranne wiadomości WCBS pokazały tłum ciągnący się wężem na schodach gmachu sądu.

Mnie chwyciły skurcze żołądka. Napływały całymi falami. Chwilami były tak bolesne, że jęczałam, jak przy porodzie. Potem znikwały na kilka minut i znów ponawiały atak.

Wypiłam herbatę ziołową, filiżanka pobrzękiwała, kiedy stawiałam ją na talerzyku. Włączyłam telewizor i patrzyłam, jak zaprzysięgają Lilę. Miała na sobie białą bluzkę. Żadnej biżuterii; kompletnie nic. Ściągnięte do tyłu włosy odsłaniały bladą twarz. Lila wyglądała, jakby się skurczyła; robiła też wrażenie straszliwie zdenerwowanej.

Natomiast Rubinsky wyglądał tamtego ranka świeżo i wytwornie. Niemalże czułam zapach jego wody kolońskiej. Przechadzał się w tę i z powrotem, pytał Lilę o jej związek z Trevorem i czy była jakaś prawda w pogłoskach, że zamierzał ją porzucić dla innej kobiety. Zaprzeczała, kręcąc przy tym głową. Poprosił o przedstawienie wydarzeń z wieczoru 24 kwietnia.

- Wzięłam kilka mogadonów - powiedziała. Mówiła cicho, z wahaniami. - Podwójnej mocy. Dostaję je od swojego lekarza. Poszłam spać.
- Która była godzina?
- Około dziewiątej trzydzieści.
- Dziewiątej trzydzieści - powtórzył.

Podszedł do stenografki i wrócił na poprzednie miejsce. Wydawał się głęboko zamyślony. Jak każdy dobry fachowiec grał dla sali - robił pauzy,

wciągał publiczność. Zdałam sobie nagle sprawę, że to Rubinsky jest dzisiaj aktorem, a nie Lila.

- Czy piła pani alkohol?

-

Nie.

- Na pewno?

- Rzuciłam picie - odparła.

Zamilkł i rozejrzał się po sali, jakby mówił: Więc rzuciła, hę? W i e - r z y c i e w t o ? Zwrócił się ponownie do niej.

- Poszła pani zatem do łóżka i natychmiast zasnęła?

- Wpierw zadzwoniłam do Te.

- Pana Parsonsa?

Skinęła głową.

- Zadzwoniłam, żeby mu powiedzieć dobranoc.

- I co pani powiedziała?

- To, co zazwyczaj. - Zamilkła. - No wie pan.

- Co konkretnie?

Spojrzała na niego.

- Różne rzeczy. Przez jakiś czas miałam go nie widzieć. Do następnego wieczoru. - Głos miała spokojniejszy. - Wydawało mi się to długo i tyle.

- A co on powiedział?

Milczała przez chwilę.

- To, co zwykle - odpowiedziała w końcu.

- Coś jeszcze?

- Powiedział, że od zapachu farby boli go głowa. Potem powiedzieliśmy sobie dobranoc i ja zasnęłam.

Rubinsky zatrzymał się.

- Zasnęła pani?

Skinęła głową.

- I co się wydarzyło potem?

- Obudziłam się rano, o szóstej trzydzieści.

Rubinsky uniósł swoje gęste brwi.

- Nie opuszczała pani mieszkania tamtej nocy?

Pokręciła głową.

- Pozwolę sobie spytać raz jeszcze, panno Dune. Proszę się nie spieszyć z odpowiedzią.

- Nie wychodziłam z mieszkania. Bo niby po co?

- Proszę nie zapominać, że zeznaje pani pod przysięgą.
- Spałam!
- Jak wytłumaczy pani fakt, że portier w pani budynku widział, jak wychodzi pani pięć minut po dziesiątej...
- Nie widział!
- Że portier w budynku pana Parsonsa widział, jak wchodzi pani piętnaście po dziesiątej...
- Nie poszłam tam!
- Ci dwaj mężczyźni tak zeznali, pod przysięgą...
- Nie poszłam! - Zamilkła; cała się trzęsła. - Chciałam iść, ale nie poszłam.
- Chciała pani iść?
- Chciałam go zobaczyć. - Opuściła głowę; mówiła do podłogi. - Tęskniłam za nim. Bardzo. Po prostu chciałam się z nim zobaczyć. Nigdy pan czegoś takiego nie czuł? - Podniosła wzrok. - Ale nie poszłam.
- Rubinsky poprosił o okazanie dowodu rzeczowego nr 3, pistoletu. Następnie poprosił Lilę, by zidentyfikowała broń.
- Rozpoznaje to pani?
- Skinęła głowę.
- Chyba tak.
- Proszę odpowiadać tylko tak lub nie.
- Tak.
- Czy należy do pani? Skinęła głowę.
- Jak wyjaśni pani fakt, że ten pistolet...
- Dlaczego miałabym do niego strzelać? - wykrzyknęła. - Myślicie, że jestem szalona? Kochałam go! Dlaczego, do jasnej cholery, miałabym go zabijać, skoro go kochałam? Może i robiłam czasem jakieś dziwne rzeczy, ale przecież nie mam kompletnego fioła! Kochaliśmy się, zamierzaliśmy się pobrać, miałam urodzić jego dziecko...
- Panno Dune, wie pani, że to nieprawda...
- Nikt mi nie wierzy! Dlaczego pan mi nie wierzy? - Patrzyła na niego zdruzgotana. Jej twarz wyglądała tak, jakby ktoś przeorał ją szponami. - Dlaczego miałabym go zastrzelić? Ja pragnę jedynie go odzyskać! - Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła lkać. - Chcę, żeby wrócił.

* * *

Wydano werdykt: winna. Dowody, że uczyniła to, znajdując się pod wpływem alkoholu, były przytłaczające. Nikt nie uwierzył w jej zeznanie, chociaż „News” pochwaliły ją za „najlepszy występ w karierze”. Jaka szkoda, dodały, że nie mogła zań otrzymać Oscara, który dotąd wymykał jej się z rąk. Przed wydaniem wyroku sędzia oświadczył: - Nie może istnieć inne prawo dla zamożnych i inne dla biednych, niemniej uwzględnię zarówno fakt, że oskarżona została sprowokowana, jak i jej stan psychiczny w chwili popełniania tego czynu. - Skazał ją na osiem do dwudziestu pięciu lat więzienia.

Trzy

Po tym wszystkim czułam się zadziwiająco lekka, jak gdyby mi usunięto z wnętrza jakiś zatruwający mnie guz. Czułam się wyswobodzona, zwiewna. Wędrowałam ulicami, kobieta wolna. Teraz nikt nie mógł mnie dopaść. Od miesiący jakiś monstualny płód wysysał ze mnie życie. Obecnie, po ciężkim i trudnym porodzie, oznajmiono, iż urodził się martwy.

Zrezygnowałam z planów powrotu do Londynu. Załatwiłam, co trzeba, przez telefon. Postanowiłam pozostać w Nowym Jorku, jako że teraz już nie miałam się czego lękać. Owszem, nocami mieszałam kłopoty z zaśnięciem i musiałam brać mogadon. Sny też mieszałam dość dziwne. Niemniej, powtarzałam sobie, że z czasem wszystko to się poprawi. Lilę wysłano do Kobiecego Zakładu Karnego w Bedford Hills, gdzie miała rozpocząć odsiadanie wyroku. Zatem wszystko się już skończyło.

Teraz, kiedy obejrzano mnie w *Najlepszych* - powróciłam do tego serialu na następne sześć odcinków - zaczęły napływać oferty pracy. Wyglądało na to, że moja kariera nabierze przyśpieszenia. W jakiś dziwny sposób odczuwałam to jak przejęcie pałeczki od Lili, w BCM. Sto szczebli niżej, niemniej przejęcie. Roly zaproponował mi nawet do niewielkiej roli w przygotowywanym filmie - do epizodu zarezerwowanego dla Lili, choć w jej wypadku naturalnie nazwano by występem gościnnym.

- Jak tam twój amerykański akcent, skarbie? - spytał Roly.
- Wyśmienicie - odparłam z uśmiechem. - W każdej chwili mogę się podawać za Amerykankę. Nikt się nie zorientuje.

Nie dostałam w końcu tej roli. Poczułam ulgę; byłoby to dość makabryczne, nie uważacie? Niemniej wspinałam się coraz wyżej, co do tego nie miałam żadnych wątpliwości.

I nagle, pewnego listopadowego dnia, odebrałam telefon. Czy zechciałaby pani wystąpić w *Marv Winfield Show*?

Nie miałam pojęcia, o czym oni mówią. Wy pewnie też nie. Bo *Marv Winfield* był dość efemerycznym talk show, stworzonym po to, by odebrać nieco oglądalności Johnny'emu Carsonowi, czego zresztą, w tym krótkim czasie, kiedy go nadawano, nie udało mu się osiągnąć. Głównie za sprawą prowadzącego. Winfield był bowiem najwyraźniej znakomitym eksfutbolistą, którego talenty nie obejmowały sztuki dynamicznej konwersacji.

Roly poradził, żebym przyjęła zaproszenie; to dobra reklama. Wobec czego wyraziłam zgodę.

Los, przeznaczenie to dziwne sprawy. Po fakcie, kiedy spoglądamy wstecz, mówimy sobie, że tamtego ranka czuliśmy się nieswojo; że mieliśmy przeczucia. W ten sposób usiłujemy znaleźć jakiś sens w tym przyprawiającym o zawrót głowy, działającym zupełnie losowo wszechświecie. Jednak tamtego dnia, kiedy wyszłam na cichą ulicę w srebrnej sukni Kopciuszka, nie miałam absolutnie żadnych przeczuc, że moje życie ulegnie przemianie. Przypadkowy kaprys kierownika produkcji *Okowów ciała*, przypadkowy cios tamtego nieznanego męża dublerki, który zabrał ją z planu i odmienił moje życie - niczym *Titanic*, żeglowałam radośnie w mrok; nie miałam żadnych przeczuc co do potężniejących mocy koincydencji wypadków.

Tego ranka, kiedy miano nadawać program, nie czułam nic. Naturalnie, byłam trochę zdenerwowana, ale kładłam to na karb tremy. Program rejestrowano rano, a nadawano wieczorem. Nie miałam pojęcia, że wydarzenia zostały już wprawione w ruch, że rozpoczęło się dyskretne odliczanie.

Oprócz mnie do programu zaproszono czarnoskórą ofiarę zbiorowego gwałtu, imieniem Macey, oraz człowieka, który importował najmodniejszego ostatnio w Nowym Jorku domowego zwierzaka, brzuchatą

wietnamską świnkę. Facet utrzymywał, że te zwierzęta są czyste i przywiązują się do właściciela. Kiedy podczas przerwy wyprowadzono go ze studia, świnka wyrywała mu się z rąk. Potem ja zajęłam jego miejsce. Publiczność przywitała mnie oklaskami. Miałam na sobie nowy jedwabny żakiet ze spodniami i szpilki. Usiadłam na beżowej, skórzanej kanapie, ktoś tymczasem wpuścił mi za dekolt mikrofon, a Marv Winfield spoglądał na mnie rozpromieniony. Był postawnym, sympatycznym mężczyzną, mnie zaś już wcześniej poinformowano dokładnie o temacie rozmowy: Brytyjczycy w Hollywood. Czulałam się całkowicie bezpieczna.

Puszczono w ruch kamery. Gawędziliśmy o mydlanych operach oraz o sukcesie, jaki odniosły Joan Collins i Stephanie Beacham.

- Czy uważasz się za osobę fascynującą, Jules?

Pokręciłam przecząco głową.

- Uważam się po prostu za aktorkę.

- Osiągnęłaś wielki sukces w *Najlepszych*; od czego rozpoczęłaś karierę?

Opowiedziałam mu o swoich początkach w RADA i o różnych rolach scenicznych, nie wspominając o całej mizerii otoczenia, w jakim je grałam. W obliczu widzów wszyscy zmieniamy się w osobistości. Kształtuje nas obecność publiczności i jej reakcje. Stwierdziłam, że w rezultacie wyłania się obraz dawnej Jules - zaangażowanej, społecznie wrażliwej aktorki, która poświęcając się swemu rzemiosłu, walczyła z thatcherskim filisterstwem. Nabierając rozpędu, paplałam o teatralnej społeczności i o wielokulturowych warsztatach.

- Wiele pracowałam z cierpiącymi na zaburzenia dzieciakami - powiedziała. - Dało mi to cudowną zaprawę przed pracą z hollywoodzkimi reżyserami.

Publiczność wybuchła śmiechem. Och, co za muzyka dla moich uszu! Zaczęłam się świetnie bawić. Uniosłam dłoń.

- Popatrzcie... oto blizna, w miejscu, gdzie ugryzł mnie jeden z tamtych dzieciaków. Pewnie był początkującym krytykiem. - Śmiech przybrał na sile. - Nowym Frankiem Richem.

Winfield zerknął do swoich notatek.

- Z tego, co wiem, zaczęłaś tutaj w charakterze dublerki Lili Dune — powiedział.

Zesztywniałam.

- Owszem.

Uśmiechnął się.

- Może opowiesz nam o niej?

Wzruszyłam ramionami.

- Praktycznie ze sobą nie rozmawialiśmy. Dublerki są niczym. To takie przynośki, dziewczęta na posyłki. Ona do kupowania papierosów wzięła sobie mnie.

Na szczęście czas dobiegł końca. Gospodarz programu życzył mi powodzenia w przyszłości.

Do domu odwiozła mnie limuzyna. Pojechałam windą do swojego prawie-że penthouse'u na dwudziestym trzecim piętrze. Pomyślałam sobie: Następny przystanek - Central Park West. Skóra swędziała mnie od telewizyjnych świateł. To pytanie o Lilę wywołało u mnie co prawda pewien wstrząs, ale nie było najmniejszego powodu do zmartwienia. Nawet już nie przypominałam jej wyglądem.

Popatrzyłam na siebie w lustrze. Włosy miałem teraz jeszcze krótsze. Ponownie ufarbowałam je na kasztan. Przyjrzałam się swojemu odbiciu. Miałam takie dziwne uczucie, kiedy mówiłam o swoim życiu w Anglii. Zupełnie jakbyśmy rozmawiali o mojej dalekiej kuzynce, której nie widziałam od lat. „Wyglądasz, jakbyś była dawno niewidzianą kuzynką, rodzinnym kujonem”.

Pod wpływem nagłego impulsu udałam się tamtego popołudnia do salonu pielęgnacji paznokci przy Trzeciej Alei i kazałam sobie zrobić manikiur. Tym razem z jedwabną osłonką na paznokciach, jak Lila. Kiedy tam siedziałam, pomyślałam o programie, w którym wystąpiłam. Przyszło mi do głowy, że wystarczyłoby zaledwie kilka moich słów, a oglądalność stacji poszybowałaby do chmur. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie nagłówki. SENSACJA U WINFIELDA! DUBLERKA PRZY-
ZNAJE SIĘ DO ZBRODNI!

- Wszystko w porządku?

Otworzyłam oczy. Wyraźnie zaintrygowana orientalna buzia pochyliła się nade mną. Manikiurzystka.

* * *

W następnym tygodniu wydarzyło się coś niepokojącego. Spędzałam właśnie noc z Rolyem. Nasz seksualny związek, wygaszony podczas procesu Lili, powoli wracał do życia. Tamtego wieczoru kładłam swoją ospałość na karb jego przegrzanego mieszkania, jemu natomiast zebrało się na rozmowy.

- Naprawdę zrobiłaś się dziwna - oznajmił. - Zdajesz sobie z tego sprawę? - Siedział nagi w nogach łóżka. Zwały tłuszczu na jego ciele przypominały mi o tamtym prosiaku z programu.

- Nic mi nie jest! - zaprotestowałam.

- Może powinnaś pójść do...

Przyjrzałam mu się.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Znam tego gościa... najlepszego w branży...

- Absolutnie nic mi nie jest!

- Co innego słyszę - rzucił. Zesztywniałam.

- Słyszysz? - wyszeptalam. - Od kogo?

- Od ciebie.

Zamilkłam.

- Ode mnie?

- W nocy. - Wskazał drugą sypialnię. - Tam przecież sypiam. Stamtąd cię słyszę.

Zapadło dłuższe milczenie.

- Co słyszysz? - spytałam w końcu.

- Jakby... jakby ktoś wyrывał ci wnętrzości. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś wydawał takie dźwięki. Pewnie płaczesz.

Wysłałam kilka minut później. Żadnych więcej noclegów u niego. Wróciłam do domu taksówką. Przebiegłam hol i wsiadłam do windy. Pamiętam, że spojrzalam na zegarek. Była 22.30.

W momencie, w którym przekroczyłam próg, wiedziałam już, że ktoś tam wcześniej był. Powietrze miało inny zapach. Woń innej ludzkiej istoty.

Stałam w miejscu jak przymurowana. Wpatrywałam się w ciemne plamy mebli. Słyszałam, jak burczy mi ze strachu w brzuchu; zaskakująco głośno. A potem zapaliłam światło.

Przeszukałam całe mieszkanie. Nikt się w nim nie ukrywał. Wyglądało na to, że niczego nie ukradziono... magnetowid i wieża stały na miejscu. Ktoś jednak złożył tu wizytę. Poprzestawiał różne rzeczy. Jedna z szufladek biurka była uchylona; w szafie w ścianie walizki leżały jedna na drugiej, ale w innej niż poprzednio kolejności.

Ktoś próbował mnie obrabować. Tak sobie wówczas pomyślałam. Skoro jednak im w tym przeszkodziłam, jak to możliwe, że nie wpadłam na nich, kiedy wychodzili? Skąd wiedzieli, że właśnie wracam do domu? A jeśli się włamali, dlaczego zamek w drzwiach nie był uszkodzony?

Może właściciele wrócili z Europy. Planowali pobyc tam sześć miesięcy, ale może wrócili wcześniej i wpadli, żeby coś zabrać.

Nic z tego nie miało sensu. Nie wtedy.

Cztery

Dostałam niewielką rolę we thrillerze, który właśnie zaczynali kręcić w Nowym Jorku. Praca na pięć dni. Miałam zabrać angielską rehabilitantkę, która pomaga głównemu bohaterowi wrócić do sił po tym, jak mafia próbowała go zabić. We czwartek po włamaniu, 23 listopada, zadzwonił do mnie Roly. Założyłam, że w sprawie pracy, którą miałam rozpocząć za kilka dni. Myliłam się jednak.

- Złotko - powiedział - byłem dzisiaj w Bedford Hills odwiedzić Lilę. Prosiła, żebym ci coś przekazał.

Milczałam. Wreszcie zapytał:

- Jesteś tam?

- Jasne - rzuciłam. Wypuściłam powietrze. - Co powiedziała?

- Powiedziała, że bardzo by się ucieszyła, gdybyś ją odwiedziła.

- Że co?

- Ona chce, żebyś ją odwiedziła.

Pierwszą moją reakcją był bieg do łazienki, żeby zwymiotować. Uklękałam na podłodze i mocno chwyciłam dłońmi porcelanową muszlę. Morze ciskało mną, a ja kurczowo trzymałam się koła ratunkowego. Długo tak klęczałam, nie śmiałam się stamtąd ruszyć.

Potem gardło miałam zżarte kwasem; czułam, jakie jest poorane, jak gdyby ktoś tarł je papierem ściernym. Patrzyłam w lustro w swoje przekrwione oczy. Wyglądałam jak szalona. Wyglądałam jak jedna z tych, których spotykałam w atriach.

Co, na Boga, miałam zrobić? Przecież nie mogłam tam pojechać. Jak mogłabym stanąć z nią twarzą w twarz? Co miałabym powiedzieć? Co ona zamierzała powiedzieć?

Pójście do więzienia przypomina śmierć. Następuje tak nagle. Wyrwają człowieka z domu, który opuszcza go tak, jak załoga opuściła Marie Celeste, w samym środku codziennych zajęć. Przewożą, zamkniętego i milczącego, niczym jakiś tłumok. Sześć tygodni wcześniej Lila praktycznie umarła. Teraz natomiast przemówiła, a jej głos wywołał u mnie prawdziwy zamęt.

Podjęcie decyzji zabrało mi wiele godzin. Najpierw myślałam, że nie pojedę, wiedziałam jednak, iż jestem w tym względzie bezsilna. Nie mogłam się oprzeć jej syreniemu głosowi; nadal miał moc zdolną przywołać mnie do jej boku. Rumieniec okrył mi twarz; czy to nie było niedorzeczne?

Po ciężkich zmaganiach z samą sobą postanowiłam jechać. Na pół godziny. Dziwnie by wyglądało, gdybym tego nie zrobiła. Poza tym Roly wyjawił mi, dlaczego Lila chciała się ze mną zobaczyć.

- Mówi, że czuje się samotna. Nikt jej nie odwiedza oprócz Imy i matki, a one irytują ją jak wszyscy diabli - oznajmił. - Kiedy wspomniałam, że będziesz grać w *Trupie na miejscu*, powiedziała, że koniecznie musisz ją odwiedzić. Chce ci podać różne pikantne szczególiki na temat reżysera. Pracowała z nim przy *Berku*. - Brzmiało to wszystko całkiem niewinnie.

Zatem następnego dnia wsiadłam do pociągu odchodzącego z Grand Central. Byłam ogromnie przejęta. Podejrzliwa natomiast nie; ani trochę.

Podróż trwała godzinę. Jechałam na północ, należąca do Metro North linią Harlem. Siedziałam w pustym wagonie. Skoncentrowałam się na nazwach stacji, odliczałam je sobie, jedną po drugiej. Bronxville... Scarsdale... White Plains. Siłą woli chciałam doprowadzić do tego, co niemożliwe, mianowicie, żeby liczba stacji raczej się zwiększała, niż malała, żeby puchła na podobieństwo przewijanej do tyłu taśmy filmowej. Czułam się jak dziecko idące do dentysty; przeklinałam bezlitosny,

nieustanny upływ czasu, który popychał mnie do przodu. Wypalone skorupy budynków Harlemu dawno już pozostały w tyle, a ja znalazłam się w krainie dojeżdżających do pracy. Słońce oświetlało drewniane domy. Przesuwały się one do tyłu, równie niewinne i nierealne jak tamte podparte od tyłu atrapy domów ustawione do kręcenia filmów. Nic na świecie nie wygląda równie niewinnie jak amerykańskie dzielnice podmiejskie. Minęłam bank dla zmotoryzowanych udający wiejski domek. Minęłam klinikę dla zwierząt „Walhalla”, przypominającą kościół. Żadnych śladów życia. Mieszkańcy tych dzielnic-sypialni spędzali te długie, chłodne popołudnia na drzemce. Chwilami jedynie mijałam niewielkie połąci dzikiej roślinności pośród mokradeł, tak zaskakujące jak niespodziewany widok włosów pod pachami.

Dojechałam do Bedford Hill i wysiadłam. Stacja była pusta. Główna ulica miasteczka, z nieruchomymi, zaparkowanymi samochodami, była zupełnie cicha. Mijałam maleńkie sklepiki jak bombonierki, prowadzone przez żony tych dojeżdżających do pracy do Nowego Jorku. „Wstąpcie do naszej cukierenki” - zachęcał ręcznie wykonany napis. Zatrzymałam się przed czymś, co nazywało się „Upominki u Jeni”. Nagle opanowało mnie dziwne uczucie. To miasteczko to jedynie fasada; te sklepiki wzniesiono w związku z moją wizytą. „Piekarnia Taffy'ego”, z wystawą pełną bułeczek, była równie nieprawdziwa jak tamten dickensowski sklepik na rogu, gdzie pierwszy raz, tamtego parnego dnia, ponad rok wcześniej, zobaczyłam Lilę. To miasto było po prostu filmową dekoracją, którą po moim wyjeździe zdemontują.

Poczułam wielki niepokój. W tamtej chwili niemalże zawróciłam, by pospieszyć z powrotem na stację i uciec. Prawie to uczyniłam. Jednak Lila wciąż przyciągała mnie do siebie. Wobec tego znalazłam taksówkę, a ona zawiozła mnie do odległego o milę zakładu karnego.

Nigdy nie zapomnę momentu, w którym pierwszy raz zobaczyłam więzienie. Solidne, ceglane, przypominało zbudowaną w stylu wiktoriańskim elektrownię. Położone było w dolinie i otoczone burymi drzewami. Wokół

budynków ciągnął się wysoki mur, na którego szczycie tkwiły kłęby kolczastego drutu. Wieża strażnicza była wysoka jak komin fabryczny.

Skierowano mnie do przenośnej kabiny, z której płatami luszczyla się farba. W kabinie sprawdzono, czy nie mam przy sobie metalowych przedmiotów. Na ścianie widniały dwa napisy, po hiszpańsku i po angielsku. Funkcjonariusz przeszukał moją torebkę; wyjął z niej plan miasta, zapalki oraz pęk kluczy. Włożył to wszystko do szarej, papierowej koperty i odłożył na bok. Podziękowałam po cichu Bogu, że już nie noszę przy sobie kluczy do mieszkania Lili; ukryłam je w domu. On by ich co prawda nie rozpoznał, ale ja owszem, a przecież musiałam teraz zachować przytomność umysłu. Położyłam dłoń na biurku, a on ostemplował ją niewidzialnym tuszem, zupełnie jak gdybyśmy wchodzili do jakiegoś ekskluzywnego nocnego klubu, do którego dobija się cały Nowy Jork. Wreszcie dali mi spokój i poprowadzili przez ogromną siatkową bramę, którą otworzył inny funkcjonariusz. Przeszłam przez dziedziniec i przez następną bramę, do głównego wejścia. Nagle zachwiałam się. Poczułam dławienie w gardle; dostałam się w szpony klaustrofobii. Teraz mnie mają, pomyślałam. To wszystko, to wyrefinowana sztuczka. Nie mam jak stąd uciec.

Potem pomyślałam: Nie zachowuj się dziwnie. Nie teraz. Wszyscy cię obserwują.

W holu wejściowym stała za kontuarem straszliwie otyła funkcjonariuszka. Mundur rozciągał się na jej wielkim brzuchu i biodrach. U pasa wisiał ciężki pęk kluczy, jakby była dozorcą więziennym. I rzeczywiście była. Wyjadała coś z pojemniczka plastikową łyżeczką. Tuż obok znajdowały się ciężkie, okratowane drzwi.

Powiedziałam jej, do kogo przyszłam.

- Aha - mruknęła i podniosła słuchawkę telefonu.

Mówiła im, że plan działa. Że królik znalazł się w pułapce.

Odwrociłam się; serce waliło mi jak młotem. Przystojna, czarna kobieta, inna odwiedzająca, już tam stała, czekając, aż przepuszczą ją przez te drzwi. Zerknęła w weneckie lustro i poprawiła fryzurę.

Gruba funkcjonariuszka z trudem wytoczyła się zza kontuaru i włożyła klucz w zamek. Drzwi otwarły się. Przytrzymałam dłoń w promieniach podczerwonego światła. Inna strażniczka poprowadziła mnie korytarzem. Usłyszałam łoskot zatraskujących się za mną drzwi. Odbijał się echem. To dźwięk, jaki zawsze słyszy się w więzieniu: łoskot zatraskiwanych ciężkich drzwi.

W pokoju widzeń natychmiast dostrzegłam Lilę, tę jedyną jasnowłosą kobietę pośród masy brązowych twarzy. No ale Lilę zawsze się dostrzeżało, gdziekolwiek by to było. Szybkim krokiem podeszła do mnie i pocałowała w policzek.

- Skarbie! - powiedziała. - Jak miło cię widzieć!

Zaciągnęła mnie do krzesła i obie usiadłyśmy. Milczałam, przyglądając się jej. Spodziewałam się Lili w przeróżnych odmianach, ale nie takiej. Włosy wyglądały na świeżo umyte i puszyste; opadały luźno na jej ramiona. Twarz miała zaróżowioną; oczy rozpromienione. Robiła wrażenie pełnej energii, była nabuzowana, zupełnie jakby brała narkotyki. Tak jakby moje odwiedziny były najbardziej ekscytującym wydarzeniem w jej życiu.

- Wyglądasz fantastycznie - powiedziałam.

Jak jej towarzyszki miała na sobie regulaminowy strój: zielone spodnie i białą bluzkę.

- Tak uważasz? - spytała. - Bo dla mnie to dno. Pamiętasz tamtą kwestię z *Okowów ciała*? „W zielonym ci nie do twarzy, skarbie”.

- Nasza pierwsza scena - odparłam. - Pierwsza, jaką razem robiłyśmy.

I właśnie w tym momencie odniosłam dziwne wrażenie, że obie gramy. Wtedy kładłam to na karb nietypowego otoczenia oraz faktu, że sama odgrywam swoją rolę i że będę ją odgrywać do końca moich dni. Tyle że ona też wydawała się jakaś sztuczna; była zbyt ożywiona.

Żeby pokryć swoje zmieszanie, sięgnęłam do torby i wyciągnęłam prezenty: snickersy, czekoladowo-orzechowe ciasteczka, paczuszkę migdałów.

- Dzięki - powiedziała, prawie na nie nie spojrzawszy. Położyła je na kolanach.

Milczałyśmy. Obok siedziała jakaś para; całowała się. Mężczyzna

odchylił na moment głowę, odchrząknął i wrócił do przerwanej czynności. Słyszałam ciche pomlaskiwanie.

- Wiesz, kogo mi brakuje? - spytała Lila. - Orsona.

Pomieszczenie było duże, pomalowane na pomarańczowo

i żółto i obstawione automatami z kawą oraz przekąskami. Jedną ze ścian pokrywał tęczy mural. Przy jej końcu wisiała tabliczka z napisem KĄCIK DZIECIĘCY; dobiegały stamtąd okrzyki dzieci. Po drugiej stronie, na podwyższeniu, stało biurko. Siedzieli za nim obserwujący salę funkcjonariusze. Patrzyli na mnie, byłam tego pewna.

Para obok nie odezwała się ani słowem. Przeszali się całować; siedzieli obok siebie niczym dwie hebanowe figurki. Wiedziałam, że powinnam zapytać Lilę, jak się czuje, jak sobie radzi, jak spędza dni, ale po prostu nie potrafiłam się do tego zmusić. To byłoby narzucanie się. Może to niedorzeczne, ale tak właśnie to odczuwałam.

- Opowiedz mi o Lou Minkem - powiedziałam więc. - Jaki był podczas kręcenia *Berka*?

Zapaliła papierosa i wydmuchnęła przez nos dwie smugi dymu.

- Będę z tobą szczerą - oznajmiła. - Nie dlatego chciałam się z tobą zobaczyć.

Znieruchomiałam.

- Mam ci coś do powiedzenia, Jules - ciągnęła. - Od tygodni mnie to męczy. Od tygodni próbuję się zebrać w sobie.

Zaczerpnęłam powietrza.

- Co masz na myśli? - spytałam.

Odwróciła się, żeby na mnie patrzeć.

- Wiedziałam, że byłaś kiedyś związana z Te. Przez cały czas to wiedziałam.

Serce mi zamarło. Wydawało mi się, że minęła cała minuta, zanim zaczęło ponownie bić, mocno tłukąc przy tym o żebra. Odwróciła ode mnie wzrok i spojrzała na swoje dłonie; spomiędzy palców popłynęły w górę smużki dymu.

- Ten facet to był skończony drań - powiedziała. - Wiedziałam, że mnie wykorzystuje. Chciał mnie jedynie dla mojego cholernego ciała. Wykorzystał mnie, jak wykorzystywał wszystkich, ta jego kurewska sztuka wszystko to ujawniała. Ja byłam tylko następną naiwną ofiarą.

- Patrzyła na błyszczące paczuszki, które leżały na jej kolanach. Głos miała bezbarwny. - Udawanie ciąży, co za niemądry pomysł z mojej strony. Ale na tym etapie byłam już zdolna do wszystkiego. - Podniosła wzrok. - Skarbie, ty dla niego wiele znaczyłaś, nie miałam o tym pojęcia. On zawsze chciał ciebie. Mówił o tobie, o tym, jaka z ciebie intelektualistka, jak cholernie jesteś mądra. Dlatego uparłam się, żeby cię wyrzucili z tamtego filmu. - Zaciągnęła się. Ręce jej się trzęsły. - Myślałam, że tamto już było skończone. Że on się wyleczył. Przecież powiedział, że to skończone. A potem odkryłam, że nie. - Podniosła głowę. Oczy miała pełne łez. - Nadal się z nim spotykałaś.

- To kłamstwo! - wykrzyknęłam. - Nie spotykałam się z nim.

- Mogłabyś się przyznać - powiedziała.

- To nieprawda!

- Wiem, że nadal się z nim pieprzyłaś. Powiedział mi, tamtej nocy.

Dlatego go zastrzeliłam.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Co takiego?

- Powiedział mi wszystko.

- Niby co? - Kręciło mi się w głowie. Ona go zastrzeliła?

- Mówił, że byłam mu potrzebna jedynie do seksu. Ciebie natomiast potrzebował do rozmów.

- Nieprawda!

- Chociaż w łóżku jesteś beznadziejna.

Patrzyłam na nią wytrzeszczonymi oczyma.

- Wcale nie jestem!

- Mówił, że pieprzysz się jak nauczycielka.

- Nieprawda! - zaprotestowałam. - Zawsze twierdził, że jestem nie-samowita!

Zamilkłam. W głowie miałam kompletny zamęt. Uświadomiłam sobie, że powiedziałam za dużo, nie byłam jednak w stanie stwierdzić, w którym momencie. Rozpaczliwie wręcz chciałam się z tego wyplątać.

Lila wzruszyła ramionami i strząsnęła na podłogę popiół z papierosa. Para obok trzymała się za ręce. Wyglądało na to, że nikt niczego nie zauważył.

W końcu oprzytomniałam.

- Jasne - oświadczyłam. - Miałam z nim mały flirt. Wieki temu. Ale to było jeszcze w Anglii. Zresztą, kto nie miał z Trevem flirtu? - Spróbowałam się uśmiechnąć. - Leciał na wszystko, co się ruszało. Nic dziwnego, że nie mogłaś tego dłużej znieść.

Lila skinęła głową. Ujęła moją dłoń i ścisnęła palce.

- Chciałam ci jedynie powiedzieć, dlaczego to zrobiłam.

Dlaczego ona to zrobiła? Nie odezwałam się.

- Poszłam tam wtedy i powiedziałam temu sukinsynowi, że go zabiję. - Mówiła zupełnie spokojnie. Jej palce bezwiednie ugniatały moje. - Nie wierzył. Śmiał mi się w twarz. Masz pojęcie? Uważał, że nie potrafiłabym tego zrobić. A ja nacisnęłam spust i trzask! - Odgarnęła z twarzy pasemko włosów. - Wiesz co, skarbie? Przyniosło mi to ulgę. - Nachyliła się do mnie i pocałowała w policzek. Wargi miała suche. - Cieszę się, że ci powiedziałam. Zupełnie jakby zdjęto ze mnie ogromny ciężar. Teraz możemy już być przyjaciółkami, co?

Skinęłam głową, nic nie mówiąc.

Nazajutrz rozpoczęłam pracę przy *Trupie na miejscu*. Nadal niczego nie podejrzewałam. Rewelacje Lili wstrząsnęły mną, ale założyłam, że ona w końcu sfiksowała. Więzienie dokończyło to, co show-biznes kiedyś rozpoczął. Czy to za sprawą procedur prawnych, czy też za sprawą mediów, człowiek ostatecznie zaczyna wierzyć w to, co mu wmawiają. Trzymają przed tobą krzywe zwierciadło półkłamstw, perswazji i manipulacji, a ty zaczynasz wierzyć, że to odbicie, jakie w nim widzisz, to twoja własna twarz. Myślisz, że taka jest prawda; zamieniasz się w ten wykrzywiony wizerunek.

Podczas przerw w zdjęciach mój umysł był nieustannie zajęty. W którymś momencie Trev musiał jej o nas powiedzieć. I tyle. Ta informacja rozjątrzyła ją. Kipiała zazdrością, jak ja nią kiedyś kipiałam. Teraz, kiedy jego nie było, uzmysłowiła sobie, że bardzo jej mnie brakuje, że mężczyźni przychodzą i odchodzą i że nie warto tracić mnie, wspaniałej przyjaciółki.

Czułam ogromną radość. Naturalnie, bardzo mi to pochlebiało. Przez

cały ten czas myślała o mnie. Przecież jestem tego warta. Byłam w jej sercu, podobnie jak ona była w moim. Wreszcie byliśmy naprawdę sobie bliskie. Będę ją odwiedzać. Mówiła, że niewielu ma gości. Najwyraźniej na pierwsze oznaki kłopotów ludzie z branży po prostu się rozplęnęli. Miałki, bezwzględne, nędzne gnidy. Jakie to jednak szczęście, że zna kobietę, która wyznaje solidne, brytyjskie zasady. Ja nie byłam taka jak tamci, o nie.

Miałam cudowny dzień i obróciłam to w doskonałą grę. Czulałam się rozgrzeszona. Pobłogosławiona. Lila wierzyła, że to zrobiła - nawet w myślach nazywałam to, co się stało, jedynie jako To. Skoro ona w to wierzyła, ja też mogłam. Nie było się czym martwić. Więzienie będzie dla niej głębokim, w najwyższym stopniu satysfakcjonującym doświadczeniem. Choć w odosobnieniu, w pewnym sensie będzie uwolniona od emocjonalnego uwięzienia, jakim była jej sława. Zaczernie siły z rzeczywistego życia, z realnych zmaganiań oraz tragedii zwykłych ludzi, od których przez tyle lat była odseparowana. Wreszcie znajdzie się na dole, pośród swojej publiczności. Tam było jej miejsce.

A kiedy zwolnią ją wcześniej, za dobre sprawowanie, wynurzy się stamtąd, mrużąc oczy w promieniach słońca i ja będę tam na nią czekać.

Teraz już nie byłam mistyfikatorką na brezentowym krzeselku z napisem ARTYSTKA. Kręciliśmy całą serię scen szpitalnych; nosiłam biały strój fizjoterapeutki, zupełnie jakbym się nią urodziła. Moja kariera właśnie się rozpoczynała; wkrótce zostanę gwiazdą filmową. Wszystkie oznaki wskazywały na to, że *Trup na miejscu* będzie dobrym filmem; reżyser miał wyczucie, fabuła trzymała w napięciu. Był to mroczny thriller psychologiczny z zaskakującym zwrotem akcji pod koniec każdego epizodu. Gwiazdą kobiecą, której jeszcze nie poznałam, była Murielle Fames - zawsze podziwiałam jej rolę.

Kiedy siedziałam, popalając papierosa, przeszła obok mnie jakaś dziewczyna. Po chwili zatrzymała się i cofnęła.

- Podobało mi się to, co robiłaś rano - oznajmiła.
- Naprawdę? - powiedziałam. - Dziękuję.

Była myszowata, z tych, które się natychmiast zapomina; przestępowała z nogi na nogę.

- A kogo ty grasz? - spytałam.

- Nie gram nikogo - odparła.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Uśmiechnęła się smutno.

- Jestem dublerką panny Fames.

Popatrzyłam na nią i uśmiechnęłam się.

- Tylko poczekaj, dziewczyno - powiedziałam.

Pięć

Następny ranek był bardzo mroźny. Kiedy jechałam do Brooklynu, budynki robiły na mnie wrażenie, jakby je wyrzeźbiono na tle błękitnego nieba. Był to drugi dzień zdjęć w szpitalu; jedna z kulminacyjnych scen filmu. Bohater, z moją pomocą, próbuje odzyskać pełnię władz w nogach. Kuśtyka w tę i z powrotem po pokoju, opowiadając mi o swoim nieudanym małżeństwie. W tym momencie wpadają dwaj wynajęci zabójcy. Jednak nim zdążą go zabić, korytarzem nadbiega grupa policjantów i wybucha ogólna strzelanina.

W atmosferze wyczuwało się napięcie. To była skomplikowana scena; należało przećwiczyć wiele różnych posunięć, a na planie występowało naraz mnóstwo nieznanymi mi aktorów. Kręcili się wokół w policyjnych mundurach, popijając colę. Połyskiwały ich skórzane kabury.

Włączyli ogrzewanie. W tym moim nylonowym uniformie oblewałam się potem. Miałam wzdęty żołądek. Nocą śnił mi się ojciec, a to zawsze psuło mi ranek. Prawdę mówiąc, cały dzień. Nagle pojawiały się różne obrazy, przez co traciłam grunt pod nogami, zupełnie jakby ktoś nagle usunął spod nich stopień schodów.

- Panno Sampson, zechce pani tutaj podejść?

Korepetytorka poinstruowała mnie, w jaki sposób mam podtrzymywać Oscara Blechmana, aktora. Ten wsparł się na mnie, prawie mnie przewracając. Przez żaluzje przeświecało słońce; moje dłonie były śliskie. Stopy ślizgały się na wyfroterowanej podłodze.

Miałam dziwne uczucie, że jestem pod obserwacją, ale kiedy się

odwróciłam, zobaczyłam tylko pozbawioną wyrazu twarz czarnoskórej korepetytorki rehabilitacji. Nie dosłyszałam jej imienia. Właściwie ni-
czyich imion nie znałam.

- Chwyciła pani w czym rzecz? - spytała.

Skinęłam głową. Za oknem, na korytarzu, zobaczyłam, jak jeden z
gliniarzy zatrzymuje się i spogląda na mnie. Zaciągnął się papierosem i
poszedł dalej.

Oscar wsparł się ciężko na mnie. Usiłowałam przepowiedzieć sobie
swoje kwestie, ale za nic nie mogłam ich sobie przypomnieć. *Oczekuję
od ciebie wielkich rzeczy, Julio.* To był głos mojego ojca. *Spójrz na
mnie!* - odpowiedziałam mu. *Przecież gram. w filmie! Nie jesteś zado-
wolony ze swojej córeczki?*

- Tak jest dobrze - powiedziała korepetytorka. - Weź na siebie jego
ciężar. Właśnie tak.

Jak miałam jednocześnie podtrzymywać go i pamiętać swój tekst?
Jak to robili inni? Stałam na scenie, publiczność czekała. Twarze zwró-
cone ku mnie z nadzieją. Ojciec siedział w pierwszym rzędzie. Ja tam
stałam, naga, a kiedy otworzyłam usta, nie wydobył się z nich żaden
dźwięk.

Za otwartymi drzwiami zamajaczył granat policyjnego munduru.
Kręcił się tam spory tłumek. Za każdym razem, kiedy zobaczyłam poli-
cjanta, przeżywałam lekki wstrząs. Głupie, nieprawdaż?

Przecież to byli tylko aktorzy. To była jedynie próba.

Ustawiano kamerę. Przesuwano ją po błyszczącej podłodze. Jaki cia-
sny był ten pokój! Z trudem się w nim poruszałam. Oscar leżał na łóżku,
oczy miał zamknięte. Żując gumę, poruszał miarowo szczęką. Jego gęste,
posiwiałe włosy przywodziły mi na myśl ojca. Otworzył jedno oko i spoj-
rzył na mnie. Potem mrugnął. *Głowa ojca wylaniająca się zza donic.*

- Proszę za mną.

Odwróciłam się gwałtownie. To była charakteryzatorka. Nic szcze-
gólnie niepokojącego, prawda? We włosach miała żółtą wstążkę. Patrzy-
ła na mnie szeroko otwartymi oczyma.

- Jezu, musi ci być strasznie gorąco.

Ludzie usuwali się z przejścia, kiedy szłam ku drzwiom. Co ona
chciała przez to powiedzieć? Inni przecież też się pocili, czyż nie?

- Zapomniałam tekstu - odezwałam się do niej, chichocząc. - Niezły numer, co?

Nie usłyszała. Poczulałam się niezręcznie i głupio; o mało co nie potknęłam się o kabel.

Na korytarzu jeden z policjantów drapał się po nosie grubym paluchem. Wyglądał jak Rod Steiger. Ruszył w moim kierunku, a ja cofnęłam się nerwowo. Ale on szedł nalać sobie wody.

- Dokąd idziemy? - spytałam.

Dziewczyna, której imienia nie znałam, prowadziła mnie do pokoju, gdzie urządzono tymczasową charakteryzatornię. W pewnym jednak momencie pojawił się przed nią reżyser. Nachylił się i szeptał jej coś do ucha. Zdawało się to trwać bardzo długo. Ona zwróciła nagle głowę w moją stronę i wpatrywała się we mnie ze zmarszczonymi brwiami.

Ominęłam ich, żeby odejść, ale na drodze stanął mi reflektor. Musiałam wpaść na niego; metalowa kolumna nadal się kiwała.

Czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia. Odwróciłam się gwałtownie.

- Panna Julia Sampson?

Spojrzałam na jednego z policjantów, ale to nie on się odezwał. To był jakiś inny mężczyzna. Miał granatową marynarkę i krawat.

- Czy mogłaby pani pójść ze mną? - spytał.

Był aktorem, jednym z tych, których wcześniej nie widziałam. Nagle uświadomiłam sobie jasno, czego chciał. Chciał wysłuchać moich kwestii.

Poszłam za nim do holu.

- Czuję się strasznie głupio - zaszczębiotałam. - Tak mi wstyd.

Zatrzymał się u szczytu schodów. Kręciło się tam niewielu ludzi.

- Na dodatek to moja wielka scena! - roześmiałam się.

Wyjął coś z wewnętrznej kieszeni marynarki i pokazał mi.

Zrobił to dyskretnie, jak kieszonkowiec, który prezentuje skradziony zegarek.

- Detektyw John Ermelli - oznajmił.

Podniosłam na niego wzrok. Obok niego pojawił się drugi mężczyzna. Gdzie on się krył przez cały czas? Tamten pierwszy wyjął jakąś kartkę.

- Aresztuję panią za zamordowanie Trevora Parsonsa - oświadczył. - Ma pani prawo milczeć...

Jego dłoń ujęła moje ramię, łagodnie, ale stanowczo. Mogło się wydawać, że mnie podtrzymuje.

- Nie w ten sposób! - wykrztusiłam. - To ja jestem rehabilitantką. Ja to powinnam robić!

Wyglądało to tak, jakbyśmy wszyscy troje spokojnie schodzili po schodach.

- ...może pani mówić, jeśli zechce - powiedział - jednak cokolwiek pani powie, może być i będzie wykorzystane przeciwko niej w sądzie...

- Nie wiem, co powiedzieć! - zachichotałam. - Zapomniałam tekstu!

TUTAJ

Jeden

Jeden z pryszniców nie działa. Dojście do niego zagrodzili krzesłem. Zgłosiłam to strażniczce, ale bez rezultatu. Od wielu dni już nie działa.

Muszę czekać w kolejce do tego drugiego. Higiena osobista wymaga tu wiele zachodu. Tutaj wszystko wymaga wiele zachodu. Jest tyle przepisów; tyle list. Listy do prysznic, listy do siłowni, listy spacerowe. Kartki papieru. „Masz swój niebieski karteluszek, moja pani?” „Masz dowód tożsamości?” „Karta zakupów zatwierdzona? Nie? To wracaj na koniec kolejki”.

Staram się brać prysznic dwa razy dziennie. Inne osadzone uważają, że coś jest ze mną nie tak. Myślą, że jestem Lady Makbet. „Cóż to? Czyliż te ręce nigdy obmyć się nie dadzą?”*

Szekspir, *Makbet*, akt V, scena 1 (w przekładzie Józefa Paszkowskiego), PIW, Warszawa 1963.

Tak naprawdę one niczego takiego nie myślą. Nawet tego nie zauważają. Większość kobiet tutaj, jak już wam powiedziałam, nie jest zbyt dociekliwa. Niektóre przypominają tamtych ludzi, których widywałam w atriach, tych szepczących do fikusów. Są jak te gwiazdy filmowe, które uczą się swojego tekstu ze scenariusza, zaznaczając poszczególne kwestie odbłaskowym pisakiem. Ja-ja-ja, na pomarańczowo.

I to mimo że Lila była zamknięta tutaj z nimi przez kilka miesięcy. Mimo że obydwie nasze procesy trafiły na czołówki gazet. Muszę przyznać, że na początku wyczuwałam pewną wrogość, ale zdążyła już wygasnąć. To dziwne, ale bardziej je interesują te gwiazdy, które mogą

oglądać w telewizji. A oglądają opery mydlane; nazywają je swoimi „historiami”. „To zdzira!” - wykrzykują, dźgając paluchami w ekran. „Ta jest najgorsza!” Znają je lepiej niż siebie same, lepiej niż siebie nawzajem. „Do roboty, Belle! Dopadnij drania!” Seriale, sitcomy, wszystko. Taka Roseanne Barr, ta jest im najbliższa i najdroższa. Cóż za okropna, jednokierunkowa poufałość. W chwili, w której pozna się je lepiej niż siebie samą, zaczynają się problemy. Wiem coś o tym. To najgorsza z możliwych zażyłość.

Być może mój status wzrósłby nieco, gdyby Lila mnie odwiedzała. Jestem tutaj już od trzech miesięcy, a ona przyjechała zaledwie raz. Nie winię jej za to, naprawdę. Naturalnie, czytałam o niej. O jej nowym chłoptasiu; jej nowym filmie. Roly przyjeżdża; to zadziwiające, jaką stał się dla mnie podporą. Stał się dla mnie kimś w rodzaju ojca. Była też matka; przyleciała z Anglii, żeby się ze mną zobaczyć.

Przysłała mi kartki. Wieszam je na ścianie celi. Są to piękne angielskie widokówki - falujące wzgórza, kościoły, stare puby. Tego rodzaju rzeczy. Wiem, że kiedyś patrzyłam na nie z pogardą: nieistniejąca kraina zakonserwowana jak skansen dla amerykańskich turystów; obrazki prosto ze sklepu Ralpa Laurena. A przecież obecnie czerpię z nich pociechę. Taka Brytania, ona dla mnie istnieje. Stała się zbiorem fotek, podobnie jak moje dzieciństwo, już na zawsze unieruchomiona i utrwalona.

Moja cела ma dziesięć stóp na sześć i pół, ale jest przynajmniej moja, cała moja. Każdego dnia myję podłogę detergentem Joy. Mam tu łóżko, metalową szafkę oraz drążek na ubranie, który zasłoniłam kwiecistą zasłonką. Osiem bluzek, tyle nam wolno mieć. Dwa podkoszulki. Nic z kolorem niebieskim, nawet z niebieskimi kropkami, ponieważ funkcjonariuszki noszą niebieski i mogłybyśmy próbować ucieczki, hi, hi. Sześć par butów. To i tak mniej więcej tyle ubrań, ile miałam przy Belsize Park. Przeszłam przez te obszerne, oświetlane garderoby, wśród rzędów strojów od Billa Blassa, i znalazłam się po drugiej stronie. Chwilowy zanik obrazu i już jestem tutaj!

Mam toaletę. Jak wszyscy inni zasłaniam ją krzesłem, na którym kładę wzorzystą, łazienkową matę. Wymyślamy sobie tutaj nasze małe

eufemizmy. Tutaj nie są one małe, są konieczne. Roly przysyła mi książki, a ja układam je w stosach wzdłuż ściany. Nieustannie poszukuję kawałków drewna; kiedyś zrobię sobie z nich półki.

Niewiele jest do czytania na naszym bloku. W końcu korytarza mieści się sala rekreacyjna, ze stanowiskiem obserwacyjnym na podwyższeniu, gdzie siedzi strażnik; mówimy na to stanowisko „bąbel”. Jest tam kilka książek, głównie encyklopedie oraz traktaty religijne. Są sparszywiałe fotele i popielniczki zrobione z puszek po tuńczyku. Jest telewizor, ale że jest nas sześćdziesiąt na jeden odbiornik, ciągle się spieramy o to, jaki kanał oglądać. Wczoraj chciałam obejrzeć *Filadelfijską opowieść*, popołudniowy film, ale wszystkie te kobiety przykleiły się do kanału z telezakupami. Ekran iskrzył się „powstałym z inspiracji projektanta brylancikowym naszymjniczkiem, za jedyne 90 dolarów”. Zamawiają różne rzeczy, dostają katalog firmy wysyłkowej Penneys.

W mojej celi jest okno. Wąski otwór z tafelkami szkła, które mogą rozchyłać jak usta. Widzę mur, kawałek trawnika, pasek nieba. Czas i pory roku tu nie istnieją. Wiosną na trawie leżały porozrzucane kwiatki, strącone wiatrem z pozostających na wolności drzew. Kiedy przechodzę z jednego budynku do drugiego, widzę oczywiście otaczające nas lasy. Gałęzie drzew są teraz ciężkie od liści. Dobrze już poznałam ich delikatne sylwetki, podobnie jak lite bryły tych zimozielonych. Wymyślam sobie ścieżki, tam, za krawędzią wzgórza. W mojej głowie lasy te ciągną się w nieskończoność, potrafię wyśnić całe rozległe krajobrazy do odkrywania, chociaż wiem przecież, że leży tam kraina ludzi dojeżdżających do pracy do Nowego Jorku oraz miniaturowe miasteczko zabawka, Bedford Hills. Gospodynie domowe zachodzą do sklepiku Jeni, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

To miejsce widziałam z zewnątrz tylko dwukrotnie. Pierwszy raz, kiedy przyjechałam odwiedzić Lilę. Drugi, kiedy przywieźli mnie z Rikers Island samochodem szeryfa. Cała byłam skuta. Ręce, talia, nogi. Wszystkim to robią. „Przykro mi, moja pani — powiedział funkcjonariusz. Tak nas właśnie tutaj nazywają, „panie”. Jestem panią dożywotnią.

No, ściśle mówiąc, od piętnastu lat do dożywocia. Tyle mi właśnie dali. Więcej niż Lili, ale tego należało się spodziewać.

Niektóre z więźniarek robią z cel prawdziwie przytulne gniazdka. Wieszają fotografie dzieci; zamazane zdjęcia z kolejnych urodzinowych przyjęć, z uroczystości, z których same są wyłączone. Widzą, jak ich dzieci dorastają na polaroidowych fotkach. Teraz już jestem zadowolona, że nigdy nie miałam dzieci. Tapetują też swoje cele niedopasowanymi kwiecistymi paskami papieru. Jedna biała dziewczyna, z końca mojego korytarza, siedzi tu za zabójstwo. To ona wymalowała ten mural, pełne rajskich ptaków drzewo. Jest naprawdę utalentowana.

Kiedy wracamy do cel na noc, drzwi zamykają się z elektronicznym westchnieniem. Sterują tym z bąbla. W drzwiach jest maleńkie okienko. Za dnia liczą nas kilkakrotnie i jeszcze raz w nocy, żeby się upewnić, że nadal tam jesteśmy. W nocy musimy przyłożyć dłoń do szybki, jako dowód naszego istnienia. „Dobranoc, śliczne panie”*. Na końcu korytarza są ciężkie drzwi, które zatrząskują się z łoskotem. Te łoskoczące drzwi wytrącają mnie ze snu, podobnie jak tamta pokrywa wjazdu w nawierzchni ulicy, daleko stąd, w Nowym Jorku.

* Szekspir, *Hamlet*, akt IV, scena 5 (w przekładzie Józefa Paszkowskiego), PIW, Warszawa 1963.

Innego rodzaju nocny hałas dobiega z celi obok. Zamieszkaną przez niejaką Ritę Salgado. Czasami ciska ona sprzętami. Ma ataki; okalecza się. Czasami zabierają ją na oddział psychiatryczny. Zabiła swojego chłopaka, dlatego tutaj siedzi.

- Wchodzę do pokoju - mówi - a ten sukinsyn gwałci moją córeczkę. Nim się zorientowałam, już mu wbijałam w kark kuchenne nożyce.

Jest niewolnicą dużej, czarnej lesbijki o imieniu Sadie, zbudowanej jak rzeźnik. Sadie ma tutaj cały harem. Za seks i papierosy oferuje im ochronę. Wszystkie związki to przecież transakcje handlowe, nieprawda? Sadie cierpi na coś, co nazywają zaburzeniem osobowości, no ale przecież to samo powiedzieli o mnie.

Wiecie, czego nagadał ten konował psychiatra na moim procesie? Oświadczył, że jestem „ciężkim przypadkiem osobowości schizoidalnej

ze skłonnościami psychopatycznymi. Brak miłości w dzieciństwie spowodował zablokowanie normalnych kanałów emocjonalnych. Ta pacjentka nie potrafi ani dawać, ani przyjmować miłości. Znalazła azyl w potężnym, czasami niepoddającym się kontroli, życiu wyimaginowanym. Odgrywanie jakiejś roli wyzwala u niej inną osobowość, która przejmuje kontrolę nad jej »ja« funkcjonalnym”.

Miałam ochotę zawołać: Przecież jestem aktorką! Tego właśnie ode mnie oczekują!

Jak już powiedziałam, Rita okalecza się. Za pomocą szpilek i papierosowego popiołu robi sobie tatuaże; katuje własne ciało. Jej ręce pokrywa gęsta sieć blizn.

A mnie dopadli właśnie przez bliznę.

A było to tak. Złożyłam wszystko w całość, z tego, co mi powiedziano, oraz z zeznań świadków oskarżenia podczas procesu.

Courtney Wilson, ten portier o kawowej karnacji, oglądał *Marv Winfield Show*. Siedział w holu przy Central Park West i oglądał program na przenośnym telewizorze. Wtedy ujrzał mnie na ekranie. Najpierw zobaczył, jak podnoszę rękę. Potem usłyszał, że byłam kiedyś dublerką Lili Dune.

Coś go zaintrygowało. Kiedy więc następnego ranka pojawiła się dzienna zmiana, spytał przełożonego, czy panna Dune ma bliznę na dłoni. Ten odparł, że nie.

Młody człowiek udał się do mieszkania ojca i przyjrzał autografowi. Wrócił do budynku przy Central Park West i porównał go z podpisem na jakimś zleceniu naprawy. Podpisy nie były całkiem takie same.

Pomyślał, że może mu się to tylko wydaje. Może go wyśmieją. Może jej pismo było inne, bo się zdenerwowała. Na miłość boską, przecież dopiero co zabiła faceta! Trzęsła jej się ręka.

W końcu jednak poszedł na policję. Wezwano grafologa, a ten potwierdził, że tych dwóch podpisów nie złożyła ta sama osoba.

Od tego momentu sprawy potoczyły się bardzo szybko. Tu, do Bedford Hills, przyjechał detektyw, żeby przesłuchać Lilę. Jak zachowywałam się tamtego wieczoru? Co miałam na sobie? Czy istniał jakiś sposób,

dzięki któremu mogłam dostać się do jej mieszkania?

W kółko wyobrażałam sobie reakcję Lili na to wszystko. Powolne uprzytomnianie sobie faktów; ściskające serce przekonanie o mojej zdradzie. W którymś momencie musiała sobie przypomnieć, że przecież nigdy nie oddałam jej tych kluczy. Nie mam ochoty o tym myśleć.

Przeszukali moje mieszkanie, tamtego wieczoru, kiedy byłam z Roly. Znaleźli klucze do apartamentu Lili. Bo widzicie, ja je zachowałam. Może to zabrzmiało głupio, ale jakoś nie potrafiłam ich wyrzucić. Były moją nagrodą, moim medalem za najlepszą rolę życia. Musiałam zyskać uznanie choćby we własnych oczach. Policja znalazła również zwiniętą na dnie jednej z moich walizek tę dżinsową bluzkę, którą, jak utrzymywała Lila, miałam na sobie tamtego wieczoru. Nie byłam w stanie ponownie jej włożyć, czy, prawdę mówiąc, choć dotknąć. Zwinęłam ją po prostu i odłożyłam. Kiedy zabrali ją do analizy, odkryli na niej ślady farby z przedpokoju Trevora. W pewnej chwili, kiedy futro zsunęło mi się z ramion, on pchnął mnie na drzwi.

Ironia losu, nieprawdaż? Zgubiona w chwili sławy. Zdradzona przez telewizyjny ekran. Gdzieś w tym wszystkim tkwi jakaś moralna nauka.

Policjanci wykazali się bystrością umysłu. Praktycznie udało im się zrekonstruować to, co się wydarzyło. Mieli dowody, ale nie mieli motywu. Podczas przeszukania nie znaleźli nic, co by mnie łączyło z Trevem - wyrzuciłam wszystkie jego pocztówki. Mogli, za pośrednictwem brytyjskiej policji, zbadać moje życie w Londynie, ale istniało ryzyko, że mogłabym się o tym przypadkowo dowiedzieć, a nie chcieli budzić moich podejrzeń.

Wobec tego postanowili wykorzystać Lilę. Poprosili, żeby zwabiła mnie do siebie, sprowokowała kłamstwami, po czym ukryli w jej bluzce urządzenie nagrywające.

A ja wpadłam na oślep w jej sieć, tak jak ona wpadła kiedyś w moją.

* * *

Musiałam przerwać na jakiś czas. Bo najpierw musiałam zgłosić się do pracy, a potem miałam lunch. Jadamy w tej wielkiej, zbudowanej z cegły jadalni. Lunch jest niedorzecznie wręcz wcześnie, o dwunastej, zupełnie jakbyśmy przebywały w szpitalu. Pamiętacie, zastanawiałam się kiedyś, co też stało się z mielonymi? Są tutaj; oto odpowiedź. Dzisiaj jadłam mielone ze smażonymi ziemniakami i fasolką, a potem galaretkę. Dania wprost z dziecięcego baliku. Po dwudziestu minutach, czy człowiek skończył czy nie, musi wstać, wyrzucić resztki do pojemnika na odpadki i wyjść. Zgodnie z regulaminem. Istnieje też zakaz niebieskich kropek na ubraniu czy posiadania więcej niż jednego pierścionka z kamieniem. Jesteśmy przypisane na stałe do jakiegoś szaleńczego, powtarzającego się bez końca spektaklu. Nasz reżyser jest megalomanem; zmienia nas w marionetki. Pociąga za sznurki, tworzy choreografię naszych wejść i wyjść, którym zawsze towarzyszy łoskot. Pracuje tutaj nad istic mamucią produkcją, z ośmiuset osobową obsadą, i tak już będzie to trwać bez końca. Maksymalnie zabezpieczone dzieło epickie. Bez możliwości ucieczki. Dosłownie b e z s z a n s u c i e c z k i . Znajdujemy się w pułapce czasu teraźniejszego, nie możemy wyjść, żeby dalej żyć. Tkwimy w nieskończonych powtórzeniach naszych przeszłych dramatów, coraz to bardziej stęchłych w miarę opowiadania. Wy, publiczność, możecie wstać i udać się do domu. Poszukać samochodowych kluczyków, wyjść na omiataną wiatrem, teraz niewyobrażalną ulicę. Zdecydować, czy pójdziecie w tę stronę czy w tamtą. Wstąpić na kawę.

Wiele spośród tutejszych kobiet ma do tego filozoficzne podejście. „Chcesz grać, to płąć”, mawiają. Jodie, która powoli staje się moją przyjaciółką, powiada: „To miejsce to przechowalnia. Magazynują nas tutaj. Wystarczy, że od czasu do czasu zeszkrobią z nas pleśń”. Jak większość kobiet, jest tutaj za narkotyki. Zarabiała tysiąc dolarów dziennie, sprzedając kokainę. Prawie tyle co Lila. Kędy ją zwolnią, będzie robić to samo.

Zaczęłam prowadzić wieczorne warsztaty teatralne. Kilka grup kobiet dzięki mnie pracuje razem, odkrywa swoje emocje, stosując w tym celu

improwizacje i odwracanie ról. „Zamieńcie się miejscami - mówię im - i zaczniacie wszystko od nowa”. Jestem w tym niezłym ekspertem. Stosuję niektóre z ćwiczeń z czasów, kiedy pracowałam nad afroazjatyckim projektem w Tottenham w moim lokalnym teatrze. Przynajmniej mogę coś robić. A jak zacznę się trochę wymądrzać, Serena, ogromna, wesoła kobieta, szturcha mnie w bok. „Słuchaj no, ty białodupo, białasowato cipo - chichocze - pamiętaj, jesteś jedynie numerem, jak my wszystkie”.

Serena uczy się na kosmetyczkę i fryzjerkę. Robi prostowanie włosów, trwała na zimno, pasemka. Kiedyś były to zupełnie obce mi terminy, ale ja też tutaj się uczę. Ona od dawna ma ochotę położyć łapy na moich włosach, włosach białaski, które zresztą tymczasem wróciły do swojej mysiej barwy. Chce je ufarbować na blond. Powiada, że zrobi to za darmo, jeśli namówię Roly'ego, żeby przysłał jej autograf Bette Midler.

A jakie historie ze swojej przeszłości mi opowiada! Kazirodztwo, gwałty, porzucenia. Zupełnie jak z osadzonej w Bronksie wersji *Koloru purpury*. Nic dziwnego, że lubi zagubić się w tych swoich telewizyjnych serialach. Teraz ja jestem po tej drugiej stronie. I widzę wyraźnie, co produkowaliśmy za tymi oślepiającymi reflektorami; niezbędne marzenia.

Na ekranie telewizyjnym jest prościej, tak jak prościej jest w więzieniu. Te zamknięte razem kobiety konstruuja dla siebie całe nowe rodziny, zastępujące im rodziny, których nigdy nie miały. Któraś jest tu „mamą”, inna „ciocią”, jeszcze inna nawet „tata”. Może jedynym tatą, jakiego kiedykolwiek znały; nie jestem tą jedną z nieobecnych ojcem. Odtwarzamy siebie na nowo, jedna drugą, podobnie jak odtwarzamy dramaty z naszej przeszłości. I ta moja nie jest bardziej czy mniej wiarygodna od reszty.

Dużo dzisiaj myślałam o Lili. Jestem w kantynie - wolno nam z niej korzystać raz na dwa tygodnie - i stoję w kolejce do okienka za siatką. Pokazuje się dowód tożsamości, po czym podaje swoją kartę zakupów z zaznaczonymi pozycjami. Wypisuje się kwit pobrania, pieniądze odciągają z naszego rachunku. Jesteśmy uwięzione w wiecznej krainie

wyobraźni, w wolnym od odpowiedzialności dziecięcym ustroniu, zupełnie jak gwiazdy filmowe.

Kupuję kilka paczek winstonów (1,24 \$), krążki na karaluchy do mojej celi (3,10 \$) i płatki owsiane z rodzynkami (1,69 \$) na lepsze trawienie. Teraz znam już tę listę na pamięć; czekając, podśpiewuję sobie kolejne pozycje.

Odżywka do włosów Prolene

Żel Dixie Peach

Lakier do włosów Spritz

Balsam do włosów z olejem kokosowym

Mydło mówi do mnie „Pieszczota”, szampon powiada „Zgoda”. Dezodoranty szepczą „Pewność” i „Tajemnica”. Lista śmieciowego jedzenia zawsze przypomina mi o zapasach Lili, upchanych po kątach jej przyczepy i po szafkach mieszkania. Napój wiśniowy (18 0), chlebek cynamonowy (1,32 \$), nadziewane lizaki (5 0). „Jestem uzależniona od takiego śmiecia”, powiedziała przy naszym pierwszym spotkaniu, uśmiechając się do mnie.

Stoję tutaj, za szerokimi plecami cioteczki Carmel i nagle uświadamiam sobie, że Lila i ja posiadamy coś wspólnego, do czego tylko my dwie mamy dostęp. Nikt oprócz nas, nikt z zewnętrznego świata. Nawet ciało Trevora należało również do innych kobiet. To miejsce jednak jest nasze; wyłącznie nasze.

Dwa

Ostatni raz widziałam Lilę, kiedy przyjechała mnie odwiedzić. Było to jeszcze w lutym, krótko po tym, jak mnie tutaj przywieziono. Domyślałam się, że przyjedzie, chociażby po to, żeby napawać się sytuacją. Domyślałam się, że będzie zbyt ciekawa, by się temu oprzeć.

Wszystkie twarze zwróciły się ku niej, kiedy weszła do sali widzeń. Bo nie była jedynie gwiazdą filmową, była ekswięźniarką! Miała na sobie futro z płomienistych lisów, ciemne okulary oraz wysokie buty na szpilkach. Zatrzymała się, żeby przywitać się z jedną ze strażniczek, zupełnie jakby tamta była jej dawno niewidzianą przyjaciółką. Potem podbiegała do różnych więźniarek i obejmowała je.

- Cześć, Joanie, jak się miewasz? - wołała radośnie, jakby brała udział w jakiejś premierze.

Czekałam na nią, dygocząc ze zdenerwowania. Nasza sytuacja uległa odwróceniu. Teraz to ja nosiłam zielone spodnie, białą bluzkę i zielony sweter - na widzenie trzeba wkładać regulaminowy strój. Być może był to ten sam zestaw, który nosiła ona; ostatecznie miałyśmy bardzo podobną figurę. Od tego zaczęła się przecież ta cholerna historia.

Nie przywitała się ze mną. Po prostu podeszła i usiadła naprzeciwko, na pomarańczowym, zrobionym z wąskich listewek krześle.

- No i jakie to uczucie? - spytała, zdejmując ciemne okulary. Twarz miała pokrytą grubą warstwą makijażu; ona też wyglądała na zdenerwowaną.

- Takie sobie - odparłam.

- Na którym jesteś bloku?
 Powiedziałam jej. Uniosła brwi.
 - Poznałaś już Beverly?
 Skinęłam głową.
 Uśmiechnęła się.
 - Jest na moim korytarzu - powiedziałam.
 Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.
 - Próbowała już dobrać ci się do majtek?
 Ponownie skinęłam głową.
 Zachichotała.
 - Udało ci się uchronić cnotę? - spytała zjadliwie.
 - Owszem.
 Zdjęła rękawiczki, wyjęła salemy i zapaliła.
 - Gdzie pracujesz? - spytała, mrużąc oczy od dymu.
 - W Biurze Pracy Ochotniczej - odpowiedziałam. - Dopiero co zaczęłam.
 - Och, prawdziwa Francja-elegancja.
 - Papierkowa robota i takie tam - powiedziałam. - Przygotowujemy paczki na rocznicę odkrycia.
 Kiwnęła z roztargnieniem głową i pomachała do Allie, sztywnej eksprostitutki. Allie pomachała do niej. Zupełnie jakby Lila przyszła do szkoły odwiedzić dawne koleżanki.
 - Myślę, żeby poprowadzić warsztaty teatralne - oznajmiłam. - Może wystawimy jakąś sztukę. Zawsze chciałam reżyserować.
 Zapadła chwila milczenia.
 - Najgorsze to to ich kucać-i-kasłać, co? - spytała Lila. Kiedy robią rewizję osobistą; trzeba wtedy kasłać, tak że jeśli coś schowałaś, to musi wypaść. - Bardzo niemiłe, co? - spytała.
 Skinęłam potakująco głową.
 - Gorsze nawet od pocałowania Sylwestra Stallone - powiedziała. - Przedtem myślałam, że to było najgorsze dno. - Włożyła papierosa między wargi, pogrzebała w torebce i wyjęła książkę. Był to egzemplarz edytorski *Śmiałych pieszczot w Hornchurch* autorstwa Trevora Parsonsa. - Gdzie też, do cholery, może być to całe Hornchurch? - spytała, podając mi książkę. - Wydawnictwo mi ją przysłało. Chcesz przeczytać?

- Dzięki. - Wzięłam książkę.
- Mnie w niej nie ma - powiedziała. - Przejrzałam ją, a potem przeczytałam powoli. Nie ma tam nikogo, kto by mnie przypominał. - Zaciągnęła się papierosem. - Ani nikogo, kto by przypominał ciebie. Wszystko to jest o jakiejś dziewczynie imieniem Dawn. Znasz taką?

Pokręciłam głową.

- Raz ją widziałam. Pracowała w winiarni.

Lila wskazała dłonią książkę.

- Jest w niej pełno sprośnych słów - powiedziała, marszcząc z niesmakiem nos. - Nawet połowy z tych rzeczy nie pozwoliłabym mu robić ze sobą. - Strzepnęła jakiś pyłek z futra i rozejrzała się. - Zauważyłaś, że wśród odwiedzających praktycznie w ogóle nie widać facetów?

Przytaknęłam. Była to prawda. Przychodziły tu głównie kobiety, przyprowadzały dzieciaki, żeby zobaczyły swoją matkę.

- Na pierwsze oznaki kłopotów wszyscy oni spieprzają - powiedziała.
- Umykają z miasta najszybciej, jak mogą.

- Chyba że są zawodowymi kierowcami - powiedziałam.

- Jasne. Chyba że są zawodowymi kierowcami.

- Wiesz, co powiedział Jezus Chrystus do woźnicy?

- Pojęcia nie mam - odparła. - A co powiedział?

- Nie ruszaj się, póki nie wrócę.

Zapadło milczenie.

Spojrzała na mnie.

- Trochę to smutne, co? - spytała. - Myślałam, że się kumplujemy.

- Ja też.

Pod warstwą makijażu dostrzegłam wokół jej ust drobnutki cieńutki zmarszczki. Wargi wydawały się węższe. Zdałam sobie sprawę, że zaczyna wyglądać na swój wiek. Na czterdzieści trzy, a teraz może już czterdzieści cztery lata.

- Jak mogłaś mi to zrobić, Jules? - zapytała.

- Jestem ciężkim przypadkiem osobowości schizoidalnej.

- To cię nie usprawiedliwia.

Milczałam chwilkę.

- Wiem.

- Irma powiedziała, żeby tu nie przychodziła. Powiedziała, że za bardzo się zdenerwuję. Ona cię nienawidzi.

- Myślałam, że cię uniewinnią! - oznajmiłam.

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma.

- A niby dlaczego, do diabła, mieliby to zrobić?

- Ponieważ... - Zamilkłam. - Po prostu ponieważ... - Zamilkłam ponownie. - Nie rozumiałabyś.

Zamilkłyśmy obie. Spojrzałam na drugi koniec sali. Strażnicy siedzieli w swoim bąblu. Kiedy miałam pierwszego gościa - Roly'ego - wstałam, żeby go odprowadzić. Miałam wtedy normalne odruchy gospodyni. Naturalnie nie mogłam go odprowadzić, prawda? Zatrzasnęli mi te drzwi prosto w twarz.

- Przykro mi - odezwałam się. - Nie wiem, co mam powiedzieć. Przykro mi.

- Jasne, że ci przykro. - Upuściła papierosa i ze złością rozgniotła go butem.

Znowu milczenie. Patrzyłyśmy obie na rozplaszczony niedopałek. Na wachlarz czarnego kopcia rozmazanego na linoleum.

- Ten skurwiel nigdy mi o tobie nie powiedział - oznajmiła. - Bo może wtedy wszystko wyglądałoby inaczej.

- Sądziysz?

- Jasne. Za kogo mnie bierzesz? - Wzruszyła ramionami. - A może nie. Kto to może wiedzieć?

Nachyliłam się do niej.

- Jak to zrobiłaś? Kiedy przyszedłam cię tu odwiedzić. Skąd wiedziałas, co powiedzieć?

- Mój adwokat spróbował mnie nauczyć, co mam mówić. To znaczy, żeby cię złapać w pułapkę. Ale go powstrzymałam. Powiedziałam, że sama sobie poradzę. Nie jestem taka tępą, jak ludzie myślą. J e s t e m k o b i e t ą , na miłość boską! Wiem dokładnie, co należy mówić.

- Świetnie zagrałaś.

Skinęła głową, zadowolona z siebie.

- Otrzymałam nominację do Oscara.

Kolejna chwila milczenia. Sala rozbrzmiewała gwarem. Stojąca obok nas dziewczynka trzymała głowę na kolanach matki.

Lila wyjęła paczkę z papierosami. Tym razem poczęstowała mnie.

- Ty też nie byłaś najgorsza - stwierdziła. - Główne wydania wiadomości! Nareszcie sławna, co?

- Który kawałek widziałaś?

- Jak stoisz na miejscu dla świadków, waląc w nich całą prawdą. Podając każdy cholerny szczegół tego, co zrobiłaś. „Wtedy włożyłam perukę i ciemne okulary i cichutko wyszłam z apartamentu”. Owinęłaś ich sobie wokół palca. Cała widownia należała do ciebie. - Popatrzyła na mnie z podziwem. - Wiesz co? Mogłaś być niesamowitą aktorką.

- Naprawdę?

Skinęła głową. Przez chwilę paliliśmy w milczeniu.

- Nie widziałam wszystkiego - powiedziała. - Siedziałam w salce rekreacyjnej i Beverly chciała oglądać jakiś główniany teleturniej z Jaclyn Smith. Lee! J a c l y n S m i t h !

Zaciągnęła się mocno i rozejrzała wokół. Nadal reagowałyśmy na siebie nerwowo. Niemniej atmosfera uległa ociepleniu, odrobinę.

Strażnik zawołał:

- Pięć minut, moje panie! Sala widzeń zostanie zamknięta za pięć minut!

Wokół zapanowało poruszenie. Matka ujęła główkę dziecka w dłoń, wciągając dziewczynkę pomiędzy swoje kolana. Ludzie brali płaszcze i wkładali na siebie. My, naturalnie, nie. My, więźniarki. Ale inni owszem.

Lila spojrzała na mnie.

- Wiesz co? To coś naprawdę niesamowitego?

- Co?

- Wiesz, kto tym razem był dublerką? - Dźgnęła futro czerwonym paznokciem. - Ja. Ja byłam twoją pieprzoną dublerką. Niezłe zajęcie, prawda? Teraz już wiem, jak to wygląda. - Wzdrygnęła się i rozdeptała niedopałek. - Dość koszmarnie, moim zdaniem. - Podniosła wzrok. - Ja przygotowałam plan, skarbie, ale grać musisz już teraz sama. A to przedstawienie będzie się ciągnąć i ciągnąć. Przez całe życie. - Wstała.

- Chcesz grać, to płąć - powiedziałam.

- Chcesz mnie grać, to płąć.

Potem nachyliła się i mnie pocałowała. Poczułam jej perfumy oraz zapach tytoniu w oddechu.

- Żegnaj - powiedziała. Odwróciła się. - Żegnam wszystkie panie.
Potem odeszła szybkim krokiem.

Stukot butów na wysokich obcasach; łaskot stalowych drzwi. A potem kolejny, odległy łaskot następnych drzwi, tych na końcu korytarza.
I tyle ją widziałam.

Spis treści

Podziękowania	7
Londyn	9
Nowy Jork	97
Los Angeles	209
Nowy Jork	291
Los Angeles - Nowy Jork	409
Tutaj	461